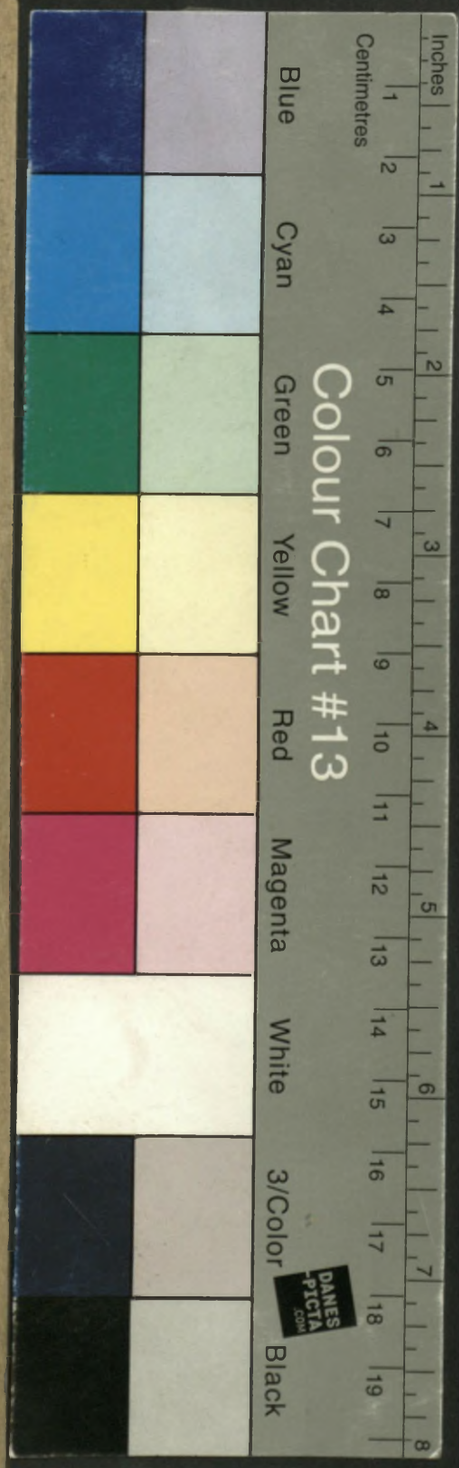




WACŁAW LASOCKI

WSPOMNIENIA Z MOJEGO ŻYCIA

PRZYGOTOWALI DO DRUKU
MICHAŁ JANIK I FELIKS KOPERA

TOM PIERWSZY
W KRAJU

1933
W KRAKOWIE
NAKŁADEM GMINY STOŁ. KRÓL. MIASTA KRAKOWA
PRZY UŻYCIU ZAPISU Ś. P. WACŁAWA LASOCKIEGO

WACŁAW LASOCKI

WSPOMNIENIA
Z
MOJEGO ŻYCIA

PRZYGOTOWALI DO DRUKU
MICHAŁ JANIK I FELIKS KOPERA

TOM PIERWSZY
W KRAJU

1933
W KRAKOWIE
NAKŁADEM GMINY STOŁ. KRÓL. MIASTA KRAKOWA
PRZY UŻYCIU ZAPISU Ś. P. WACŁAWA LASOCKIEGO

WACŁAW LASOCKI

WSPOMNIENIA Z MOJEGO ŻYCIA

PRZYGOTOWALI DO DRUKU
MICHAŁ JANIK I FELIKS KOPERA

TOM PIERWSZY
W KRAJU

1933
W KRAKOWIE
NAKŁADEM GMINY STOŁ. KRÓL. MIASTA KRAKOWA
PRZY UŻYCIU ZAPISU Ś. P. WACŁAWA LASOCKIEGO

92(Laszecki):93(438)9



30664/2

WYKONANO W DRUKARNI MUZEUM PRZEMYSŁOWEGO W KRAKOWIE.

OD WYDAWCÓW.

Pomiędzy źródłami historycznemi pamiętniki zajmują bardzo wysokie miejsce. Mają bowiem tę osobliwą właściwość, że zawierają równocześnie opowiadanie i spowiedź, spojrzenie na minioną rzeczywistość i jej odbicie w życiu duchowem pamiętnikarza. Jeżeli zatem chodzi o samą nawet możliwość należytego poznania przeszłości, niema bodaj celniejszego nad pamiętniki źródła historycznego, przy pomocy którego potomni mogliby odbyć pewniejszą i bezpieczniejszą podróż duchową po olbrzymiem cmentarzysku wydarzeń i przeżyć z okresu badanego pokolenia i wydobyć stamtąd istotniejsze wiadomości o rodzaju i stopniu nie tylko zauważenia tych wydarzeń, lecz zarazem zrozumienia i uświadomienia ich sobie przez owych właśnie poprzedników naszych przy stole życia.

Rozpiętość materjału historycznego, zawartego w pamiętnikach, może być, oczywiście, bardzo rozległa pod względem ilości i jakości. Zależy to w najwyższym stopniu od indywidualności pamiętnikarza. Mogą się znaleźć w tym materjale fakty znane i nieznane, błahe i doniosłe, prawdziwe i przeinaczone lub nawet zmyślone, spostrzeżenia bezpośrednie i pośrednie, spisywane niebawem lub dopiero w jakiś czas, nieraz nawet dość długi, po wypadkach, odtwarzane z pamięci lub też na podstawie zapisków. Fakty, skądinąd już znane, mogą być podane w innem oświetleniu, wzbogacone o jakieś nowe szczegóły albo o nieznane dokumenty autentyczne. Fakty dotąd nieznane mogą być odkrywcze czyli tego rodzaju, że innym sposobem nie możnaby się wogóle o nich dowiedzieć. Błahość czy doniosłość nowego materjału, wydobytego z pamiętników, jeśli wolno stosować w tym wypadku zasadę wartościowania, rozumiemy jedynie w ten sposob, że pewne fakty z przeszło-

ści zachowały większą lub mniejszą siłę, z jaką oddziaływają na uczucie i intelekt aktualnej potomności. Pośredniość, ewentualnie bezpośredniość zapisków pamiętnikarskich jest dla badacza sprawą niezmiernej wagi, boć rzecz to w bardzo wysokim stopniu nieobojętna, czy pamiętnikarz opowiedział zdarzenia, które oglądał na własne oczy, czy też znał je tylko z zasłychu; czy był przypadkowym świadkiem, czy też wtajemniczonym uczestnikiem, a może nawet inicjatorem i twórcą.

Rozważenie tych i wielu innych okoliczności jest obowiązkiem badacza. Musi on podjąć z tego stanowiska krytyczną ocenę przekazanego materjału pamiętnikarskiego, ażeby w rezultacie potrafił ściśle ustalić wydobyte stamtąd nowe pozycje, wniesione do zasobu naszej wiedzy o przeszłości.

Pamiętnik jest jednak nie tylko opowieścią kronikarską o tem, co się kiedyś zdarzyło. Jest to zarazem wizja przeszłości, przepuszczona przez świadomość jednostkową. Oprócz materjału historycznego mamy tu jeszcze przed sobą osobę pamiętnikarza czyli człowieka, rzuconego na tło pewnego odcinka przeszłości, jego spowiedź, jego pogląd na świat, głąb — żeby tak powiedzieć — jego ducha.

Zazwyczaj wiemy już niejedno o czasach, które są przedmiotem opowiadania pamiętnikarskiego. Pamiętnik pomnaża nasze wiadomości o tych czasach, przynosi jednak nadto coś osobliwego: odsłania mianowicie, jakie sprawy i wypadki z owych czasów zatrzymały uwagę pamiętnikarza i jaki był jego stosunek do nich. Przez analizę możemy się tutaj dowiedzieć wielu rzeczy interesujących, a w pierwszym rzędzie poznajemy, czy autor pamiętnika był człowiekiem twórczym, jednym z czołowych, torującym nowe drogi i cele, czy tylko zwyczajnym szeregowcem, kroczącym mniej lub więcej karnie za drugimi, czy nareszcie pospolitym zjadaczem chleba, biernym i neutralnym obserwatorem. Możemy się również dowiedzieć, czy interesowały go bardziej sprawy ogólne, czy tylko osobiste i rodzinne; w konsekwencji zaś, w jakim stopniu autor mógłby uchodzić za typowego przedstawiciela pewnej klasy społecznej lub pewnego poziomu kulturalnego.

Nasuwa się tutaj długi szereg zapytań w odniesieniu do osoby pamiętnikarza. Spróbujemy sformułować niektóre. Mo-

żemy chcieć wybadać, czy autor miał skłonność do śledzenia rozwoju kultury wewnętrznej w psychice zbiorowej, czy raczej zajmowały go przedewszystkiem sprawy techniczne i stosunki gospodarcze. Czy brał udział w usiłowaniach wyzwoleńczych jakiejś grupy społecznej lub może nawet całej zbiorowości, czy też był z natury kwietystą, czy wreszcie przekonanym oportunistą, zwolennikiem status quo, przeciwnikiem wszelkiego uświadomionego dążenia ku innej przyszłości. Czy pociągała go więcej dotykalność, czy idealizm i marzenie. Czy wyczucie rzeczywistości i praca myślowa były u niego zabarwione bardziej na ton pesymizmu czy też optymizmu. Jak odnosił się do zagadnień religijnych, estetycznych i innych w tym rodzaju. O ile można polegać na jego prawdomówności i zdolności obserwowania i czy nie trzeba go raczej uważać za nieoględnego plotkarza i gadułę lub — co bodaj jeszcze gorsze — za mistyfikatora.

Z powyższych uwag na temat kwestyj, jakie ze względu na osobę pamiętnikarza należałoby poddać analizie, a których poczet możnaby znacznie jeszcze rozszerzyć, wynika oczywiście, że osoba ta stanowi zkolei ważny materjał historyczny, który trzeba krytycznie wyzyskać i odpowiednio opracować. W ten sposób da się niejednokrotnie wydobyć jaśniejsze spojrzenie na przeszłość od tego, do jakiego dojść możemy przez badanie martwych poniekąd dokumentów bezosobowych, nie pozwalających często na wnikliwsze podejście do zdarzeń przeszłości, na zrozumienie ich treści utajonej, ani też na wyjaśnienie sobie reakcji psychicznej współczesnych na już dokonane czyli przejawione wydarzenia. Można wprawdzie zauważyć, że materjał, wydobyty z pamiętników, nie wyczerpie również do dna żadnego zjawiska przeszłości; niemniej wypadnie się na to zgodzić, że będzie on dla badacza bardzo charakterystycznem i bardzo przekonywającem, choć tylko jednostkowem, naświetleniem i odzwierciedleniem.

Naprowadzone uwagi o ważności pamiętników jako źródła historycznego niechaj będą zarazem odpowiedzią na ewentualne zapytanie, dlaczego przystąpiliśmy do wydania pamiętnika Wacława Lasockiego w całości, bez poważniejszych zmian czy skrótów. Uzupełnieniem ich niech będą słowa samego pamiętni-

karza, zamieszczone na czele „zamiast przedmowy", skąd także dowiadujemy się, jakiemi pobudkami i celami kierował się ich autor, gdy przystąpił w podeszłym wieku do opracowania swego dzieła.

Nad osobą autora pamiętnika nie będziemy się tutaj długo rozwodzili. Czytelnicy przypatrzą mu się zbliska na dalszych kartach. Na tem miejscu przypomniemy jedynie słowa, zapisane o nim przez Tadeusza Bobrowskiego, znanego weredyka (Pamiętniki, Lwów 1900, T. II, str. 224 i 234): „Pośród młodzieży uniwersyteckiej owego czasu (w Kijowie w latach 1854—1860) wodzili rej: Leonard Sowiński, Włodzimierz Antonowicz, Tadeusz Orzechowski, Włodzimierz Milowicz, Wacław Lasocki, Tadeusz Rakowski..." „Lasocki, syn właściciela ziemskiego z powiatu żytomierskiego, pojmany na rozwożeniu „złotych hramot" w powiecie żytomierskim, skazany do ciężkich robót na całe życie, po amnestji 1866 roku przemieszkiwał jakiś czas w głębi Rosji, następnie mógł osiąść w Warszawie, gdzie jest (był w r. 1898) naczelnym lekarzem kolei nadwiślańskiej, rozumnym i szanowanym człowiekiem."

Pamiętniki Lasockiego obejmują czasy od roku 1835 do powrotu autora z wygnania do kraju, lecz dopiero od końca piątego dziesiątka ubiegłego stulecia jako przeżycia osobiste. Wiadomości wcześniejsze są oparte na tradycji ustnej lub jeszcze częściej na zapiskach, z tamtego czasu pochodzących, a przez autora pamiętników w celowym wyborze powtórzonych. Pisząc o czasach, na które patrzył własnemi oczyma, korzysta również niekiedy z źródeł obcych, nieraz nawet już drukiem ogłoszonych. Dotyczy to zwłaszcza dziejów kościoła katolickiego na ziemiach litewsko-ruskich i okresu przedpowstaniowego. Lasocki był rozmiłowanym regjonalistą, co znaczy, że sprawy rodzinnej prowincji wołyńskiej budziły jego szczególniejsze zajęcie. Zainteresowanie swoje przenosił jednak także na sąsiednie Podole i Ukrainę i poświęcił dużo miejsca stosunkom polskim i polsko-rosyjskim w Kijowie. Sporą część pamiętników przeznaczył na opowiadanie o pobycie swoim na Syberji, dokąd go zesłano w związku z przygotowaniami do powstania styczniowego.

Materjał, pomieszczony w pamiętnikach, jest bardzo róż-

norodny, poczęści znany z innych źródeł, poczęści całkowicie nowy. O ile chodzi o stosunki rodowe, towarzyskie i kulturalne na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, pamiętnik Lasockiego uzupełnia nowemi nazwiskami i szczegółami wiadomości, znane częściowo z pamiętników Michała Budzyńskiego, Szymona Konopackiego, Tadeusza Bobrowskiego i niedawno ogłoszonych Augusta Iwańskiego. O ile zaś idzie o życie narodowo-polityczne w tych prowincjach i zwłaszcza o pobyt na Sybirze najbliższych i sąsiednich spółziomków, Lasocki jest poniekąd jakby kontynuatorem pamiętników Justynjana Rucińskiego i niewydanych dotąd Juljana Sabińskiego. Lasocki lubował się w drobiazgach, dzięki czemu skrzętnie zapisywał zasłyszane od innych ciekawostki i przepisywał z napotykanych okolicznościowo archiwów rodzinnych różne szczegóły, jakie zasługiwały według niego na przekazanie ich uwadze przyszłych historyków narodu polskiego i jego kultury. W tych wszystkich wypadkach miał Lasocki na oku względy ogólne, lecz może jeszcze bardziej ściśle regjonalne.

Z wiadomości dawniejszych z przed zasięgu własnych przeżyć, przekazał Lasocki niejedną rzecz mało znaną, a nawet zupełnie dotąd nieznane dokumenty. Należy do nich Ustawa zawiązanego w roku 1835 na Wołyniu „Towarzystwa Patrjotycznego", które następnie na przedstawienie Szymona Konarskiego weszło w skład „Stowarzyszenia Ludu Polskiego", oraz list Gaspra Maszkowskiego, opisujący krótko dzieje tego Stowarzyszenia na Rusi w latach od roku 1835 do 1838. Wiedzieliśmy wprawdzie coś niecoś o istnieniu na Wołyniu tajnej organizacji patrjotycznej t. zw. Filodemistów przed przybyciem tam Szymona Konarskiego jako emisarjusza, lecz dopiero pamiętniki Lasockiego odsłaniają na podstawie przekazów ustnych i zapisanych wiele autentycznych szczegółów o tych robotach i podają pełny i dosłowny tekst ustawy spiskowej, która stanowi bardzo charakterystyczny a piękny przyczynek do historji usiłowań konspiracyjnych w Polsce, jakie były podejmowane w różnych czasach i w różnych dzielnicach, celem zjednania ludu nieszlacheckiego dla sprawy narodowej i odzyskania przy jego pomocy niepodległości państwowej. Kopji dokonano z rękopisu, ofiarowanego przez Szymona Konarskiego pannie Emilji

Michalskiej, jego narzeczonej, co czyni ten dokument i z tego także względu specjalnie sympatyczną pamiątką.

Wspomnienia Lasockiego z lat chłopięcych między rokiem 1837 a 1849 nie przedstawiają większego interesu ogólnego; przecież i one składają się na obraz edukacji domowej w rodzinach ziemiańskich tego czasu na Rusi, obraz, zapewne pod niejednym względem typowy. Przeżycia i obserwacje Lasockiego o znaczeniu ogólniejszem zaczynają się dopiero od czasu jego pobytu w gimnazjum żytomierskiem, w którem pobierał nauki w latach od jesieni 1849 do roku 1854. Gimnazjum żytomierskie było ważnym ośrodkiem oświatowym na ówczesnem Wołyniu, objęło bowiem w małym zakresie rolę zniesionego po powstaniu listopadowem liceum krzemienieckiego. Między profesorami obok Rosjan znalazło się kilku Polaków, przeniesionych tutaj z dawniejszych gimnazjów polskich. Całość robiła wrażenie przypadkowej mieszaniny dobrych i złych pierwiastków. Ze względu na kilku nauczycieli Polaków i na atmosferę, jaka w gimnazjum mimo wszystko znalazła swój wyraz, można je było do pewnego stopnia uważać za ocalałą częściowo resztkę dawnych szkół polskich z przed 1831 roku. Chociaż wykłady odbywały się po rosyjsku, nie tłumiono jeszcze systematycznie ducha polskiego wśród młodzieży. Bywały nawet dość osobliwe przykłady, że uczniowie Rosjanie przejmowali się ideami polskiemi, jak to się zdarzyło synom Rosjanina Pawła Kryłowskiego, żonatego z Polką Zdanowiczówną, profesora łaciny w gimnazjum żytomierskiem. Obaj jego synowie, Aleksander i Mikołaj, brali udział w polskich robotach narodowych, Mikołaja skazano nawet za to na Sybir. Uczniem tego gimnazjum był głośny w r. 1863 Zygmunt Sierakowski, który rozwijał gorącą propagandę patrjotyczną wśród kolegów. Dopóki istniały wybory na Rusi, przedstawicielami opieki rodzicielskiej czyli kuratorami gimnazjum, wybieranymi przez szlachtę na cztery lata, byli Polacy: Władysław Podhorodeński, Krzemieńczanin Mieczysław Pruszyński, Józef Ignacy Kraszewski i Włodzimierz Plater. Lasocki opowiada o tem wszystkiem, podaje sylwetki uczących, pisze o stosunkach w mieście, o wewnętrznem życiu szkolnem, słowem kreśli zajmującą monografijkę gimnazjum żytomierskiego z czasów swojego w niem pobytu.

Nieporównanie barwniejszym i bogatszym w treść jest zkolei obraz Kijowa, w szczególności opis stosunków na uniwersytecie św. Włodzimierza w latach od 1854 do 1859. Nic dziwnego. Lasocki był już dojrzalszym młodzieńcem, wszechstronniej zatem umiał obserwować i zachować w pamięci rzeczy ogólniejszej natury, ważniejsze pod względem politycznym, narodowym, kulturalnym i obyczajowym. Lasocki miał oczy otwarte na wszystkie ważniejsze zdarzenia z tego czasu, przedewszystkiem jednak zajmował się życiem studentów Polaków i odmalował je dokładnie i wszechstronnie. Te właśnie karty jego pamiętnika pozostaną też pierwszorzędnem źródłem dla historji życia polskiej młodzieży uniwersyteckiej na kresach południowowschodnich. Było to życie, w niektórych zwłaszcza latach, bardzo bujne i wrażliwe na wszystkie współczesne prądy i dążenia ogólnonarodowe. Pamiętnik Lasockiego pozwala nam śledzić, jak ścierały się na tym odcinku kijowskim prądy przeciwstawne: ugoda z myślą niepodległościową, konserwatyzm pańszczyźniany z demokratyzmem i nawet „chłopomaństwem", filaretyzm z oportunizmem, wpływ duchowości rosyjskiej z hasłami, dochodzącemi mimo czujności Bibikowa, z zachodniej Europy, głównie z Emigracji.

Lasocki zdawał sobie sprawę z tej walki pojęć i interesów. Dość przypomnieć jego słowa: „W mury uniwersytetu kijowskiego zakradł się duch wszechnicy wileńskiej i krzemienieckiego liceum tak, iż uniwersytet ten jako czynnik przeciwpaństwowy wyprzedził wszystkie inne w państwie rosyjskiem. Rząd pragnął tu zaszczepić bałwochwalczą cześć dla władz i formułek, pochłaniających wszystkie dodatnie objawy życia ludzkiego, bezmyślne posłuszeństwo oraz naukę powierzchowną, dla patentu tylko i karjery. Hasła Filaretów wniosły do młodego przybytku wiedzy miłość kraju i rodaków, gotowość do czynów, do pracy i do ofiar! Dwa te kierunki walczyły ze sobą. Rządowy garnął obojętnych, egoistów i karjerowiczów, filarecki objął najzapaleńszą i najszlachetniejszą część młodzieży". Dodać tylko należy, że charakterystyka ta odnosi się do czasów od założenia uniwersytetu kijowskiego do powstania styczniowego, a nie jedynie do okresu, w którym Lasocki był studentem tego uniwersytetu.

VIII

Gdy w roku 1848 mianowano generał-gubernatora Bibikowa kuratorem uniwersytetu, oddziaływanie rządu w kierunku zdemoralizowania młodzieży przybrało na intensywności. Do najpierwszych i najważniejszych obowiązków studenta za jego kuratorstwa należało noszenie munduru z drobiazgowem zachowaniem formy, zapinanie go na wszystkie guziki, staranne ukrywanie kołnierza od koszuli, częste golenie zarostu i strzyżenie włosów przy samej skórze. Kto potrafił te przepisy bez zarzutu wykonywać, temu wolno było naruszać przepisy moralności i pilności w naukach. Bibikow lubił nawet młodzież lekkomyślną i hulaszczą, wcale się nie gorszył jej zachowaniem i nawet protegował ją przy sposobności. Odwieczna metoda satrapów. Młodzież hulaszcza nie mogła być niebezpieczną dla despotycznego samodzierżawia!

Do podtrzymania dobrego ducha wśród studentów Polaków przyczynili się nie tylko profesorowie Polacy, których pewną część przeniesiono tutaj z uniwersytetu wileńskiego, lecz nawet tacy wyjątkowi profesorowie Rosjanie, jak Platon syn Bazylego Pawłow, wykładający historję Rosji. Profesor ten twierdził głośno i bez ogródek, że jakkolwiek Rosjanie mają rząd despotyczny, niemniej są odpowiedzialni za jego czyny, gdyż taki rząd sami sobie wiekowem usiłowaniem wytworzyli. W konsekwencji dowodził niejednokrotnie, że wszystkie krzywdy, wyrządzone Polakom, muszą ciężyć tem więcej na sumieniu każdego prawego Rosjanina. Dlatego Rosjanie, w granicach dawnej Polski zamieszkali, winni się starać wynagrodzić Polakom choć w części krzywdy im wyrządzone. Pawłow był oczywiście białym krukiem i dlatego spędził połowę życia na wygnaniu.

Z tradycji zasłyszanej przypomina Lasocki, jak to władze rosyjskie wykryły w r. 1838 sprzysiężenie między młodzieżą, w związku ze sprawą Konarskiego, zesłały wielu studentów w sołdaty na Kaukaz i zamknęły chwilowo uniwersytet. Po ponownem otwarciu uniwersytetu osłabły nieco wzniosłe hasła ideowe wśród młodzieży; reakcja podniosła głowę, wdzierała się coraz natarczywiej rzekoma tężyzna bałagulszczyzny, ciesząca się poparciem Bibikowa i jego podwładnych. Na dnie wszakże tego zataczającego się po ulicach pijanego szału tlały zarody wszechludzkich i narodowych dążności, które oczekiwały tylko

silniejszej podniety. Widać to choćby z utworów poetyckich Podolanina Juljana Beliny Kędrzyckiego, lutnisty i kronikarza tych smutnych czasów. Anakreontyk jego „Hej koledzy! precz frasunek!", godny dawniejszych filareckich, został wcielony do stałego repertuaru chóralnych pieśni studenckich i zajął w nim miejsce poczesne.

Walka o duszę młodzieży toczyła się przez dwadzieścia kilka lat, niemal do wybuchu powstania styczniowego. Wśród bałagułów zdobył sobie szczególniejszy rozgłos student Piotr Jaxa Bykowski, o którym stugębna fama głosiła liczne anegdoty, powtarzane następnie przez całe pokolenia kijowskiej młodzieży. Poezjom Kędrzyckiego, zwróconym przeciw reakcji i oportunizmowi, wtórowała w latach od 1846 do 1849 wychodząca w Petersburgu i Kijowie „Gwiazda", wydawana przez Zenona Fischa i Jakóba Benedykta Jurkiewicza (Dołęgę), zamknięta w r. 1849, podobno wskutek wcale nie obywatelskich usiłowań wydawców „Tygodnika Petersburskiego". Rok 1848 rozbudził nowe wrzenie wśród lepszej części młodzieży kijowskiej. Budzicielami ducha stali się w tym czasie studenci Fortunat Nowicki i Tadeusz Komar, następca Kędrzyckiego na niwie poetyckiej. Pozostająca pod ich wpływem młodzież odsunęła się od bałagułów, nie używała alkoholu, skromnie jadała i żyła, i dlatego wyróżniała się od innych studentów, aczkolwiek nie tworzyła narazie żadnej ściślejszej organizacji. Nazywano tę grupę „Purystami".

Do grupy Purystów należał od samego początku student Włodzimierz Antonowicz, z urodzenia katolik obrz. łacińskiego, zamiłowany ludoznawca i badacz dziejów polsko-rusińskich, który przeszedł z polskości do sympatyj dla ukrainizmu, aż skończył na zupełnem odstępstwie od narodowości polskiej. Drogę do ukrainizmu odbył z nim razem Tadeusz Rylski. Lasocki podaje liczne szczegóły, składające się na charakterystykę Antonowicza. Puryści starali się oddziaływać na kolegów przez czasopisma i wydawali kolejno „Bigos", „Ulicznika" i „Publicystę". Były to oczywiście wydawnictwa rękopiśmienne. O drukowanych nie mogło być mowy w ówczesnych warunkach życia studenckiego, gdyż treść ich była nawskróś niecenzuralna. Gdy student Wincenty Odyniec z Połocka odczytał raz na ze-

braniu redakcji opracowanie na temat: „Powstanie czy rewolucja“ i oświadczył się za powstaniem, Antonowicz i Rylski opuścili nieodwołalnie „Publicystę“ i założyli krótkotrwałe, bo tylko trzynumerowe pismo „Plebeusz“. Lasocki nie podaje, czy Antonowicz należał do zbiorowego wydawnictwa młodych pod nazwą „Pisma urywkowe wierszem i prozą“, ogłoszonego w Kijowie w roku 1858 pod pseudonimem Józefa Prospera Gromadzkiego, w którem Fortunat Nowicki pomieścił bardzo radykalny wstępny artykuł ideowy. Antonowicz należał jeszcze w tym czasie do zorganizowanego w roku 1857 stowarzyszenia tajnego pod nazwą „Trojnicki“, z którego wyszli późniejsi nieco działacze roboty przedpowstaniowej na Rusi. Pierwszą naczelną trójkę mieli stanowić: Włodzimierz Antonowicz, Leon Głowacki i Włodzimierz Milowicz. Gorąca propaganda ludowcowa tego spisku, nazywana przez niektórych „chłopomaństwem“, znalazła tragiczny epilog w pamiętnej Sołowijówce i Hrebenkach. Antonowicz nie należał już wtedy do organizacji, skoro prawie o półtora roku wcześniej ogłosił publicznie w „Osnowie“ swoje zerwanie z narodowością polską.

Wszystkie te dane o ruchu ideowym wśród młodzieży kijowskiej popiera Lasocki faktami, nazwiskami, anegdotami, poezjami, tworząc w ten sposób obraz plastyczny, a pod wielu względami mniej dokładnie dotąd znany. Opowiadanie jest urozmaicone szczegółami z życia szkolnego i towarzyskiego, wiadomościami o teatrze i stosunkach z władzami. Całość rozdziału o życiu młodzieży na uniwersytecie kijowskim posiada znaczną wartość interesującego materjału źródłowego, który nie powinien był zostać zapomnianym.

Innego rodzaju materjał zawierają rozdziały o okresie bezpośrednio przedpowstaniowym. Dowiadujemy się z nich, jakie były w tym czasie poglądy i nastroje w szerokich kołach ziemiaństwa na Rusi, w jakich warunkach przedostawała się propaganda patrjotyczna z Królestwa, jak odbywały się manifestacje patrjotyczne na Wołyniu, i nareszcie, jakie było usposobienie ludu wiejskiego. Kwestję włościańską omówiono dość szczegółowo. Osobny ustęp poświęcono tragedji w Sołowijówce i przypomniano wzruszające opowiadanie z dramatu „Na Ukrainie“ Leonarda Sowińskiego. W porównaniu z innemi rozdzia-

łami pamiętników jest to materjał, znany już w znacznym stopniu z opublikowanych dawniej opisów i opracowań, lecz i w tej części znajduje się niejeden nieznany, lokalny szczegół wołyński. Nieraz trafi się informacja mylna lub niedokładna. Mimo to pozostawiamy opowiadanie Lasockiego bez zmiany, traktując je jako osobiste wspomnienia i jako rezultat późniejszych poszukiwań pamiętnikarza. W ten bowiem sposób można się dowiedzieć, co wiedział o zdarzonych wypadkach człowiek wykształcony, biorący w przygotowaniach bezpośredni udział na niewielkim odcinku, a nawet zesłany za to na Syberję. Zarazem można poznać sąd autora o wypadkach i wniknąć w pobudki wewnętrzne, jakie zadecydowały o jego własnem postanowieniu. Głos taki opinji jednostkowej i dodana do niego motywacja nie będą dla historyka obojętne, zainteresują też czytelnika.

Mniej więcej połowę pamiętników Lasockiego zajmują wspomnienia z pobytu na Sybirze i w głębi Rosji. Czytamy tu rzeczy, znane przeważnie, i nieraz obszerniej, z innych pamiętników syberyjskich, zwłaszcza w przedmiotach ogólniejszego znaczenia. Nowością są tylko sprawy, odnoszące się do koła tych spółwygnańców, którzy utrzymywali z Lasockimi bliższe stosunki towarzyskie. Obok Wołyniaków byli to przeważnie ludzie z wschodnich ziem dawnej Polski (Romanostwo Bnińscy, Jakób Gieysztor, Michałowie Gruszeccy, Juljan Kędrzycki, Bolesławostwo Łozińscy, Józefowie Łagowscy, Stanisław Miaskowski, Józef Popowski, Kazimierz Poniatowski, Ignacy Tomkowicz i inni). Żona towarzyszyła Lasockiemu dobrowolnie na wygnanie i właśnie dzięki temu Lasoccy mogli przyjmować we własnym domu szersze grono bliższych spółziomków. Jak z tego widać, Lasocki zachował i na Syberji swoje sympatje regjonalistyczne. Towarzysze wygnania odpłacali się wzajemnością, co okazuje się wyraźnie z różnych wierszy okolicznościowych, ofiarowywanych obojgu Lasockim, skrzętnie przeniesionych do pamiętnika. Nowe te szczegóły odnoszą się głównie do czasów pobytu Lasockich w Usolju i składają się na ciekawsze karty dziejów kolonji wygnańczej w tej miejscowości.

Wyobraźnię wygnańców naszych za powstanie styczniowe uderzyły na Sybirze dwa szczególnie zjawiska: postać guber-

natora tobolskiego Aleksandra Despot-Zenowicza i przebieg powstania zabajkalskiego. Oba też zarysowały się głęboko w pamięci wygnańców i wywołały nawet między nimi różnice opinji. Lasocki pisze o nich dość obszernie i rzuca charakterystyczne rysy na dość dobrze znane malowidło. Zenowicz zdobył sobie całkowitą sympatję u Lasockiego, dzięki czemu sylweta jego wypadła wdzięcznie i nie bez przekonywującego polotu. W powstaniu zabajkalskiem nie brał Lasocki bezpośredniego udziału, zachowuje się też wobec tego zjawiska z bolesnem tylko współczuciem. Opowiedziawszy koleje powstania i jego ostateczną katastrofę, dodaje ze smutkiem: „Takie były straszne dzieje winnych porwania się z bronią w ręku dla odzyskania swobody. Nie o wiele mniej ucierpieli ci, co wywieszali białe chorągwie i zdawali się na wspaniałomyślność armji rosyjskiej...“ Informacje, zebrane przez Lasockiego o powstaniu, uzupełniają kilku istotnemi szczegółami ogłoszone dotychczas źródła.

Chociaż lekarz z zawodu, Lasocki był rozmiłowany w poezji. Dzięki tej skłonności wpisał Lasocki do swoich pamiętników cały szereg utworów poetyckich, ilustrujących bezpośrednio czasy i zdarzenia, o których opowiada. Są to utwory Juljana Kędrzyckiego, Tadeusza Komara, Stanisława Miaskowskiego i Ignacego Tomkowicza. Rzeczy to w ogromnej większości nigdy niedrukowane, przeważnie krążące tylko w odpisach lub skopjowane wprost z rękopisu ich autorów. Znajdujemy między niemi wiersze okolicznościowe, czasem o treści żartobliwej, satyry, opisy nastrojowe, liryki, poematy ideowo-programowe, przekłady i inne. Najobficiej zgromadził Lasocki poezje Kędrzyckiego i Komara, bo były to w tej czwórce największe talenty i największą też była wartość artystyczna i ideowa ich utworów. Niektóre utwory Komara o typie wybitnie romantycznym, jak n. p. „Uczta szaleńców“ wywierają jeszcze dzisiaj silne wrażenie ze względu na swoją myśl społeczną i nie ustępują tego rodzaju utworom Leonarda Sowińskiego, Gustawa Ehrenberga i Ryszarda Berwińskiego. W obfitej antologji, zebranej przez Lasockiego, mieszczą się także rzeczy dość błahe lub o mniejszej wartości; te jednak mają znowu znaczenie notatek pamiętnikarskich, jak n. p. poszczególne części „Usoljady“. Całość antologji ożywia pamiętniki Lasockiego i dlatego ogła-

szamy niemal wszystkie te utwory i wierszyki, nie pomijając nawet tych, które były osobistą pamiątką dla autora pamiętników.

Jak przedstawia się Wacław Lasocki w świetle własnych pamiętników? W życiu rodzinnem dobry syn i kochający mąż, chociaż człowiek bezdzietny. Przywiązany do najbliższych stron rodzinnych, ciekawy wszystkiego, co się tam dzieje, ma rozgałęzione stosunki towarzyskie i długo zachowuje w pamięci koło osób przyjaznych lub choćby tylko znajomych. Nie pozbawiony żyłki historyka, gromadzi różne tego rodzaju zapiski, zwłaszcza w zakresie kresowego regjonalizmu. Strona obyczajowo-kulturalna odgrywa przy tem dużą rolę. Umysł ruchliwy, człowiek czynny i od młodości gorący patrjota, wybija się na miejsce nieobojętne wśród najbliższych towarzyszy myśli i pracy. Poczuwa się zawsze do obowiązku służby publicznej i jest gotowy do ofiary na rzecz dążeń narodowych i ogólnoludzkich. Mimo gorącości uczucia stara się być krytycznym i rozważnym. Wśród swoich i obcych stoi na straży godności osobistej i narodowej. W warunkach, w jakich życie powoływało go do działania, poczuwa się do spółodpowiedzialności za wszystko, co może wpłynąć na zbiorową psychikę bliskiej mu warstwy społecznej i całego narodu.

Skromny, niesamolubny, o wybitnym impulsie altruizmu, miał przecież ambicję zachować pamięć o sobie i swojej pracy. Dlatego napisał pamiętniki i zabezpieczył fundusz na ich wydanie. Chociaż fundusz ten dzięki obywatelskiemu stanowisku Kasy Oszczędności m. Krakowa nie uległ dewaluacji, to niemniej jednak Gmina m. Krakowa, której wydanie pamiętnika powierzył, wydaje go w części własnym kosztem, mimo kryzysu finansowego, a kieruje się w tym wypadku zarazem uczuciem wdzięczności. Trzeba bowiem dodać, że Wacław Lasocki cały swój zbiór starych polskich druków i rycin oddał za życia jeszcze Muzeum Narodowemu. I tu zaznaczył się jego rozsądek i troska o zabezpieczenie pracy swego życia na rzecz użyteczności publicznej, aczkolwiek rozstanie się z ulubionemi książkami i grafiką zapewne nie było dla niego rzeczą łatwą. Ponieważ jednak nie chciał nikogo urażać za życia i był dość obojętny na sławę autorską u współczesnych, pozwolił wydać pamiętniki dopiero w dziesięć lat po swojej śmierci.

Ogólnie biorąc, można uważać Lasockiego za typ inteligentnego Polaka z rodziny ziemiańskiej na Wołyniu, o sympatjach łagodnie demokratycznych, wczuwającego się pilnie w życie publiczne społeczeństwa polskiego, przestrzegającego wiernie i bezinteresownie zasad nauki i moralności chrześcijańskiej. Jakkolwiek całe wykształcenie szkolne pobrał na Rusi, nie wykazuje nigdy w swojej osobowości znamion człowieka Wschodu. Wysokie poczucie sprawiedliwości i godności osobistej każą w nim widzieć całkowicie człowieka kultury zachodniej, typ zatem w życiu polskiem dodatni i przyszłościowy.

Osobną a wielką ozdobę pamiętników Lasockiego stanowić będą liczne rysunki, fotografje i inne ilustracje, zebrane przez ich autora ze znawstwem i pieczołowitością. Bezmała sześćdziesiąt lat Wołynia przesuwa się nam przed oczyma. Znajdujemy Konarszczyków: Kaspra Maszkowskiego, Antoniego Beaupré, Ewę Felińską, Emilję Michalską i wielu innych. Są profesorowie gimnazjum żytomierskiego i uniwersytetu kijowskiego, a obok nich najwybitniejsi studenci, którzy zaznaczyli się w przygotowaniach do powstania styczniowego lub wsławili się wygnaniem na Syberję albo upamiętnili sie w jakiś inny sposób przez późniejszą swoją działalność, a więc: Fortunat Nowicki, Marjan Dubiecki, Włodzimierz Antonowicz, Włodzimierz Milowicz, Władysław Kamieński, Leonard Sowiński, Stanisław Miaskowski, Juljan Kędrzycki, Tadeusz Komar, Ignacy Tomkowicz, Leon Głowacki, Tadeusz i Stefan Bobrowscy, Władysław Kozłowski, Józef Popowski, Apolinary Korzeniowski i jego żona z Bobrowskich (rodzice Conrada). Jest także piękna kolekcja Sybiraków, począwszy od gubernatora Aleksandra Despot Zenowicza. Jakób Gieysztor, bracia Nowakowscy, Józef Kalinowski (O. Rafał), malarz Sochaczewski, Romanostwo Bnińscy, Józef i Bolesław Łozińscy, Henryk Wohl, Józefostwo Łagowscy, Benedykt Dybowski, Władysław Księżopolski, ksiądz Krzysztof Szwernicki, ksiądz Stulgiński — oto niektóre tylko nazwiska z bardzo bogatego zbioru. Z rzewnością oglądamy rysunki kościołów polskich na Sybirze, pomieszczonych w nich sprzętów i obrazów, ogród w Usolju, rękami wygnańców urządzony, solowarnię na Angarze i inne godne pamięci ilustracje.

Styl pamiętników Lasockiego, niewyszukany i wolny od

wszelkiej barokowości, zaleca się szlachetną prostotą i swobodą. Odrazu wyczuwa się, że kreślił je człowiek w starszym wieku, gdy umysł zdobył równowagę, a uczucie harmonję wewnętrzną, gdy umie się już słowa trzymać na wodzy i unika się niedojrzałej jaskrawości i natrętnej przesady. Nie potrzeba dodawać, że styl taki budzi większe zaufanie do prawdomówności pamiętnikarza i sumienności jego pracy. Z drugiej strony nie można się dziwić, że Lasocki, zabrawszy się do pisania w starości i nie mając na względzie celów czysto artystycznych, popadał niekiedy w umiarkowaną zresztą wielomówność, zwłaszcza, gdy opowiadał o stosunkach rodzinnych i towarzyskich. Umiał jednak pozbywać się tonu gawędowego zawsze wtedy, gdy wymagała tego ważność i podniosłość przedmiotu, a nawet zdobywał się w takich wypadkach na tok dostojny i niemal poetycki. Jakkolwiek przebywał długo w środowisku rosyjskiem, ocalił poprawność polskiej składni i frazeologji, zrzadka tylko popadając w uchybienia rusycyzmów, które na kilku miejscach staraliśmy się usunąć.

Korzystając z uprzejmych informacyj rodziny i przyjaciół ś. p. Wacława Lasockiego, dodajemy wiązankę szczegółów biograficznych z okresu po powrocie pamiętnikarza z Syberji, których nie znajdujemy w tekście pamiętnika. Dzięki listowi polecającemu ks. arcybiskupa Felińskiego do Leopolda Kronenberga, wróciwszy do kraju, otrzymał Lasocki posadę naczelnego lekarza kolei Nadwiślańskiej (z Warszawy przez Lublin do Kowla), którą zajmował aż do wykupienia kolei przez rząd rosyjski. W tym czasie zaczął gorliwie dopełniać swoją bibljotekę i zbiory muzealne, wyszukując cenne egzemplarze w antykwarjatach warszawskich oraz przez licznych przyjaciół, do których należał także Jakób Gieysztor, kolega z wygnania. Po objęciu kolei Nadwiślańskiej przez rząd, Lasocki przeniósł się z Warszawy do Nałęczowa, z którym pozostawał w bliższym kontakcie od r. 1878, gdy wraz z doktorem Fortunatem Nowickim, Chmielewskim i córkami doktora Stanisława Wikszemskiego z Wilna przystąpił do spółki zakładu hydropatycznego w tej miejscowości. Należąc do zarządu, zajął się tutaj urządzeniem parku, zaprosiwszy do zaprojektowania wybitnego ogrodnika, Walerego Kronenberga z Warszawy.

W Nałęczowie rozwinął też Lasocki czynną, a wcale niegłośną działalność oświatową i społeczną, zakładając muzeum etnograficzne i przyrodnicze, dla którego sprowadzał okazy aż z Paryża i z pod Uralu, zajmując się gorliwie budową domu ludowego, założeniem niższej szkoły rolniczej, kasy pożyczkowo-oszczędnościowej oraz towarzystwem dobroczynności. Oprócz tego postarał się o założenie szkoły koszykarskiej i zabawkarskiej. Wojna przerwała mu różne roboty, a po wojnie zabrakło mu już sił i funduszu. Zbiorami i funduszami osobistemi rozporządził wtedy w ten sposób, że albo rozdał je na własność albo zastrzegł sobie tylko dożywotnie otrzymywanie skromnych procentów. Muzeum Narodowe w Krakowie otrzymało bibljotekę i cenne zbiory artystyczne, Lublin zbiory przyrodnicze. Kiedy wartość banknotów gwałtownie spadała, a procentów nie otrzymywał prawie wcale, bieda, dosłownie mówiąc, zmusiła go do sprzedania ruchomości z mieszkania. Z radością przecież nosił weterańską czapkę wojskową, szczęśliwy, że doczekał się niepodległej ojczyzny. Na starość ogłuchł prawie zupełnie. Ostatki lat jego życia otoczyła opieką doktorowa Franciszka z Wikszemskich Walicka, a po jej zgonie siostra zacnego starca, z Lasockich Adela Stecka. Zmarł w Nałęczowie dnia 28 grudnia 1921 roku, przeżywszy 84 lat życia. Zwłoki jego złożono do grobu na miejscowym cmentarzu, dnia 31 grudnia 1921 r., wśród hołdów współobywateli.

Wydane pamiętniki spełnią niewątpliwie cel, jaki sobie wytknął ich autor i zasłużony dla kraju patrjota. Wydawcy zaś zachowają wewnętrzne zadowolenie, że uprzystępnili badaczom rzeczy ojczystych nieobojętne źródło historyczne i oddali zarazem w ręce publiczności dzieło o treści zdrowej i pokrzepiającej na duchu.

Michał Janik i Feliks Kopera.

W Krakowie, w kwietniu 1933 roku.

OD AUTORA „WSPOMNIEŃ“ ZAMIAST PRZEDMOWY.

W ojczyźnie naszej, od chwili jej upadku politycznego, szczególniej zaś po ostatniem powstaniu 1863 r. wszelkie dodatnie objawy życia narodowego straciły prawo jawności w zaborze rosyjskim. Stąd dziejopisowie tej epoki na każdym kroku uczuwać muszą zupełny brak źródeł.

Brak ten jedynie uzupełnić mogą liczne kroniki rodzinne i zaściankowe, ręką naocznych świadków spisane, a wzajem się uzupełniające. To też notowanie wypadków i odtwarzanie postaci współczesnych stanowi dziś jeden z ważnych obowiązków obywatelskich każdego istotnego miłośnika kraju, od którego uchylać się nie wolno nikomu.

Tem przekonaniem kierowany, radami życzliwych zachęcony, postanowiłem rozpocząć spisywanie wspomnień lat ubiegłych. Nie kryjąc przed sobą trudności, jakie napotkam przy spełnianiu tej powinności mojej, a idąc wbrew wrodzonemu wstrętowi do pióra, którego liczne w mem życiu złożyłem dowody, cieszę się nadzieją, iż łaskawy czytelnik zechce sądzić mnie jako najniepiśmienniejszego z ludzi, który odważył się nakreślić ten pamiętnik, mając jedynie na celu, by to, co w swem życiu widział i słyszał, przechować.

Ponieważ pamiętniki Michała Budzyńskiego, Szymona Konopackiego, wreszcie okrzyczane Tadeusza Bobrowskiego, poświęcone są w znacznej części opisom zdarzeń i ludzi bieżącego stulecia w tych częściach Wołynia i Ukrainy, w których i ja moje dzieciństwo i pierwsze lata młodości spędziłem, unikać przeto będę powtarzania tego, co się w tych pamiętnikach, zawiera, tak, aby wspomnienia moje stały się niejako uzupełnieniem i ciągiem dalszym ksiąg pamiętniczych Budzyńskiego, Konopackiego i Bobrowskiego.

Notatek współczesnych nie posiadam i nie żałuję tego braku, uwolni on bowiem moich czytelników od mało zajmujących drobiazgowych szczegółów, uwydatniając natomiast jaskrawsze momenta i postacie, które się głębiej w pamięci mojej wyryły. Na materjały, któremi rozporządzam, składają się: dość dobra pamięć, kilkanaście dat pewnych, kilkaset listów przeważnie z okresu więzienia i wygnania, wiele utworów okolicznościowych z różnych czasów, nigdzie drukiem nie ogłoszonych, spory zapas fotografij, rysunków i t. d.

Ponieważ pragnę, aby pamiętnik mój wydanym został po śmierci mojej przez osoby do tego upoważnione, kosztem przeznaczonego przeze mnie na ten cel funduszu, pozwoliłem sobie poruszyć w nim wspomnienia, ściśle rodziny mojej lub bliskich mi osób dotyczące, pomimo, iż sprawy moje osobiste mało zająć mogą szersze koła czytelników. Tym sposobem część moich wspomnień stanie się kroniką okolicy, w której dzieciństwo i pierwszą młodość moją spędziłem, a tem samem stać się może dla ludzi dobrej woli pobudką do spisywania owych zaniedbanych już dziś „Sylwa Rerum".

Takie wspomnienia dałyby możność historykowi odbudowywać dzieje pewnych lat, okolic kraju i pojedyńczych rodzin, na pewnych podstawach. Zastrzegam sobie w opowiadaniu mojem przeważnie skromne miejsce szeregowca. Pozwoli mi to rzadko i tylko z konieczności mówić o sobie, a zwracać uwagę czytelnika na to, co mię od kolebki do dni dzisiejszych otaczało.

W myśl coraz bardziej upowszechniającego się stosowania metody poglądowej do wydawnictw nawet ściśle historycznych, uznałem za słuszne ożywić moje gawędy podobiznami miejscowości, ludzi i scen z życia. Pod tym względem, bodaj czy nie wyprzedzam innych pamiętnikarzy, mając jedynie na celu moich przyszłych pogrobowych czytelników.

Wacław Lasocki.

Pisałem w Nałęczowie.



Fig. 1. Wacław Lasocki.

MIŁUJĄCEJ OJCZYZNĘ MŁODZIEŻY POLSKIEJ

PRACĘ TĘ POŚWIĘCA
AUTOR

WACŁAW LASOCKI

WSPOMNIENIA Z MOJEGO ŻYCIA



Fig. 2. Mateusz Lasocki, ojciec autora według fotografji z r. 1859.

I

PRZYJŚCIE NA ŚWIAT. WIEK DZIECINNY. RODZINY OJCA I MATKI. SĄSIEDZTWO. NAUCZYCIELE DOMOWI. SZKOŁY W ŻYTOMIERZU.

(LATA OD 1837 DO 1854).

. . . . . .

Szczęśliwy kto pamięta, jak w dziecinnych latach
Igrał sobie po cichych Dziadunia komnatach,
Kto pomni, jak tam skakał, nad książeczką ślęczał,
Gonił się z starym sługą — przy paciorku klęczał.

Fr. Morawski.

. . . . . .

Czem jest w polu zasiew, czem zawiązka w kwiecie.
Tem w życiu męża szkolne sześciolecie.
Trudno dziś skupić te drogie obrazy,
Choć się ich tyle do wspomnienia ciśnie,
Choć jeszcze teraz, po ileż to razy!
Szkolną ławicę — albo dzwonek przyśnię!

Wł. Syrokomla,

. . . . . .

Nie wiem, czy kto na tem co zyska, gdy się dowie, że urodziłem się w dniu 26 września (8 października) 1837 r. w dawnem województwie wołyńskiem, powiecie ostrogskim, parafji lachowieckiej, we wsi Bisówce, z ojca Mateusza i matki Aleksandry z Budzyńskich, ślubnych małżonków Lasockich; a wszakże, idąc za zwyczajem, muszę i to na wstępie wyrecytować, dodając, iż na chrzcie św. dano mi imiona: Wacława, Ignacego, Michała. Rodzice moi, gdym na świat przychodził, byli właścicielami połowy wyżej wspomnianej wsi Bisówki, której druga połowa należała do pp. Zarębów. Przodkowie ojca mego wiedli swój ród z Mazowsza. Pradziad mój, Mateusz Lasocki, towarzysząc królewiczowi Jakóbowi Sobieskiemu, przeniósł się do Małopolski. Dziad zaś, Maciej, osiedlił się na Wołyniu, gdzie posiadał połowę wsi Załuża w powiecie ostrogskim, w której to wiosce ojciec mój ujrzał światło dzienne dn. 13/25 wrześ. 1806 r. Gałęzi naszej genealogicznej nie próbowałem połączyć z drze-

wem tego rodu w Królestwie Kongresowem, gdyż większa część naszych papierów rodowych spłonęła wraz z domem w Załużu. Wskutek tego ojciec mój, którego rodzice dość wcześnie odumarli, nie mógł znaleźć wśród pozostałych dokumentów nic więcej nad dwa przywileje (nominacje) na imię pradziada mego Mateusza, nadane temuż przez królewicza Jakóba Sobieskiego, oraz genealogję domu naszego, ręką prababki mojej w książce do nabożeństwa spisanej.

Babka moja, Omiecińska z domu, zmarła w końcu 1814 r. osierocając ojca mego w ósmym roku życia. Dziad zaś, umierając w 1825 roku, pozostawił dziewiętnastoletniemu synowi długami obciążoną połowę wsi Załuża i radę unikania wszelkich stosunków z właścicielem drugiej połowy tej wioski, p. podkomorzym Ilińskim, mistrzem loży masońskiej ostrogskiej, z którym dziad mój miał stale zatargi sąsiedzkie.

Trudno sobie przedstawić, ile pracy ciężkiej i cierpliwości kosztowało ojca mego wydobycie się z długów, pozostawionych mu w spadku. Nieraz mi o tych swoich troskach opowiadał, dowodząc, że przy dobrej woli, pracy i oględności można zawsze ojcowiznę, choćby najbardziej nawet odłużoną, uratować. Te ciężkie chwile, w młodym wieku przebyte, ochroniły ojca mego w ciągu całego życia od wydatków nad możność. Był on więc zawsze panem, a nie sługą swoich środków i tę zasadę starał się dzieciom przekazać. Gdy interesa zwolna, ale wciąż się poprawiały, zaszła okoliczność, prawdopodobnie dowcipnie przez p. podkomorzego Ilińskiego ukartowana.

Pan ten był ojcem licznej rodziny, miał bowiem siedmiu synów i pięć córek, a nosząc się oddawna z myślą nabycia drugiej połowy Załuża, starał się, bądź co bądź, zawiązać stosunek z młodym dziedzicem, który natomiast, pamiętny rad umierającego ojca, unikał starannie wszelkiej z sąsiadem styczności.

Zaczął tedy pan Iliński kopać rów graniczny, zajmując wąski pas ziemi, do ojca mego należący. Młody właściciel, broniący każdego skrawka z wielkim trudem ocalonej ojcowizny, oburzony tym postępkiem wpadł do sąsiada z zamiarem zrobienia mu awantury. Pan podkomorzy zamiast wyjść do przybyłego wysłał najstarszą swą córkę, anielską pannę Anielę. Ojcu memu słowa gwałtowne zamarły na ustach; słodki uśmiech uroczej panienki

ujarzmił go i podbił na zawsze. Wkrótce też został jej mężem, a po roku ojcem ślicznej Jadwisi.

Na prośby żony dla tak zwanego „świętego spokoju“ sprzedał teściowi połowę Załuża, dogadzając tem zawczasu ułożonym planom podkomorzego. Po opuszczeniu Załuża nabył rodzic mój połowę wsi Bisówki, gdzie w parę lat później stracił ukochaną żonę i córkę jedyną, nie mając jeszcze lat dwudziestu ośmiu. Przygnębiony niezmiernie temi ciosami, zbliżył się do rodziny nieżyjącej już wówczas matki swej, Karoliny z Omiecińskich. Do rodziny tej należeli: siostra matki, Józefa z Omiecińskich Felińska, wdowa po głośnym autorze „Barbary“ i rektorze Liceum Krzemienieckiego, matka jedynej córki wydanej za Edmunda Michałowskiego, tudzież rodzina przyrodniego brata matki, Stanisława Omiecińskiego, składająca się z wdowy z Dłuskich Omiecińskiej, syna jej Jana i córek Katarzyny i Aleksandry.

Cała ta rodzina już dziś wygasła. Z trzech synów i sześciu córek Michałowskich, a wnuków Alojzego Felińskiego, starszy Gustaw umarł w Dorpacie na suchoty; Alojzy, doktor, odebrał sobie życie w domu ojca mego; najmłodszy zaś, ksiądz Feliks, był wikarym przy kościele św. Aleksandra w Warszawie, zmarł zaś w Galicji w 1889 r. w Dźwiniaczce, majątku hr. Koziebrodzkich, gdzie tegoż roku przybył na stałe jako kapelan, towarzysz, przyjaciel i krewny czcigodnego arcybiskupa Felińskiego, osiadłego tam po powrocie z wygnania. Z córek jedna tylko zamężna, Aniela Kretkowska, żyła dłużej; reszta pomarła z suchot w młodym wieku.

Rodzina Omiecińskiego zginęła również bezpotomnie, a mianowicie syn Jan po powstaniu 1831 r., w którem brał udział, emigrował zagranicę, gdzie w Paryżu cierpiał straszną nędzę i tamże umarł bezżennie, odmawiając stale przyjęcia od rodziny zasiłków pieniężnych.

Z sióstr, jedna była za Narcyzem Konopackim, możnym obywatelem ziemskim na Ukrainie, nie miała dzieci i niedługo po zamążpójściu zmarła; druga Aleksandra wyszła zamąż, mając około sześćdziesiąt lat, za młodego stosunkowo człowieka, p. Dobrzyckiego, który w 1863 r. zginął jako podoficer jazdy w oddziale Edmunda Różyckiego pod Salichą.

Rodzina matki ojca mego mieszkała w powiecie żytomierskim: Felińska z zięciem i wnukami w Wołosowie blisko Żytomierza, zaś Jan Omieciński do 1831 r. i siostry tegoż we wsi Korowińczykach pod Cudnowem. Odwiedzając rodzinę matki, z którą łączyły ojca oprócz węzłów krwi majątkowe interesy, odnowił on stosunki z domem pokrewnym pierwszej swej żony, również w powiecie żytomierskim zamieszkałym, podkomorzego Ignacego Budzyńskiego, ożenionego z Kunegundą Ilińską, rodzoną siostrą pana Aleksandra Ilińskiego, teścia swojego.

Z synami Budzyńskiego, Michałem i Wincentym, ojciec mój uczęszczał do szkół bazyljańskich w Lubarze; z dwóch zaś córek, jedna Klotylda była ciężko chora, a druga Aleksandra dobrze mu była znana, bo go jako druchna prowadziła do ślubu z pierwszą żoną. Odnowiona znajomość wkrótce się zamieniła w uczucie wzajemne, i ojciec mój pojął drugą żonę a matkę moją, Aleksandrę Budzyńską, w 1836 r. mając lat trzydzieści.

Zkolei powiem tu słów kilka o rodzinie, z którą się połączył. Budzyńscy, zdawna na Wołyniu osiedli, pochodzą również z Korony. Bliżej skoligaceni z innemi odnogami tejże rodziny a przez małżeństwa z rodzinami Ilińskich, Trypolskich, Konopackich, Bukarów i t. d., posiadali w swym rodzie i w ręku skoligaconych znaczne bardzo majątki ziemskie.

W dzieciństwie mojem rodzice przeznaczali prawie corocznie parę tygodni na odwiedziny licznych domów rodzinnych, z których dziś zaledwie odszukać się da kilka osób i kilka resztek fortun w tym szeregu ludnym i możnym, do tak niedawna jeszcze!...

Wracam obecnie do wspomnień z mego dzieciństwa. Zaledwie dwa lata spędziłem w Bisówce, kiedyśmy ją opuścili, aby się przenieść do świeżo nabytej wioski w powiecie żytomierskim noszącej nazwę Wyszczykus. Historja zaś tego nabycia jest następująca. Pradziad mój macierzysty, a więc dziad mojej matki, Antoni Budzyński, nabył wsie Michałówkę i Wyszczykusy 18 marca 1779 r. od Skrzetuskiego, które to dobra odziedziczył po ojcu i zmarłym w młodości bracie Mikołaju dziad mój, Ignacy Budzyński. Gdy wszakże dwaj starsi synowie dziada, Michał i Wincenty, odbywszy kampanję 1831 r. pod Karolem Różyckim, zniewoleni byli kraj opuścić i emigrować zagranicę,

dziad uznał na konieczne zbyć całe swe mienie, by w tajemnicy przesłać schedy synom wychodźcom. 13-go więc marca 1839 roku sprzedał wieś Wyszczykusy pani Marjannie z Krasowskich Michałowskiej, Michałówkę zaś panu Grzegorzowi Micińskiemu.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, pani Michałowska, wyszedłszy powtórnie zamąż za pana Krajewskiego a pragnąc zapisać mężowi kapitał, powzięła myśl nagłą sprzedaży świeżo nabytego majątku, który rodzice moi kupili 6-go marca 1840 r., to jest w rok po sprzedaży.

Odkupienie tak prędkie a niespodziewane ojcowizny uradowało biednego dziadka i zawsze, o ile pamiętam, był on za to wdzięcznym mojemu ojcu. Dom nasz mieszkalny w Wyszczykusach, którego wizerunek tu załączam, jest wielkim murowanym dworem staroświeckim, przez pradziada mego Antoniego Budzyńskiego budowanym, i składał się w owym czasie: z zaopatrzonej w okute drzwi sieni, z przedpokoju z wielkim zielonym kaflowym piecem zakończonym urną, sali z przyległą kaplicą, bawialni i jadalni ozdobionych freskami, dwóch pokoi z oddzielnem wejściem z sali, które zwykle zajmował dziadunio, dwóch sypialni, olbrzymiej garderoby, spiżarni, składu i kredensu z malutką sypialnią dla kredencarza. Nadto pod dachem były nieopalane sale, przeznaczone dla gości w czasie zabaw, o ile te w lecie się odbywały. Niedaleko domu stoi po dziś dzień wielka, w czworobok murowana oficyna, gdzie się mieściły kuchnia, piekarnia, pralnia i mieszkania dla oficjalistów i służby. Obecnie w oficynie tej mieszka dzierżawca. W przeciwnej stronie dziedzińca były i są stajnie, wozownie, spichrze i magazyny. Ogród z dawnego typowego włoskiego o trzech kondygnacjach matka moja powoli przerabiała na angielski. Posiadał więc on pradziadowskie aleje lipowe, w trzy szeregi sadzone, obok nowożytnych klombów, krzewów i kwiatów przez nas uprawianych.

W tym domu, w tym ogrodzie, spędziłem moje dzieciństwo to jest lata od trzeciego do dziesiątego roku życia włącznie, tudzież wakacje w czasach uniwersyteckich i szkolnych. Pamięć o tych czasach stała mi się drogiem wspomnieniem na całe życie. A Bogu Wszechmocnemu dziękuję, iż ta wioska rodzinna,

mimo ciężkie kraju i rodziny naszej koleje, jest dotąd własnością młodszej o lat dziesięć, a najmłodszej z rodzeństwa siostry mojej, Adeli z Lasockich Jakóbowej Steckiej.

W ciągu pierwszych lat siedmiu mego dzieciństwa byłem chłopcem wątłym i skrofulicznym. Martwiło to bardzo moich rodziców, ale matka, nie tracąc nadziei, po uważnem odczytaniu dzieła Andrzeja Śniadeckiego: „O fizycznem wychowaniu dzieci“ i popularnego podręcznika Houffeland'a zabrała się energicznie do rozwijania sił moich i przywrócenia mi zdrowia. Hartowano mię, nosiłem zgrzebne koszulki, codziennie wprost z łóżka wstawiano do dużej miednicy i oblewano zimną wodą, w zimie zaś wycierano śniegiem, nakazując krzyczeć: „chociaż zimno, ale zdrowo“, co mnie w zupełności pocieszało. Latem trzymano mię po całych dniach w ogrodzie, pozwalając chodzić boso po rosie, deszczu i błocie. Karmiono najprostszemi potrawami, słowem — z dziedziny dobrobytu zapożyczono tylko mieszkanie w pokojach obszernych, widnych i suchych oraz potrawy mięsne, pozostawiając wszystkie inne warunki na stopie włościańskiej tak, że herbaty i kawy nie znałem wcale do lat dwunastu.

Już w końcu siódmego roku były widoczne dobre skutki usiłowań mojej matki. Cięższe przypadłości skrofuliczne poczęły ustępować, odżywianie organizmu znacznie się polepszyło, wygląd mój był mniej wątły, pozostawało wszakże jeszcze wiele do zrobienia na tem polu. Objawy nerwowe wciąż trwały. Miałem tak zwany „tic“, to jest ruchy bezcelowe niektórych mięśni, szczególniej gdy byłem zażenowany lub poruszony. Starano się budzić we mnie wolę, by się od tych mimowolnych ruchów wstrzymywać, nie wiedząc, iż to było niepodobieństwem.

Moja nauczycielka muzyki, panna Walerja Kirkor, narzucona mi już w siódmym roku, myśląc, że bezwiedne kurcze palców w czasie lekcyj są swawolą, paliła mię za to po łapach i upamiętniła tem dotkliwiej pierwsze moje kroki na polu nauki muzyki, do której nigdy nie miałem najmniejszych zdolności. Stosowane w dalszym ciągu wodolecznictwo i higjeniczny tryb życia znacznie zmniejszyły i to moje cierpienie.

Zawiele może słów poświęciłem opisom moich dolegliwości; uczyniłem to tylko w celu wykazania, czego może dokonać ro-



Fig. 3. Ignacy Budzyński (podług portretu olejnego).

zumne fizyczne wychowanie i jak wielkie zadanie matki nasze mają na tem polu do spełnienia.

Sięgając pamięcią w najodleglejsze czasy, widzę się początkowo w otoczeniu trzech tylko postaci: dziadka, ojca i matki, a wszystko troje działających na mnie dodatnio. Nie umiałem tego ocenić, ale dziś z prawdziwem uczuciem miłości i wdzięczności kreślę sylwetki tych drogich mi osób.

Dziad mój, a ojciec matki mojej, Ignacy Budzyński, miał naonczas lat z górą pięćdziesiąt. Siwy, zawsze wygolony starannie, z głęboką zadumą a pogodnem obliczem, zajęty wciąż umysłową pracą w swej bibljotece, obojętny na sprawy życia praktycznego, z którego się wycofał, dzieląc swe mienie pomiędzy dzieci, pozostał w mojej pamięci dziecinnej jako ideał cnoty, miłości kraju i rodziny, bezwzględnej prawości i szlachetności[1]).

Ojciec mój był znowuż wcieleniem pracowitości, skrzętności i praktyczności w życiu codziennem, a wszystkie te władze wytężał na to, aby rodzinie zapewnić byt, najzupełniej nie myśląc o sobie.

Najzacniejsza matka moja, acz nie zupełnie wolna od wpływów modnej naówczas francuszczyzny, zachowała wszakże obok tej naleciałości szczery i głęboki patrjotyzm i prawdziwe poczucie obowiązków. Myślą jej przewodnią w wychowaniu dzieci było zdołać uczynić ze mnie silnego i zdrowego, a szczerze kraj i rodzinę miłującego Polaka, siostry zaś moje na zacne wykierować kobiety i Polki.

To były zrazu jedyne wpływy, które mię w zaraniu życia otaczały, styczność bowiem z dalszem otoczeniem nie sięgała dziecinnego pokoju.

W rok po mojem przyjściu na świat zwiększyła się rodzina nasza chwilowo przybyciem córki Bronisławy, która wkrótce zmarła. O tej mojej siostrzyczce pomnę to tylko, że upowijano ją ponsową taśmą. Gdy więc na wigilję podano szczupaka w majonezie na wielkim blacie, ugarnirowanego ponsową galaretą, wydało mi się, że to Bronisia, i głośno zacząłem protestować

---

[1]) Bobrowski Tadeusz w pamiętnikach swoich zupełnie mylnie twierdzi, jakoby dziad mój Ignacy Budzyński napijał się. Zaprzeczam temu stanowczo; nie prawie nie pijał w życiu codziennem; będąc wszakże gościnnym, nie uchylał się od wypicia z gośćmi swoimi ponczyku. Mając zaś głowę słabą, zdarzało się, że po pierwszej lampce usypiał.

przeciwko zjedzeniu mojej siostrzyczki. W parę lat po niej, również na krótko, przybył mi brat Mieczysław, który zmarł w drugim roku życia, gdy ja zaledwie rok piąty liczyłem. Pamiętam go dobrze, gdy ubrany w białą sukmankę, niebieskiem szamerowaną, spoczywał martwy w łóżeczku z obrazkiem w ręku.

Brakowało mi wciąż towarzystwa; wkońcu stale zdobywać je zacząłem, przed śmiercią bowiem Mieczysia przybyła mi siostra, której na cześć średniego z braci matki mojej Wincentego dano imię Wincenta. Niezbyt też długo czekałem na drugą, którą na pamiątkę starszego brata matki, Michała Budzyńskiego, nazwano Michaliną. Ta trójka nasza stanowiła lekkie stopniowanie tak, iż gdym liczył już lat osiem, siostra moja starsza miała lat pięć, młodsza zaś trzy. Wśród rodzeństwa cieszyłem się stanowiskiem najstarszego brata; i to prawo pierworodztwa obok miana jedynaka było tytułem do wyjątkowych łask rodziców, których wszakże, śmiało powiedzieć to mogę z ręką na sercu, nigdy w całem życiu mojem na korzyść własną nie wykorzystywałem. Do sióstr moich, które przyniosły sobie lepsze od mego zdrowie, matka moja również stosowała metodę swego wychowania fizycznego z pewnemi tylko ustępstwami na rzecz ich płci pięknej.

Nie zapominając obok zdrowia o formach towarzyskich, zwracano od najmniejszych lat baczną uwagę na nas w tym kierunku. Uczono więc trzymać łyżkę, nóż, widelec, uczono chodzić, kłaniać się, siadać, nim do lekcyj tańca zapakowano. By zaś nogi przywykły do ruchów właściwych, by stóp nie stawiać w kierunku dośrodkowym, kazano nam zwykle zajadać śniadanie i podwieczorek stojąc w tak zwanych „formach". Każdą z trzech takich form składała deska z listwami do niej przytwierdzonemi, by nogi ustawiać można było pomiędzy dwie listwy. Na numerze pierwszym listwy były przybite w taki sposób, by nogi zająć musiały pozycję lekko nazewnątrz zwróconą. W numerze drugim stały one na jednej linji, wreszcie w numerze trzecim obie stopy zmuszone były do wychylenia się w tył. Właściwie numer trzeci był odwróconym numerem pierwszym. Numer więc pierwszy był dla najmłodszych, numer drugi przejściowym do trzeciego, który zkolei przeznaczony był dla najstarszych. Tę metodę zaprowadził w domu ciotki

matki mojej metr tańców, Francuz Dassonville, który mawiał o Polakach: „Tête de chou, pied de plomb“. Na nas wszakże ten wpływ francuski się skończył, siostry już moje zaniechały go względem dzieci swoich w zupełności.

Jak tylko zapamiętam, codziennie z rana, po ucałowaniu rąk rodziców, z porannem dzień dobry wchodziliśmy do pokoju dziadka, by mu życzyć dnia dobrego; po obiedzie również oddawszy dank rodzicom szliśmy do bibljoteki dziadunia, by dziękować za obiad. Odwiedziny nasze kończyły się ucałowaniem ręki, a często otrzymaniem łakoci. Potem darzył nas dziadek elementarzami i książeczkami, a raz jako starszemu już wnukowi, bo, jak się zdaje, siedm lat wówczas liczącemu, ofiarował mi dziesięć tomów dzieł Ignacego Krasickiego z następującym nadpisem: „Wacławowi Lasockiemu, wnukowi, na pamiątkę i na dalszy zakład książek ofiaruje dziad, Ignacy Budzyński“. Mimo ciężkie życia koleje zachowałem ten drogi upominek, który w późniejszym znacznie już czasie stał się kamieniem węgielnym wielkiej bibljoteki, składającej się wyłącznie z materjałów do dziejów Polski. W bibljotece tej zachowałem w pięknej oprawie dar dziadka z moim nadpisem, objaśniającym jego znaczenie i pochodzenie.

Od trzeciego już roku życia uczono mię obyczajem dawnym bajeczek na pamięć, które następnie przed gośćmi recytować kazano; w czwartym i piątym sylabizowałem i czytać poczynałem, w następnym szóstym i siódmym uczyłem się pisać, rachować, historji polskiej z „Pielgrzyma“ Czartoryskiej i ze „Śpiewów historycznych“ Niemcewicza, z których niemało umiałem na pamięć.

Jeden zaś z pierwszych wierszyków, którego mnie nauczono i często powtarzać kazano, brzmiał jak następuje:

Gdy Sparta z Persy się biła,
Matka na wojnę trzech synów stawiła.
Powraca żołnierz. — „Jakie przynosisz nowiny?“
„Zginęły w boju twe syny...“
„Podłyś! — nie o tom pytała,
Ale czy Sparta wygrała?...“
. . . . . .

Te śpiewy, wierszyki, tudzież nauka popularna dziejów ojczystych zaczęły umysł mój rozwijać w kierunku nie tylko narodowym, ale i krańcowo patrjotycznym, budząc miłość swojskiej przeszłości i głęboki żal do wrogów zewnętrznych i wewnętrznych, którzy ohydną teraźniejszość ojczyźnie naszej zgotowali. Do rozwoju tego kierunku w wyższym jeszcze daleko stopniu przyczyniały się szczególne okoliczności rodzinne. Dwaj starsi bracia matki mojej, jak to już miałem sposobność nadmienić, byli na emigracji; rzadko więc bardzo, i w wielkiej tajemnicy, przesyłali nam wieści o sobie z Zachodu.

Listy takie były to relikwje, które wszakże obawiając się rewizji palić musiano, a cały szereg szeptów, odczytywań, powtarzań każdego wyrazu, wreszcie całopalenie przy drzwiach zamkniętych, wszystko to razem wzięte pozostawiało silne wrażenie w naszych umysłach młodocianych, rozpalając wyobraźnię, podnosząc serca do gorącego miłowania umęczonego kraju, a przejmując zgrozą i wstrętem do całego urzędowego otoczenia.

To też w rodzinach, gdzie się znajdują tradycje cierpień i poświęceń dla sprawy narodowej, miłość ojczyzny i niechęć do wrogów rosną ciągle jak lawiny spadające ze szczytów i zmieniają się nieraz w jednostronną bezkrytyczną gotowość męczeństwa dla sprawy, czego w dziejach polskich rodzin liczne mieliśmy dowody. Wpływ ten niejednokrotnie odczuwałem na sobie. Treścią mego życia od dziecka stała się miłość nieszczęśliwej ojczyzny, gorąca chęć służenia jej i cierpienia za nią i dla niej.

. . . . . .

Charakter naszego codziennego życia w otoczeniu ściśle rodzinnem zmieniał swój bieg zwyczajny na święta Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy, w czasie których rodzice moi stale, w ciągu lat mego dzieciństwa, odwiedzali najbliższych, a starszych od siebie krewnych. A że następnie ja i moje siostry towarzyszyliśmy rodzicom w tych wycieczkach, uważać przeto muszę wrażenia, jakich doznawałem, za pierwsze wpływy zewnętrznego świata, które postaram się tu naszkicować.

Rodzina ojca mego składała się, jak wyżej powiedziałem, z domu ciotki Józefy z Omiecińskich Alojzowej Felińskiej i z rodziny przyrodniego brata matki, Omiecińskiego. Wołosów, wio-

ska dość duża, stanowiąca t. zw. kollokację, była siedzibą wdowy Felińskiej. Nazwa ta, często w listach autora „Barbary" powtarzana, znana jest z brzmienia w szerokich kołach. W skromnym starym domku wołosowskim bywałem nieraz, ale babunię Józefę dwa razy tylko widziałem, gdyż zmarła w pierwszych latach mego dzieciństwa. Dziś jeszcze widzę w mej wyobraźni postać tej matrony, poważnej, zamyślonej, pracowitej, z nieodstępną pończoszką w ręku, kierującą interesami, domem, gospodarstwem i wychowaniem wnuków.

Nieszczęśliwa ta, ale nie złamana trudami niewiasta, po stracie ukochanego męża, dorastającego syna Tomasza, który kąpiąc się w rzece utonął, i jedynaczki córki, nie traci energji, ale ją podwaja, by spełnić obowiązek babki, zastępując wnukom swoim nieżyjącą matkę i żyjącego, ale niepraktycznego ojca, a zięcia swojego. Zięciem tym był p. Edmund Michałowski, ładnie wychowany, lubiący grać na skrzypcach i czytać francuskie romanse, ale do pracy praktycznej wcale nie uzdolniony. Zastępowany też był w pełnieniu swoich obowiązków przez teściową z wyszukaną delikatnością; i łatwo się z rolą rezydenta pogodził.

Jedyna córka pp. Felińskich a żona p. Michałowskiego, Helena, nim życie zakończyła, pozostawiła trzech synów i sześć córek. Biedna ta kobieta w odmiennym tylko stanie czuła się dobrze, w przerwach cierpiała obłęd, zmarła zaś na suchoty.

Wszystkie wnuki p. Felińskiej były starsze odemnie. O synach już wzmiankowałem. Z córek: dwóch starszych, Adeli i Pelagji nie znałem, bo zmarły przed mojem urodzeniem; zaś cztery młodsze, Aniela, Zofja, Justyna i Helena bawiły pokolei w domu rodziców moich, gdy je babka odumarła.

Szczupłość domku wołosowskiego, nie odpowiadająca gościnności babuni Józefy, nie dozwalała nam na częste odwiedziny tego bardzo sympatycznego domu.

Z rodziny Omiecińskich Jana emigranta nie znałem wcale, jako też Katarzyny, zamężnej za Narcyzem Konopackim. Pamiętam tylko dobrze ciotkę Aleksandrę, mocno niemłodą już pannę, i rzadkie a krótkie nasze odwiedziny z rodzicami jej domu w Korowińczykach czyli Małych Korowińcach, jak je urzędownie nazywają.

Wracam znowu do rodziny matki mojej, a więc do jej braci, do rodzin: Ilińskich, Trypolskich, Budzyńskich dalszej linji i Konopackich. Oprócz dwóch braci emigrantów, zamieszkałych w Paryżu, miała matka trzeciego, najmłodszego brata, Seweryna. Z tym stosunki w dzieciństwie mojem były nie częste. Musiał on bowiem po wczesnem bardzo ożenieniu się, bo w dziewiętnastym roku, z idealnie cnotliwą i piękną szesnastoletnią panną Klementyną Piotrowską, szukać pracy, gdyż dochód od kapitału, przez dziadka mu wydzielonego, nie starczył na zaspokojenie potrzeb życia. Zarządzał więc czas jakiś dobrami p. Nikodemy Pinińskiej, następnie zmieniał dzierżawy, a najczęściej był od nas dość daleko. Najbliższemi punktami od nas, w których wuj czasowo mieszkał, była Ożarówka, Lubar i Steckowce[1]).

O rodzinie Ilińskich wspominałem już, mówiąc o pierwszem ożenieniu się ojca mego; tu więc nadmienię, iż głowa jej, p. Aleksander Iliński, był rodzonym bratem babki mojej, Ignacowej Budzyńskiej, a więc wujem matki mojej. Pan Aleksander, dźwigając jednocześnie dwie godności: podkomorzego i mistrza loży masońskiej ostrogskiej, ugiął się pod temi ciężarami i przy wzroście pokaźnym wyglądał nieco zgarbionym i pochylonym. Włosy nosił niedbale; wąs nie duży i kilkanaście włosków pod dolną wargą stanowiły charakterystykę jego zarostu. Mówił prędko, nie zawsze wyraźnie, chociaż głośno; lubił dowcipy, figle, psoty, sam do nich należał czynnie i gorąco popierał. A jakkolwiek znano go jako trudnego w pożyciu sąsiada, lubiono powszechnie jego wesołość i krotochwile, mimo to, iż granice dobrego smaku nieraz bardzo wyraźnie przekraczały. Żona podkomorzego, z domu Szczawińska, była wzorową żoną, matką, krewną, sąsiadką, panią domu i opiekunką włościan. Synów miała ta para siedmiu i córek pięć. Starszych dwóch, Antoniego i Ksawerego nie znałem; wstąpili oni bowiem w 1831 r. do Legji Litewsko-Ruskiej, która się organizowała w Galicji, i po odbytej kampanji emigrowali. Antoni był czas jakiś z bra-

[1]) Wujostwo Sewerynowie mieli trzy córki, a wszystkie ode mnie młodsze. Najstarsza Karolina poślubiła po 1863 r. pułkownika w. r. barona Finkensztejna; średnia Kamilla w tymże prawie czasie sztabs-kapitana Wiktora Kaczyńskiego, który przed paru laty umarł w randze jenerała; najmłodsza Wiktorja była za Kazimierzem Kuczmińskim. Karolina ma dwu synów i dwie córki, Kamilla trzech synów i córkę. Kuczmińska bezdzietna. Obie starsze mieszkają w Żytomierzu, Wiktorja zaś w Cudnowie.

tem w Niemczech, skąd Ksawery udał się do Ameryki, gdzie został lekarzem, miał liczną rodzinę i żył do ostatnich czasów. Antoni zaś po rozstaniu się z bratem wstąpił do Legji cudzoziemskiej, bił się w Algierze, następnie wstąpił do służby hiszpańskiej, a gdy już było z nim bardzo krucho, został poleconym ks. Adamowi Czartoryskiemu, który go wysłał z agencją do Dobrudży. Tam lat kilka spełniał czynności mu polecone, a gdy go z honorami wojskowemi władze tureckie na żądanie Rosji aresztowały, indagowany tyle na intrygi rosyjskie wygadywał, iż obecny przy tem poseł tego państwa prosił o zaprzestanie badań.

Ilińskiego odwieźli do szpitala, gdzie wcale nie było chorych, i z przepychem gościli spełniając polecenie sułtana, co go zapewne tak rozrzewniło, iż pewnego pięknego poranku udał się do Porty i oświadczył, że przyjmuje religję mahometańską, co spełniając przybrał imiona: Mahomet Iskander Ilahi. Jako szlachcic zaś zyskał tytuł beja i godność kalasa, to jest oficera artylerji. Następnie brał udział czynny w wojnach węgierskiej i krymskiej, dokazując cudów waleczności. Umarł w Konstantynopolu jako basza, pozostawiając rodzinie w spadku wsławioną w bojach szablę.

Z pozostałych pięciu synów p. Ilińskiego, Seweryn i Henryk pożenili się: pierwszy z panną Paczowską, drugi z panną Kadłubiską, mieli dzieci i pozostawili umierając w jak najgorszym stanie interesa majątkowe tudzież brak wszelkich po sobie wspomnień ogólniejszej natury. Trzeci, Cezary, służył we wojsku na Kaukazie, a dalsze losy jego nie są mi wcale znane. Najmłodsi dwaj, Ignacy i Aleksander, wzięli udział w wypadkach 1863 r., a więc w 33 lata po wstąpieniu do Legji Litewsko-Ruskiej dwóch najstarszych braci, Antoniego i Ksawerego. Byli wysłani na Sybir, gdzie Aleksander umarł, Ignacy zaś po powrocie z wygnania zamieszkał w Żytomierzu u jednej z sióstr, pani Eleonory Ciechockiej, następnie u Pauliny Jeżowskiej i tamże życie zakończył.

Z pięciu córek najstarsza, jak już wspomniałem, była pierwszą żoną ojca mojego, druga zaś zkolei co do wieku, Klementyna, dziś nieżyjąca, wyszła wbrew woli rodziców zamąż, wykradziona przez pana Mianowskiego z Galicji. W tej nocnej

wycieczce towarzyszył wykradającemu jego przyjaciel, p. Ignacy Ciechocki, również Galicjanin, ale posiadający dobra w powiecie żytomierskim (Sosnówkę), zaś pannie Klementynie najmłodsza jej siostrzyczka, Eleonora. Gdy pierwsza para do powozu wsiadła, zmieszana trudnością położenia pozostająca młodsza siostra zawołała: „Ale jakże ja teraz oczy rodzicom pokażę?“ Na to Ciechocki: „A więc i my zabierajmy się, będą odrazu dwa śluby!“ Jak się rzekło, tak się stało. Wspomniana tu pani Ciechocka jest jedyną żyjącą, gdy to piszę w 1900 r., osobą z licznego rodzeństwa Ilińskich. Panna Dorota, trzecia z rzędu, bardzo wykształcona, ale nieładna, będąc już niemłodą wyszła za pana Kaweckiego, nauczyciela najmłodszych dwóch braci, również bez wiedzy rodziców. O losach ich i dzieci ich nic a nic nie wiem, straciłem bowiem tę rodzinę z oczu od dość dawna.

Paulina, czwarta, najmniej może ładna, ale bardzo zacna i dobroczynna, miała stałego wielbiciela w panu Wierzajskim z Galicji, który umarł przed dojściem do skutku małżeństwa i zapisał narzeczonej cały swój znaczny majątek w kapitałach. Już będąc niemłodą, wyszła za Aleksandra Jeżowskiego, który w r. 1863 został wysłany na Syberję do ciężkich robót. Oboje pomarli bezdzietnie.

Gdy przypomnę sobie sceny z tytułu wykradzeń, które tak często powtarzały się w mojem dzieciństwie, a po których niepobłogosławione pary goniły za rodzicami i używały wszelkich wpływów, aby się z nimi spotkać i uzyskać to błogosławieństwo, gdy pomyślę, ile to kosztów i starań łożono na samo przygotowanie do wykradzenia, przychodzę do przekonania, iż był to rodzaj modnego naówczas sportu. Ojciec moj, będąc w dobrym humorze, opowiadał masę anegdot. Słyszałem więc z tego źródła między innemi o wypadku wykradzenia z temperaturą już znacznie obniżoną w sferach miłości, gdzie ojciec panny musiał dopomagać zakochanym. Gdy bowiem Romeo stawił się w porze umówionej pod oknem ubóstwianej i uporczywie sygnalizował, Julja, w śnie głębokim pogrążona, głuchą była na wszelkie wołania. Biedny więc ojciec musiał wziąć na siebie otwarcie okna z wielką ostrożnością, by nie wystraszyć bohatera, co mu się najzupełniej udało. Przyszły, nieproszony zięć wchodzi tedy przez okno łaskawie mu otworzone, budzi

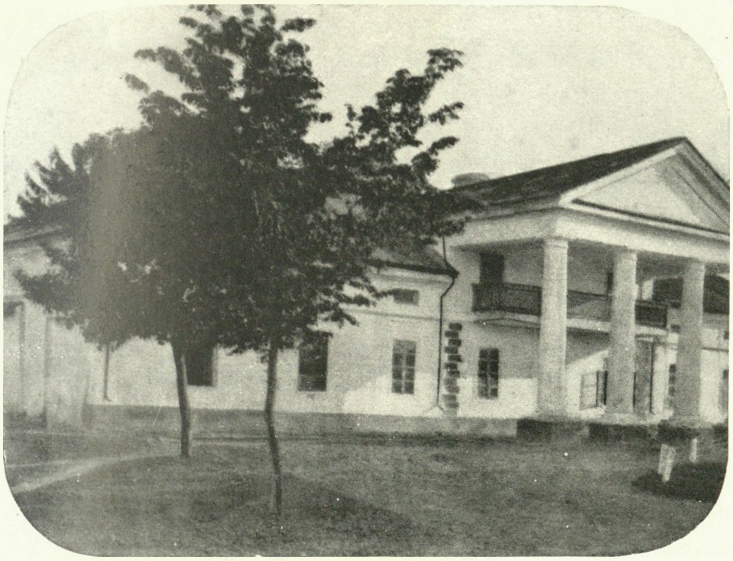


Fig. 4. Dom w Wyszczykusach, rodzinnej wsi autora.



Fig. 5. Dawny ratusz w miasteczku w Lubarze.

śpiącą bohdankę, która na szczęście była w ubiorze podróżnym, wychodzą razem tąż samą drogą i mają wsiadać do powozu, gdy dobry i troskliwy o zdrowie młodej pary ojciec zaprasza ją najspokojniej na kawę, udziela błogosławieństwa i sam odprowadza do kościoła, ułatwiając wszelkie trudności z największą uprzejmością.

Obecnie i ta metoda wyszła już zupełnie z użycia, a przeciwnie, nieraz ojcowie i matki pracować muszą w pocie czoła nad wyszukiwaniem zięciów. *„Tempora mutantur et nos mutamur in illis“* — da się tu stosowniej niż gdzie indziej powiedzieć.

Dom Ilińskich w Załużu był drewniany, ale bardzo obszerny; pamiętam najlepiej trzy olbrzymie sale, ciągnące się jednym rzędem od ogrodu. Były to: jadalnia i dwie bawialnie, które w razie potrzeby zamieniały się również na jadalnie.

Tak gwarnego, hucznego i nawskroś śmiechem przesiąkniętego domu nigdzie i nigdy potem nie spotykałem. Jakkolwiek pani domu była matroną pełną cnót i powagi, wszakże niepohamowana w panu żądza płatania figlów, nieraz przekraczająca granicę wszelkich form przyjętych, nadawała całemu domowi charakter wyjątkowo wesoły i oryginalny. Umiano tam wśród najspokojniejszej rozmowy oblać kogoś znienacka szklanką zimnej wody; oblany starał się naturalnie krzywdę swą powetować; gospodarz zkolei chwytał karafkę i oblewał kilku sąsiadów; ci odpowiadali gospodarzowi i wkrótce całe towarzystwo zamieniało się w straż ogniową; służba zaś, znając gust pana, znosiła wodę w konwiach, wiadrach, cebrach itd., z których korzystali walczący dopóty, dopóki nie zostali przemoczeni aż do nitki, poczem następowało przebieranie się, suszenie przy zapalonych piecach i kominkach, picie gorącej herbaty, kawy, ponczu.

Jednej takiej wodnej batalji byłem świadkiem w dzieciństwie i sam, zmoczony i wystraszony, suszyłem się po przebraniu u kominka.

Nieraz kazał p. podkomorzy którejś z córek lub komuś ze służby ustawiać półmiski z wodą na materacach pod mocno wyciągniętem prześcieradłem, co stanowiło arcyniemiłę pułapkę dla gości, którzy kładąc się do łóżek ani przypuszczali, co ich spotka, a gdy figiel się udał, niejeden opuszczał gościnę bez

pożegnania. Wszystko tu było, jak już raz powiedziałem, hałaśliwe i gwałtowne.

Drugi dom Ilińskich, dalszy dla nas ze krwi, był w bliskiem naszem sąsiedztwie, bo w Wojtowcach. Głowa domu, p. Franciszek, ożeniony z włościanką, we wszystkiem starał się naśladować p. Aleksandra jako możniejszego i mędrszego w rodzinie. Wojtowce dzierżawił od imiennika i dalekiego krewnego, pana senatora Ilińskiego z Romanowa. Państwo Franciszkowie pozostawili jedynego syna, ożenionego z Jastrzębską, córką Kaspra, i dwie córki: jedną za Kalczyckim Teklę i Annę za Wieczwińskim.

Kalczyccy mieli syna i córkę, Wieczwińscy liczne potomstwo, z którego jeden syn był w powstaniu 1863 r., a następnie na wygnaniu. O dalszych losach obu tych rodzin nic nie wiem. Została mi tylko w pamięci z czasów dzieciństwa anegdota o Franiu Kalczyckim, który, gdy przed polowaniem w domu jego rodziców wniesiono pieczeń baranią na śniadanie dla gości, zwrócił się do ojca mego z rozpromienioną twarzą i wyszeplenił: „Panie Lasocki, u nas baran zdechł, taj zarznęli". Nie potrzebuję dodawać, że po tych słowach mądrego młodzieńca pieczeń zeszła ze stołu nietknięta.

Niemniej często odwiedzali rodzice moi dom ciotecznych moich dziadowstwa, p. Michałów Trypolskich. Ognisko to rodzinne należało do typu, zupełnie dziś wygasłego niemal, patrjarchalnych szlacheckich domów polskich. Mieszkali oni w wiosce posagowej babki mojej, Tiutiunikach, powiecie żytomierskim, a odległej od wsi moich rodziców Wyszczykus o wiorst trzydzieści. Pan Michał, głowa domu, był mężczyzną olbrzymiego wzrostu i tuszy. Łagodny, uprzejmy, gościnny i pełen gotowości do posług obywatelskich radą i piórem. Żona, malutka, ułomna nieco, słodka i miła dla gości, ale stanowcza i nieskończenie gorliwa w czuwaniu nad zdrowiem rodziny i wychowaniem młodego pokolenia. Pan Michał, mimo atletyczną budowę, pozwalał się najukochańszej małżonce za nos prowadzić, twierdząc, że tego wcale nie czuje. Jadł więc tylko to, co mu jeść kazano, pił bez pozwolenia tylko wodę. Przechadzając się po obiedzie, musiał zrobić tyle kroków, ile mu przeznaczono, ubierał się, jak mu doradzano i t. p., a wszystko to spełniał z ta-

kiem przywiązaniem, z taką rozkoszą i taką oceną otaczającej go opieki, pełnej miłości, iż w mojej dziecinnej wyobraźni przedstawiał się zawsze jako najdodatniejszy typ męża, wolnego od fałszywej ambicji opierania się w drobiazgach ukochanej towarzyszce, a zachowującego całą samodzielność w sprawach publicznych, prawnych, gospodarskich i finansowych.

Stopa, na której się dom dziadków prowadził, była skromna ale przyzwoita. Powozy, konie, uprząż, wzorowo utrzymane; służba w granatowej sukiennej liberji z metalowemi guzikami zimą, a w białej z niebieskiem płócienkowej latem, zawsze musiała być czysta i nosić białe bawełniane rękawiczki.

Jadło skromne, ale smaczne, trunki na codzień domowe: starka, miód, wiszniak i wyśmienite piwo miropolskie. W dnie zaś świąteczne i w uroczystości domowe bywały przyjęcia sute z dodatkiem starego węgrzyna, we własnych piwnicach chowanego; a więc było to: *„Bonum vinum Hungariae natum, Poloniae educatum"*. W domu tym, obok wielkiej gościnności, nigdy ani pijatyki ani karciarstwa nie tolerowano.

Ci moi dziadkowie mieli trzech synów: Antoniego, Piotra i Juljusza tudzież trzy córki: Józefinę, Fortunatę i Ludwikę. Pamiętam doskonale w dzieciństwie mojem tych trzech moich wujów i trzy ciotki, z których tylko jedna Ludwika, niezbyt młoda panna, mieszkała przy rodzicach. Najstarszy syn, Antoni, po odbyciu kampanji 1831 r. wraz z braćmi matki mojej pod Karolem Różyckim, a wkońcu w wojsku regularnem, emigrował do Galicji, skąd wkrótce powrócił, zdając się na łaskę i niełaskę władzy, i po pewnych formalnościach uzyskał wolność. Ożenił się z bardzo bogatą panną, Anną Krajewską, za której posag nabył wieś Kniażyn w powiecie żytomierskim. Para ta miała pięcioro dzieci: Stanisławę, później za Jarockiego wydaną, i Walerję, która zmarła panną, syna Zygmunta, który jako wojskowy udał się w głąb Rosji i ślad po nim zaginął; a potem, po upływie lat dziesiątka, przybył im drugi syn, Karol, i córka Wiktorja za Ostromęckim, oboje po dziś dzień żyjący. Antoniego Trypolskiego już jako wdowca i doszczętnie zrujnowanego zaskoczyły wypadki 1863 r. Miał on wziąć udział w powstaniu berdyczowskiem, jako jeden z przywódców, gdy go we wsi Bułhajach wraz z wielu innymi aresztowano i wy-

słano do Galicza, powiatowego miasta gub. kostromskiej, gdzie go wracając ze Syberji spotkaliśmy. Po powrocie z wygnania zamieszkał u córki Jarockiej w Żytomierzu i tu wkrótce życie zakończył. Nie znając dokładnie losów wnuków tego wuja mego, to jest dzieci Jarockich, Karolostwa Trypolskich i Ostromęckich, muszę o nich zamilczeć. O braciach Antoniego, Piotrze i Juljuszu, jako o najmłodszych z rodzeństwa, wspomnę niżej.

Z sióstr, najstarsza Józefa wydała się za bardzo bogatego, ale mało wykształconego szlachcica, Piotra Wyrzykowskiego, synowca głośnego na całą Ruś żarłoka. Państwo Piotrowstwo mieszkali w dobrach swoich na Podolu. Suprunów był rezydencją, posiadał piękny pałac, park nad rzeką, której brzegi zdobiły groty i skały; nadto, władali przyległemi wsiami, Humenną i Majdanem. Charakter pyszno-skąpstwa nadawała temu domowi sama pani, marząc o powiększeniu mienia i świetnym losie jedynaka syna, Władysława, o kilka lat ode mnie starszego, którego wychowywał na paryżanina sprowadzony Francuz pan Corné. Na dokończenie tej edukacji matka powiozła swój skarb do Paryża, gdzie również główny kierunek wychowania pozostał przy dawnym nauczycielu. Pan Władysław wykierował się na zarozumialca i utracjusza przy bardzo wytwornych pozorach. Tymczasem z powodu kilkoletniej nieobecności w kraju pani Józefy pan Piotr, pozostawiony sobie, począł dogadzać swoim fantazjom i fatalnie zadłużył majątek. W roku zaś 1863 wywieziony za gadulstwo do orenburskiej gubernji zmarł tam niebawem, dobra zaś skonfiskowano. Po długich bardzo staraniach zwrócono je żonie w bardziej opłakanym stanie. Pan Władysław zaś wbrew woli rodziców (bo jeszcze przed śmiercią ojca) ożenił się z wdową po rodzonym wuju, Piotrze Trypolskim, zabitym w pojedynku, stracił cały majątek żony, zadłużył do reszty odebrany przez matkę rodowy i skończył życie w domu obłąkanych we Wiedniu. Matka, stara pani Wyrzykowska, odwiedzając syna w zakładzie, zmarła pewnego dnia nagle na ulicy w stolicy austrjackiej, a nie mając tam wcale znajomych, nie rozpoznana przez nikogo, pochowana została we wspólnym dole. Tak kończą się nieraz śmieszne pretensje do wielkości na tym tu naszym świecie.

Druga córka Trypolskich, Fortunata, wyszła za Hieronima Błażowskiego, właściciela wsi Paniowce i Kudryńce na Podolu galicyjskiem. O małżeństwie tem, zawartem przy współudziale arendarza Błażowskiego, wysłanego pierwotnie na zwiady, wspominają zgodnie w swych pamiętnikach Michał Budzyński i Tadeusz Bobrowski. Stadło to miało dwie córki: Jadwigę i Adelę, które pannami dorosłemi pomarły, a za któremi poszli niedługo i rodzice.

Trzecia zkolei córka, Ludwika, którą pamiętam niemłodą panną, poślubiła wdowca, p. Andrzeja Niewmierzyckiego. Ojciec mój był w tem małżeństwie swatem. P. Andrzejowstwo mieli trzy córki: najstarszą Marję za Tadeuszem Steckim, średnią Laurę za Sławuszewskim i najmłodszą Alinę za Rościszewskim. Pan Niewmierzycki, żeniąc się z Trypolską, miał z pierwszego małżeństwa córkę Stanisławę urodzoną z Dobrowolańskiej. Skończyła ona lat szesnaście i pensję, a na jej przyjęcie uznał za konieczne wstąpić w powtórne związki.

Tę pasierbicę poznał w domu siostry często odwiedzający ją brat, Piotr Trypolski, który dzierżawił od ojca mego wieś Wyszczykusy w latach 1847 do 1851. A że państwo Niewmierzyccy mieszkali w majątku Stołpowie, odległym tylko o wiorst piętnaście od dzierżawionej wioski moich rodziców, odwiedziny częste zamieniły się w staranie i wkrótce zakończyły się ślubem. Wuj Piotr zabrał młodą żonę do Wyszczykus, gdzie się pierwszej córki Karoliny doczekali. W roku zaś 1851 przeniósł się do wsi Raczek, w posagu żonie przez ojca jej danej, i objął przytem przypadającą tejże po matce wieś Kukulnę. W Raczkach przyszła na świat druga córka Stefanja. W roku 1854 czy 55 Piotr Trypolski, wyzwany przez p. Władysława Słowackiego, brata stryjecznego Juljusza, zginął w pojedynku [1]). Po śmierci

[1]) O pojedynku tym w swoim czasie bardzo dużo mówiono. Powód pierwotny był bardzo błahy. Ekonom p. Niewmierzyckiego kazał namoczyć konopie w stawie granicznym a spornym między wsią Drennikami, własnością p. Słowackiego, i Stołpowem, własnością p. Niewmierzyckiego. Słowacki złajał i zbił ekonoma i napisał list mocno niegrzeczny do sąsiada, robiąc aluzję do semickiego pochodzenia Niewmierzyckich. Pani Piotrowa, bawiąca naówczas u chorego ojca, zastąpiła go w odczytaniu i odpowiedzi na list. Odpowiedź to była dość ostra. Pan Słowacki próbował wyzwać brata p. Andrzeja, marszałka Lucjana Niewmierzyckiego, a gdy mu się to nie udało, skierował sekundantów do Piotra jako do zięcia. Trypolski przyjął wyzwanie; na placu strzelił nie mierząc, a skrzyżowawszy ręce na piersiach obrócił się twarzą do przeciwnika i padł rażony kulą

jego przyszła na świat pogrobowa córka Iza, która obecnie jest żoną właściciela dóbr Karpowce w powiecie żytomierskim, pana Stefana Siennickiego, i matką dwóch dorastających synów. Karolina i Stefanja nie zamężne są wysoko wykształconemi i bardzo cenionemi nauczycielkami, używając powszechnie zasłużonego szacunku. Pani Piotrowa Trypolska wyszła zamąż po tragicznym zgonie małżonka za rodzonego siostrzeńca nieboszczyka, pana Władysława Wyrzykowskiego. Starzy Wyrzykowscy długi czas nie szczędzili znacznych kosztów na unieważnienie tego małżeństwa, odwołując się nawet do Rzymu, ale bezskutecznie. Pp. Władysławowie mieli jednego syna Władysława, który po ukończeniu szkoły handlowej w Antwerpji ożenił się z Francuzką i pracuje obecnie w prywatnem biurze w Odessie.

Najmłodszy brat Antoniego i Piotra, Juljusz, małych zdolności i dość słabego charakteru, ożenił się z bardzo miłą i dobrą osobą, Boną Rościszewską, nabywając za jej sumę posagową część wsi Steckowiec, w powiecie żytomierskim, a naszem sąsiedztwie, gdzie też zamieszkali. Mieli dwie córki. W kilka lat po ożenieniu Juljusz życie zakończył, a pani Bona wstąpiła w powtórne związki ze znanym poetą, Leonardem Sowińskim [1]). Z dwóch córek, jedna w dzieciństwie zmarła, druga wyszła za smutnej pamięci pana Strusa, który, z bezczelnością mu właściwą, przezywał się Strusiem i tytułował się hrabią. Żonę wkrótce opuścił i zasłynął na Rusi jako niegodziwiec bez czci i wiary.

---

na miejscu. Sekundantem Słowackiego był Stefan Kraszewski, świadkiem Włodzimierz Budzyński. Trypolskiemu sekundował Feliks Staniszewski, świadkiem zaś był Seweryn Budzyński. Słowackiego parę razy w życiu widziałem, był wzrostu małego, chudy, chorowity; z rysów przypominał nieco Juljusza. Wyróżniały go olbrzymie, czarne, przenikające, z szatańskim połyskiem oczy. Potępiony przez opinję musiał salwować się przed prawem ucieczką zagranicę. Po kilkunastu latach przybył do Radziwiłłowa, gdzie wystrzałem z rewolweru chciał sobie życie odebrać, a ciężko raniony konał więcej niż dobę.

[1]) Małżeństwo z Sowińskim odbyło się pod naciskiem brata pani Bony, Bolesława Rościszewskiego, który postawił Sowińskiemu ultimatum, strzelania się lub uświęcenia sakramentem swoich afektów. Sowiński stanął u ołtarza, ale po ślubie wrócił nie do żony, lecz do siebie, i odtąd się nie widywali. Po trzydziestu kilku latach, gdy złamany nałogiem Sowiński stał się niemożliwym w Warszawie, w której od powrotu z wygnania około dwudziestu lat mieszkał, pan oberpolicmajster zapytał go, czy ma kogoś z rodziny? A gdy się przyznał do posiadania żony, przesłano jej zapytanie urzędowe, czy zgadza się przyjąć do domu znałogowanego męża? Ewangeliczna ta niewiasta nie tylko zgodziła się na spełnienie tego nad siły obowiązku, ale wysłała pieniądze na podróż i ciepłą odzież i do zgonu męża umiała cierpliwie znosić jego pełne lekceważenia zachowanie się.

Staruszkowie Michałowie Trypolscy, po wydaniu ostatniej córki za Niewmierzyckiego, sprzedali należącą do nich część Tiutiunik panu Janowi Głębockiemu, ożenionemu ze Sławuszewską, i narazie osiedli w małem miasteczku Cudnowie, by się zbytecznie od dzieci nie oddalać. Wkrótce wszakże przenieśli się do Suprunowa na prośby Wyrzykowskiej, gdzie pierwsza zmarła pani Zuzanna, a w kilka dni po niej pan Michał w r. 1861.

. . . . . .

Przechodzę do dwóch domów rodzonych braci: Kazimierza i Marcelana (synów Wojciecha) Budzyńskich, a stryjeczno rodzonych dziadka mego Ignacego, których nie znałem, gdyż pomarli, nim na świat przyszedłem, ale postacie ich żon wraziły się w pamięć moją dokładnie, jako też wujowie i ciotki z tej odnogi rodziny mojej matki.

Wdowa po dziadku Kazimierzu, z domu Madejska, rodzona siostra kijowskiego marszałka gubernjalnego z lat 1854 do 1862, p. Leonarda, a przyrodnia siedmiu braci Czarkowskich, rozumna, wykształcona, wykwintnych form i nieskończenie sympatyczna, mieszkała we wsi Wygnance, w powiecie zwiahelskim na Wołyniu, o trzydzieści wiorst od nas, a władała nie tylko żyznemi i intratnemi dobrami Wygnanką i Ożarówką, ale nadto Markuszami w powiecie lityńskim na Podolu i Konetą z miasteczkiem Justyngrodem w powiecie lipowieckim na Ukrainie. Pałacyk w Wygnance, zbudowany w stylu włoskim, był piękny i wygodny, a oficyny stanowiły prawie drugi dom co do obszaru i zaludnienia. Tryb życia, jaki tu prowadzono, śmiało mógł nazwać się pańskim. Babka wychowała trzech synów: Mieczysława, Henryka i Włodzimierza zagranicą, pragnąc ich od wpływów bałagulszczyzny ochronić. Cel ten został osiągnięty, ale wszyscy wrócili, nie mając najmniejszego pojęcia o warunkach i stosunkach, wśród których żyć mieli, a więc w życiu praktycznem byli niezaradni i mimo najszlachetniejsze dążności nic się im udać nie mogło, potracili majątki i pomarli bezżennie[1]).

Jedyna córka pani Kazimierzowej, Walerja, ur. w 1821 r., poślubiona Konstantemu Jaroszyńskiemu, bardzo rozumna, wy-

[1]) O Mieczysławie mylnie twierdzi Bobrowski, jakoby w drodze atawizmu trunkom folgował. W imię prawdy twierdzę tu, iż wszyscy synowie Kazimierza odznaczali się bezwzględną trzeźwością.

kształcona i rządna niewiasta, pragnąc ratować majątek braci, gdy ratunek był już niepodobnym, straciła całe swe mienie. Owdowiała w lat kilka po ślubie, miała jednego syna Konstantego, którego wychowała starannie. Ożenił się on z bliską krewną Madejską (córką marszałka) i zginął w młodym wieku zagadkową śmiercią; w podróży bowiem, opatrując drogę na grobli, wpadł do rzeki i utonął. Powszechnie upatrywano w tej śmierci zbrodniczą a zainteresowaną rękę człowieka, który pragnął się go pozbyć. Dom drugiej mojej babki, z Wasilewskich Marcelanowej Budzyńskiej, również wdowy, pozostał mi niemniej żywo w pamięci. Mieszkała ona w bliskiem sąsiedztwie Wygnanki, we wsi Sewerynach (dziś własność p. Sieraczyńskiego). I tu był pałacyk piętrowy, murowany z niemniejszą wygodą, ale z mniejszym wykwintem urządzony; ogród piękny, życie również pańskie.

Jedyny syn Aleksander, ur. w 1817 r., wychowany w Krzemieńcu, lekko do sprawy Konarskiego zamieszany, gdy uzyskał wolność okupioną bardzo znacznym datkiem pieniężnym, na ręce głośnego Pisarewa złożonym, zamieszkał na wsi, gospodarzył, a wkrótce ożenił się z panną Józefą Rulikowską z Ukrainy, siostrą znanego historyka Edwarda. Sam przez się był bardzo bogaty, posiadał bowiem prócz Seweryn piękną w sąsiedztwie Przewałówkę, Pustowujty i Zomlińce. W posagu po żonie dostał wieś Samostrzały. Jako bardzo niepraktyczny podzielił los braci stryjecznych, tracąc całe swe mienie. Z żony, która go wprędce odumarła z choroby piersiowej, miał jedną córkę, Zofję. W 1863 r. aresztowany i dla braku wszelkich dowodów wypuszczony na wolność, niedługo nią się cieszył, gdyż niebawem w 1866 r. życie zakończył, opuszczając ten świat nie wolny od zarzutu nadużywania trunków, o czem Bobrowski słusznie w swych pamiętnikach wspomina.

Z trzech córek pani Marcelanowej Budzyńskiej najstarszą Klementynę, urodzoną w 1815 r., wydano w 1837 r. za Leonarda Łepkowskiego. Mieszkali oni w Awratynie nad granicą austrjacką. Łepkowski, jako jeden z czynnych członków sprzysiężenia znanego pod nazwą „Konarskiego", w 1838 r. aresztowany, w kazamacie kijowskiej życie zakończył, a władze, dozwoliwszy żonie oddać ostatnią posługę umierającemu, po zamknięciu celi zapomniały o otwieraniu jej we właściwych godzinach, skut-



Fig. 6. Aleksandra z Budzyńskich Lasocka (matka autora) podług fotografji z r. 1865.

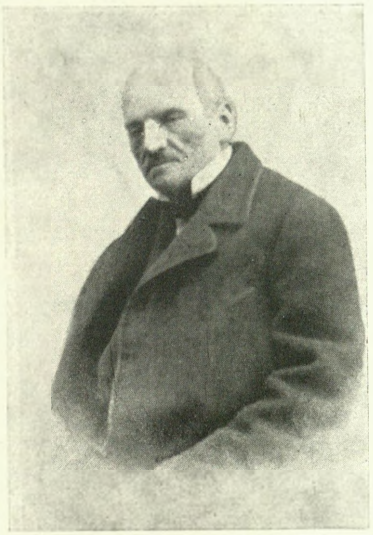


Fig. 7. Albin Piotrowski.

kiem czego nieszczęśliwa kobieta zmuszoną była pozostać ze zmarłym bez żadnej pomocy i pożywienia czas dłuższy, nim zaalarmowany szyldwach zawiadomił władzę o zaszłym wypadku. W sześćdziesiąt lat po śmierci męża zakończyła w Żytomierzu żywot, pełen cnót i poświęceń dla cierpiących, ta czcigodna i kochana przez nas wszystkich ciotka Klementyna. Zmarła bowiem 4/16 listopada 1897 r.

Druga zkolei, Nepomucena, urodzona w 1816 r., poślubiona w 1834 r. bogatemu obywatelowi z Ukrainy, Janowi Podhorskiemu, miała dwoje, niepospolitych zalet dzieci, Zdzisława i Wandę, zmarłych w kwiecie wieku na suchoty płucne. Przeżyły one wszakże matkę, która przeniosła się do lepszego życia w lat kilka po ślubie. Osamotniony pan Jan znalazł się wkrótce nad brzegiem majątkowej ruiny wskutej swej samodzielnej a nieopatrznej administracji. Najmłodsza z córek, Paulina ur. w 1821 r., wyszła za Eustachego Ruczyńskiego, zacnego człowieka i patrjotę, w r. 1845. Był on zesłany do Permy i po powrocie już niezbyt młody ożenił się. Jako zamożny właściciel ziemski na Wołyniu władał dobrami Horodno w powiecie włodzimierskim. To bezdzietne małżeństwo przybrało za córkę i wychowało starannie jedynaczkę Aleksandra Budzyńskiego (z Józefy z Rulikowskich), urodzoną w 1845 r., którą wydali w 1866 r. za hr. Ksawerego Miączyńskiego, w którego ręku, mimo zabiegliwość i pracę, stopniały doszczętnie dwie olbrzymie fortuny Miączyńskich i Ruczyńskich.

W tym krótkim szkicu dziejów tego odłamu rodziny mojej matki przeważa jako ogólna cecha wielka zamożność, zakończona ruiną.

Jakiż mógł być powód tak ryczałtowych strat mienia w rodzinach, nie tylko Budzyńskich, ale i tych wszystkich, którzy się z rodzinami temi połączyli? Otóż, o ile chodzi o czterech braci Budzyńskich, na szybką utratę ich majętności złożyły się, jak widzieliśmy, wielka niepraktyczność, obok wielkiej teoretycznej żądzy rozwijania przemysłu krajowego. Nie znając się zupełnie na cukrowarstwie, nie mając kapitału, a nawet taniego kredytu, budowali cukrownie w dobrach swoich za pożyczane u żydów na wysokie procenta pieniądze. Oszukiwano ich w czasie budowy i eksploatacji, tak, iż mimo najszlachetniejsze, pełne

uczuć obywatelskich dążności, potrafili wszystko co mieli utracić i poumierali prawie bez środków, do których byli od urodzenia przyzwyczajeni.

Majątek ciotki Jaroszyńskiej, o ile wiem, padł ofiarą jej gorącej chęci ratowania zapóźno, bo w czasie ostatniej już katastrofy, fortun braci. Całego przebiegu tych spraw nie znam tak dokładnie, abym mógł skutecznie odeprzeć zarzuty, czynione Jaroszyńskiej przez Bobrowskiego, pozostawiając to osobom, znającym szczegółowo dokumenta tych zawiłych interesów dotyczące.

Co do majątku Podhorskiego Jana, ten znikł wskutek małej inteligencji a wielkich dziwactw właściciela. Jak zaś umiał przy skąpstwie trwonić, niech będzie dowodem następująca prawdziwa o nim anegdota, którą po dziś dzień w rodzinie powtarzają.

Majątki Podhorskiego na Ukrainie były rozrzucone. Mieszkał w Michałówce, a dojeżdżał do folwarków dość odległych, w okolicy Humania położonych, popasał zaś u swego arendarza. W czasie jednego z takich popasów, mądry arendarz urządził naprędce następującą kombinację finansową. Zaproponował wybudowanie wspólnym kosztem w jednym z majątków Podhorskiego cukrowni, a gdy propozycja została przyjętą, po zrobieniu obrachunków przypuszczalnych zysków, gdy takowe wypadały na papierze świetnie, proponuje dobrze znający swego dziedzica żyd ustępstwo 15.000 rs., byle ten od spółki odstąpił. Podhorski ma się rozumieć protestuje i natomiast sam obowiązuje się wypłacić wspólnikowi 20.000 rs. za zrzeczenie się praw jego!

Ruina Miączyńskiego Ksawerego nastąpiła wśród gorliwej w pocie czoła pracy. Źródłem jej była gorączkowa działalność, nie licząca się z praktycznemi względami. Często na jednem i tem samem miejscu wznosiły się jedne zamiast drugich budynki lub urządzenia. a wszystko za pieniądze, pożyczone na lichwiarskie procenta. Następstwa musiały być zawsze zgubne dla budującego, absolutna zaś bezczynność byłaby mniej szkodliwą dla jego kieszeni, aniżeli zawzięta a nieopatrzna praca. To też, zbogaciwszy kilku wyzyskujących go żydów, pozbył się Miączyński kolejno: Przewałówki, Maciejowczyzny z pięciu folwarków złożonej, Stachura i znacznych kapitałów pani Ruczyńskiej,

resztujących ze sprzedaży Horodna i otrzymanych po zbyciu lasów stachurskich, co razem wzięte miljonową stanowiło fortunę.

Jedyna siostra Kazimierza i Marcelana Budzyńskich, Julja, poślubiła Seweryna Bukara, znanego z chlubnego udziału w powstaniu Kościuszkowskiem i z pamiętników, wydanych przez J. I. Kraszewskiego. Wniosła ona mężowi jak na owe czasy piękne wiano, bo 800.000 zł. czyli około 100.000 rs. Z tą rodziną, acz nam pokrewną, łączył nas bardzo luźny stosunek, mieszkali bowiem od nas nieco dalej w swych dobrach Babinie na Podolu. Pana Seweryna ani też jego małżonki nie znałem wcale. Z dwóch synów: starszy Wincenty, był ożeniony z panną Lange słynną z wyjątkowej brzydoty [1]) i miał syna Oktawjana, z którym kolegowałem w szkołach i w internacie żytomierskim, młodszy Teofil, wykolejony, pseudo-literat i amator skrzypek, zmarł w bardzo młodym wieku. Jedyna zaś córka, Klotylda, wyszła za pana Władysława Bernatowicza.

Nie mniej bliskimi co do stopnia pokrewieństwa od Budzyńskich byli dla nas Konopaccy, synowie Prokopa (urodzonego w 1757 r., zm. 1825 r.), a wnukowie Józefa, posła na Sejm 1764 r., osiedleni na Polesiu Wołyńskiem w Hołuzi. Prokop Konopacki bowiem urodzony z Peretjatkowiczówny i pradziad mój Antoni Budzyński pożenili się z dwiema rodzonemi siostrami Garbowskiemi, pierwszy z Ludwiką, drugi z Wiktorją. Stryjeczna zaś siostra tych Garbowskich była żoną Wojciecha Budzyńskiego, ojca Marcelana, Kazimierza i Bukarowej. Tym to trzem naszym prababkom mylnie przypisuje Tadeusz Bobrowski wpływ na całe trzy pokolenia w drodze dziedziczności pod względem skłonności do alkoholizmu.

Otóż, jak to już raz nadmieniłem, dziadowie: Ignacy, Kazimierz i Marcelan Budzyńscy niczem się nie odróżniali od współczesnej szlachty wołyńskiej w obyczajach, uważając trunki za jeden z nieodzownych środków gościnnego podejmowania sąsiadów, znajomych i przyjaciół, do liczby których codziennie prawie należał ojciec pana T. Bobrowskiego, gdy był dzierżawcą wsi

---

[1]) O brzydocie pani Wincentowej Bukarowej krążyła współczesna anegdota. Opowiadano, że gdy przybyła w ważnym interesie zastępując męża do kogoś, co jej nie znał, napróżno siliła się go przekonać, że jest damą, nie zaś za kobietę przebranym kozakiem Kotiużyńskiego, jednego z sąsiednich obywateli, za którego ją wzięto.

Budzyńskich Markusze, sąsiadującej o miedzę z Wygnanką. Co się zaś tyczy trzech synów Prokopa Konopackiego: Antoniego, Szymona i Franciszka, wszyscy trzej odznaczali się wyjątkową wstrzemięźliwością unikając uczt za domem i hucznych libacyj w domu własnym. Z siedmiu wujów moich Budzyńskich, jedyny syn Marcelana, Aleksander, z ośmiu zaś Konopackich najstarszy syn Szymona, Wiktor, podlegali temu nałogowi. Wszystkie zaś w tych rodzinach kobiety i całe młodsze pokolenie były w tym względzie od wszelkiego zarzutu wolne. Bobrowski nawet, ów szperacz zdrożności ludzkich, tych niewiast i młodzieży o to nie pomawia. Sądząc więc ze skutków, wolno wnosić, że i zarzuty, prababkom i dziadkom czynione, którzy pomarli, nim Bobrowski światło dzienne ujrzał, są co najmniej mocno przesadzone.

Z wymienionych wyżej synów Prokopa Konopackiego najstarszy Antoni, urodzony w r. 1785, mieszkał w rodzinnym majątku Hołuzi na głębokiem Polesiu Wołyńskiem, ożenił się w r. 1815 z Ksawerą Teleżyńską, z której pozostawił syna Gustawa i dwie córki, Kasyldę i Apolonję. Gustaw (urodzony w 1820 a zmarły r. 1891) z pierwszej żony Antoniny Cieszkowskiej, jedynej córki Walerego, miał syna Franciszka, bardzo młodo, bo w czasach szkolnych zmarłego, i córkę Walerję, poślubioną Karolowi Zaleskiemu ze Stawek w Kowelskiem. Zalescy mają dwie córki i dwóch synów, których nie znam wcale. Z drugiej żony, Leopoldy z Konopackich, córki Wojciecha, z którą wstąpił w związki małżeńskie w r. 1869, zostawił Gustaw dwóch synów i dwie córki. Starszy, Wojciech, ożeniony z Zaleską, córką Juljana z tychże Stawek w Kowelskiem, osiadł w rodowym majątku Hołuzi. Młodszy nieznanego mi imienia, gdy to piszę (w 1902 r.), kończy kursa w Dublanach. Z córek młodsza, Antonina, poślubiwszy przed kilku laty p. Tadeusza Kowalskiego w Królestwie Polskiem, wkrótce go odumarła, nie pozostawiając dzieci. Starsza zaś Anna wyszła przed rokiem za Tadeusza Neymana i zamieszkała na Wołyniu.

Z sióstr Gustawa, Kasylda, starsza, wydaną została za Leona Konopackiego syna Mateusza, przyrodniego brata Prokopa, urodzonego ze Stępkowskiej 1⁰ voto Rohozińskiej. Z dwóch synów p. Leonowstwa Przemysław gospodarzy na części wsi Hołuzi,

Włodzimierz osiadł w Kijowie. Obaj pożenili się z rodzonemi siostrami Duninównemi i mają liczne potomstwo. Młodsza siostra Gustawa, Apolonja, wyszedłszy za Cieleckiego owdowiała, mieszka stale w Lublinie.

Z tą odnogą rodziny Konopackich, jako przedzielonej od nas znaczną przestrzenią, mało mieliśmy stosunków; raz tylko w dzieciństwie oglądałem w domu moich rodziców p. Antoniego i jedną z jego córek. Drugą żonę Gustawa, panią Leopoldę, i jej córkę Annę poznałem w Nałęczowie, gdzie te panie czas jakiś gościły w domu pani Onufryny z Konopackich Gottlebowej, rodzonej siostry p. Gustawowej, i gdzie następnie nabyły willę.

O Szymonie Konopackim (urodzonym w 1790 a zmarłym 1884 r.) mógłbym tu wiele powiedzieć, gdyby mię sam nie wyręczył pisząc swe pamiętniki, wydane już w części przez nakładców „Bibljoteki dzieł wyborowych“ i stanowiące 4 tomiki[1]). Nie mało też o nim mówi w swych pamiętnikach, jako o krewnym i teściu, wuj mój, Michał Budzyński; o dzieciach zaś jego wspomina Tadeusz Bobrowski[2]), którego rodzony wuj, Adolf Pilchowski, ożeniony był z najmłodszą córką pana Szymona. Do tego więc, co o p. Szymonie i jego rodzinie powiedzieli: on sam, Michał Budzyński i T. Bobrowski, dodam tylko, iż z całego młodszego pokolenia najsympatyczniejszą dla mnie była zawsze średnia córka p. Szymona, Stanisława Czarnołuska, jej córka Prewalowa i wnuczka Prewalówna, którą w Nałęczowie jako młodziutką panienkę poznałem.

Najmłodszy syn Prokopa, Franciszek (urodzony 1795 r., zmarły 1864 r.), był długi czas materjalną podporą brata Szymona, troszcząc się na wspólnie dzierżawionych folwarkach o zdobywanie chleba powszedniego i pozwalając bratu bujać w świecie poezji i biernej miłości dla p. Bierzyńskiej, tudzież oddawać usługi obywatelskie w urzędzie i na stanowisku referenta w Komisji Edukacyjnej Krzemienieckiej.

Ten podział zajęć przerwał dział między braćmi, po którym p. Franciszek dorabiał się fortuny na osobiście dzierża-

[1]) Konopacki Szymon: Pamiętniki (z lat 1790—1816), 2 tomy, Bibljoteka dzieł wyborowych, Nr. 89 i 91, Warszawa 1899. Tenże: Moja druga młodość. Z niewydanych pamiętników (1816—1826), 2 tomy, Bibljoteka dzieł wyborowych, Nr. 130 i 131, Warszawa 1900.

[2]) Pamiętniki Tadeusza Bobrowskiego (Lwów 1900), 2 tomy. Tom I., str. 70 i 71.

wionych majątkach, a ożeniwszy się z dobrą, miłą, zamożną, acz chorobliwie egzaltowaną panną Zofją Przyłuską, nabył od Opolskich wieś Gizowszczyznę; po babce zaś żony objął w posiadanie Ihnatki i jako wyłącznie gospodarstwu wiejskiemu oddany, zaćmiony został w oczach ludzkich blaskiem towarzyskich przymiotów swej żony. Pani Franciszkowa słynęła w okolicy z wielkiej dobroczynności i pobożności, co jej, pomimo pewną przesadę w praktykach religijnych, jednało uznanie powszechne, a mimo to zrodzić musiało na ten temat parę anegdot. Czy były one zupełnie wiarygodne, nie ręczę; podaję je więc w takiej formie, w jakiej o moje uszy w dzieciństwie się obiły.

Parafją naszą był kościół przy klasztorze dominikanów w miasteczku Lubarze. Do tejże parafji należały Wygnanka, Ożarówka, Przewałówka, Seweryny, Zytyńce, Gizowszczyzna i wiele innych włości będących własnością naszej rodziny. Starożytna świątynia, w której murach co niedzielę z krewnemi spotykaliśmy się, posiadała w jednym z ołtarzy głośny cudami obraz Chrystusa, tysiącznemi wotami ze złota i srebra okryty. Pani Zofja Konopacka słuchała często mszy świętej, leżąc krzyżem przed tym ołtarzem, do którego miała szczególne nabożeństwo. Raz, gdy zamiast doświadczonego lokaja wzięła z sobą wyrostka od brony i nieco spóźniła się do kościoła, wysiadając z sanek rozkazuje, aby dywan, którym siedzenie było przykryte, rozesłał przed ołtarzem Pana Jezusa. Sama zaś pospieszyła wydawszy to polecenie rozpocząć modlitwy. Wszedłszy do kościoła spostrzega, że się już nabożeństwo odprawia, nie chcąc więc odwlekać swej intencji kładzie się krzyżem na nagiej kamiennej posadzce. Spóźniony z dywanikiem chłopak nadchodzi i, widząc swą panią leżącą, uważa za stosowne wobec zimna okryć ją kilimkiem. Pani Konopacka, nie chcąc przerywać nabożeństwa, cały czas leżeć musiała pod zaimprowizowanem okryciem.

Pp. Franciszkowie mieli trzech synów: Konstantego, Władysława i Jerzego. Dla ich wychowania, gdy podrośli, matka zamieszkała w Równem i tam stała się opieką i opatrznością szkolnej młodzieży. Starszego syna kochała nadewszystko, jakkolwiek najmniej na to zasługiwał, był bowiem zwykłym egoistą, obojętnym na sprawy i rzeczy ogólniejsze. Dogadzało wszakże miłości własnej matki, że wziął medal srebrny kończąc szkoły.

Chociaż srebro to kupą złota było opłacone, bo w owym czasie królował w Równem na stanowisku dyrektora gimnazjum głośny łapownik Abramow, którego i ja jako dyrektora gimnazjum w Żytomierzu poznałem, mimo to matka chełpiła się przed każdym z tryumfów syna. Pan Konstanty ożenił się potem z Siennicką z Karpowiec, uchronił się nietkniętym wśród wypadków r. 1863, a przy pierwszych niepowodzeniach finansowych i zawiedzionych nadziejach na znaczne sumy posagowe żony stracił zmysły i oparł się u Jana Bożego w Warszawie, gdzie smutnego żywota bez żadnej opieki dokonał, pozostawiając wdowę, późniejszą panią Szaniawską, i córkę, która wyszła za jednego z wnuków Szymona, a syna Prokopa Konopackiego.

Młodsi synowie pp. Franciszków szkół nie pokończyli; średni Władysław cierpiał na perjodyczne napady choroby umysłowej. W 1863 r. obaj byli w oddziale Edmunda Różyckiego; przeszedłszy z nim granicę osiedlili się w Dreźnie, gdzie mieli własną fabrykę gilz i papierosów, której dochody starczyły na dostatnie utrzymanie. Majątkiem ich jako nie dzielnym, a więc od konfiskaty uwolnionym, zarządzał lata całe p. Michał Piotrowski, podejrzanej wartości człowiek, aczkolwiek z zacnej rodziny pochodzący, który potrafił nawet w czasie wypadków krajowych 1863 r. prowadzić jako dostawca korzystne spekulacje; to też majątek Konopackich a tem samem jego właściciele wiele na opiece tej stracili. Obaj młodzi Konopaccy pomarli na emigracji bezżennie.

Z powodu wyjątkowej słabości pani Konopackiej dla syna Konstantego krążyła, jeśli nie zupełnie prawdziwa, to arcydowcipnie ułożona anegdota. Rozgłoszono bowiem, iż ktoś podsłuchał gorącą a półgłośną modlitwę tej pani, skierowaną ku zawsze adorowanemu, cudownemu obrazowi Chrystusa w Lubarze. Przemowa ta, brzmieć miała, jak następuje:

— „Panie Jezu Chryste! mnie karz, mego męża karz, moje dzieci karz, ale mego Kostusia ani mi się waż!...“

Pani Zofja uprzedziła męża w przejściu do lepszego życia, zaś pan Franciszek, który się nietylko do niczego w roku 1863 nie mieszał, ale od wszelkiej styczności z ruchem stronił, denuncjowany przez miejscowego parocha i obwiniony o dostarczanie furażu i żywności oddziałowi Edmunda Różyckiego, po

wysłuchaniu wyroku, pozbawiającego go praw stanu i skazującego na zaludnienie w Syberji, tegoż dnia skutkiem gwałtownego wzruszenia w więzieniu życie zakończył.

W Gizowszczyźnie przy braterstwie mieszkała siostra pana Franciszka, Anastazja; była to w podeszłym już wieku panna, pełna dziwactw, którą w rodzinie nazywano Nastusią. Tam też często przebywała i druga siostra zamężna, ale której mąż był emigrantem, pani Stanisława Duninowa. Mieszkała ona stale w Szulajkach pod Romanowem, tak często w pamiętnikach Szymona Konopackiego wspominanych, jako miejscowość dzierżawiona przez rodziców od senatora hr. Ilińskiego tytułem zastawu. Mąż pani Duninowej zmuszonym był kraj opuścić po upadku powstania r. 1831, w którem brał udział jako adjutant Karola Różyckiego, dowódcy pułku jazdy wołyńskiej. Dwaj synowie jego, Antoni i Stanisław, wychowywali się więcej w domu, niż w szkołach; obaj byli ode mnie starsi.

Do dalszych krewnych naszych, których w dzieciństwie mojem nie znałem wcale, zaliczam rodziny Mianowskich (z któremi byliśmy spokrewnieni przez Ilińskich), Abramowiczów, Berezowskich i inne, skoligacone z nami przez prababki nasze Budzyńskie. O Mianowskich dochodziły nas częste wiadomości, jako o naszych powietnikach. O Abramowiczach zaś i Berezowskich nic tu powiedzieć nie mogę, straciliśmy bowiem dokładny wątek naszego do tych rodzin pokrewnego stosunku.

Zkolei powiem tu słów kilka o najbliższych sąsiadach naszych i o tych stosunkach, jakie ich z mymi rodzicami i dziadem łączyły.

Najbliższym sąsiadem Wyszczykus był nabywca niedawno jeszcze jedną z niemi całość stanowiącej Michałówki, pan Grzegorz Miciński. Wedle opinji powszechnej ciążyły nad nim jakieś ujemne zarzuty z przeszłości, był bowiem przez większość sąsiadów źle widzianym i starannie omijanym. Naszego domu stosunek z tym panem nie przekraczał granic ścisłej konieczności, to jest ograniczał się do kilku wizyt wzajemnie sobie w ciągu roku oddanych. Pan Grzegorz miał żonę, ale jak z domu, nie umiałbym powiedzieć, i córkę Olimpję, bardzo niemiłą i niełądną pannę, którą przedrzeźniając zwaliśmy Olimpjadą. Nie chcąc do tej niesympatycznej rodziny powracać, zamykam tu



Fig. 8. Seweryn Budzyński.

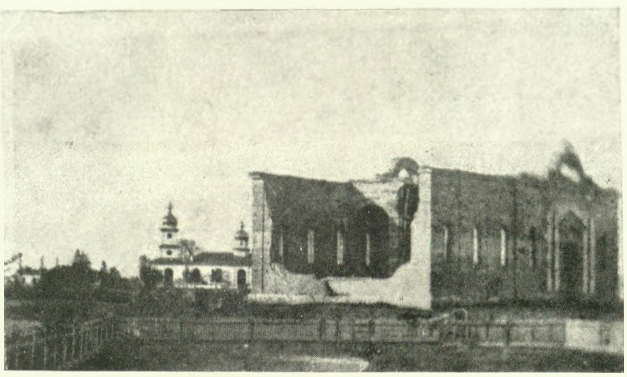


Fig. 9. Rozwaliny budującego się nowego soboru w Żytomierzu, który runął skutkiem złej budowy.

w kilku wyrazach jej dzieje. Panna Olimpja wyszła za Michała Piotrowskiego, z bardzo zacnej, jak już wspomniałem, rodziny pochodzącego, ale nie najlepszej opinji człowieka. Po śmierci rodziców i żony pozostał znaczny majątek (oprócz bowiem Michałówki były jeszcze dobra Czeszki na Podolu i kapitały), którym administrując, jak również majętnością Władysława i Jerzego Konopackich po 1863 r., dorobił się sporej osobistej fortuny. Córki powydawał za Głębockich i Knollów.

Pp. Darjuszowie Głęboccy potrafili rozprószyć tę część źle nabytego mienia, która się im dostała po dziadzie i ojcu, i dokonali tego dzieła z niesłychanem powodzeniem. Przepyszne lasy dębowe michałowieckie, przez wiek cały prawie pielęgnowane, padły pod ciosami siekier żydowskich w ciągu lat paru. Grunta rozparcelowano; piękny dwór wielkim kosztem przez Piotrowskiego wzniesiony sprzedano na materjał za kilkaset rubli. Słowem, trwoniąc tak bezmyślnie ojcowiznę, zasłużyli sobie u szlachetnie myślących ziomków na brak szacunku; a wątpię, aby ich co innego i od wrogów spotkać mogło, chociaż widocznie pracowali w duchu i po myśli rządowej. Druga córka p. Michała, będąca za Henrykiem Głębockim, nie dopuściła do ruiny majątku, za co jej uznanie i cześć się należy. Trzecia, wyszła za Teofila Knolla, syna Gracjana. Michał Piotrowski wkrótce po owdowieniu ożenił się powtórnie z wdową po doktorze Kalińskim i miał z nią jedną córkę, wydaną za Edwarda Knolla, syna Eligiego. Sam zaś zmarł w stosunkowo młodym wieku nie żałowany przez nikogo.

Drugim naszym sąsiadem o miedzę był właściciel Bratałowa, p. Albin Piotrowski. Zanim o tym zaprzyjaźnionym z nami domu mówić zacznę, skreślę tu w krótkości dzieje tej licznej rodziny, wpływowej w powiecie żytomierskim (gub. wołyńskiej) w czasie mego dzieciństwa i młodości, od chwili osiedlenia się jej naddziada na Rusi.

Z pozostałych po pradziadzie p. Albina, Franciszku Piotrowskim, papierów widocznem jest, iż ojciec tego ostatniego, Andrzej Piotrowski, miecznik Wieluński i chorąży chorągwi husarskiej, właściciel Bieńkowej Wiszni w Galicji, ożeniony z Teresą Byczkowską, miał liczne potomstwo, o czem przekonywają metryki czterech synów i dwóch córek, wypisane z akt para-

fjalnego kościoła w Rudzie, a znajdujące się obecnie (1902 r.) u Franciszka Piotrowskiego w Dryhłowie. Z czterech wspomnianych synów najmłodszym był Franciszek, urodzony 22 września r. 1715, który przesiedlił się z Galicji na Wołyń i był dworzaninem książąt na Zasławiu, w którem to mieście zmarł i został pochowany.

Syn Franciszka Aleksander, urodzony 1746 a zmarły 1822 r. kształcił się w palestrze, ożenił się z Martą Chojecką i osiadł zrazu na Ukrainie, gdzie dzierżawił wieś Pustelnik a następnie Kornin. Z tego małżeństwa miał syna Jana i dwie córki: Teklę za Kochanowskim i Annę za Knollem. Po śmierci żony, na początku 1786 r. wstąpił w powtórne związki z Domicelą Proskurzanką w dniu 18/30 grudnia 1787 r. W tymże prawie czasie nabył dobra Mały Bratałów, około zaś 1794 r. Dryhłowskie lasy od Dłuskich, a jako człowieka powszechnie szanowanego wybrano go na urząd podkomorzego powiatu żytomierskiego. Z tego powtórnego małżeństwa miał sześciu synów: Eligiego, Józefa, Konstantego, Kamila, Tytusa, Albina i jedyną córkę Aleksandrę. Pana podkomorzego nie znałem osobiście; wraziły mi się wszakże wybornie w pamięci rysy jego twarzy, utrwalone w portrecie, zawieszonym w sali jadalnej bratałowskiej. Była to postać kontuszowa, pełna powagi i stanowczości w mundurze województwa kijowskiego.

Panią podkomorzynę z Proskurów Piotrowską pamiętam wybornie w dzieciństwie mojem i dziś jeszcze widzę tę matronę z wyrazem spokoju i godności zawsze wyprostowaną, zawsze w kaftaniku aksamitnym lub jedwabnym, stosownie do pory roku, siedzącą w bawialnym pokoju w Bratałowie na ulubionej kanapie, której prawie nigdy nie opuszczała, jako bardzo letnia naonczas staruszka; niemniej trudno mi sobie wystawić tę postać inaczej, jak z nieodstępną klapą skórzaną, na trzcinie osadzoną, którą zawzięcie tępiła muchy siadające w pobliżu jej stałej tronowej kanapy. Osiwiałych synów swoich: prezesów, chorążych, deputatów i t. p., traktowała ta patrjarchalna staruszeczka jak smarkaczy, strofując głośno i nie zważając na obecne przy tem osoby za hałaśliwe spory i dysputy w kwestjach politycznych i społecznych, którym się wszyscy oni, jako Krzemieńczanie z zamiłowaniem oddawali. Wogóle, czuła się

ta pani na swoich śmieciach bratałowskich potęgą nieomylną i samowładną.

Wybornie to jej usposobienie maluje wzmianka, uczyniona przez wuja mego, Michała Budzyńskiego, w jego pamiętnikach, w których mówi o przybyciu do Bratałowa w dniach powstania na Wołyniu 1831 r. porucznika jazdy wołyńskiej Antoniego Trypolskiego, wysłanego przez dowódcę tej jazdy Karola Różyckiego dla złożenia w depozycie i przechowania w tym dworze sumy 3.000 rs. w monecie srebrnej. Gdy zgadzając się na spełnienie życzenia dowódcy, p. podkomorzyna zapytała, dlaczego część kasy u niej pozostawiają, i dowiedziała się, że obawiają się ją utracić jako bagażu ciężkiego i trudnego do obrony w potyczkach z wrogami co chwila spodziewanych, zawołała: „Bijcie się sobie, gdzie chcecie, byle nie na moich gruntach, stanowczo wam tego zabraniam". Wymawiając tak stanowcze słowa, była pewną, iż nikt się temu sprzeciwić nie ośmieli; przyzwyczajona bowiem do bezwzględnego posłuszeństwa synów, domagała się i od innych tegoż posłuszeństwa, przynajmniej w granicach Bratałowa.

Tych rodziców potomkowie w większości swej byli ludźmi wielkiej zacności i wielkiej wartości. O każdym więc z dzieci i wnuków tudzież o niektórych prawnukach powiem tu słówko, co tem bardziej leży mi na sercu, ponieważ rodzina nasza dwukrotnie się spokrewniła z rodziną Piotrowskich przez małżeństwa; najmłodszy bowiem brat mojej matki, Seweryn, był ożeniony, jak już miałem sposobność nadmienić, z Klementyną Piotrowską, córką Jana, córka zaś siostry mojej Adeli Steckiej, Jadwiga, poślubiła młodszego wnuka pana Albina, Franciszka. Losy syna i dwóch córek podkomorzego Aleksandra, urodzonych z Chojeckiej, są o ile wiem następujące.

Pan Jan Chryzostom Michał, urodzony 24 listopada 1785 r. w Pustelnikach, zmarły 11 listopada 1864 w Kikciach, był porucznikiem huzarów; od r. 1817 w dymisji, mieszkał w Dryhłowie, który mu rodzice wydzierżawili. W 1831 r. był w Zamościu, ale udziału w powstaniu nie brał. Ożeniony pierwszy raz z Karoliną Nieborowską miał syna Karola i córki Klementynę, Celinę i Stefanję. Z drugiej żony, Wiktorji z domu Rogojskiej 1^mo voto Zabłockiej, dzieci nie zostawił.

Syn pana Jana, Karol, urodzony w 1810 r., właściciel części wsi Steckowiec w powiecie żytomierskim, żonaty z Emilją Przyborowską, miał synów Stanisława, Tadeusza i Walerego tudzież córki Zofję i Adelę. W 1863 r. wziął udział w powstaniu pod Edmundem Różyckim, potem emigrował, a powróciwszy do kraju żyje dotąd w Steckowcach. O dzieciach jego, jako mi bliżej nie znanych, zamilczę.

Z córek Jana, Klementyna, urodzona w r. 1819 a zmarła w r. 1897, była za wujem moim, Sewerynem Budzyńskim; o niej jako też o jej dzieciach i wnukach zrobiłem wzmiankę, mówiąc o najbliższych krewnych mojej matki. Celina za Karolem Rogojskim, zamieszkałym we Lwowie, była przedmiotem uwielbienia starszych braci matki mojej, Michała i Wincentego, w początkach ich emigracji, gdy bawili w Galicji. Zmarła bezdzietnie w 1864 roku. Stefanja, urodzona w 1827, poślubiona w 1848 r. Wiktorowi Malinowskiemu, miała syna i dwie córki. Syn Konstanty, dziś właściciel połowy wsi Chiżyniec, ożeniony z panną Kuryłowicz ma córkę i syna. Obie córki pp. Wiktorów zamężne, lecz nie znam ani nazwisk mężów ani nie wiem, czy mają potomstwo i gdzie się osiedlili.

Rodzonych sióstr pana Jana Piotrowskiego, Tekli Kochanowskiej i Anny Knollowej ani też ich mężów nie znałem. Młode pokolenie Knollów jest bardzo liczne; większość z nich poświęciła się zawodowi prawnemu i pracy około roli.

Najstarszy z synów podkomorzego Aleksandra Piotrowskiego, z drugiego małżeństwa z Proskurzanką, Eligi, urodzony 1788 a zmarły 1863, ożeniony z Różą Chojecką, córką Hilarego, sędziego żytomierskiego, zamożny przez żonę celował obok wykształcenia sumiennem i umiejętnem spełnianiem posług obywatelskich, które zakończył piastowaniem urzędu prezydującego w Izbie Cywilnej wołyńskiej od r. 1820 do 1822. Pozostawił dwie córki: starszą Teodozję i młodszą Stanisławę. Panna Teodozja Piotrowska, rozumna, wykształcona, ale bardzo nieładna, oddała swą rękę p. Romanowi Szersztetowi dzięki natarczywości jego w staraniach, których nie zaprzestał mimo kilkakrotne odkosze. Tej natarczywości, uznanej w końcu za stałą miłość (jakkolwiek dla wszystkich widocznem tu było przywiązanie do znacznego majątku niemłodej i nieładnej panny, nie

zaś do jej osoby), zawdzięczał p. Szersztet swe ożenienie. Jako aferzysta nie przebierający w środkach i karciarz nie cieszył się nigdy dobrą opinją wśród zacnych ludzi, nawet w swej własnej rodzinie. Pani Teodozja przeżyła męża. Córka ich Gabrjela, miła, rozległego umysłu i wielostronnego wykształcenia osoba, zmarła w młodym wieku niezamężna. Była to wielka przyjaciółka starszej siostry mojej Wincenty, której drugi mąż, pan Gustaw Rakowski, był cioteczno rodzonym bratem pana Romana Szerszteta; obaj bowiem rodzili się z rodzonych sióstr Kozieradzkich, których dwie inne siostry były za Albinem Piotrowskim i za Bielińskim.

Młodsza córka p. Eligiego, Stanisława, idąc za wyborem serca, poślubiła rozkochanego w niej wykształconego i możnego młodzieńca, Cezarego Malinowskiego, syna Leonarda, urodzonego z Bajkowskiej, która powtórnie wyszła zamąż za Tytusa Piotrowskiego, jednego z braci Eligiego, co ułatwiło młodej parze pierwsze poznanie się i poufalsze zbliżenie. Pp. Malinowscy mieszkali na Ukrainie, później zaś w posagowej wsi Mołowidłówce w żytomierskiem, którą im p. Eligi ustąpił, przenosząc się wraz z pięknie uzbieraną przez całe życie bibljoteką do jednej z siedzib w Dryhłowszczyźnie, zwanej od herbu Piotrowskich „Ślepowron vel Korwin“ Korwinówką. Pani Malinowska w lat kilka po zamążpójściu owdowiała; p. Cezarego zabiły suchoty, do których skłonność odziedziczyło młode pokolenie po ojcu. Pani Stanisława zmarła w roku 1901. Z dzieci Malinowskich, jeden z synów, Leonard, ożeniony z Modzelewską, córką Leona, zmarł z suchot, pozostawiając dwóch synów i córkę. Za życia sprzedał Rosjaninowi bez koniecznej potrzeby rodzinną wieś Horopaje. Drugi syn Kazimierz, żonaty z Chylińską z Kupiela, ma liczne potomstwo. Córka Walerja, będąca za Pruszyńskim, zmarła również z suchot, osierocając jedyną córkę Walerję.

Drugi zkolei syn Aleksandra Piotrowskiego, Józef, urodzony w 1789, zmarły r. 1839, za młodu wstąpił do wojska; już bowiem w pamiętnikach Szymona Konopackiego czytamy o nim pod r. 1816 wzmiankę jako o oficerze 4-go pułku ułanów Kozietulskiego, a słyszałem o nim również, że odbywał kampanję 1831 r., zmarł zaś nie za mojej pamięci. Wdowa po nim, Henryka z Rakowskich, mieszkała we wsi Chiżyńcach, dalej

od nas w stosunku do Bratałowa położonej. Łączyła ją bliska z moją matką zażyłość. Z trzech jej synów, najmłodszy, Henryk, był moim rówieśnikiem i zazwyczaj jednakowo nas ubierano. Wychowanie odebrał w domu, w 1863 r. był w powstaniu pod Edmundem Różyckim. Zmuszony emigrować pracował w Dreznie w magazynie mód, a po powrocie do kraju zamieszkał w majątku brata Leona w Kątach na Ukrainie jako zarządzający tym majątkiem, nadto posiada rentę od własnego kapitału, która mu starczy na potrzeby skromnego życia. Średni syn pani Henryki szkół żytomierskich nie skończył; w dalszem życiu wyrobił się bardzo; ożeniony z panną Elizą Nartow, zacną Polką acz wschodniego obrządku, zamożny, bezdzietny, lubiony i poważany przez sąsiadów, mieszka w rodowym majątku Nartowych, Seredyńcach. Najstarszy Michał żonaty był z Micińską; o tym wspominałem jako o zięciu p. Grzegorza; tu więc go opuszczam, jako człowieka, co nie dorósł do zasad i dążności, cechujących większość Piotrowskich, raczej zbliżył się do kierunków przedstawianych u nas przez rodzinę żony, która wzięła sobie za jedyny cel życia zdobywanie grosza bez przebierania w środkach.

Trzeci zkolei syn podkomorzego, Konstanty, którego daty urodzenia nie znam, właściciel części Dryhłowszczyzny, zmarł bezżenny w nieznanym mi roku, pielęgnując do końca życia uczucie w miłości poczęte, a bez nadziei wzajemności. Autor słabych wierszy, niepraktyczny gospodarz, ale prawy, cnotliwy i dobroczynny; to też w ciągu lat wielu był kasą wsparcia ubogich i najbardziej potrzebujących zasiłku w rodzinie, o których też w testamencie najwięcej pamiętał. W wiosce Pokostówce, otoczonej ze wszech stron szlachtą zagonową wyznania katolickiego, wzniósł kosztem własnym kapliczkę. O nim to najmłodszy a najrozumniejszy z braci Albin się wyraził: — „Gdy brat Konstanty mówi, niema co słuchać, ale gdy się zabierze do roboty, jest na co patrzeć". Niewdzięczny zaś za dobro, świadczone mu przez Piotrowskich, niepowściągliwego języka hr. Henryk Rzewuski odwiedzając zwłoki Konstantego powiedział: — „Prawdę mówiąc, każdy mi przyna, że ze wszystkich braci nieboszczyk najmniej śmierdzi". To mi przyjaciel, co się zowie! A przecież Piotrowscy dzięki swoim wpływom starali

się mu wśród brzydzącej się nim szlachty uczynić pobyt znośnym, do czego przeszkodą była najbliższa przeszłość i stanowisko trefnisia i pieczeniarza na dworze ks. Paszkiewicza, z czego i on sam z właściwym sobie cynizmem niejednokrotnie się przechwalał. Każdą razą bowiem na zapytanie, dlaczego Warszawę opuścił, bezczelnie deklamował:

Pan nie żyje
A pies wyje,
Bo stracił
Smaczne pomyje.

Następny brat zkolei, Kamil Piotrowski, którego daty urodzin nie znam, brał udział w wypadkach 1831 r., w czasie których znalazł się w Zamościu. Ożeniony był ze Stefanją Chomętowską, urodzoną 1812, a zmarłą r. 1842 w Rzymie. Po stracie jej zachował pamięć ubóstwianej żony do końca życia, podtrzymując w ciężkiej samotności zasoby energji pracą nad ulubionem ogrodnictwem. Część posiadanego przez p. Kamila Dryhłowa zmienioną została w ogród botaniczny i kolekcję rzadkości roślinnych, szczególniej w rodzinach paproci i storczyków, i mogła iść w lepsze z najbogatszemi zbiorami tego rodzaju. Ta praca całego niemal życia została doszczętnie zmarnowana w ciągu lat kilku po jego śmierci.

Piąty syn, Tytus, pojął za żonę bogatą wdowę z Bajkowskich, w pierwszem małżeństwie Malinowską. Najmniej uzdolniony i wykształcony z braci, ale bardzo oględny, gdyż potrafił uchylić się od wszelkiego udziału w wypadkach r. 1831. Zamożny przez żonę, miał jedyną córkę Helenę, wydaną za Rożesława Marszyckiego, syna smutnej pamięci kuratora szkół kijowskich i głośnej na całą Ruś ze skandalicznej francuszczyzny pani Marszyckiej. Pan Rożesław, dotknięty tem, co o jego rodzicach popisał Tadeusz Bobrowski w swych pamiętnikach, zapewne pojedynkował się z wydawcami, aczkolwiek bez krwi rozlewu. P. Rożesławowa, miła i dobra kobieta, miała syna i dwie córki, z których jedna umarła panną, a druga za Raciborowskim. Gdyby Bobrowski zamiast zarzutów wielkiej wagi a niczem nie udowodnionych naszkicował postać pani Marszyckiej, zdobiąc opowieść o niej szeregiem głośnych swego czasu anegdot z re-

pertuaru jej francuszczyzny, wywołałby z pewnością szczerą wesołość w gronie swych czytelników. Mógłbym go w tym razie zastąpić, gdy wszakże większość tych anegdot nosi na sobie cechy nieobyczajności, wolę tu o nich przemilczeć.

Najmłodszym synem Aleksandra Piotrowskiego był Albin, urodzony w 1807 a zmarły w 1876 r. Po ukończeniu liceum krzemienieckiego, udał się na uniwersytet petersburski, gdzie poznał się z Adamem Mickiewiczem i jakiś czas z nim mieszkał, o czem towarzyszący mu sługa, Józef Baczkowski, do końca życia opowiadał, a często na ten temat układał całe improwizacje. Po ukończeniu nauk, pełen najszlachetniejszych i wzniosłych dążności, zakochał się p. Albin zupełnie bezinteresownie w pannie Marji Kozieradzkiej; i tę, mimo pewnego oporu ze strony rodziców, poślubił; gdy zaś nie mieli dostatecznych środków do życia, zmuszony był młody małżonek wyjechać do Warszawy i tam pracą biurową zdobywać chleb powszedni i wyrabiać społeczne stanowisko.

W tem mieście zastały go wypadki 1830—31 roku, w których brał udział jako artylerzysta. Towarzysząca mu żona w ciężkich warunkach, bo w czasie najgorętszych zapasów wojennych, porodziła pierworodnego syna, Aleksandra, w 1830 r. Po upadku powstania skorzystawszy z manifestów umiejętnie zastosowanych, uniknął p. Albin emigracji i wygnania i osiadł w Bratałowie, który dostał mu się z działu. Oprócz syna miał jeszcze trzy córki: Marję, Bożennę i Kamilę. Straciwszy wcześnie żonę, oddał się zupełnie wychowaniu dzieci i gospodarstwu, które wzorowo prowadził. Był to mąż szerokich na sprawy krajowe poglądów, wielkiej prawości i wykształcenia ziemianin, pojmujący dokładnie swe obowiązki obywatelskie. Stawił się na każde wezwanie do prac nad sprawami ogólniejszego znaczenia. Ojciec mój wskazywał go zawsze jako wzór do naśladowania, to też w dziecińśtwie mojem słuchałem zwykle z natężoną uwagą tego, co mówił. Gdy zaś jako student pod wpływem panujących wśród młodzieży wyobrażeń odważałem się prowadzić z panem Albinem dysputy, starał się mnie przekonywać z całą serdecznością i wyrozumiałością, czem mnie niejednokrotnie dla kierunków umiarkowanych zjednywał. Był stanowczym przeciwnikiem wybuchu 1863 r., potrafił wszakże mieć współczucie dla nieszczęść



Fig. 10. Klementyna z Budzyńskich
Leonardowa Łepkowska.



Fig. 11. Dom, w którym się mieścił czasowo sobór prawosławny w Żytomierzu.

i cierpień tych, co udział w niem brali. Ostatni raz widziałem go w Warszawie w 1875 r., gdy nas po powrocie do kraju odwiedził. Zmarł zaś w roku następnym 1876.

Dom Piotrowskich w Bratałowie mógł być przykładem dla całego sąsiedztwa. Praca ciężka i owocna była treścią życia codziennego ojca i córek. Prostota w obyczajach wzorowa, mieszkanie zdrowe ale bez wykwintu urządzone, kuchnia smaczna, ale najskromniejsza. Na wychowanie dzieci nie szczędzono niczego i zaspakajano zawsze potrzeby rzeczywiste. Ogród był bogatym zbiorowiskiem najlepszych gatunków drzew owocowych, na tysiące hodowanych. Warzywa były imponujące rozmiarami i smakiem. Gospodarka rolna i leśna tudzież opasowa prowadzona umiejętnie. Gościnność wielka, ale bez wystawy; słowem praca, zamożność, obok nie żałowania na istotne potrzeby, to były hasła tego zacnego domu.

Najstarszy syn pp. Albinów, Aleksander, starszy o lat kilka ode mnie, był w szkołach żytomierskich, które ukończył. Korepetytorem jego był uczeń klas wyższych a głośny znacznie później Zygmunt Sierakowski, który wszakże nie zdołał przelać ani swego zapału ani szerszych poglądów na wychowańca. Pan Aleksander, ukończywszy szkoły i instytut agronomiczny w Horkach (gub. mohilewskiej), idąc za głosem najbezinteresowniejszego uczucia poślubił pannę Karolinę Głębocką, córkę Jana i Klementyny ze Sławuszewskich. Pożycie z tą osobą zimną, bez serca, a pełną próżności, wymagań i przyzwyczajeń do życia nad stan i możność, doprowadziło go do materjalnej ruiny i do moralnego przygnębienia bez granic. Bratałów sprzedał Tereszczence, słynnemu z nabywania bez końca majątków od Polaków na Wołyniu i Ukrainie Małorosjaninowi; a i Dryhłowa wolnym od długów nie zostawił.

Dzieci mieli czworo: Józefa, Franciszka, Marję i Anielę. Obaj synowie, chowani na żądanie matki w Tarnopolu u Jezuitów, pożenili się młodo; Józef wziął za żonę cioteczno rodzoną siostrę Jadwigę Kulczykowską, urodzoną z Anieli z Głębockich, i zmarł w młodym wieku, pozostawiając jednego syna Albina. Pani Jadwiga w 1900 r. wyszła powtórnie zamąż za Litwina p. Cwirtuna, wysokiego urzędnika w sądownictwie orenburskiem. Franciszek poślubił córkę najmłodszej siostry mojej,

Jadwigę Stecką. Dzieci nie mają. Oboje są dla mnie sympatyczni i bliscy; gorącem zaś mojem życzeniem jest, aby nie szczędząc ofiar zdołali ocalić resztę ojcowizny. Z córek starsza, Marja, wyszła za Pawła Bejzyma, syna smutnej pamięci Jana, urodzonego ze Stadnickiej. Oboje nie cieszą się dobrem imieniem: on słynny jako matacz w interesach, ona znana z intryg i niedość srogiej moralności. Mają dość liczne potomstwo, zaś gdy to piszę, prowadzą sprawę rozwodową. Młodsza Aniela, niezasłużenie przez matkę, siostrę i szwagra spotwarzana i gnębiona, dotąd była niezamężna; obecnie dowiaduję się o bliskim terminie ślubu z panem Siemaszko. Po śmierci Aleksandra Piotrowskiego w ciągu lat kilku dział nie mógł dojść do skutku skutkiem intryg Bejzymów i matki.

Z trzech córek pana Albina najstarsza, Marja, zaślubiona Leonowi Gośniewskiemu, jest obecnie matką trzech zamężnych córek i babką. Druga zkolei Bożenna za Leonardem Bośniackim, moim kolegą więziennym i dobrym znajomym, ma syna Florjana, ożenionego z córką adwokata Powalskiego; drugi syn, Władysław, nie żyje. Obie siostry, Gośniewska i Bośniacka, owdowiałe przed kilku laty, mieszkają w majątkach mężów; pierwsza w Oradówce pod Humaniem, druga w Mecherzyńcach koło Lubaru. Trzecia Kamila pozostała panną i mieszka u Gośniewskich.

Jedyna córka podkomorzego z Proskurzanki, Aleksandra, urodzona w 1801 r., zmarła w 1875 r., starsza o lat jedenaście od mojej matki była jej doradczynią i przyjaciółką. W domu zaś p. Albina, którego do zgonu nie opuściła, uważaną była jako opatrzność, otaczana bezwzględną czcią młodego pokolenia. Odziedziczyłem po mojej matce jej fotografję, którą zaliczam do najdroższych mi pamiątek.

Gdy przypominam sobie inne stosunki sąsiedzkie rodziców, staje mi w myśli wieś Lipna, pięć wiorst tylko od nas odległa, dzierżawiona przez ciąg lat całych przez pana Żyrosława Jastrzębskiego, ożenionego z Urbańską. Z tym domem mieli rodzice dość zażyły stosunek. Moją rówieśnicą była najstarsza z panienek, Elodja, która zmarła panną; młodsza Ludwika, zaręczona z Lichtańskim, skazanym w 1863 roku do ciężkich robót, czekała na jego powrót z wygnania, wyszła za

narzeczonego i przeżyła go. Mieszka w Warszawie, gdzie utrzymuje czytelnię. Najmłodszy z dzieci pp. Jastrzębskich, Józef, służył krótko w wojsku, ożenił się z zamożną panną Bohdanowiczówną i zmarł młodo, zostawiając kilkoro dzieci. W Lipnej bawiono się często i wesoło; dla dzieci zaś urządzano teatra amatorskie francuskie w granicach repertuaru dzieł Berquin'a. Kobiety były sympatyczne; pan domu, nieskończenie naiwny, bywał przedmiotem złośliwych mistyfikacyj, z których najgłośniejszą zapamiętałem. Był to fikcyjny pojedynek, w którym jako świadek brał udział p. Żyrosław. Strona, która miała prawo do wyboru broni, obrała dubeltówki, figlarze zaś sekundanci nabili je umiejętnie żórawinami; gdy więc wyzwany dał pierwszy strzał, a jagody koszulę przeciwnika suto zabarwiły, Jastrzębski, który nieraz słyszał o odpowiedzialności sekundantów, sądząc że strzał jest śmiertelny, nie tracąc czasu na sprawdzenie zaczął uciekać przed siebie myśląc o przekroczeniu granicy; w tym zapale, przeoczywszy rów, upadł i potłukł się szkaradnie, co dało możność obecnym zatrzymać go a potem dokuczać mu ustawicznie żartami i docinkami. Lipna przeszła w posiadanie Knollów i dziś jest własnością córki pana Eligiego, Nowakowskiej.

O parę wiorst za Lipną w stronę miasteczka Lubaru znajduje się wieś Kutyszcze, której większa część należała do wdowy pani Edwardowej Krajewskiej z domu Wilamowskiej, przy której mieszkali dorośli naonczas synowie: starszy znacznie od brata Cezary, birbant i próżniak, i młodszy Juljan, kończący szkoły, tudzież dwie niemłode panny, Wiktorja i Józefa. Pani Edwardowa i Cezary oddawna pomarli; Juljan ożenił się ze Święcicką i oboje też dziś nie żyją; pozostawili rozprószone po świecie liczne potomstwo, a majątek za życia cząstkami sprzedawali; ocalał tylko dom i ogród wraz z kawałkiem pola i obecnie służą za przytułek dla sióstr, z których młodsza, wyszedłszy za Pągowskiego, miała dwie córki dziś zamężne. Starsza, Józefa, pozostała panną. I z tym domem łączyła rodziców zażyłość za życia p. Edwardowej, siostra zaś moja Stecka była w dobrych stosunkach z p. Juljuszową. Ze wspomnianych Kutyszcz pochodzi Berezowski (do którego rodziny należała część tego majątku), głośny swego czasu z bezcelowego zamachu na życie cesarza Aleksandra II. w Paryżu.

Blisko Lubaru we wsi Awratynie mieszkali pp. Spirydjonowie Ostaszewscy, którzy przenieśli się w nasze strony z Ukrainy. Pan domu, dzielny oficer wojsk polskich z r. 1831, pani, Bujalska z domu, paląca wciąż fajeczkę na krótkim cybuszku, starannie ubrana, jeżdżąca tylko karetą bodaj najpotworniejszą, wleczoną przez sześć koni z pługa wyprzężonych, znana była z gościnności. Małżeństwo to na oko nie dobrane kochało się wszakże bardzo i miało jedyną, wielkiej wartości córkę, pannę Marję. Czci najgodniejsza ta sióstr moich i żony mojej przyjaciółka uczyniła po śmierci rodziców dom swój otwartym dla niedoli i potrzeb ludzkich, a przygarnięte staruszki i sieroty często nie znały granic w wyzyskiwaniu uczynności i nieskończonej dobroci swej chlebodawczyni i dobrodziejki.

Drugą połową Awratyna władali pp. Mażewscy. Głowa rodziny, dymisjonowany oficer wojsk rosyjskich, w sile męskiego wieku wstąpił w szeregi powstańcze w 1863 r. Jako dowódca szwadronu w oddziale Różyckiego, bił się walecznie; ranny emigrował, pozostawiając rodzinę na opiece najbliższej sąsiadki, na sercu i uczynności której się nie zawiódł.

W Bratałowie Wielkim mieszkały dwie rodziny: nowonabywcy a dalecy krewni nasi pp. Pawłowie Kalitowicze, rodzice dwóch niemłodych dziś panien, które ojciec dawno odumarł, i Surynowie, z których jeden jako młodzieniec wziął udział w walce 1863 r. pod Różyckim, a po powrocie z wygnania ożenił się z panną Bielińską, córką Ferdynanda, urodzoną z Rakowskiej; mieszkają zaś w chwili, gdy to piszę, w swoich futorach pod Żytomierzem i mają kilkoro dziatek.

W Kowalenkach mieszkał p. Aleksander Zaleski, zacny sąsiad, i dwie jego rodzone siostry, które po matce jako Rosjance zaliczone zostały przymusowo do spisu osób wyznania schyzmatyckiego i zostały staremi pannami; dobrze myślący bowiem Polacy poślubić ich nie mogli; mniej dobrych a tem bardziej Rosjan one nie chciały. Obie były przedmiotem najwyższej czci i szacunku całego sąsiedztwa.

Borkowce należały do wdowy Karolowej Burzyńskiej z domu Jabłonowskiej, która miała pięciu synów i dwie córki. Trzech synów: Stanisław starszy ode mnie, Jan mój rówieśnik, i Tadeusz młodszy ode mnie, wzięli udział w powstaniu 1863 r. pod Edmun-

dem Różyckim i wszyscy trzej emigrowali. Jan ożeniony z hr. Józefą Eleonorą Czapską, córką hr. Franciszka i Michaliny z Czapskich, osiadł w Galicji; ma kilku synów i dwie córki. Przykładny ziemianin i ojciec rodziny, Tadeusz, wrócił do kraju, wyrobił sobie prawo zamieszkania w rodzinnych Borkowcach, objął je w zarząd, pospłacał rodzinę, uratował majątek, stworzył nowe folwarki na karczowiskach, urządził wielką gorzelnię itd., słowem, wydźwignął zagrożoną upadkiem ojcowiznę.

Z dwóch najmłodszych synów pani Karolowej, Wacław, złemi chodził drogami i zmarnował się. Jerzy zaś zdziczał, wiódł życie odludne, a nie umiejąc walczyć o byt stał się ciężarem rodziny. Z panien Burzyńskich starsza, Marja, wydana za Adolfa Przeciszewskiego ze Żmudzi, dziś wdowa, przykładna matka licznej rodziny, po stracie męża umiejętnie kierowała gospodarstwem i interesami, przytem była miłą i dobrą osobą. Spotkałem ją przed paru laty u brata Tadeusza w Borkowcach, gdym go odwiedził i odniosłem budujące wrażenie, ujrzałem w niej bowiem matkę rodu z przyszłością. Młodsza, Karolina, ułomna nieco, acz ujmującej powierzchowności, oddała swą rękę Paszkowskiemu, korepetytorowi braci Wacława i Jerzego, wkrótce po zamążpójściu owdowiała, a i sama niedługo przeniosła się do lepszego życia. Była matką licznej rodziny; jedna z jej córek jest żoną głośnego dzisiaj jako przywódcy socjalizmu, posła Daszyńskiego w Galicji. O losach innych dzieci pani Karoliny nic więcej pewnego nie wiem. Tadeusz Burzyński, ożeniony z wdową, panią z Męcińskich Wróblewską, przekazuje jako bezdzietny cały swój majątek jednemu z synów Jana, którego usynawia. Wogóle, większość mnie współczesnego i młodego pokolenia w tej rodzinie jest zacna i patrjotyczna. Z domem tym łączył nas stosunek serdeczny; szczególniej sympatyzowałem i przyjaźniłem się z Janem, którego, szczerze tu mówiąc, pragnąłem bardzo mieć za szwagra, lecz losy chciały inaczej.

Troszcza należała do rodzonego brata p. Karola, Bolesława. Był on dwukrotnie żonaty, z dwoma Pułaskiemi, których trzecia siostra, uczona panna Ludwika, mieszkała przy nich stale. Jedyny syn Bolesława, Kazimierz, znany z prac historycznych, dzieckiem prawie odbył powstanie 1863 r. pod Różyckim; był na emigracji, przeważnie w Turcji, a powróciwszy do majątku

macierzystego Kopczyniec, ożenił się z Pruszyńską. Troszczę zaś za długi sprzedaną nabył Trepow; dziś jest ona własnością córki tego ostatniego, pani Nierode. Oprócz syna mieli Burzyńscy dwie córki, które obie pozostały pannami.

W Dąbrówce mieszkała rodzina Szczęsnego Potockiego. Były tam cztery panny na wydaniu: Klementyna, Cecylja, Fortunata i Idalja. Jedna z nich tylko, Fortunata, wyszła za Wasiutyńskiego, inne pomarły niezamężne.

W Krasnopolu dostatni wiedli żywot niemłodzi kawalerowie, z Giżyckiej urodzeni: Kajetan i Władysław Oskierkowie, właściciele tego pięknego majątku, w którym sobie ładny pałacyk zbudowali. Byli to zgodni bracia, dobrzy i gościnni gospodarze. Spotykało się tam wiele osób, szczególnie na imieninach obu panów; pocichu powtarzano sobie, że w 1831 r. stchórzyli, ale w oczy ściskano ich serdecznie, bo karmili, poili i gościli suto. Na lat kilka przed śmiercią djabeł, który ich zgody nie mógł nadwerężyć, posłał babę. Kajetana opętała z Radziwiłłów Chrapowicka, siostra Tyszkiewiczowej i Adolfowej Grocholskiej, która prowadząc na oczach Oskierki romans prawie jawny z Ernestem Rzewuskim, skutki jego to jest oczekiwane rozwiązanie potrafiła zwalić na męża, ku wielkiemu zadowoleniu sędziwego, ale farbującego się i pełnego jeszcze pretensji p. Kajetana. Ratując sytuację, ożenił się i starszy brat Władysław, około siedmdziesięciu lat mający, monstrualnie otyły, z młodziutką kuzynką Oskierczanką, która po stracie małżonka wyszła za Markowskiego, bardzo zacnego i sympatycznego człowieka. Fortuna Oskierków prawie cała rozpłynęła się. Krasnopol przeszedł na prawach długoterminowej dzierżawy do rąk Wacława Mazarakiego, ożenionego z ks. Czetwertyńską.

Januszpol posiadali w połowie pp. Władysławowie Hulewiczowie. Znałem samego pana, drugą żonę jego z Chojeckich i syna Ernesta z pierwszej żony Straszyńskiej, siostry marszałka Henryka. Synów zaś Ernesta, z Anny Jastrzębskiej urodzonych, spotykałem obu w Nałęczowie w czasie sezonów. Drugą połową Januszpola władali Piegłowscy, których smutne dzieje, jako pełne ujemności, pomijam.

Krasnosiółka z przyległościami była własnością ks. Wilhelma Radziwiłła, które to dobra odziedziczył po Cecylji z Morz-

kowskich Radziwiłłowej. Żonaty z Czeszką, p. Neruda, mieszkał najczęściej w swoich dobrach ukraińskich, w Kijowie, lub zagranicą. Osobiście nie znałem go wcale. O skandalach w jego najbliższej rodzinie niemało mówi Bobrowski. W 1863 r. zwarjował, a że w polskim stroju zjawił się u jenerał-gubernatora, aresztowano go mimo, że był w stanie niepoczytalnym, osądzono, zesłano i pozbawiono majątku.

W Cudnowie rzadko mieszkał jego właściciel, Henryk Rzewuski, którego w dzieciństwie mojem wcale nie znałem. Wspomnę więc o poznaniu się z nim na innem miejscu.

Romanów należał do senatora Augusta Ilińskiego, a następnie do syna jego Henryka i do córki tegoż, Henrykowej z Ilińskich Steckiej. Została mi dokładnie w pamięci zgrzybiała postać starego senatora. Syna jego Henryka raz tylko w życiu widziałem. Pałac romanowski zwiedzałem kilka razy przed 1863 r., a więc przed pożarem. Uwiecznił go Wilczyński w swoim albumie, ale tylko zewnętrznie. Szkoda wielka, że nie zostały odtworzone kaplica, sale i zabytki starożytności w postaci mebli, bronzów, malowideł, rzeźb i mozaik. Był to wspaniały budynek, który wznieść kazał senator naśladując sposób budowania Petersburga przez Piotra Wielkiego, bo bić kazał pale na bagnach i na nich dopiero zakładał fundamenta. Ogień zniszczył doszczętnie to dzieło sztuki. Część uratowanych ruchomości, jako składająca się z arcydzieł artyzmu i sztuki stosowanej, rozchwytaną została przez miłośników i handlarzy i rozprószyła się niepowrotnie po całym świecie. Odrestaurowano starą oficynę na rezydencję Steckich, która dotychczas zastępuje im pałac.

Mołoczki były siedzibą pp. Nepomucenów Giżyckich. Pani była z domu Walewska; mieli trzy córki i syna jedynaka Kazimierza. Rodzice moi unikali stosunków z możnymi sąsiadami, które zwolna, nieodzownie wszakże, prowadzić musiały do życia nad stan, czego mój ojciec starannie się wystrzegał. I z Giżyckimi więc, aczkolwiek dobrze znanymi, nie komunikował się nawet po powrocie do kraju wuja, Michała Budzyńskiego, zaprzyjaźnionego z tą rodziną. Młody Kazimierz Giżycki, mój rówieśnik, którego poznałem w Żytomierzu, zmarł w dzieciństwie z suchot. Córki powychodziły wszystkie zamąż: najstarsza Al-

bertyna za Zamojskiego, średnia Jadwiga za Giżyckiego, najmłodsza Michalina za Leonarda Szaszkiewicza, a wszystkie przymnożyły mężom fortun.

Nasłuchałem się w dzieciństwie mojem o głośnych swego czasu figlach eksrotmistrza huzarów, ozdobionego krzyżem Włodzimierza, Karola Burzyńskiego z Borkowiec, przedmiotem których w przeważnej części był p. Nepomucen Giżycki, który jako mniej wojowniczego usposobienia nie zdołał sobie z Burzyńskim poradzić. Sąsiedzi ci żyli z sobą długie lata w najlepszej zgodzie, a powód pierwszego zajścia, w następstwa obfity, był zupełnie błahy.

Do Borkowiec zjechali znajomi i przyjaciele Burzyńskiego na polowanie; gdy im zabrakło kniei, napisał p. Karol list do sąsiada Giżyckiego, prosząc o pozwolenie polowania w jego lasach. Pan Nepomucen serdecznie wszystkich zaprosił i przygotował się do przyjęcia gości w lesie i w domu, Burzyński zaś przywiózł ze sobą niemniej sute zapasy. Nastąpiły spory, kto ma gości podejmować. Burzyński, nie mogąc argumentami przekonać Giżyckiego, kazał jego kotły powywracać i swoją zastawę wraz z jadłem wyładować. Giżycki obrażony opuścił towarzystwo, które po śniadaniu wróciło do Borkowiec. Opowiadano, że w kilka miesięcy po tem zajściu Burzyński, nałapawszy szczurów, które w klatkach karmił, parę worków tych stworzeń, kazał wytrząść w sieni pałacu mołoczkowskiego, czem przysporzył niemało kłopotu właścicielowi. Inną znowu razą karczmę Giżyckiego pod lasem w nocy rozebrać kazał itp. itp. Tych zajść dotąd zapomnieć nie może obecna właścicielka Mołoczek, pani Albertyna z Giżyckich Zamojska, i mimo najbardziej pokojowe usposobienie dzisiejszego dziedzica Borkowiec, p. Tadeusza, stara się odpłacić synowi za ojca. Karol Burzyński był znany z prawości i uczciwości, ale napadała go czasem nieumiarkowana chętka robienia figli, której oprzeć się i opanować nie umiał. Słyszałem o jego psotach kilka opowieści, i tu powtarzam to, co mi z tych opowiadań w pamięci pozostało.

Mieszkała w Żytomierzu p. jenerałowa Kulbakin, z domu Suffczyńska, krewna Burzyńskich; miała ta pani trzech synów prawosławnych, z których dwóch służyło w gwardji, jeden zaś poświęcił się stanowi duchownemu, sama zaś z jedynaczką córką,



Fig. 12. Jan Burzyński.

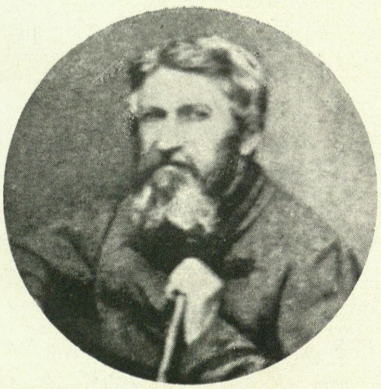


Fig. 13. Michał Budzyński.

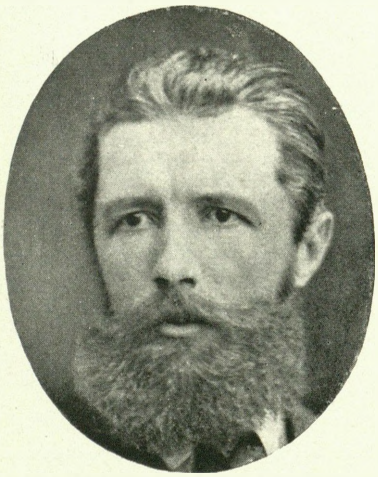


Fig. 14. Leonard Sowiński.

niemłodą już panną, oddane były wyłącznie dewocji, co umiała godzić z tak niekatolickiemi czynami, jak wydanie na świat trzech synów wrogiej dla nas religji i narodowości. Małżeństw mieszanych w owym czasie nie tolerowano, to też wszyscy od pani Kulbakin stronili, mając jej postępek w słusznej pogardzie i w śmieszność starając się obrócić jej wielką pobożność tak sprzeczną z uczynkami.

Burzyński przez swawolę nauczył swego pudla naśladować jenerałowę chłodzącą się wachlarzem i często w towarzystwie dawał psu pytanie:

— „Jak się Kulbakinowa wachluje?“ — na co pies położywszy się na grzbiecie machał sobie przed nosem przedniemi łapami, ku wielkiemu zadowoleniu widzów. Ktoś doniósł o tem tej pani, która spotkawszy Burzyńskiego robiła mu gorzkie wymówki, a nawet pogroziła, mówiąc, że ma w gwardji dwóch synów, którzy potrafią się upomnieć o obrazę matki. Pan Karol wiedząc, że mama jako ultramontanka żenowała się syna popa, jakkolwiek to był człowiek wyjątkowych cnót i wykształcenia w ówczesnym klerze prawosławnym, składa najpokorniej ręce jak do modlitwy i głosem wzruszonym odzywa się:

— „Szanowna kuzynko, jeżeli przyjdzie do tego, że mię dwaj twoi rycerze z gwardji zamordują, uproś twego trzeciego, archireja, żeby mnie pochował“.

Na to, naturalnie jenerałowa odskakuje o kilka kroków od Burzyńskiego i ucieka, widząc, że się jej jeszcze więcej dostać może od niepoprawnego figlarza.

Opowiadano znowu, że w czasie jednej z zabaw u Burzyńskich w Borkowcach dano znać gospodarzowi domu, że w pokoju jednego z gości, p. Medarda Szaszkiewicza, jakiś żyd, który w interesie doń przybył, rozebrał się i położył do łóżka jego, twierdząc, że mu się to należy, bo jadąc po swoje pieniądze zmarzł i uważa wygrzanie się w łóżku dłużnika jako słusznie przypadający mu procent od procentu. Jak oparzony wpada Burzyński do pokoju Szaszkiewicza i wyciągniętego z łóżka winowajcę każe służbie oćwiczyć dla rozgrzania, którego w cudzej pościeli szukał. Gdy zaś żyd wrzeszczy wniebogłosy, że mu jest za gorąco, poleca oprawcom ochłodzić go zimną wodą, a potem powrócić znowu do mechanicznego ogrzewania. Tak

haniebnie uraczony delinkwent uznaje za najwłaściwsze wycofać się jak najprędzej z tej łaźni. Poszkodowany był zamożnym kupcem, który wkrótce potem nabył na wyrąb część lasów karpowieckich graniczących z Borkowcami, żywiąc zapewne w skrytości nadzieję znalezienia okazji do zemsty za oblewanie i nacieranie, które mu bez polecenia lekarza w Borkowcach stosowano. Sposobność taka wkrótce się nadarzyła. Gdy Karol Burzyński, korzystając z pozwolenia polowania w tychże lasach, przybył tam z licznem towarzystwem, a wyprzedziwszy je znalazł się niespodziewanie wśród licznych robotników, uzbrojonych w siekiery, którym przewodniczył kupiec dobrze mu znany z historji z Szaszkiewiczem, żydzisko, ujrzawszy nienawistnego wroga bez otoczenia, począł namawiać ludzi do pochwycenia go. Pan Karol tymczasem zauważywszy, że się coś niedobrego święci, dał trąbką sygnał wzywający myśliwych, sam zaś zwolna cofać się począł, a połączywszy się z całem towarzystwem doskoczył do miejsca, gdzie się rąbanie odbywało, i spuściwszy ze smyczy charty, poszczuł niemi tak skutecznie żyda, że ten ratując się wgramolił się na drzewo, uważając je za bezpieczne schronienie. Tymczasem Burzyński rozkazuje to drzewo rąbać, by żyda ukarać cieleśnie; ten więc ze strachu, wobec podniesionych nad drzewem siekier, złazi dobrowolnie i chcąc nie chcąc poddaje się plagom. Tą razą zrzekł się już raz na zawsze poszukiwania swej krzywdy widząc, że nie podoła mocniejszemu przeciwnikowi.

Innym razem Burzyński, będąc w podróży, stanowego prystawa (pomocnika sprawnika czyli naczelnika powiatu), który się go natarczywie o paszport dopraszał, kazał rozebrać, związać zdjętą zeń bielizną ręce i nogi i wrzucić do pokrzyw w ogrodzie opustoszałej karczemki w lesie i t. p.

Pan Karol rozwinął w sobie tę skłonność do figli, trzymaną nie zawsze w mierze właściwej, przez obcowanie z ówczesnymi bałagułami, których królem był Antoni Szaszkiewicz, krewny Burzyńskich, mieszkający we wsi Bieżowej na pograniczu Podola, a świeżo uwolniony z więzienia, gdzie się potrafił wywinąć od odpowiedzialności za udział w Stowarzyszeniu Ludu Polskiego. Krążyły w swoim czasie o tem wycofaniu się od odpowiedzialności złośliwe półsłówka. Arcybiskup zaś warszawski, ks. Zygmunt Szczęsny Feliński, sformułował stanowczy

zarzut zdrady i zapewne mieć musiał do tego dostateczne powody. Toż samo mu zarzuca Bobrowski, czerpiąc zupełnie z innego źródła, bo z niewydanych pamiętników Zygmunta Starorypińskiego, który będąc bardzo młodym do Stowarzyszenia Ludu Polskiego należał. Szaszkiewicz wszakże, o ile pomnę, przewidywanych w podobnych wypadkach następstw robionych mu przez współwięźniów zarzutów ze strony opinji publicznej nie doznawał. W dalszym ciągu królował bałagułom, dobierał czwórki i bogatym paniczom za duże pieniądze sprzedawał, pieśni rusińskie z wielkim wdziękiem śpiewał przy teorbanie, co mu pewną popularność wyrobiło; i z każdej chwili korzystał, by za przykładem ojca, słynnego swego czasu z dowcipnych psot, na każdym kroku płatać figle. Wybryki dobrego humoru Szaszkiewiczów, ojca i syna, tak się w ustnych podaniach miejscowych pomieszały, że często jedni przypisują tęż samą psotę ojcu, którą inni zwalają na syna.

W pamiętnikach ks. arcybiskupa Felińskiego znaleźć można cały szereg anegdot o ojcu, ja zaś przytoczę tutaj kilka głośniejszych, których pomysł i wykonanie przypisują synowi, a czynię to dlatego, iż figle te jako też wybryki Burzyńskiego mocno uwydatniają lekkomyślny kierunek pewnej części społeczeństwa na Rusi mimo ciążące na kraju kajdany.

Otóż opowiadano, iż pewnego razu Antoni Szaszkiewicz, spotkawszy chłopa, którego woły ociągały się na błotnistej drodze pod górą, poradził mu, aby wykrzesał ognia i hubkę tlejącą się pod ogony im podłożył, a gdy skutek okazał się nad wyraz pomyślnym, bo chłop nie mógł wołów dogonić i już ponownie zwrócił się po radę do Szaszkiewicza, kazał mu tenże zachodząc się od śmiechu to samo sobie uczynić! Nosił on zwykle w kieszeniach po kilkanaście pustych orzechów laskowych prochem naładowanych, aby je wrzucać pokryjomu do garnków z żarzącemi węglami, przez przekupki do ogrzewania się w czasie mrozów używane, stojące pod stołkami, na których siedzą, a wysuwane dla ogrzewania rąk przy sprzedawaniu owoców i t. p. Takiemi wybuchowemi orzechami, podstępnie wrzuconemi do garnków, utraktował pewnego razu Szaszkiewicz cały szereg żydówek, handlujących w małem miasteczku Cudnowie. Skutek był humorystyczny; przekupki dawały kozły,

jedna po drugiej, a autor figla był już na bryczce zaprzężonej czterema rączemi końmi.

Kiedyś znowu, przebrany za żandarma aresztował swego domowego nauczyciela, woził go po całej okolicy, a wkońcu zamknął we własnym lochu, poczem w swojej już postaci przychodził niby ratować przyjaciela, ułatwiając mu ucieczkę, ale przy każdem usiłowaniu wydobycia go z podziemia jakby przerażony krokami nadchodzącego szyldwacha puszczał swą ofiarę na dno dobrze wysłanego słomą więzienia. Takie dotkliwe żarty trwały do rana, a wydobyty nareszcie więzień znalazł się ku wielkiemu swemu zdumieniu w pobliżu własnego mieszkania.

Szaszkiewicza osobiście nie znałem, słyszałem jednak o nim zawsze dużo i przykro mi było dowiadywać się o czynionych mu zarzutach, tem więcej, że jako żołnierz bił się w 1831 r. jak lew, zaś w 1863 przybył do obozu Różyckiego, oddał mu swoich trzech synów i pragnął sam stanąć w szeregu, czego mu jednak dla podeszłego wieku odmówiono. Mówię tu o tem, bo mi trudno pogodzić patrjotyczne uczucia tego człowieka z obojętnością, z jaką nie próbował oczyścić się w opinji publicznej z czynionych mu przez poważnych bardzo ludzi zarzutów zdrady.

Właściciele Semenówki i Rohoźnej, pp. Garlińscy, słynęli jako dom w najwyższym stopniu gościnny i uczynny, co ich o ruinę przyprawiło. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Rohoźna przeszła ponownie w posiadanie syna i córki państwa Garlińskich. Ostatnią, zamężną za kolegą moim Adamem Radlińskim, znaliśmy dobrze i ceniliśmy, jako osobę pełną zalet.

Karpowce, któremi długi czas zarządzał późniejszy marszałek gubernjalny szlachty kijowskiej, Leonard Madejski, jako majątkiem pierwszej swej żony z Karwickich, po ukończonym rozwodzie powróciły we władanie pani, a po jej powtórnem zamążpójściu za p. Aleksandra Siennickiego były przez tegoż dość starannie administrowane. Wspaniale przedstawiały się tu ogrody owocowe i kwiatowe, uprawiane z wielką znajomością i gustem. Pan Siennicki przeżył żonę; uznaniem ani też sympatją sąsiadów nie cieszył się; szczególnie zarzucano mu nieuzasadniony proces z Madejskim, który wygrał jedynie dlatego, że przeciwnik nie posiadał prawnych dowodów rzeczowych. Majątek po-

zostawił w dość dobrym stanie, jak na owe ciężkie czasy. Syn jego Stefan, zacny człowiek, ożenił się idąc za uczuciem z krewną moją Izą Trypolską, córką Piotra; mają dwóch synów w zakładach naukowych, starszy studjuje w Kijowie medycynę.

W Wołosowie rezydowali pp. Mieczysławowie Trzeciakowie (ona Kornelewska z domu). Od tego domu ojciec mój zawsze stronił twierdząc, iż pan Mieczysław podniósł samolubstwo w swych teorjach do zasady, tak dobrze w stosunkach narodowych jako też rodzinnych. To też wychodził zawsze obronną ręką ze wszystkich wstrząśnień krajowych, a o stosunku jego do brata Włodzimierza, który został skazany na zaludnienie nie za sprawę polityczną, dużo a bardzo różnie w swoim czasie mówiono. Nie był to dom pański, ale pyszno-skąpski, pół pański, tak co do trybu życia jak i co do ogólnego kierunku. Młodego pokolenia nie znałem wcale.

Kalijówkę posiadał p. Karol Jastrzębski, starszy brat p. Żyrosława, dzierżawiącego Lipnę. Ożeniony ze Sławuszewską owdowiał wcześnie. Był skończonym dziwolągiem. Głupi, bez zasad, pretensjonalnie ubrany, w peruce podobnej do kawałka starego zrudziałego futra, którą czernił, tańczył mimo sześciu skończonych krzyżyków i był postrachem panien na balach, tem więcej, że rękawiczki swe walał o wyczernioną perukę i zostawiał pannom, z któremi tańczył, ślady fiksatoarów na jasnych sukniach. Miał dwie córki. Jedną była smutnej pamięci Melanja, zaślubiona Antoniemu Duninowi, którego opuściła (widząc iż wypadki 1863 r. zrujnowały go) dla bankiera Rawicza, kolegę wygnania męża w Orenburgu, za którego następnie wyszła. Druga Anna za Hulewiczem zmarła młodo, pozostawiając dwóch synów i najlepszą w rodzinie i wśród sąsiadów opinję.

W Bejzymówce w czasach mego dzieciństwa mieszkał Tadeusz Bukar, krewny naszych krewnych. Miał dwie córki, słynne z wdzięków i flirtu, naówczas zwanego kokieterją. Bejzymówkę sprzedano niedługo Sawickiemu. Koroczenkami władał Antoni Miaskowski, zaś Babuszki należały do brata jego Felicjana. Stosunków z tą rodziną w owym czasie dom nasz nie utrzymywał. W Steckowcach była kollokacja; oprócz krewnego naszego Juljana Trypolskiego i brata mojej wujenki Sewerynowej Budzyńskiej, Karola Piotrowskiego, byli tu jeszcze posiadaczami

pp. Niceforowstwo Macewiczowie, dwaj starszy kawalerowie Żółkiewscy i Liskowaccy.

Zamykając ten pobieżny przegląd naszego sąsiedztwa i naszych z niem stosunków, nie mogę zamilczeć o tem, jakie wpływy i wrażenia zostawiło to otoczenie w moim młodocianym umyśle. Streszczając to, co o tem sądzę, w dwóch słowach, mówię śmiało i wyraźnie, iż większość tych wpływów była ujemną, tak w życiu dworów szlacheckich jako też w ich stosunkach do otoczenia.

Na całym obszarze Wołynia od dawien dawna osiadały możne rody, a zamki ich, pałace, uczty, bale i cugi budziły mimowolnie w szlachcie, okolicznej każdej pańskiej rezydencji, chęć naśladownictwa, niczem nieusprawiedliwionego, następstwem zaś tego było życie nad stan, zakończone zwykle ruiną i sprzedażą ojcowizny. Domy szlacheckie, w których hasłem była praca, życie zastosowane do środków, rozumna oględność i oszczędność, zaliczały się do niesympatycznych majątków dla ówczesnej większości. Kończenie wyższych zakładów naukowych przez synów szlacheckich uważało się również za zbyteczne. Do wykwalifikowanych agronomów zaś żywiono uprzedzenia, które wypowiadano bez żadnych ogródek. Przyszli posiadacze znacznych dóbr przygotowywali się do swych ważnych obowiązków próżnując, zbijając bąki i pędząc życie koczowników, przelatujących olbrzymie przestrzenie kraju, by się przenosić z balu na bal, z polowania na polowanie. Wśród tych szalonych zabaw szukano zwykle bogatego ożenku, by posagiem panny popłacić kawalerskie długi i zaciągać nowe na rachunek spadku po rodzicach swoich i żony. Podróże zagranicę bez wyraźnego celu, dla rozrywki i zabawy, przeważnie do domów gry, takież wycieczki do Petersburga, Warszawy, Kijowa i połączone z temi podróżami zadłużanie się bez miary i granic — wszystko to razem pochłaniało codziennie piękne fortuny szlacheckie, a często i pańskie. Najbardziej demoralizująco wpływać musiał na szlachtę nienormalny jej stosunek prawny do włościan, pozwalał on jej bowiem dzięki pańszczyźnie nie pracować osobiście i spuszczać się na podwładnych oraz służbę i często, gdy się ta służba jak myszy bez kota znalazła, najważniejsze sprawy pozostawały na opiece Opatrzności. Łatwo zdobyte środki szły na marne, a większość przykładów, na jakie

się młode pokolenie we dworach szlacheckich zapatrywało, nie była budująca.

Niezależnie od szkodliwego a obustronnego wpływu pańszczyzny, który musiał demoralizować panów i ich podwładnych, sama przez się była ona wstrętną i odrażającą, nie mogła też liczyć na uznanie dzieci, których pojęć nie zaćmiewały względy egoistyczne. Pamiętam wybornie, jak będąc chłopięciem oburzałem się i martwiłem, patrząc na te stosunki. I chociaż mój najdroższy ojciec był dbałym o swych włościan i nigdy względem nich nie popełnił najlżejszej niesprawiedliwości, przecież go oni kochać nie mogli właśnie dlatego, że był panem, a więc miał prawo niemal życia i śmierci nad każdym ze swoich poddanych. Jakkolwiek nigdy tego prawa nie używał, ale mógł go w każdej chwili użyć, a tego dość było, by nań okiem miłości nie patrzano. Ze szlachtą zagonową stosunek był również smutny, obchodzono się z nimi gorzej jeszcze niż z włościanami, bo byli dworom mniej materjalnie potrzebni. Nie dbano więc o nich zupełnie i lekceważono, zapominając, że to byli jednoplemienni i jednego z nami wyznania osadnicy, krew z krwi, kość z kości naszych, a więc siła, która mogła znacznie wzmocnić naszą polską na Rusi kolonizację, gdyby możniejsza bracia czynnie dbała o wykształcenie i dobrobyt biedniejszych. Czas pokazał, ileśmy na tem stracili.

Z parochami wschodniego obrządku postępowano w wielu wypadkach niemniej bezmyślnie, więc dla sprawy szkodliwie, nie umiejąc przezwyciężyć wstrętu do małego wykształcenia i napół dzikiego obyczaju tych ludzi. Dogadzano sobie pomiatając nimi na każdym kroku, przyjmując ich w przedpokojach i tam karmiąc i pojąc. Znać zapomniano, że to są ludzie, którzy mają wpływ wśród parafji i że wrogo usposobieni sami wrogo też swą owczarnię będą usposabiać. Tam, gdzie ludzie rozumnie i serdecznie starali się na parochów wpłynąć we wsiach z prawosławną ludnością, mieli w nich nieraz prawdziwych wielbicieli i przyjaciół, co w kilku wypadkach osobiście sprawdziłem. Dziś już i z nimi jest daleko trudniej wobec rozbudzonych namiętności plemiennych i religijnych.

Nie więcej przykładnym był stosunek szlachty do żydów, których każda wieś po parę rodzin posiadała, miasteczka zaś

liczyły ich na setki. I tu brak myśli przewodniej i planu opracowanego co chwila czuć się dawał. Żyda miano zaledwie za człowieka najlichszego gatunku; co chwila obracano go w śmieszność i robiono przedmiotem żartów i swawoli, nieraz wszelkie granice przekraczających. Lecz gdy który z tych izraelitów porósł w pierze, acz nie przebierając w środkach, role się zmieniały. Żyd ujarzmiał szlachtę wekslami, a wtedy honorowano go, rękę mu podawano, na przyzwoitsze miejsca sadzano itd. itd. Następnie sam się już rozsiadał w salonie i w majątku, który jeśli nie sam, to przez pełnomocników licytował, kupował, sprzedawał, puszczając z kwitkiem swego niegdyś niemiłosiernego prześladowcę.

Tak ujemnie przedstawiały się objawy życia codziennego wśród gorszej części szlachty. Obok tego, najzacniejsi i najwykształceńsi ziemianie, ocaleni po pogromie, jakiemu uległo „Stowarzyszenie Ludu Polskiego na Rusi“ pod razami jenerał gubernatora kijowskiego Bibikowa i jego prawej ręki Pisarewa, nie ustawali ani na chwilę w szerzeniu szlachetnych kierunków i patrjotycznych dążności, unikając wszakże starannie formy sprzysiężenia, która tak świeżo a dotkliwie zawiodła. Wpływ tych ludzi był pod każdym względem niezmiernie dodatni dla naszego wówczas młodego pokolenia, które im, jako też ożywczemu zjawieniu się trzech wielkich mistrzów poezji zawdzięczało swoje ideały!

Oprócz sąsiedzkich stosunków z dworami musieliśmy ciągłą mieć styczność z najbliżej położonemi miastami i miasteczkami. Z pierwszych Berdyczów odległy był o wiorst 45, a Żytomierz o 70, z drugich Lubar o wiorst 15, Cudnów zaś i Romanów o 20. Jarmarki berdyczowskie ściągały do tego nawskróś żydowskiego miasta szlachtę okoliczną, która tu zaopatrywała się w powozy, konie cugowe, inwentarz, narzędzia rolnicze, towary bławatne i kolonjalne itd., a jednocześnie zbywała zboże, wełnę, wódkę itp. Gdy zaś Polacy mieli od wieków zamiłowanie do zabaw i rozrywek, zjawiały się tam w zajazdach żydowskich improwizowane teatry, koncerty, cyrki, menażerje; nadto urządzano bale składkowe i wieczory kartowe, nierzadko z grą hazardowną połączone. Ojciec mój często na tych jarmarkach bywał nie dla zabaw, lecz dla załatwienia potrzeb gospodarskich. Raz tylko jeden,

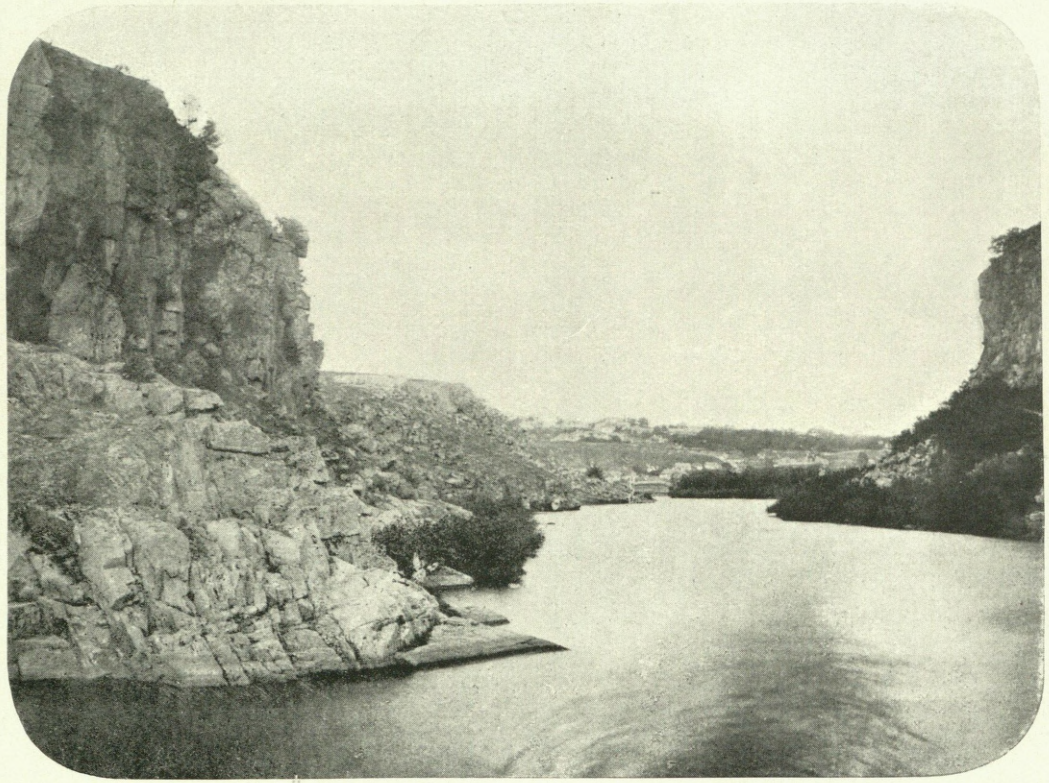


Fig. 15. Brzegi Teterowa.

gdym miał lat dziewięć, zabrał matkę i mnie ze starszą siostrą, by nas uraczyć cyrkiem, menażerją, teatrem marjonetek, a nawet prawdziwym teatrem, gdzie po raz pierwszy usłyszałem język polski na scenie w melodramacie: „Precioza“, w którym, ku wielkiemu memu zadowoleniu prowincjonalni artyści wystąpili w strojach hiszpańskich.

W Żytomierzu, dokąd mój ojciec często jeździć musiał w sprawach urzędowych, jako do naszego miasta gubernjalnego i powiatowego, byłem raz jeden tylko, gdyśmy przez to miasto przejeżdżali, udając się do Wołosowa, dla odwiedzenia pani Alojzowej Felińskiej, ciotki ojca mego.

Drobniejsze sprawy załatwiało się w miasteczku Lubarze, słynnem swego czasu (przed 1831 rokiem) ze zjazdów kuracyjnych, którym przewodniczył dr. Karol Kaczkowski. Że zaś kościół przy klasztorze dominikanów był naszą parafją, bywaliśmy w tem miasteczku co tydzień w niedzielę a często i święta. Po nabożeństwie zajeżdżaliśmy zawsze do zajazdu Zusia, starozakonnego starca z olbrzymią siwą brodą, by konie popaść i porobić sprawunki. W Lubarze pozostały mury dawnego ratusza z salami balowemi na piętrze i licznemi sklepami na parterze. Tutaj była apteka i mieszkało kilku lekarzy. U nas najczęściej używanym był dr. Hott, rodem z Badeńskiego, ale spolszczony. Mniej wziętym był Latour, Polak francuskiego pochodzenia. Najmniejszem powodzeniem cieszył się rodowity Polak, Andracki. Szkoły bazyljańskie, gdzie się mój ojciec i wujowie kształcili, zostały po roku 1831 zamknięte. Unicka cerkiew przeszła w posiadanie duchowieństwa obrządku prawosławnego. Mury klasztoru bazyljańskiego zaludniły mniszki prawosławne. Wszystko to smutnie oddziaływało na moją dziecinną wyobraźnię przy każdem odwiedzeniu parafjalnego kościoła. W Cudnowie i Romanowie bywaliśmy bardzo rzadko, w przejeździe tylko.

Poza stosunkami zewnętrznemi codzienne życie nasze domowe było jednostajne. Ojciec mój pracował od świtu do nocy wśród pól, lasów, stawów i młynów, rozporządzając osobiście najdrobniejszemi szczegółami, a wieczorami parę godzin trwały regestrowanie i dyspozycje. W zimie nawet zawsze coś się znalazło do roboty. Odwiedzanie rodziny i sąsiedztwa odkładało się zazwyczaj do czasu, gdy się najważniejsze roboty pokoń-

czyło, a mimo to ojciec mój narzekał zawsze na te przerwy jako przeszkody w systematycznej pracy. Niezależnie od ówczesnej tak zwanej „pańszczyzny“ wydawał ojciec po parę tysięcy rubli rocznie na najemnika, zawsze bowiem, o ile pomnę, prócz robót bieżących dokonywały się rozmaite meljoracje jak: karczowanie, czyszczenie lasu, kopanie nowych i oczyszczanie dawnych rowów, szlamowanie stawów itd. Wtórując ojcu, matka moja pracowała niemniej gorliwie w domu około gospodarstwa kobiecego i kształcenia dzieci; my zaś, patrząc na niezmordowaną pracę rodziców, budowaliśmy się pragnąc ich naśladować.

Przechodzę obecnie do szczegółów mego wychowania od chwili, gdy kierunek jego powierzony został nauczycielom. Pierwszym z nich, gdym ośm lat kończył, był niejaki Zieliński, którego ojciec znał jeszcze ze szkół bazyljańskich lubarskich jako nauczyciela proformy, przezwanego nie wiem dlaczego „pitakiem“. Uczył mię on w dalszym ciągu czytania, pisania i czterech działań arytmetycznych, nadto rozpoczął naukę geografji, niemniej naukę języków. Nie wielki to był talent pedagogiczny; rutyna, rutyna i jeszcze raz rutyna stanowiły całą sztukę jego nauczania. Rok przeszedł szybko, coś mi tam w skarbnicy wiedzy przybyć musiało, ale ile i czego, nie potrafię dziś określić dokładnie.

Poradzono moim rodzicom wziąć na domowego nauczyciela kurlandczyka, p. Gersztencwejga. Zmiana nastąpiła szybko; nazajutrz po wyjeździe p. Zielińskiego przybył jego następca, który znał dobrze języki, a co do przedmiotów trzymał się przeważnie używanych naówczas szkolnych podręczników. Z Gersztencwejgiem pracowaliśmy po 6—7 godzin dziennie, co mię, jak pamiętam, męczyło porządnie. Byłym wogóle dość pilny ale wątły i znużenie brało często górę nad dobremi chęciami. Mój nowy nauczyciel dawał mi zawsze po lekcji kartkę ze zdaniem, pisał ją po francusku (i tu była rutyna) notując zawsze „très bien“, czy było źle czy dobrze, co mię wkońcu oburzać zaczęło. Raz więc, gdym się wcale do zasługi nie poczuwał, a mimo to dostałem wyborne świadectwo, rzuciłem kartkę na stół i powiedziałem, że fałszów nosić rodzicom nie myślę. Rozgniewany profesor zaskarżył mię przed ojcem. Biedny, najdroższy mój ojciec, dzieląc w zupełności mój pogląd na tę sprawę, dał mi

jednak klapsa za formę, w której moje niezadowolenie objawiłem. Byłem zrozpaczony! Uderzenie ojca wydało mi się hańbą, której niczem zetrzeć nie zdołam; poszedłem więc do matki i jej się zwierzyłem z mojej niedoli, prosząc, by mi życie odebrała jako czci pozbawionemu. Wiele, bardzo wiele miłości i wymowy potrzeba było ze strony rodziców, by mię upewnić, że się myliłem. I już wtedy przekonałem się, że prawdą ciężko się rządzić na tym świecie. Mimo to pozostałem całe życie wierny wyznawanym w dzieciństwie zasadom.

O ile drażliwy byłem na moralną stronę uderzenia, o tyle bolu fizycznego nigdy się nie bałem, a przekonałem się o tem po raz pierwszy skutkiem małego wypadku. W wielkiej spiżarni mojej matki robiono zwykle masło w beczce z korbą, kręcąc ją bardzo szybko. Praw fizyki naówczas nie znałem, więc nie mogąc sobie zdać sprawy, dlaczego koniec osi przy szybkich wirowych obrotach znika z przed oczu, a pragnąc ostatecznie się przekonać, gdzie się podziewa, wpakowałem czwarty palec lewej ręki w punkt wirujący... i w jednej chwili pozbyłem się paznogcia, który oderwany upadł na ziemię. Gdy się to stało, ból mało mi dolegał, bałem się tylko przestraszyć moją drogą matkę; zmykałem więc co tchu i tylko silne krwawienie zdradziło moją przygodę.

Byłem w dzieciństwie bardzo ambitny. Rzadko kaprysiłem, ale i to mi się czasem zdarzało. Otóż razu jednego, powodu nie pomnę, beczałem jak na obstalunek, a wtem nadjeżdża nieznany mi gość, niejaki pan Czarkowski, galicjanin, i zastawszy mię w salonie tonącego we łzach rusza konceptem, zaczyna płacz mój wychwalać, proponując, abym jeszcze za trzy grosze zapłakał. Tak mię tem oburzył, że w jednej chwili płakać przestałem, mówiąc, że za pieniądze nie płaczę. Fakt ten miał miejsce, gdym zaczynał rok piąty; przytoczyłem go tu dlatego, że mi ten epizod z dzieciństwa, malujący jeden ze szczegółów mego usposobienia, utkwił w pamięci.

Mój nauczyciel, p. Gersztencwejg, spolonizowany kurlandczyk, stryjeczny brat ojca głośnego później dowódcy wojsk w Warszawie w czasie wypadków 1863 r., był dobrym i pracowitym staruszkiem, a po scenie ze świadectwem zmienił najzupełniej swoje ze mną postępowanie, stopniując ocenę wedle

zasług moich, na czem tylko skorzystałem, starając się usilniej na lepsze zasłużyć. Po dwóch latach pracy przygotował mię do pierwszej klasy gimnazjum. Rodzice moi, chociaż zdecydowali się zamieszkać w Żytomierzu dla mego wychowania, nie myśleli wszakże oddawać mię do pierwszej klasy, a postanowili przygotować w dalszym ciągu do trzeciej. Ojciec wydzierżawił majątek krewnemu naszemu, Piotrowi Trypolskiemu, na cztery lata, wynajął dom w Żytomierzu i przewiózł meble i całą ruchomość do miasta, które mi narazie bardzo zaimponowało.

Dom, wynajęty a następnie nabyty przez rodziców od dra Papenguta, był obszerny i z budowy podobny do dworów wiejskich. Należał dawniej do Edwarda Lubowidzkiego. Otaczał go duży ogród, który stanowił prawą stronę całej ulicy Podolskiej, gdy szło się z miasta ku przedmieściu. I dziś jeszcze w 1902 r. dom ten i ogród istnieją z nieznacznemi tylko zmianami, o czem w roku bieżącym przekonałem się osobiście w czasie bytności mojej w Żytomierzu. Posiadłość nasza sąsiadowała z tak zwaną Ochrymową Górą, od której była oddzielona wąwozem; naprzeciwko zaś okien domu wznosiła się na pagórku cerkiew o trzech kopułach, typu rusińskiego, zwana Podolską. Wyróżniała się ona zupełnie od świątyń wielkorosyjskich prawosławnego obrządku. Na jej miejsce wzniesiono po 1863 roku murowaną cerkiew typu urzędowego. Po przeniesieniu się do Żytomierza i urządzeniu obszernego domu mieszkalnego zajęli się rodzice moi naszem dalszem kształceniem; co do mnie, najbliższym ich celem było przygotowanie mię do trzeciej klasy w ciągu dwóch lat. Umówiony więc został korepetytor, niejaki pan Wierzbicki, który po skończeniu gimnazjum miał wstąpić do seminarjum duchownego, lecz potem zmienił ten zamiar i został moim nauczycielem.

Nie zaniedbywali też rodzice stosunków towarzyskich, które się rozpoczęły od naszych sąsiadów ze wsi, naonczas w Żytomierzu zamieszkałych, a więc od rodziny Albinów Piotrowskich z Bratałowa, którzy przybyli dla wychowania syna i córek, tudzież pani Józefowej Piotrowskiej z Chiżyniec, osiadłej również dla wychowania dzieci. Trzecim zkolei domem, z którym się szybko stosunki wznowiły i zacieśniły prawie na stopie rodzinnej, był dom zaprzyjaźnionej dawniej z matką pani z Łep-

kowskich Nikodemy Pinińskiej, przybyłej z Podola z córką Hilaryną, moją rówieśnicą, i synem Wiktorem, o kilka lat młodszym ode mnie. W tym domu bawiła często po kilka i kilkanaście dni ciotka moja, Klementyna z Budzyńskich Łepkowska, a wdowa po rodzonym bracie p. Edwardowej Pinińskiej, Leonardzie Łepkowskim.

O dziejach i ciężkich przejściach tej rodziny nasłuchałem się niejednokrotnie od matki mojej, a każden szczegół pozostawił niezatarte niczem ślady w mojej wyobraźni. Z tego to nieomylnego dla mnie źródła wiedziałem, że na Wołyniu, Podolu i Ukrainie w latach od 1835 do 1839 zawiązało się i rozwijało pomiędzy najszlachetniejszymi i najwykształceńszymi w gronie ziemian towarzystwo patrjotyczne, nazwane następnie *„Stowarzyszeniem Ludu Polskiego“*, mające na celu stopniowe polepszenie bytu włościan i umoralnienie pod każdym względem społeczeństwa. Za najskuteczniejszy środek szerzenia swych zasad uznało to towarzystwo wojnę moralną to jest nieustającą walkę słowem, piórem i czynem, dążącą śmiało do wyrobienia opinji publicznej w każdej ważniejszej sprawie, naród obchodzić mogącej. Z tego też źródła dowiedziałem się, iż za udział przodownictwa w tej sprawie został rozstrzelany w dniu 15/27 lutego 1839 r. emisarjusz Szymon Konarski oraz że Komisja śledcza w Kijowie uznała za najwinniejszych w naszych prowincjach: Gaspra Maszkowskiego jako głowę sprzysiężenia na Rusi, zaś Antoniego Beaupré, Piotra Borowskiego i Fryderyka Michalskiego jako sekretarzy czyli przewodniczących w tej sprawie na Wołyniu, Ukrainie i Podolu. Sądy wojenne skazały wszystkich czterech na pozbawienie praw stanu i karę śmierci przez powieszenie. Wyrok ten, do którego przygotowania uczyniono w dniu 13/25 marca 1839 r., w drodze łaski, po założeniu już na szyję stryczków skazanym, został zmienionym na dożywotnie ciężkie roboty.

Pewnego razu, przysłuchując się uważnie rozmowom starszych, dowiedziałem się ze zdumieniem o strasznych nadużyciach, jakich się dopuszczał zarządzający kancelarją jenerała Bibikowa, Pisarew, jak pokolei aresztował wszystkich możniejszych i naznaczał każdemu okup, zastosowany do jego środków. A więc naprzykład pani Nikodemie Pinińskiej kazał sobie wypłacić

100.000 rs. za uwolnienie męża z Wołogdy, który (mówiąc nawiasem) nie skorzystał nawet z tej drogo okupionej wolności i łaski, gdyż w drodze do kraju życie zakończył. Te opowiadania matki mojej wzmogły się i rozwinęły po poznaniu się i zbliżeniu z czwartym zkolei domem w Żytomierzu, domem pana Feliksa Iwanowskiego, ożenionego z najmłodszą siostrą Gaspra Maszkowskiego, który już od lat dziesięciu dźwigał kajdany w kopalniach nerczyńskich.

O tym więc domu jako świeżo poznanym wspomnę tu nieco obszerniej, do czego mi czynnie dopomogły córki pana Iwanowskiego, a szczególniej pani Seweryna z Iwanowskich Beaupré, dostarczając drobnych szczegółów i dat, z których wybrałem najważniejsze. Ojciec pana Feliksa, Józef Iwanowski, pochodził z Polesia Wołyńskiego, a był ożeniony z panną Anastazją Kozieradzką poślubioną mu, gdy kończyła lat czternaście. Miał on liczne potomstwo, którego znaczna część zmarła w dzieciństwie. Pozostali tylko przy życiu: Feliks, urodzony w 1800 r., młodszy od tegoż Stanisław i córka Julja wydana za Karola Sągajłę. Pan Feliks w 1813 r. wstąpił do szkół bazyljańskich w Owruczu do klasy trzeciej wraz z bratem swym Stanisławem, dla którego był począwszy od klasy piątej nietylko opiekunem, ale nadto pracą osobistą zarabiał dla zaspokojenia swoich i jego potrzeb koniecznych.

Od pierwszych chwil pobytu w szkołach zawiązała się trwała i serdeczna przyjaźń między celującymi w naukach kolegami: Feliksem Iwanowskim i Antonim Beupré, synem p. Józefa Beaupré, niegdyś konfederata barskiego, a w owym czasie nauczyciela francuskiego języka w szkole owruckiej, i Teofili z Bentkowskich. Mimo bardzo ciężką a mało owocną pracę umiał młodziutki Feliks, nadrabiając miną, pocieszać matkę ulubioną swoją zwrotką: „Wiatr w oczy wieje, deszcz na głowę leje, a ja się śmieję". Skończywszy w 1819 r. szkoły, udali się młodzi przyjaciele do Krzemieńca, gdzie po ukończeniu liceum rozstali się. Iwanowski przybył do Żytomierza, by zdobyć sobie stanowisko adwokata, Beaupré zaś ruszył do uniwersytetu wileńskiego, by kształcić się w zawodzie lekarskim.

Pani Iwanowska, matka, po owdowieniu poślubiła wdowca Dąbrowskiego (który z pierwszego małżeństwa miał syna Anto-

niego) i powiła mu syna Franciszka. Antonim Dąbrowskim, który także uczęszczał do szkół owruckich jednocześnie z pasierbem ojca, po bratersku opiekował się Feliks Iwanowski.

Nawałnica 1831 r., która tyle ofiar pochłonęła, oszczędziła starszego brata, gdy młodszy Stanisław emigrował. Beaupré został wywieziony do Kurska. Ocalony pan Feliks oddał się pracy zawodowej w Żytomierzu, nie zaniedbując obowiązków obywatelskich. Gdy po stłumieniu powstania poczęto przysyłać do Żytomierza jeńców polskich i mieścić ich w celach pobernardyńskich, wśród innych przybyli tam więźniowie, którzy przy kapitulacji twierdzy Zamościa dostać się musieli do czasowej niewoli. W ich liczbie znalazło się kilku kolegów Iwanowskiego a mianowicie: Gaspar Maszkowski, Andrzej Kwiatkowski i Zabłocki. Odwiedzając przyjaciół w więzieniu, poznał Feliks ojca Gaspra Maszkowskiego, Mikołaja, i jego trzy córki: Annę, Marję i Barbarę. W ostatniej a najmłodszej rozkochał się na dobre, miała bowiem obok wielkich zalet duszy kraśne lica i cudne oczy, o których profesor Józef Korzeniowski poznawszy ją powiedział: — „Elle possède le plus beau modèle des plus beaux yeux". Miłość ta pomyślnie zakończyła się małżeństwem w Bohdanówce na Wołyniu w dniu 2 listopada r. 1833, poczem młoda para osiadła w Żytomierzu i zamieszkała w domu głośnego z wybryków humorystycznych zakrystjana Janiszewskiego [1]), mówiącego zawsze po rusińsku. W czasie godów weselnych w Bohdanówce, które dni kilka trwały i na które przybyło kilku towarzyszy broni Maszkowskiego, ułożonem zostało drugie małżeństwo, między panną Marją Maszkowską a panem Janem Płonowskim.

[1]) O tym Janiszewskim opowiadano, że gdy ustawił osoby należące do bractwa przed procesją, wydawał rozkazy głosem głównodowodzącego w słowach następujących: „Ty świnia, poperedi z chrestom a wy z swiczkami jedna za druhoju jak huśki, szobyste znały porządek kuždaja", co znaczy: „Ty świnio, naprzód idź z krzyżem, a wy ze świecami, jedna za drugą jak gęsi, żeby z was każda zachowywała porządek". Inną znowu razą, gdy go uproszono o pilnowanie zmarłego i odmawianie nad nim pacierzy, w nocy czując, że go sen morzyć zaczyna, uważał za właściwe, najuprzejmiej przeprosiwszy nieboszczyka, zdjąć go z tapczana, na którym tymczasowo był złożony, i posławszy sobie wygodnie położyć się na jego miejsce i spać spokojnie aż do świtu, co by się nigdy nie wydało, gdyby go uczniowie nie podpatrzyli. W czasie śpiewania różańca pozwalał sobie na nutę religijnej melodji porozumiewać się z bractwem w interesach prywatnych i tak naprzykład wyśpiewywał: „Panie Świętochowski, proszę dać tabaki", na co mu tenże odśpiewywał: „Jak Boga kocham, zapomniałem w domu" i t. p., poczem w dalszym ciągu śpiewano różaniec w najlepsze.

Dom państwa Feliksów stał się nowem a miłem wśród rodziny ogniskiem. Przy nich też zamieszkał p. Mikołaj Maszkowski z jedyną pozostałą mu córką Anną, która jakkolwiek niezbyt młoda i ładna, ale miła i wszechstronnie wykształcona (obok matematyki uprawiała bowiem poezję), znalazła wkrótce wielbiciela i męża w osobie p. Cyryla Naskręckiego. Gdy młodzi coraz szerzej rozwijali swe stosunki w mieście i w kraju, poczęli się u nich gromadzić ludzie miłujący ojczyznę i naradzać się w najważniejszych sprawach bieżących. Ruch ten wzmógł się jeszcze bardziej, gdy brat pani Barbary, Gaspar Maszkowski, w porozumieniu z Leonardem Łepkowskim, zawiązali na Wołyniu, a następnie rozszerzyli na Ukrainie i Podolu stowarzyszenie patrjotyczne, mające na celu umoralnienie społeczeństwa na Rusi. Tak rzeczy się działy do roku 1836.

Nagle a niespodziewanie młode to a zacne ognisko zdruzgotała miejscowa władza jednem pociągnięciem pióra. Pana Feliksa wywieziono do Permy w drodze administracyjnej, a więc bez sądu, na zasadzie widzimisię wołyńskiego gubernatora. Powodem tego najpotworniejszego z potwornych bezprawi, odbierającego wszelką możność bronienia się, była okoliczność następująca. W roku 1836 zmarła w Żytomierzu pani Andrzejowa Kwiatkowska, młodziutka mężatka, powszechnie znana nawet po zamążpójściu pod swojem panieńskiem nazwiskiem Joasi Boczkowskiej. Jako uboga, cicha i skromna panienka, położyła ona wielkie zasługi, opiekując się po 1831 roku jeńcami polskimi w więzieniach żytomierskich, dostarczając im żywności, opatrując rany, ułatwiając korespondencje, a czasem i ucieczki, jak to się jej powiodło z Narcyzem Olizarem itd. Zachwycony jej cnotami i wdziękiem, jeden z więźniów stanu, Andrzej Kwiatkowski, pojął ją za żonę, by ją utracić po latach pięciu najszczęśliwszego pożycia. Ta przedwczesna śmierć, wspomnienie wielkich acz cichych zasług, wywołały powszechny zapał. Tłumy otoczyły trumnę zmarłej, zaś z ust jej wielbicieli, kolegów i przyjaciół męża, posypały się piękne mowy, wygłoszone w języku polskim. Przemawiali prócz Feliksa Iwanowskiego Konstanty Müller, Karol Puczkowski, Zenon Mogilnicki i Frankowski. Nazajutrz wszystkich wywieziono do Wiatki i Permy, tudzież zabroniono na przyszłość przemawiania na pogrzebach po pol-



Fig. 16. Ewa Felińska.

sku. Wywiezienie to, które narazie było strasznym ciosem dla pozostałych rodzin, trwało niedługo, po kilku bowiem miesiącach wszyscy powrócili.

Iwanowscy, po chwilowym pobycie w Żytomierzu, gdzie mieszkali w domu naonczas Kizimowicza, dziś Chaudouard'a, przenieśli się na wieś. Pan Feliks bowiem objął obowiązki głównego plenipotenta u hr. Chodkiewiczów w Zalesiu; tam mieszkali do 1833 r., w którym, pozostawiwszy rodzinę u matki swej w Karpiłówce, sam pospieszył na zwiady do Żytomierza; a poznawszy dokładnie obowiązujące po 1831 r. prawa, zajął się prowadzeniem interesów wołyńskich właścicieli ziemskich na mocy plenipotencyj i z każdym dniem zwiększał zakres swej działalności, jako zdolny prawnik i godzien zaufania człowiek.

Dom Iwanowskiego, który szczęśliwie uniknął w 1839 r. i cytadeli i wygnania, stał się znowu ogniskiem pracy społecznej ocalonych z nim równocześnie ludzi dobrej woli i wznioślejszych dążności, niemniej posłużył Opatrzności za narzędzie do ocierania łez nieszczęśliwym rodzinom i sierotom, pozostałym po pogromie, wywołanym przez odkrycie „Stowarzyszenia Ludu Polskiego". Z pod ich gościnnego dachu wyprawiano jadące na Sybir do wygnańców żony i córki, na ich zacnej opiece pozostawały dzieci, których zabrać z sobą nie mogły. Pamiętając o emigrantach, wśród których pędził życie tułacze brat pana, Stanisław, nie zapominano i o sybirakach, między którymi brat pani, Gaspar Maszkowski, dźwigał w ciężkich robotach kajdany. Wkrótce też dom ten patrjotyczny zyskał powszechną miłość, wdzięczność i uznanie ziomków.

W końcu roku 1848, gdy rodzice moi osiedli w Żytomierzu, Iwanowscy mieszkali już w domu własnym, wśród pięknego ogrodu położonym z rozległemi i ślicznemi widokami na brzegi rzek Teterowa i Kamionki. W owym też czasie życie i ruch w ich domu wzmogły się znacznie; podejmowali bowiem ze staropolską gościnnością przybyłe z Syberji do kraju żonę i dzieci wygnańca ze wspólnej sprawy, Adolfa Roszkowskiego. W tych przyjęciach, zabawach, teatrach amatorskich z aluzjami do przebytych na wygnaniu cierpień brałem udział jako nieletni widz; i stoją mi one przed oczyma, jakbym je przed kilku dniami oglądał!

Niestety! trudy, poniesione przy tych przyjęciach przez gospodynię domu, zmęczyły ją bardzo, zaś przypadkowe przeziębienie stało się powodem ciężkiego zapalenia obu płuc i śmierci, która nastąpiła w dniu 8 maja 1849 roku. Osierociła najlepszego i najprzywiązańszego męża i cztery dzieweczki, z których starsza, Jadwiga, liczyła lat czternaście, gdy najmłodsza, Antonina, miała niespełna trzy. Pogrzeb jednej z najzacniejszych matron, w którym acz dzieciak wziąłem udział, był wyrazem najgłębszej czci i uwielbienia, jakiemi cieszyła się ta niewiasta wśród najstarszych i najmłodszych. Młodzież szkolna niosła na swych barkach trumnę do bram cmentarza, a my dzieci bezsilnie zazdrościliśmy starszym tego zaszczytu!

Po pogrzebie pan Feliks wyprawił dzieci pod opieką krewnego Władysława Żukowskiego i siostrzenicy swej, panny Olimpji Sągajło, do babki Dąbrowskiej w Karpiłówce, gdzie otoczone zostały troskliwą opieką w ciągu lata, poczem powróciły do domu, by prowadzić w dalszym ciągu rozpoczęte nauki. Najmilej wspominanymi przez siostry Iwanowskie profesorami byli: wuj ich, Władysław Żukowski, wykładający geografję i historję powszechną, tudzież student uniwersytetu, Zygmunt Sierakowski, który uczył historji polskiej. Jak silne pozostawiły wrażenie wykłady Żukowskiego w umysłach siostrzenic, niech świadczą zacytowane tu przez jedną z nich (p. Seweryną Beaupré) wyrazy, które stanowiły wstęp do geografji matematycznej: „Długo umysł ludzki nie wznosił się ponad władzę despotyczną zmysłów i tylko dzięki pośrednictwu ukochanej Polski naszej, która wychowała Kopernika, przejrzał, poznając jedną z największych może prawd stworzenia". Innym znowu razem, gdy rozpoczynał historję Grecji, zachwycał swe uczennice wstępnemi słowami: „Witaj, królowo uczuć, piękna, myśli i czynu".

Zygmunt Sierakowski zaś, czasowo bawiący w Żytomierzu, student petersburskiego uniwersytetu, potrafił wywołać w swych słuchaczkach zachwyt twierdząc, iż pochodzą od znakomitego Zyndrama Maszkowskiego z pod Grunwaldu, a przeplatając wykłady dziejów Polski wspaniałą deklamacją poezyj Mickiewicza, zastosowaną do okoliczności, wprawiał panienki w patrjotyczne uniesienia.

Obecny często na lekcjach, ojciec Iwanowski, twierdził żartobliwie, że wykładający nosi na swem czole niedający się zatrzeć wyraz: „koza“, co niestety sprawdziło się wkrótce w losach znanego powszechnie z przygód tragicznych Sierakowskiego. Innych nauczycieli mieliśmy wspólnych jak: Dürer, Niemiec szwajcarski, Goutourbe, Francuz, Szadek muzyk, Gottschalk i Maurycy Pion do nauki tańca.

Tak starannie wychowane dziewczęta rosły na zacne Polki i wzorowe matki. Wszystkie powychodziły zamąż. Najpierwsza Marja poślubiła literata i prawnika Jana Prusinowskiego. Po niej wyszła Jadwiga za Dionizego Kondratowicza. Trzecia zkolei, Seweryna, poślubiła kolegę i przyjaciela ojca doktora Antoniego Beaupré po powrocie tegoż z Syberji, najmłodsza wreszcie Antonina wyszła za Feliksa Minkiewicza, władającego folwarkiem Łyczówką w powiecie starokonstantynowskim na Wołyniu. Dopomagająca zaś do opieki nad dziećmi pana Feliksa para, Władysław Żukowski i Olimpja Sągajło, pobrali się, zamieszkali w Bohdanówce i zostawili dość liczne potomstwo. Jednym z ich synów jest znany obecnie w świecie przemysłowym petersburskim Władysław Żukowski, ożeniony z siostrzenicą artysty malarza Stanisława Witkiewicza, panną Jełowiecką.

Dom wdowca Iwanowskiego nie przestawał być przytułkiem dla nieszczęśliwych i pokrzywdzonych przez rząd i losy, a więc: księży unickich, co się nie dali przymusić do prawosławia; pojmanych na granicy i zdążających do szeregów węgierskich młodzieńców z różnych stron kraju, których skazywano zazwyczaj do orenburskich bataljonów w r. 1848; a następnie, po śmierci cesarza Mikołaja I i wydaniu amnestji przez cesarza Aleksandra II, powracających emigrantów i sybiraków. Aresztowany dwukrotnie w czasie demonstracyj 1861 r., pierwszą razą chwilowo uwolniony, został później sądzony i skazany na zaludnienie, skąd, gdy na skutek prośby, podanej na najwyższe imię, wypuszczony został na wolność, opuścił Żytomierz i osiadł przy swoim przyjacielu zięciu i jego żonie a ukochanej córce, pp. Antonich Beaupré, w Krzemieńcu i tamże w parę miesięcy po zgonie przyjaciela, bo 7 października 1872 r., dokonał pełnego poświęceń i cierpień żywota i spoczął w jednej z druhem mogile na tak zwanej górze Krzyżowej w Krzemieńcu.

O ostatnio wspomnianych dwóch domach, pani Nikodemy Pinińskiej i pp. Feliksów Iwanowskich, śmiało powiedzieć mogę, iż były one otoczone powszechną aureolą zasług i męczeństwa narodowego, a w mojej chłopięcej wyobraźni wyryły niezatarte ślady. Wszystko bowiem, co w nich usłyszałem i na co codziennie prawie patrzyłem, pozostawiło mimo ich woli może a mojej wiedzy głęboki wpływ na rozwój mych pojęć i przekonań w kierunku, który sobie wytknęło Stowarzyszenie Ludu Polskiego, a którego domy te były przedstawicielami.

Przekonałem się o tem dowodnie, gdy przed kilku tygodniami dwa najważniejsze, jakie istnieć mogą dokumenta, dotyczące sprawy tego Stowarzyszenia na Rusi, wyjaśniające jego krótkie dzieje i wzniosłe cele, pomyślny skutek poszukiwań oddał w moje ręce a mianowicie:

1) kopję listu Gaspra Maszkowskiego do siostrzenicy swojej, pani Seweryny Beaupré, w którym streszczona jest historja sprzysiężenia;

2) całkowitą ustawę tego Towarzystwa, o której istnieniu zwątpił w swym liście Maszkowski, a którą otrzymałem w odpisie z rąk żyjącej dotąd panny Emilji Michalskiej, narzeczonej niegdyś Konarskiego, od którego ustawę tę otrzymała w darze.

Polecając szczególnej uwadze czytelników te dwa ważne dokumenty, w przypiskach i dodatkach do niniejszego rozdziału dołączone, zaznaczam tu, iż chociaż Ustawę Stowarzyszenia Ludu Polskiego w całej jej rozciągłości po raz pierwszy w mem życiu przed kilku tygodniami odczytałem, nie była mi ona wcale z treści obcą. Przeciwnie, odbijała się wyraźnie w dążnościach współczesnej mi młodzieży; byliśmy rzec można spadkobiercami zasad w tej Ustawie zawartych, chociaż tekst nigdzie nie był ogłoszonym, a więc i nam był nieznany. Pragnąc przedrukować te dokumenty, świadczące o moralnym i umysłowym stanie lepszej części ziemiaństwa na Rusi w końcu czwartego dziesiątka zeszłego stulecia, mam je nietylko za cenny materjał do dziejów przeszłości Wołynia, Podola i Ukrainy, ale i za materjał do opracowania w zastosowaniu do potrzeb chwili obecnej.

Wpływ, jaki na mnie zaprzyjaźnione z rodzicami domy p. Pinińskiej i Iwanowskich wywierały, wzmocnił się jeszcze

bardziej, gdym poznał powróconą z Syberji panią Ewę z Wendorffów Felińską z córką Zofją, poślubioną p. Adamowi Poniatowskiemu. Odwiedziła ona kilkakrotnie i nasz dom, jako pokrewny brata jej męża, Alojzego Felińskiego, ożenionego, jak to już wspomniałem, z rodzoną siostrą mojej babki, Maciejowej Lasockiej. Przeszłość wygnanki znałem z opowiadań mej matki; nie mówię tu więc o niej szczegółowo, dziś bowiem zacna postać pani Ewy powszechnie jest znana z jej pamiętników, wydanych w 1856 r. Wrażenie, jakie na mnie uczyniła ta postać głośnej w owym czasie patrjotki, świeżo wyzwolonej po przebyciu cytadeli i tysiącznych udręczeń na wygnaniu w Berezowie i Saratowie, było niezwykłe i głębokie. W umyśle wrażliwym dziecka urosła pani Felińska na bohaterkę! Szaty jej zdały mi się relikwjami narodowemi; pod wpływem jej uroku miłość moja ojczyzny i gotowość do ofiar dla niej spotęgowały się jeszcze!

Razem z panią Ewą poznaliśmy, jak mówiłem, córkę jej Zofję, a wkrótce potem męża tej ostatniej p. Adama Poniatowskiego, byłego podporucznika wojsk polskich, ozdobionego krzyżem zasługi wojskowej. I to był znowuż jeden z tych, co niedawno po bohatersku za Polskę walczyli, a chociaż w formach szorstki, w ubiorze zaniedbany i mało mówiący, uderzał nie pod jednym względem oryginalną swą postacią. Szczegółów o swej przeszłości nie lubił opowiadać, był niejako zagadką i tem mię właśnie zaciekawiał. W owym czasie mówiono o nim, że przy wykształceniu i wielkiej prawości charakteru był trudnym w pożyciu sąsiedzkiem i rodzinnem, a szczególniej, że stał się biczem dla urzędników, których nadużyć nie oszczędzał w swojej niczem nieograniczonej prawdomówności, która gardziła najzupełniej przyjętemi powszechnie formami i wylewała się potokami atramentu na papiery stemplowe.

Opowiadano o nim, iż nie mogąc uzyskać sprawiedliwości w jakiejś sprawie sądowej, napisał list do jenerał-gubernatora kijowskiego, księcia Wasilczykowa, proszący go jako współziemianina o pożyczkę pieniędzy dla dania łapówki prezesowi Izby Cywilnej, bez której przegra najsłuszniejszą sprawę; a gdy mu kazano dać piśmienne zobowiązanie, że nadal nie będzie podobnemi sprawami księcia niepokoić, dał je, bo dać musiał,

ale nazajutrz ubrał się w umyślnie połatane jaskrawemi skrawkami dolne ubranie i przedstawiając je w sposób arcy-nieparlamentarny prezesowi starał się mu wytłumaczyć ze swej niemożności łożenia na sprawę, szczególnie wobec odmówienia mu pożyczki na łapówkę przez jenerał-gubernatora.

Innym razem, napisał podanie do cesarza Mikołaja I i znalazł sposób, by rąk jego doszło, w którem prosił o rozkazanie wystawienia dwóch szubienic w Żytomierzu i powieszenia na jednej z nich gubernatora, jeśli się przy śledztwie pokaże, że jest złodziejem; gdyby się zaś to okazało fałszem, prosi, aby go na drugiej powieszono. Skończyło się na usunięciu gubernatora po tajemnem sprawdzeniu oskarżenia i przekonaniu się, że było prawdziwem; ale powód usunięcia i osoba p. Adama nie zostały ujawnione.

Gdy po wielu latach starszy syn Poniatowskiego, Kazimierz, ożenił się z jedną z zacnych trzech sióstr Wikszemskich (córek zaszczytnie znanego w kraju, a szczególniej na Litwie doktora medycyny Stanisława Kostki-Wikszemskiego) serdecznie z nami zaprzyjaźnionych, panną Jadwigą, i gdyśmy się i z nim zbliżyli, udzielił mi o swym ojcu szczegółów, które tu mam sobie za obowiązek powtórzyć. Część tych szczegółów zaczerpnął syn z *curriculum vitae* ojca, napisanego przez tegoż już po powrocie z wygnania po skonfiskowaniu majątku w celu uzyskania posady bibljotekarza Zamojskich, część zaś wydobył z ogłoszonych drukiem źródeł. Z biegu życia, skreślonego przez mało mówić o sobie przywykłego pana Adama, dowiadujemy się, iż ojciec jego Leon po ukończeniu szkół w Siemiatyczach i sprzedaniu niedużego dziedzictwa na Podlasiu wyruszył w 1793 r. na Wołyń, aby szukać fortuny. Pierwszy obowiązek przyjął u możnego naonczas Fryderyka Moszyńskiego. Powołany zaś później przez jenerała Onufrego Moszyńskiego na plenipotenta, został wkrótce jego zięciem, ślubując miłość dozgonną córce jego, pannie Kolumbji.

Jedynym synem tego małżeństwa był pan Adam, urodzony 23 grudnia 1807 r. (5 stycznia 1808) we wsi Duboje, zwanej także Stepanhorodem. Mały Adaś kształcił się początkowo w Łucku; po przygotowaniu zaś w domu wstąpił na uniwersytet wileński w 1823 r., gdzie mając zaledwie lat szesnaście

słuchał wykładów na wydziale fizyko-matematycznym. W r. 1826 otrzymał stopień kandydata, zaś w 1828 r. magistra filozofji. Następnie kształcił się jeszcze zagranicą, głównie w Królewcu i Pradze, poświęcając czas pracom nad filozofją, estetyką i ekonomją polityczną.

Po wybuchu w Warszawie powstania 1830 r., jako jeden z byłych słuchaczy uniwersytetu wileńskiego, pośpieszył Poniatowski do tego miasta na wezwanie Wincentego Pola, gdzie mu Komitet Organizacyjny powstania wyznaczył stanowisko i dał stosowne polecenia. Po wywołaniu ruchów powstańczych w Datnowie i Oszmianie powrócił do Wilna, by się wcielić do bataljonu uniwersyteckiego tamże uformowanego, a wraz z nim do oddziału Matusewicza, następnie Ogińskiego, w którym to oddziale pozostał aż do przybycia na Litwę Chłapowskiego i Giełguda, do których armji wszedł jako artylerzysta i znalazł się pod Szawlami ze swoim plutonem pod rozkazami jenerała Dembińskiego, który w pierwszej już bitwie pod Plemborgiem, stojąc przy działach, awansował p. Adama na podoficera, po przybyciu zaś do Warszawy mianował go podporucznikiem i ozdobił krzyżem Virtuti Militari za zasługi jako podoficera; poczem wyruszył Poniatowski wraz ze swym korpusem w góry Świętokrzyskie pod rozkazy jenerała Samuela Różyckiego.

Po bitwie pod Przysuchą oddano mu komendę nad plutonem artylerji, odebraną kapitanowi Kinastowi. Po bitwie pod Janowem wysłany z depeszami do Warszawy przybył na czas jej szturmu, gdzie jenerał Bem poruczył mu dowództwo dwoma działami na Czystem. Zaledwie wszakże przybył na miejsce swego przeznaczenia, odebrał rozkaz spędzenia dwoma lekkiemi działami czterech pozycyjnych i dlatego zbliżył się do nich na strzał kartaczowy i rzeczywiście spędził działa, ale wobec zbliżającego się pułku dragonów kazał je zaprzodkować i ustąpić. Podchmieleni kanonierzy nie mogli dokładnie rozkazu wypełnić, musiał więc zsiąść z konia i sam im pomagać. Działa pomyślnie ustąpiły, ale Poniatowski w chwili siadania na koń został wzięty do niewoli, obdarty i wprowadzony na tył obozu nieprzyjacielskiego, gdzie spotkał mnóstwo kolegów, otoczonych strażą. Zauważył niebawem, że rów nie był napełniony wodą

i nie był strzeżony; ułożył się więc około fosy, a w nocy, wlazłszy weń, à quatre pattes, przepełzł ku Jabłonnie.

Gdy zaś świtać poczęło, wylazł z rowu i wówczas przekonał się, że torebka skórzana z papierową monetą na 200 złp., zaszyta w koszuli pod pachą, ocalała. Za te pieniądze kupił konia, buty i siermięgę i puścił się do domu, a że koń był nieszczególny, więc dopiero we wrześniu dostał się do Uściługa, przebywając Bug wpław, a stamtąd lasami do domu. Tam zastał matkę w grobie, a ojca w kłopotach majątkowych. Był tylko w ręku kapitalik 3.000 rs., które ojciec (Leon) zapłacił za świadectwo, że syn mieszkał w Wilnie i do powstania nie należał. Tyle ze wspomnień rękopiśmiennych Adama Poniatowskiego, których ciąg dalszy w papierach rodzinnych nie dał się odszukać [1]).

Co do udziału Adama Poniatowskiego w wypadkach 1861—63, nie zostawił on żadnego szczegółowego sprawozdania z tego okresu. Wiadomem jest tylko, iż będąc z przekonania przeciwnikiem wybuchu r. 1863 czuł się moralnie przynaglonym wziąć w niem udział, jak tysiące innych, licząc się z dokonanemi faktami i strugami lejącej się krwi bratniej. Aresztowany na wiosnę 1863 r. był przytrzymany w więzieniach łuckiem i żytomierskiem przeszło lat trzy, wkońcu osądzony na pozbawienie praw stanu, konfiskatę majątku i zesłanie na osiedlenie do gubernji Jenisiejskiej, do wsi Ługowskoje. Wyruszył tam w połowie r. 1866 i przebywał na Syberji do r. 1869, w którym, skutkiem szeregu manifestów, wrócił wraz z innymi do Warszawy.

Tutaj pracą literacką i agronomiczną zdobywał skromny chleb powszedni, pisując artykuły do Gazety Polskiej i Rolniczej; na wychowanie zaś dzieci łożył rodzony brat żony Poniatowskiego, ks. arcybiskup warszawski, Zygmunt Szczęsny Feliński, z przepołowionej mu na wygnaniu w Jarosławlu pensji, wynoszącej wszakże z wyjątkiem chwil zawieszenia wypłat rs. 6000 rocznie. Mieszkając najskromniej i jadając wraz z rodziną obiady w tanich kuchniach po 15 i 20 kop., znękany

[1]) O ciekawej tej postaci znajdujemy w Przypisach ogłoszone już drukiem wiadomości, które tam przedrukowujemy, uwzględniając układ tekstu, dokonany przez samego autora Wspomnień. (Przypisek Wydawców).

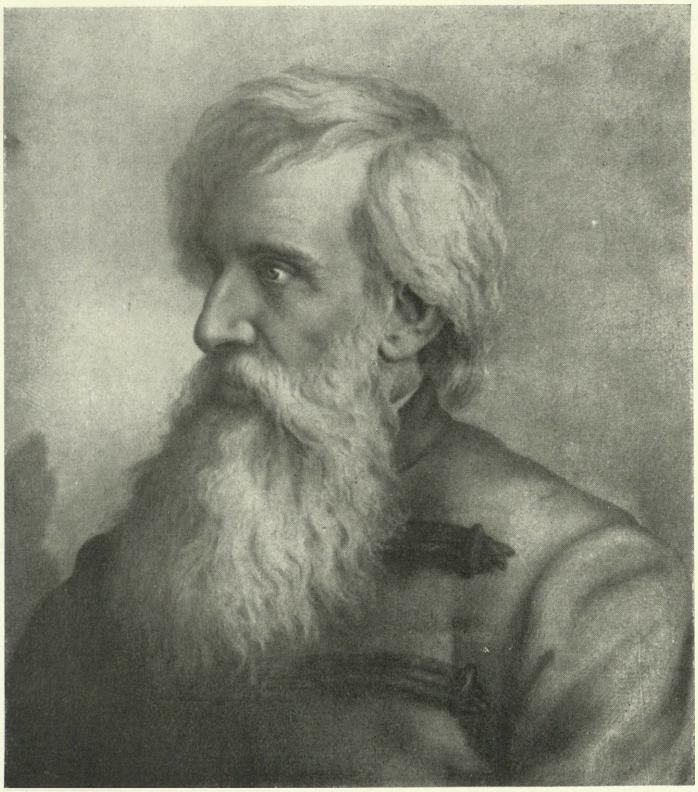


Fig. 17. Adam Stanisław Ciołek Poniatowski
według portretu Al. Borawskiego wykonanego na podstawie szkiców.

życia koleją i smutnym obrotem naszej sprawy narodowej, zaniemógł w końcu 1871 r., zaś w dniu 13/25 stycznia 1872 r. dokonał prawego żywota, mając lat 65. Osierocił najzacniejszą małżonkę, dwóch synów, Kazimierza i Szczęsnego, oraz jedyną córkę Leonję, poślubioną p. Marjanowi Chamcowi. Pochowano go na Powązkach w pobliżu katakomb.

Skonfiskowany majątek ziemski na Polesiu w kilka lat po śmierci p. Adama skutkiem starań u rządu zwrócono rodzinie, coprawda w stanie opłakanym i niemal doszczętnie wyniszczonym, bez zwrotu sumy wykupnej itp., ale w każdym razie spory szmat ziemi ocalał.

Dzieci Poniatowskich odziedziczyły po rodzicach zacność, prawość i cywilną odwagę swoich przekonań. Z trojga znam bliżej Kazimierza, który był ożeniony 1mo voto z niezmiernie sympatyczną i pełną rzadkich zalet panną Jadwigą Wikszemską, a 2do voto z panną Janiną Terlecką. Ma czworo dziatek miłych z pierwszej żony i dwoje z drugiej, które stara się wykształcić na zacnych obywateli kraju, nie szczędząc trudu i kosztów.

Oprócz domów, które wyliczyłem, a z któremi łączył rodziców moich serdeczniejszy stosunek, odbierali oni i oddawali liczne jeszcze wizyty, które na mnie żadnego nie robiły wrażenia, a często śmieszyły. Było to zetknięcie się z przedstawicielami ziemiaństwa, do którego rodzice należeli. Z listy tej zostały mi w pamięci zarażone francuszczyzną i życiem pretensjonalnem domy: pp. Janów Sanockich, Stanisławów Worcellów, Emilów Olizarów, Jakóbów Omiecińskich i wielu, wielu innych.

Jakkolwiek wzmiankowałem już o tem, czego się w dzieciństwie z ust matki mojej o Stowarzyszeniu Ludu Polskiego dowiedziałem, jakkolwiek w dodatkach załączam dwa najważniejsze, a nieznane w tej sprawie dokumenty, po odczytaniu których łatwo wyrobić sobie można pojęcie o zasadach i dziejach tego Stowarzyszenia na Rusi, uważam za właściwe powrócić tu raz jeszcze do tej sprawy. Chcę bowiem powiązać i w jedną całość zespolić treściwie to, co o tym związku wiemy z dawniej już ogłoszonych źródeł, a co nam wykrywają i udowadniają list Maszkowskiego, a jeszcze jaśniej Ustawa Stowarzyszenia. Pragnę wkońcu, opierając się na wiarogodnych świa-

dectwach i osobistych wspomnieniach, nakreślić sylwetki trzech głównych tej sprawy przewódców na Wołyniu oraz dwóch przedstawicieli Podola i Ukrainy, Fryderyka Michalskiego i Piotra Borowskiego, do których brak mi zupełnie źródeł z pierwszej ręki. W tem miejscu uważam za właściwe zaznaczyć, iż z niektóremi zarzutami, czynionemi Konarskiemu przez Maszkowskiego, zgodzić się nie mogę, a mianowicie:

1) Nie znając dosłownego brzmienia jego odezwy, którą stowarzyszeni, wedle słów Maszkowskiego, wycofywali, nie mogę imienia tego patrjoty nieodwołalnie zespalać z zarzucanem mu podbudzaniem ludu do rzezi szlachty na Rusi.

2) Nie mogę również czynić mu zarzutu z powodu jego wyznania; wiem bowiem, ilu kalwini polscy wydali z pośród siebie zasłużonych w kraju ludzi i prawdziwych patrjotów.

3) Nie uważam też wcale, iżby Stowarzyszenie Ludu Polskiego na Rusi miało prawo nakazać Konarskiemu opuszczenie kraju. Co najwyżej mogło doradzać mu jako współsprzysiężonemu wyjazd poza granice Rusi, ale nie mogło tej banicji rozciągać na Litwę, gdzie o ile wiem Konarski przewodniczył sprzysiężeniu niepodzielnie.

4) Nieznane mi są również i zapewne nikomu znanemi już nigdy nie będą cele, na jakie Konarskiemu doręczono 1.100 dukatów; cała jednak przeszłość jego nie pozwala przypuścić, aby je przyjął na koszta podróży i osobiste potrzeby, na co rzuca już pewne światło zamiar jego nabycia w Wilnie drukarni i osiedlenia się wraz z nią w jakimś zapadłym kącie Litwy.

Po tych kilku zastrzeżeniach, które uważałem jako niewspółczesny opisywanym wypadkom za mój święty obowiązek uczynić, przechodzę do samego przedmiotu. Rozpatrując się w wydarzeniach i warunkach, które stanowiły nieuniknione następstwo upadku powstania narodowego w roku 1831, widzimy, iż kraj nasz został po tej klęsce wyludnionym i ogołoconym ze środków. Cały bowiem ówczesny kwiat kilku następujących po sobie pokoleń jako też masy szeregowców musiały kraj opuścić, przyczem mniejsza część uprowadzoną została w głąb Rosji i Syberji, znacznie zaś większa udała się na Zachód, by skupić się przeważnie w gościnnej dla nas naówczas Francji. Sybiracy tej doby nie mieli żadnej możności oddziaływania

czynnego na losy kraju, wywierali wszakże pewien mimowolny wpływ moralny. Listy, donoszące rodzinie o istnieniu i cierpliwem znoszeniu niewoli, wędrujące całemi miesiącami w krainie lodów, zmięte i zbrukane w ręku urzędników poczty i cenzorów, opatrzone pieczęcią III-go Wydziału Własnej J. C. M. Kancelarji, nic nie wypowiadające wyraźnie, były wszakże bardzo a bardzo małomównością swoją wymowne. Kazały się bowiem domyślać strasznych dramatów; ceniły się zaś tem więcej, gdyż były jedynym dowodem rzeczowym, że ci, co je pisali, żyją jeszcze, acz zagrzebani w kopalniach nerczyńskich. O ulgach, jakie ich tu i ówdzie dzięki ludzkości zwierzchników spotykały, musieli w listach zamilczeć, by nie zaszkodzić tym zacnym ludziom, co ich litośnem otaczali współczuciem.

Tym mimowolnym wpływom sybiraków zawdzięczał kraj przechowanie się i stopniowe wciąż wzmaganie się uczuć narodowych tudzież wyrabianie się charakterów nacechowanych hartem i silną wolą wśród dorastającej młodzieży. Z drugiej strony oddziaływała na kraj emigracja szczególniej wtedy, gdy się potworzyły w jej łonie wrogie sobie stronnictwa, szukające w ojczyźnie punktów oparcia i środków materjalnych dla urzeczywistnienia swych rozległych planów. Stronnictwo monarchiczne z ks. Adamem Czartoryskim na czele przesyłało swe polecenia i rady rodakom przez Polaków powracających do kraju z zagranicznych wycieczek. Towarzystwo zaś Demokratyczne wysyłało z łona swego emisarjuszów. Pierwsze usiłowanie tego Towarzystwa, mające na celu wywołanie tak zwanej gierylasówki czyli wojny partyzanckiej w Kongresowej Polsce w r. 1833, upadło, nie znalazłszy szerszego poparcia.

Gdy zaś 12 kwietnia 1834 r. głośny rewolucjonista włoski Mazzini zawiązał w Szwajcarji stowarzyszenie „Młodej Europy", w związku niejako i w myśl tego sprzysiężenia powstało również w Szwajcarji, w Bernie, towarzystwo polityczne, mianujące się „Młodą Polską". Obrawszy na swych przedstawicieli i przewodników: Konstantego Zaleskiego, Karola Sztolzmana, Józefa Dybowskiego i innych, przystąpiło do wyboru swych emisarjuszów i wysłania ich do kraju, poczem już w lipcu 1836 r. zlało się ze stowarzyszeniem noszącem nazwę „Konfederacji", wreszcie utonęło w tak zwanem „Zjednoczeniu".

Wyprawieni jeszcze przez „Młodą Polskę“ wysłańcy pracowali nad szerzeniem swych zasad z różnym skutkiem i powodzeniem w każdej z dzielnic dawnej Polski, zachowując zupełną tych organizacyj dla każdej prowincji odrębność czyli autonomję. Na Litwę i Ruś wyznaczonym był Szymon Konarski, który przejeżdżając przez Kraków porozumiał się z Seweryнem Goszczyńskim i przyjął projekt jego Ustawy „Stowarzyszenia Ludu Polskiego“ zamiast pierwotnej własnej, która, jak świadczą ci, co ją znali, niemniej była krańcową. Konarski udał się najpierw na Litwę, gdzie działalność jego znaną nam jest tylko z głównych zarysów i czeka szczegółowego opracowania. Stamtąd zaś przybył na Wołyń w jesieni 1835 r., a nie mając w prowincji tej stosunków zamieszkał u towarzysza broni z 1831 r., Walerego Rzążewskiego, dzierżawcy części wsi Wojutyna. Tu poznawszy najbliższą sąsiadkę, bo właścicielkę drugiej połowy tejże wsi, panią Ewę z Wendorffów Gerardową Felińską, idąc za jej radą przeniósł się wkrótce dla większego bezpieczeństwa do Ołyki i zamieszkał tam w ustronnym domku pod opieką rachmistrza dóbr Radziwiłłowskich, Jerzego Brynka i jego małżonki, której przybyłego z Zachodu pod cudzem nazwiskiem gościa poleciła pani Ewa jako swej przyjaciółce.

Z nowej siedziby począł robić wycieczki wysłannik „Młodej Polski“, a jednym z pierwszych domów, z któremi zawarł bliższy stosunek, była rodzina Fryderyków Michalskich, których syn Lucjan jako powstaniec z r. 1831 był niejako kolegą Konarskiego, córka zaś Emilja stała się wkrótce przedmiotem gorących i niepodzielnych jego uczuć.

Poszukując wśród szlachty wołyńskiej i podolskiej zwolenników swoich zasad, zetknął się wypadkiem Konarski z patrjotycznem stowarzyszeniem, które zawiązało się na Wołyniu już na wiosnę 1835 r. dzięki zabiegom Leonarda Łepkowskiego i Gaspra Maszkowskiego, synów właścicieli ziemskich. Organizatorowie, opracowawszy z członkami założycielami Ustawę, zawarli w jej sześciu punktach cele związku, a mianowicie postanowili nieodwołalnie i stale: 1) narodowość zagrożoną utrzymywać, 2) ducha poświęcenia obudzać, 3) obyczaje poprawiać, 4) oświatę rozkrzewiać, 5) lud rolny na dobrych synów ojczyzny i przyszłych jej obrońców sposobić, 6) fałszywe opinje prosto-

wać. Każdy z tych punktów szczegółowo rozwinięty wyczerpywał te kwestje, a usuwając wątpliwości ułatwiał każdemu z myślących stowarzyszonych jego działalność obywatelską. Ustawa Stowarzyszenia Ludu Polskiego na Rusi jest pięknym pomnikiem na grobach straconych i zmarłych jego członków, a ze zmianami na rzecz czasu i okoliczności przedstawia bogaty materjał do wytknięcia sobie kierunków narodowych i społecznych we wszystkich trzech zaborach w chwili obecnej.

Gdy się Szymon Konarski z tak zorganizowanem Towarzystwem zetknął, nastąpić musiała zamiana zdań i walka obustronna, zakończona porozumieniem. Konarski sześć punktów przyjął i uznał, Towarzystwo zaś patrjotyczne przybrało na jego żądanie miano: „Stowarzyszenia Ludu Polskiego“ tudzież zgodziło się na to, by dotychczasowym przewodniczącym poszczególnych prowincyj dać nazwę „sekretarzy“. W chwili gdy te zmiany nastąpiły, sekretarzem do spraw Wołynia był dr. Antoni Beaupré; odpowiednie zaś stanowiska zajmowali, o ile mi się zdaje, Fryderyk Michalski na Podolu i Piotr Borowski na Ukrainie. Co do kierunku, jaki obrał i zachował Konarski aż do chwili ostatecznego porozumienia się z miejscową organizacją, wykazuje Maszkowski, iż pragnął on narazie zaszczepić na Rusi z małemi zmianami zasady Wielkiej Rewolucji o prawach człowieka, a tem samem rozbudzić antagonizm między stanami, wprowadzając w powszechne użycie dotąd w potocznej mowie nieznane na Rusi wyrazy: „arystokracja i demokracja“, gdy, jak słusznie twierdzi Maszkowski, w położeniu naszem ówczesnem winni byli być tylko patrjoci. Usiłowania Konarskiego rozbiły się wszakże doszczętnie o hart przewodniczących Stowarzyszenia, którzy jak widzieliśmy, zrobili tylko nic nie znaczące ustępstwa co do nazw.

Drugi zarzut czyni Maszkowski Konarskiemu, iż łącząc się z Towarzystwem patrjotycznem wprowadził wielu członków bez dostatecznej oględności w wyborze tudzież kilka kobiet, czego się w pierwotnie zawiązanem stowarzyszeniu wystrzegano, a co, jak twierdzi, stało się później źródłem wielu złych następstw dla sprawy. Pierwotnie bowiem mieli związkowi stałe postanowienie zachować kobiety zdala od spisku, licząc na to, że na nie powoli przelewać będą majątki ziemskie ojców, mężów

i braci, by je skutecznie ochronić przed konfiskatą. Gdy więc do grona sprzysiężonych weszły wraz z Konarskim panie, nie były uważane przez pierwotnych założycieli związku za stowarzyszone. Wiedziały wszakże wiele o biegu sprawy od Konarskiego; i skoro nastąpiły aresztowania, niejedna z nich, badana przez komisję, pod wpływem fizycznych i moralnych udręczeń wiele mimowolnie wypowiedziała. Niektóre zaś, wychodząc z zasady, że czyny szlachetne nie powinny się ukrywać, starały się rząd przekonać i oświecać, łudząc się nadzieją, że go w ten sposób potrafią zyskać dla celów Konarskiego. Nie będąc wcale zwolennikiem przyjmowania do sprzysiężeń niewiast polskich, nie mogę mimo to zgodzić się z Maszkowskim co do jego zapatrywania na kobiety nasze, jako na materjał fizycznie słabszy, a więc łatwiej podlegać mogący upadkom moralnym pod naciskiem przemocy.

Powszechnie wiemy o niejednej słabości najwybitniejszych w sprzysiężeniach ludzi. Co do kobiet, mniej jest na tem polu zdobytych przez doświadczenie pewników, bo rzadko do spisków należały. Do Stowarzyszenia Ludu Polskiego weszło ich zaledwie kilka, a z tych dwie, jak świadczy łaskawie mi udzielony pamiętniczek jednego ze związkowych w tej sprawie, Joachima Leśniewicza (na str. 66 swej drugiej rękopiśmiennej części), pani Pinińska i pani Zielińska, były na wysokości bohaterek, okazały bowiem niepospolitą moc charakteru i nie dały się ani podejściem ani przymusem nakłonić do mówienia o innych, dając tem piękny przykład ziomkom. W innym znowu współczesnym pamiętniku, którego o pobłażliwość dla wad i grzechów naszych podejrzywać nie można, a mianowicie w „Zapiskach“ pana Mamajewa, adjutanta gubernatorów żytomierskich, Masłowa, a następnie Łaszkarewa, ogłoszonych w perjodycznem piśmie „Istoryczeskij Wiestnik“ z 1901 r.[1]), znajdujemy zajmujący bardzo opis badań jednej z uwięzionych w sprawie Stowarzyszenia Ludu Polskiego na Rusi. Ów Mamajew, wezwany do komisji przez jenerał-gubernatora Bibikowa dla dania wyjaśnień co do kartki, w prywatnym interesie pisanej do jednego ze sprzysiężonych, Justynjana Rucińskiego, znale-

[1]) Zapiski wyszły w przekładzie polskim w Bibl. dzieł wybor., nr. 619 w Warszawie 1909 p. t. J. N. Mamajew, Rosjanin w Polsce w latach 1838—1842. (P. W.).

zionej u tegoż przy rewizji, zastał pośród komisji śledczej w asystencji żandarmów okutą w ręczne kajdany, wątłą, a młodziutką dziewczynę, najwyżej około dwudziestu lat liczącą, która z prostotą i szczerością przyznawała się do zarzucanych jej postępków, o ile zarzuty były prawdziwe, odmawiając jednak stanowczo wszelkich wyjaśnień co do kolegów stowarzyszenia. Mamajew, mimowolny świadek całej tej sceny, nie tai swego podziwu i uwielbienia dla tej słabej fizycznie, a tak potężnej duchem osobistości, wskazując ją jako przykład „Dekabrystom", porównywając do Joanny d'Arc i wypowiadając zdanie, iż patrząc na tę wzniosłą postać niewieścią czuł w sobie chęć i gotowość zupełną poświęcenia całej swojej przyszłości, by ją z położenia, w jakiem była, wyzwolić. Ten ustęp pamiętników Mamajewa świadczy wymownie, jak wielką jest potęga bezwzględnej cnoty w kobiecie i jak niewłaściwem jest przypisywać płci naszej monopol siły woli i hartu duszy.

Zestawiając ze sobą bezimienną postać, naszkicowaną przez Mamajewa z panną Zielińską, o której pisze Leśniewicz, mimowolnie te dwie istoty zdają się zlewać w mojej wyobraźni w jedną postać, a wreszcie rodzi się żal wielki, dlaczego o takich istotach wiemy tak mało! Nazwiska Felińskiej, Rzążewskiej i Wilczopolskiej stały się rozgłośne w sprawie Konarskiego; o innych zas niewiastach ze spisku tego nic prawie nie wiemy lub dowiadujemy się przypadkiem. Jest o nich ogólna wzmianka, że zostały skazane na zamknięcie w klasztorach prawosławnych, ale kiedy i w jakim stanie z nich się wydobyły, jak i gdzie dokonały resztek żywota, nie jest nam wcale wiadomem. Jest to tem większa luka w dziejach naszej martyrologji, że najczęściej w sprzysiężeniach cisi pracownicy i wytrwali w milczeniu bojownicy są ludźmi największych zalet i zasług wobec spraw, którym służą!

Młode Stowarzyszenie, ocaliwszy swą samodzielność od wpływu obcego, a pragnąc zniszczyć doszczętnie szerzone w pierwszych chwilach przez Konarskiego krańcowe zasady i ustalić ostatecznie kierunek w sześciu punktach zawarty, postanowiło wydawać pismo perjodyczne, pisane i przepisywane przez sprzysiężonych, a noszące tytuł: „Przyjaciela prawdy". Redaktorem tego pisma, którego wyszło cztery numera tylko,

był gruntownie wykształcony i najzacniejszy, a sprawie bezgranicznie oddany, Dr. Antoni Beaupré. Dziś zapewne nie da się odszukać tych nader cennych i ciekawych przyczynków do dziejów polityczno-społecznych stowarzyszeń na Rusi. Dokumenta te bowiem, chroniąc się przed rewizjami, oddane zapewne zostały na pastwę ognia. Najbardziej zajmującemi artykułami były: „Arystokracja i demokracja“ oraz „Mieszczanie i chłopi“.

W jesieni 1837 r. na zebraniu sprzysiężonych, na które nie wezwano Konarskiego, postanowiono zwołać zjazd przedstawicieli prowincyj do Kijowa na czas kontraktów 1838 r., by tam dokonać ostatecznej reorganizacji Towarzystwa; i stosowny projekt polecono wygotować Beauprému. Na zebraniu tem postanowiono mimo oporu ze strony przedstawiciela Podola, że Konarski, dla dobra powszechnego i sprawy Stowarzyszenia, powinien niezwłocznie kraj opuścić; dla uniknięcia zaś odwłoki złożono na koszta podróży (?) 1.100 dukatów i doręczono je Konarskiemu, który ciskał pioruny na zapadłe postanowienie i nie spełnił go, udając się nie na emigrację, ale na Litwę wraz z Rodziewiczem, gdzie obaj zostali aresztowani.

Wspomniany wyżej przeze mnie pamiętnikarz rosyjski Mamajew podaje nieco odmiennie od powszechnie opowiadanych szczegóły tego uwięzienia, które tu w streszczeniu powtarzam. Gdy uchodzący z Wilna Rodziewicz i Konarski, zaskoczeni przez ulewę, zajechali do zajazdu o kilka wiorst zaledwie od Wilna odległego, do tegoż zajazdu, przynaglony burzą, schronił się również w asystencji kilku sockich isprawnik powiatu wileńskiego, słynny pijak Doroszeńko. Dowiedziawszy się, że powóz należy do Rodziewicza, którego znał osobiście, wszedł do zajmowanego przez tegoż w karczmie pokoiku, gdzie oprócz gospodarza zastał młodego człowieka w charakterze służącego. Podpity Doroszeńko, prowadząc rozmowę z Rodziewiczem, podał stojącemu obok słudze kapciuch z tytoniem i fajką do nabicia, gdy zaś ten powolnie zabierał się do spełnienia rozkazu, ofuknął go, a następnie ściągnął cybuchem, który po oddaniu fajki trzymał w ręku, i obsypał obelgami. Mniemany lokaj wymierzył Doroszence dosadny policzek i wytrzeźwił go momentalnie. W jednej chwili stanął mu w myśli rysopis Konarskiego, który rozesłano naczelnikom powiatu, narobił nie-

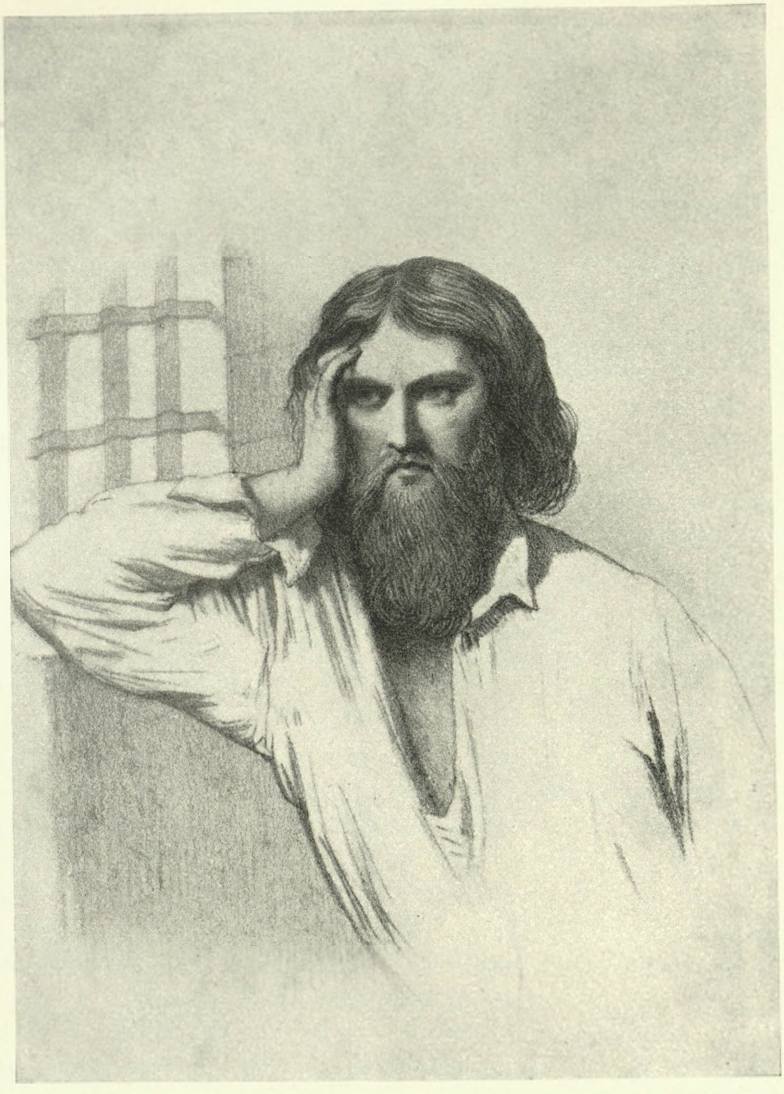


Fig. 18. Szymon Konarski (według współczesnej litografji).

zwłocznie alarmu, zwołał sockich, powiązał Rodziewicza i Konarskiego i odwiózł ich do Wilna. Okazało się przytem, że Konarski miał paszport formalny na imię Czułańczyka.

Dalsze losy tego najszlachetniejszego ale nieoględnego patrjoty są ogólnie znane jako też opłakane następstwa znalezienia u Rodziewicza obszernej korespondencji, ze spiskiem związek mającej, tudzież osobista jego słabość pod wpływem nacisku i podstępu ze strony komisji, skutkiem czego jako znający bieg spraw Stowarzyszenia nie tylko na Litwie ale i na Rusi żadnego prawie ze znanych sobie nazwisk nie potrafił oszczędzić. Do tego nastąpił cały szereg upadków moralnych między sprzysiężonymi, od których, nie przebierając w środkach, komisje śledcze zdołały wydobyć wszystko prawie, czego potrzebowały, by setkom rodzin wydrzeć najdroższe osoby, skazując je na ciężkie kary lub wygnanie.

W lipcu 1838 r. aresztowano Maszkowskiego i Beauprégo i wywieziono do Wilna, a następnie do Kijowa. O rewizji dokonanej u Maszkowskiego i o jego uwięzieniu żadnych szczegółów nie posiadam. Co zaś do Beauprégo, znalazłem w pamiętnikach Mamajewa ustęp o jednoczesnych prawie rewizjach, dokonanych przez niego u p. Teodora Bobra w Podhajcach pod Krzemieńcem (gdzie szukano broni, której tam wcale nie było), u Dra A. Beaupré i u pani Ewy Felińskiej. Cały ten ustęp streszczam tu, jako malujący dosadnie ówczesny stan kraju i stosunki władz do krajowców. Towarzysząc jako adjutant gubernatorowi wołyńskiemu Masłowowi, powracającemu z onufryjskiego jarmarku berdyczowskiego, został wraz z nim zaproszony i zatrzymany na balik przez właściciela dóbr Prażowa, Jankowiec i Horodyszcz, p. Adama Schabickiego, rezydującego w Prażowie o wiorst zaledwie kilka przed Żytomierzem, na który stawili się obaj. Schabicki, zamożny stary kawaler, trochę smakosz, był pełen dobrego gustu i gościnności, której nawet dla sfer urzędowych nie szczędził, co mu wyrobiło opinję rządowej figury czyli, tłumacząc na język dzisiejszy, ugodowca. To też i tym razem suto i hojnie, jak zwykle, podejmował on przedstawicieli władzy. Domek prażowski, z pozoru do chaty włościańskiej podobny, był dość obszerny i z wielkim komfortem i kosztem urządzony wewnątrz. Park starannie utrzymany

z wielką ilością niespodzianek, grot fantastycznych, ustroni i fontan, posiadał ogromną balową altanę, w której przy dźwiękach kapeli, z miejscowych włościan złożonej, bawiono się zwykle zapamiętale.

Gdy się p. adjutant w towarzystwie dam polskich oddaje zabawie, przybywa z Żytomierza urzędnik kancelarji gubernatora z papierami nie cierpiącemi zwłoki. Wkrótce też Mamajew wezwanym zostaje do gubernatora Masłowa i otrzymuje polecenie zrobienia szczelnej rewizji w majątku Teodora Bobra w Podhajcach, gdzie wedle brzmienia denuncjacji były składy broni, zakopane w ogrodzie. Wyjechał więc natychmiast, a skopawszy Bobrowi cały park wedle wskazówek donosiciela i nic nie znalazłszy, przeprosił uprzejmie gospodarza i powrócił ze sprawozdaniem do Żytomierza, skąd niezwłocznie został znowu wysłanym dla dokonania rewizyj u zamieszkałych w Krzemieńcu: Dra Antoniego Beaupré i pani Ewy Felińskiej, przejrzenia i uporządkowania papierów oraz aresztowania ich samych.

Po zgromadzeniu w cytadeli kwiatu ówczesnego pokolenia, po odarciu możniejszych przez Pisarewa i ukończeniu śledztwa, sąd złożony z niedołężnego starca i dobranych przez Bibikowa oficerów, począł podpisywać wyroki. Za przewodniczących sprzysiężenia uznano: Gaspra Maszkowskiego, Antoniego Beauprégo, Piotra Borowskiego i Fryderyka Michalskiego, którzy skazani zostali na pozbawienie wszelkich praw stanu i karę śmierci przez powieszenie. Bibikow nie szczędził zachodu, by wywołać cały szereg sztucznych efektów, układając ceremonjał oczekiwanej egzekucji. Na kilka dni przed 13 marca obwożono po mieście, a w wigilję dnia tego ustawiono na placu przed Ławrą olbrzymią szubienicę z rusztowaniem, które pomalowano na czarno. Na przecznicy tego narzędzia śmierci zawieszono cztery stryczki, po bokach rusztowania wykopano cztery wielkie doły na pogrzebanie ofiar, a całą tę szopkę urządzano, mając w kieszeni zmianę dekretu śmierci na ciężkie roboty w kopalniach.

Skoro skazani stanęli już u stóp rusztowania, każdy z nich po ucałowaniu znaku męki Pańskiej, podsadzony przez pomocników oprawców, wstępował na pomost, gdzie go spotykał i brał w swą opiekę przywieziony umyślnie na to przedstawie-

nie kat z Warszawy, w ponsowej koszuli i fartuchu, z odwiniętemi po łokcie rękawami, a ustawiwszy każdego na stołku pod stryczkiem przygotowywał swe ofiary do spełnienia przepisanych formalności, używając rękawów śmiertelnych koszul do skrępowania im rąk, osobnych zaś opasek do zawiązania oczu; wkońcu założył każdemu na szyję przeznaczoną dlań pętlę. Pozostawała już tylko jedyna czynność wytrącenia z pod nóg stołka! W tej właśnie chwili ukazał się pędzący konno adjutant Bibikowa z kopertą w ręku, wołając zdaleka donośnym głosem, by wstrzymano wykonanie wyroku; a zbliżywszy się do rusztowania podał kopertę audytorowi, który ją otworzył i odczytał ukaz cesarski o zamianie kary śmierci na długie lata ciężkich robót! Dr. Beaupré, nie schodząc ze swego stołka, odezwał się wyraźnie po rosyjsku: — „Cóż to za komedję car wasz raczył odegrać z nami?“ Ma się rozumieć, iż to powiedzenie zostało natychmiast zgłuszone bębnami. Maszkowski zaś, nie przypuszczając możności mistyfikacji, zjadł na czczo pozostające mu od wydatków asygnaty, obawiając się rewizji przed egzekucją i odpowiedzialności dla tych, którzy mu posiadanie ich ułatwili, oraz nie chcąc zbogacać rewidujących. Naturalnie mocno żałował swego postępku, gdy się dowiedział, że mu żyć kazano. Wciągnięcie (bez ich wiedzy) czterech skazanych, których opinja zaliczała do najpoważniejszych w kraju ludzi do urządzenia zgóry ukartowanej mistyfikacji, nakładanie im stryczków na szyję dla wywołania większego wrażenia w chwili odczytywania ułaskawienia, stokroć gorszego od kary śmierci, bo skazującego na dziesiątki lat do ciężkich robót, obudziło niesmak i oburzenie nietylko między niby ułaskawionymi, ale i wśród całej polskiej publiczności.

Pod tem wrażeniem pojawił się wierszyk, napisany przez pannę Annę Maszkowską (później Naskręcką), który w owym czasie przepisywano, podawano z rąk do rąk i śpiewano na nutę znanej pieśni: „Nie wiem jaka spadnie kara“, a brzmiał on jak następuje:

Do Dniepru i do Bramy Chrobrego.

Rozlej, rozlej, Dnieprze drogi,
Złącz twe wody z memi łzami,

Co tyran wycisnął srogi,
Pastwiąc się nad rodakami.

Rozlej, rozlej, jeszcze dalej,
Zatop te mury i wały
I te wszystkie miejsca zalej,
Gdzie polskie dzieci jęczały.

A gdy twe wody rozleją,
Gdy już zajmą Kijów cały,
Niech tej bramy tknąć nie śmieją,
Którą wieki szanowały.

Okrąż ją wodami swemi,
By ten pomnik naszej chwały
I praw naszych do tej ziemi
Wieki wiekom podawały!...

. . . . . .

Rzućmy zkolei okiem na trzy najwybitniejsze postacie ze sprzysiężonych na Wołyniu, a mianowicie: Leonarda Łepkowskiego, który rzucił pierwszą myśl organizacji, Gaspra Maszkowskiego, twórcy Ustawy i głównego kierownika związku w trzech prowincjach Rusi, i Dra Antoniego Beaupré, sekretarza do spraw Wołynia.

I.

Leonard Łepkowski, syn zamożnych właścicieli ziemskich z okolic Krzemieńca, urodzony ze Spendowskiej, uczeń liceum krzemienieckiego, był chrześcijaninem w najwznioślejszym słowa tego znaczeniu, miłującym bliźnich daleko więcej niż siebie samego i gorąco kochającym ojczyznę Polakiem, gotowym do największych ofiar i poświęceń dla jej odzyskania. Cichy i skromny w życiu codziennem, wymowny zaś w sprawach publicznych, ożeniwszy się z ukochaną przez siebie całem sercem Klementyną Budzyńską, nie mniej od niego prawdziwą i szczerą chrześcijanką i obywatelką, na drodze głębokiego rozmyślania o stanie kraju przyszedł do przeświadczenia, iż pojedyncze usiłowania nie mogą wystarczyć różnorodnym jego potrzebom i że połą-

czenie usiłowań ludzi dobrej woli jest nieodzownem. Na jednem więc z zebrań młodzieży myślącej u kolegi krzemieńczanina, Gaspra Maszkowskiego, a w domu ojca tegoż w Bohdanówce, w okolicach Starego Konstantynowa położonym, uważając zgromadzonych tam rodaków za ludzi krajowi oddanych i zastanawiających się nad jego potrzebami, rzucił myśl w formie zapytania: „Co dziś ludzie poczciwi robić powinni?“ Odpowiadając sobie na to pytanie, skreślił swe zapatrywania na zadania i obowiązki obywatela kraju w chwili obecnej, tudzież na konieczność połączenia usiłowań w stowarzyszeniu. Co uczyniwszy, pozostawiając z właściwą mu skromnością rozwinięcie tej ogólnej myśli, zredagowanie Ustawy i zawiązanie faktyczne patrjotycznego sprzysiężenia Gasprowi Maszkowskiemu, sam zajął się gorliwie wyszukiwaniem i wprowadzaniem do związku nowych członków.

Gdy na Litwie pojmano Konarskiego i Rodziewicza, skutkiem słabości tego ostatniego nazwisko Łepkowskiego znalazło się na liście wydanych. Pochwycono go z Awratyna od rodziców żony w początku rozwijającego się tyfusu. Mimo opieki ubóstwiającej go małżonki, która chorego w podróży nie odstępowała na chwilę, narażając się na brutalne obejście się z nią żandarmów, przywieziony do cytadeli Łepkowski przytomności już nie odzyskał, a umieszczony w jednej z cel szpitala, dla więźniów stanu przeznaczonej, wraz z żoną, której w drodze łaski pozwolono przy chorym pozostać, zmarł w krótkim czasie. Nadomiar tego tragicznego zgonu, dziwnym zbiegiem okoliczności, jak już o tem nadmieniałem, zapomniano o nich zupełnie w ciągu dwóch dni i otworzono rygle dopiero w dobę po śmierci więźnia tak, że nieszczęśliwa pani Łepkowska pozostała w tak strasznej chwili zupełnie sama, bez żadnej pomocy i pociechy!

II.

Drugą wybitną postacią związkową był p. Gaspar Maszkowski, syn Mikołaja, urodzony z Giżyckiej, również krzemieńczanin. W młodym wieku, pod wpływem zabiegów wuja Wiercińskiego, żonatego z siostrą jego matki, drugą Giżycką, poślubił Maszkowski starszą o parę lat od siebie, ale bardzo bogatą pannę Grabowską, rozstał się zaś z tą niesympatyczną

i niełądną zazdrośnicą i histeryczką niezwłocznie po śmierci jedynej córeczki, która stanowiła ostatnie ogniwo w tem bardzo niedobranem stadle.

Po wybuchu powstania w roku 1830 pospieszył on na odgłos powstającej ojczyzny w szeregi jej obrońców, zaciągnął się do Legji litewsko-ruskiej, dywizjonu jazdy podolskiej, od samego jej uformowania pełniąc w niej służbę. Był czynny w kilku wyprawach i potrzebach. Pod Swinkami w okolicy Zamościa otrzymał siedemnaście ran. Znajdował się przez cały czas oblężenia i obrony twierdzy Zamość, która ostatnia dotrwała w walce o sprawę ojczyzny i swobody. Za udział w bitwie pod Swinkami otrzymał krzyż zasługi wojskowej. Ocalenie życia we wspomnianej potyczce zawdzięczał Maszkowski krewnemu swojemu Antoniemu Kamińskiemu i pachołkowi z Bohdanówki, Jankowi, którzy widząc zbliżających się Moskali do omdlałego skutkiem upływu krwi, by go kolbami dobić, porwali za nienabite karabiny i poczęli do maruderów celować, a odstraszywszy rabusiów przenieśli rannego w miejsce bezpieczne.

Po wyleczeniu się z ran odrzucił propozycję ucieczki, pragnąc dzielić losy towarzyszów broni; i dopiero później odzyskał wolność dzięki spełnieniu warunków podpisanej przez rząd rosyjski przy zajęciu Zamościa kapitulacji. Po odbyciu w Karlsbadzie kuracji powrócił do swej ukochanej Bohdanówki, gdzie zastał swego wybawiciela Janka, przezwanego Powstańskim, i gdzie, jak to już widzieliśmy, rzuconą przez Łepkowskiego myśl stowarzyszenia ujął w formę ustawy, objął kierunek jego w początkach 1835 r. i wspólnie z Łepkowskim gorliwie je szerzył na Wołyniu, a następnie Podolu i Ukrainie.

Po zetknięciu się w końcu 1835 r. z Konarskim, który rozpoczął zrazu szerzenie własnej, przywiezionej z emigracji ustawy, oparł się Maszkowski tym nowościom i zniewolił Konarskiego do przyjęcia i uznania sześciu przez siebie opracowanych a przez stowarzyszonych przyjętych punktów, zgadzając się jedynie na błahe zmiany w nazwach.

W lipcu 1838 roku został porwany, okuty i zawieziony do Wilna, a stamtąd do Kijowa. Umiał z godnością milczeć i tu i tam; mimo ciężkie katusze nikogo nie zdradził i stanął

pod szubienicą z zupełnie czystem sumieniem i stoiczną gotowością oddania się w ręce oprawców z niczem niezamąconym spokojem ducha. Gdy mu niespodzianie odczytano ułaskawienie, schodził z rusztowania przygnębiony, ale i ten nowy cios przyjął z rezygnacją.

W miarę ogłaszania wyroków wysyłano skazanych do miejsc przeznaczenia. Maszkowski i Beaupré należeli do najpierwszych, których z żandarmami powieziono do Tobolska; gdy zaś w tem mieście pewna już ilość więźniów politycznych zgromadziła się, poczęto ich etapami wyprawiać do Irkucka, bo partje ze skazańcami wychodzą zwykle co tydzień z Tobolska. Dnia 7 kwietnia 1839 roku w partji czternastej wyprawiono stamtąd czterystu zbrodniarzy, trzydzieści kobiet i dziewięciu politycznych więźniów, a mianowicie: 1) Antoniego Beaupré, 2) Piotra Borowskiego, 3) Jacka Gołyńskiego, 4) Maurycego Kisiela, 5) Joachima Leśniewicza, 6) Gaspra Maszkowskiego, 7) Marjana Podhorodeńskiego, 8) Juljana Sabińskiego, 9) Wojciecha Umińskiego, jak to świadczy w swym pamiętniku J. Leśniewicz. Na pierwszym za Tobolskiem etapie zatrzymano tę partję w miejscowości, zwanej Stare Pohoście, na czas wiosennego rozlewu wód, t. j. na cztery tygodnie. 7 maja wyruszyli w dalszą drogę i 6 czerwca przybyli do powiatowego miasteczka gub. tobolskiej, Tary, gdzie robiła honory wcześniej od nich przybyła, koleżanka z jednej sprawy, panna Paulina Wilczopolska.

Na Muroszewskim etapie, gdzie był słynny na całym trakcie sybirskim z grubijaństwa i barbarzyństwa naczelnik etapu, oficer Sapożnikow, ulokowano dziewięciu politycznych w łaźni, w której przy belce jaskółka sklepiła swoje gniazdko, a nie wiem z jakich powodów okazywała zupełny spokój wobec gości, nie zwracając nawet uwagi na ciągły brzęk ich kajdan. Maszkowski, patrząc na jaskółki, które mu kraj przypomniały, napisał do nich wierszyk, w pamiętniku Leśniewicza przechowany, a który tu pozwalam sobie powtórzyć.

Leć swobodnie jaskółeczko,
Oddal wszelkie niepokoje,
Nie lękaj się o gniazdeczko,
Nie bój się o dziatki swoje.

Ten ci nie sprawi zgryzoty,
Nie zniszczy twoich rozkoszy,
Czyje dziatki dziś sieroty,
Komu gniazdko wróg pustoszy.

Lata młoda jaskółeczka,
To skrzydłami dziatki słoni
To tka żywność do gniazdeczka,
A jej luby za nią goni.

I jam w dniach niezapomnianych
Gonił, chwytał ust jej tchnienie,
Dziś tylko u gwiazdek znanych
Gonię jej stamtąd westchnienie.

Może kiedyś, jaskółeczko,
Rzucisz Sybiru pustynie
I zrobisz sobie gniazdeczko
Tam, gdzie Boh, Zbrucz i Dniestr płynie.

Ach, leć w te najmilsze strony,
Powiedz im, żeś nas widziała,
I brzękiem kajdan głuszony
Śpiew tu nasz o nich słyszała.

Ja już nigdy nie zobaczę
Miejsc tych, gdzie me gniazdo było,
Ziemi tej, za którą płaczę,
Lecz dla której cierpieć miło!...

I gdzieś zagnany zostanę
Konać w podziemiu głębokiem,
Które i was, gwiazdki znane,
Przed moim zakryją wzrokiem!

. . . . . .

Do Tomska przybyli nasi podróżni 4 sierpnia; w kościele być im nie dozwolono. Do Aczyńska zdążyli 29 sierpnia; w Krasnojarsku bawili od 5 do 12 września i mile ten pobyt jako też ludzkość władz wspominają. Tu pozostał chory Sabiński,

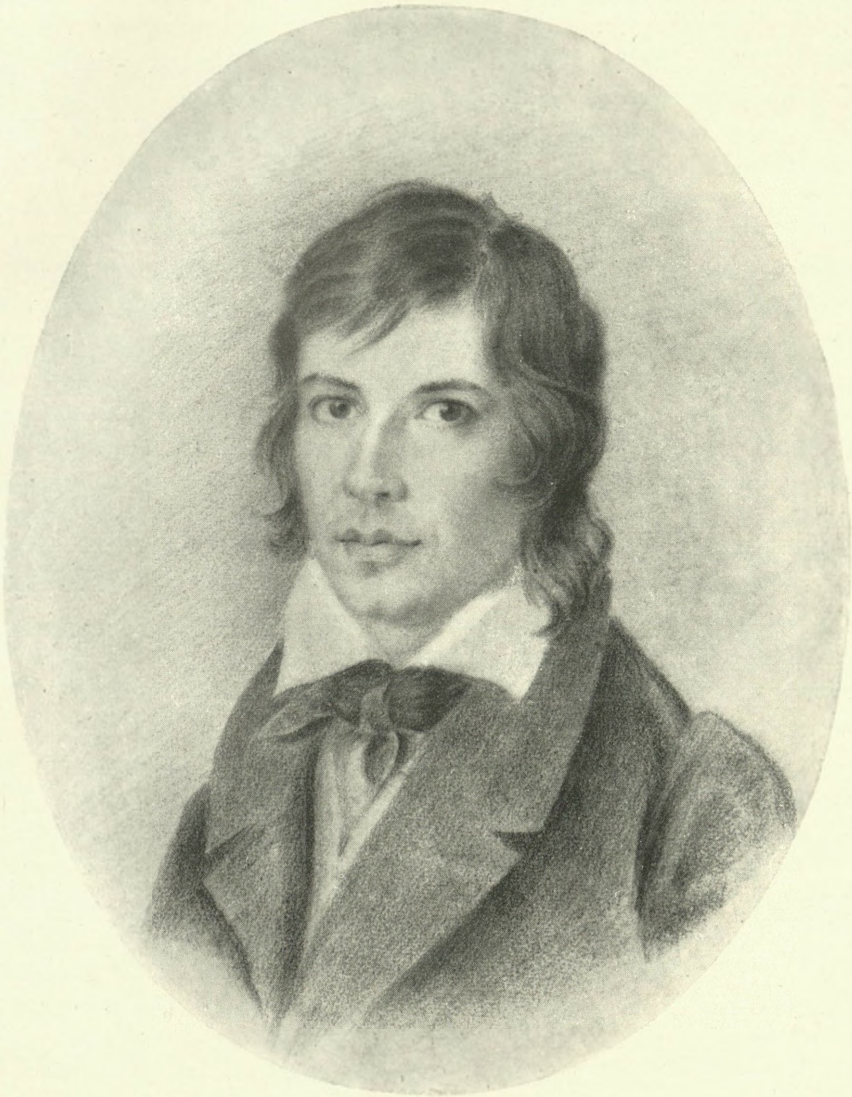


Fig. 19. Antoni Beaupré przed wywiezieniem na Sybir
według rysunku Klębowskiego.

którym jako lingwistą zainteresował się miejscowy gubernator Kopytow, zamiłowany w klasycznej starożytnej literaturze. Między Krasnojarskiem a Kańskiem Maszkowski zachorował na tyfus. Mimo to wieziono go z sobą, a dr Antoni Beaupré czuwał dnie i noce nad chorym i doczekał się znacznego polepszenia, 23 września stanęli w Kańsku, 13 października w Niżnie-Udyńsku, zaś 19 listopada przybyli do Irkucka, przed którem to miastem między dwoma etapami spadł z wyładowanego rzeczami wozu Gołyński i złamał obojczyk. Obu chorych, Maszkowskiego i Gołyńskiego, umieszczono w szpitalu, a po wyzdrowieniu wysłano pierwszego za Bajkał, gdzie mieszkał jako skazany na lat ośmnaście do kopalni w miejscowości, zwanej Gławnaja Kantora, w małym domku wraz z księdzem Hassem, regentem łuckiego seminarjum.

Do tejże miejscowości przeznaczono Antoniego Beaupré, Justynjana Rucińskiego, Karola Podlewskiego, Adolfa Roszkowskiego, Marjana Podhorodeńskiego, Fortunata Grabowskiego, Władysława Rabcewicza, Maurycego Kisiela i innych. Domek Maszkowskiego był często odwiedzanym przez kolegów; najliczniejszy zaś zjazd miewał miejsce na Trzech Króli, w dniu imienin Maszkowskiego, na który to dzień przygotowywał własnoręcznie tysiąc małdrzyków. Kto znał Maszkowskiego, łatwo się domyśli, ile na tych zjazdach być musiało życia i gwaru, ile tam kwestyj żywotnych poruszano, jak się spierano i jak wszystkich zagłuszał, gdy raz się ozwał tubalny głos p. Gaspra. Ponieważ wszyscy koledzy wygnania znali go wybornie, a wiedzieli, że się w dysputach nie dawał przekonywać, nie sprzeciwiali mu się, odpowiadając milczeniem na jego wulkaniczne wybuchy. W takich razach zwykle chwytał za klapy surduta milczącego słuchacza, a potrząsając niemi powtarzał: — „To nie ty milczysz, to duma twoja milczy“ lub też: — „Nie odpowiadasz, bo nie masz cywilnej odwagi“ i t. p.

Po ogłoszeniu przez cesarza Aleksandra II amnestji i powrocie do kraju mieszkał czas jakiś Maszkowski u szwagra swego Feliksa Iwanowskiego w Żytomierzu i odnowił dawne swe liczne stosunki na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, ożywił się bardzo i nie taił swych chęci założenia nowego rodzinnego ogniska. Nie brakło też i patrjotek, któreby chętnie los swój

z losem p. Gaspra połączyły. Niestety, Kościół stanął tu na przeszkodzie. Aczkolwiek bowiem pani Maszkowska, korzystając z pozbawienia przez rząd jej męża praw stanu, po przyjęciu religji prawosławnej poślubiła niejakiego p. Wyszomirskiego, niemniej przeto konsystorz uważał za niemożliwe rozpocząć sprawę rozwodową, twierdząc, iż p. Gaspar zwolnionym od przysięgi być nie może, pomimo jawnego i głośnego wiarołomstwa żony. Musiał więc nasz bohater poprzestać na zbiorowych uwielbieniach pań, które mu aż do grobowej deski niezmiennie towarzyszyły. W czasie pobytu w Żytomierzu spotkał Maszkowski swą niegdyś żonę w teatrze, znalazłszy się w loży naprzeciwko tej, którą Wyszomirscy zajmowali. Dawni małżonkowie poznali się i przyglądali sobie z zaciekawieniem, a jednocześnie cała orkiestra teatralna, złożona z włościan dóbr p. Wyszomirskiej, z niemniejszem zajęciem porównywała dawnego i obecnego mężów swej pani. Opuściwszy Żytomierz, osiadł Maszkowski na stałe w Kijowie, gdzie nie przestając się interesować bieżącemi sprawami ogólniejszej natury, korzystał niemniej z licznych stosunków towarzyskich, otoczony i tu przesadnem nieco w formach uwielbieniem płci pięknej.

Młodzież kochał, ale się z nią spierał, co go narażało często na gwałtowne starcia. Gotujące się powstanie 1863 r. miał za wielkie nieszczęście i nie szczędził słów i wymowy, by odeń młodzież odprowadzić. Ale gdy fakt został spełniony, gdy na Sybir gnano najlepsze siły kraju, był wszędzie obrońcą zaocznym tych, którzy ciężko za najlepsze swe chęci wobec niepowodzenia pokutowali, nakazując milczeć mędrcom po niewczasie, co się zaledwie swą mądrością popisywać zaczęli wtedy, gdy się dowiedzieli, że to im ujdzie bezkarnie, gdyż Rządu Narodowego, przed którym jeszcze wczoraj drżeli ze strachu, już niema!...

Od wybuchów gwałtownych, podnoszenia głosu w dysputach do ogłuszających wykrzykników i żywej gestykulacji, nie mógł się nigdy do ostatnich chwil życia powstrzymać. Jednej z pań, po jego powrocie z wygnania, udało się dowcipnie powiedzieć: „że od wyjazdu Maszkowskiego z Syberji wygasł tam jeden z wulkanów“. Mógł się w dyspucie zapalić i zapomnieć do tego stopnia, że prawie nie wiedział, co czyni.

Tak naprzykład sędziwą staruszkę, panią z Tarnawskich Salomeę Rakowską, wielką swoją wielbicielkę i przyjaciółkę, która się z nim w zdaniu zgodzić nie chciała, porwał na ręce, wyniósł do trzeciego pokoju i zamknął na klucz w jej własnym domu, gdzie mieszkał lat kilka do samej jej śmierci, w chwilę zaś później, po ochłonięciu, na klęczkach przepraszał.

Pomimo swej gwałtowności był dla mnie Maszkowski niezmiernie sympatyczny w czasach, gdym go po powrocie do kraju poznał, jako student kijowskiego uniwersytetu. Był to naówczas mężczyzna lat przeszło pięćdziesięciu, pięknego wzrostu i tuszy, siwiutki, krótko ostrzyżony, z marsowym wyrazem twarzy, ozdobionej głęboką blizną na czole, z wyrazistemi oczami i siwym pokrętnym wąsem. Energja i stanowczość tryskały tak z wyrazu twarzy jako też z dźwięku mowy; znający go zaś bliżej zmuszeni byli w nim cenić bezwzględną dobrą wiarę, rycerskie stawienie się na danem słowie i nieustanne a szczere interesowanie się sprawami krajowemi, wreszcie cywilną odwagę w najwyższym stopniu, z jaką zwykł wypowiadać swoje przekonania. Doczekawszy się sędziwej starości, przytomny i ożywiony do ostatniej chwili, dokonał p. Gaspar czci najgodniejszego żywota w dniu 22 października (3 listopada) 1884 r. w Kijowie, gdzie go pochowano na miejscowym katolickim cmentarzu. W ostatnich chwilach nie odstępowali łoża chorego dr Krzyżanowski i obie córki pp. Zenonów Hołowińskich. Wielki zaś zjazd rodaków na pogrzebie był cichą a wymowną manifestacją!...

III.

Trzecią postacią wśród przewodniczących Stowarzyszenia Ludu Polskiego na Wołyniu był sekretarz tej prowincji, doktor Antoni Beaupré, syn Józefa i Teofili z Bentkowskich. Ojciec Antoniego, Józef Beaupré, rodowity Francuz, przybył jak wielu cudzoziemców do Polski, by wziąć udział w konfederacji barskiej. W przybranej ojczyźnie pozostał na zawsze, a ożeniwszy się z Polką całem sercem kraj jej ukochał. Po rozbiorze Polski na wezwanie opata Strojnowskiego, rodzonego brata dwóch dygnitarzy: senatora i rektora uniwersytetu wileńskiego, przy-

był do szkoły bazyljańskiej owruckiej i zajął w niej stanowisko nauczyciela języka francuskiego, które piastował aż do zgonu.

Jedyny syn jego, Antoni, wstąpił do szkoły owruckiej w r. 1812, jeszcze za życia ojca, ukończył zaś ją chlubnie w r. 1819, a odbywszy kursa w liceum krzemienieckiem i w uniwersytecie wileńskim na wydziale lekarskim, już w 1830 r. jako młody lekarz, cieszący się wziętością w Krzemieńcu, został w drodze administracyjnej wysłany na mieszkanie do Kurska, jednocześnie z hr. Marcinem Tarnowskim, Gustawem hr. Olizarem i wielu innymi patrjotami. Po powrocie do kraju wziął czynny udział w „Stowarzyszeniu Ludu Polskiego", do którego zawezwał go jeden z krzemienieckich kolegów, Leonard Łepkowski, poczem wkrótce, jak to widzieliśmy, został sekretarzem do spraw Wołynia i redaktorem pisemka „Przyjaciel Prawdy", które stowarzyszeni przepisywali i puszczali w obieg.

Maszkowski podnosi wysoko zasługi Beaupré'go na stanowisku sekretarza prowincji i redaktora pisma, którego ślady wszakże zostały zatracone, niszczono je bowiem w obawie spodziewanych rewizyj, które się po całym kraju odbywały. Aresztowany w początkach lipca r. 1838, okuty i osadzony w Wilnie, pozostawał tam do końca listopada tegoż roku. W tym też miesiącu przewieziony do Kijowa, mimo usiłowania komisyj śledczych, by wydobyć z niego zeznania przeciwko stowarzyszonym, nikogo nie zdradził i wraz z trzema najwybitniejszymi kolegami, jak to już pisaliśmy, stanął na rusztowaniu, skąd po odczytaniu wyroku, a następnie ułaskawieniu, wysłany został z żandarmami do Tobolska, a stamtąd wraz z Maszkowskim do Irkucka, wkońcu zaś do kopalni nerczyńskich, wśród których wraz z kolegami z tejże sprawy wyznaczono mu na miejsce pobytu miejscowość zwaną „Główny Zarząd" (Gławnaja Kantora). Nowoprzybyli zastali tam kilku zesłanych ze sprawy powstania 1831 r., jak Franciszka Malczewskiego, który zdecydował zdobycie arsenału w Warszawie dnia 29 listopada.

Na nowej siedzibie zdobył Beaupré olbrzymią praktykę, a więc pomimo wielką bezinteresowność rozporządzał znacznemi środkami. Jak zaś tych środków używał i jakim był kolegą, świadczą ci, co z nim niedolę wygnania dzielili. Już Gaspar Maszkowski w załączonym do tego rozdziału w przypisach li-

ście wylicza cały szereg cichych a wielkich zasług tego najzacniejszego z ludzi, a wszystkie nacechowane są zupełnem zapomnieniem o sobie na rzecz potrzeb ogólnych i koleżeńskich. Mijając Maszkowskiego na trakcie syberyjskim i wiedząc, iż po połknięciu papierowych pieniędzy jest bez grosza, przesyła mu przez żandarma ciepłe rękawiczki, a w jednej z nich ukryte 50 rubli. W czasie ciężkiej choroby tegoż kolegi pielęgnuje go z narażeniem życia własnego, nietylko jako lekarz, ale i jak siostra miłosierdzia. Po przybyciu na miejsce swego przeznaczenia nie szczędzi środków na wytworzenie licznych instytucyj, mających na celu dobro współwygnańców, pozostające zaś od tych wydatków pieniądze uważa za wspólną własność potrzebujących towarzyszów.

Inny znowu z kolegów, zmarły w roku bieżącym 1903, czcigodny pan Aleksander Krajewski w liście do pani Seweryny Beaupré pisze:

„Gdy w tęsknej wyobraźni przesuwam kolej lat minionych, szczególniej pierwszą połowę życia mojego, postać ś. p. męża Pani na przednim zawsze staje mi widoku. I że taki człowiek, przyjaźnią swoją mię zaszczycał, poczytuję to za bardzo cenny żywota mego dorobek“[1]).

Antoni Beaupré, spędziwszy we wschodniej Syberji lat około dwadzieścia, na ciężkiej i mozolnej pracy wśród obcych, z pogodnem obliczem powracał do stron rodzinnych, czując to dobrze, że swe obowiązki należycie wypełnił. Wkrótce po przybyciu do kraju znalazł dozgonną towarzyszkę w córce kolegi i przyjaciela, pannie Sewerynie Iwanowskiej, najlepszej Polce, najzacniejszej kobiecie, matce i żonie. Państwo Beaupré osiedli w ukochanym przez doktora Krzemieńcu, gdzie tenże praktyce lekarskiej się oddawał. W 1863 roku został aresztowanym i osadzonym w więzieniu rówieńskiem, skąd uwolniony przez pułkownika Reisigka po sześciu tygodniach do ogniska domowego powrócił. Przygnębiony upadkiem powstania, a w latach następnych szeregiem wypadków politycznych, w których Prusy z dniem każdym zyskiwały wpływ przemożny, i docze-

[1]) Opuszczamy szczegóły o Beauprém, jakie Lasocki powtarza dosłownie za *Wspomnieniami sybirskiemi* Eugenjusza Żmijewskiego, gdyż te były już drukowane w warszawskim „Wieku“ (1884, nr. 291, 295; 1885, nr. 7). (Przyp. Wyd.).

kawszy się wzięcia Paryża przez wojska niemieckie, z wypadkiem tak doniosłym a ujemnym nie mógł się już pogodzić do końca życia. To też ciężko zapadł na zdrowiu, z choroby tej już się nie podniósł i w dniu 8 sierpnia 1872 r. dokonał najcnotliwszego z żywotów, budując swą śmiercią spowiednika i otaczających. Po zgonie męża pani Seweryna, spełniając wolę jego, przeniosła się do Krakowa z synkiem i córeczką, których wychowaniu oddała się niepodzielnie.

. . . . . .

Odbiegłem na czas dłuższy od przedmiotu. Zamiast bowiem mówić o tem, na com osobiście patrzał, uniesiony potęgą wspomnień o opowiadanych mi przez moją matkę wypadkach, sprawach i ludziach z lat 1835 do 1839, pozwoliłem sobie odtworzyć te czasy, korzystając z nieznanych dotąd, a zdobytych przezemnie źródeł pierwszorzędnej wartości. Nie żałuję tego; udało mi się bowiem wykazać kilka nowych faktów jako przyczynków do dziejów sprzysiężeń na Wołyniu. Uczyniłem to i dlatego, by dowieść, jak prawdziwem jest przysłowie, że: „czem się skorupka za młodu napoi, tem na starość trąci". Umysł dziecinny nie jest w stanie zdobyć się na ocenę krytyczną najdonioślejszych nawet wypadków dziejowych, jak niemniej na wyrobienie ogólniejszych pojęć, zasad i przekonań politycznych lub społecznych. Dzięki wszakże niezwykłej wrażliwości, wiekowi temu właściwej, większość dzieci rozwiniętych przejmuje się zwykle pojęciami najbliższego swego rodzinnego koła, szczególnie, jeśli pojęcia te dogadzają ich uczuciom i fantazji. W przeciwnym razie dzieci, o ile mają styczność z liczniejszem dodatniem otoczeniem, stają zazwyczaj po stronie tych, którzy szlachetnością i wzniosłością swych na bieżące sprawy poglądów zdołają trafić do ich dziecięcej wrażliwej wyobraźni, nie powściąganej względami praktycznemi.

Dzieciństwo moje, jak widać z tego, com opowiedział, nie było wolnem od potężnych i silnych wrażeń, które na umysł mój oddziaływały nieustannie. Urodzony w 1837 r., a więc w lat sześć po pogromie pełnego świetnych nadziei powstania listopadowego, w cztery po stłumieniu gerylasów, w parę po

zawiązaniu Towarzystwa Patrjotycznego na Wołyniu i na parę lat przed jego wykryciem i wytępieniem przez Bibikowa, znalazłem się od kolebki w zaczarowanem kole legend z okresu 1830 do 1840 roku i pod ich niepodzielnym wpływem i urokiem. Do takiego usposobienia mego wiele się przyczyniało to, iż udział w tych wypadkach brały bliskie w rodzinie osoby. Wkrótce, bo w 1846 roku, zaszły potworne wypadki rzezi galicyjskiej, zaś w 1848 r.[1]) wybuchły w różnych punktach Europy rewolucje i powstania, stłumione przy współudziale wojsk rosyjskich. I znowuż wieści te smutne wstrząsnęły mną do głębi w dziewiątym i jedynastym roku życia. Łatwo zgadnąć, jakich ludzi i jakich przekonań stać się musiałem zwolennikiem już w dzieciństwie i jakie następstwa wywołały te wpływy. Patrząc od przyjścia na świat na nieustanne cierpienia kraju i udział rodziny mojej w tych cierpieniach i przejściach, ukochałem nadewszystko sprawę narodową!

Ze świata wspomnień o wielkich nadziejach i zamiarach, zakończonych smutnym zawodem, przechodzę do prozy, to jest do mego pokoju w domu rodziców w Żytomierzu, gdzie się do szkół przygotowywałem. Mój korepetytor, pan Jan Wierzbicki, był bardzo pracowity i dużo czasu mi poświęcał; ale że się wciąż zamyślał, zdarzało się, że ni stąd ni zowąd uderzał mię czterokanciastą linją po łokciu lub przedramieniu, skutkiem tego, iż mu się coś przesłyszało, przewidziało lub wydało. Było to coś nienormalnego, co więcej mię dziwiło niż oburzało. Mimo tę usterkę przykrą dla mnie, bo bolesną, milczałem o niej przed rodzicami, tem więcej, że spostrzegłszy swą omyłkę mój mentor uprzejmie mię przepraszał. Mijały szybko miesiące wśród zajęć i jednostajnego trybu życia, nie pozostawiając po sobie żadnych prawie wspomnień.

Do najdonioślejszych wypadków tego czasu zaliczam przyj-

---

[1]) Z czasów powstania węgierskiego obok wspomnień o udziale w tej wojnie Bema, Dembińskiego, moich wujów, Antoniego Ilińskiego i Wincentego Budzyńskiego tudzież wielu innych rodaków została mi w pamięci następująca tragi-komiczna anegdota. Znany swego czasu z konceptów bałagulskich Adam Wyleżyński wyuczył w Żytomierzu kilku ulicników wtórować dzwonom cerkiewnym i wołać na cały głos: „Bem, Bem, Bem", gdy następowały pojedyncze uderzenia w dzwon, zaś: „Windischgrätz, Windischgrätz, Windischgrätz", gdy dzwoniący rozpoczynali trele na małych dzwoneczkach. Smutny koniec tego niewinnego dowcipu odbył się w cyrkule, gdzie biedni malcy wykrzykiwali, ale już płaczliwe trele na różne tony, tym razem pod uderzeniem rózeg.

ście na świat mojej najmłodszej siostry i śmierć dziadka. Wkrótce po naszych przenosinach ze wsi, bo 16/28 grudnia 1847 r., powiła matka moja najmłodszą córkę Adelę, dziś Jakóbową Stecką. Była to wielka radość dla naszego rodzeństwa, które kochało się wzajemnie bardzo serdecznie. W lipcu zaś następnego 1848 r. zmarł nagle na cholerę w Żytomierzu dziad mój macierzysty, Ignacy Budzyński. Bawił on czas jakiś u najmłodszego syna, Seweryna, na wsi w Ożarówce, przez tego ostatniego dzierżawionej od krewnego Mieczysława Budzyńskiego, i przybył do nas z zamiarem ostatecznego zamieszkania w Żytomierzu. Wszystko było przygotowane na przyjęcie dziadka; wszystkich cieszyło oczekiwane przybycie; nie przeczuwano, że to miały być ostatnie chwile jego. Nazajutrz bowiem zachorował i w tymże dniu życie zakończył. Zwłoki przewiezione zostały do grobów rodzinnych w Lubarze. Pierwsza to była w życiu mojem wielka strata w rodzinie i pierwsza ciężka żałoba. Całą dzieciarnię, ubraną w czarne sukienki, wysłali rodzice do Wołosowa, wioski położonej o wiorst dwadzieścia od Żytomierza, gdzie ojciec mój dzierżawił od panny Przesmyckiej niewielką cząstkę dla zaopatrzenia domu w owies i siano dla koni, w produkta wiejskie, warzywa, owoce itp.

W Wołosowie spędziliśmy całe lato z rodzicami, którzy tu przyjechali po pogrzebie dziadka. Zostało mi z tych czasów w pamięci częste łapanie ryb na wędkę w rzece Hujwie pod kierunkiem ojca, tudzież znajomość nowo zawiązana z doktorem Edwardem Marjanem Gallim, bardzo wykształconym i rozumnym człowiekiem, który się o pannę Przesmycką starał, a więc często przyjeżdżał, bywał u nas i w wielu kwestjach starał się mnie oświecać. Raz np. na złapanej przezemnie rybce wyłożył mi anatomję ryb.

Na czas wakacyj p. Wierzbicki opuścił dom nasz, pobyt więc w Wołosowie był niepodzielnym wypoczynkiem. W wiosce tej, która jest oddawna kollokacją, znaliśmy i bywaliśmy u pana Gracjana Jezierskiego, przy którym mieszkały cztery siostry, u p. Seweryna Trypolskiego i u naszej krewnej, a wnuczki Alojzego Felińskiego, Anieli z Michałowskich Kretkowskiej, bardzo zacnej niewiasty, a żony niewielkiej wartości człowieka, biurokraty z Petersburga, p. Augustyna Kretkowskiego. Domy

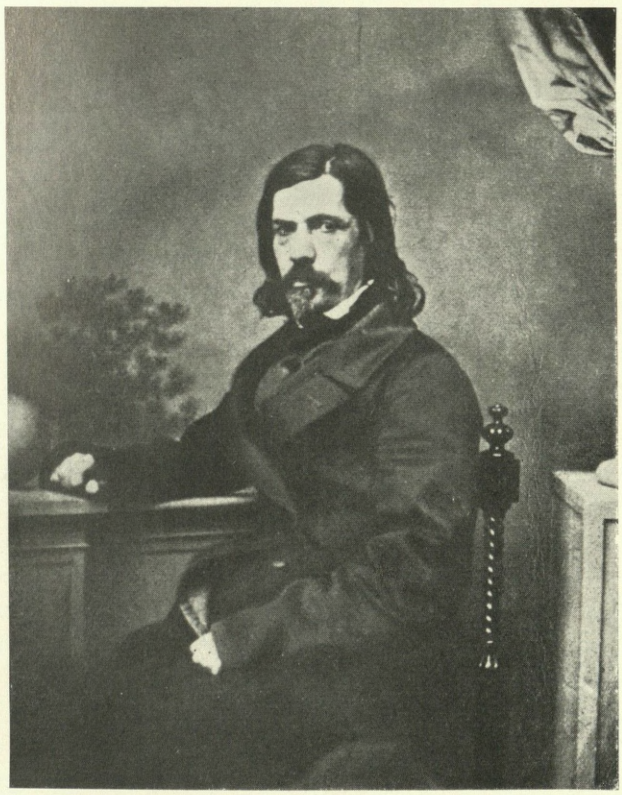


Fig. 20. Antoni Beaupré.

te niczem się nie wyróżniały od typu najzwyczajniejszego średniej zamożności właścicieli ziemskich.

Po wakacjach cały rok szkolny 1848/9 pracowałem gorliwie z p. Wierzbickim i w sierpniu 1849 r. z niemałym strachem przystąpiłem do egzaminu w gimnazjum żytomierskiem jako przygotowany do klasy III. Egzamin powiódł mi się najzupełniej, pracy więc pana Wierzbickiego, tego bardzo zacnego dziwaka i odludka, zawdzięczałem przyjęcie mię do klasy III. Jeszcze dziś, po latach z górą pięćdziesięciu, stoi mi przed oczyma postać moja dziecinna w mundurek uczniowski przybrana, przyglądająca się w lustrze z dumą oznakom swej godności. To przywdzianie mundurka było pomyślnem rozwiązaniem dziecięcego dramatu, który nosi powszechnie utartą nazwę wejścia do szkoły. Pierwsze akta tego melodramatu a czasem tragedji trwają lata całe pod panowaniem rosyjskiem i składają się z usiłowań wyuczania się nieskończenie wielkiej ilości nieużytecznych lub mało użytecznych, a niewielu tylko potrzebnych wiadomości w języku państwowym, którego gruntowne poznanie podwaja liczbę czasu potrzebnego do nabycia tych wiadomości, a co gorsza, nie dozwala wczesnego i gruntownego poznania języka ojczystego.

Przedostatnim aktem tego dramatu jest egzamin, podobny często do loterji, nigdy prawie do sumiennego badania rozwoju umysłowego egzaminowanych; i tu, jak wszędzie, wchodzą w grę łapówki. Egzamina dla jednych są żartem i triumfem, dla innych szykaną. Ostatnim zaś aktem jest albo mundur, oznaka zwycięstwa, lub brak munduru, a więc rozpacz całych nieraz rodzin. Egzaminowano mię, jak pamiętam, dość srogo, do dziś dnia nie wiem, czy była łapówka; zbytku pobłażliwości wszakże nie odkryłem u egzaminujących; koniec końców przyjęto mię i zawiadomiono o tem ojca. Wówczas to kazano mi uszyć ów mundurek, przedmiot mojej dumy. Ciekawą jest psychologja tego rodzaju próżności, jaka opanowuje wszystkich prawie dzieciaków wobec przywdziania pierwszego munduru, przynajmniej u nas. Ci, którzy potem nie pragnęli nigdy rang i orderów, a nawet brzydzili się temi oznakami służalstwa, nie byli wolni od uczucia dumy przy wdziewaniu pierwszego szkolnego mundurka. Przywiózł mię ojciec do gimnazjum, przy Małej

Berdyczowskiej ulicy wówczas położonego, którego wizerunek załączam, by osobiście oddać władzy szkolnej. Pan inspektor zaś wprowadził mię do oddziału I klasy III, gdzie się znalazłem w gronie wąsali, przeważnie od szesnastu do dwudziestu lat wieku liczących, a wszyscy bez wyjątku byli starsi odemnie mającego wówczas rok trzynasty. Trzy pierwsze klasy dzieliły się każda na dwa oddziały. W obu oddziałach klasy III było nas około 100 uczniów.

Nie chcę nudzić łaskawego czytelnika zbyt drobnemi szczegółami, dotyczącemi mego pięcioletniego pobytu w gimnazjum; powiem tu więc tylko, że w żadnej klasie nie zostawałem na rok drugi; z piątej i szóstej otrzymałem nagrody i skończyłem szkoły z pierwszym atestatem po dwóch kolegach, którzy otrzymali srebrne medale. Cały ten pobyt nie zostawił w mej duszy wspomnień sercu drogich! Przedstawia mi się on raczej jako spełnienie czegoś bardzo podobnego do dzisiejszej powinności wojskowej. Mundur obrzydł mi już w pierwszym roku, a w piątym zrzucałem go z radością, jak to dziś czynią wszyscy dobrze myślący Polacy po odbyciu powinności wojskowej.

O władzy szkolnej i nauczycielach powiem słów parę. Była to dziwna, niejako przypadkowa mieszanina dobrych i złych pierwiastków resztek dawnych szkół polskich z przed r. 1831; kilka dodatnich postaci rosyjskiej narodowości, obok licznych, bezwartościowych naleciałości. Dyrektorów gimnazjum było przy mnie dwóch. Zastałem niejakiego Abramowa, przeniesionego do nas z Równego, a słynnego tam i tutaj z łapówek, nie gardzącego nawet drobnostkami jak np. głową cukru lub paru funtami herbaty. Po nim w 1850 r. nastąpił p. Kitczeńko, mniej jawnie łapówki praktykujący i nie rozpraszający się na drobiazgi.

O pierwszym zostały mi w pamięci dwie głośne swojego czasu anegdoty. Jednej był aktorem uczeń klasy szóstej, Jan Paszkowski z Semenówki pod Berdyczowem. Pragnąc otrzymać urlop na czas karnawału, kupuje głowę cukru i funt herbaty, a pozostawiwszy je demonstracyjnie w przedpokoju dyrektora udaje się do jego gabinetu z prośbą. Pan dyrektor stał właśnie przy oknie, zwróconem ku bramie, gdy Paszkowski wchodził, a widząc go nie z próżnemi rękami, podpisał skwapliwie urlop. Jakież było oburzenie p. Abramowa, gdy ujrzał,

iż te dary nie dla niego były przeznaczone, albowiem Paszkowski zabrał je napowrót. Przypłacił on drogo swój koncept, atestatu bowiem w rok potem nie otrzymał.

Druga historja jest daleko więcej skomplikowana. Zamożny ojciec jednego z najgorszych uczniów trzeciej klasy w gimnazjum rówieńskim, niejaki Kalinowski, udał się do dyrektora prosząc, czy niema sposobu, aby syn jego, który miał złe stopnie, przeszedł do klasy czwartej, nadmieniając, że gotów by na to łożyć do wysokości 400 rubli. P. Abramow uznał tę cyfrę za zupełnie wystarczającą i mogącą zastąpić wszelkie braki wiedzy, obiecał też stroskanemu ojcu spełnić jego życzenie. Ani rodzice ani syn domyśleć się narazie nie mogli całej machinacji, którą uskutecznił dyrektor. Kazał on, aby malec wyuczył się po pięć numerów z programatu w każdym przedmiocie i naturalnie numera te sam wybrał. Na pierwszy egzamin spóźnił się naumyślnie i zastał we łzach swojego protegowanego. Pyta więc, czego płacze, a gdy uczeń opowiada o swem nieszczęściu, odzywa się:

— „Alboż ty co umiesz, ośle jeden, pewno że nie, cóż dziwnego, żeś na pałkę zasłużył".

— „Ja umiem, panie dyrektorze, odpowiada obżałowany, ja się tylko zmieszałem i nie chciano mię potem słuchać".

— „Zaczekaj, po egzaminie innych przeegzaminują ciebie raz jeszcze w mojej obecności, ale biada ci, jeśli mię oszukujesz!"

Naturalnie, egzamin odbywał się bez ciągnienia pytań. Abramow sam niby wybierał najtrudniejsze i zamiast dwóch zwyczajnych kazał odpowiadać na trzy numera. Wkońcu odwołał się do uczuć sprawiedliwości pp. profesorów i za ich zgodą poprawił roczną pałkę na czwórkę i takąż, świeżo na egzaminie napisaną, również na cztery. Poczem ozwał się do ucznia:

— „Nie wykpisz się odemnie bratku jednym egzaminem, wszystkie musisz zdawać bez biletów i odpowiadać nie na dwa, ale na trzy, cztery, lub pięć pytań".

Pozorna ta srogość, umiejętnie zastosowana, przyniosła osławionemu drugą nagrodę, dyrektorowi zaś okrągłe 400 rubli.

O Kitczence anegdot nie prawiono, wiedziano tylko, że i on nie był wolnym od grzechu pierworodnego wszech urzędników państwa rosyjskiego; załatwiał wszakże te sprawy po-

prostu, unikając rozgłosu. Tacy to ludzie dawali kierunek szkole! Inspektorów, stróżów dobrych obyczajów niby i moralności młodzieży, pamiętam dwóch:Małorosjanina Kowalewskiego, zacnego człowieka, który był na wysokości swego zadania i jego następcę Harasimenkę, który mi towarzyszył od klasy czwartej aż do ukończenia szkół; ustąpił zaś z urzędu, gdyż stał się bohaterem awantury, w której niejaki major Korbutt obił go za umizgi do siostry bez wyraźnych zamiarów proszenia o jej rękę.

Co do nauczycieli, dzielili się oni na trzy grupy bardzo odrębne. Do pierwszej, prawdziwie sympatycznej, zaliczam trzech Polaków: naszego profesora religji i kapelana, księdza Piotra Boratyńskiego; nauczyciela matematyki i fizyki w klasach wyższych, Józefa Szumskiego, i prof. rysunków Sobkiewicza, który wszakże opuszczał już swe stanowisko, gdym ja wstępował do gimnazjum; wszyscy trzej przeniesieni z dawnych szkół polskich.

Z pomiędzy Rosjan wyróżniali się: Bazyli, syn Stefana, Lapideski, siostrzeniec protojereja Bazanowa, wychowaniec instytutu pedagogicznego petersburskiego, który wykładał literaturę rosyjską i był ożeniony z Polką. Paweł, syn Andrzeja, Kryłowski, profesor łaciny w klasach wyższych, ożeniony był również z Polką, panną Zdanowiczówną[1]). Wreszcie wyróżniał się profesor prawa Danilewski. Do nich też zaliczę i Edmunda Boskowicza z rodziny serbskiej, który nas szkolił w mowie francuskiej. Ci wszyscy byli na wysokości zajmowanych stanowisk, znali i dobrze wykładali swe przedmioty, kochali młodzież i brzydzili się przekupstwem, celując sprawiedliwością i miłością obra-

---

[1]) Dwaj synowie Kryłowskiego, Aleksander i Mikołaj, urodzeni z Polki i wychowani wśród Polaków, zatracili doszczętnie ślady rosyjskiego pochodzenia. Uczyli się wybornie, przechodzili z klasy do klasy z nagrodami i otrzymali medale; w latach demonstracyj i powstania przyjęli najgorętszy udział w sprawie narodowej. Aleksander został skazany do wojska jako prosty żołnierz i tylko wspólnej ze Stefanem Bobrowskim ucieczce zawdzięczał swobodę. Mikołaja zesłano na Syberję na zaludnienie. Stary Kryłowski nie mógł pojąć, co się stało z synami tak prawowitego poddanego, za jakiego siebie uważał. Wątpliwości jego pod tym względem rozwiązał kolega, prof. Szumski, tłumacząc strapionemu, a niedomyślnemu pedantowi, iż jest w położeniu kury, która wywiodła kaczęta i pojąć nie może, dlaczego jej dzieci przybrane obejść się bez wody nie mogą! O śmiałych odpowiedziach Aleksandra Kryłowskiego w komisji z czasów owych wiele opowiadano. Gdy go prezes zapytał o narodowość, nazwał się Polakiem, zeznając jednocześnie, iż jest prawosławnym. Na zarzut zaś, że prawosławni Polakami być nie mogą, z ironicznym uśmiechem odpowiedział, iż w takim razie gotów jest niezwłocznie przyjąć katolicyzm. Komisja, bojąc się jeszcze dosadniejszych wniosków, zaprzestała badania.

nego zawodu. Do drugiej grupy zaliczam nauczycieli z większą lub mniejszą znajomością wykładanych przedmiotów, ale byli to urzędnicy, nic wspólnego z młodzieżą nie mający, a wszyscy nie wolni od gorącego pragnienia łapówek w bezpośredniej lub pośredniej postaci korepetycyj. Nazwiska tych opuszczę, jako niegodnych wspomnienia i niczem nie różniących się od podobnej im zgrai czynowników, na różnych stanowiskach biedny kraj nasz wyzyskujących. Wreszcie, do trzeciej grupy przydzielam niezłych w gruncie rzeczy ludzi, ale mało znających swe przedmioty, a więc nie mogących mieć żadnego wpływu na młodzież; i tych nie chcę również wyliczać, by ich pamięci nie ubliżyć, bo jeśli mało lub nic nie czynili pożytecznego, to prędzej z niewiadomości jak ze złej woli.

Co do wykładów, niektóre były komiczne. Mieliśmy naprzykład profesora historji p. Rafalskiego Łukasza, syna Michała Rafalskiego, a synowca bazyljanina unity z Poczajowskiej Ławry, późniejszego metropolity, który uważał za stosowne wstydzić się i kryć się ze swem unickiem pochodzeniem. Umiał on na pamięć co do słowa historję powszechną Smaragdowa i rosyjską Ustriałowa. Chodząc po klasie recytował całe rozdziały tych historyj, kręcąc przytem na drugim palcu prawej ręki za pośrednictwem pierwszego palca sygnet złoty. Biada temu, kto mu przerwał, zadając pytanie; wykład bowiem urywał się nagle, a profesor straciwszy rozpęd z trudnością mógł się połapać i ciągnąć go dalej; stąd wpadał w złość i wywierał na uczniach jej skutki, wymyślając im bez litości.

Została pamiętną i powtarzaną anegdota o tym profesorze i o Józefie Polheimie, naonczas uczniu klasy siódmej. Był to bardzo zdolny młodzieniec, którego często nudziły te tak zwane wykłady profesora. Raz, gdy p. Rafalski starał się nadać wykładowi swojemu charakter zagadkowy, wyliczając znane czyny Napoleona, a nie wymawiając jego imienia, Polheim głosem dobrodusznym odzywał się niby do siebie: — „Ja wiem, kto to taki, to Napoleon“. Oburzony profesor za zepsucie wielkiego wrażenia, jakie pragnął wywołać, podchodzi do Polheima i zapytuje groźnie:

— „Czy pan wiesz, kto był Lavater?“

Polheim mu odpowiada, iż to był znany fizjonomista.

A na to Rafalski:

— „Otóż, gdyby Lavater znał pana, powiedziałby na mocy wyrazu jego twarzy, żeś niegodziwiec, i ja to samo za nim powtórzę".

Tu Polheim z najzimniejszą krwią odzywa się:

— „Panie profesorze, najpierw pan nie jest Lavaterem, powtóre nie wiesz pan, coby Lavater o mnie powiedział, po trzecie, mówisz mi pan impertynencje, podczas gdy Lavater tylko pytany wydawał swój sąd objektywny o wyrazie twarzy pytającego".

Smiech ogólny, do grzmotu podobny, dobił profesora i był nagrodą Polheima. Tenże Rafalski twierdził, iż wielcy ludzie zazwyczaj mało sypiali, jak np. Aleksander Macedoński trzy godziny, Juljusz Cezar cztery, Bonaparte pięć, on zaś Rafalski sześć.

Do nauczycieli skończonych dziwolągów, należało czterech: Pierwszy, niejaki Podporużnikow, prof. geografji, niegdyś porucznik, ukarany bakałarstwem za burdy i opilstwo, jakich się w pułku dopuszczał. Był to człowiek nawpół dziki. Grzebienia i chustki do nosa nie używał wcale, zastępując te oba przedmioty palcami. Z wodą i ręcznikiem również się nie spotykał, a o mydle, chyba nawet nie słyszał. W czasie lekcyj łowił i karał śmiercią pasorzyty barwy jasnej, co się na powierzchni skóry jego przechadzały. Drugim dziwolągiem był nauczyciel elementarnej matematyki alias arytmetyki, Serbinow, wprost po wypuszczeniu z domu warjatów przybyły do nas na swe stanowisko. Miewał on dziwne wybryki, zresztą nic nie znaczące i nieszkodliwe. Trzecim był profesor francuskiego i niemieckiego w niższych klasach, Polak Baryczko. Czwartym wreszcie i ostatnim był nasz mistrz rysunku i kaligrafji, niejaki Dawydow, skończony warjat, na którego lekcji toczyli między sobą uczniowie, nie oszczędzając i profesora, formalne utarczki. Katedrę zarzucali paltotami i płaszczami, z ławek robili barykady, gdy zaś do klasy nadejść miała władza, dawały o tem znać rozstawione czaty i w mgnieniu oka wszystko było na swych miejscach, a grobowa cisza zalegała salę.

Przedstawicielami opieki rodzicielskiej byli tak zwani kuratorowie, wybierani przez szlachtę co trzy lata. Prawa takiego kuratora były nijakie; tylko osobiste zalety i stosunki mogły

mu wytworzyć stanowisko i pozwolić na jaki taki wpływ moralny. Nie pojmuję, dlaczego na kuratorów wybierano rzadko bardzo ludzi będących na wysokości tego zadania. Za moich czasów, gdym był w klasie trzeciej i czwartej, kuratorem naszym był p. Władysław Bożydar Podhorodeński, zamożny właściciel ziemski powiatu żytomierskiego i posiadacz domów i placów w Żytomierzu. Był on jednocześnie kawalerem maltańskim, a więc miał prawo noszenia kilku wspaniale złotem szytych i mniej więcej jaskrawych mundurów: kuratorskiego, maltańskiego i szlacheckiego, których wartość razem wzięta przewyższała stanowczo wartość moralną i umysłową ich właściciela. Był to człowiek w podeszłym już wieku, bez żadnego gruntowniejszego wykształcenia; nic więc dziwnego, że się na każdym kroku okrywał śmiesznością nie tylko wobec władzy, ale i wobec młodzieży.

Starał się zawsze udawać, że zna się dobrze z treścią wykładu, a więc dopóki profesor słuchał ucznia w milczeniu, p. kurator potakiwał mu ruchami; gdy zaś przemówił do ucznia, nie czekając treści tej przemowy Podhorodeński cofał swe potakiwanie i zaczynał naganę, stąd wypadały komiczne powikłania, zmuszające kuratora powracać do potakiwania, gdy się okazało, że uczeń umiał swój przedmiot wybornie. Zwiedzając wspólne mieszkania uczniowskie (internaty), zastawał często któregoś z malców klęczącym, a wówczas czuł się w obowiązku pytać, za co jest karany. Zwykle chłopcy dawali mu jednobrzmiące figlarne odpowiedzi, iż nie umieli jakiegoś trudnego wokabułu polskiego przełożyć na język francuski. Raz były to: kluski, drugi raz pierogi, trzeci oładki, czwarty łazanki, kisiele, karaski itp. Pan kurator, pochwyciwszy słówko, powtarzał je głośno kilkakrotnie, niby chcąc łatwiej odszukać odpowiednią nazwę francuską, a nie mogąc jej dobrać, bo nazw takich i w dykcjonarzu nie było, mówił z wielką powagą: — „Uważasz, powiem ci (było to jego przysłowie) „kluski, les kluski, oładki, les oładki“ itd., wkońcu dodawał zawsze: — „Ale uważasz powiem ci, les Français ne mangent pas de ces cochonneries là“.

W czasie zapust nadesłał raz całe stosy nieudanych w domu pączków z zakalcem do pensjonatu; nikt ich nie jadł, lecz prze-

chowano je starannie; i gdy p. kurator nadszedł, by otrzymać spodziewane podziękowanie, zastał tu i ówdzie grających swemi pączkami niby w piłkę, a wszyscy mu jednogłośnie za przysłanie tych piłek dziękowali, czem go tak zażenowali, że się chyłkiem wyniósł, nie wstępując do naszej starszyzny. W czasie rekolekcyj, które się w tak zwanej „sali rysunkowej“ odbywały, jako zachowujący obrzędy wszelkich praktyk religijnych bywał zawsze obecny. Ale podczas medytacyj, ukląkłszy w swoich białych inexprimablach ze złotemi lampasami na rozesłanej na ziemi dużej, jedwabnej chustce do nosa, ustrojony w paradny mundur kuratorski, opierał się łokciami o katedrę profesorską, obejmował rękami swą głowę i w tej pozycji usypiał snem błogosławionych, często zaś chrapał potężnie i przebudzał się dopiero na odgłos litanji, gdy zagrzmiało chóralne „Módl się za nami“, lub „Zmiłuj się nad nami“. Podnosił wówczas głowę, przecierał oczy i chcąc wtórować ogółowi, zaczynał od zwykłego: — „Uważasz, powiem ci: módl się za nami, uważasz, powiem ci: zmiłuj się nad nami itd.“

W czasie bytności w Żytomierzu cesarza Aleksandra II Podhorodeński nie był już kuratorem, ale jako kawaler maltański i obywatel ziemski stawił się na audjencji danej szlachcie w mundurze maltańskiego kawalera; gdy go zaś przedstawiono, młody cesarz, który widocznie munduru tego nie pamiętał, zapytał go, czy pozostawał w służbie wojskowej, na co tenże, kalecząc język rosyjski, odpowiedział:

— „Uważasz, powiem ci, w hrażdańskiej“ (tj. w cywilnej).

Bez — „Uważasz, powiem ci“, ani do Boga ani do cesarza przemówić nie umiał.

Bobrowski w swym pamiętniku jest łaskaw na Podhorodeńskiego, dużo mówi o jego cnotach, z których żadna krytyki wytrzymać by nie mogła, bo wszystkie były pozorami, dla próżności praktykowanemi; objaśnia zaś tę łaskę Bobrowskiego przytoczona w pamiętniku jego rozmowa między nim a panem kuratorem, w której ten ostatni, naprawiwszy p. Tadeuszowi komplementów, kończy słowami:

— „Discipulus noster supra magistrum“.

W czasie mojej czwartej, piątej, szóstej i siódmej klasy kuratorem naszym był Mieczysław Pruszyński; i on nie był na

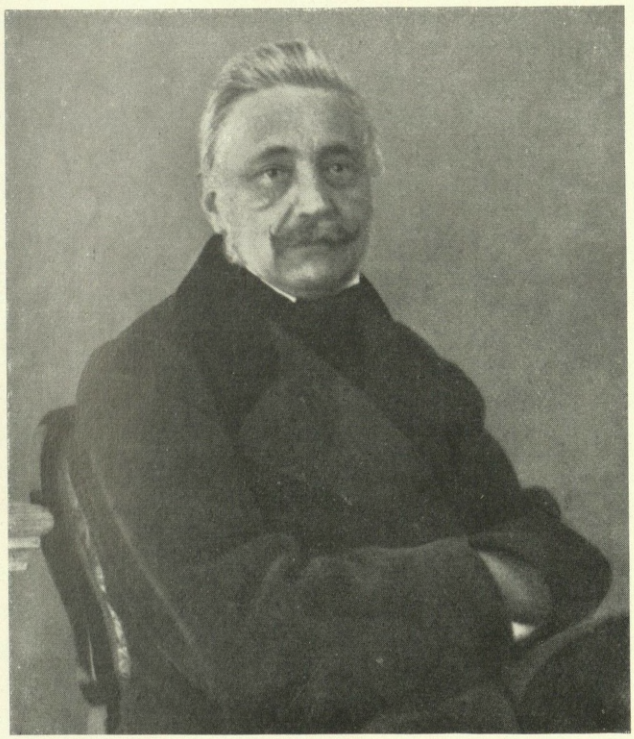


Fig. 21. Gasper Maszkowski.

wysokości zadania, ale jako krzemieńczanin nie okrywał przynajmniej ani siebie ani swoich wyborców taką śmiesznością, jak jego poprzednik. Znacznie później, bo w roku 1859 wybranym został na to stanowisko powszechnie znany J. I. Kraszewski, którego wybór spotkał się pomyślnie z mianowaniem na kuratora okręgu naukowego kijowskiego słynnego uczonego i znakomitego pedagoga, Pirogowa. Obaj niestety, po krótkim bardzo czasie, zmuszeni byli opuścić te urzędy ku prawdziwej szkodzie młodzieży i szkół krajowych. Po Kraszewskim był kuratorem hr. Włodzimierz Plater, a po jego ustąpieniu wybory na Rusi, a więc i urzędy z wyborów pochodzące zostały skasowane.

Co do naszego szkolnego trybu życia, ten się przedstawiał mniej więcej tak: uczniowie mieszkali u rodziców lub krewnych, a przynajmniej u osób, przez władzę za krewnych uważanych, albo też w ogólnych uczniowskich pensjonatach. Te ostatnie miały trzy oddziały. Drugi oddział, nie wiem dlaczego, był najdroższy, pierwszy mniej drogi, trzeci zaś najtańszy. Ja przeszedłem zkolei różne kategorje. Najpierw mieszkałem u rodziców, chodząc do klasy trzeciej i czwartej, piątą klasę przebyłem na kwaterze u pp. Izdebskich, niby krewnych, a szóstą i siódmą w oddziale drugim ogólnego uczniowskiego internatu. W domu rodziców i wogóle w domach prywatnych byliśmy nawiedzani przez tak zwanych dozorców (nadzieratielej) czyli pedeli, którzy wymagali, aby porządek zewnętrzny był zachowany i nie było książek nie naukowych, szczególnie polskich; w mieście zaś, abyśmy byli krótko ostrzyżeni, zapięci na wszystkie guziki, nie palili papierosów, nie bywali w teatrach bez osobnego pozwolenia itd. Za moich czasów czynność tę pełniły nędzne pod względem moralnym figury, niejaki Rudnicki i Ostawowski, Małorosjanie. O trzeciej i czwartej klasie to jest o czasach mieszkania u rodziców powiedzieć tu mogę to tylko, że czasy te prawie w niczem nie różniły się od tych dwóch lat, w których przygotowywałem się do zdania egzaminu. Miałem przy sobie korepetytora, który mię do lekcyj przysposabiał w godzinach poobiednich, ranki zaś spędzałem w klasie. Dzień do dnia był podobny jak dwie krople wody.

Z kolegów bliższymi od innych byli mi: Józef Jezierski

z drugiej klasy i Edward Naskręcki z czwartej, z mojej zaś to jest z trzeciej klasy Konrad i Michał Paszkowscy, stryjeczni bracia. Z innymi byłem dobrze, ale starałem się trzymać na uboczu, gdyż większość, jak to już nadmieniłem, byli wąsale, uważający stały pobyt w klasie trzeciej jako pozycję społeczną. Do tych należeli: Ryszard Staszewski, syn policmajstra, Kazimierz Kolet, syn doktora, Bylicki, Bielski, Kaszperowski, Pruchnicki, Wyszyński, Kalitowicz i wielu a wielu innych. Największym w klasie naszej swawolnikiem i nieukiem był syn blisko znanego rodzicom moim wdowca, bardzo otyłego gastronoma, oddanego wyłącznie pomyślnej komercyjnej grze w karty, pana Leona Trypolskiego, Oktawjan Trypolski, urodzony z Biłgorajskiej. Dostawał on codziennie najregularniej w skórę, która to operacja za moich czasów odbywała się w najlepsze na stołku obitym suknem, zastępującem dla synów szlacheckich będące ongi w użytku kobierce. Miejscem kary była tak zwana kancelarja czyli poczekalnia dla profesorów, następnie zaś operacje te odbywały się w przedsionku do karceru, a że ten mieścił się obok klasy siódmej, wszyscyśmy musieli w ostatnim roku pobytu w szkołach co soboty wysłuchiwać pisków i krzyków conajmniej piętnastu do dwudziestu egzekwowanych. Trypolski miał za stracony dzień, w którym przynajmniej raz nie został oćwiczonym, był wówczas jakiś nieswój, coś mu brakowało do stanu normalnego, kręcił się ustawicznie, wkońcu, prawie zawsze, potrafił zarobić na plagi. Nadto siadywał często w kozie szkolnej albo bywał zamykany w pustej klasie. W tym ostatnim wypadku zawsze coś nowego zmalował; i tak naprzykład oblewał przez dziurkę od klucza ze szprycy atramentem, starając się przeważnie trafić w blondynów. Wyłaził przez okno na gzymsy i łowił w lot bułki, rzucane mu przez kolegów lub litujących się przechodniów i t. p. W życiu jednak dalszem, o ile wiem, nie był szczęśliwym i uznania nie zdobył. Zresztą był dobrym kolegą. Gdy to obecnie piszę, dowiaduję się, że mieszka w Kijowie i pośredniczy w sprzedaży majątków ziemskich w trzech prowincjach Rusi, a więc pośrednio dopomaga do wywłaszczenia własności ziemskich polskich w tej części kraju.

Drugim kolegą, który mi zostawił wybitne, ale ujemne wspomnienie, był niejaki Mirosław Kurowski, syn obywatela

wiejskiego, właściciela wsi Hołowina w okolicach Żytomierza, posiadającego kapitały i pożyczającego na lichwiarskie procenta w drodze niby łaski współobywatelom. Prześcigając w pomysłach ojca, młodziutki p. Mirosław wypuszczał codziennie na loterję rubla w dwóch rublach, po 5 kop. za bilet. Na tej operacji zyskiwał dziennie 100% od kapitału. W dalszem życiu zmarniał; żonę swą z domu Dołner sprzedał gubernatorowi Durnowowi, sam zaś szulerował, a co się z nim potem stało, nie wiem.

Co do mnie, to mimo młode lata byłem z usposobienia dość ryzykowny i śmiały. Razu jednego, gdy któryś ze starszych kolegów ode mnie, chłopak pod wąsem, wytargał mię za uszy, oburzony tem do żywego wlazłem na ławkę, aby dosięgnąć, i uderzyłem go w twarz. Sądziłem, że mnie zabije, ale się inni ujęli i obronili mię skutecznie, a w liczbie ich najenergiczniejszym był wspomniany przeze mnie Trypolski.

Pobyt w klasie czwartej był pod każdym względem co do warunków otoczenia dalszym ciągiem trzeciej klasy. Wkrótce po mojem wejściu do szkół zaszedł drobny wypadek, zasługujący wszakże na wzmiankę z racji swej niezwyczajności i charakteru osoby, która w nim wzięła udział. Na właścicielach ziemskich przed zniesieniem poddaństwa ciężył smutny obowiązek dostarczania rządowi rekruta. Pamiętam w dzieciństwie mojem wstrząsające sceny, które spełnienie tej powinności przez gospodarzy na rozkaz dworu wywoływało. Porywanie, więzienie, kucie w kajdany lub drewniane klamry zwane dybami, były na porządku dziennym. Płacz i błagania kandydatów, ich żon i dzieci, rzadko uwzględnić się mogące, blada i smutna twarz ojca mego, który spełnienie tego nakazu władz zawsze przebolał i odchorował; wszystko to, razem z kierunkiem wychowania mojego, wyrobiło we mnie od dzieciństwa nieprzezwyciężony wstręt do pańszczyzny i zależnego stanowiska włościan od dworu, tak, iż gdyby to wówczas ode mnie zależało, natychmiastbym jednem pociągnięciem pióra kwestję włościańską rozwiązał.

Ojciec mój w wyborze rekruta nie rządził się nigdy osobistemi niechęciami, ale zawsze naradzał się z gromadą o wybór kandydata, a ta ostatnia wotowała zwykle za nieobecnymi

włóczęgami lub szukającymi po miastach zarobku. Otóż przy nowo naznaczonym poborze w czasie gdy do czwartej klasy egzamin zdawać miałem, uradził ojciec z gospodarzami, aby oddać do wojska Iwana Bohaczuka, który od lat kilku służył w Żytomierzu u profesora szkoły rabinów, p. Eustachego Izbickiego. Dictum, factum. Gdy wszakże ujęty przez włościan Iwaś odwołał się o pomoc do swego chlebodawcy, ten ostatni przedkładał ojcu memu konieczność zwolnienia wybranego rekruta jako bardzo zacnego człowieka i dał do zrozumienia, że jeśli tego nie uczyni, to on Izbicki, mając stosunki z nauczycielami gimnazjum, może mi z łatwością zaszkodzić. Ojca to wszakże nie przekonało; włościanie też uparli się przy swojem i Iwaś został przyjęty. Wobec tego postanowienia pan Izbicki nie zawahał się wyłożyć 600 rs. z własnej kieszeni, by dać zastępcę za swego ukochanego sługę.

Dziwne były dalsze losy tego niezaprzeczenie rozumnego i wysoce wykształconego człowieka, jak niemniej wykupionego z wojska Bohaczuka. Izbicki ukończył uniwersytet kijowski ze stopniem kandydata nauk filologicznych i bronił rozprawy o nieśmiertelności duszy. Po takich ciężką pracą osiągniętych triumfach mianowano go jako Polaka na profesora arytmetyki w szkole rabinów w Żytomierzu. Słyszałem go opowiadającego o tem śmiesznem stanowisku, na którem czyniąc obserwacje zdołał pochwycić kilka cech charakterystycznych młodego żydowskiego pokolenia. Zauważył on jako stały objaw umysłu uczniów tej narodowości w klasach niższych niezdolność pojmowania cyfr oderwanych od przedmiotu; gdy bowiem przychodziło dodawać, żydziaki wołały: „2×2 cztery grosze, 6 a 8 czternaście groszy“ itp., toż samo i przy odciąganiu, zaś przy mnożeniu np. 6×6 odpowiadały „złoty i groszy sześć“, 4×5 dwadzieścia groszy“ i t. d.

Znudzony i zmęczony swem zajęciem, tak niestosownem dla doktora filozofji, postanowił pan Eustachy wstąpić do stanu duchownego, a rachując na swój stopień i treść bronionej rozprawy, miał nadzieję, iż go od przejścia przez seminarjum uwolnią; gdy zaś biskup Kacper Borowski, zagadnięty w tym względzie, odpowiedział, że wyjątków robić nie ma prawa, Izbicki tegoż dnia udał się do archireja prawosławnego, któremu na

tychże warunkach ofiarował swe usługi i został skwapliwie przyjęty; a stało się to wszystko już po wyzwoleniu Iwasia od rekruta. Przechodząc kolejno szczeble hierarchji prawosławnej, został archimandrytą; zakończył zaś życie jako przewodniczący wielkiej misji we wschodniej Syberji, gdzie ja, odbywając w latach 1866 do 69 r. karę za udział w powstaniu, niejednokrotnie odczytywałem sprawozdania o jego gorliwej działalności w szerzeniu religji prawosławnej między krajowcami. Z opowieści zaś tych, co go spotykali w Rosji, dowiedziałem się, że bardzo cierpiał moralnie; miał bowiem wielkie zamiary dokonania jakoby radykalnych reform i zmian w kościele wschodniego obrządku, a przekonał się, że musi być jego pokornym sługą i że wszelkie jego działania są paraliżowane, śledzone i podejrzywane, o czem się ostatecznie przekonał, gdy dla pozbycia się jego wpływu wysłano go na daleki Wschód między Burjatów, Tunguzów i t. d. Nekrolog jego zaś opiewał, że tak gorliwych misjonarzy prawosławnych dają tylko odpadłe od katolickiego kościoła jednostki.

Iwaś po wyzwoleniu od wojska, wspierany przez swego dawnego protektora, został bogatym kupcem w Moskwie i w tym charakterze odwiedził wieś rodzinną.

W maju, gdy się zbliżały pierwsze moje egzamina szkolne z trzeciej do czwartej klasy, dowiedziałem się od rodziców, że jeden z moich wujów, którzy byli na emigracji, Michał Budzyński, otrzymał pozwolenie powrotu do kraju. Od tej chwili oczekiwanie tego tak doniosłego dla rodziny wypadku pochłaniało nas wszystkich niepodzielnie. Cieszono się, a jednocześnie wyrażano obawy, jak się ta sprawa ukończy; najbardziej zaś niecierpliwiono się brakiem ostatecznego terminu powrotu. Wkońcu nadszedł list od wuja, w którym donosił nam, że przepędziwszy kilka tygodni w Galicji u krewnej Fortunaty z Trypolskich Błażowskiej zapewne w czerwcu przekroczy granicę rosyjską. Po tym liście znowu czekano i znowu niecierpliwiono się opóźnieniem przyjazdu. Nareszcie pewnego dnia, daty dokładnie nie pomnę, przybył do rodziców o godzinie 4-tej rano urzędnik komory celnej Ribidin i zawiadomił ojca mego, że wuj Budzyński przybył w jego asystencji do Żytomierza, zatrzymał się w zajeździe i pragnie widzieć się z rodziną. Ojciec, matka, wu-

jowie Seweryn i Aleksander Budzyńscy, bawiący czasowo w Żytomierzu, udali się do gubernatora i bez wielkich trudności uzyskali pozwolenie widzenia się z więźniem. Widzenie to miało miejsce między dwunastą a trzecią godziną, kiedy ja, zamyślony o nieznanym mi ale ubóstwianym i wyidealizowanym w mojej wyobraźni wuju, wysiadywałem na ławce szkolnej.

Wróciwszy do domu, słuchałem bez końca z ogromnem przejęciem się opowiadań rodziców o spotkaniu dawno przez nich niewidzianego brata, a z opowiadań tych dowiedziałem się, iż w Wołoczyskach spotkano przybysza ze strony władz grzecznie, dodano mu wszakże straż kozacką i asystenta w osobie wspomnianego wyżej urzędnika komory, że odbył podróż przez miasta wołyńskie: Kupiel, Stary-Konstantynów, Połonne, Cudnów i przybył do Żytomierza nie zatrzymując się nigdzie dłużej. Wszyscy mieli dobre nadzieje co do końca sprawy, gdyż o takim końcu zaręczyła wuja ambasada rosyjska w Paryżu, nadto uzbroił się nasz ukochany więzień w listy pani Pankratiew siostry jenerał-gubernatora Bibikowa, bawiącej wciąż zagranicą. Widzenie się rodziny z powracającym z tułactwa bratem poruszyło wszystkich, co w tem widzeniu się brali udział; popłakali się rodzice i wujowie; ja zaś słuchając tylko ich opowiadań myślą wciąż z nim byłem. Po przybyciu do Kijowa i przedstawieniu się Bibikowowi osadzono wuja w cytadeli, gdzie go rodzina odwiedzała. 12 stycznia 1851 roku odczytano mu wyrok, zaliczający czas przebyty w cytadeli za karę, a 12 lutego tegoż roku uwolniono go zupełnie, pozostawiając tylko na lat pięć pod dozorem policyjnym. Po wyjściu z więzienia przybył ekstrapocztą nasz drogi gość do nas, a następnie po kilku tygodniach począł odwiedzać liczne domy krewnych. Na dzień przybycia wuja ówczesnym obyczajem wygotowałem transparent z jego cyfrą i stosownym nadpisem. Pozostały w mej pamięci, ujęte w żywe a wymowne słowo, opowiadania wuja, które dziś odczytuję w pamiętniku jego z niemałem zajęciem[1]).

Rozpatrzywszy się w interesach i otrzymawszy od nabywcy Michałówki, p. Grzegorza Micińskiego, resztującą sumę ze sprzedaży tej wioski jako uzupełnienie sched, swojej i brata Win-

[1]) Budzyński Michał: *Wspomnienia z mojego życia*, 2 tomy z portretem autora. Poznań 1880 u Żupańskiego, T. I, VII+453, T. II, 4 nl+356. (P. W.).

centego, rozpoczął prawie gorączkowo zabiegać o założenie nowej rodziny, Zabiegi te, przeplatane pobytem w domach rodzinnych i częstemi odwiedzinami dawnych znajomych, zmieniały często przedmiot i w ciągu pierwszych paru lat po powrocie miały za treść: staranie się, odmowy, nowe zajęcia się i rozczarowania, swatowstwa, projekta, znowu konkury i odmowy, a wśród galerji wdów i starszych panien, o które się wuj starał, znalazła się owiana czarem wspomnień rodzinnej wsi Michałówki, panna Olimpja Micińska, co mówiąc nawiasem wydawało mi się potwornem wobec opinji, jaką miał ojciec panny wśród ziemian. Jednocześnie nie tracił wuj Michał żadnej sposobności do gry w karty, nie tylko komercyjnej, ale często i hazardownej na dość dużą skalę i z różnem powodzeniem. Dla mnie, co pragnąłem w przybyłym znaleźć doskonałość pod każdym względem, to wszystko, na com patrzył, sprawić musiało rozczarowanie; przekonałem się, iż mam przed sobą człowieka nie wolnego od wielu słabości ludzkich, a stąd i stosunek mój z wujem przeszedł z okresu egzaltacji w stan uczuć spokojnych. Kochać go nie przestałem, ale wielbić już nie mogłem.

W 1854 roku połączył się on węzłem małżeńskim z Otolją z Konopackich Lasotową, córką Szymona Konopackiego, a więc cioteczną swoją siostrą. Zrazu osiedli w dzierżawionych Kalenicach, a następnie w Kapustynie w okolicy Konstantynowa. Niedługo po ożenieniu się uległ wuj ciężkiej a nieuleczalnej chorobie mlecza, stracił władzę w dolnych kończynach i wlókł ciężki swój żywot aż do 1864 r., w którym życie zakończył nie pozostawiając żadnego potomstwa. Żona jego żyje dotąd, zaś syn jej z pierwszego małżeństwa Dionizy zmarł w młodym wieku, pozostawiając ze ślubnej małżonki Dawidowskiej syna i córkę.

Wpływowi wuja Michała zawdzięczam osobiście, iż bardzo młodym jeszcze będąc nabrałem wstrętu do spiskowania, słysząc ciągle o tych następstwach, jakie ta forma pracy nad odrodzeniem narodu zawsze i wszędzie przynosiła, ułatwiając wrogom dotarcie do źródeł istotnych inicjatywy i kierunku; to też, jak zobaczy czytelnik, nie usuwając się od spełnienia obowiązków obywatelskich, długo starałem się spisku unikać.

W tem miejscu dodam, iż drugi mój wuj, Wincenty, o któ-

rego cnotach i charakterze nasłuchałem się niemało, a którego wad i słabości, nie znając osobiście, nie dotknąłem się bezpośrednio, pozostał w wyobraźni mojej jako postać idealna, pełna męskiej woli, oparta w życiu na niezłomnych podstawach, które mu i amnestji przyjąć nie dozwoliły. Dąb ten, co nie umiał się ugiąć, runął pod brzemieniem upadku powstania 1863 r., wpadając w nieuleczalny obłęd, zakończony wkrótce śmiercią. Po zgonie męża w lat kilka przeniosła się do lepszego świata i żona jego, Paulina z Balé Budzyńska. Syna ich Maurycego poznałem będąc w Paryżu jako oficera artylerji, nienawidzącego Francuzów za ich kierunek w ostatnich czasach, co wypowiadał często a dosadnie na piśmie w swych utworach poetyckich. Zmarł w młodym wieku. Jednocześnie poznałem też i siostrę Maurycego, Karolinę, przełożoną żeńskiej pensji w Paryżu, najzacniejszą i najsympatyczniejszą kobietę.

Klasę piątą odbyłem w odmiennych całkiem warunkach, bo po raz pierwszy zmieniłem dom rodzicielski na obcy. Ojciec mój, opuszczając Żytomierz po czteroletnim pobycie, umieścił mnie u pp. Izdebskich. Sam pan, prezes Sądu sumienia z wyboru, był mimo to bardzo małej wartości człowiekiem, smakosz, amator trunków, a wreszcie niesumienny opiekun majątku głuchoniemej siostry żony swojej, nie przebierał w środkach, by dogodzić sobie. Pani Zuzanna z Jansonów Izdebska pełną była cnót i zalet niewiastą. Dwaj synowie, Juljan i Stanisław, młodsi ode mnie a sympatyczni chłopcy, córka Zunia i siostrzenica samej pani, Marynia Suryn, obie miłe i dobre dziewczynki, uzupełniali ten dom. Najtroskliwszą opiekę pani Izdebskiej, jej bezstronność, dobroć i szlachetność, wspominam zawsze z najwyższem uznaniem i wdzięcznością. Z Juljanem łączyła mię w życiu późniejszem dozgonna przyjaźń, a po jego śmierci przeszła w spadku na żonę jego z Husarowskich. Stanisław, ożeniony z Orańską, zachwiał się chwilowo pod brzemieniem ciężkich okoliczności, ulegając pokusie alkoholu, prędko się wszakże cofnął, a mimo ubóstwo potrafił tak się urządzić, iż zarabia na chleb powszedni, niosąc zarazem światło nauki ubogiej ludności jednego z przedmieść Żytomierza, o czem dowiedziawszy się odnowiłem z nim znajomość w 1900 r. w czasie bytności mojej na Wołyniu. Zunia zmarła, będąc po dwakroć za-

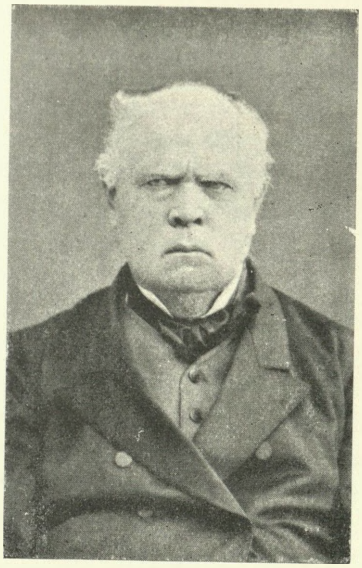


Fig. 22. Józef Szumski.

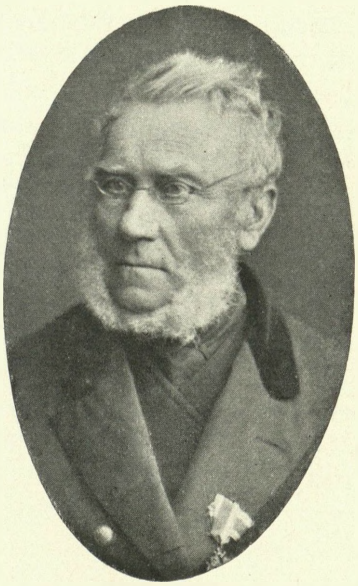


Fig. 23. Sobkiewicz.

mężną dwom braciom stryjecznym Kurowskim, Ferdynandowi i Stanisławowi.

Jeszcze w czasie pobytu rodziców moich w Żytomierzu bywałem, acz dość rzadko, w miejscowym teatrze, gdzie dawano przeważnie sztuki polskie. Gdym zamieszkał u Izdebskich, odwiedziny świątyni Melpomeny stały się daleko częstszemi, repertuar zaś, wybierany przez osoby, które się mną opiekowały, był dla wieku mego bardzo stosowny. Widziałem na scenie żytomierskiej wybornie odtworzone: Zemstę, Jowialskiego, Śluby Panieńskie, Dożywocie, Damy i Huzary, i inne arcydzieła Aleksandra hr. Fredry, także tragedje i dramaty, jak: Karpaccy Górale, Żydzi, Zamek na Czorsztynie, Krakowiacy i Górale; nadto rozliczne przeróbki i tłumaczenia, jak: Esmeralda, Precioza, Johanna czyli Kobieta z gminu i t. d. Polskie sztuki przeplatały zrzadka małorosyjskie: Natałka Połtawka, Moskal Czarownyk i inne, a jeszcze rzadziej rosyjskie, których tytułów dobrze już nie pamiętam. Towarzystwo dramatyczne żytomierskie było pod wodzą mądrej i wykształconej staruszki, Zielińskiej, a tak znakomite, iż mogłoby nie powstydzić się pierwszorzędnej sceny. Filarami tej trupy byli zięciowie Zielińskiej, Józefowicz i Łukaszewicz, córka jej, panna Helena, późniejsza Fabiańska, wreszcie nieporównany komik Jankowski. Znacznie później na tejże samej scenie występowali z wielkiem powodzeniem: Wolski, Zelinger, Fedeccy, Syroczyński i t. d. Budynek teatralny był budą drewnianą w środku miasta położoną przy ulicy Berdyczowskiej na wprost Pilipońskiej, dzisiejszej Michajłowskiej. Dekoracje wyszarzane i podziurawione, oświetlenie łojowe, ale gra artystyczna!

W domu Izdebskich było mi dobrze pod wielu względami, ale koszt był dla rodziców nieco za uciążliwy. Po wakacjach więc przeniesiono mnie do drugiego ogólnego pensjonatu uczniowskiego przy ulicy Cudnowskiej. Tu mój tryb życia zmienił się zupełnie. Sypialiśmy w salach ogólnych, jadaliśmy również wspólnie. O piątej z rana stróż dyżurny z pocztarskim dzwonem w ręku przechodził sypialnie, dzwoniąc bez miłosierdzia, a tym, którzy się ociągali ze wstawaniem, ściągał kołdrę. Szliśmy umywać się do ogólnej umywalni, składającej się z basenu, nad którym na słupie stał ogromny rezerwoar z rucho-

memi pałeczkami, wystającemi nazewnątrz i zakończonemi guzikiem. Należało cisnąć palcem na guzik, podnieść pałeczkę cieńszą u dołu wgórę i tym ruchem tworzyło się drogę dla wody, która spływała na dłonie pragnącego się umyć. Powtarzając to podnoszenie pałeczki, zdobywało się tyle wody, ile jej było potrzeba do gruntownego umycia się. Urządzenie to w Rosji powszechne posiada nawet specjalną nazwę (rukomojnik).

Po umyciu się i ubraniu ruszaliśmy na wspólną modlitwę, a następnie na herbatę, której nam dawano po szklance z cukrem i dużą bułką pszenną. Po herbacie odbywało się powtarzanie lekcyj przy stołach wśród gwaru, rozmów i swawoli niektórych, a następnie marsz do szkoły w ordynku. W szkole byliśmy od godziny dziewiątej do wpół do trzeciej. Przed lekcjami i po lekcjach odmawialiśmy modlitwę, tylko na lekcji religji po polsku, na innych zaś po rosyjsku. Miewaliśmy półgodzinną przerwę pomiędzy pierwszemi i ostatniemi dwoma lekcjami, z których każda trwała po pięć kwadransów. Najlepsi uczniowie mieli obowiązek przesłuchiwać nas i zapisywać zdania, profesor sprawdzał te zdania, egzaminując sam tylko kilku, poczem wykładał swój przedmiot. Ze szkoły wracaliśmy znowu w ordynku do wspólnego mieszkania na obiad, składający się z zupy, mięsa i leguminy. Po obiedzie następowały przygotowania do lekcyj jutrzejszych, potem o szóstej herbata, kolacja z jednej ciepłej potrawy o ósmej, następnie godzina odpoczynku czyli rekreacja, wspólna modlitwa i układanie się do snu. Tak przepędziłem dwa ostatnie lata szkolne. Jednocześnie ze mną, o ile pamiętam, byli w pensjonacie drugiego stopnia w latach od 1852 do 1854, o jedną klasę starsi odemnie: Edward i Justyn bracia Faszowiczowie. Z nich Edward, zacny, cichy, skromny i bardzo sumienny w pełnieniu swych obowiązków, po ukończeniu szkół i uniwersytetu zginął jako lekarz w powstaniu r. 1863, Justyn zaś, letkiewicz, próżny, ale zdolny, sprytny i bardzo rzutki, przeszedłszy dziwne losu koleje, zdołał szczęśliwie z nich wybrnąć, o czem szczegółowo w swoim czasie nadmienię.

Rówieśnikami moimi w klasie szóstej a następnie siódmej byli bardzo sympatyczni i poczciwi koledzy: Józef Łątkiewicz i Konrad Paszkowski, tudzież małej wartości moralnej i nie

przebierający w środkach karjerowicz, Gracjan Perro. Młodszymi ode mnie o jedną klasę byli: Michał Waskowski, Rosjanin, Leon Sławiński i Antoni Stokowski. Niżej o dwie klasy byli: Władysław Kamieński, niezmiernie zdolny i sympatyczny młodzieniec, dziś mój serdeczny przyjaciel a sędzia honorowy berdyczowski, który tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności ocalał w 1863 r., Antoni Krechowiecki, rozgłośnej sławy później kaznodzieja i kapłan w Galicji, Władysław Sokołowski obecnie lekarz w Żytomierzu, Mieczysław i Bolesław Wiśniewscy z Radomyślskiego, wreszcie Wsiewołod Rubinsztein, stryjeczny brat słynnego pianisty, dziś dyrektor Banku Przemysłowego w Kijowie, Ludwik Stebnicki, gdy to piszę, dymisjonowany jenerał, osiadły w swym majątku na Wołyniu, i Stanisław Niewiarowski, zmarły w młodym wieku jako lekarz z tyfusu.

O trzy klasy młodsi ode mnie byli: Wojciech Domaradzki, pełen nadziei i wielkich zalet chłopak, który w 1863 r. zginął jako przewódca oddziałku studentów Instytutu Agronomicznego w Horkach na Białorusi, Tomasz Skalmierowski i Mateusz Miłoszyński, powstańcy z ostatniego powstania, a następnie emigranci; pierwszy z nich zmarł na obczyźnie, drugi wrócił do kraju i mieszka na Ukrainie, Seweryn Niewiarowski, który będąc oficerem wojsk rosyjskich wziął udział w ostatnich wypadkach na Polesiu Wołyńskiem, a chcąc uniknąć szykan, których jako dezerter się obawiał, zażył noszoną przy sobie truciznę i zakończył życie w więzieniu żytomierskiem, Adam Radliński, obecnie właściciel ziemski na Wołyniu, Dydyński, krewny mój Oktawjan Bukar, Ludomir Uziembło, unieśmiertelniony w naszych wspomnieniach tem, iż zwykł był pisać swe imię po rosyjsku bez twardego znaku, ale natomiast w nazwisku: „Uziembło“ znak ten stawiał na końcu. W 1863 r. deportowany był do Rosji. W najniższych klasach byli jednocześnie ze mną w pensjonacie: Daniel Obiedziński, Józef Bielakowski, Zygmunt i Władysław Rożniatowscy, z których ostatniego spotkałem na wygnaniu, wreszcie milutki i sympatyczny dzieciak, syn urzędnika, Rosjanin, Bazyli Roslakow, którego dalsze losy nie są mi znane.

Na temże podwórzu mieścił się oddział pierwszy pensjonatu, daleko od naszego liczniejszy. Z pomiędzy kolegów tego

oddziału najwięcej mi zostali w pamięci bracia Józef i Michał Paszkowscy, dwóch Łuczyckich, trzech Jarockich itd. Na Małej Berdyczowskiej ulicy w pobliżu gimnazjum był trzeci a najtańszy oddział internatu, z którym skutkiem dość znacznej odległości od naszego rzadsze łączyły nas stosunki. Z zamieszkałych tam pensjonarjuszy pamiętam: braci Kwaśnickich Jana i Augustyna, znanych później lekarzy w Krakowie i Warszawie, Józefa Talko, zdolnego okulistę, ale małej wartości człowieka. Stałymi dozorcami naszymi byli dwaj nauczyciele, blade istoty fizycznie i moralnie, niejacy pp. Dobraszew i Biełokonow.

Nim opuszczę z czytelnikami mymi podwoje szkoły, nadmienię, iż wpływu dobrego na nas nie wywarła. Jedynie kilku ludzi z przeszłości, zabłąkanych wypadkowo w szeregach nauczycieli i parę zacniejszych osobistości z liczby nowych ludzi pochodzenia rosyjskiego, pozostawiło wspomnienia dodatnie. Reszta była złożona z postaci bezbarwnych, bardzo zbliżonych do zer, albo też ze steku ludzi, myślących wyłącznie o sobie, urzędników żyjących z łapówek i dążących bez przebierania w środkach do zapewnienia sobie spokojnej starości.

Że nie ja jeden zapatrywałem się tak na wpływy wychowania w gimnazjum żytomierskiem, pozwalam sobie powołać się tu na: „Wspomnienia szkolne“ znacznie ode mnie starszego kolegi, Leonarda Sowińskiego, ucznia tegoż gimnazjum z lat 1843 do 1847[1]). Tam też znajdzie czytelnik daleko dokładniejszą charakterystykę naszego kuratora, nauczyciela Rafalskiego, Lapideskiego, Szumskiego i innych. To też wspomnienia z tego okresu naszej młodości nie są nam tak drogie i miłe, jak niegdyś były naszym ojcom i dziadom!

Pomimo to nie waham się tu powtórzyć pełnego ciepła wiersza naszego litewskiego lirnika Syrokomli z jego „Szkolnych czasów“:

Gdzie wy, jasne dni moje? moje szkolne czasy,
Kiedy serce dziecinne z wiarą i otuchą
Do grona towarzyszów i do murów klasy
Przylgło, przyrosło na głucho?

---

[1]) Sowiński Leonard: *Wspomnienia szkolne*, Warszawa 1884, s. 2 nl.+309. (Przyp. Wyd.).

stosując je wszakże wyłącznie do murów szkolnych, do kilku zacnych przewodników i do garstki dobrych kolegów, nie zaś do całości szkoły i jej kierunku. Życie koleżeńskie było tamowane ciągłem wtrącaniem się doń przedstawicieli władzy, a tem samem bardzo słabo mogło się rozwijać. Najwięcej zawdzięczaliśmy wpływom wyniesionym z domu i tym zasadom, które w nas rodzice wpoić usiłowali. Zasady te przetrwały wszelkie ujemne wpływy szkolne i ożyły wśród życia uniwersyteckiego.

W klasach trzeciej i czwartej zostawałem pod ciągłym dozorem t. zw. korepetytorów, z którymi sypiałem, przechadzałem się i uczyłem, a raczej przygotowywałem do recytowania zadanych lekcyj. Miałem ich kilku. Takim korepetytorem w klasie trzeciej był p. Kozika, młodzieniec z książęcej ruskiej rodziny, bardzo miły i wesoły. W czasie lekcyj próbował nieraz mazura i ćwiczył się w wykonywaniu nowych figur, a więc o wykładach mniej sumiennie pamiętał. Po nim nastąpił pan Dauter, pedant i nudziarz, potem zaś niejaki p. Karyczkowski, syn niegdyś nauczyciela ojca mego i wujów moich w szkołach bazyljańskich lubarskich. Ten nic nie robił i rozpoczął romans ze służącą rodziców moich, obierając na miejsce schadzek nasz pokój sypialny, wtedy, gdy ja we śnie głębokim byłem pogrążony. Ojciec mój zauważywszy to wyprawił tejże samej nocy p. korepetytora tak, iż nad ranem byłem bardzo zdziwiony, widząc jego puste łóżko. Widocznie w owym czasie sypiałem snem błogosławionych. Ostatnim pedagogiem był pan Jan Fedorowski, zdolny i sumienny człowiek wschodniego obrządku. Po przeglądzie galerji moich nauczycieli domowych nie będzie czytelnik zbudowany; lepszych wszakże trudno było znaleźć mimo wszelkie starania troskliwych o mnie rodziców. Od piątej klasy byłem już zupełnie od tego dodatkowego jarzma wolny.

Gimnazjum ukończyłem w czerwcu 1854 roku wraz z dwudziestu młodymi ludźmi, z których było dwunastu Polaków katolików, jeden Polak protestant, dwu starozakonnych i pięciu prawosławnych, a z tych zaś trzech tylko uważało się za Rosjan.

Konrad Paszkowski (1)[1]) i Gracjan Perro (2) otrzymali srebrne medale, ja (3) pierwszy atestat; inni Polacy szli po

[1]) Numera oznaczają porządek w jakim atestaty były wydawane.

mnie w następującej kolei: Łukasz Delpes (4), Zenon Maleszewski (6), Tytus Leszczyński (11), Gustaw Pulikowski (12), Józef Łątkiewicz (13), Faustyn Piotrowski (14), Wilhelm Łuczycki (15), Józef Krajewski (17) i Otton Pławski (18).

Jedynym protestantem był Henryk Piehl (8).

Ze starozakonnych dwóch: Wilhelm Bakszt (7) i Trachtenberg Herman (20).

Z prawosławnych: Carenko Jan (5), Bazyli Leskow (9), Kwasowski Michał (10), Eugenjusz Tomaszewski (16), Masłowski Konstanty (19).

Przytaczam tu spis ten dlatego, aby nietylko rodziny moich kolegów o roku skończenia przez nich nauk się dowiedziały, ale i z tej racji, by dać statystykę, która w chwili obecnej zapewne się znacznie zmieniła na niekorzyść polskości w prowincjach Rusi.

W dniu 21 czerwca 1854 r. stawiliśmy się wszyscy na tak zwany publiczny egzamin czyli akt uroczysty, gdzie doręczano nagrody i atestaty, a który odbył się w salach ratusza zwanego po rosyjsku „Dumą". Zachowałem na pamiątkę trzydziesty numer Wołyńskiej Gubernialnej Gazety, gdzie cała ta uroczystość jest opisana, gdzie jesteśmy wydrukowani z imienia i nazwiska, niestety tylko w języku obcym, co cały urok wspomnieniu temu odbiera, czyniąc z niej faktyczny przyczynek do historji oświaty Polaków pod zaborem rosyjskim z roku 1854.

Co się z tymi kolegami moimi przez lat blisko pięćdziesiąt działo i dziś dzieje, wiem bardzo mało. Zmarli: Konrad Paszkowski, Zenon Maleszewski, Gustaw Pulikowski i Gracjan Perro na stanowiskach lekarzy. Herman Trachtenberg był wysokim dygnitarzem w Petersburgu, gdzie też życie zakończył. Reszta znikła mi z oczu, może bezpowrotnie, i nie wiem, czy bodaj jeden z nich żyje.

Po ukończeniu wymaganych formalności wyruszyłem na wieś do rodziców, by tam spędzić wakacje. Zastałem przerobione, wyświeżone i urządzone dwa pokoje w oficynie, które mi oddano do wyłącznego rozporządzenia, przyczem nie zapomniano o najmniejszych szczegółach. Po dziś dzień, chowam jako ukochane pamiątki dary drogiego ojca z tych czasów: puszkę na tytoń i podstawkę do cygar. Nie pamiętam chwil

swobodniejszych i milszych, jak w ciągu tych letnich miesięcy lipca i sierpnia 1854 r. Zdawało mi się, żem osiągnął szczyt marzeń, i że mi naówczas przynajmniej nic do szczęścia nie brakło!

Dnie mijały szybko, jak zwykle bywa w chwilach pomyślnych lub w starości. Dopiero koniec sierpnia przerwał ten miły wypoczynek, jako termin wstępnych egzaminów do uniwersytetu.



Fig. 24. Michał Budzyński z żoną.



Fig. 25. Kościół katedralny w Żytomierzu.

DODATKI I PRZYPISY.

POŻEGNANIE [1]).

Wiersz powszechnie uważany jako skreślony w przeddzień egzekucji przez Szymona Konarskiego.

Świat wielki, piękny, a w szczęście obfity;
I urok wieczny po nim rozlała natura.
Siłą uczucia mego na pal cierpień wbity,
Przebyłem na nim młodość, jak wśród burzy chmura.
Uczucie piekłem wstrząśnie, w głowie myśl wyszpera,
A kiedy pierś poruszy i w duszy osiędzie,
To tak po krańcach świata miotać nami będzie,
Jak chciwem okiem miota na czatach pantera.
O, i ja kiedyś czułem i myśl z Nieba brałem
I z tą myślą uczucia żebrałem po świecie.
Dzisiaj tu na dnie duszy, na sercu zbolałem,
Kamień ciężkiej niedoli myśli, czucia gniecie.
Do łez dzisiejszych narodu mojego,
Co jak mara zdradziecka ze snu mię zrywają,
Brakło mi, luba, tylko jęku twego!
Dziś hymn rozpaczy piersi twoje grają.
Dziś mi nic nie brak, los obficie darzy.
Wszystkie moje nadzieje mieści ta komnata,
Od wszystkich wspomnień oddziela mię krata,
A przyszłość moją wróg z katem kojarzy.
Błysnę wam jeszcze ponad rusztowaniem,
By spełnić wyrok mego przeznaczenia;
Tam was pożegnam z pod stryczka chrapaniem
I wezmę z sobą wszystkie me wspomnienia.
Znużony ciężkim trudem mego powołania,
Wśród wielu serc przyjaznych poznałem i ciebie.
Westchnąłem, gdy nadeszła godzina rozstania,
A nad twoją przyszłością westchnął anioł w niebie.

---

[1]) Wiersz ten był drukowany po raz pierwszy w Noworoczniku Demokratycznym 1843 r., str. 234—239, Paryż 1843, wydawanym pod redakcją Teofila Wiśniowskiego. Tekst w odpisie Lasockiego ma drobne zmiany i jest przeważnie poprawniejszy, ale natomiast nie jest kompletny, opuszczono bowiem, widocznie tendencyjnie, niektóre ustępy. Ponieważ Noworocznik jest bibljograficzną rzadkością, przedrukowujemy wiersz w redakcji podanej przez Lasockiego, ale uzupełniamy go wstawiając opuszczone ustępy, które drukujemy tu kursywą. (Przyp. Wyd.).

Z tułaczych piersi moich, razem z twojem tchnieniem,
Wicher niemocy wściekle zaszumiał zniszczeniem
I zawył burzą nad sercem w spokoju,
Nad twą młodością i nad twą swobodą.
Tyś mi pierwsza otarła łzy sieroctwa, znoju,
Pozwoliłaś na chwilę spocząć przy twych nogach,
A gwiazda życia mego strzeliła pogodą.
Za niebem oddychałem, żyjąc w waszych progach,
Dzisiaj wam, zamiast nieba, zamiast wypoczynku,
Jęki i łzy rozpaczy niosę w upominku.
Bom tułacz, luba, ciężka moja dola.
Tchnienie me w śmierci całuny obwija.
Spojrzenia moje, to Sybiru żmija.
Gdziekolwiek nogą stąpię, tam będzie niedola,
Gdzie wchodząc rzeknę: „Chrystus pochwalony",
Gdzie chleb położą na moje przybycie,
Tam usłyszysz jęk matki, usłyszysz jęk żony,
Osieroconych dzieci tam usłyszysz wycie.
Lecz tam, gdzie czuć przestałem, że jestem sierotą,
Gdzie dusza oddychała niewinności tchnieniem,
Gdzie serce się poiło, kojone tęsknotą,
Gdzie kochanka mię brata nazwała imieniem,
Tam hyenę od trupiej przyprowadź biesiady,
A hyena się wzdrygnie, łzami spławi oczy
I litości ryk w niebo po ziemi roztoczy.
I już więcej nie pójdzie patrzeć na me ślady.
O, ciężka moja dola, i oddech mój ciężki,
Jak trupa przed skonaniem. Narodowe klęski,
Przetopione w mem sercu na trucizny jady,
Pełzają w duszy mojej jak grobowe gady,
I toczą pierś tułaczą jak robactwo zgniłe,
Które rojem napada na świeżą mogiłę!...
Myśl, co mię pośród trudów pocieszać umiała,
Myśl wesoła, szczęśliwa jak młoda dziewica,
Której miłość pierś wznosi i rumieni lica,
Myśl, co w niebie wolności życie swoje brała,
Dzisiaj ciężarem śledztwa zszarpana, strudzona,
Jako starzec w konwulsjach, poci się... i kona.
I jeśli się przypadkiem wykradnie wieczorem
I do ludzi pobiegnie przeszłości mej torem
I zajrzy w serca polskich żon, dzieci, sióstr, matek,
Wnet słabnie i omdlewa, traci sił ostatek
I co prędzej za kratę ucieka od świata,
Jak męczennik, co wyszedł znękany z rąk kata,
I wróciwszy, zakipi w piersiach niewolnika,

Jak jęk męczonych braci, co cię wskroś przenika.
Panie! za co ja cierpię? — i tak cierpię jeszcze?!
Uchwyciłeś mię w srogie cierpień ludu kleszcze
I dręczysz i mordujesz jak szkodliwą żmiję,
Co kijem przygnieciona kurczy się i wije.
Wszakże ja w sobie serce mam tylko człowieka,
A Ty w niem umieściłeś wszystko, co dopieka,
Co gryzie, co morduje, co męczy, co boli.
W życiu niebo nadziei — tu piekło niedoli.
I cóż mi Panie po tem spokojnem sumieniu,
Co po chęciach Ci znanych, co mi po tem chceniu?
Co mi po tem, że zawsze żyłem nie dla siebie,
Że uczynkami memi chwaliłem Cię w niebie,
Że po więzieniu biegam jak pies z głodu wściekły,
Że łzy głodu śledczego w oczach mi się spiekły.
Ja drwię teraz już z cnoty, ja się z cnoty śmieję,
Ja szydzę z przekonania, co daje nadzieję,
Że szczęście mego ludu tylko się odwlekło,
Ja w Boga dziś nie wierzę — ja mam w sercu piekło!
Z całą oprawców zgrają szatan w sercu siedzi
I ucztę królom sprawia wśród brudnej gawiedzi.
Może i ten raz jeszcze, Panie, mię próbujesz —
Może za piekło w życiu niebo mi gotujesz?
Ale ja nieba nie chcę, ja nieba nie czuję,
Ja do nieba nie pójdę — ja w niebo napluję.
Ja pójdę szukać ludzi, co bluźnili Tobie,
Co jak Chrystus na krzyżu ludzkość w sercu czuli,
I nie mogąc jej zbawić ludzkością się struli.
Ja ich wszędzie wynajdę, za piekłem i w piekle,
Przyjdę, powitam okiem i raz jęknę wściekle,
Jękiem narodu mego — i powiem im — „Ludzie“!
Kraj i lud mój kochałem sercem żony, matki,
Świadkiem serce rozdarte i łzy spiekłe świadki;
Jam się nigdy nie skalał w samolubstwa brudzie,
Żyłem, jak wy żyjecie. — Niebo jednak chciało,
Bym dla kraju był dżumą, dla serc drogich katem,
Bym skąpany w łzach bratnich rozstał się z tym światem,
By mi tylko spokojne sumienie zostało.
Z wysokości więzienia, okuty w kajdany,
Żegnałem kraj mój drogi i lud mój nękany.
Pożegnałem przyjaciół, ojczyznę, rodzinę,
I tułaczy żegnałem — i przeklęty ginę!...
Do nieba iść nie chciałem, bo mój lud w niewoli,
Bo ojczyzna skrwawiona, bo mnie serce boli.
Plunąłem więc w to niebo po szatańsku, śmiało,

Z duszą do was przyszedłem — królom dałem ciało.
Tutaj odpoczniem chwilę wśród wspomnień kochanych,
Tu razem czuć będziemy po mękach doznanych,
Tu płakać nam nie wzbronią nad losem ojczyzny.
W niebie cieszyć się trzeba, patrząc na jej blizny.
Tu ręce sobie damy świata męczennicy,
Naprzód piekło rozburzem, bo piekło jest stare,
Potem wspólną rozlejem uczuć naszą wiarę,
I zadrżą wszyscy króle, zbrodni niewolnicy,
I niebo się rozjaśni i Bóg się rozśmieje,
I Bogu pokłon damy — bo Bóg odmłodnieje.
Ja Ci bluźniłem, Panie, bluźnierstwem tułacza,
Lecz gdzie o przyszłość kraju, o łzy bratnie chodzi,
Tam lepszy ten co bluźni, niż ten co rozpacza,
Tam i ciało i duszę potępić się godzi.
Kiedym żebrał po świecie ponury i młody,
Kiedy nadziei gwiazda skroń moją zdobiła,
Nie żądałem dla siebie życia ni swobody —
Myśl zdjęta z krzyża Twego wszystkiem dla mnie była.
Cieszyłem się tą myślą jak młodość nadzieją,
Z Twej myśli, Panie, dzisiaj tyrani się śmieją.
Ja dzisiaj męczennikiem myśli Twojej żyję,
Ja krew drogich mych braci i ich rodzin piję,
Aż serce wzdęte żalem rozpryśnie się, pęknie,
Tak że aż niebo Twoje wstrętem, żalem jęknie,
Jad z serca mego aż tam w niebo tryśnie
I jak sztandar niewoli przed Tobą zawiśnie.
I powiewem swym krwawym niebo ci zatruje,
Bo przypomni Ci, Panie, co mój naród czuje!
Tu w tej izbie przeżyłem wszystkich mąk katusze,
Stąd widziałem, jak Polskę krwi zalało morze,
Tam nie dbałem o życie, tutaj cierpieć muszę.
Ale Polskę zbaw Panie, Polskę wybaw Boże!...

LIST GASPRA MASZKOWSKIEGO

(do siostrzenicy swojej, Seweryny z Iwanowskich Beaupré, zawierający krótkie dzieje „Stowarzyszenia Ludu Polskiego na Rusi" w latach 1835 do 1838[1]).

Pisałem kiedyś historję naszego Towarzystwa, ale to przepadło bez wskrzeszenia; nie mogę tej pracy na nowo podejmować. Cztery dziesiątki lat temu

[1]) List ten, pisany w kilkadziesiąt lat po wypadkach, zawiera znaczne niedokładności, jak to się widzi przez porównanie z kilku pamiętnikami z czasów Konarszczyzny. Pamięć zawodziła niekiedy starca. Mimo to ma on poważną wartość jako osobiste wspomnienie jednego z najwybitniejszych sprzysiężonych. (Przyp. Wyd.).

zgórą mogłem pisać ze świeżą pamięcią, z obrazowaniem prawdziwem, z uczuciem i możnością oddania tych pięknych działań w świetle należnem. Ogień, umyślny ogień przez bojaźń, zniszczył, zabił to dzieło moje ukochane. Już się wziąć do odwzorowania działań ludzi, przejętych tem, co powinno było przejmować i pobudzać, dziś niepodobna. Niepodobna raz po raz opowiadać tego, co duszę całą pochłaniało, dla czego serce biło, w co się wierzyło, co się robiło! Nie myślałem, abym kiedy w piśmie mówił o tem; ale dla Ciebie robię to, ponieważ chcesz, żebym w najogólniejszych wyrazach, w skróceniu do minimum, opisał to wszystko. Napiszę, a może i dla siebie, jeżeli (czego nie przypuszczam) po mojej śmierci ktoś powiedzieć coś zechce, aby bąków nie gadał. Będą pisać o naszem Towarzystwie, o Sybirze, niepowołani do tego zadania; rady na to niema. Wielu już pisało nie znając rzeczy; nawet zacny Agaton Giller ze słuchów, z gadań nie wszystką prawdę napisał w biografji Twego męża. Przymuszam się, gwałt prawie sobie zadaję i tę rzecz, którą w kilkunastu arkuszach niegdyś o naszem Towarzystwie dla wiadomości potomnych opisałem, dziś dla Ciebie skreślam w kilkunastu wierszach. Będzie to więc robota, dająca najważniejsze pojęcia o naszych działaniach.

Na Wołyniu, we wsi Bohdanówce, u mnie, w domu ojca mego, na początku 1835 roku zbierali się ludzie, dbający o kraj i zastanawiający się, co robić trzeba. Leonard Łepkowski w krótkich słowach rzucił na papier myśl nieokreśloną: — „Co dziś ludzie poczciwi robić powinni?“. To było niedostateczne, a więc ułożyliśmy rzecz pod mojem głównem kierownictwem (pisać mi o tem trudno, bo bym musiał wiele rzeczy pisać o sobie, czego nie lubię). Zawiązaliśmy Towarzystwo. W tej Bohdanówce napisaliśmy po naradach dojrzałych, opartych na znajomości kraju, Ustawę Towarzystwa Patrjotycznego bardzo dobrą, odpowiednią warunkom, w jakich się kraj znajdował. Po upadku powstania 1831 roku, po ruchach w Galicji, odbijających się w naszych prowincjach, czuliśmy potrzebę powołania do roboty ziomków, zawsze gotowych do poczciwych dla kraju czynności. To szkic, to szkielet tylko, co podaję. Opuszczam wiele z tego, co by mogło dać pojęcie naszych robót. To, co postanowiliśmy robić, zawarliśmy w sześciu punktach: 1) Narodowość zagrożoną utrzymywać. 2) Ducha poświęcenia obudzać. 3) Obyczaje poprawiać. 4) Oświatę rozkrzewiać. 5) Lud rolny na dobrych synów ojczyzny i przyszłych jej obrońców sposobić. 6) Fałszywą opinję prostować.

Każdy z tych tytułów został przez nas obrobiony dostatecznie wyczerpująco. Jest to pomnik naszych pojęć, uczuć i działań, a zarazem kodeks dla każdego Polaka na zawsze. Po zawiązaniu się w Towarzystwo, spojone ogniem miłości kraju i szczerych przekonań, rozszerzyliśmy to Towarzystwo między rodakami, wcielając w nie zacnych i światłych, którym zaufać można było. To muszę o sobie powiedzieć, że jak byłem duszą zawiązania tego Towarzystwa i redaktorem punktów, tak w rozszerzeniu Towarzystwa najgorliwszy udział brałem, jedynie temu oddałem się, przeniosłem to Towarzystwo na Ukrainę i inne miejsca, a wszędzie przez zacnych ludzi uznanie ono znalazło. Rozkrzewiało się cicho, spokojnie, wśród ludzi znających kraj i najlepszych chęci; i rosło — i wyrosłoby na zbawienie ojczyzny!...

W kilkanaście miesięcy po założeniu Towarzystwa, przybył z emigracji emisarjusz Konarski i przypadkiem zapoznał się z nami. Konarski młodzieńcem z kraju wyszedł, nie znał kraju, bo ze szkół poszedł do wojska polskiego i odbył wojnę 1831, potem emigrował. Historji polskiej nie umiał, o stosunkach społecznych miejscowych pojęcia nie miał. W emigracji nauczył się języków, naczytał się St. Simona i innych ekonomistów, których teorje żadnego zastosowania u nas mieć nie mogły i były nawet zgubne. Ale miał Konarski serce ogniste, wymowny był i przybywał z Francji od tej części narodu, rzuconej tam po roku 1831, dokąd myśli i uczucia nasze całkiem się zwracały. Nim pokazał się w naszych prowincjach, był pierwej na Litwie; przywiózł z sobą napisaną poza granicami kraju organizację stowarzyszenia najniewłaściwszą, żadnego u nas zastosowania mieć nie mogącą. Przyjąć jej niepodobna było. Nie mogła jej przyjąć nasza ustawa, zastosowana do potrzeb kraju, zamknięta w sześciu wskazanych punktach.

Na emigrację po 1831 roku poszedł wybór narodu, najzacniejsi patrjoci, prawdziwie światli ludzie, zasługujący na chwałę, czoło narodu. Ale też ta emigracja składała się i z ludzi młodych, co szkół nie przechodzili, z niższych wojskowych, poczciwych, ale bez umysłu rozwiniętego. Gdy przyszli do Francji, dowiedzieli się, że jest na świecie jakaś arystokracja i demokracja, ponauczali się tych nazw i tych wyrazów i powciskali się do tamtejszych demokratycznych towarzystw. Katechizm demokratyczny jest bardzo łatwy, przystępny dla nieuków; ponauczali się go i nazwali się demokratami, a innych ludzi oświeconych, zasłużonych, nazwali arystokratami. Toczyła się tam walka między nimi we Francji.

Konarski był demokratą i chciał tę walkę na nasz grunt przenieść, podzielić nas na arystokratów i demokratów, a nam to było zupełnie niepotrzebnem; byliśmy Polakami i to dosyć. Lecz ulegając urokowi Konarskiego, przybywającego od najmilszej części narodu, która schroniła się na obcą ziemię, ulegając jego ognistej wymowie, słuchaliśmy, ale odrzuciliśmy całą jego ustawę i organizację niestosowną, a przejęliśmy tylko tyle, że przystaliśmy, aby nasze towarzystwo, które nazywało się „Patrjotycznem" nazywało się, jak Konarski chciał, „Stowarzyszeniem Ludu Polskiego". Naczelnik w powiecie nazywał się u nas „przewodniczący", przyjęliśmy od Konarskiego zamiast tego miana: „sekretarz". Jak głupie było to, co Konarski przywiózł, pisać się o tem nie chce. „Prawo człowieka i obywatela" trochę innemi słowy, jak w wielkiej Rewolucji francuskiej, tylko u nas to „ni przypiął, ni przyłatał". Zostało więc naszych 6 punktów i sekretarz jeden.

Wtedy Leonard Łepkowski przyjął do Stowarzyszenia Twojego męża (Dr. Antoniego Beaupré) i ja zrobiłem go na miejsce dawnego przewodniczącego sekretarzem wołyńskim. W pismach Agatona Gillera jest bąk. Napisał, że Beaupré był jednym z zawiązujących Towarzystwo, kiedy on nawet nie wiedział o naszem zawiązaniu i dopiero w kilkanaście miesięcy Leonard Łepkowski go przyjął.

Konarski jeździł od domu do domu po kraju, od granic mińskiej gubernji do Humania, nawet do Odessy, bywał na Litwie, ale częściej u nas. Wszędzie był uprzejmie przyjmowany, ale najwięcej potem siedział na Podolu

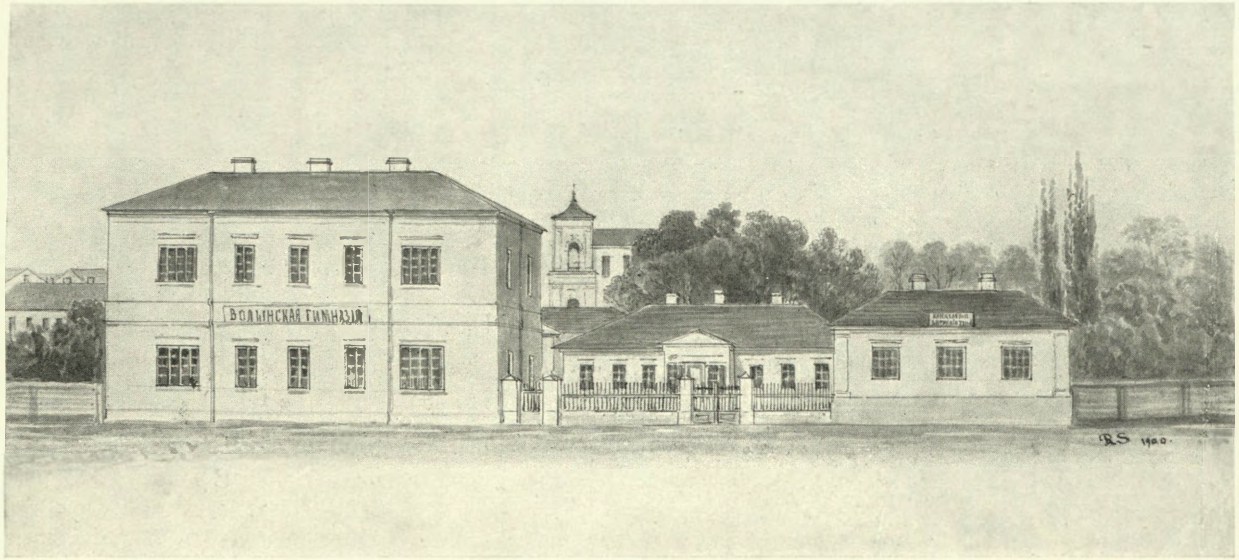


Fig. 26. Gimnazjum w Żytomierzu.

przy pannie Emilji Michalskiej, w której się zakochał. Bytność jego była już całkiem niepotrzebną w kraju; swoje teorje demokratyczne już wszędzie wygadał; nauczył się od nas wiele, poznał stosunki w kraju; sześć punktów przyjął szczerze.

Nie wspomnę tego, z czem on wystąpił na początku: z jedną odezwą, straszącą zrobieniem tego, co było potem w Galicji 1846 r. Musieliśmy wszędzie wycofywać tę odezwę, ale zawsze z jego przyjazdem wskutek tego, że słuchano gadań Konarskiego, weszły do kraju wyrazy: demokracja i arystokracja, najniepotrzebniejsze, mające swoje znaczenie i zastosowanie we Francji, ale u nas zgubne, dzielące nas na stronnictwa, kiedy my tylko jeden patrjotyczny program mieć powinniśmy. Beaupré, jako rozumny i znający doskonale historję polską i rozumiejący jej ducha, uczuł zdrożność tych wyrazów i podziałów. Czy ty wiesz? ja, com zakładał Towarzystwo, który byłem głównym organizatorem, krzewicielem przez wszystkie lata istnienia jego, we wszystkich naszych robotach nie używałem tych wyrazów demokracja i arystokracja, bo były niepotrzebne.

Założył Beaupré pismo perjodyczne. Numera były przepisywane i przez stowarzyszonych naszych rozdawane. Cztery numera wyszły tylko, bo katastrofa przerwała wydawanie. Były to artykuły — arcydzieła myśli, rozumu i pióra. Wątpię, żeby się przechowały przy powszechnej panice, jaka zapanowała po uwięzieniu nas. Owe sześć punktów może jeszcze gdzie są i będą świadczyć o zacności naszych działań, ale te numera dłuższe zapewne zginęły. Tytuły tych artykułów były: „Arystokracja i demokracja", a dwa ostatnie: „Chłopi i mieszczanie". Uczenie, po mistrzowsku, Beaupré wyjaśnił, że u nas nie było ani arystokracji ani demokracji, a tylko szlachta i chłopi, że dzielić nas na arystokratów i demokratów najniewłaściwiej, przyczem wskazał na stosunek szlachty do ludu i na potrzebę działania szlachty. Mówię Ci, że to wydawnictwo, które nosiło tytuł „Przyjaciel Prawdy", było jednym z najpiękniejszych polskiego pióra utworów i treścią i formą i stylem i językiem. Na niespełna rok przed katastrofą zaczęło wychodzić to pismo, wiele jednak dobrego zdziałało. Uczuliśmy potrzebę reformy Towarzystwa, do której napędziło i to, że Konarski wielu poprzyjmował do Towarzystwa takich, którzy nie powinni byli należeć, których poprzyjmował dlatego, że katechizmu demokratycznego nauczyli się z łatwością.

W jesieni 1837 r. zebrani członkowie Wołynia, Podola, Ukrainy, bez Konarskiego, postanowili dla naradzenia się nad potrzebami i reformą wysłać upoważnionych do Kijowa na kontrakty w styczniu 1838 r. Zebraliśmy się na narady. Pamiętam te sesje prześliczne. Na nich, pomimo oporu jednego z Podola, ponieważ dłuższa bytność Konarskiego w kraju zupełnie nie potrzebna a grożąca, bo może być złapany, chociaż my wszędzie strzegliśmy go, ale jego przejazdy tak stały się częstemi, że każdej chwili mógł być wzięty i nasze wtedy działania upadną, a kraj w nieszczęście się pogrąży, postanowiliśmy, aby Konarski kraj opuścił; przy nim reforma była niemożliwą. Kiedy postanowienie to w Kijowie przez głosowanie reprezentantów trzech prowincyj zapadło, Konarski siedział wtedy przy kochance, zacnej pannie Emilji Michalskiej na Podolu. Gdy się dowiedział o tem, ciskał pioruny na nas, ale musiał poddać się, a raczej udał, że się poddał.

Daliśmy mu tysiąc sto dukatów na drogę i miał jechać zagranicę. Z Podola przez cały Wołyń pojechał do wsi Lisowej w Łuckiem, gdzie trzymał posesję krewny Rodziewicza z mińskiej gubernji, a Rodziewicz poprostu zapisał się w poddaństwo Konarskiemu; co ten kazał, to Rodziewicz robił. Zamiast wyjechać zagranicę, jak obowiązkiem było słuchać postanowienia, pojechali obaj do Wilna na jarmark Śto Jerski[1]) z zamiarem wzięcia dzierżawy przez Konarskiego, który pod cudzem nazwiskiem w paszporcie miał zamiar osiedlenia się w mińskiej gubernji wśród błot i lasów i ożenienia się z panną Emilją. Chciał także założyć drukarnię.

Był w Wilnie Konarski z jednym towarzyszem u bogatego kupca żyda uważanego za patrjotę; obstalował machinę drukarską, dał na zadatek 50 dukatów, a nazajutrz już ten, który był z Konarskim u żyda, powieziony został do jenerał-gubernatora i uwięziony; trzeba było zmykać z Wilna. Już Rodziewiczowi koni dać nie chciano na poczcie, najął więc u tatara. Akademicy medycy należący do Stowarzyszenia, wyprowadzili jednego, wywieźli drugiego za rogatkę. Wtedy Rodziewicz, gdy już siedzieli w bryce, mówi do Konarskiego: „Mamy przed sobą dwie drogi, dwa trakty, jeden do Mińska do mego domu, drugi do Prus, uchodźmy do Prus". Ale Konarski nie chciał słyszeć o tem; przekonany był, że policja jest głupia, że on bezpieczny; i Rodziewicz posłuszny zawsze kazał jechać traktem do Mińska, gdzie na kontraktach 8 maja miał wziąć dzierżawę. Przyjechali do pierwszej stacji za Wilnem, tu się już znajdował sprawnik z policją. Wzięty Konarski, zawieziony do Wilna; porwany i uwięziony osobno Rodziewicz; i od tej chwili padło nieszczęście na Towarzystwo, na mnóstwo rodzin i na kraj cały!

Położenie Rodziewicza było bardzo trudne jako złapanego z Konarskim. Wiedział on o wszystkiem, bo Konarski, który przebywał u niego czas jakiś, opowiadał mu o wszystkich i o wszystkiem. Rodziewicz był słaby, więc męczony bardzo wiele wyśpiewał; nie potępiam go jednak. Nieposłuszeństwo Konarskiego względem postanowień zapadłych w Kijowie, aby kraj opuścił, sprowadziło zgubę, nieszczęście. Gdyby nie Konarski, wszystkie działania nasze trwałyby aż do skutku i my wszyscy bylibyśmy cali. Nie mogę rozpisywać się o tem, jak się wydawali jedni po drugich. Przejazdy Konarskiego po kraju zdradzały. Nawet jego powierzchowność i mowa zwracały uwagę; wiedziano, że jest nietutejszy. Długoby pisać o tem, mnóstwo rzeczy opuściłem, bo to tylko notatka a nie historja. Wspomnę tylko, że w maju 1838 roku były wybory w Żytomierzu i na ten czas naznaczony zjazd członków Towarzystwa. Antoni Beaupré przygotował na piśmie projekt reformy. Zbieraliśmy się w domu rodziców Twoich (Feliksostwa Iwanowskich), debatując nad projektami. W tem rozchodzi się po mieście wiadomość, że gubernator żytomierski odebrał z Wilna zawiadomienie, iż emisarjusz złapany, wskutek czego wezwał do siebie dwóch obywateli, sąsiadów Rodziewicza. Chociaż to zrobiło trochę popłochu, tak by-

---

[1]) Jarmarki Śto Jerskie w Wilnie zaczynały się 23 kwietnia i trwały po miesiącu i dłużej. Nazwa zachowała się do naszych czasów, ale treść, jak wszędzie, uległa zmianie. (Przyp. Autora).

liśmy pewni charakteru Konarskiego i Rodziewicza, że nie trwożyliśmy się. Pojechało nas tedy trochę delegowanych, między którymi był i Beaupré, do Berdyczowa na zjazd trzech gubernij. Już tylko po jednym mogło przyjechać z dwóch drugich gubernij, paszportów nie dawano.

Beaupré na początku lipca, a ja na końcu tego miesiąca, okuci, powiezieni zostaliśmy do Wilna. Trzy śledcze komisje odbywały posiedzenia: w Warszawie, w Wilnie i w Kijowie. Najbardziej skompromitowanym byłem ja, jako najczynniejszy i za takiego wydany. Trzymano nas ciągle w Wilnie, a potem w Kijowie, dokąd na początku listopada przywieziono nas w kajdanach. Najtrudniejsza była moja pozycja; nie szło mi zupełnie o siebie i owszem winy innych brałem na siebie; szło mi tylko o ocalenie innych. Konarski rozstrzelany, więzienia po całym kraju zapełnione, nieszczęście ogólne. Wszystko to złożyło się na to, że Stowarzyszenie nasze nazwano Konarszczyzną, a udział w niem „spiskiem Konarskiego" najniesłuszniej w świecie. W Kijowie 13 marca, ja, Beaupré, Michalski i Borowski mieliśmy być powieszeni. Z szubienicy uwolnieni wysłani zostaliśmy pieszo w kajdanach do zawodów nerczyńskich do ciężkich robót, z nami kilkudziesięciu innych. W drodze rozchorowałem się na tyfus i na jednym z etapów leżałem 6 tygodni, a Beaupré czuwał nademną sypiając na podłodze. Szliśmy do Nerczyńska prawie rok cały. Oprócz nas kilkudziesięciu zostało wysłanych na posielenie, kilkudziesięciu na żitielstwo w tobolskiej gubernji, trzydziestu w sołdaty na Kaukaz. Leonard Łepkowski umarł w fortecy kijowskiej, a żona jego, Klementyna z Budzyńskich, której pozwolono chorego męża odwiedzić, całą dobę zamknięta była z nieżyjącym już mężem. Edward Piniński, wykupiony przez żonę za sto tysięcy rubli srebrem (ogromną jak na owe czasy sumę, którą złożyła do ręki Pisarewa, dzielącego się takiemi dochodami z Bibikowem), umarł w drodze z Wołogdy.

Jeszcze słówko: Towarzystwo, któreśmy założyli, my, krajowe znający stosunki i ludzi, było bardzo poważne, oparte na zasadach najlepszych i na znajomości żywiołu naszego. Ani przez myśl nam przyszło, żeby do Towarzystwa naszego zaciągać kobiety, przeciwnie tajemnicę przed niemi zawarowaliśmy, a w projekcie mieliśmy po największej części majątki na imię kobiet przelewać. Znaliśmy zacność, patrjotyzm, gotowość do poświęceń naszych kobiet, ale najprzeciwniejsi byliśmy wcielaniu ich jako członków. Konarski przybył i nie zetknąwszy się jeszcze z nami, nie wiedząc, że jest w kraju Towarzystwo Patrjotyczne, powciągał kobiety niektóre do swoich działań. Gdy się złączył z nami, trzeba było mówić z temi paniami lubo niechętnie o robotach; ale nigdy ich nie uważałem za członków Towarzystwa. Przez Konarskiego wiedziały te panie wiele; to też padły ofiarą, były uwięzione i kilka z nich jak Ewa Felińska i inne zesłane na Sybir.

Przybycie Konarskiego, jak z jednej strony pobudziło wielu do czynności, tak z drugiej strony zwichnęło działanie nasze, czem zły kierunek nadało, przyczyniło się do jawności, a stąd i do wydania się, bo dom, w którym noga Konarskiego stanęła, już był skompromitowany, już jego właściciel skazany na Sybir. Komisja zaś mogła łatwo wyśledzić domy, gdzie bywał.

Historji ośmnastoletniego naszego pobytu w nerczyńskich zawodach, hi-

storji mającej piękne strony, śliczne epizody, w której największe zasługi położył dr Antoni Beaupré, nie opisuję. Za inicjatywą to Antoniego Beaupré została założona kasa ogólna, która tyle dobrodziejstw robiła. W jego domu zbieraliśmy się kilkakrotnie do roku na sesje poważne, gdzie ważne załatwiano interesy. W jego domu, licznie zebrani, po czterdziestu i pięćdziesięciu, obchodziliśmy święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. On ponosił koszta, wielkie trudy i niepokoje. On założył bibljotekę, wpływał na młodych kolegów, którzy się pod jego kierunkiem wysoko kształcili; on rozdawał wszystkie dochody, jakie miał z rozległej doktorskiej praktyki, na potrzeby ogółu. On założył rolne parobkowe gospodarstwo i pierwszy zaczął siać pszenicę na Syberji. W jego domu odbywały się śluby i chrzciny, bo do kilku wygnańców przybyły z kraju narzeczone, a do Jerzego Brynka córka Józefa, co poszła potem za Karola Podlewskiego. W stosunku do władzy miał tyle taktu, tak się postawił, że ci, co mieli nad nim prawo życia i śmierci, poważali go i niejako się bali; pomagało mu do tego cudzoziemskie nazwisko Beaupré. Wzywany do chorych swoich zwierzchników, stawał zawsze na zawołanie, ale nigdy nie przyjmował zaprosin na towarzyskie do nich zebrania. To też księżna Wołkońska wyrażając się o nim z uwielbieniem, mówiła: — „Je me mets à genoux, devant son caractère".

Jeszcze Ci wspomnę, że na szubienicy połknąłem wszystkie, jakie miałem przy sobie papierowe pieniądze w obawie, żeby nie dochodzono, kto mi je przysłał do fortecy. Byłem więc bez grosza, w wielkim niedostatku. Z początku drogi wieziono nas mil kilkadziesiąt każdego zosobna; otóż na jednym przystanku spotkały się nasze kibitki. Beaupré prosił żandarma, żeby mi zaniósł od niego ciepłe rękawiczki; znalazłem w nich 50 rubli. Tak stawał on zawsze innym w potrzebie, a znam fakt, że już w 1863 roku oddał ostatnie tysiąc rubli zrujnowanemu przez wygnanie przyjacielowi. Ale... czyż Ty o tem nie wiesz i o innych podobnych jego czynach!...

No, zmęczony jestem, dosyć na teraz. Bywaj mi zdrowa.

Gasper Maszkowski.

Kijów 1882 r.

USTAWA ZAWIĄZANEGO W R. 1835 NA WOŁYNIU PRZEZ GASPRA MASZKOWSKIEGO „TOWARZYSTWA PATRJOTYCZNEGO", KTÓRE NASTĘPNIE, NA PRZEDSTAWIENIE KONARSKIEGO, UZYSKAŁO NAZWĘ „STOWARZYSZENIA LUDU POLSKIEGO"[1]).

Przedmiotem działań naszych być powinno:

1. Narodowość utrzymać.
2. Ducha poświęcenia obudzać.

[1]) Ustawa ta przepisana z rękopisu, ofiarowanego przez Szymona Konarskiego narzeczonej, pannie Emilji Michalskiej. Tekst jej, wbrew zdaniu Maszkowskiego, pochodzi przeważnie z pod pióra Konarskiego. Są w niej sformułowania, dowodzące tego nieomylnie. (Przyp. Wyd.).

3. Oświatę rozkrzewiać.
4. Obyczaje poprawiać.
5. Lud rolny na synów ojczyzny sposobić.
6. Opinje fałszywe prostować.

Art. 1. NARODOWOŚĆ UTRZYMAĆ.

Religja, język, zwyczaje, wspomnienia narodowe, są jedynym składem narodowości, jedynem źródłem uczuć miłości ojczyzny. Przejęci zatem czystą religją Chrystusa na Ewangielji opartą, jako religją ojców naszych, cześć jej należną w drugich obudzajmy okazywaniem świętości jej zasad, odrzucaniem przesądów przez interes i fanatyzm obudzonych i wprowadzonych, potępieniem rozszerzonego przez fałszywych mędrków niedowiarstwa i dawaniem z siebie przykładu szczerej pobożności i miłości bliźniego.

Dla upowszednienia i udoskonalenia języka polskiego nakłaniajmy rodziców, aby dzieci swe w nim ćwiczyli, uczonych, aby go w pieśniach swych wyrabiali, kobiety, aby go po domach i towarzystwach swych używały. Aby duch narodowy w młode pokolenia zaszczepiać, niech matki dzieci swe od kolebki nim napawają. Niech je utula pieśń narodowa i płacz ich koi opowiadanie wielkich czynów i szczęścia przodków naszych. Niech każda matka, skoro tylko imię wymawia, wkłada w usta jego słodkie, polskie nazwisko; skoro zgłoski składać poczyna i rozpoznawać obrazki, niech wyczytuje imiona Piasta, Bolesława, Kazimierza, Chodkiewicza, Sobieskiego, Kościuszki; niech na ich polskie pogląda twarze, niech oko jego polubi wieśniaczą odzież Piasta, sarmackie lice Chrobrego, zwycięskie czoło Sobieskiego, skromną czamarę Kościuszki. Niechaj obrazek kmiotka naszego z kosą, którą i plon zbiera i wroga bić idzie, będzie najulubieńszą jego zabawką. Jak tylko pamięci użyć zdoła, niechaj powtarza „Święta miłości kochanej Ojczyzny"; jak tylko głosu dobyć potrafi, niech go zaprawia na naszych śpiewkach; jak tylko pojmować zdoła, niech mu ojciec opowiada powieści o Pradze i Oszmianie; niech go przeraża dziejami męczeńskiemi narodu naszego; niech go wcześnie prowadzi na miejsce pamiątek i mogił naszych, by młodociane serce czuć je przyuczało się.

Zachowajmy święcie w sercach, w pamięci i w domach naszych narodowe wspomnienia, zabytki i uroczystości, i do ich zachowania drugich zachęcajmy. Niech nas zachwycają i dumą szlachetną przejmują obrazy Rejtana, Kościuszki, Dąbrowskiego i tylu innych, wielkich mężów naszych. Niech wstydem będzie nie znać ich dziejów, a celem żądzy najwyższej wyrównać im. Uczmy się sami i uczmy innych dziejów narodu naszego; niech każdy pozna jego wielkość, przygody i przyczyny nieszczęść. W zwyczajach domowych, w stroju nawet i muzyce, narodowość naszą zachowujmy. Niechaj kobiety ożywiają serca nasze nutą narodowych pieśni, niechaj nam grają polskie tańce, które i słuch i duszę mile zachwycają.

Gdy teatr narodowy jest najwierniejszym i niejako żyjącym obrazem obyczajów i ducha ojców naszych, w tym celu należy się porozumieć z naczelnikiem teatrów lub artystami godnymi zaufania i zbierane na ten cel składki im

wręczać z warunkiem, aby kilka razy do roku przynajmniej sztuki narodowością tchnące, a jakie im wskazane będą, przedstawiali.

Nie dopuszczajmy naśladownictwa cudzoziemszczyzny, a gdzie się wkradła, niszczmy ją i wyśmiewajmy. Stare cnoty Polaków: miłość ojczyzny i wolności, prawość, otwartość, szlachetność, gościnność i tym podobne, utrzymujmy i rozkrzewiajmy, a wady, jakie były, rozszerzaniem światła poprawiajmy i niszczeniem przesądów wytępiajmy.

Art. 2. DUCHA POŚWIĘCENIA SIĘ OBUDZAĆ.

Taki jest los obecny ludzkości i ojczyzny naszej, że sprawa ich wymaga poświęcenia się bez granic i krwawych ofiar. Nie trwóżmy się tem, iż wrogi i błędy nasze po tylekroć nam broń wytrącali, iż ciemiężcy srodze pastwią się nad nami. Wzbudźmy raczej w sobie i w braciach naszych to przekonanie, iż naród nasz przeznaczony jest na wyzwolenie rodu ludzkiego z mąk i z ciężkiej niewoli. Nie lękajmy się zaguby naszej przez nieustanne ofiary, bo tem to właśnie niemylny znak życia dajemy, bo nie męczeństwem, ale odrętwiałością i upadkiem ducha, zamierają narody. Naśladujmy przykłady męczenników wiary św. i bądźmy gotowi zawsze, jak oni byli, pokonywać najcięższe przeciwności, czynić z siebie wszelkie poświęcenie i najsroższe przetrwać katusze dla sprawy wolności. A krew wylana pomnoży mścicieli i obrońców, a prace i cierpienia nasze nie będą daremne.

Idźmy za wielkiemi przodków przykładami i drugich do nich zagrzewajmy. Niech duch narodu, który tylekroć na zagładę wymierzone ciosy i śmierć polityczną przeżył, obecnie się wzmaga i w przyszłe przeleje pokolenia. Wrażajmy to uczucie, iż dla dokonania zbawienia rodu ludzkiego, dla tak szczęśliwej przyszłości, która ogół czeka, niczem są największe ofiary. Ale nietylko życie, majątki nasze, ale i prawa historyczne, usługi, przywileje, przesądy namiętności, nawet drogie sercu uczucie, wszystko poświęcić mamy dla dobra ludzkości i ojczyzny. Niech każdy chętnie swoje oddaje bliźniemu, niech się wyrzeka wszystkiego, co jest przeciwne prawu natury, a następnie szczęściu drugich. Niech śmierć za wolność i ojczyznę za najpiękniejszy kres życia uważa. Ożywiajmy serca ziomków męstwem, ukrzepiajmy wytrwałością, przejmujmy wiarą w bliskie odrodzenie nasze. Odrywajmy się od materjalizmu, miejmy za niegodne nas bogactwa, zbytki, mniemane znaczenia, powierzchowne wystawy i osobiste widoki. Wznośmy się nad nie i żyjmy w przyszłości, cierpiąc dziś odważnie, bo wyższe jest dziś przeznaczenie nasze.

Podniesienie ducha chrześcijańskiego, stawienie przykładów z tych ludzi, którzy nie wahali się dla dobrej sprawy ponieść wszystko, uczucie w sobie powinności poświęcenia siebie z pogardą wszystkiego, co jest niższem od celu, jaki nas zajmuje, i w tym duchu działanie i przemawianie obudzi niemylnie też uczucia w drugich. A gdy duch taki wszystkich ogarnie serca, gdy każdy z nas z wiarą i ufnością w świętość sprawy gotów będzie poświęcić wszystko i umrzeć, nic się nam oprzeć nie zdoła; i cel nasz osiągniemy.

Art. 3. OŚWIATĘ ROZKRZEWIAĆ.

Do wyjarzmienia i uszczęśliwienia rodu ludzkiego, do zbawienia ojczyzny naszej potrzebna nam oświata obywatelska. Poznać ją, ocenić, odróżnić od salonowego poloru i wiadomości szkolnych, rozszerzać i pielęgnować w narodzie, jest naszą powinnością. W tym celu należy mieć pilną baczność na wychowanie młodzieży.

Wskazujmy więc rodzicom całą ważność ich obowiązków; niech od kolebki wrażają w dzieci uczucie miłości ludzkiej i ojczyzny; niech w nie wpajają prawdy wiary i moralności; niech dzieci przejmują się zgrozą na każdy czyn fałszu, podstępu, przemocy i przewrotności. Niech w nich wzbudzają szacunek dla włościan, oddalają starannie wszelkie uprzedzenia wyższości, wszelkie zysków i interesów widoki. Niech od dzieciństwa uczą je przestawać na małem, niech im nie dają przykładów zbytku i rozrzutności. Niech ich odwodzą od samochwalstwa i zarozumiałości, a zaszczepiają przyzwoitą skromność. Niech ich od gnuśnego strzegą życia i miękkości, a do sił fizycznych ćwiczenia, do niewygód, trudów i niedostatku przyzwyczajają; słowem, tak wychowują, aby religja, moralność i miłość ojczyzny stały się żywiołem ich duszy i serca.

Dla dzielniejszego wpływu na oświecenie młodzi należy zawierać z nią przyjacielskie stosunki, poufałość; baczyć na jej postępowanie, nie dozwalać jej łączyć się w towarzystwa, rozpustą, arystokracją lub samolubstwem zarażone; wskazywać powab życia pracowitego i poczciwego; działać na jej serce i wyobraźnię przykładami i słowem, dawać poznać, na czem istotne dobro ludzi zależy, uczyć praw i obowiązków człowieka i obywatela i wykazywać, jak dziś daleko od nich zboczono; i to w nich wrażać, iż prawdziwa sława zależy na dopełnieniu cnoty. Dzieci ubogich rodziców bierzmy w miarę możności na wychowanie, a kształcąc ich umysł i serce sposóbmy przyszłych synów ojczyzny.

Starajmy się, aby talenta ludzi światłych korzystnie użyte zostały i dopomagajmy, aby ci zajmując ważniejsze stanowiska więcej pozytywnego wpływu wywierać mogli. Po szkołach zawierajmy stosunki z nauczycielami, oświecajmy ich przez częste z nimi rozmowy i inne trafne sposoby i nakłaniajmy ich, aby przedmioty swe wyjaśniali w języku polskim, chociaż zmuszeni są wykładać je dziś w językach obcych. Ludzi zdatnych zachęcajmy do zaprowadzenia prywatnych naukowych zakładów, do zajmowania się domowem dzieci wychowaniem, do wygrzebywania, opisywania i ogłaszania pamiątek i innych przedmiotów narodowych. Sprowadzajmy dzieła, mogące rozwinąć władze umysłowe, zaszczepić zasady wolności lub je przygotować; skłaniajmy do robienia składek na zakupienie dzieł takich, do zakładania prywatnych i publicznych księgozbiorów. Obudzajmy smak do nauk pożytecznych, do czytania książek i drugim ich udzielania.

Młodzian tym sposobem wychowany, ugruntowany w miłości kraju i swobód, obeznany z dziejami ojczystemi, przejęty zasadami czystej wiary, uczuciem cnoty, zamiłowany w prawdzie, poznawszy istotną godność i wartość człowieka, z pogardą poglądać będzie na zepsucie społeczności, ujrzy je niezgodnem z swem sercem i myślami, uczuje tęsknotę do lepszego bytu i zapragnie być użytecznym ludziom; a przeszłość Polski z dumą i łzami wspominając, świetną jej przyszłość w swem sercu przeczuje.

Art. 4. OBYCZAJE POPRAWIAĆ.

Trudność w wyborze powołania, któremu bez ubliżenia sumienia oddać się można, wstręt do zajęcia się umysłowego i wszelkiej innej pracy, rodzą czczość życia, spadlają umysł człeka i główną wad jego stanowią przyczynę. Próżniak i nieoświecony puszcza się na rozpustę i złe wszelkiego rodzaju, a coraz bardziej oddalając się od życia moralnego i czynnego wpada w otrętwiałość, z której już go trudno obudzić; szlachetne uczucia już nie ożywiają jego duszy, umysł nikczemnieje, a zepsucie, szeroko w kraju naszym rozszerzone, łatwo go ogarnie.

Próżność, chęć błyszczenia i popisu, ubieganie się za tytułami, wystawność i dziwactwa mody, polor salonowego wychowania, ślepe naśladownictwo urojeń wyższego tonu, nikczemne nadskakiwanie mniemanym wyższym, a pomiatanie niższymi, nałóg gry i pijaństwa, zbytek wszelkiego rodzaju, nad miarę swego stanu, obojętność w sprawie ogólnego dobra, a zakopanie się w osobistem, chciwość martwych zbiorów, lichwiarskie rachuby strat i zysków tak w sprawie wolności jak w innych dobrych celach, wszelkie pieniactwa i intrygi, targanie się na cudzą sławę, spokojność i majątek, przekupstwo i stronność urzędnika ze zwykłą ubogiego krzywdą, gorszące postępowanie w domowem pożyciu, nieludzkie i despotyczne władanie włościanami itp. — oto są wady i występki prawie powszechne.

Gdy zaś one pochodzą z ciemnoty, próżniactwa, złych przykładów i oddania się materjalizmowi, wykorzeniać je będziemy szerząc oświatę, zachęcając do pracy, odwodząc od złych towarzystw i wznosząc myśl człowieka do poznania ważności jego powołania i przeznaczenia, wskazywaniem wyższych celów, do jakich ludzie dążą.

Poprawę obyczajów urządza mianowicie dobry przykład; więc każdy z nas święcie obowiązany jest poznać swe wady, oczyścić się z nich, siebie prowadzić i dom swój urządzić podług zasad cnoty, skromności i moralności; powinien jednać sobie zaufanie, wchodzić we wszystkie towarzystwa, wszędzie stosowną zachowując powagę i przystępność, zniewalać serca młodzieży i własnym przykładem robić reformę obyczajów. Wrażajmy w młodzież znikające coraz bardziej z serc ludzkich czucie uczciwości, sumienności, surowej cnoty, sprawiedliwości, miłości dobra powszechnego, odwagi, mocy duszy, słowności, jedności, tych najpewniejszych posad szczęścia naszego, stawiąc uderzającą z niemi sprzeczność krzewiących się występków nikczemności, pozornego blasku i zacierającego duszę samolubstwa. Ostrzegajmy się, że ciemięzcy nasi dla utrzymania niewoli szerzą między nami zepsucie, że każdy miłością ojczyzny przejęty i jej wyjarzmienia pragnący z tych wad otrząść się zechce i stronić od nich powinien.

Z tymi, na których działać mamy, postępujmy przyjacielsko, łagodnie, lecz obok tego nie upoważniajmy pobłażaniem przywar a na uporczywych i od poprawy dalekich powstawajmy jawnie i śmiało; czego zaś nie poprawimy mocą przekonania, namową i innemi skutecznemi środkami, wyszydźmy i wzgardą okryjmy.

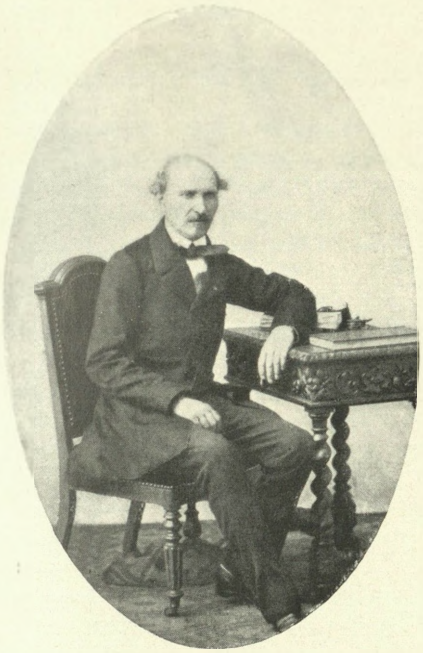


Fig. 27. Wincenty Budzyński.

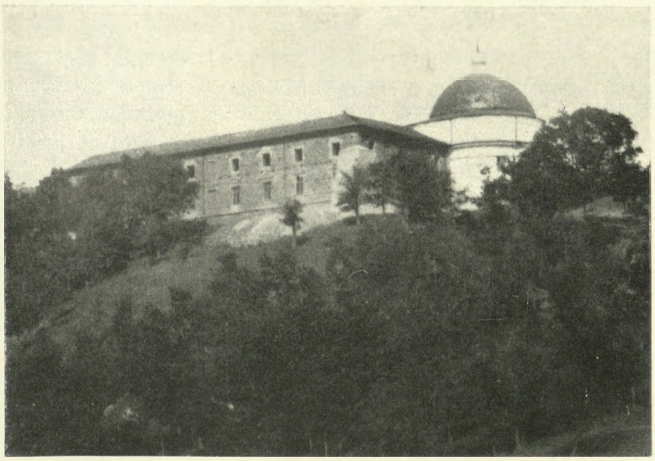


Fig. 28. Klasztor SS. Miłosierdzia zamieniony na szpital wojskowy w Żytomierzu.

Art. 5. LUD ROLNY NA SYNÓW OJCZYZNY SPOSOBIĆ.

Sposobić lud rolniczy na przyszłych obrońców ojczyzny i prawych obywateli jest najważniejszem usiłowaniem naszem; zamiary bowiem nasze łatwo się spełnić dadzą, kiedy masa ludu do tego usposobiona będzie, iż uznawszy godność własną wyrzecze się niewoli i przemocy, a zamiłuje panowanie prawa i cnoty. W kraju naszym, rolniczym z natury ziemi, włościanin stanowi główną siłę narodu. Zbliżmy się więc sercem i umysłem do tej poniżonej a najszacowniejszej i najliczniejszej jego części, na której ciężą wszystkie nasze i kraju potrzeby, a trafnie skierowaną do pojęcia rolnika rozmową wrażajmy mu przekonanie, jakiem sami tchniemy. Dowodźmy mu słowy i rzeczą, że widzimy w nim równego nam człowieka brata, syna przyszłej ojczyzny, że do wspólnego i najwyższego szczęścia dążymy na ziemi, do wspólnej nam wolności. Przekonywajmy go, żeśmy na wieczną skazali niepamięć i obrzydzenie przesądy, które rolnika haniebnem piętnem niewoli, a tego, który się panem jego mienił, znamieniem dzikiej dumy oznaczały, że uznając w tem niesprawiedliwość wyrzekamy się jej i obalić ją pragniemy i, że tylko obecny rząd jedyną stanowi chęciom naszym zawadę.

Wskazujmy włościanom mnogie korzyści rządu wolnego, dowodźmy im, że na odzyskaniu ojczyzny szczęście ich polega, że byt ich wtedy polepszonym zostanie przez posiadanie własności gruntowej, przez otwarcie swobodnego handlu, podniesienie przemysłu, zmniejszenie podatków publicznych, płacenie ich zarówno z innymi mieszkańcami — i przez wspólną wszystkim opiekę praw.

Sposoby ugruntowania zasad miłości ludzi i dobra powszechnego, sposoby zbliżenia się i przemawiania do ludu, znajdzie z nas każdy we własnych uczuciach, szczerych chęciach i rozsądku. Świąteczne zebranie się gminu, powszednie roboty, niepoliczone zdarzenia najkrótszej nawet z rolnikiem rozmowy dostarczą czynnemu umysłowi i gorejącemu sercu mnogich sposobów oświecania i naprowadzania ludu na drogę przeczucia szczęśliwszej przyszłości. Każdy z nas ma świętą powinność z braterską miłością wchodzić pilnie we wszystkie potrzeby rolnika, biednych wspomagać, chorych leczyć, stroskanych cieszyć, w sprawy ich i stosunki po ojcowsku wglądać, zabawom ich wiejskim towarzyszyć, podłego uniżania się ich przed sobą jako zabytku barbarzyńskich czasów bałwochwalstwa niedozwalać, a w poufałych z nimi rozmowach zaszczepiać w ich serca zasady moralne, uczucia szlachetnej ambicji, zamiłowanie cnoty, przejmować zgrozą i wzgardą dla zbrodni i czynów ludzkość hańbiących.

Dawanie z siebie przykładu cnót społecznych i domowych, wglądanie w obyczaje i postępki włościan, nagroda dobrych a kara moralna złych czynności, łagodne ale sprawiedliwe z nimi obejście się, polepszenie ich bytu, zmniejszenie powinności, któremi dziś są obarczeni, wzniesie siły moralne tego cierpiącego ludu, powściągnie od występków, okaże mu dążenie nasze do uszczęśliwienia go, zjedna nam ufność i przychylność jego i wspólnikami zamiarów naszych uczyni. Niech właściciele starają się jak najusilniej ochronić kmiotków swoich od niedostatku i nędzy. Człowiek ciemny, nędzą i nieszczęściem znękany, z krwawej pracy nie mogąc wyciągnąć kawałka chleba w zysku

dla siebie i swych dzieci, zniechęca się, oddaje się próżniactwu, włóczędze, pijaństwu i na wszystko złe się puszcza. Nędzarz i niewolnik liże nikczemnie stopy despotyzmu, które go dumnie i z urąganiem gniotą.

Zaprowadzenie zapaśnych magazynów żywności i kasy pożyczalnej dla włościan, urządzenie pewnego rodzaju przemysłu, podniesienie rolnictwa, dopomaganie zaprowadzenia przemysłu, fabryk, w którychby włościanie mogli mieć korzystne zarobki, obmyślenie pewnych funduszów na spłaty podatków, a mianowicie zmniejszenie i ogólne zrównanie powinności dworskich — oto są środki ulepszenia ich bytu i zamożności, których przy rządnem gospodarstwie każdy posiadacz z korzyścią użyć może.

Aby uniknąć powodów narażenia się włościanom, aby podać wyobrażenie wolnych obrad i nieuległość sądownictwa oraz nauczyć ich odróżniać prawdę od łgarstwa, dobre od złego, niech wybierają z pomiędzy siebie rozsądniejszych na sędziów, przy których prawo wyrokowania o przestępcach i wymierzanie kar cielesnych, jeśli na to zasłuży, zostanie; właściciele zaś tego prawa zupełnie wyrzec się mają.

Duchowieństwo wielki ma wpływ na lud rolniczy; zniewalajmy je ku sobie i sposobmy w nim uczestników naszych uczuć i myśli. Duchownym niekatolikom ułatwiajmy wychowanie dzieci i prowadzenie gospodarstwa; zaręczajmy im zupełną rządu polskiego tolerancję i opiekę i prawa obywatelstwa.

Żydzi w kraju naszym, nie przypuszczeni do posiadania własności gruntowej, a stąd nie w pracy, lecz w szachrajstwie szukający sposobu utrzymania się, przyczyniają się niezmiernie do demoralizacji ludu, są powodem pijaństwa, a z nim kłamstwa i kradzieży często połączonych; usuwać więc ich ile możności z wiosek naszych należy i wpływowi ich na włościan zapobiegać. Wszakże i tej klasy zniechęcać nie powinniśmy, owszem, dowodźmy im, że dziś pod despotyzmem rządu bogatsi tylko z nich wszelkie korzyści pobierają, a ubożsi dźwigają ciężary; wskazujmy im zyski z odmianą rządu, udoskonalenie rzemiosł, stworzenie wolnego handlu i uczestnictwo obywatelstwa. Te same korzyści i opiekę prawa zaręczajmy mieszczanom i innym mieszkańcom tej ziemi.

Temi to środkami zdołamy masę ludu oświecać, od zepsucia ochraniać, z przesądów otrząsać, uczucie godności człeka podnieść i na prawdziwych synów wspólnej Matki usposobić. Postępujmy podług podanych tu sposobów i do podobnego postępowania drugich nakłaniajmy, wrażając im konieczną tego potrzebę dla szczęścia ogółu i przejmując ich uczuciem, jakiem sami oddychamy.

Art. 6. OPINJE FAŁSZYWE PROSTOWAĆ.

Opinje fałszywe, swobodnie po kraju szerzone, wielką stanowią zawadę wyjarzmieniu naszemu, zbijać więc je, a na ich miejscu prawdziwy i czysty sposób widzenia rzeczy wprowadzać, jest powinnością naszą. I tak, utrzymujących, że obca tylko pomoc i to gabinetowa zbawić nas może, przekonywajmy, że narody nie przez gabinety, ale własną dźwigają się siłą, że gabinety, jako narzędzia królów, zupełnie z narodami sprzeczny interes mających, nic zdziałać ku zbawieniu naszemu nie mogą, a chociaż niekiedy jakiemu z wyjarzmiających

się narodów na pozór sprzyjają, zaraz jednakże po osiągnięniu własnych swych celów opuszczają go.

Wrażajmy to przekonanie, że działania gabinetowe, będąc po większej części wypływem intryg, postępów i oszukaństwa, w żaden sposób dopomóc nie mogą sprawie, ktorej gruntem jest prawda i sprawiedliwość, a celem dobro ogólne i cnota. Że nawet ubliżalibyśmy świętości sprawy naszej, gdybyśmy potrzebę tak niegodnych środków do jej wsparcia uznawali; a gdyby nawet jakim gabinetom wypadło kiedy działać zgodnie z żądaniem naszem, zawsze jednak wewnętrzne tylko usposobienie naszego narodu i współdziałalność jego dobry skutek wydać mogą. Obudzajmy to przekonanie i uczucie, że naród do wolności dążący ufać koniecznie własnym siłom powinien. Dowodźmy z dziejów, że każdy z narodów, dawniej lub obecnie wolnych, nie obcą, ale własną siłą tej się dobił wolności, a dla ustalenia tej opinji puszczajmy w obieg historyczne i inne pisma tej prawdy dowodzące. Wskazawszy ziomkom płonność szukania zbawienia naszego po gabinetach, zwróćmy myśli ich do szukania środków w nas samych, przez co podniesiemy siłę moralną narodu i postawimy go w stanie poczucia własnej mocy.

Okazujmy, że tylko narody los nasz podzielające są sprzymierzeńcami naszymi, że gdzie walka za wolność, tam walka za nas.

Szkodliwy jest również przesąd w dziele oswobodzenia naszego, polegać na ludziach historycznych imion, bogatych, wielkiej a niezawsze zasłużonej wziętości, którym na zdatnościach, a często i dobrych chęciach braknie, albowiem oddzielną w narodzie stanowią kartę, będąc małą jego cząstką. W innej żyjąc sferze, nie mogąc znać ani potrzeb ani ducha ani środków jego, a napojeni fałszywemi wyobrażeniami o swej mniemanej wielkości, obłąkani sprzecznemi z prawem człowieka zasadami, przywykli do uważania innych za niższych; stępieni w uczuciach przez wszystko, co ich otacza, nie mogą wznieść się nad stan rzeczy obecny i są albo wbrew przeciwni albo z niechęcią i przymusem przystępują do ducha czasu, gdyż zwykle nie są z nim obeznani, a do pojęcia go zagrodzoną sobie mają drogę przez uprzedzenia i przywiązanie do tytułów i przywilejów. Mogąc się zastawić od ucisku rządu bogactwami, a często rządu tego dary i łaski odbierając, nie czują niewoli!... Nie polegajmy więc na tego rodzaju ludziach.

Waszyngton, Kościuszko, Wilhelm Tell, prawie wszyscy obrońcy wolności, byli ludzie niebogaci, niewielkich imion, ale wielkiej duszy.

Są między nami tacy, co ufni w swą zarozumiałość działania w sprawie ojczyzny, chcą podciągnąć innych pod swe błędne teorje i pytają swego widzimisię tam, gdzie serca i powinności pytać należy, a tym sposobem płonnem rozumowaniem niweczą zbawienne rady i środki, przez energicznych podawane mężów. Nie pokładajmy ufności w magnatach, w mędrkach, w politykach, dygnitarzach, ale w tych, których czyny zgodne z sercem przejętem miłością dobra ogólnego, męstwem i duchem poświęcenia się. Ten albowiem tylko prawdziwie oświeconym jest, kto poznał prawa człowieka, a ten prawdziwie dobrym, kto dla wybawienia ludzi z pod przemocy na wszystko jest gotów.

Ukrywają się jeszcze między nami zabytki dawnego francuskiego niedo-

wiarstwa i fałszywe opinje, jakoby bez wiary i Boga sprawie wolności dobrze służyć można. Przekonywajmy tych ludzi, że duch dzisiejszej filozofji to płonne mędrkowanie, a zasady czystej wolności wskazujmy w prawidłach czystej religji. Dowodźmy, że dziś dopiero ludy pewne być mogą pomyślnego dążeń swych skutku, gdy się zwróciły na drogę świętej wiary i w niej najlepsze wsparcie sprawiedliwych żądań znajdują. Chociaż dziś despoci używają religji i duchowieństwa na utrzymanie przemocy, złe to atoli, przeciwne świętym zasadom Chrystusa, w reformie społecznej upaść musi.

Zbijajmy takie zdania, iż bez królów obejść się nie można, wykrywając klęski, które oni na rodzaj ludzki ściągnęli, i zbrodnicze środki, jakich do panowania używają. Rozszerzajmy zasady czystego republikanizmu, dowodząc, że najwyższa władza narodu przy nim samym zostaje i że ta tylko ustawa jest obowiązującem prawem, która z ogólnej woli wypływa. A kiedyśmy dotąd z pohańbieniem praw natury i zagłuszeniem sumienia najliczniejszej klasy narodu do praw i używania darów Boga wspólnych wszystkim ludziom nie przypuszczali, dziś błąd ten poznać i dług przez przodków zaciągniony święcie wypłacić winniśmy. Niegodny i ubliżający naturze jest przesąd dzielenia ludzi na klasy, czyli arystokrację urodzenia. Okazujmy, ile on klęsk przyniósł narodom, a zasady równości i braterstwa, na wszechwładnem prawie natury oparte, rozkrzewiajmy.

Niemasz ani pierwszej, ani ostatniej klasy; niemasz różnicy stanu w obliczu Boga, rozumu, ojczyzny i śmierci!...

Słowem zasiewajmy nasiona wolności, usuwajmy wszystko, co jej na zawadzie, a mianowicie postępowaniem dowodźmy, żeśmy pojęli prawdziwą wolność i żeśmy jej godni. Niszczmy przykładem i słowem wszystko, co jest nieprawe, nienaturalne i fałszywe, a opinje z duchem czasu zgodne w serca ziomków wpajajmy. Tym sposobem, sprawę wskrzeszenia naszego silnie wesprzemy, a gdy pora nadejdzie, ujrzymy działających skutecznie tych, w których, z niewiadomości i krzywego widzenia rzeczy, mielibyśmy przeszkodę niepokonaną do rozwinięcia naszej rewolucji na właściwej drodze.

RÓŻNE WZMIANKI O ADAMIE PONIATOWSKIM.

I. W dziele: Historja Powstania Narodu Polskiego w roku 1830—31 przez R. O. Spazier'a wydanem w Paryżu 1833 r. na str. 323 i 324 tomu I-go czytamy:

Młodzież zapalona nie mogła się doczekać chwili, w którejby się spotkała z wrogiem na polu bitwy. Nikt nie myślał o podobieństwie układów i nikt sobie nie życzył, aby rzecz ta spokojnie mogła być zagodzoną. Oprócz tego, wprowadził Wincenty Pol, który na dwa tygodnie przed wybuchnieniem powstania do Wilna był przybył, Adama Poniatowskiego, Ignacego Jankowskiego, Juljana Grossa, Żebrowskiego i Kudrewicza do tajemnego związku. Pierwszy pozyskał

zaufanie wielkiej części młodzieży, która kurs akademicki już była ukończyła, Jankowski przyciągnął wielką liczbę urzędników uniwersytetu i z innych dykasterjów do siebie, Gross matematyków, kandydatów medycyny i elewów cesarskiego Instytutu lekarskiego itd.

II. W Zbiorze Pamiętników do Historji Powstania Polskiego z roku 1830—1831 wydanych w 1882 r. we Lwowie na str. 189—190 i 191 w Pamiętniku Henryka Bogdańskiego znajdujemy następujący ustęp o Adamie Poniatowskim:

Gdy coraz bardziej niepokojące wieści dochodziły nas o stolicy i o głównej naszej armji, wyprawił jenerał Różycki z obozu pod Ostrowem do Warszawy zręcznego i zaufanego wysłannika, aby się od osób wpływowych i wysoko stojących dokładnie dowiedział o stanie rzeczy, a zarazem dał mu polecenie ustnego zdania sprawy Prezesowi Rządu i Naczelnemu Wodzowi z działań naszego korpusu i zasięgnięcia dalszych rozkazów.

Tym wysłannikiem był niejaki Poniatowski, obywatel ziemski z Litwy[1]), któren w mundurze oficera od artylerji jeździł konno zwykle przy naszych działach, ale nie pełnił żadnej wojskowej służby, tylko do ważnych a tajnych i niebezpiecznych poruczeń był używany. Przybył on z Litwy z jenerałem Henrykiem Dembińskim, a potem z Warszawy wziął go w Sandomierskie jenerał Różycki. W Litwie pełnił takie same usługi z narażeniem siebie na największe niebezpieczeństwa. On to w najkrytyczniejszym stanie Wilna podczas podstąpienia jenerała Giełguda i Chłapowskiego utrzymywał komunikację między wojskiem polskiem a miastem, przebywał przez straże moskiewskie w furze siana, to inaczej, i powracał stamtąd zawsze szczęśliwie; podobnież inne robił wycieczki, które pachły szubienicą.

Był to człowiek niepokaźny, cichy, skromny, ale wybornie umiejący przybierać mowę i ułożenie każdego stanu: chłopa każdej naszej prowincji, niemieckiego kolonisty, pana, żyda polskiego, kacapa; mówił bardzo dobrze po rusku, po mazursku, po moskiewsku, także po francusku i po niemiecku; był przebiegły, przytomny i poradny w każdem niebezpieczeństwie, umiał zaimponować po pańsku i czołgać się jak niewolnik... Pełnił tę najwłaściwszą sobie służbę w usługach naszego powstania z zupełnem poświęceniem od początku do końca, tylko z gorącego i czystego patrjotyzmu, bez żadnego wynagrodzenia. Tacy ludzie są nie do opłacenia; bez rozgłosu, bez sławy, z prawdziwem wyrzeczeniem się nawet swojej człowieczej godności, a nawet częstokroć z pozorną hańbą — więcej są warci i większe pokładają zasługi od rozgłośnej sławy i na rękach noszonego wodza albo dyplomaty.

Z polecenia więc jenerała opuścił obóz tenże Poniatowski i udał się do Warszawy najkrótszą drogą przez stanowisko korpusu Rüdigera, narażając się na największe niebezpieczeństwa, aby nie tylko przynieść wiadomości z War-

[1]) Właściwie z Polesia Wołyńskiego na pograniczu Litwy, ale że przybył z Wilna, przeto go za Litwina uważano. (Przypisek syna w 1901 r.).

szawy, lecz także przyjrzeć się zbliska najbliższemu nieprzyjacielowi i poznać jego siłę rozłożenia. Korzystał on zawsze w czasie pochodu i odpoczynku korpusu z wszelkiej sposobności zawiązywania znajomości z ludźmi różnych stanów i miejscowości, do których mógł dotrzeć, i umawiał się z nimi o sposoby tłumaczenia się w każdym w jego zawodzie wydarzyć się mogącym wypadku, a umiał się poznać na ludziach i użyć ich stosownie do swoich zamysłów i w wyborze był bardzo szczęśliwym.

Ta przezorność posłużyła mu bardzo w teraźniejszej wycieczce; opowiadał bowiem po swoim szęśliwym powrocie, że idąc przebrany za ubogiego chłopa z koszem napełnionym jajami, odnowił taką znajomość z włościanami wsi blisko Radomia położonej, którą to znajomość zrobił był udając się z jenerałem Różyckim z Warszawy w Sandomierskie, nim jeszcze Moskale przeszli Wisłę, a odebrawszy przyrzeczenie nie wypierania się go, poszedł wprost do głównego obozu Rüdigera rozłożonego nad Pilicą pozornie w celu sprzedania w obozie jaj a zarazem przejścia na drugą stronę rzeki. Obskoczyli go żołnierze, to kupowali, to wydzierali mu jaja, wiele potłukli, wreszcie zaprowadzili go do komendy, a tymczasem niejedna kozacka pletnia odbiła się od jego grzbietu. Tutaj prosił się, płakał, padał do nóg, a kiedy włościanin przyprowadzony ze wsi tuż pod obozem leżącej przyznał, że pochodzi z jego gminy, począł błagać, aby go przez most na Pilicy do jednej z sąsiednich wiosek przepuszczono, gdzie z pewnym chłopem miał się porozumieć w ważnym interesie familijnym. Ten gospodarz poświadczył również prawdziwość podanych przezeń szczegółów w tej sprawie, a Poniatowski po różnych przykrych przejściach i korowodach, po najskrupulatniejszem przetrząśnięciu i przejrzeniu jego ciała i ubrania i po zatrzymaniu go przez noc w obozie, został w końcu przepuszczony na drugi brzeg rzeki. Odetchnął nasz wysłannik, i za Pilicą, nie mając już podobnych spotkań z Moskalami, dotarł szczęśliwie do Warszawy. Dopiero w trzecim tygodniu po odejściu powrócił do nas Poniatowski i opowiadał o smutnem położeniu sprawy naszej i o okropnościach, jakich widownią była Warszawa w nocy z 15-go na 16-ty sierpnia. Bawił w Warszawie dni kilka, bo potrzebował tyle czasu, aby się o wszystkiem dowiedzieć. Podróż z powrotem była trudniejszą, bo roztropność nie pozwalała wracać przez te same moskiewskie obozy, musiał więc nałożyć drogi i kołować manowcami, ukrywając się czasem przez dzień i dłużej w jednem miejscu.

III. Wreszcie w tymże zbiorze Pamiętników z 1830 i 1831 r. we wspomnieniach Kazimierza hr. Krasickiego na str. 426 znajdujemy wzmiankę, dotyczącą pośrednio Adama Poniatowskiego, w której autor mówi:

Tymczasem tem łatwiej było zdobyć stolicę litewską, że załoga tamtejsza wówczas niewiele wynosiła więcej nad 5.000 ludzi, a mieszkańcy najlepszym byli ożywieni duchem; stosunki z nimi utrzymywali akademicy wileńscy, których wielu było w naszym obozie, a z których jeden, niejaki Szymański, wiele dawał dowodów niesłychanej wytrwałości, odwagi i poświęcenia bez granic. Podczas

swych wycieczek do Wilna najczęściej przebierał się za żydka, a w oddawaniu swej roli dochodził do takiego mistrzowstwa, iż najbliżsi koledzy go nie poznawali. On — to przywiózł jenerałowi dokładny plan miasta i okolic wraz z wyszczególnieniem stanowisk, zajmowanych przez wojska moskiewskie.

Tenże autor w odsyłaczu nadmienia:

Czy to nie identyczna osobistość z tym tak zwanym Poniatowskim, który później, dostawszy się z Dembińskim do Kongresówki, kręcił się między Samuelem Różyckim a Warszawą, o którym p. Bogdański wspominał w swym Pamiętniku. Mój Szymański, mógł mieć do dwudziestu lat, był miernego wzrostu, chudy brunet i twarzy smagławej.

(Obszerne szczegóły o wywiadowczych przedsięwzięciach Poniatowskiego czytamy także w Dzienniku Wileńskim nr. 277 za rok 1930 w artykule p. t. Rok 1831 na Litwie. (Przypisek Wydawców).

II

KIJÓW.
WYBÓR ZAWODU.
KRÓTKIE DZIEJE MŁODEGO UNIWERSYTETU.
PROGRAM NAUK I PROFESOROWIE.
MŁODZIEŻ I JEJ KIERUNEK DO 1854 R.
ŻYCIE MŁODZIEŻY W DWÓCH OKRESACH
(OD 1854 DO 1856 I OD 1856 DO 1859 ROKU).

Dalej bracia w jedno koło,
Dłoń na sercu, wgórę czoło,
Święćmy chwile, co tak mile
Zjednoczyły nas!
. . . . . .
. . . . . .
Grono nasze niech zespoli
Zacność czynów z siłą woli,
Z hasłem wiary i ofiary
Dalej bracia — w świat!...

(Urywek z nieogłoszonej drukiem „Pieśni pożegnalnej" napisanej przez współczesnego mi kolegę, Michała Bończę Tomaszewskiego). Kijów w 1859 r.

. . . . . .

Ojciec mój wybrał Kijów jako miejsce, gdzie miałem odbywać studja uniwersyteckie. Wyruszyliśmy więc do tego miasta odległego od nas o mil dwadzieścia własnemi końmi. Już w podróży poczęły mię trapić smutne myśli; jakkolwiek bowiem wejście do wszechnicy kijowskiej uśmiechało mi się bardzo, miałem wszakże pewne obawy co do wstępnego egzaminu z języka państwowego. Te powtarzające się egzamina, ten cały szereg kontrolerów, sprawdzających i podejrzywających wzajemnie swoje czynności, stanowią jeden z objawów bezsilnej walki z ogólną niemocą państwa rosyjskiego: „łapownictwem", które i Ministerjum Oświaty nie ominęło. Ile te próżne wysiłki marnują energji, pieniędzy i czasu, nie łatwo obliczyć. Rząd zamiast dążyć do rozwinięcia sumienia w wykonawcach tępi je często, tłumacząc się racją stanu, zaś powszechny brak tego sumienia stara się zastąpić kontrolą.

Wolnymi od egzaminów przy wstąpieniu do uniwersytetu są w drodze łaski tylko ci, którzy przy ukończeniu szkół otrzymali medale i rangi. To też ja, pomimo pierwszego atestatu,

podpisanego przez cały skład władzy szkolnej, musiałem się poddać badaniu egzaminatorów kijowskich, to jest ludzi, należących do tegoż ministerjum, a nawet do tegoż naukowego okręgu. Powiodło mi się wszystko pomyślnie z wyjątkiem dyktanda rosyjskiego, w którem znaleziono parę błędów w pisowni. Uwzględniając wszakże dobre stopnie moje, dozwolono powtórzyć nazajutrz ten jeden egzamin. Wróciwszy do domu i rozważywszy, że w ciągu kilku godzin nie zdobędę wiedzy filologicznej, jeśli mi jej braknie, uznałem za stosowniejsze wypocząć i wywczasować się po wrażeniach i wzruszeniach egzaminowych, aby lepiej skupić uwagę na jednym przedmiocie. I dobrze zrobiłem, nazajutrz bowiem udało mi się najzupełniej, gdyż tym razem nie popełniłem już ani jednego błędu. Zostałem tedy zaliczony na pierwszy kurs wydziału lekarskiego. Ojciec drogi, uszczęśliwiony mojem powodzeniem, po zwiedzeniu osobliwości Kijowa pożegnał mnie i po raz pierwszy pozostawił własnym siłom, przeznaczając mi na zaspokojenie koniecznych potrzeb w pierwszem półroczu rs. 200. Długo oglądałem się, wpatrując się w postać czczonego i kochanego przeze mnie bez granic rodzica, którego konie unosiły rączo ku domowi; i gdy mi znikł z oczu, uczułem wkoło siebie pustkę ogromną.

Tu uważam za właściwe wypowiedzieć słów kilka o wyborze u nas specjalności i wyspowiadać się z pobudek, które wpłynęły na zaliczenie mię w poczet studentów medycyny. Młodzież współczesna mi albo kończyła bardzo młodo gimnazjum albo nie kończyła szkół wcale, siedząc po lat kilka w jednej klasie. Ja ukończyłem szkoły wcześnie, bo w siedmnastym roku życia. Jest to wiek, w którym niepodobna sobie dokładnie zdać sprawę, jaki zawód będzie z istotnem powołaniem najzgodniejszy. Nadto w tym wieku, nacechowanym wielką wrażliwością, muszą wpływy zewnętrzne oddziaływać bardzo silnie i nieraz stanowczo decydować o kierunku zawodowym. Gdym rozpoczynał studja uniwersyteckie, fakultet lekarski był jedynym, na którym przyjmowano młodzież bez ograniczenia liczby, na innych zaś ilość słuchaczy była ściśle zredukowaną do ogólnej cyfry trzechset dla studentów kształcących się własnym kosztem. Nadto, kończąc gimnazjum nie mieliśmy najmniejszego wyobrażenia, jakie są obowiązki w każdym poszczególnym zawodzie.

Wybór więc specjalności zbliżał się bardzo swą wewnętrzną treścią do loterji i powstawał pod wpływem pojedynczych, nieraz bardzo jednostronnych wrażeń.

Co do mnie, jakkolwiek w szkołach najbardziej mię zajmowały wykłady fizyki, przez naszego ukochanego Szumskiego prowadzone, jakkolwiek do nauk przyrodniczych opisowych czułem wielki pociąg, chociaż w gimnazjach wykładanemi nie były, przekonawszy się wszakże, iż nauki te w owym czasie żadnego praktycznego zastosowania w kraju naszym mieć nie mogły, chwyciłem się medycyny jako nauki stosowanej, na podstawach nauk przyrodniczych opartej. Do tego wyboru niemało też przyczyniła się komedja Józefa Korzeniowskiego pod tytułem: „Doktor medycyny", w której autor podnosi do ideału zasługi młodego lekarza. Ostatecznie jednak zdecydowała mię gorąca chęć przyczynienia się do obalenia jednego z wielkich przesądów, jakiemi grzeszyła szlachta nasza na Rusi w stosunku do ludzi zawodowych, a najbardziej do lekarzy. Człowiek bowiem pracy, a więc i lekarz, utożsamiał się wówczas na Rusi z pojęciem o pochodzeniu nie polskiem i często bywał lekceważony. To też w całej naszej okolicy wśród Giacomelich (w Romanowie), Latourów i Hottów (w Lubarze), Szlemmerów (w Berdyczowie), Hartmannów (w Teofipolu), Kochlerów (w Cudnowie) itd. wyróżniał się zupełnie prawie samotnie Polak Orzechowicz (w Romanowie), dochodziły zaś zdala nazwiska Kaczkowskiego, Baranieckiego i Szopowicza.

Wypowiedziawszy tu z całą szczerością powody, które mię skłoniły do obrania zawodu lekarza, przechodzę zkolei do opisu wrażeń, jakie na mnie nowa moja siedziba wywarła. Miasto Kijów, ta niegdyś starożytna stolica Rusi południowej, następnie za czasów polskich województwa kijowskiego, w owych zaś latach jenerał gubernatorstwa kijowskiego, należy niezaprzeczenie do najpiękniejszych miast w państwie tak pod względem pozycji jako też rozległości i rozmaitości widoków. Rozrzucony szeroko na prawym górzystym brzegu Dniepru zstępuje zwolna ku rzece i zaściela gmachami swemi płaszczyznę naddnieprzańską zwaną Padołem. Każde prawie wzgórze pokryte domami nosiło inną nazwę i stanowiło pewną odrębną całość jak: Peczersk (cytadela i szpital wojskowy), Lipki (siedziba

arystokracji), Stary Kijów (dzielnica urzędników), wreszcie Nowe Strojenie, rozpostarte na największem płaskowzgórzu, a stanowiące dzielnicę uniwersytecką. Pomiędzy Peczerskiem i Lipkami z jednej strony a Starym Kijowem i Nowem Strojeniem z drugiej leży najpiękniejsza i najdłuższa z ulic Kijowa — Kreszczatik, do którego zbiegają się ulice innych części miasta; sam zaś Kreszczatik ma również swe ujście na Padole, a całe to miasto w latach, gdym je zamieszkiwał, przedstawiało się wspaniale, tonęło bowiem w zieleni ogrodów, skwerów i bulwarów. Dzielnica łacińska była najnowszą i najskromniejszą w tym starożytnym grodzie i w niej to wraz z kolegami gimnazjalnymi, Edwardem Naskręckim i Zenonem Maliszewskim, wynajęliśmy duży pokój przy ulicy Tarasowskiej.

Nim przystąpię do spisywania moich osobistych wspomnień z czasów uniwersyteckich, pozwolę sobie zająć uwagę czytelnika krótką historją młodziutkiej wszechnicy kijowskiej tak pod względem kierunku naukowego, jako też co do ducha panującego wśród kształcącej się w jej murach młodzieży, a to od założenia aż do chwili, gdym został zaliczony w poczet jej słuchaczy. Ponieważ uniwersytet kijowski stał się zastępcą uniwersytetu wileńskiego i liceum krzemienieckiego jako założony niezwłocznie prawie po zwinięciu tych obu wyższych zakładów naukowych, muszę tu o nich słówko nadmienić.

Po rozbiorach Polski cesarz Aleksander I w 1803 r. przeobraża akademię wileńską w uniwersytet, który pod kierunkiem rektora Strojnowskiego rozwija się pomyślnie, zaś po 1812 r. dosięga szczytu swego wzrostu naukowego i społecznego pod światłem przewodnictwem kuratora okręgu wileńskiego, ks. Adama Czartoryskiego. Władze rosyjskie, niezadowolone z rozwoju tego uniwersytetu w czysto polskim duchu, zaczynają kierunek ten tłumić za pośrednictwem wyznaczonego na miejsce ks. Adama nowego kuratora, wstrętnego senatora Nowosilcowa, z jego ohydnemi kreaturami, rozpustnikiem Bajkowem i renegatem rektorem Pelikanem na czele. Ujemne te usiłowania osiągają pożądany przez rząd skutek. Trójka siepaczy usuwa najzdolniejszych profesorów, wydala lub wysyła wgłąb Rosji najwybitniejszą młodzież; gdy zaś raz na tej drodze poziom umysłowy i moralny został obniżonym, upadać musiał z wzra-

stającą szybkością. Wreszcie wypadki 1831 roku uznaje władza za powód ostateczny zamknięcia tego ogniska wiedzy w sercu Litwy, pozostawiając do czasu tylko fakultet lekarski, który takiż los spotyka już w 1841 r. Dzieje tego tępienia zdrowych nasion w zakładach naukowych przez Nowosilcowa et Comp. opisał dość szczegółowo Joachim Lelewel, Mickiewicz zaś uwiecznił w III-ciej części „Dziadów". Młodziutkie, staraniem Tadeusza Czackiego stworzone liceum wołyńskie w Krzemieńcu, gdy swym kierunkiem czysto polskim również nie dogadzało rządowi, zostaje zniesionem w tymże prawie czasie.

Zorganizowane w najświetniejszym okresie rozwoju wszechnicy wileńskiej stowarzyszenia: Filaretów, Filomatów i Promienistych, w ciągu całego istnienia swego miały niezmiernie dodatni wpływ na uczącą się młodzież na Litwie i na Rusi, której pozostawiły kryształowej czystości hasła, uwiecznione w poezji naszej przez wieszcza Filaretów Adama Mickiewicza i przekazane niejako pokoleniom dalszym w utworach: „Oda do Młodości" i „Pieśń Filaretów".

Te hasła, ówczesnej młodzieży polskiej przez Filaretów rzucone, głoszono gorliwie na całym obszarze Litwy i Rusi. Gdy więc ich dążność przestała być tajemnicą i dla wrogów naszych, nie mamy powodu dziwić się, iż były one solą w oku dla despotycznego rządu i że ten pragnął je za jaką bądź cenę usunąć. A że potrzeby państwowe wymagały ludzi zawodowych, koniecznem więc okazało się stworzenie innego ogniska naukowego. Kijów z jego Ławrą Peczerską i nieskończoną ilością cerkwi zdał się punktem najodpowiedniejszym. Cesarz Mikołaj I myślał utworzyć tu kuźnię nienawiści do wszystkiego, co polskie i europejskie. Setki złoconych bizantyńskich kopuł zdały się być silną zaporą dla kierunków wrogich państwu. Praktyka wszakże zaprzeczyła stanowczo tym nadziejom caratu. W mury uniwersytetu kijowskiego zakradł się duch wszechnicy wileńskiej i krzemienieckiego liceum, tak, iż uniwersytet ten jako czynnik przeciwpaństwowy wyprzedził wszystkie inne w państwie rosyjskiem. Rząd pragnął tu zaszczepić bałwochwalczą cześć dla władz i formułek pochłaniających wszystkie dodatnie objawy życia ludzkiego, bezmyślne posłuszeństwo oraz naukę powierzchowną dla patentu i karjery tylko. Hasła Filaretów

wniosły do młodego przybytku wiedzy miłość kraju i rodaków, gotowość do czynów, do pracy — i do ofiar!

Dwa więc kierunki walczyły ze sobą: pierwszy rządowy garnął obojętnych, egoistów i karjerowiczów, drugi filarecki najzapaleńszą i najszlachetniejszą część młodzieży. Jakim zaś sposobem ideały wileńskie i krzemienieckie przeniosły się do Kijowa, łatwo zrozumieć, gdy się uprzytomni, że znaczna część archiwów, zbiorów, bibljoteki itd. słowem, cały prawie dorobek rzeczowy Wilna i Krzemieńca przeniósł się tutaj. Również należy uwzględnić tę okoliczność, że część profesorów dla braku kandydatów rosyjskich pożyczono stamtąd, powołując resztę do Charkowa i innych uniwersytetów w państwie, oraz wkońcu fakt, że cała prawie młodzież polska, którą zamknięcie wszechnicy wileńskiej i liceum krzemienieckiego zastało na kursach, przeniosła się do Kijowa. Z profesorów: Miechowicz, Ziemnowicz, Mickiewicz (brat Adama), Abłamowicz, Korzeniowski, Hreczyna, Fonberg i inni weszli w skład ciała naukowego kijowskiego. Mury więc nowe zaludniła w części treść stara; i treść ta do tych murów przylgnęła.

Przechodząc zkolei do strony faktycznej, zapisuję tu, iż uniwersytet kijowski powołany został do życia ukazem cesarza Mikołaja I z dnia 20 listopada 1833 r. i otrzymał miano cesarskiego kijowskiego uniwersytetu św. Włodzimierza. Mieściła się zrazu ta młoda instytucja w najętych domach od chwili otwarcia jej w roku 1834 aż do roku 1841, w którym to roku uzupełniono ją dodaniem fakultetu lekarskiego skutkiem ostatecznego zwinięcia tegoż fakultetu w Wilnie; poczem nastąpiła instalacja w nowo wzniesionym kosztem jednego miljona rs. gmachu. Przy otwarciu uniwersytetu były tylko dwa fakultety: prawny i filozoficzny; drugi z nich dzielił się na trzy podfakultety: a) historyczno-filologiczny, b) nauk matematycznych, c) przyrodniczych. W roku 1841 przybył trzeci fakultet, medyczny; zaś, gdym ja już wstępował na kursa, wydziały: lekarski, prawny i historyczno-filologiczny były całkiem odrębne, czwarty zaś fizyko-matematyczny był podzielony na ściśle matematyczny i przyrodniczy. Program wykładów był następujący:

I. Na wydziale lekarskim oprócz przedmiotów ściśle przyrodniczych: fizyki, chemji, mineralogji, botaniki i zoologji, wy-



Fig. 29. Kijów. Sobór św. Zofji i cerkiew św. Jerzego.

kładano w pierwszych dwóch latach: anatomję człowieka, anatomję porównawczą i fizjologję, wreszcie, historję, encyklopedję i metodologję medyczną, w ostatnich zaś trzech latach: farmację, farmakognozję, farmakologję, higjenę, medycynę sądową, anatomję patologiczną i patologję, terapję ogólną i szczegółową, akuszerję, choroby kobiece i dziecinne, chirurgję teoretyczną, anatomję topograficzną i chirurgję operacyjną. Nadto od pierwszego do ostatniego kursu odbywały się ciągłe wykłady w teatrze anatomicznym na trupach z anatomji opisowej patologicznej, chirurgicznej i medycyny sądowej, jako też ćwiczenia anatomiczne i chirurgiczne pod kierunkiem i dozorem prosektora teatru anatomicznego. W klinikach: terapeutycznej, chirurgicznej i akuszeryjnej w gmachu uniwersyteckim na kursach trzecim, czwartym, oraz w szpitalu wojskowym peczerskim na kursie piątym stawialiśmy ostrożnie i bojaźliwie pod kierunkiem dyrektorów klinik pierwsze kroki nasze w zawodzie medycyny klinicznej.

II. Wydział prawny posiadał katedry: encyklopedji i historji prawa, prawa międzynarodowego, prawa rzymskiego i jego historji, prawodawstwa rosyjskiego (z wykładem praw zasadniczych, urządzeń krajowych dotyczących podatków i finansów, prawa cywilnego, granicznego i porządkowego), katedry prawa kryminalnego i policyjnego, procedury sądowej, ekonomji politycznej, statystyki, historji i teorji finansów, wreszcie historji i literatury rosyjskiej.

III. Na wydziale historyczno-filologicznym, który przez skrócenie nazywaliśmy literackim, wykładano: języki, literatury i starożytności greckie i łacińskie, język, literaturę i starożytności staro-słowiańskie, historję literatury rosyjską z uwzględnieniem innych literatur narodowości słowiańskich, naukę języka rosyjskiego pod względem historycznym i filologicznym, języki nowożytne i ich literatury, pedagogikę, dydaktykę i historję wychowania, ekonomję polityczną i statystykę. Katedra filozofji istniała na tym wydziale tylko do 1848 r., od tego zaś czasu pozostawiono jedynie logikę i psychologję z warunkiem, aby te przedmioty były wykładane przez profesora teologji duchownego wyznania państwowego, z obowiązkiem składania każdej lekcji do cenzury przed jej odczytaniem.

IV. Na podfakultecie ściśle matematycznym nauczano: matematyki czystej i stosowanej, fizyki, chemji, meteorologji, geografji fizycznej, astronomji, technologji, architektury i mechaniki.

V. Wkońcu na podwydziale przyrodniczym były wykłady: fizyki, chemji, mineralogji, geologji, geognozji, botaniki, zoologji, anatomji porównawczej i gospodarstwa wiejskiego z leśnictwem.

Teologję i historję kościelną dla wszystkich wydziałów obowiązujące wykładali kapłani wyznań: rzymsko-katolickiego w języku polskim i prawosławnego w rosyjskim. Nauczanie języków i literatur nowożytnych: angielskiej, francuskiej, włoskiej i niemieckiej powierzono czterem lektorom. Wykłady te były dostępne dla wszystkich wydziałów, obowiązujące zaś dla filologów. Nadto przy uniwersytecie prowadzono kursa dla farmaceutów i akuszerek.

Najwyższą władzą naszą po ministrze oświaty był kurator. Urząd ten, narazie samodzielny, w roku 1848 ukazem cesarza Mikołaja I złączono ze stanowiskiem jenerał gubernatora kijowskiego. Bezpośrednim zaś naszym zwierzchnikiem był rektor, który wraz z czterema dziekanami stanowił radę uniwersytecką, każden zaś z dziekanów z profesorami swego wydziału stanowił radę fakultetu. Wszystkie sprawy wewnętrzne podlegały decyzjom tychże rad. Na czele policji uniwersyteckiej stał inspektor, który wraz z subinspektorem i pedelami winien był czuwać nad moralnością kształcącej się młodzieży. Na stanowiskach ministrów oświaty od chwili otwarcia kijowskiego uniwersytetu znajdowali się: Uwarow, Szyryński-Szachmatow i Norow. W tymże czasie godność kuratorów piastowali: von Bratcke, Dawydow i Traskin do roku 1848. Wszyscy trzej nie narzucali zbyt natarczywie swych wpływów bezpośredniej władzy uniwersyteckiej, darząc ją wewnętrznym samorządem.

Wręcz przeciwnie poczynał sobie jenerał gubernator Bibikow, gdy go w roku 1848 mianowano kuratorem. Stał się bowiem samowładnym panem, narzucającym wszystkim swe żołdackie poglądy. Krańcowym wyrazem tego wtrącania się w sprawy, o których nie miał pojęcia, był rozkaz zasadzenia w ogrodzie botanicznym roślin nie wedle klasyfikacji, ale według wzrostu. I do młodzieży lubił przemawiać, zachęcając ją

nieraz do hulanek, kart, a nawet rozpusty, starając się przytem osławionemi a pełnemi bezwstydu urzędowemi rozporządzeniami uczynić ją dla studentów przystępną. Natomiast odradzał publicznie zbytecznego oddawania się naukom, a szczególnie czytania niecenzuralnych pism i książek; wkońcu nakazywał jak najściślejsze stosowanie się do przepisów policyjnych. Do najpierwszych i najważniejszych obowiązków studenta za jego czasów należało noszenie munduru z drobiazgowem zachowaniem formy, zapinanie go na wszystkie guziki, staranne ukrywanie kołnierza od koszuli, częste golenie zarostu i strzyżenie włosów przy samej skórze. Kto potrafił te przepisy bez zarzutu wykonywać, temu wolno było naruszać przepisy moralności, pilności w naukach itd.

Tym kierunkiem przejęte były i niższe władze, a więc i inspektor, pułkownik Syczygow (którego już nie zastałem) pozbawiony nosa, nie na wojnie. Umiał on każdą najbrudniejszą awanturę obronić od kary, skoro tylko student sam się oskarżył i uprzedził stronę przeciwną, niezależnie od tego, czy był szkodnikiem, czy też poszkodowanym. Lecz biada, jeśli przestępstwo dotyczyło formy w ubiorze lub jeśli sięgało w sfery najlżejszej wolnomyślności. Cała policja uniwersytecka przesiąknięta była takiemiż zasadami. To też pozostał cały szereg anegdot z tych czasów, malujących bezkarność w swawolach młodzieży. Kto zaś zajrzy do ówczesnych archiwów, znajdzie całe spisy wydalonych lub skazanych na wysługę w charakterze felczerów i nauczycieli parafjalnych za najprostsze naruszenie przepisów, tyczących się formy.

Ja zastałem już tylko tradycje o barbarzyńskich rządach Bibikowa, którego miejsce na obu tych stanowiskach zajął znany z dobroduszności, jeszcze jako gubernator wołyński, książę Hilary Wasilczykow. Przy nim urząd kuratora został znowu wyodrębnionym w osobie Rebindera, przybyłego do Kijowa z Kiachty, gdzie piastował godność naczelnika tego miasta (gradonaczalnik) i gdzie ożenił się z księżniczką Trubecką, córką wygnańca dekabrysty. Rebindera zastąpił, gdym kończył studja, znakomity uczony, mąż stanu i pedagog, Mikołaj Pirogow.

Bezpośrednie władze uniwersyteckie z rektorem na czele nawet za samowładnych rządów Bibikowskich usilnie pracowały nad tem, by za przykładem europejskich wszechnic załatwiać

wszelkie sprawy wewnętrzne na drodze właściwej w sposób przyzwoity. Przy mnie rektorem był głośny dorpacki bursz i znakomity botanik Trautfetter. Znał on dokładnie stosunki miejscowe i wywiązywał się umiejętnie ze swoich trudnych nieraz obowiązków. Inspektorami byli: Thalberg, Niemiec, były urzędnik komory celnej, po nim zaś pułkownik Paweł Wierbicki.

Co do wykładów, tych większość nie była zadowalniająca; zaledwie bowiem mała liczba profesorów cieszyła się zasłużonem uznaniem swoich słuchaczy. O tych, które miały miejsce na wydziale lekarskim i podwydziale przyrodniczym, mówić będę, kreśląc moje osobiste wspomnienia uniwersyteckie. Tu więc nadmienię tylko o wyróżniających się wśród profesorów innych wydziałów postaciach i dłuższe wzmianki poświęcę pod jakimkolwiek bądź względem wyjątkowo wybitnym osobistościom. Na wydziale matematycznym zasługiwali na uznanie: Szydłowski (astronom), Tichomandrycki i Diaczenko matematycy. Na prawnym zaś wydziale odznaczali się gruntowną znajomością przedmiotu i starannym wykładem prof. Mitiukow (prawa rzymskiego), Bogorodzki (prawa kryminalnego), Bunge (ekonomji politycznej i finansów). W gronie profesorów wydziału historyczno-filogicznego wyróżniali się wielką sumiennością wykładów profesorowie języka greckiego i łacińskiego, Neukirch i Delin, wymową zaś prof. historji powszechnej, Szulgin, słynny po r. 1863 polakożerca. Na tymże wydziale zwracał na siebie powszechną uwagę prof. literatury rosyjskiej i innych literatur słowiańskich, Selin. Był to Tatar z pochodzenia, aktor z usposobienia. Czas jakiś wymownie wygłaszał pochwały dla wielkich poetów polskich doby ostatniej. Po pierwszych wszakże demonstracjach jako karjerowicz i szarlatan stał się dla nas najbardziej wrogo usposobionym.

O całe światy wyżej wśród swych kolegów pedagogów stanął w opinji swych słuchaczy prof. historji rosyjskiej Pawłow. Uważam więc sobie za obowiązek poświęcić tu słów kilka temu wyjątkowej miary człowiekowi, a tem słuszniej od nas mu to się należy, jako zupełnie przez swych ziomków zapomnianemu. Platon, syn Bazylego, Pawłow, doktor nauk filologicznych, piastował katedrę historji Rosji na uniwersytecie kijowskim od 1850 r. do 1859 r. włącznie. Był to naówczas mężczyzna w la-

tach od trzydziestu do czterdziestu, średniego wzrostu, szczupły, ciemny brunet z dość długiemi, nieco kędzierzawemi włosami, z twarzą ogoloną. Oczy czarne, wyraziste a przenikliwe, gdy się w czasie wykładu ożywiały, podwajały swój blask. Wymownym nie był wcale, wykładał cicho z pewnym wysiłkiem, czasami jąkał się nawet, a zawsze pocił się obficie niejako z wytężenia wszystkich władz umysłowych przy tej pracy, która głębokością wielkich myśli i prawd wygłaszanych przykuwała niepodzielnie uwagę słuchaczy. Z pięciu godzin, któremi w ciągu tygodnia rozporządzał, dwie poświęcał historjozofji i historjografji, dwie socjologji i jedną historji sztuki rosyjskiej. Gdy zaś skasowano instytut pedagogiczny w Petersburgu, rozpoczął Pawłow bezpłatny prywatny kurs pedagogiki we własnem mieszkaniu, stosując się do życzenia i żądania rady uniwersyteckiej. Wykłady te cieszyły się wielkiem uznaniem u czterech tylko słuchaczy, z których było dwóch Serbów, jeden Rosjanin i jeden Polak, Władysław Kamieński.

Przy opowiadaniu dziejów narodu swojego nie skrywał ani jednego faktu z tych, które z podręczników i dzieł historycznych tak starannie wykreślała oficjalna cenzura. Wskazywane fakta przedstawiał zawsze w oświetleniu prawdziwem, nie naginając ich nigdy do jakichbądź celów lub względów. Nawet w czasie obecności zwiedzających uniwersytet dygnitarzy nie zmieniał raz przyjętej zasady. I tak naprzykład podczas bytności na jego lekcji ministra oświaty Norowa wypowiedział spokojnie swe zdanie o słowianofilstwie, jako o dążności całkiem przeciwnej elementarnym wszecheuropejskim pojęciom o historjozofji. Gdy zaś zaniepokojony minister zrobił mu konfidencjonalnie uwagę, iż tak jawne wypowiadanie wobec uczącej się młodzieży swego osobistego zdania przeciwko kierunkom, cieszącym się najwyższem uznaniem, jest, co najmniej, niewłaściwem, odpowiedział stanowczo, że nigdy nie sprofanuje fałszem swego profesorskiego stanowiska i w wykładach swoich trzymać się zawsze będzie bezwzględnej prawdy.

W roku 1857 wyjeżdżał na dłuższy urlop zagranicę, bawił czas jakiś w Londynie, zbliżył się z Hercenem i Ogarewem, czerpał obficie w skarbnicy wiedzy i jej dorobkach z ostatniej chwili, zaczytywał się w Böcklu itd. Lekcje jego, wygłaszane

po powrocie do Kijowa, stały się czas jakiś przedmiotem prawdziwych demonstracyj. Nie było audytorjów, któreby zdołały pomieścić wygodnie wszystkich, żądnych jego słowa. Po kilku wszakże wykładach zawsze głębokich acz nie wymownych, w pocie czoła jak zwykle wypowiadanych w największej sali, gdzie cichy głos mówiącego nie mógł być dostatecznie słyszanym, tłumy pierzchły, a zostało nieliczne grono, otaczające katedrę ukochanego profesora, w zastosowanem do skali jego głosu audytorjum. W tych tylko warunkach nie wielu stałych słuchaczy odnosić mogło olbrzymie korzyści naukowe i w tem to ścisłem kole rozpoczął Pawłow w roku 1858 wykład historji historji, to jest przeglądu metod wykładania tej nauki, zapowiadając jednocześnie, iż musi następne swe wykłady poświęcić opracowaniu tła, na którem się rozwijały powszechne dzieje ludzkości, by wskazać właściwe wśród nich miejsce dziejom Rosji, przyczem nadmienił, iż ze względu na brak czasu zajmie się tylko temi zjawiskami i faktami z historji swego narodu, w których tkwi jakaś donioślejsza, ogólno-ludzka myśl, ale że takich momentów w dziejach Rosji jest bardzo mało, nie wiele mu więc one czasu zabiorą.

Takie i tym podobne zdania wypowiadał z katedry ten jedyny z ówczesnych profesorów, dzieląc się dorobkiem wielkich myślicieli nie wyłączając najwspółcześniejszych i rzucając w każdym wyrazie zasłuchanej w jego odczytach młodzieży nasiona prawdy i gruntownej wiedzy tudzież wiarę w wielką przyszłość nauki bezstronnej i niezależnej. Jedną z najbardziej pamiętnych dla słuchaczy była jego ostatnia przed opuszczeniem katedry prelekcja o znaczeniu uniwersytetów w historji cywilizacji. Prelekcja ta była wezwaniem wielkiemi myślami natchnionego publicysty do swych ukochanych słuchaczy, by nieśli wytrwale przez całe swe życie pochodnie światła i prawdy i starali się na każdym kroku jednać jak najliczniejszy zastęp wyznawców dla tej wielkiej idei.

Dla nas Polaków był Pawłow niejako nadprzyrodzonem zjawiskiem wśród Rosjan, nie tylko jako objektywny, sumienny a prawdomówny historyk, ale jako szczery nasz przyjaciel, pełen współczucia dla wielkich dziejowych nieszczęść polskiego narodu. Głośno i bez ogródek wypowiadał on i w tej kwestji

swoje przekonania, twierdząc, iż jakkolwiek Rosjanie mają rząd despotyczny, niemniej za czyny jego wszyscy są odpowiedzialni, bo taki rząd sami sobie wiekowem usiłowaniem wytworzyli. Wszystkie więc krzywdy, wyrządzone Polakom, tem więcej ciężyć muszą na sumieniu każdego prawego Rosjanina, że caryca moskiewska powołała do rozbioru Polski, jako wspólników, dwa mocarstwa niemieckie, od wieków wrogie Słowiańszczyźnie. Gdy zaś każda zbrodnia historyczna, bodaj w najodleglejszej przyszłości musi podlegać prawu zadośćuczynienia, przeto każdy szanujący siebie Rosjanin, a tem bardziej Rosjanie, w granicach dawnej Polski zamieszkali, winni się starać wynagrodzić Polakom choć w części krzywdy im wyrządzone. Na tej zasadzie wzywał swoich słuchaczy rosyjskich, by całe swe usiłowania wytężyli do ustalenia Polsce udzielności pod berłem moskiewskiem. Nim zaś to da się uskutecznić, zachęcał ich do najwyższej delikatności, jaką winni współplemienni zwycięzcy zwyciężonym; wkońcu dodawał, że niechęć a nawet nienawiść Polaków do Rosjan jest całkiem usprawiedliwioną i zasługuje na bezwzględną wyrozumiałość. Co do siebie zaś, twierdził, iż chętnie by zniósł największą obelgę od Polaka, jako Rosjanin, aby choć w cząstce za siebie, jako za członka swego narodu, odpokutować za te niepowetowane a ciężkie losy, jakie Rosja zgotowała Polsce.

Od chwili gdy minister Norow poznał charakter wykładów Pawłowa i jego sposób myślenia, profesor ten był źle notowany w ministerjum. W końcu zaś 1859 roku przeniesiono go do szkoły prawa (Uczyliszcze Prawowiedienija) w Petersburgu. Był to zakład o bardzo płytkich i skróconych do minimum wykładach, przepełniony zamożniejszą młodzieżą, pragnącą głównie karjery. Po przeniesieniu się do stolicy został Pawłow członkiem stowarzyszenia literatów petersburskich, którzy go powołali do wygłoszenia mowy na uroczystym obchodzie 1000-letniego jubileuszu istnienia Rosji. Cenzura wykreśliła połowę mowy, zaś Pawłow wypowiedział ją bez opuszczenia jednego bodaj wyrazu. Tytułem kary wysłano go za ten czyn w drodze administracyjnej do gub. wołogodzkiej na nauczyciela szkółki parafjalnej, gdzie go pozostawiono aż do zupełnego złamania tej duszy hartownej i zniszczenia wątłego jego zdrowia, poczem

ofiarowano mu na resztki gasnącego życia katedrę historji sztuki, znowu w Kijowie, już po 1870 r., gdzie też zmarł niebawem. Dziwnym jest fakt, że Pawłow, jak i jego poprzednik na tejże katetrze, Kostomarow, połowę życia spędzili na wygnaniu.

Ilość słuchaczy w uniwersytecie kijowskim była w pierwszych latach bardzo ograniczona i nie przenosiła sześćdziesięciu pięciu studentów na wszystkich fakultetach. Corocznie wszakże wzrastała i już w roku 1838 dosięgła poważnej cyfry kilkuset. W tymże roku skutkiem wykrycia przez władze sprzysiężenia między młodzieżą, mającego związek ze sprawą Konarskiego, wielu studentów obwinionych o spiskowanie zesłano w sołdaty na Kaukaz, zaś uniwersytet zamknięto chwilowo. Gdy go więc znowu 1840 r. otwarto, ma się rozumieć, że liczba słuchaczy była narazie mniejszą, ale następnych lat rosła tak szybko, iż gdym ja w roku 1854 wstępował do uniwersytetu, słuchało wykładów z górą tysiąc osób. Władze rosyjskie, widząc z niezadowoleniem ciągły wzrost ilości studentów i niemożność zagłuszenia przewagi kierunku patrjotycznego polskiego wśród młodzieży, starały się temu przeciwstawić cały szereg środków administracyjnych. Wtedy to ograniczono ilość słuchaczy na wydziałach: historyko-filologicznym, prawnym i na podwydziale matematycznym i przyrodniczym łącznie do trzystu dla studentów, na koszcie własnym pozostających. Cała więc pozostająca masa za czasów mego wstąpienia dochodząca sześciuset osób musiała, chcąc nie chcąc, słuchać medycyny. Nadto kosztowne umundurowanie i dość wysoka, jak na owe czasy, opłata za nauczanie, bo czterdzieści rs. wynosząca rocznie, stanowiły dla uboższych wcale silne hamulce.

Stosunek większości profesorów do słuchaczy był sztywny i urzędowy; wyjątków było niewiele; tylko profesorowie: teologji Dobszewicz i chemji Fonberg zachowywali się względem nas po ojcowsku; zaś prof. Pawłow i prosektor teatru anatomicznego Izydor Kopernicki po bratersku i koleżeńsku.

Co do kierunku ożywiającego młodzież polską, był on gorąco patrjotyczny w pierwszych latach istnienia kijowskiego uniwersytetu to jest od otwarcia go w roku 1834 do chwilowego zamknięcia w 1839. Większość młodzieży porwana przykładem Adama Mickiewicza obok zajęć obowiązkowych odda-



Fig. 30. Kijów. Sobór św. Andrzeja.

wała się z zapałem poezji jak niemniej filozofji; wielu też z nich wzięło czynny udział w *Stowarzyszeniu Ludu Polskiego* i ci zostali za karę wysłani do wojska na Kaukaz w charakterze prostych żołnierzy, skąd wielu nigdy już nie wróciło. Z tej listy zostały mi w pamięci nazwiska: Stanisława Winnickiego, Ksawerego Pietraszkiewicza, Władysława Strzelbickiego, Gordona, a było wielu także innych. W tychże latach byli na kursach: Antoni Stanisławski, pierwszy uczeń młodej wszechnicy, znany tłumacz „Boskiej Komedji" Dantego, i głośny później ze swych teoryj antropologicznych, Franciszek Duchiński. Po ponownem otwarciu uniwersytetu kijowskiego w 1841 r. lepsze tradycje wśród wystraszonej reakcją młodzieży nieco osłabły, ustępując miejsca hulankom, burdom, zatargom z policją i t. d. Na dnie wszakże tego zataczającego się po ulicach pijanego szału tlały zarody wszechludzkich i narodowych dążności, które oczekiwały tylko przebudzenia. W jakim zaś stopniu i formie uczucia te się budziły, ożywiały i wzmagały, sądzić o tem możemy, odczytując piosnki i wierszyki okolicznościowe tej epoki, śpiewane lub czytane na zebraniach studenckich. Objawy te uczuć narodowych młodzieży przejawiać się poczęły, gdy w roku 1848 kuratorem okręgu naukowego a zatem i uniwersytetu, został jenerał-gubernator kijowski Bibikow, znany nam już despota, wróg postępu i polskości.

Lutnistą i kronikarzem w pieśni tych smutnych czasów był Juljan Belina-Kędrzycki, podolanin, którego znacznie później, bo w latach 1859—60, gdym skończył kursa, „poznałem już jako kandydata na posadę nauczyciela języka polskiego w gimnazjum niemirowskiem. Pieśń jego „Hej koledzy! precz frasunek", napisana w 1848 r., została wcielona do stałego repertuaru chóralnych pieśni studenckich i zajęła w nim miejsce poczesne. Zazwyczaj po odśpiewaniu tradycyjnej burszowskiej pieśni „Gaudeamus igitur" i wileńskich filaretów występowała ona na zebraniach koleżańskich jako trzecia zkolei. Dla ocalenia utworu tego od zatracenia przytaczam go niżej wraz z kilku innemi tegoż autora, uzupełniającemi piosenkę a napisanemi w tymże 1848 r. za czasów Bibikowa i w 1852 r. w chwili, gdy tego ostatniego zastąpił książe Wasilczykow. Pieśni te i wiersze malują wybornie dążności ówczesnej młodzieży; ostatni zaś anakreontyk uwydatnia różnicę

w zapatrywaniach na ówczesne sprawy studentów i szlachty na Rusi. Oto mały zbiorek, udzielony mi przez autora:

OSTATNI WTOREK

ANAKREONTYK 1-SZY

JULJANA K. B. PODOLANINA.

Hej koledzy! precz frasunek!
Niech nas rzeźwi dobry trunek,
Niech przy szklance
Na hulance
Słodko spłynie noc.
Jeszcze nie czas na rozpacze,
Niepotrzebne jeszcze płacze.
Nasze pęta
Niepojęta
Starga Boża moc!

Chociaż przemoc się zawzięła,
Jeszcze Polska nie zginęła!
Bo gdzie jeszcze
Żyją wieszcze,
Żyje naród tam!
A nasz Adam żyje miły,
Nasz Irydjon pełen siły,
I Bohdanek,
Nasz kochanek,
Jeszcze śpiewa nam!

Ten śpiew wieszczy niech rozdmucha
W piersiach naszych iskrę ducha,
A wspaniale
W dawnej chwale
Wstanie polski kraj!
Gdy zaświeci nam swoboda,
Hasłem naszem będzie zgoda
Bo nad nami,
Polakami,
Będzie Trzeci Maj!

O nie traćmy tej nadziei
W smutnej losów złych kolei,
Lecz śpiewajmy
I hulajmy,
Póki mamy czas!
Bo o jutrze któż się dowie,
Kto za jutro nam odpowie?
Losu zmiana
Niespodziana
Może dotknie nas.

Z Moskalami jutro może
Bić się przyjdzie, daj to Boże!
Czy zbijemy,
Czy zginiemy,
Zawsze chwała nam!
Może jutro, co do słowa,
Do satrapy Bibikowa
Pieśń ta dojdzie,
Śpiewak pójdzie
Do więziennych jam.

Wtedy będzie czas na troski,
Dzisiaj pijmy nektar boski!
Że rozkoszy
Nic nie płoszy,
Błogosławmy los!
Żwawo szklanki napełniajmy,
„Gaudeamus“ zaśpiewajmy!
W nocnej ciszy
Niech usłyszy
Niebo pieśni głos!

ANAKREONTYK 2-GI

(1848 R.).

Hulaj młodzi! hulaj młodzi!
Wszak hulanka nic nie szkodzi;
I starego Bibikowa
To nie gniewa, owszem cieszy,
Kiedy polska dziatwa śpieszy
Nasycić się młodym wiekiem;

Bo gdy przyjdzie wiek dojrzały,
Gdy się sprzykrzą pjane szały,
Gdy zniknie urok swawoli,
Młodzian myśli carskiej k'woli
Porządnym będzie człowiekiem.
Wiernopoddaństwem tronowi
Gorliwą służbą carowi,
Chlubne pozyszcze wawrzyny,
Pierścienie, chresty i czyny!
Więc póki czas, pohulajmy
Dawnych burszów minjatury!
Myśli, pracy unikajmy!
Kat nam po nich! Jeśli który
Między nami karmi jeszcze
Myśli święte, myśli wieszcze,
Coś o Polsce, coś o wojnie,
O powstaniu narodowem,
Płonną się nadzieją łudzi;
Matka nasza śpi spokojnie,
A pan Bejła mądrem słowem
Dowiódł, że się już nie zbudzi.
Requiescat Jej śpiewajmy,
A na stypie pohulajmy!
Może kto z was, bracia moi,
Przy rozumie jeszcze stoi?
Mądre plany życia kreśli,
Wieczny rozwój twórczej myśli
W dziejach świata upatruje?
Na lodzie zamki buduje,
Ba nawet grzeszy tem zgoła
Przeciw powadze Kościoła,
Bo filozofja bluźnierstwo,
Marzenie zbłąkanych owiec,
Ba, nawet straszne kacerstwo,
Świadczy Żegota Kostrowiec,
A za świętość jego słowa
Ręczy wstęga orderowa.
Precz więc praca, kiedy szkodzi!
Pij i hulaj, polska młodzi,
Utop świętą myśl w szklenicy!
Jeśli ogień wre ci w łonie,
Ogień święty niech pochłonie
Płatny uścisk miłośnicy.
Do kielicha więc, młodzieńcy!
Krzyczmy: Wiwat murża stary!
Wiwat carscy sprzymierzeńcy,
Piękne Fryny i puhary!

ANAKREONTYK 3-CI — WIDZIADŁA.

SOBIE NA WIĄZANIE, GOŚCIOM NA POŻEGNANIE. — 11 WRZEŚNIA 1852 R.

Wina! wina bez miary!
Wina! bo umrę z chłodu.
Pić mi trzeba, bom stary,
Zwiędły, skrzepły za młodu...
Lat mam, prawda, niewiele,
Lecz młodości nie znałem,
Nie płakałem w kościele
I nigdy nie kochałem...
Ach! mnie zaraz od dziecka
Skwasił zimny ten świat.
Mądrość martwa, zdradziecka,
Mrozem zwarzyła kwiat
Bujny krzepkiej młodości.
Bez nadziei, bez wiary,
Bez gorącej miłości,
I młodym ja i stary.
W żyłach płynie wrzącej
Lubieżnej struga krwi,
A w kałuży gnijącej,
W sercu, zwątpienie tkwi...
Hej młodzieńcy! junacy!
Dziwota wam ta pieśń?
At bracia! i wy tacy,
I was też gryzie pleśń.
Taki widać duch czasu...
Pijmy! Na troski żal
Czasu i atłasu!
Dolej, tokaju, pal,
Na żużle pal nam serca...
Nudy, troski i żale
Niech zaleją twe fale,
Niech zniknie świat, morderca
Naszych złudzeń wiośnianych,
Z przed oczu naszych pjanych!

I niech puharów brzęk,
I pieśni głos hulackiej,
Zagłuszą smutny jęk
Tej naszej ziemi lackiej...
Nie jęcz, matko — nie słyszę!
Zatopiony w puharze,
Rozkoszą pjaną dyszę,
O „pannie duszce“ marzę
I o tureckim raju...
Ha! jak zimno!... do djabła!
Czy starego tokaju
Moc gorąca osłabła?
Ach! patrzcie... straszna puszcza!
Gdzie taki ciężki trud
Jakichś biedaków tłuszcza,
Dźwiga, dźwiga, bez końca,
Bez powietrza, bez słońca...
Ach! stamtąd taki chłód...
Wina! hej, bo skostnieję
Mróz przejmuje do kości...
Ach! takiem zimnem wieje
Ta mogiła wolności!...
Ha! przecież lżej na duszy,
Ogrzałem się tokajem!
Niechaj czart zawieruszy
Tym opętanem krajem...
Co zaś znowu? gorąco!
I w uszach grzmi jak w piekle,
W oczach miota się wściekle
Lawy kaskadą grzmiącą.
Jakiś tłum... ot! krew płynie,
Padł mój szkolny kolega,
Ot, brat mój pada, ginie...
Jakiś Pera nadbiega,
Krzyczy: „Ura! Pobieda“!

. . . . . .

Ha! to bitwa kaukaska!
Ależ tęgo się zwija
Ten czart, druciana maska,
Pali, rąbie, zabija...
Ależ huk, ależ skwary!...
A tam... wzgórze zielone,
Na nich sakle schronione.
Pod namiotem czynary
Czarnooka huryska
Nęci mnie, wabi k'sobie,
Lecę... ona mnie ściska,
Na szyję ręce obie
Zarzuca mi, ustami
Lgnie do ust...
Ha! jam z wami?...
Dobranoc!... O! jak słodko
Z tą gruzinką... pieszczotką!
...Dobranoc!...

ANAKREONTYK 4-TY — TOASTY.

(Sala resursy w ***. Pan Dezydery. Kurator. P. Eugenjusz obywatel przybyły ze wsi. Pan Jota, Beta, Kapa, młody kandydat filozofji. Chór obywatelski).

Pan Dezydery:

Ot, panowie, rzecz to nowa,
Co radością mnie przenika,
Czytałem dziś u sprawnika:
Niema Bibikowa!
Stary tyran, co nas chłostał,
Zginął dla nas, że tak rzekę,
Choć ministerjalną tekę
Spraw wewnętrznych, słyszę, dostał.
Ale co tam? Wszakże wiemy —
Bóg wysoko!... Owóż tedy
Wolniej wreszcie odetchniemy.
Koniec chłosty, koniec biedy!
A prokuror mówił wczora
W licznem gronie czynowników,
Że na jenerał gubernatora
Zacny książe Wasilczykow
Z Żytomierza naznaczony.
Mąż, cnotami to wsławiony!
Ręczę panów dobrodziejów,
Że dla szlachty lepsze czasy
Dziś nastały. Wnet hałasy
Usłyszymy tych złodziejów,
Zgrai strapczych i sprawników,

Kiepsko będzie. Owoż proszę,
Spełnić toast, który wznoszę:
Wiwat książę Wasilczykow!

Chór Obywatelski:

Wiwat!...

P. Jota, Beta, Kapa:

Proszę o głos... Nim to zdrowie
Wypijemy, posłuchajcie
Parę słówek. Nie ufajcie
Marom złudnym. Bibikowie
Lepsi, wierzcie, mojem zdaniem,
Ze swem jawnem łotrowaniem,
Niźli gładcy i cnotliwi,
Połyskowi a zdradliwi,
Bizantyńscy ci Moskale.
Znam ja, znam ich doskonale.
Mnie, panowie dobrodzieje,
Dary Greków bardziej straszą
Niźli miecze. Znacie dzieje,
Kiedy już flamandzkim baszą
Alba przestał być okrutny,
Filip Drugi, ów car smutny,
Eskurjalu upiór krwawy,
Co się nad Flamandy znęca,
Raptem staje się łaskawy,
Don Zunig i Requesenza...
Człowiek gładki i łagodny,
Lecz djabelnie chytry łeb,
Właśnie zda mu się dogodny
Na zastępcę Alby. Ale,
Pamiętacie doskonale
Mądrzy kmetie „łapserdaki“ [1]),
Widząc, że im świecą baki,
Nie dali się wziąć na lep...
Wiecie, co się dalej stało...
Otóż, mnieby się zdawało,
Taka nawet moja rada,
Raczej krzyknąć nam wypada:
Wiwat! ale nie ów książe,
Co podejściem wszystkich zwiąże,
Wiwat! stary nasz Bibikow,
Szczery Moskal, ten bez maski.
Wiwat! Wiwat nasz Bibikow!

Chór Obywatelski:

Ohoooo!

Pan Eugenjusz:

Ciszej z łaski!
Ależ drogi panie Joto!
Strasznie nam uczenie bredzisz,
Djabli wiedzą nawet co to?
Bo też tylko w książkach siedzisz
I zwarjujesz, jak Bóg w niebie;
Czort wie, czego wy nie wiecie,
A obywatelskie życie
To żelazny wilk dla ciebie.
Przecież ów szlachetny książę,
Co nas jak powiadasz zwiąże,
Obywatel sam, dla Boga!
Nasze prawa, nasza wziętość
I fortuny naszej świętość,
Jak swej własnej, jemu droga...
Panie Joto! Bój się Boga!
Nie słuchajcie go, panowie!
Młody chłopiec — świta w głowie...
Jest to dla mnie prawda naga:
Księcia lżyć — to nam zniewaga,
Wstyd wam młodzi, żeście ślepi!
Ja wam mówię — będzie lepiej!
Po co grozić praw utratą?
Co to panie! dajmy na to,
Na kontrakty do Kijowa
Jedziem sobie taborami
I z żonami i z córkami...

Ktoś z Chóru (półgłosem):

Tatuś będzie miał co wieść
Jak podrośnie córek sześć.

Pan Eugenjusz:

Jak to będzie doskonale,
Nie tak, jak za Bibikowa.
Książę daje świetne bale,

[1]) Les gueux, partja malkontentów flamandzkich.

Mąż ten słynny uczciwością
Trzyma dom z przyzwoitością,
Żyje z żoną, nie z aktorką,
Jak Bibikow — więc na bale
Nie wstyd mi uczęszczać wcale
Z żoną, z Tosią, z Manią, Florką,
Z Józią, z Kazią i z Honorką...
Podtrzymując te stosunki
Możemy podreperować
Zaszargane dziś fortunki.
Tylko ostro się pilnować,
Nuż się dobra pora zdarzy
Skręcić łeb u „inwentarzy".
Panowie! Pan Dezydery
Wyrzekł mądrze złote słowa
(Bo to rozum, bo to głowa,
Bo to wzór dla paniczyków,
Zuchwałych akademików).
Owóż, toast kuratora
Wszystkim razem spełnić pora;
I za cztery ja litery
Tego mam, kto nie wypije!
Dobrze mówi Dezydery,
Wiwat, wiwat! niech nam żyje
Zacny książę Wasilczykow!

Chór:
Wiwat książę Wasilczykow!...

1852 r.

. . . . . .

Poezje Kędrzyckiego (oprócz tych, które były satyrą na ówczesne poglądy szlachty) nawoływały młodzież do pracy i kształcenia się nietylko zawodowego, ale i w duchu narodowym. Napotykamy w nich również ostre przycinki przeciwko kierownikom Tygodnika Petersburskiego, biskupowi Hołowińskiemu, hr. Henrykowi Rzewuskiemu, Michałowi Grabowskiemu i Przecławskiemu, z którymi toczyli nieustanną walkę wydawcy czasopisma „Gwiazda" Zenon Fisch i Jakób Benedykt Jurkiewicz-Dołęga, tudzież liczni współpracownicy tego pisma z grona literatów i studentów kijowskiego uniwersytetu. „Gwiazda" wychodziła w Kijowie od r. 1846 do 1849, w którym to roku została zamknięta, co przypisywano wcale nie obywatelskim usiłowaniom wydawców Tygodnika Petersburskiego. Dążności, obudzone przez Gwiazdę i poezje Kędrzyckiego, uważać należy za wznowienie chwilowo stłumionych szlachetniejszych porywów wśród młodzieży. Moment zaś, w którym to nawoływanie do wyższych celów obrano, okazał się bardzo odpowiedni; rok bowiem 1848 wstrząsnął posadami prawie wszystkich państw Europy i odwrócił na czas jakiś uwagę władz rosyjskich od spraw wewnętrznych wobec wojny, jaką cesarz Mikołaj I toczył ze zbuntowanemi przeciw Austrji Węgrami. To też obok dziejowych wypadków niektóre prace literackie oraz niedrukowane nigdzie

poezje Juljana Kędrzyckiego przyczyniły się niemało do obudzenia gwałtownego i szalonego prawie ruchu między studentami kijowskiego uniwersytetu. Ale ruch ten trwać mógł niezmiernie krótko, rok zaledwie.

Po stłumieniu pojedyńczych rewolucyj i powstania węgierskiego nastąpić musiała wszech-druzgocąca, straszna, gwałtowna i nieubłagana reakcja i znowu wszystko umilkło. Tylko najlepsi w wielkiej tajemnicy i w małych kółeczkach przechowywali wiarę w nieśmiertelność sprawy ojczystej; większość zaś pracowała fachowo, obracając czas wolny od zajęć na hulanki, orgje i swawole na olbrzymią skalę. Nieuchronnem następstwem takiego trybu życia musiały być burdy i awantury uliczne, których też nie brakło. Z lat 1849 do 1854 pozostał cały szereg legend i opowiadań o pełnych werwy, dowcipu i temperamentu figlach i wybrykach, jakich się dopuszczali najbieglejsi na tem polu studenci. Postaram się tu przedstawić, o ile zdołam, obrazowo te wybuchy najczęściej szczerej wesołości i zawadjactwa, które przerywały stan ogólnego przygnębienia umysłów w warunkach przez autokratyczne rządy cesarza Mikołaja I utworzonych, a na miejscu staraniem Bibikowa stosowanych.

Na pierwszy plan ówczesnych humorystów-psotników występuje postać studenta Piotra Jaxy Bykowskiego, o którym stugębna fama głosiła liczne anegdoty, powtarzane następnie przez całe pokolenia kijowskiej młodzieży[1]). Nie wiem, o ile będę zgodnym z absolutną prawdą, ale podaję tu sprawy i czyny pana Piotra tak, jak się one o uszy moje obiły, nadmieniając, iż osobistość to była jedyna w swoim rodzaju i po wsze czasy uniwersyteckie godnych siebie współzawodników nie miała. Piotr Jaxa Bykowski, wspaniałego wzrostu, tuszy okazałej, wielkiego a pełnego jowjalnej ruchliwości oblicza, stał się ulubieńcem Bibikowa za pełne młodzieńczej werwy wybryki, za które dostawał najwyżej nawpół żartobliwie nagany, umiejąc je zkolei na swoją korzyść wyzyskać. Oto kilka obrazków, pozostałych w mej pamięci z opowiadań współczesnych.

* * *

[1]) Pisał o nim Michał Rolle p. t. Piotr Jaxa Bykowski w życiu i w listach, Gazeta Lwowska 1918, nr. 123—127 i 131—142, (Przyp. Wyd.).

W czasie jednego z kontraktów Bykowski wywiesza nad wejściem do swego mieszkania szyld felczerski z ledwie dostrzegalnym napisem: „Tu mydlą". Kontraktowicze szlagony w olbrzymich szubach wciskają się przez wąskie drzwi studenckie, myśląc, iż szyld oznacza miejsce zamieszkania golibrody. Pan Piotr występuje z całą powagą w roli felczera i zawzięcie mydli gościowi zarost do golenia przeznaczony, a ukończywszy swe dzieło kłania się i mówi: „już". Zdumiony szlachcic zapytuje:

— Jakto już, co to „już" — proszę golić. — Na co Bykowski najspokojniej odzywa się:

— Chyba szanowny pan dobrodziej szyldu nie czytał? tu mydlą tylko, a „naprzeciwko golą" — i z temi słowami wskazuje mieszkanie głośnego lichwiarza po drugiej stronie ulicy zamieszkałego.

Wściekły z gniewu kontraktowicz zrywa się, ociera w pasji mydło i trzasnąwszy drzwiami wylatuje jak opętany; ale, że za mydlenie nie żądają zapłaty, śmieje się po chwili serdecznie ze zręcznego figla, a spotkawszy w sieni kandydatów na nowe ofiary Bykowskiego, nie zraża ich swoją opowieścią i rad jest, że będzie miał kolegów.

* * *

W krytycznej chwili, gdy długo kredytujący kamienicznik wymówił Bykowskiemu mieszkanie, zaś innych uprzejmiejszych nie mógł odszukać, ładuje on swe graty na dorożkę i rozlokowuje się w nocy na chodniku nieopodal Bibikowskiego gmachu, rozstawia parawan i śpi na swym materacu aż do rana. Że zaś to było latem, Bibikow wychodząc na wczesną przechadzkę, spostrzega z najwyższem zdumieniem parawanik trzcinowy na miejscu przeznaczonem do spacerów prawie tuż obok swej rezydencji. Zaciekawiony zagląda za parawan i widzi Bykowskiego w zupełnym negliżu pod wyszarzaną kołderką, palącego najspokojniej fajeczkę.

— A ty, co tu robisz? zapytuje.

— Mieszkam — odpowiada Bykowski.

— A jakiem prawem?

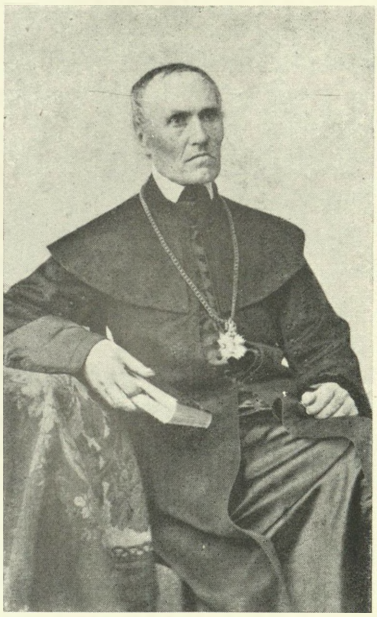


Fig. 31. Ks. prałat Dobszewicz.

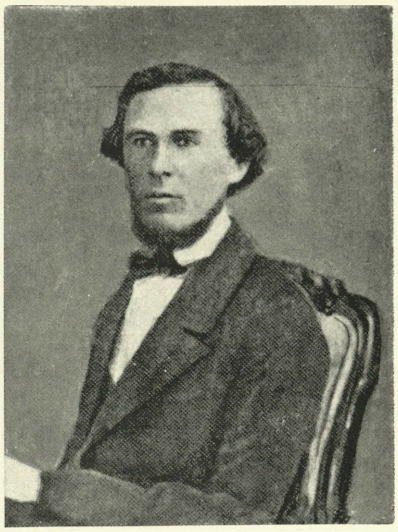


Fig. 32. Profesor Pawłow.

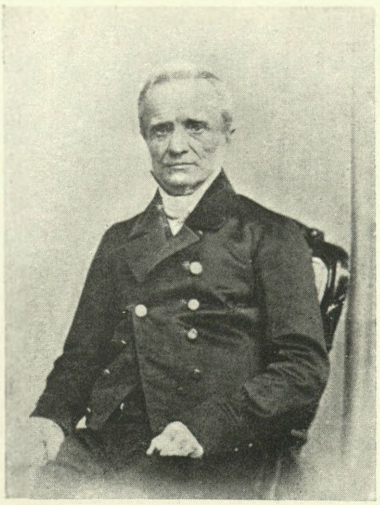


Fig. 33. Prof. Ignacy Fonberg.

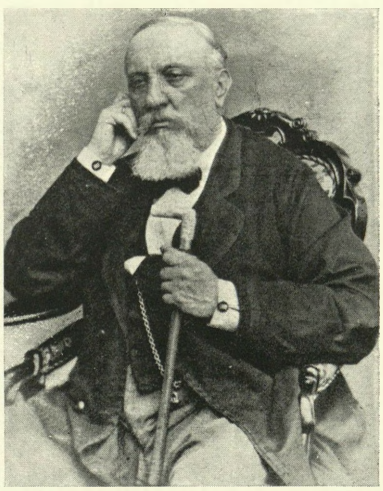


Fig. 34. Adolf Pilchowski.

— Takiem, panie jenerale, że mi nigdzie dawać nie chcą mieszkania bez pieniedzy, a tych nietylko nie posiadam, ale mam jeszcze długów po uszy,

— A ile?

— Około sześciuset rubli.

Bibikow dobywa trzysta rubli i daje je Bykowskiemu dla spłacenia najpilniejszych długów oraz każe mu przenosić się do swego pałacu, gdzie wyznacza pokoik w strefach najwyższych. Pan Piotr ubiera się natychmiast i lokuje się na wytwornem poddaszu, a wieczorem sprasza kolegów, racząc ich kosztem otrzymanego zasiłku. Uraczeni śpiewają i zachowują się tak hałaśliwie, że Bibikow posyła z zapytaniem, co to ma znaczyć? Bykowski odpowiada, że gościom swoim nie śmie niczego zabronić, a że i sam jest gościem, ufa więc, że gospodarz nie zabroni mu być gościnnym. Bibikow nadsyła drugie trzysta rubli i rozkaz natychmiastowego opuszczenia pałacu.

* * *

W czasie bytności cesarza Mikołaja I w Kijowie zebrano młodzież uniwersytecką do wielkiej sali, by ją monarsze przedstawić. Zanim cesarz przybył, Bibikow jako kurator chciał sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, i w tym celu obchodził szeregi studentów. Gdy zbliżywszy się do Bykowskiego dostrzegł, że guzik górny w mundurze jego jest rozpięty, uznał za stosowne zapiąć go własnoręcznie, za co go Bykowski wobec tysiąca widzów w rękę pocałował. Bibikow zmieszał się, może pierwszy raz w życiu, a cała młodzież wybuchnęła homerycznym śmiechem.

. . . . . .

Oprócz charakterystycznych wybryków Bykowskiego przytoczę tu parę takich, których nazwiska autorów nie przeszły do potomności. Głośnemi w swoim czasie były figle i psoty następujące:

Pewnego dnia na wiosnę spotkał Bibikow na Padole trzech studentów nieogolonych, nieostrzyżonych, z rozpiętemi mundurami i wystającemi kołnierzykami. Wezwał ich do siebie,

złajał za niezachowanie formy i rozkazał pójść do inspektora z poleceniem w jego imieniu, by ich na tydzień osadził w karcerze. Dowcipni młodzieńcy układają plan wywinięcia się od kozy; strzygą się, golą, chowają kołnierzyki, zapinają mundury i w tym wzorowym stanie udają się do inspektora Thalberga, któremu oświadczają, że Bibikow spotkał nieznanych im trzech studentów w nieporządku co do stroju i fryzury, a widząc ich trzech nieopodal w stanie wzorowym zawezwał do siebie i kazał udać się do pana inspektora i powiedzieć mu, aby się kazał aresztować na dwa tygodnie w cytadeli za nieporządki wśród studentów. Wystraszony Thalberg wiezie swą szpadę do plackomendanta i każe się posadzić do kozy. Nazajutrz, władze cytadeli raportują o tem Bibikowowi, a ten zdziwiony wzywa Thalberga i pyta go, co robi w fortecy? Inspektor zmieszany opowiada o rozkazie przywiezionym mu przez studentów, który spełnić uważał za swój obowiązek. „Zuchy, zuchy!“ zawołał Bibikow — „a tyś osioł, powinieneś bowiem wiedzieć, że w Rosji nie przysyłają nigdy rozkazów zwierzchnikom przez podwładnych, zasłużyłeś więc na to, co cię spotkało i dlatego posiedzisz jeszcze z parę tygodni w cytadeli“.

Ów Thalberg, jak to już nadmieniłem, zanim został inspektorem, był urzędnikiem na komorze celnej, a więc i na nowem stanowisku ściśle przestrzegał, aby nikt w niczem nie przekraczał przepisów urzędowych; ale że był w gruncie głupi, dawał się często łapać na dowcipne, a szumne frazesy naukowemi terminami naszpikowane, jako też na wyraźne sofizmata zręcznie ułożone.

Młody student zjawia się w interesie urzędowym u Thalberga nieogolony i dostaje wymówkę, tłumaczy się zaś nieprzezwyciężonym strachem brzytwy, twierdząc, iż tylko ojcowskiej ręce i to w czasie świąt i wakacyj golić się daje, wszelka inna wprawia go w trwogę o gardło. Thalberg zdumiony i zaciekawiony tem wyznaniem zapytuje:

— No, a gdybym ja pana zechciał ogolić, czy i mnie byś się obawiał?

Na to student:

— Ach, panie inspektorze, panu ufam na równi z ojcem, ale czyżbym śmiał nawet pomyśleć o tem.

— Przychodź jutro, ale bardzo rano.

Młodzieniec kłania się z przesadnem uszanowaniem, wychodzi i zawiadamia kolegów, iż nazajutrz z rana będzie go golić inspektor we własnej osobie.

W oznaczonym czasie stawił się w mieszkaniu Thalberga. Rozpoczyna się mydlenie, a następnie golenie, gdy wtem wchodzi jakiś student z interesem. Inspektor zmieszany chce drzwi zamknąć, ale golony zrywa się z krzykiem, że go chcą zarznąć i zmusza tem do golenia go przy drzwiach otwartych. Interesanci i natrętni sypią się jak z rogu obfitości, biedny Thalberg chce przerwać swą czynność, lecz student odgraża się wyższą władzą, co doprowadza znowu do porządku improwizowanego golibrodę, tak iż cała ta procedura kończy się wobec licznej publiczności, a nazajutrz jest głośną w mieście.

Nim przyjdę do wspomnień osobistych, pragnę powiedzieć słów kilka o budowlach, urządzeniach i pomocach naukowych, jakiemi uniwersytet kijowski rozporządzał. Wspaniały gmach główny, wielkim kosztem wzniesiony, oszpecono, malując go na kolor ceglasty dla koszar właściwszy. Mieścił on w sobie dwie kaplice: katolicką i prawosławną, których kapelanami byli profesorowie teologji obu tych wyznań, kliniki, gabinety, bibljotekę, laboratorja tudzież stosowną ilość wysokich, widnych o różnej wielkości sal i audytorjów, w których się wykłady odbywały. Rozciągający się za uniwersytetem na długość przeszło kilometra młody ogród botaniczny był pięknie urządzony i wzorowo prowadzony przez Niemca Hohut'a. Teatr anatomiczny, w znacznej co prawda odległości zbudowany, odpowiadał w zupełności wymaganiom współczesnym. Gabinety zawdzięczały swe bogactwa odziedziczonym pięknym zbiorom wileńskim i krzemienieckim, powiększały się zaś bardzo wolno, nie było bowiem na to dostatecznych funduszów. Najzasobniejsze z nich były: mineralogiczno-geologiczny, zoologiczny, anatomiczny i zootoniczny. Bibljoteka liczyła przeszło 80.000 dzieł, a złożyły się na ten nieprawowity spadek Wilno, Krzemieniec, zamknięte klasztory i skonfiskowane wygnańcom prywatne zbiory jak np.: bibljoteka Jabłonowskich, Olizarów, itp. Laboratorja były piękne i czyste, ale z powodu braku funduszów nie posiadały pracowni dla uczącej się młodzieży.

Przechodzę obecnie do spisywania osobistych wrażeń z czasów pięcioletniego pobytu w murach wszechnicy kijowskiej w latach od 1854/55 do 1858/59. O miejscu zamieszkania mojego przy ulicy Tarasowskiej wspominałem już, tu więc tylko nadmienię, iż cały kurs pierwszy w temże mieszkaniu spędziłem w towarzystwie dwóch szkolnych kolegów, uczęszczając najpilniej na obowiązujące mię wykłady i robiąc starannie notatki. Najważniejszym z przedmiotów, wykładanych nam w pierwszych dwóch latach, była anatomja opisowa, połączona z nauką robienia preparatów i praktycznemi ćwiczeniami na trupach. Anatomji nauczał nas dorpatczanin Niemiec Walter ze znajomością rzeczy, wymową i barwnością, mimo kolosalne usterki w składni i wymowie rosyjskiej, za jakie by nam na wstępnym egzaminie najgorsze postawiono stopnie. Ćwiczeniami na trupach i robieniem preparatów kierował pomocnik profesora, tak zwany prosektor. Młodzi lekarze zmieniali się nieustannie na tem stanowisku. Za moich czasów był Erhardt, potem Nath, Marowski i inni; gdy zaś kończyłem uniwersytet, zajął tę skromną posadę z olbrzymią korzyścią dla uczącej się młodzieży, ukochany przez nas wszystkich, wielkiej nauki lekarz i wielkich cnót obywatelskich człowiek, Izydor Kopernicki, który pozostał na niej aż do 1863 r. Anatomja zajmowała mię bardzo, szczególniej od czasu, gdym potrafił oswoić się z przerażającem na razie otoczeniem i cuchnącą atmosferą, co znacznie mi ułatwiła świeżo nabyta nauka palenia cygar, zupełnie przeze mnie zaniedbana w gimnazjum. Zaciekawiony przedmiotem, trawiłem nieraz całe wieczory w teatrze anatomicznym, pracując przy świecach.

Chemję nieorganiczną wykładał Polak, prof. Ignacy Fonberg, przeniesiony do Kijowa z Wilna, nie mniej ceniony, jak szanowany przez nas wszystkich. Ukochany ten mistrz, z którego jako rodacy byliśmy dumni, łączył w sobie oprócz ogromnej wartości moralnej i głębokiej wiedzy niezmiernie sympatyczną powierzchowność, wytworne zachowanie się i wyszukaną czystość graniczącą z elegancją, posuwając ją do tego stopnia, iż z białym krawatem nie rozstawał się nigdy. Wykłady Fonberga były systematyczne, jasne, ożywione doświadczeniami i przedstawianiem preparatów chemicznych związków i pierwiastków, o któ-

rych mówił. Lekcyj prawie nigdy nie opuszczał, ani skracał spóźnianiem się lub przedwczesnem wychodzeniem z laboratorjum. Zarzucano mu tylko, że nie zdołał wyjednać u władzy potrzebnych środków do urządzenia pracowni dla studentów. Z przekonania był demokratą w szlachetnem słowa tego znaczeniu, co wyraźnie zaznaczył w czasie bytności cesarza Mikołaja I w Kijowie. Gdy bowiem po przedstawieniu został przez tegoż zapytanym, czy jest krewnym petersburskich Fonbergów, odrzekł z największą godnością i spokojem, że jest synem kowala z Wilna i tem powiedzeniem zjednał sobie powszechne uznanie u młodzieży.

Zoologję z pedancką ścisłością wykładał nam Niemiec Kesler, który wszakże posiadał nieźle język rosyjski. Została mi w pamięci anegdota, dobrze malująca stosunek jego do słuchaczy, którzy go więcej od wielu innych za sumienne wykłady cenili. Profesor ten wymagał od studentów medycyny najelementarniejszej tylko znajomości zoologji, nie żądał więc, aby na lekcjach jego koniecznie bywali. Spaźniającym się robił zazwyczaj wymówki. Jeden ze studentów medycyny, nie młody już starozakonny Zak, wsunął się do audytorjum, gdy lekcja była już w połowie. Kesler swoim zwyczajem zrobił mu uwagę, na co tamten przeciągając z żydowska, odpowiedział:

— Panie profesorze, co na tem traci pan profesor, ja, i moi przyszli pacjenci, że nie potrafię nazwać po łacinie tych kilku ptaszków, o których mowa na lekcji dzisiejszej.

— Prelegent zaśmiał się dobrodusznie, a za jego przykładem poszli wszyscy słuchacze.

Mineralogji bardzo hałaśliwie, ale nie najlepiej, nauczał żyjący dziś jeszcze Teofilaktow, botaniki w tajemnicy przed studentami Rogowicz. Mruczał on coś pod nosem, czego nikt nie słyszał, i rysował coś również na tablicy, czego nikt nie mógł oglądać, bo profesor osobą swą rysunek zakrywał i ścierał wszystko, nim odszedł od tablicy. Był to zresztą znakomity botanik, a jeszcze znakomitszy geolog, który cieszył się u przyrodników wielkiem uznaniem, ale wrodzona nieśmiałość zamykała mu usta wobec liczniejszych słuchaczy.

Fizykę doświadczalną wykładał nam europejskiej sławy uczony, prof. Knorr, którego wszakże język niemiecko-rosyjski

był dla nas narazie zupełnie niezrozumiały. Wykłady swoje lubił przeplatać anegdotkami, z których najczęściej sam tylko śmiał się. Dopiero w drugiem półroczu oswoiliśmy się z jego żargonem i oprócz fizyki staraliśmy się umieć na pamięć kilkanaście najpopularniejszych jego dykteryjek, które zazwyczaj stanowiły integralną część jego egzaminów. Zapytywał on naprzykład studenta:

— Jaki ma stosunek gra w bilard do medycyny? — na co należało, by dostać dobry stopień, odpowiedzieć bez wahania: — „Żadnego".

Gdy zaś pytał, dlaczego jedną i tę samą przestrzeń między jego mieszkaniem i uniwersytetem przechodzi daleko prędzej idąc ku domowi, trzeba było powiedzieć, że do uniwersytetu idzie się pod górę, a z powrotem z góry.

Wielki gniew wywoływała odpowiedź, że śpiesząc do młodej i pięknej żony, idzie się prędzej aniżeli do Alma Mater.

Inny znowu szereg pytań mających na celu zbadanie, jak ma sobie postąpić egzaminowany, gdy jego statyczna elektryczna maszyna przestanie działać, przedstawiał się, jak następuje:

— Od czego pan zaczniesz, gdy się maszyna zepsuje? zaczyna Knorr.

— Wytrę do sucha, rtęcią naamalgamuję poduszki i przekonam się, czy jest zupełna izolacja — mówi egzaminowany:

— A jeśli to nie pomoże?

— Oddam do mechanika Falborga.

— A jeśli i on nie poradzi?

— Wyrzucę za okno!

— Brawo, doskonale, i jabym to samo zrobił.

Takie i tym podobne niedorzeczności studjować musieliśmy dla dogodzenia humorystycznym wymaganiom profesora i dla zyskania przez to dobrego stopnia.

Ciż sami profesorowie wykładali nauki przyrodnicze dla fakultetu tych nauk. Studenci tego wydziału słuchali wykładów chemji i fizyki wspólnie z nami. Kursa zaś botaniki, zoologji, mineralogji i geologji były dla nich znacznie obszerniejsze z dodatkiem wielu przedmiotów i częstych wycieczek naukowych.

Czcigodny prałat Dobszewicz był mimo kwitnącą naówczas wśród studentów wolnomyślność i powszechny popęd do studjo-

wania filozofji czczony jako wyjątkowa cnota, zacność, łagodność, dobroć i wyrozumiałość. Nauczał sumiennie, ale nic prawie nie wymagał, twierdząc, iż teologji uczyć się mogą tylko ci, co tego pragną, nigdy więc złym stopniem nie wstrzymał nikomu wydania dyplomu. Do jakiego zaś stopnia to posuwał, świadczy jego zachowanie się w czasie egzaminowania przyrodnika Józefa Sawickiego, który zapytany, ile jest grzechów głównych, odpowiedział, że dziewięć i do istniejących siedmiu dodał dwa z sakramentów a mianowicie: „kapłaństwo i małżeństwo", na co ks. Dobszewicz z łagodnym uśmiechem nadmienił: „ja popełniłem już pierwszy, a tobie z oczu patrzy, że popełnisz drugi", — poczem najspokojniej zapytał:

— „A przeżegnać się umiesz?" I gdy tą razą próba się powiodła, zapisał trójkę. Nie spowiadających się nie notował, przeciwny wszelkiemu bodaj najlżejszemu gwałtowi sumienia; i tą drogą zyskiwał najwięcej uznania, zdobywając niejednokrotnie wpływ mimowolny a zbawienny w kierunku moralnym i religijnym.

Uczęszczając bardzo na wykłady w pierwszym roku studjów, nie unikałem wszakże rozrywek godziwych, do których oprócz stosunków towarzyskich z kolegami zaliczę na wstępie wieczory piątkowe w Towarzystwie Muzycznem studenckiem oraz przedstawienia polskie w teatrze. Co do Towarzystwa Muzycznego, kierowanem ono było przez dwóch studentów wyższych kursów wydziału lekarskiego: Litwina Dzikowskiego i Wołyniaka Marcelego Jasińskiego, o którym mówi często Leonard Sowiński w swych „Wspomnieniach szkolnych". Towarzystwo to urządzało koncerta raz na tydzień w wynajętej na ten cel wielkiej sali i opłacało koszta komornego, usługi, opału i oświetlenia ze składek członków. Środki te okazały się niedostatecznemi skutkiem braku znaczniejszej liczby uczestników i, o ile pomnę, wieczory ustały, gdym był na kursie drugim. Jakkolwiek do ocenienia muzyki miałem zawsze małe bardzo zdolności, lubiłem te wieczory; gromadziły one bowiem młodzież ze szlachetniejszemi dążnościami stroniącą od hulanek i stanowiły niejako przejście do daleko obfitszych w treść zebrań późniejszych. Teatr był stosunkowo dość dobry. Dzierżawił Borkowski, z artystów zaś wyróżniali się: Gadomska, Benda i inni.

Sztuki polskie przeplatano małorosyjskiemi i rosyjskiemi. Polacy bywali prawie wyłącznie na przedstawieniach w języku swojskim dawanych.

W pierwszem półroczu pobytu mojego w uniwersytecie oczekiwałem świąt Bożego Narodzenia z wielką niecierpliwością. Marzyłem o pokazaniu się po raz pierwszy rodzinie i sąsiadom w mundurze studenckim, który za owych czasów był powszechnie sympatycznie wśród społeczeństwa i towarzystw naszych witanym. Niestety, wszystkie projekta moje spełzły na niczem; wyjeżdżając bowiem z Kijowa, odwiedziłem chorego na odrę przyjaciela, Tadeusza Rakowskiego. Ani przypuszczałem, że podlegnę zakażeniu tym lotnym zarazkiem; tymczasem, zrobiwszy około 200 wiorst drogi pocztą i końmi własnemi, czując się nieco znużonym po przybyciu do domu rodziców, poprosiłem matkę o kąpiel. Jakież było moje zdziwienie, gdy wychodząc z wanny ujrzałem się osypanym charakterystycznemi krostami odry, która wkrótce udzieliła się moim trzem siostrom, tak, iż wigilję spędziliśmy w łóżkach, resztę zaś świąt zajęła rekonwalescencja.

Lepiej mi się powiodły święta wielkanocne, które w 1855 r. przypadały wkrótce po śmierci cesarza Mikołaja I, ale i te nie obeszły się bez małej przygody. Robiąc wycieczki w sąsiedztwo i do domów rodzinnych, odwiedziłem wuja mego Antoniego Trypolskiego w Kniażynie, gdzie parę dni mile spędziłem, a dowiedziawszy się tam o zaburzeniach między włościanami na Ukrainie, wyruszyłem z powrotem do rodziców. Zaledwiem wszakże kilka tysięcy kroków od domu odjechał, usłyszałem dzwonki, jakich u nas wolno było używać tylko poczcie i urzędnikom policji; sięgnąłem więc machinalnie do kieszeni, szukając biletu urlopowego zastępującego studentom paszport, a przekonawszy się, żem go zostawił na szafce nocnej przy łóżku w pokoju gościnnym, kazałem zawrócić konie i śpiesznie po zgubę podążyłem. Gdy ku wielkiemu zdziwieniu wuja zajechałem pod ganek, dzwonki coraz głośniejsze oznajmiły przyjazd „stanowego prystawa“ [1]), który, jak potem opowiedział, miał urzędową wiadomość o udziale Józefa Rozenthala, studenta

[1]) Zwierzchnik policji czwartej części powiatu.



Fig. 35. Grupa Purystów. 1. Fortunat Nowicki, 2. Jan Wesołowski, 3. Michał Tomaszkiewicz, 4. Jan Zaleski, 5. Włodzimierz Milowicz, 6. Edward Bondi.

uniwersytetu kijowskiego w rozruchach ludu ukraińskiego i rozkaz szukania go jako zbiega; ujrzawszy więc mój kołnierz szafirowy i widząc, że z drogi zawracam, był przekonania, że jestem właśnie tym kryjącym się przed władzami studentem. Rzecz cała się wyjaśniła, gdy przedstawiłem mój bilet, poczem rozjechaliśmy się każdy w swoją stronę.

Niedługo czekaliśmy na szczegóły o tych smutnych i krwawych zajściach ludowych na Rusi, dla poskromienia których wezwano wojsko i użyto broni palnej. Padło śmiertelnie rażonych dwudziestu sześciu, otrzymało rany mniej lub więcej ciężkie ośmdziesięciu. Niezależnie od tego ćwiczono niemiłosiernie rózgami tych nieszczęśliwych przedwczesnych apostołów wolności. Powodem tak opłakanych zdarzeń było fałszywe tłumaczenie manifestu cesarza Mikołaja I o tak zwanem „opołczeniu“ czyli pospolitem ruszeniu. Oto, jak się przedstawiają te wypadki w opisie naocznego a urzędownie czynnego ich świadka Gromeki w broszurze znacznie później, bo w 1863 r. wydanej, a pod pewnemi względami stronnej. Manifest, wzywający naród rosyjski do broni, „żądał od synów ojczyzny, by z żelazem w dłoni i krzyżem na sercu gotowi byli stanąć jak jeden mąż w szeregach walczących przeciw niewiernym“ i wyznaczał jednocześnie gubernje, które udział w tem pospolitem uzbrojeniu wziąć miały. Z tej liczby wykluczono Królestwo, Litwę i Ruś przeddnieprzańską jako nieposiadające zaufania. Mimo to, manifest ów odczytano w cerkwiach całego państwa jeszcze w lutym 1855 r., a więc za życia cesarza Mikołaja, który zmarł nagle 2 marca tegoż roku. Szeroki rozgłos o łagodności i dobroci młodego monarchy sięgnął już warstw włościańskich; wszyscy przestali się obawiać i pragnęli kochać Aleksandra II, wstępującego na tron opuszczony przez ojca. Wśród duchowieństwa obrządku prawosławnego pojawiło się również pewne zuchwalstwo i rozpoczęły się tu i ówdzie fałszywe a dowolne tłumaczenia słów zmarłego cesarza.

Pierwszy krok, uczyniony na tem polu w dobrej wierze przypisać należy parochowi wsi Poprawka w powiecie wasylkowskim położonej; ogłosił on bowiem drukiem opis sceny, jaka miała miejsce po wysłuchaniu przez jego parafjan ukazu cesarskiego. Według tego opisu, wystąpił przed cerkwią na

czoło ludu chłop urodziwy, obraz siły fizycznej, niejaki Potap Harasimenko i wypowiedział imieniem ludu ukraińskiego gotowość przelania krwi za cesarza i ojczyznę w obronie od muzułmanów. Artykulik ten, ogłoszony w Kijowskich Gubernjalnych Wiadomościach, stanowiących jedyną prawie świecką literaturę duchowieństwa prawosławnego, stał się jakby mimowolną propagandą idei dobrowolnego stawienia się w szeregi zbrojne ludu ukraińskiego, w formie zapisywania się wedle tradycji z czasów Siczy w pułki kozackie. Te nieokreślone dokładnie zamiary i projekta, powstające w różnych parafjach samodzielnie, zdobyły sobie wkrótce silną, acz fałszywą podstawę w umyślnie ze złą wiarą szerzonej, a przez diakona Słotwińskiego ze wsi Fediuchowa doskonale sfabrykowanej kopji niby prawdziwego manifestu. Diakon ten niezwłocznie po ogłoszeniu urzędowego dokumentu przedstawił na zgromadzeniu włościanom wsi Fediuchowa sfabrykowany przez siebie dokument, który był zlepkiem artykułów manifestu z 1806 r. powołującego naród do ówczesnej milicji i ostatniego manifestu z 1855 r., na mocy którego jakoby wszyscy, co się zapiszą do pułku wolnych kozaków, przestać mieli pełnić obowiązującą dotąd pańszczyznę.

Ta cała mistyfikacja przyjęła się łatwo i szerzyła szybko, wywołując w powiatach: wasylkowskim, skwirskim, taraszczańskim i kaniowskim, olbrzymie zbiorowiska ludowe, nacechowane wielkim ładem, spokojem, poszanowaniem cudzej własności i zupełną trzeźwością; wszystkie bowiem karczmy i szynki zostały przez włościan zamknięte i zapieczętowane. Jednego tylko domagały się stanowczo te tłumy, a mianowicie — zwolnienia od pańszczyzny i zapisania na liście przyszłych pułków ukraińskich. Tam, gdzie miejscowe duchowieństwo zgadzało się na złożenie przez nich przysięgi i przyjęcie ich podpisów w formie znaku krzyża (jako niepiśmiennych), tam nie turbowano parochów; gdzie zaś ci ostatni tłumaczyli, iż nikt ludu ukraińskiego do służby wojskowej nie wzywa, a więc nie mają prawa opuszczać swych obowiązków określonych inwentarzem, tam popów łżono, zamykano, głodzono itp., nie wkraczając wszakże w granice okrucieństwa. Zaczepnie nie zachował się prawie nigdzie lud jako bezbronny; i jeśli nastąpiły starcia, wy-

nikły one przeważnie skutkiem zniecierpliwienia się władz. W dwóch punktach przyszło do użycia broni, a mianowicie 1/13 kwietnia 1855 r. w Bykowej Grobli, gdzie włościanie, słysząc jęki swych przestawicieli bitych rózgami, chcieli przedrzeć się przez rotę uszykowanych przed tłumami saperów, ci zaś na komendę oficerów dali ognia... i tłumy pierzchły, zostawiając na placu sześciu zabitych i tyluż ciężko rannych, poczem dalsze rozruchy zwolna w tej miejscowości osłabły.

Z Bykowej Grobli udały się władze i wojsko do Berezny w powiecie skwirskim położonej, gdzie około cerkwi zgromadziło się przeszło 5000 ludzi, którzy zamknęli i głodzili czterech parochów, domagając się od nich manifestu i przyjęcia przysięgi. Gdy przybyłe wojsko mijało cerkiew, tłum rzucił się na nie i tem wywołał strzały. Tym razem zostało na placu zabitych dwudziestu i rannych kilkudziesięciu, lud zaś unosząc część ranionych ukrył się po chatach; wielu z nich utonęło przeprawiając się przez rzekę Bereznę. Pojmanych w ucieczce karano cieleśnie. W Jabłonówce i Truszkach w powiecie skwirskim udało się władzom uniknąć krwi rozlewu jako też w powiatach taraszczańskim i kaniowskim. W tym ostatnim był obecnym osobiście w miasteczku Korsuniu jenerał gubernator kijowski książę Wasilczykow. We wsi Biesiedka włościanie pod wodzą chłopa Szeremeta rozbroili nieliczne przybyłe tam wojska; ale wkrótce broń zwrócili, przedkładając najpokorniej swe prośby.

Rzućmy zkolei okiem, jak przedstawia Gromeka w całej tej sprawie udział studenta Rozenthala. Młodzieniec ten był synem jednego z oficjalistów Branickich, jak mniemali niektórzy, pochodzenia semickiego, któremu hrabia za zasługi oddał w dożywotni zarząd czy też w dzierżawę wieś Wolniankę. Młody Rozenthal, student medycyny, zajmował się w uniwersytecie pisaniem lichych wierszy i przerabianiem powieści więcej niż medycyną. Jeden z takich marnych literackich wyrobów ukazał się w druku w 1854 r. pod tytułem „Państwo młodzi“ i był dedykowany kolegom, co wywołało straszną burzę z ich strony. Rozenthala wezwano przed areopag młodzieży uniwersyteckiej, której przewodniczył Józef Rolle, i udzielono publicznej nagany za poświęcenie kolegom powieści, którą uznano za

nieortograficzny plagjat z rosyjskiego i zażądano wydarcia karty z dedykacją ze wszystkich niesprzedanych dotąd egzemplarzy. Wkrótce po tej przeprawie Rozenthal, uwolniony z uniwersytetu za nieopłacenie wpisów, ukrywał to przed rodzicami, w domu których przesiadywał tytułem niezdrowia, a zasłyszawszy o poczynających się ruchach między ludem, wziął w nich udział. W tym celu zredagował odezwę jakoby od Anglików i Francuzów, wzywającą włościan do powstania przeciwko władzy; ujął dla swoich projektów młodego ekonoma ojca swego, niejakiego Skowrońskiego, i przez gumiennego Zosyma Docenkę pragnął zwołać w nocy gromadę, by jej dokument odczytać. Docenko po naradzie z chłopem Wasylem Słobodziukiem wskazali jako wpływ mającego we wsi Wasyla Krawczenkę. Rozenthal i temu się zwierzył; gdy zaś silił się, tłumacząc zgromadzonym włościanom odezwę niby anglo-francuską (napisaną przez siebie po polsku) na język rusiński, wyrwano mu z ręki papier, który po sprawdzeniu przez jakąś sąsiadkę Rosjankę okazał się pisanym po polsku. Odczytany zaś przed jednego z popów, znającego nasz język, uznanym został za tak zbrodniczej treści i formy, iż go wydano policji. Rozenthal nie zwlekając zemknął do Austrji, ale wydany przez rząd tamtejszy rosyjskiemu, zesłany został na Sybir na posielenie, dokąd poprzednio wyprawiono już Skowrońskiego. Włościanie wsi Wolnianka zostali nagrodzeni medalami, pieniężnemi wsparciami i wielu, wielu innemi dogodnościami jako najwierniejsi z wiernych.

Z tego, cośmy powiedzieli, widocznem jest, że sprawa Rozenthala była najzupełniej odosobnioną, obcą młodzieży uniwersyteckiej, i nie miała nic wspólnego z samodzielnym ruchem włościańskim.

Rozenthala znałem z widzenia; nazwisko zaś jego połączyło się we wspomnieniach moich z dwoma humorystycznemi wierszykami Leonarda Sowińskiego, wymierzonemi przeciwko semickiemu pochodzeniu tego nielubionego przez młodzież kolegi, a napisanemi po ogłoszeniu drukiem osławionej powieści: „Państwo młodzi“. Pierwszy z nich zatytułowany „Majufes“ rozpoczynał się jak następuje:

Majufes, Majufes, już kwieciem i płodem
W dolinie róż [1]) strzeliły krzemyki i skałki. [2])
O dajcie mi cymbał; a mlekiem i miodem
Popłyną pieśni moje, i piersi te z lodu
Jak maca prysną w kawałki!...

. . . . . .

Po powrocie moim ze świąt wielkanocnych zastałem w Kijowie na porządku dziennym oprócz świeżo stłumionych zaburzeń włościańskich tak zwaną sprawę Piotra Sawickiego, opisaną szczegółowo w pamiętniku Bobrowskiego [3]), uważam więc za właściwe nadmienić o niej słów kilka, jako o jednym z objawów budzącej się w kraju opinji. Piotr Sawicki, obywatel powiatu lipowieckiego, właściciel wsi Słupek, syn zacnych rodziców i naddziadów, brat niemniej zacnego a licznego rodzeństwa, dopuścił się wielkiej nikczemności, denuncjując fałszywie jenerał gubernatorowi dziadka i dobroczyńcę swego, Jasińskiego, jako ciemiężcę włościan. Marszałek lipowiecki, Bolesław Moszczeński, zbadawszy całą sprawę i przekonawszy się, że denuncjacja była najzupełniej nieprawdziwą, głosił o tem wsiom i miasteczkom tak, iż zaczęto stronić od pana Piotra, on sam natomiast nadrabiał miną i arogancją i tą drogą zniewalał tchórzliwszych do ściskania mu przy spotkaniu dłoni. W listopadzie 1854 r. w Lemieszówce na Podolu u pana Leopolda Jakubowskiego, ożenionego z siostrą Sawickiego, w dniu imienin gospodarza spotkał się p. Piotr z Ludwikiem Humnickim, który podanej sobie ręki Sawickiego nie przyjął, za co tenże w drodze zemsty w parę chwil potem, korzystając z prowadzonej przez Humnickiego z zajęciem rozmowy, zaszedłszy ztyłu znienacka w twarz go uderzył. Jakubowski jako gospodarz domu strzelał się z Humnickim i otrzymał ranę w udo. Oburzeni postępkiem Sawickiego, Adolf Pilchowski i Feliks Szostakowski, wyjednali u jenerał gubernatora ks. Wasilczykowa zezwolenie na zwołanie dla rozpatrzenia tej sprawy

[1]) „W dolinie róż", oznacza, w tłumaczeniu na język polski, nazwisko „Rozenthal".
[2]) Powieść „Państwo młodzi" wydana była pod pseudonimem „Skałki".
[3]) T. II, str. od 38 do 45.

sądu obywatelskiego, przewidzianego w podobnych razach przez prawo.

Sąd ten, w którym wzięła udział cała prawie szlachta gub. kijowskiej, a więc przeszło trzystu właścicieli ziemskich, zwołany został w maju r. 1855. Sawickiego, który zjawił się wśród zgromadzenia w mundurze obywatelskim i począł mieszać się do rozmów, poproszono na ustęp i przywołano powtórnie po dokonanym wyborze prezydującego, dla wysłuchania sformułowanych zarzutów: 1) fałszywej denuncjacji, 2) nieuczciwości, 3) napadu na Humnickiego. Oskarżony bronił się słabo, wkońcu zdobył się na pokorę, rzucił pod nogi sędziów szpadę swą i kapelusz stosowany i salę opuścił. Obrona Maurycego Poniatowskiego, pragnącego złagodzić nieco usposobienie sędziów, była jeszcze słabszą i dowiodła tylko dobrego serca mówcy. Słowa adwokata Michałowskiego i T. Bobrowskiego wyjaśniły zasadniczo sprawę, poczem na żądanie 300 głosów przeciwko 11 został Sawicki wykreślonym z listy szlachty kijowskiej. Wierzyciele zabrali mu majątek za długi, on sam zaś został potem agentem tajnej policji.

Przeszedłszy na kurs drugi, na którym wykładano też same przedmioty, co na kursie pierwszym z tą tylko różnicą, iż chemję nieorganiczną zastąpiła organiczna, wykładana poprawnie przez ucznia Fonberga, Czugajewicza, zmieniłem moje pierwotne mieszkanie i rozstawszy się z kolegami Maleszewskim i Naskręckim przeniosłem się do braci Edwarda i Justyna Faszowiczów, kolegów moich jeszcze z żytomierskiego gimnazjum, którzy zajmowali małą oficynę w domu bibljotekarza Kozłowskiego przy ulicy Kuzniecznej. Edward Faszowicz, medyk, starszy o jeden kurs ode mnie, był budującym dla mnie przykładem; ale brat jego Justyn, wielki szaławiła i hulaka, odrywał nas nierzadko od zajęć naukowych. To też na drugim kursie daleko mniej pracowałem, a więcej bawiłem się, i przed świętami Bożego Narodzenia tegoż roku po raz pierwszy w mem życiu tak pozwoliłem siebie upoić lichemi gatunkami wina, żem tę libację ciężko odchorował i od tego czasu przez lat przeszło piętnaście żadnego trunku do ust nie brałem. Na początku 1856 roku przenieśliśmy się do domu Karpowa przy ulicy Małej Wasilkowskiej i zajęliśmy połowę domu to jest

trzy pokoje. Drugą połowę tegoż domu zajęli koledzy nasi: Kalikst Bądarzewski medyk i Stanisław Zaleski przyrodnik. Mieszkanie to stało mi się pamiętnem; niezwłocznie bowiem po przybyciu mojem ze świąt od rodziców z zapasem pieniężnym na całe półrocze w kwocie 200 rs wciągnęli mię goście moich współkolegów do gry w karty, o której najmniejszego wyobrażenia nie miałem i w ciągu paru godzin zgrali mię doszczętnie w djabełka. Obecny tej grze a mieszkający obok nas, zacny kolega mój, Stanisław Zaleski, zaproponował mi pożyczkę paruset rubli w jak najdelikatniejszej formie, a ja ten dług w ciągu dwóch lat powoli spłacałem odmawiając sobie wszystkiego i zwierzyłem się z tego całego przejścia memu drogiemu ojcu dopiero wtedy, gdym ostatni grosz należności tej wypłacił. Ten drobny napozór wypadek w życiu mojem wyleczył mię radykalnie raz na zawsze od gry w karty i robienia długów; praca zaś nad sobą w tym kierunku rozwinęła zdolności panowania nad sobą i większą siłę woli.

W końcu szkolnego roku to jest w maju 1856 r. zdałem pomyślnie tak zwane egzamina półkursowe z nauk przyrodniczych. Pierwsze dwa lata pobytu mego w Kijowie zostawiły mi w pamięci nazwiska i postacie starszych znacznie ode mnie co do lat i kursów, wpływ wielki między młodzieżą mających kolegów. Do tych zaliczam świeżo zmarłego po ukończeniu kursów Kozaczyńskiego, który zasłużył sobie na długotrwałą pamięć i składkowy pomnik towarzyszy, Józefa Rollego znanego później historyka, piszącego pod pseudonimem dr. Antoniego J., Stanilewicza, autora „Wężyków“ i wielu udatnych drobnych poezyj oraz Leonarda Sowińskiego, głośnego potem poetę, który skończywszy wydział literacki studjował ulegając woli ojca medycynę. Ci wszyscy, ludzie najlepszej woli, nie mogli oddziaływać na szersze koła młodzieży, unikali bowiem spisku jako mogącego wywołać bardzo groźną naonczas interwencję rządu i ograniczyli swe prace w kole ciaśniejszem. To też nie widzimy w owym czasie jednolitości w kierunku młodzieży polskiej. Największą grupę stanowili zamiłowani i niepodzielnie pochłonięci swą specjalnością, mniej liczną zaś ci, co umieli pogodzić swe obowiązki względem obranego zawodu z kształceniem się w kierunku narodowym. Trzecią

najmniej liczną, ale bardzo hałaśliwą, składali studenci próżnujący i marnujący czas, zdrowie i pieniądze na karty, orgje i hulanki.

Wakacje i święta Bożego Narodzenia 1855 r., Wielkanoc i wakacje 1856 r. spędzałem na wsi u moich rodziców, dopomagając ojcu w gospodarstwie, odwiedzając sąsiadów, krewnych i znajomych i biorąc udział w towarzyskich zabawach i rozrywkach. Corocznie 19 lipca obchodzili rodzice moi imieniny najstarszej córki a siostry mojej Wincenty, zaś 30 sierpnia był dniem patrona matki mojej Aleksandry. Jedyne to uroczystości rodzinne, w których i ja brałem udział jako w przypadających na czas wakacyj.

Powróciwszy do Kijowa w jesieni 1856 r., rozpocząłem mój kurs trzeci. Wykłady obejmowały przedmioty już czysto lekarskie. Terapji ogólnej, farmakologji i receptury nauczał nas bezdarnie i bezbarwnie nudny ale poczciwy Niemczysko Becker. Skandalicznie niedołężnie wykładał fizjologję zupełny nieuk jako profesor, Miram; nie był on wszakże takim jako dziekan; do najwyższego stopnia bezstronny i sprawiedliwy ratował nieraz studentów od zemsty lub niechęci osobistej mniej sumiennych egzaminatorów, za co go wszycy ceniliśmy. Inne przedmioty wykładali: terapję szczegółową dobrym językiem, ale bez wielkiego talentu prof. Alferiew, chirurgję zaś teoretyczną Kurlandczyk, znający nieźle język rosyjski, ale mający wymowę szkaradną, Christian von Huebenett. Akuszerję, choroby kobiece i dziecinne, jasno, zwięźle, ale z pominięciem ostatnich zdobyczy nauki wykładał Matwiejew, patologję zaś i anatomję patologiczną zawile i niejasno zupełnie niezrozumiałym rosyjsko-niemieckim żargonem Mazon. Wykłady policji lekarskiej i higjeny, wygłaszane zrozumiale i poprawnym językiem, acz bez wielkiego talentu, miał Erhardt. Chirurgji operacyjnej i anatomji chirurgicznej uczył Korowajew, głęboki znawca przedmiotu swego w kierunku praktycznym, wykładający z wielką prostotą i jasnością. Najznakomitsze co do treści były odczyty z dziedziny terapji i kliniki terapeutycznej prof. Moeringa, zastępcy Cycuryna, któremu polecono organizację akademji medycznej w Warszawie. Wobec tego, iż większość profesorów nie stała na wysokości swego zadania, zmuszeni byliśmy szu-



Fig. 36. Grupa Purystów. 1. Włodzimierz Antonowicz, 2. A. Pietkiewicz, 3. Zenon Walicki, 4. Tadeusz Orzechowski, 5. Józef Kościałkowski, 6. Jul. Orzechowski.

kać specjalnej wiedzy w książkach i prywatnych kursach, oddzielnie płatnych, jak fizjologji wykładanej przez Waltera i ćwiczeń chirurgicznych pod kierunkiem Izydora Kopernickiego.

W stosunkach moich koleżeńskich zaszły w początku trzeciego kursu bardzo znaczne zmiany. Zrażony do towarzystwa, w którem spędziłem cały drugi rok kursów i pragnąc co najrychlej z tego otoczenia się wycofać, nająłem wspólnie z kolegą o parę lat starszym ode mnie, żytomierzaninem, Adolfem Kruczkowskim, jedynym synem kasjera niegdyś liceum krzemienieckiego, urodzonym z Madalińskiej, jeden obszerny pokój na pierwszem piętrze przy ulicy Wasilkowskiej w oficynie domu stolarza Fahlera. Obok nas zamieszkał świeżo przybyły z Wołynia Edward Jełowicki, syn Edwarda z linji aresztowskiej. Był to młodzieniec bardzo piękny, miły, rozumny i wykształcony, a chociaż kulawy i bardzo jeszcze młody, a więc nie dostatecznie wyrobiony, zachwycał wszystkich bez różnicy płci i wieku.

Ze zmianą współmieszkańców zmieniły się i dalsze koleżeńskie stosunki. Uchylając się od wesołego towarzystwa, starałem się zbliżyć się do ludzi głębszej myśli narodowej i wytrwałej pracy. W naszem ówczesnem gronie coraz bardziej począł zwracać na siebie uwagę powszechną kolegów niezbyt już młody student czwartego kursu medycyny, Fortunat Nowicki, wołyniak. Kształcił się on zrazu w Łucku, klasę czwartą przeszedł w żytomierskiem gimnazjum, ostatnie zaś trzy ukończył z odznaczeniem w rówieńskiem. Następnie przez lat kilka w charakterze prywatnego nauczyciela gromadził środki dla zdobycia możności wstąpienia na uniwersytet, był bowiem sierotą bez żadnych prawie zasobów materjalnych. Gdy więc został studentem, znał już życie i ciężkie jego warunki z własnego doświadczenia. Jako człowiek głębokich, acz nieco jednostronnych przekonań i żelaznej woli, z jasno wytkniętym kierunkiem, ściśle demokratycznym i narodowym, mógł z wielu względów być dobrym przykładem dla młodszych swoich towarzyszów. Znałem go dawniej, ale dopiero w tym okresie, gdym szukał drogi właściwej do wyrabiania w sobie cnót obywatelskich i zaprawiania się do sumiennego pełnienia obowiązków, starałem się doń zbliżyć i zawiązać serdeczniejszy

stosunek. 12-go października 1856 r. jako w dniu urodzin Nowickiego złożyłem mu życzenia moje i zostałem zaproszony na wieczór na herbatę, gdzie przybywszy znalazłem się w towarzystwie wołyniaków: Włodzimierza Milowicza, prawnika, Jana Zaleskiego, Jana Wesołowskiego, Gustawa Hartmana, Edwarda Naskręckiego, Zenona Maliszewskiego, medyków, i Ludwika Żytyńskiego literata, podolaków: Włodzimierza Antonowicza literata, braci: Juljusza matematyka i Tadeusza medyka Orzechowskich, ukraińców: Gustawa Rakowskiego z wydziału matematycznego i brata jego Tadeusza medyka, tudzież słuchacza medycyny Michała Tomaszewskiego, wreszcie litwinów z Białej Rusi: braci Oskierków, Szczęsnego prawnika i Witolda przyrodnika oraz medyka Cypryńskiego-Ciekawego. Z Korony był tylko jeden Edward Bondi. Musiało być jeszcze kilku, których mogłem przeoczyć lub których nazwiska wypadły mi z pamięci, wszystkich nas bowiem zebrało się przeszło dwudziestu.

Przyjęcie było bardzo skromne: herbata i kluski z serem zakończone szklanką piwa — oto wszystko! Ale za to deser był godzien gospodarza, który wystąpił z przemową do swych gości, a karcąc usterki wśród polskiej uniwersyteckiej młodzieży, wstyd całemu ogółowi przynoszące, zaproponował, aby nazajutrz w całym naszym obecnym składzie stanąć przed obliczem zwołanych do sali ogłoszeń kolegów i napiętnować z imienia i nazwiska tych, co nam ujmę postępowaniem swem przynosili. Wszyscy zgodzili się na wniosek Nowickiego, poczem z wielką oględnością ułożoną została lista osób, którym zarzucano postępki uwłaczające stanowisku studenta. Zkolei podzielono się zajęciami przygotowawczemi do zwołania wiecu i złożono uroczyste słowo honoru stawienia się nieodwołalnie nazajutrz o godzinie 12-ej w południe w wielkiej sali uniwersyteckiej, gdzie się zazwyczaj wywieszały wszelkie rozporządzenia władzy.

I spełniliśmy nasze obietnice jako jeden mąż, poruszywszy naszemi wezwaniami w godzinach rannych całą prawie młodzież uniwersytecką, rozprószoną po audytorjach, gabinetach, klinikach, teatrze anatomicznym i t. d. Nowicki, otoczony przez nas, wystąpił na środek sali i odezwał się do zgromadzonych doniosłym głosem, a wykazawszy ideały w życiu studenta kar-

cił to wszystko, co te ideały kala, zatraca i poniewiera. Potem wymienił z nazwiska i imienia tych kolegów, których uczynki na ciężką naganę zasługiwały. Nie powtarzam tych nazwisk ze względu na to, iż w życiu późniejszem wielu, co je nosili, uczciwem postępowaniem zdołało zatrzeć złe wspomnienia z okresu pierwszej młodości. Gdy mówca zamilkł, zrobił się huczek niemały; jedni byli za nami, inni głośno na nas napadali jako na nieupoważnionych karcicieli moralistów. To też przezwano nas naprędce przedrzeźniając „Purystami", a gdy się dowiedziano, że cała ta sprawa po spożyciu klusek powstała, „Kluskożercami".

Nazajutrz 13 października w dniu ś-tego Edwarda było wielu solenizantów, podejmował nas wszakże tego wieczora Edward Jełowicki, u którego zebrało się przeszło ośmdziesięciu kolegów, tak iż moje mieszkanie przyłączonem zostało do lokalu sąsiada na czas przyjęcia. Treścią rozmów dnia tego były dysputy o świeżych, bo wczorajszych wypadkach. I dni następnych o niczem prawie innem wśród młodzieży nie mówiono. Wkońcu wynikiem długich sporów był wybór delegatów od wszystkich fakultetów i kursów z poleceniem zbadania sprawy w szczegółach. Przed tą delegacją całego uniwersytetu stawili się przedstawiciele naszej oskarżonej o puryzm dwudziestki tudzież obrońcy obwinionych, przyczem udowodniliśmy, że zarzuty były uzasadnione.

Jednocześnie prawie z naszkicowanemi przeze mnie wypadkami zaczęła wychodzić pisana gazetka, sprawom życia studenckiego poświęcona, a pełna prawdziwego dowcipu, zatytułowana „Bigos". Cały ten wybuch długo tłumionej opinji obudził lepsze objawy w życiu zbiorowem młodzieży, uśpionej chwilowo, ale przechowującej w głębi duszy szlachetne ideały. I życie to potęgowało się, rosło i rozwijało, zwiększając liczebnie z dniem każdym grono pierwotnych purystów i grupując wkoło nich coraz wyraźniej wszystkie dodatnie pierwiastki. Istniejące od dawna, bo od roku 1848, ale słabo rozwijające się dotąd urządzenia, jak bibljoteka z czytelnią i „pomoc bratnia" ożywiły się do niepoznania. Hulanki, orgje, bachanalje studenckie, znikły jak na skinienie czarodziejskiej różdżki lub kryć się musiały starannie przed czujnem okiem koleżeńskiej, wszystko wiedzącej kontroli. Skutki więc wystąpienia naszego były widoczne i ko-

rzystne. Nieraz potem podziwialiśmy sami cywilną odwagę, jakiej złożyliśmy dowody w dniu 13 października. Mogli nas roztratować; i niezaprzeczenie była chwila, w której ten smutny objaw nam zagrażał; przemogły wszakże zacniejsze prądy wśród młodzieży, a gorzkie słowa prawdy powszechny prawie poklask zyskały! W dalszym ciągu rozwoju studenckiego życia na nowych podstawach nie obeszło się w gronie purystów bez pewnej przesady. Zarzekano się kart, wina i dogadzania wszelkim słabostkom, na co niektórzy składali nawet z własnego popędu uroczyste przysięgi. Naturalnie, iż te ascetyczne postanowienia znaleść musiały kres swój w krewkości ludzkiej, ale stopa etyki moralności wśród ogółu studenckiego wzniosła się na wyżyny dotąd niepraktykowane! Młodzież nasza wyglądała wspaniale i bardzo sympatycznie.

Święta Bożego Narodzenia przerwały chwilowo nowo obudzone prądy, a więc zgromadzenia, dysputy i t. p. Po świętach, zaledwie zjechaliśmy się, nadeszły kontrakty. Każdy z nas witał krewnych i znajomych, a wszyscy interesowali się nowym wśród młodzieży kierunkiem, tak, iż węzły łączące studentów z prowincją i miastem mocniej się zacisnęły, a z opinją młodzieży jako prawie jednolitą poczęto się rachować. Obudzone nowe życie wywołało również kilka okolicznościowych utworów poetyckich. Przypominam sobie króciutki obrazek dramatyczny studenta Jana Nowakowskiego, wskazujący kolegom w formie mistycznej zadania i ideały, do których dążyć powinni. Przepisywano ten utwór i odczytywano na zebraniach z wielkiem powodzeniem. Posiadałem go na własność, ale w obawie rewizji został wraz z wielu pamiątkami zniszczony w 1863 r. Wkrótce po mojem przybyciu do Kijowa zaczęły krążyć pomiędzy młodzieżą utwory studenta Tadeusza Komara z Augustowskiego, nacechowane wyższym talentem. Z pierwszemi próbkami pióra tego zdolnego kolegi zapoznałem się już; tu zaś opowiem, w jakich okolicznościach byłem świadkiem odczytania najsympatyczniejszego z jego utworów.

W czasie kontraktów kijowskich w lutym 1857 r., jak i lat uprzednich było dużo koncertów, a wśród artystów wyróżniali się: wiolonczelista Servais i skrzypek Apolinary Kątski. Ci panowie posprzeczali się z sobą z powodu, iż obaj pragnęli kon-

certować wcześniej. Servais'emu udało się zdobyć scenę wśród największego zjazdu i stąd przyszło do zajść dość ostrych z Kątskim. Pragnąc polepszyć warunki swego koncertu, ułożył ten ostatni program przeważnie narodowy tak co do kompozytorów jako też i co do motywów, otwierając przytem wejście na scenę dla uczącej się młodzieży po 25 kop. za bilet. Przedsięwzięte środki okazały się nad wszelki wyraz skuteczne. Kątskiego w najlepszej wierze wnoszono na rękach na estradę i wynoszono z niej wśród grzmotu oklasków, a że przytem było kilka kawałków nad program i to jedne od drugich lepsze, a wszystko znakomicie wykonane, zapał doszedł do szczytu! Powodzenie koncertanta zaćmiło zupełnie Servais'go, o co zdaje się głównie chodziło Kątskiemu, który, jak znacznie później dowiedzieliśmy się, dobrą opinją nie cieszył się wcale[1]).

Na scenie oprócz studentów było kilku kontraktowiczów i literatów, w ich liczbie i Adolf Pilchowski, były oficer z pułku Karola Różyckiego z 1831, naówczas obywatel ziemski z Ukrainy, oraz mąż jego siostrzenicy Bobrowskiej, Apolinary Korzeniowski, zwany Apollem. Fortunat Nowicki urządzał właśnie dnia tego koleżeńskie zebranie u siebie, na którem chciał mieć wyżej wspomnianych dwóch przyjezdnych gości, Pilchowskiego i Korzeniowskiego. Zaprasza więc pierwszego z nich po skończonym koncercie, a gdy się tłok zrobił i nie mógł do drugiego docisnąć się, widząc, iż stoją blisko siebie, woła na głos do Pilchowskiego: „Panie Adolfie, proś w mojem imieniu pana Apolinarego". Pilchowski zapomina narazie o swym krewnym Korzeniowskim, a tak ma głowę nabitą Apolinarym Kątskim, że zbliża się do tego ostatniego i zaprasza go w imieniu młodzieży na wieczorek studencki do mieszkania Nowickiego. Przerażony tą omyłką, p. Fortunat rzuca się w pierwszej chwili, by jej zapobiec, ale widząc z gestów, że zaprosiny mile zostały przyjęte, chwyta nas kilku i proponuje składkę, by swój prywatny wieczorek zamienić nagle w raut artystyczno-studencki.

Nowicki mieszkał w dwóch pokoikach przy ulicy Włodzimierskiej blisko uniwersytetu, a więc niedaleko i od teatru, na

[1]) Apolinary Kątski (1826—1879), słynny wirtuoz skrzypek i zarazem wybitny kompozytor, zasłużył się szczególniej przez założenie Instytutu Muzycznego w Warszawie w r. 1861. (Przyp. Wyd.).

którego scenie odbył się wspomniany koncert. Należało działać z szybkością błyskawicy, by zatrzeć ślady nieprzygotowania. Poleciwszy więc, komu się dało, kwestję zakupów trunków i przekąsek, wpadł najpierw do swej gospodyni i donajął na ten wieczór trzy przyległe do jego mieszkania pokoje, które niezwłocznie opalono; i tylko temu, zupełnie wypadkowemu a szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zawdzięczaliśmy, iż wieczór nie zamienił się w tłok, któryby go pozbawił wszelkiego uroku. Zapewniwszy sobie zwiększenie lokalu, trzeba było pomyśleć o powiększeniu liczby potraw gorącej kolacji, co również pomyślnie załatwionem zostało. Tak więc w ciągu niecałej godziny zorganizowało się przygotowanie do przyjęcia niespodziewanego gościa i znacznie zwiększonego grona kolegów. Kątski przyjechał zaledwie około 12 w nocy; młodzieży zeszło się niemało przed nim, a maruderzy wciąż nadchodzili jeszcze tak, że liczba gości urosła wkońcu do poważnej cyfry około 60 osób. W gronie naszem znalazł się młody wieszcz, którego poezje, acz w tendencjach krańcowe, zachwycały i porywały wielu wśród młodzieży, o ile dostawały się w odpisach do szerszych kół studenckich. Nieznany dotąd większy utwór Komara, o którym przed chwilą wspominałem, był przygotowany, aby go przy panu Apollonie Korzeniowskim jako znanym literacie odczytać. Był on może za długi dla głośnego czytania; tak wszakże zebrani dnia tego byli owiani atmosferą artystyczno-literacką dzięki koncertantowi, że ani słuchać chciano o odczytaniu tylko wyjątków i na żądanie obecnych niezwłocznie po herbacie wygłosił Nowicki wiersz zatytułowany:

WCZORAJ I DZIŚ.

Wczoraj tak sławne, tak urocze było,
Tak się szlachetnym laurem zieleniło!
Wiódł Biały Orzeł skrzydlatych husarzy
O orlim wzroku i wąsatej twarzy
Za cześć i całość ojczystych ołtarzy
Z bojów na boje, od ziemi do ziemi!
Od Euxynu do wód bursztynowych,
Od białej Łaby do progów Dnieprowych
Grzmieli rozgłośnie piersiami turzemi
Świętą pochodu pieśń „Boga Rodzicy"
Orle wnuczęta, rycerze-rolnicy!...

I pieśń tę nucąc, ostrzem dzid husarskich
Z Polski gościnnych, otworzystych progów,
Jak miotła gniewów Bożych mietli zgraję wrogów,
I w takt tej pieśni szabla w dłoniach dziarskich
Po łbach moskiewskich, szwabskich i tatarskich,
Aż w niebie słychać, rozgłośnie dźwięczała,
Po grzbietach wrażych w pogoni orała.
Spytajcie o tem błoni Obertyna,
Grünwaldu, Orszy, Wiednia i Kłuszyna!
Dziwniż to byli ci wczorajsi ludzie,
O których mówią dzisiaj jak o cudzie.
Ów król wolności, z stutysięczną głową,
Z dłonią na szabli, a z serdeczną mową,
Z dumą książęcą pod strzechą ubogą.
Ów wszystkim równy, niższy od nikogo,
Naród szlachecki. Szabla mu do dłoni,
Zbroja do ciała, a ciało do koni
Zdaje się wrosły; bo zbroję zdejmował
Na krótko tylko na rodziny łonie.
Konno do lubej i na bój cwałował,
Konno na sejmik. I z szablą pracował
Na potem ojców zroszonym zagonie.
Pług mu i rola najmilsza zabawa,
Tańcem mu była wojenna wyprawa.
Gotów dać głowę k'woli przodków wierze,
Kiedy się modlił, to modlił tak szczerze,
Aż łzy gołębie z orlich ócz się lały;
Gdy szablą rąbał, aż skry się sypały;
A kiedy według starego zwyczaju
Wici wzywały na obronę kraju,
Jak z gniazd sokoły, lotem błyskawicy
Biegli z pól swoich rycerze-rolnicy.
A przed ich męstwem, jak śniegu nawały
Przed żarem słońca, tajał wróg zuchwały
I spływał krwawym ucieczki potokiem,
Trupami w polskie wsiąkając zagony.
A gdy bój zagasł, westchnieniem szerokiem
Szląc dzięki niebu, że wróg poskromiony,
Te pyszne orły, srogie lwy przed wrogiem,
Zdjąwszy z ciał zbroje, a z serc, butę, męstwo,
Byli jak korne baranki przed Bogiem,
Na Jego łaskę składając zwycięstwo!

Strasznym brat szlachcic dla wrogów był w boju,
Lecz ujrz którego z chrobrych towarzyszy,
Kiedy na siebie wdział kontusz pokoju

W błogiej ogniska domowego ciszy,
To każden taki szlachetny, kochany,
Sercem by ogrzał i lodowe ściany;
Ani byś poznał pewno w tym rolniku,
Który się krząta wśród rozlicznych wozów,
Śród stad i pługów, śród żniwiarzy szyku,
Błogosławionym potem pracy zlany,
Tego lwa, orła, bitew i obozów.
Patrz, jak obstając za wolności sprawą
Pychę obrzuca wzgardą i niesławą,
Jak murem staje samolubnej dumie!
Patrz, jak za prawdę zastawić się umie,
Choć szabli dobyć, choć nałożyć głową.
A zobacz jeszcze, kiedy w obrad kole
Siędzie z powagą i myślą na czole,
Choćby mu przyszło przyznać prawdę wrogu,
Choćby mu przyszło otwarcie i śmiało
Wypalić w oczy gorzkiej prawdy słowo
Ojcu, królowi, choćby nawet Bogu,
Gdyby się Bogu przeczyć podobało!

A spójrz nań jeszcze w chwilach wesołości,
Gdy w cześć domowej lub świętej rocznicy
Zasiędzie w gronie kontuszowych gości
Do sutej misy i pełnej szklanicy;
Jakże serdecznie i szczerze zaprasza
Na to, co Bóg dał, czem chata bogata!
Kłania się prosząc — i jeszcze przeprasza,
Że nie ma przyjąć czemś godniejszem brata.
Chociaż mu głowę zdobi szron sędziwy,
Mową i ruchem to jak młodzian żywy!
A gdy krew żywą węgrzyn rozweseli,
Sercem i duszą z tobą się podzieli.
To choćby wówczas tatarskiego chana
Lub cara Moskwy lub też Sudermana
Los jakiś dziwny przyniósł w jego progi,
To by zapomniał szlachetnie, że wrogi,
I swego miejsca przy stole ustąpił,
A ugoszczenia i serca nie skąpił!
O! z takim mężem, gdy ci się zdarzyło
Na jednej ławie siedzieć przed kominem
I z parę godzin przegawędzić miło
I ochrzcić wspólną znajomość węgrzynem,
Gdy przytem serce i twoje i jego
Na jedną nutę w szczery takt zabiło,
To możesz jakby na siebie samego



Fig. 37. Grupa Purystów. Od góry: 1. Wład. Kamieński, 2. Leon Głowacki, 3. Gustaw Hartman, 4. Edward Naskręcki, 5. Wład. Kozłowski, niżej 1. Tadeusz Rakowski, 2. Zenon Maliszewski, 3. Wacław Lasocki.

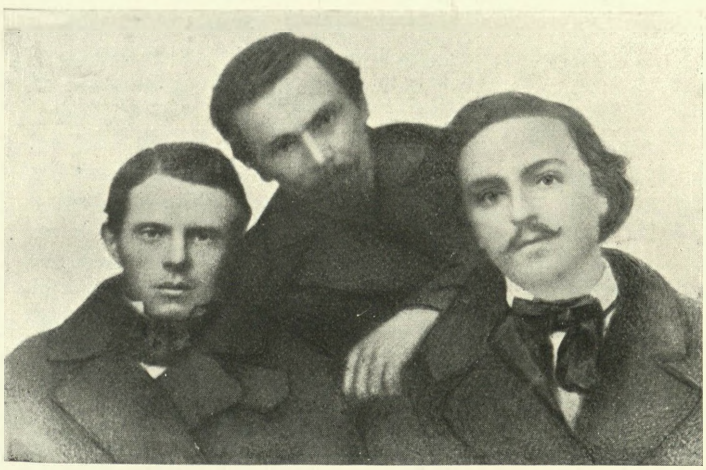


Fig. 38. Adolf Kruczkowski, Leon Uszczapowski, Edward Jełowiecki.

Liczyć na niego — i zawsze i wszędzie!
Powierz mu śmiało swój honor, swe mienie,
I młodą żonę, życie i sumienie,
Ciałem i duszą strzec i bronić będzie,
Więcej niż swoje i lepiej od ciebie;
Nagród nie przyjmie, choć gotów w potrzebie
I własnem dobrem za tę straż zapłacić,
Niźli zdźbło słomy z twego dobra stracić.
Chcesz z nim żyć w zgodzie, to noga przy nodze,
Serce przy sercu, po życia idź drodze,
I w ład ci pójdzie z takim współwędrowcem,
Bo chodzić krzywym nie lubi manowcem.

Ale nie radzę zaciąć się z tym mężem
I wleźć mu w drogę ostem albo wężem,
Bo jako wulkan serce nosi w łonie.
Niech tam najmniejsza iskierka upadnie,
Do dna się wzruszy i wybuchnie snadnie,
Zemsty i gniewu lawą cię pochłonie!
A jednak... strap go krzywd ciężkich tysiącem,
A przyjdź doń potem z sercem żałującem
I dłoń ścisnąwszy rzeknij „przebacz bracie“,
Pierzchnie mu z piersi chęć zemsty zawzięta,
Bratniej wymówki wzrokiem spojrzy na cię,
I ze znaczącem głębokiem westchnieniem
Rzeknie ci tylko: „Niech Bóg nie pamięta“
I zgodę stwierdzi bratniem uściśnieniem.
Lecz jeśliś drasnął jego cześć szlachecką,
A cześć swą ceni on więcej od siebie,
I bardziej kocha niż matka swe dziecko,
To nieprzebaczy, chyba tylko w niebie,
I chyba wtedy, gdy Pan Bóg rozkaże,
Ale na ziemi głowie twojej biada!
Otwartą wojnę tobie wypowiada,
A krwią, dopóki obelgi nie zmaże,
Jak czarownicy złośliwe nasłanie,
Jak kara Boża nie łatwo odstanie,
Wykręt chodź djabli nic tutaj nie nada;
Bo on jak sokół otwarcie i śmiało
Z góry i w oczy, nie z boku napada;
To jeśli bracie, nie z ciasta masz ciało,
Z szablą staw czoło szlachetnemu wrogu,
A duszę swoją poleć Panu Bogu,
Bo twój przeciwnik, rębacz znakomity,
Ostrą ma szablę, co na poły płata;
A jeśliś, bracie, jest tchórzem podszyty,

To zmykaj lepiej choć na koniec świata,
Bo nikt się odeń sianem nie wykręci
I nie wymodlą nawet wszyscy święci...

A przecież mąż ów, kiedy wziął się księgi,
Ze czcią wychodził i nie podrwił sprawy.
I tu, jak zawsze, śmiały, wolny, prawy,
Przez rozumowań zdradzających kręgi,
Przez kłamstwa złudzeń i zwątpień zawody
Jako na wroga wstępnym godził bojem,
Zmiatając chytre zasadzki i zdrady,
Zdążał do prawdy po polsku, przebojem,
I ciął rozumem przy pochodni wiary
Uczone węzły, jak szablą Tatary.
Nieprawdaż? Zaświadcz boski Koperniku!
Coś wzlatał duchem aż nad mleczne smugi
I mimo ciemnych bluźnierców okrzyku
Rozkazał słońcu stanąć po raz drugi;
I sam jak słońce, w rozumu wszechświecie,
Noweś dał życie nie jednej planecie.
Świadcz za swych ziomków astronomie prawy,
Co jako gwiazdy nad Polską błyszczeli,
Lecz gasną w świetle twej słonecznej sławy,
Bo twoją sławą świat się z nami dzieli.
A przecież mąż ów miał dłoń równie wprawną
Do ciężkiej szabli i pióra lekkiego,
I w wielkiej ciszy, czasu sposobnego,
Mową od serca, a solą zaprawną,
Pismem szerokiem, jakby szablą skreślał
Ku pożytkowi braci i ojczyzny...
Spisywał sobie, co czynił, co myślał,
Gdzie z wrogiem tańczył, gdzie odebrał blizny,
Jak to hulali panowie husarze,
Jacy to wtedy byli dygnitarze;
Na jakim kto z mową wystąpił sejmiku,
Jak o tem stoi w Paska pamiętniku.
A przecież mąż ów, kiedy chwycił lutnię
I przygrywając wesoło lub smutnie
Nucił rozgłośnie piersiami zdrowemi
Polską, a choćby starej Romy mową,
Pieśni o Bogu lub o polskiej ziemi,
W tak wdzięczny wieniec wiązało się słowo,
Że go i Polska z radością słuchała
I w takt klaskała Europa cała!

Świetnaż bo była takich synów matka,
Zdradnych narodów szlachetna sąsiadka,

Dwóch mórz, rzek siedmiu, wielowładna pani,
Ludzkością, krasą, męstwem znakomita,
Przesławna, polska, ta Rzeczpospolita!...
I była Polska jak wielkim kościołem,
Gdzie różnowierca z prawowiernym społem
Równe miał każdy prawo po swojemu
Zasyłać modły Stwórcy Najwyższemu.
A w świecie wówczas, krzyż, godło zbawienia,
Stał się narodom różdżką udręczenia,
Do krwi bijącym knutem w ręku kata!
Fanatyzm, zlęgły w brudach szat kapłana,
Syn kazirodny wiary i szatana,
Harcował w cyrku chrześciańskiego świata
I jak przed wieki lew w cyrku Cezara
Żłopał krew chrześcian w Zbawiciela imię,
Bratu dał w dłonie krwawy miecz na brata,
Utrapił ludy, jakby Boska kara,
I wzniósł klątw kuźnie w katolickim Rzymie;
A krzyż, co łaski lśnił wprzódy tęczami,
Dziś zczernion w stosów gorejącym dymie,
Splugawion krwawo Judaszów ustami,
Jak znamię groźby ciążył nad ludami.
I była Polska w owoczesnym świecie,
Jak dwór gościnny w kupieckim powiecie,
Kędy wrót sknerstwo kupieckie nie strzegło,
I dokąd drogi zielsko nie zaległo,
Kędy nie brakło na sercu i chlebie,
Żeby go z bliźnim podzielić w potrzebie;
Kędy przechodniom nie zabrakło strzechy,
Ubogim wsparcia, strapionym pociechy!
Drogę do Polski znali cudzoziemcy,
Wykrętne Włochy i niesyte Niemcy,
I Gall po szczęście do Polski wędrował,
Dobrze bo widać chleb polski smakował.

I była Polska, sławnych czasów onych,
Wśród samolubnych monarchij Zachodu
Nakształt możnego granicznego grodu,
Gdzie zamiast murów zbrojno najeżonych,
Zapędy wroga na wodzy trzymała
Czapka rogata i poły kontusza,
A pod kontuszem prawa polska dusza!
A w grodzie onym od wieków mieszkała:
Dzielna, rycerska, serdeczna rodzina.
Bracią szlachetną zwała się w pokoju,
A towarzystwem w obozie lub boju...

A męstwo w spadku szło z ojca na syna!
Jak w dawnej Sparcie — osiwiałej głowie
Cześć tam czyniono! Sędziwi ojcowie
Jak patryjarchy na łonie rodziny
W grozie i cnocie chowali swe syny
Według świętego dziadów obyczaju
Ku chwale Bożej i posłudze kraju!
A mąż, co wyszedł z tej szkoły domowej,
Pełne miał wiary i miłości łono!
Dziarsko mu serce biło w piersi zdrowej,
A nie ostygło, chyba w zimnym grobie!...
A jeść go kaszy szydłem nie uczono,
A do tej kaszy nie dał naplwać sobie!...
Zuch był do korda, do pióra, do rady,
Do dziew, do koni i do ostrej zwady.
Zuch był do tańca i zuch do puhara,
Djabła się nie zląkł, a tem bardziej wroga,
Przez łeb się rąbał, chwaląc Pana Boga,
Wiodła przez życia manowce go wiara,
A twardą duszę na losy miał twarde.
A ród ich z dziada Lachy butne, harde,
A z ojca Piasta serdeczni Polanie.

I była Polska — jako niespożyta
Krzyża, wolności, ludzkości strażnica,
Licznemi szturmy w dziejach znakomita.
A bracia szlachta, jak jedna szablica,
Co rzadko w pochwie, częściej była w dłoni,
Dźwięcząc sypała iskry z wrażej broni,
Lub raczej była jako rycerz prawy
Gotów dla dobrej poświęcić się sprawy,
Co gardził zyskiem, a bił się dla sławy!
Wszak pod Lignicą owych czasów Polska
Za ludzkość Krzyża krwawo się pociła;
A owa straszna nawała mongolska,
Przed którą Azja kornie czołem biła,
A Europa w trwodze się rozjękła,
O mężne polskie piersi się rozpękła
Jakby uragan o skały tatrzańskie,
I upłynęła w stepy nadwołżańskie,
Jakby własnego zwycięstwa się zlękła!
Wszak pod Chocimem, wstrzymana, złamana,
Pół miljonowa potęga Osmana
Ostrzem dzid lackich, niby zwierz zażarty
Dzielnym oszczepem myśliwca odparty!
Wszak sławnych czasów za Jana Trzeciego

Pod Wiedniem polskiej swobodnej ptak ziemi
Szlachetnie skrzydły zasłonił swojemi
Przed półksiężycem orła Habsburskiego!

Szeroko Polski progi się rozbiegły;
Nimfy Bałtyku na jej rozkaz biegły
Stroić w bursztyny złotowłosą panią,
A stopy w czarnym kąpała Limanie,
Kolana w kwiecie i kłosy wieńczyły
Drużki rusałki, po Ładzie pokrewne.
Wiatr jej stepowy śpiewał dumki rzewne,
A arfy w Dnieprze jej sławę dzwoniły;
A biały anioł od progu wschodniego
Stał z promienistym bułatem na straży;
A wolna Pani z majestatem w twarzy
Jako Minerwa wzroku błękitnego
Na wschód i zachód dłonie rozpostarła:
Prawą na śniegach Karpatów oparła,
A z lewą splotła dłoń swą siostra miła,
Serdeczna Litwa, rozkochana księżna.
W krasy i siły młodym majestacie
Dumna, serdeczna, mądra i orężna,
Siostra dla obcych, matka własnych dzieci.
Na monarszego jej płaszcza szkarłacie
Jako gwiazd siedm, siedm stolic świeci!
A z jej przeszłości tchnie westchnienie chwały.
Stawił przed królem i sejmowem kołem
Koronny hetman srogie Moskwy cary;
W schylonym hołdzie powiewał płaszcz biały
Z wielkiego mistrza plec; i bili czołem
Pruskie kramnice, Wołoch hospodary,
Czołem hołdowne na Rusi książęta.
I z Bogiem była Polski sprawa święta,
I święci polscy słynęli w świat cały,
Pany chrześcijańskie niosły im pokłony.
Do dłoni polskiej garnęły się ludy,
Prosząc o pomoc, przyjaźń i braterstwo,
I niosąc w darze wierność i korony
Królewskim dzieciom, — a polskie rycerstwo
Miało dank męstwa, czy w otwartej bitwie,
Czyli też w męskiej na ostre gonitwie!

I bezprzykładnym obyczajem w dziejach
Na bratnią wspólność po losów kolejach
Sprzęgły dwa dzielne narody swe dłonie
Społecznym ślubem na podziw ludzkości.
Jako dwóch w jedno, dwa ludy się zlały,

Jak jedno serce, choć w podwójnem łonie,
Jako dwa dźwięki w muzyce wolności,
Jak na dwóch czołach wspólny wieniec chwały,
Jako dwa pola wśród herbu jednego,
Jako dwa ostrza miecza rycerskiego!
I Polak z chlubą nazwał się Litwinem,
A Litwin z dumą wolnej Polski synem!...

Och! o tem *wczoraj* śpiewałbym bez końca,
Bo pył wczorajszy, gdy serca doleci,
Buja w sto pieśni i wionie i świeci
Jak w kwiat pył roślin pod wejrzeniem słońca!
Wiele wspominać!... Wzdychać może więcej!
Na strun tysiącach pieśni sto tysięcy
Błogiego wczoraj chwały nie wydźwięczy
I tego *dzisiaj* hańby nie wyjęczy....
Ha! dzisiaj! hańba, piekło z temi słowy!
Och! takem błogo, tak rozkosznie marzył!...
Jak dech biegunów wionął wiatr grobowy,
Białym całunem okrył marzeń pole
I pot zapału zmroził na mem czole.

O! dziwnie jakoś moja lira szczękła;
W piersi mi chłodno i pieśń moja zlękła
Od słów ucieka... Lecz dośpiewać muszę,
Chociażbym z pieśnią wyzionąć miał duszę!
Niech ból w takt pieśni w mem sercu zabije!
Skończę pieśń bracia! Moja pieśń dwulica:
Jedną twarz błogość i uśmiech oświeca,
Laury i róże wieńczą błogie skronie;
Druga rękami spłakany wzrok kryje,
Kąsa w bezsilnej rozpaczy swe dłonie.
Szpetna, bo w grobów zabrudzona pleśni...
Więc dosłuchajcie mej dwulicej pieśni!
Wiele wspominać! wzdychać więcej jeszcze!
Wczoraj, jak sławne, jak zwycięskie „hura"
Z swobodnych piersi, a *Dzisiaj* złowieszcze
Jako brzemienna hańbą noc ponura,
Jak krwawe we łzach spłakane „niestety".

Wiele wspominać! więcej jeszcze wzdychać!
Nam by od postów wychudnąć w szkielety
I łzom by naszym nigdy nie wysychać!
Nam by ze wstydu kirem zakryć lice,
Nam by pokutną włożyć włosiennicę,
Rozedrzeć szaty i na swoje głowy
Zhańbione jarzmem posypać popiołem
I wziąć na pościel Matki głaz grobowy

I wołać, wołać, z świętym ojcem społem:
„Przed oczy Twoje Panie, winy nasze składamy
A karanie, które za nie odbieramy, przyrównywamy,
Karę za grzechy dobrze czujemy,
A jednak grzeszyć poprzestać nie chcemy".

Idzie wolna Pani!... widzę ją, trzy katy,
Kochanki piekieł, świadczący się niebem,
Płaszcz jej królewski rozdarli w trzy szmaty
I swe psy głodne karmili jej chlebem;
Wieńcem tortury jej czoło opletli,
Grobowym głazem jej stopy przygnietli,
Na nim krwią piszą: „z rozpusty skonała".
Widzę ją!... we łzach i krwi szata biała;
Ciało ujęte w potrójne kajdany;
Wjadły się w ciało, przegryzły do kości.

Gdzież jej ptak biały? biały ptak wolności?!
Czy go zerwały losów uragany?
I buja wisząc gdzieś tam pod chmurami?
I zanim spadnie z pomsty piorunami,
Karmi swą duszę piorunów piosnkami,
A dziób i szpony ostrzy w błyskawicy
I stamtąd zsyła na cierpień osłodę
Pani swej rosę z niebieskiej krynicy
I roni pióra gromami ochrzczone
Na bohaterów i wieszczów rozrodę?!
Może w dni owe łzawe i skrwawione
Dobre genjusze piekłu go wykradły,
W zaczarowane uniosły gdzieś kraje,
W starej zbroicy na sen go układły
I tam go strzegą, póki mocą cudu
Zniesie stalowe przyszłych dziejów jaje,
Z którego mściciel wylęgnie się ludu!
Czy mleczną drogą skargę przed tron Boga
O męczennicy poniósł zapomnianej
I chce wybłagać grom zemsty na wroga
I sprawiedliwość na ludów tyrany?

Gdzie Zaporoża sokoły udałe,
Pokrewne orła z stalowemi szpony?
Dum, bitw i stepów wychowańcy śmiałe?
Stróżliwe ptaki od pogańskiej strony?
Gdzież ci obrońcy słowiańskich gołębi,
Rodzone wrogi z czarnych wód jastrzębi?
Czy się ukryły pod płaszczem Bojana,
Słowiańskich piewców ojca, atamana?...
Czy pod cień skrzydeł anioła białego,

Jak biały orzeł czekać dnia wielkiego?
Smutno nad Dnieprem — nie tańczą rusałki,
Bo po kochankach, po mołojcach płaczą.
Głucho nad Dnieprem — i udałe śmiałki
W czajkach przez progów trzydzieści nie skaczą...

Grzmiałoż bo życie ponad temi wody,
Jak mary serca dziarskiego, młodego,
Gdzie śnią się sława, kochanie i boje,
Jak kraśne, jasne obrazki swobody...
W wolności stepach czasu wczorajszego
Dziarskich mołojców konne mknęły roje...
A powieść o nich... echo młodej sławy,
Jak sen rycerza na pobojowisku,
Z głową na siodle, w przeddzień ostrej sprawy
Jak pieśń przy wojów nucona ognisku...
Jakieś wznoszące łonem epopeje,
Z których dzielnością w serca mężów wieje...

Z nad Wołgi trzody przypełzły carycy,
Sokole gniazdo kruki złe opadły,
Jedyne dobro, swobodę, rozkradły,
Nie stało dziatwie Siczy, mołodycy!
I w stepach głucho, tęskno po kozaku,
Jak w sercu dziewy po miłym chłopaku...
Zmarniała dziatwa, tylko garstka mała,
Zbyt rozkochana w swobodzie kozaczej,
Podawszy skrzydła złej doli tułaczej
Za czarne wody z jękiem uleciała
I gdzieś zapadła przy gardle Dunaju
Słać nowe gniazdo w bisurmańskim kraju,
U dawnych wrogów prosić gościności,
Czy to nasienia czegoś tam w przyszłości!
Niema już Siczy, niema atamanów,
Co na żer krwawy sokoły wodzili!
Dniepr po nich tęskno przy porohach kwili,
A pług oracza orze pierś kurhanów.
Serdeczna prawda daleko gdzieś w niebie,
A po sokołach dziedziczy ród kruczy,
A stara sława o żebraczym chlebie
Z lirą skrzypiącą po Rusi się włóczy!

Złoto, zielono, młodo w Ukrainie;
W kwieciu, w zieleni, rozkosznie wzrok ginie.
Strudzi się Stentor, nim policzy snopy,
Lecz na serc niwie wcale nie zielono...
Ludzie nie bracia... a pany i chłopy,
Patrzą na siebie, ci zezem, ci z góry,



Fig. 39. Tadeusz Komar.

Jakby ich drużbę krwią Abla ochrzczono!
Wzrok tego ludu tęskny i ponury,
Choć takie jasne niebo doń się śmieje,
Lud ten sierota, u macochy dziecię,
Co biedne matki własnej nie pamięta.
Jakieś tam żywi zbłąkane nadzieje,
O jakimś lepszym śni w przeczuciu świecie,
Mgli się mu jakaś myśl wielka i święta;
Ale tej myśli biedny nie rozumie,
Czegoś chce biedny, a nazwać nie umie.

To lud, o bracia! Ach! ale panowie...
Lecz nic... — westchnienie za nich niech odpowie.
W jarzmie kark ludu, do jarzma przykuta
Dłoń panów drżąca od poklasków knuta:
Chłopskie żelazne — pańskie złote pęta.
Lecz obu gniecie hańba ołowiana!
Z pod serca chłopa i z pod tętna pana
Ssą krew o szyi czerwonej pisklęta,
W kale kradzieży zlęgłe pasorzyty;
A nad tem wszystkiem czarnych skrzydeł cienie
Jak groźne jakieś Boże dopuszczenie,
Jak znak złej wróżby, mgłą krwawą okryty,
Ohydną plamą ćmią niebios błękity.
Zazdrośne orlej i sokolej sławy,
Siały szatany, strute ziarno siały,
Aż wybujały plennie a szeroce,
Dały kwiat krwawy i krwawsze owoce,
A szał pijany zgłuszył dobrą wolę,
Zawrzało w łonach złą żądzą Kaina
I krwawym płaczem jękła Ukraina!

Lecz jeszcze dobra nie konaj nadziejo!
Nie stygnij serce, choć złe wiatry wieją!
Choć chmury z gradem nad nami zawisły,
Bracia z nad Niemna, z nad Dniepru i Wisły,
Do góry czoła! — i na serce dłonie!...
Pokutne hymny śpiewajmy, a w łonie
Ożywmy ducha polskiego, znicz święty!
A kto nań dmucha, zwątpieniem przeklęty!...
Prośmy o burze, w burzach nam zbawienie!
W burzach!... Prócz burzy w kosach i szablicy,
Nie w cudzoziemców zdradnej obietnicy!
Im sroższe grady, groźniejsze chmur cienie,
Tem śmielej, bracia, krzepmy się, radujmy
I milcząc ducha do czynów gotujmy;
Bo to w burz ryku przemawia duch Boży,

Co świat ku prawdzie wiedzie z kłamstw bezdroży,
Pod kurhanami przyszłych czynów słowo
Chrzczone nie ludzką lecz aniołów mową
Leży jak cudów nasienie zaklęte...
Czas się dopełnia i słowo dojrzewa.
Wejdą dnie one, te dnie już poczęte
We mgłach przyszłości. Czas skrzydłem powieje,
Bojan pieśń wojów słowiańskich zaśpiewa
I ziarno w groźbę tyranów dojrzeje!
A będzie o tem dobra wieść w narodzie,
A ziarno nakształt olbrzymiego drzewa
Grzbiet macierzysty kurhanu przebodzie,
Drzewo wybuja, szeroce, wysoce,
Pokryje ruską zdrowym cieniem ziemię
I wyda dobre kwiaty i owoce,
Nakarmi orle i sokole plemię!...
A lud poczuje w sobie szepty Boże,
A duch jak rzeka na wiosnę się wzmoże!
Hukną ku sobie od Niemna do Odry,
Od Kija grodu aż do Królów miasta,
Pod hasłem Łady, módlcy Radagasta,
Aż klaśnie raźno o progi Dniepr modry!
A w dni te biada złej sprawie świadczącym,
Biada królowym w one dnie rodzącym,
Biada łakomym prawnukom Odina
Za krew słowiańską — i za krew Litwina!...

. . . . . .

Grzmot oklasków i podrzucenie Komara w górę z przeciągłym okrzykiem „Hurra“, zakończyły czytanie. Nastrój stawał się tak jednolicie artystycznym, iż natarczywie prosić zaczęto Kątskiego, by zagrał. Tu pan Apolinary oświadczył, że tego wieczora grać miał u pani jenerał gubernatorowej, która znając jego obietnice bałamutne zabrała mu z koncertu do swej rezydencji skrzypce; nie chciał więc posyłając po nie zdradzić miejsca swego pobytu, boby go do Wasilczykowych porwano. Stanęło na tem, że sprowadzono instrument od studenta Wiktora Skibniewskiego mieszkającego w pobliżu. Kątski zrzucił frak, by ochłonąć z upału, i pełną dłonią sypał perły motywów obok mistrzowskiego wykonania. Przerywano mu deklamacjami; wkońcu uproszony raz jeszcze, zaimprowizował melodję, której dał miano: „Zgon wygnańca na obcej ziemi“.

I kompozycja i wykonanie wprawiły w zachwyt wszystkich, o co nietrudno było, co prawda, przy ówczesnem usposobieniu. Porwano na ręce i podrzucano Kątskiego, aż obawiać się można było, że takiego drobnego chrabąszcza, jakim był nasz artysta, uduszą potężne ramiona młodzieży! Wyszedł wszakże cało, a następnie wniesiony do sanek o białym już dniu udał się na spoczynek. My zaś, rozmarzeni utworem Komara i grą mistrza, długo nie mogliśmy zasnąć pod wpływem powtarzających się w wyobraźni naszej, miłych, a zaledwie przebrzmiałych tonów i milszych jeszcze nad nie dźwięków poezji swojskiej. Skrzypce, na których Kątski wyrył scyzorykiem swój monogram i datę, zostały złożone w prywatnej bibljotece studenckiej jako pamiątka; ale co się z niemi po zamknięciu tej bibljoteki skutkiem wypadków 1863 r. stało, nie wiem.

Zapoznawszy tu czytelników z pięknym utworem Komara, pragnę jednocześnie podzielić się z nimi całym dorobkiem poetyckim tego pełnego nadziei młodzieńca, o ile mi się udało ocalić go od zatracenia. Niestety, wielkie nadzieje, które budził rozwijający się talent tego naszego kolegi, skończyły się jak wiele innych rzeczy ludzkich na świetnych zapowiedziach tylko. Nałogowe nadużycie trunków i zgon przedwczesny nie pozwoliły mu stać się chlubą swego narodu!

Najpierwszym znanym mi utworem Komara była „Uczta szaleńców“ pod pseudonimem „r“ z olbrzymim talentem jak na początkującego napisana, ale nawskroś tchnąca nienawiścią do stanów przodujących w społeczeństwie. Podaję w dodatkach i dopisach i ten wiersz dla zachowania pewnej całości i przedstawienia stopniowego rozwoju tego młodego poety, a zarazem dla wykazania, jak wpływy trzeźwiej patrzących kolegów, a w liczbie ich, głównie Nowickiego, zdołały szybko wywrzeć zwrot stanowczy a pomyślny w umyśle Komara, którego wszystkie prawie pieśni są odtąd natchnione głęboką miłością kraju i chęcią budzenia jedności i braterstwa wśród ziomków, bez różnicy stanu, o czem się łatwo przekonać, odczytawszy następne zkolei utwory, jak: „Dzień Zaduszny“, szczególniej zaś przytoczony „Wczoraj i Dziś“. Podając w aneksach wyżej wymienione poezje Komara, dodałem do nich „Modlitwę do

szesnastoletniej“ w której malują się dzieje pierwszej gorącej miłości poety, oraz napisaną znacznie później: „Dumkę Niemnową“, wreszcie słynną swego czasu: „Brynkenjadę, z Bastyljadą.“ W tekście omówiłem tylko te z utworów, które potrzebują komentarzy, a więc: „Moim współrodakom Wszechnicy Kijowskiej“ i „Piosnkę na dzisiaj“, nadmieniając, iż tylko „Mądrość polska“ wydaną została w 1861 r. w Paryżu pod pseudonimem Ludomira, poświęcona Polakowi Aleksandrowi i Polce Klementynie (czytaj Aleksandrowi Potockiemu i Klementynie z Krajewskich Potockiej) i tej tu nie powtarzam [1]). Jedyną improwizację burszowską Komara do tej butelki i tych kieliszków, które tak smutny i zgubny wpływ na wielki talent i losy poety wywarły, przytaczam tu zaznaczając, iż była ona często powtarzaną na tych zebraniach koleżeńskich, na których podawano wino. — Oto ten krótki wiersz:

Butelko moja! na co nam kieliszki!
Na co, gdy chciałbym jednym haustem przelać
Twą mokrą duszę w me spragnione kiszki,
Ja miałbym ciebie w naparstki rozdzielać?
Które, nim w mojej mózgownicy błysną,
W ustach spragnionych parą się rozprysną!
I szklanki na co? precz z niemi,
Bursz prawy gdy pije z kolegami swemi,
Dla podtrzymania swej burszowskiej sławy
Szlachetne wino, rum i trunek wszelki
Łyka z butelki!

(Naśladowanie z Mickiewicza: „Kochanko moja, na co nam rozmowa?“)

Obok tej przemowy do wina powtarzam tu dialog ułożony przez przyjaciela Komara, Alfreda Kowalskiego, w języku rusińskim, a deklamowany często przez tegoż przy wychylaniu kieliszka wódki. Jest to niby rozmowa policjanta, pytającego wódkę o paszport.

---

[1]) Lasocki nie wiedział widocznie, że Komar ogłosił oprócz tego utwory swoje w pseudonimowym zbiorku p. t. *„Dumy i pieśni Ludomira“*. Wydał Tadeusz Zabużyński (Bendlikon 1865, str. 79). Znajdują się tam oba utwory skomentowane, a tylko pod zmienionemi napisami, mianowicie: „Bratnie słowo (Współtowarzyszom pracy i nauki“) i „Dumka na dzisiaj“. Notujemy jeszcze, że Komar umarł w Szwajcarji w r. 1871. (Przyp. Wyd.)

— A chto ty?
— Okowyta.
— A z czoho ty?
— Z żyta.
— A zwitki ty?
— Z neba.
— A hde idesz?
— Hde treba.
— A majesz ty pasport?
— Nema.
— (Tu wychylając kieliszek, kończy:) — „Ot tobi tiurma".

Po dłuższej przerwie, poświęconej pamięci kolegi Komara, powracam do spraw uniwersyteckich ogólniejszego znaczenia, które w owym czasie miały za główny cel swój dokonanie rozpoczętego dzieła oczyszczenia grona studentów z ludzi, co swą obecnością ujmę mu przynosili. Wobec obudzenia wielkiej drażliwości w opinji młodzieży nie ominięto żadnego karygodnego czynu bez wytknięcia go publicznie. To też jeszcze w czasie kontraktów wystąpiła sprawa, znana ówcześnie pod nazwą sprawy Teodora Cieszkowskiego. Miała ona rozgłos tak szeroki nie tylko wśród kolegów, ale i na całej Rusi, iż nie robię sobie najmniejszego skrupułu opisania jej szczegółowo z wymienieniem nazwiska. Pan Teodor, wołyniak, urodzony z Krasickiej, miał liczne rodzeństwo, z którego wyróżniał się jeden z braci Karol, znany później w szerokich kołach petersburskich jako prawnik, a następnie jako nabywca słynnego w dziejach Unji Horodła. W rodzinie swojej nie cieszył się Teodor uznaniem, a między studentami krążyły najrozmaitsze o jego niedokładności w sprawach pieniężnych anegdoty. Jako próbkę z przeszłości tego młodzieńca powtórzę tu głośną w swoim czasie historję. Opowiadano, że zaprosiwszy bogatego kawalera do domu rodziców swoich i uprzedziwszy, że to ma być starający się o jedną z sióstr, uprosił swego towarzysza o pożyczenie mu powozu i koni dla pojechania w sąsiedztwo, a zabrawszy cały zaprząg i służbę sprzedał konie i powóz w najbliższem miasteczku, odsyłając tylko służbę poszkodowanemu.

W czasie świąt Bożego Narodzenia 1856 r. powtarzano

sobie o jakiemś oszukaniu dorożkarza, który w ciągu trzech dni woził po mieście Cieszkowskiego i nic zato nie otrzymał. Ta głucha wieść przybrała zwolna kształty określone, gdy pokrzywdzony dorożkarz zaczął błagać znajomych mu studentów o zmuszenie Cieszkowskiego do wynagrodzenia mu krzywdy. Nie pomnę, kto sprawę wytoczył; wiem tylko, iż zarzut brzmiał, jako pan Teodor Cieszkowski po trzech dniach świątecznych jazdy dorożką wysiadł przed uniwersytetem, a pragnąc skryć się przed swym wierzycielem, woźnicą, umknął przez ogród botaniczny i tylko przypadkowo przy spotkaniu poznanym został przez poszkodowanego, co dało ostatniemu możność rozpoczęcia właściwych kroków mających na celu powetowanie szkody. Po nagromadzeniu dostatecznego materjału dowodowego cała sprawa oddaną została pod sąd koleżeński, który jednomyślnie uznał Cieszkowskiego winnym oszustwa z rozmysłem i skazał go na opuszczenie uniwersytetu w drodze podania prośby o uwolnienie z zastrzeżeniem, iż gdyby żądania kolegów dobrowolnie nie spełnił, zmuszeni będą zwrócić się do władzy z prośbą usunięcia go z ich grona. Wyrok ten odczytano głośno na ludnem zebraniu studentów w mojem mieszkaniu. Cieszkowski wysłuchał go w milczeniu, poczem zaczął łkać spazmatycznie; powszechnie zaś kochani i cenieni studenci a koledzy Cieszkowskiego, Stanisław Bardzki i Florjan Sawicki, medycy, zwrócili się do zgromadzonych sędziów, prosząc o chwilową zwłokę w wykonaniu wyroku, biorąc niejako na swą porękę osądzonego i zapewniając w jego imieniu, że się poprawi i weźmie do pracy. Nadto Bardzki oświadczył gotowość zabrania go do swojego mieszkania pod swój dozór moralny. Pełna uczuć szlachetnych młodzież z łatwością na to odroczenie wyroku przystała. W kilka dni po tem smutnem dla Cieszkowskiego przejściu dowiedzieliśmy się ze zdumieniem o nowym brudnym postępku tegoż; wyłudził on bowiem od gospodarza Bardzkiego pożyczkę 50 rs, tłumacząc się tem, iż pieniądze te potrzebne są jego koledze, którego on swoim kosztem utrzymuje. Ta czelność i skłonność do kłamstwa, wykrętów i szacherki, wybornie charakteryzują Cieszkowskiego, który obok tego zachował wszelkie pozory poprawy, uczęszczał na kliniki i wykłady, pracował w domu i zdawał się opanowywać wszystkie złe skłonności.

W walce z mętami, które wśród nas się rozwielmożniły, a przy obudzeniu opinji publicznej na powierzchnię spływać musiały, byłem jednym z najgorliwszych i najzapaleńszych. Drobna w istocie sprawa skutkiem zachowania się mego z temperamentem naówczas mi właściwym wciągnęła mię w awanturę, która się krwawym pojedynkiem skończyła. Opowiem szczegółowo i o tym wypadku z mojej młodości, jako charakteryzującym owe czasy. Studenci, Henryk Stocki i Nawrocki, (imienia nie pamiętam) wróciwszy po wakacjach z nowogrodzkiego powiatu, mińskiej gub. opowiadali, że w ich stronach budzi powszechne oburzenie pogłoska o postępku jakoby studenta Bieńkiewicza, który, opiekując się niejaką panną Przybora, zmarłą w klinice, a pochodzącą z Nowogródzkiego, nie zdał rodzinie rachunków z powierzonych mu pieniędzy. Na jednem ze zgromadzeń studenckich wezwano Bieńkiewicza do wytłumaczenia się; a gdy pomieszany nic nie mógł na swą obronę powiedzieć, na wniosek jednego z obecnych oddano tę całą sprawę do rozpatrzenia dawnym uczniom gimnazjum kamienieckiego, w którem się Bieńkiewicz kształcił. Uczyniono to jeszcze i dlatego, że cała kolonja podolska uchylała się od brania udziału w ówczesnych sprawach studenckich; przypuszczano więc, że tą drogą uzyska się nietylko sąd bezstronny i sprawiedliwy, ale powoła się odłam młodzieży dotąd bezczynnej do wspólnego działania. Oczekiwania zawiodły; rej wśród podolaków wiódł ówcześnie człowiek bez zasad i bez środków materjalnych, zmuszony wciąż korzystać z uczynności zamożniejszych kolegów, a przytem bardzo przebiegły, Władysław Rudnicki, medyk, ktoremu nowe prądy z pobudek osobistych podobać się nie mogły. On to pokierował tak sprawą, iż Bieńkiewicza bez motywów uniewinniono.

Pod wpływem oburzenia, spotkawszy Rudnickiego na ganku kościelnym, powiedziałem mu, że całe ich postępowanie w tym wypadku trąci formalistyką biurokratyczną i nie ma nic wspólnego z sumiennym sądem koleżeńskim. Na to odrzekł Rudnicki, że radzi mi nie zapominać się, bo mogę mieć do czynienia z całym składem sądowym. Bez wahania wypowiedziałem w uniesieniu, że się tem nie zatrwożę i nie omieszkam się stawić na wyzwanie tych, dla których po tem, co zaszło, szczątki sza-

cunku zachowałem. Powróciwszy do siebie spotkałem się z moim sąsiadem Edwardem Jełowickim, który na wstępie zagadnął mnie, co zaszło między mną i Rudnickim, a gdy mu całą przygodę opowiedziałem, okazał zdziwienie, mówiąc: — „A czy wiesz, że Władysław zupełnie inaczej o waszem zajściu opowiada, jakoby to on tobie nawymyślał".

Dotknięty do żywego tem przekręceniem faktu, siadłem natychmiast przy biurku i napisałem do Rudnickiego mniej więcej co następuje:

Spotkawszy Pana na krużganku kościelnym, wypowiedziałem, jak bardzo mnie oburzył sąd koleżański, który się przeistoczył w akt czczej formalności z pominięciem zasad słuszności, za co Pan groziłeś mi odpowiedzialnością przed gronem podolaków, sędziów tej sprawy. Dziś dowiaduję się, że Pan śmiesz głosić o przeciwnym wyniku naszego spotkania, a mianowicie, żem został przez Pana zwymyślany. Jest to dla mnie tylko wskazówką, abym, gdy za rozsiewanie fałszywych wieści będę zmuszony obić Pana, starał się o liczne audytorjum, bo w czasie, gdy Pan kataplazmował byś grzbiet swój, ja mógłbym uchodzić za obitego.

Niniejszym listem zamykam nasze stosunki i pozostaję bez poważania i szacunku. Wacław Lasocki.

List ten odczytałem Edwardowi Jełowickiemu i natychmiast wysłałem. Jełowicki pojechał jednocześnie z moim posłańcem do Rudnickiego i był świadkiem, gdy mu list mój doręczono. Po kwadransie powrócił jako sekundant pana Władysława i wyzwał mnie w jego imieniu, co nawiasem mówiąc zrobiło mi wielką przyjemność; nigdy bowiem nie spodziewałem się tak sympatycznego sekundanta ze strony mego przeciwnika. Co do mnie, upoważniłem do działania w tej sprawie w imieniu mojem przyjaciół: Adolfa Kruczkowskiego i Leona Uszczapowskiego. Moi sekundanci, wraz z Janem Zaleskim studentem V-go kursu medycyny, zaprzyjaźnionym z Jełowickim, przedstawili mu, że rola sekundanta Rudnickiego jest dlań niewłaściwą; on bowiem pierwszy powtórzył mi słowa Rudnickiego i tem list mój wywołał, a następnie, będąc świadkiem odczytania tego listu, zajął niestosowne stanowisko przynoszącego wyz-



Fig 40. Apollo Korzeniowski.



Fig. 41. Jan Zaleski.

wanie. Jełowicki, uwzględniając słuszność uwag kolegów, prosił mię, abym go wezwał na świadka, pragnąc koniecznie w jednej ze spraw honorowych figurować. Tak dużo dlań miałem sympatji, żem się i na to zgodził. Milej mi było bowiem widzieć go obok siebie aniżeli w szeregu moich przeciwników, zawziętości zaś nie żywiłem nigdy względem uznających swe błędy. Skutkiem tej zmiany Rudnicki zaprosił na sekundantów Mieczysława Paczkowskiego i Władysława Węglińskiego, a na świadka Mieczysława Kosielskiego.

Nasi pełnomocnicy ułożyli warunki spotkania: meta miała mieć odległości kroków 20; barjery, do których po strzale wolno było wezwać przeciwnika i samemu się zbliżyć, były o 5 kroków, broń palna, pojedynek do pierwszej krwi. Pistoletów Küchenrejtera dostarczył uprzejmie ks. Włodzimierz Czetwertyński, zaś studenta Zaleskiego, znanego powszechnie pod nazwą „Kochanego pana Jana“ uproszono jednogłośnie o bytność w charakterze lekarza chirurga. Miejscem rozprawy miał być lasek za korpusem kadetów, data 23 marca 1857 r. o godzinie 8 rano. We wigilją dnia naznaczonego, po sutej kolacji, na którą sobie pozwoliłem w towarzystwie kolegów, ze względu, że trzeba będzie na czczo jechać na plac, usnąłem smacznie i nie przebudziłem się aż o godzinie 5 rano. Na myśl mi nawet nie przyszło, jak straszny cios zadać mogłem rodzicom moim, ginąc lub ulegając kalectwu; przeciwnie, radowałem się, że nareszcie będę mógł zyskać tytuł człowieka, gdy odbędę pojedynek, w naszej bowiem okolicy była to jedyna droga do uzyskania miana dojrzałego mężczyzny. O szóstej z rana byłem już ubrany i gotów do drogi, o siódmej siedliśmy do karety, ja i Uszczapowski, powoził Kruczkowski. Jełowicki zaprosił do swego powozu Zaleskiego. Tak więc w całym składzie naszym stanęliśmy pierwsi na placu, gdzie wkrótce nadjechał ze swymi sekundantami i świadkiem Rudnicki. Postawiono nas o kroków 20-cia, oznaczając barjery wyciągniętemi w sznur chustkami, które położono o 5 kroków przed każdym z nas. Pierwszy raz w życiu mierzyłem do człowieka, a strzelać prawie nie umiałem. Mój przeciwnik strzelał znakomicie. Pierwszy strzał należał do mnie, jako do wyzwanego, strzeliłem nie mierząc i chybiłem. Rudnicki, mając prawo przywołać mnie do

barjery i zbliżyć się o pięć kroków, nie uczynił tego, a mierząc wyraźnie w chustkę rozesłaną przed sobą przedziurawił takową, czem mię obraził. Oddając sekundantom pistolet do powtórnego nabicia, powiedziałem głośno, tak aby mię Rudnicki i otaczający go słyszeli, że bez pierwszej krwi placu nie opuszczę; proszę więc, aby sprawa była na serjo traktowana. W milczeniu nabito broń powtórnie, i znowu ja wystrzeliłem pierwszy, odstrzeliwszy przypadkiem guzik od mundura Rudnickiego. Sekundant mego przeciwnika powiedział wówczas: „Mierz dobrze Władysławie, bo nie mamy naboi zapasowych". Rudnicki mierzył długo, biorąc zkolei na cel moją głowę, potem piersi, następnie brzuch, a wkońcu strzelił w nogę. Uczułem ból i gorąco w prawem kolanie, poczem oddałem pistolet otaczającym mnie kolegom. Myślano na razie, że pragnę raz jeszcze strzelać się, na skutek czego wybuchły protestacje i zachęty do pojednania. Odpowiedziałem stojąc na stanowisku, że mam sprawę za skończoną, bo jestem ranny. Porwano mnie w objęcia; przeciwnicy moi przodowali w tych oznakach serdeczności, a wszyscy przeszkadzali Janowi Zaleskiemu do zrobienia mi pierwszego opatrunku.

Konie, pozostawione przez improwizowanych woźniców bez dozoru, powyprzęgały się i poplątały lejce; jednem słowem zamieszanie było tak wielkie, iż tylko dzięki wyjątkowo szczęśliwym okolicznościom nikt nas nie schwytał na gorącym uczynku. Wreszcie, po ukończeniu opatrunku, rozplątaniu i zaprzężeniu koni na nowo, usadowiono mnie w karecie; obok siadł Jan Zaleski; inni mieścili się jak mogli w pojazdach i na kozłach i ruszyliśmy do mieszkania Mieczysława Kosielskiego, które obrano jako punkt najdogodniejszy. Po złożeniu mnie na wygodnem łóżku, zatamowaniu krwotoku i powtórnym opatrunku wezwano specjalistę chirurga. Wybór padł na starszego asystenta Dr Korowajewa, niejakiego Kordiumowa, biegłego w swej sztuce. Obejrzał on i wysondował ranę, znalazł ją zupełnie czystą, kula bowiem z tem wszystkiem, co napotkała na drodze, przeleciała ostro. Po ścisłem zbadaniu zadecydował, że rana jest bardzo pomyślna, ponieważ kula, przechodząc pomiędzy wiązadłami stawu i ścięgnem czaszki kolanowej, nie nadwerężyła ani stawu, ani też kości lub ścięgna.

Mając Kordiumowa za bardzo lichego człowieka, ofiarując mu honorarjum nad moją możność, bo aż 25 rubli, sądziłem, że to go powstrzyma od denuncjacji. Zawiodłem się wszakże; we dwie godziny już potem rektor tudzież inspektor studentów otrzymali od tego pana piśmienne raporta, w których robi przypuszczenie, że otrzymałem ranę w pojedynku. O tym raporcie i ustnej u rektora relacji rozgłosił prof. Hüebeneth, który będąc w jakimś interesie prywatnym u tegoż stał się mimowolnym świadkiem oficjalnej denuncjacji, przeciwko której imieniem lekarzy zaprotestował mówiąc:

„Przysięgaliśmy na zachowanie tajemnic nam powierzonych i żadne okoliczności od spełnienia tego zobowiązania zwolnić nas nie mogą". O takiejże denuncjacji inspektorowi dowiedzieliśmy się, gdy tenże wysłał do mnie pedeli, którzy notowali w bramie wszystkich odwiedzających, a następnie, gdy sam mi złożył wizytę i okazując niby życzliwość wypytywał o szczegóły wypadku. Postanowiłem objaśniać to moją nieostrożnością w obchodzeniu się z bronią przy strzelaniu do celu. Całą tę bajeczkę powtórzyłem inspektorowi, który był tak grzeczny, iż mi nie przeczył.

Nazajutrz p. Kordiumow, przybywszy dla zrobienia opatrunku, zaczął się tłumaczyć ze swego postępowania; obecny przy tem Jan Zaleski nadmienił, że wie doskonale, jakie oburzenie wywołały wśród lekarzy wysłane do władzy raporta i jak energicznie przeciwko nim zaprotestował Hüebeneth. Kordiumow, tracąc co raz więcej grunt pod nogami, wikłał się w odpowiedziach, wkońcu wybąknął: „I ja bym może nie składał raportów, gdyby rana nie była śmiertelną". Tego już było za wiele! Zrywa się kochany Zaleski i w postawie kaznodziejskiej przemawia: „Jesteś pan z kasty popowiczów, a więc zapewne obce ci są pojęcia o honorze i formy bronienia czci. To też nie dziw, że i o pojedynkach nie masz wyobrażenia, ale jako lekarz wiedzieć pan powinieneś, że chorych nawet najodważniejszych trwożyć nam nie wolno, a tem bardziej niewłaściwem jest sianie fałszywych alarmów. Rana nie ma nic wspólnego ze śmiertelnością, nazwałeś ją pan tak dlatego tylko, by usprawiedliwić swój nieszlachetny postępek". Niezrażony takiem przyjęciem, Kordiumow zwraca się do mnie

z zapytaniem, czy życzę sobie, aby mnie dalej leczył? na co mu odpowiedziałem, że za szczęśliwego uważać się będę, jeśli go dziś po raz ostatni w życiu oglądam. Zaleski w dalszym ciągu, niejako na zakończenie mego powiedzenia, wzywa Jana, lokaja, by podał płaszcz panu doktorowi.

Tak pożegnanego lekarza-denuncjanta zastąpił profesor anatomji Walter, który mię leczył aż do zupełnego wyzdrowienia. Trzy tygodnie przebyłem w łóżku, odwiedzany i pieszczony przez kolegów, starających się czas mi uprzyjemnić. Oprócz studentów odwiedzał mię jeszcze zamożny właściciel ziemski i zdolny literat, Aleksander Weryha Darowski. Nie znałem go dawniej wcale; przyszedł on po raz pierwszy do mego mieszkania w dniu, w którym strzelałem się, a wymieniwszy swoje nazwisko dodał:

„Pragnąłem poznać pana i powinszować mu, że ochrzciłeś nareszcie ze krwi uniwersytet kijowski, bo dotąd znał tylko chrzest szampana". Jednocześnie z Darowskim wszedł służący z wybornym obiadem, do którego pan Aleksander dorzucił życzliwe słówko, tłumacząc swój postępek tem, iż zwykłe studenckie jadła nie idą chorym na pożytek, prosi więc najuprzejmiej o podzielenie się ze mną chlebem i solą, nim się coś stałego obmyśli. To przysyłanie obiadów trwało dni kilka, odwiedzanie zaś pana Darowskiego parę tygodni. Wkrótce rozpoczęło się śledztwo, mające na celu wykrycie przyczyn mojej rany. Prowadził je urzędnik do szczególnych poleceń przy jenerał gubernatorze, pan Kulżyński, i naturalnie cała sprawa przy dobrych ze strony władzy chęciach została umorzona.

Rodzice moi dłuższy czas nic o mojej przygodzie nie wiedzieli; następnie, doszły ich nieprawdziwe a potworne wieści o mojej ranie, o odjęciu mi nogi, itp. Zjechali więc oboje do Kijowa wraz ze starszą moją siostrą Wincentą wtedy, kiedym się ich najmniej spodziewał; ale byłem już wówczas tak bliski wyzdrowienia, iż oglądanie mnie uspokoiło ich w zupełności.

Komar uważał jako sprawę na czasie napisanie i puszczenie w obieg nazajutrz po moim pojedynku wiersza zatytułowanego: „Moim współtowarzyszom wszechnicy kijowskiej pokłon i pozdrowienie". Robi w wierszu tym przymówkę podolakom za ich uchylanie się od ogólnego prądu i nawołuje wszystkich

do miłości i jedności braterskiej. Wiersz ten zmniejszył znacznie koło usuwających się od życia publicznego i obojętnych, a z dawnej podolskiej opozycji pozostały tylko szczątki.

. . . . . .

W czasie, gdy ja odbywam pokutę w łóżku za moją krewkość, w świecie studenckim zdarzają się doniosłe w następstwach wypadki. Prawie jednocześnie z moim pojedynkiem, bo tegoż dnia przed obiadem, pijany oficer przebija tasakiem [1]) w środku miasta, bo na Kreszczatiku, młodziutkiego studenta Cichockiego, wyobraziwszy sobie, że ten znany z grzeczności i uprzejmości młodzieniec chce go obrazić, nie ustępując mu z drogi. Ofiara kończy wkrótce życie w klinice, otoczona najwyższą sympatją kolegów, całego miasta, a nawet władzy. W kilka dni potem pułkownik Basow potrąca i łaje w cerkwi św. Andrzeja studenta Rosjanina Orłowa; a jeszcze w parę dni później, na Peczersku, wymęczony egzaminami student V-go kursu Jarocki, gdy się po ulicy Moskiewskiej przechadza, zostaje napadniętym przez psa, który zdradza chęć ugryzienia go w łydkę. Uzbrojony dużą laską, jak wszyscy kończący medycy, mieszkający w odludnej dzielnicy Peczerskiej, używa jej we własnej obronie, nie widząc, iż w asekuracji napastującego czworonoga postępuje jakiś wysoki wojskowy dygnitarz, zapewne jego właściciel. Uderzony pies zaskowyczał; obrońca zaś jego chwyta Jarockiego za klapę płaszcza, łaje do ostatnich słów i każe policjantom wieść go do cyrkułu, gdzie się i sam udaje; wkońcu narobiwszy wiele hałasu w połowie drogi puszcza pojmanego na wolność.

Młodzież, dowiedziawszy się o tem, co zaszło, jest oburzona na wojskowego za napaść, na Jarockiego zaś za jego bierne zachowanie się. Wybrana z jej grona delegacja domaga się od kuratora, którym naówczas był świeżo mianowany a przybyły z Kiachty Mikołaj Rebinder, przeproszenia obrażonego studenta. Jenerał gubernator oświadcza, że przeproszenie w tym wypadku jest niemożliwe wobec różnicy hierarchicznej między obrażonym i obrażającym. Otrzymawszy taką odpowiedź, młodzież postanawia wymierzyć sama sobie sprawiedliwość.

[1]) Tasak, jest to miecz prosty i krótki podobny do dużego noża kucharskiego, używany przez piechotę ówczesną.

Ponieważ autorem awantury był pułkownik Brinken, kurlandczyk, czekający awansu na jenerała i zatwierdzenia na stanowisko gubernatora Kurlandji, zajęto się więc nim troskliwie i otoczono sformowaną naprędce policją studencką, tak iż wiedziano o każdym jego kroku i gotowano się do wyrządzenia mu publicznej zniewagi; gdy zaś doszło do ich wiadomości, że 14 kwietnia ma być w teatrze, ułożono cały plan kampanji, zastosowany do tego. A więc w dniu przedstawienia zakupiono kilkadziesiąt biletów do krzeseł, by za niemi mogło kilkuset studentów, zmieniając się w aktach i antraktach, obejrzeć dokładnie skazanego na cięgi dygnitarza.

Cała więc młodzież uniwersytecka krążyła w czasie przedstawienia około teatru, zmieniając się w teatrze, napełniając podwórza przyległych domów, kryjąc się za olbrzymiem rusztowaniem, naprzeciw teatru ustawionem dla urządzenia illuminacji w czasie oczekiwanego przyjazdu cesarza itd. Stróżów bezpieczeństwa czyli tak zwanych „budników" otoczyli studenci w ich rezydencjach to jest w budkach, a traktując jako więźniów chwilowych słodzili ich obezwładnienie gorzałką. Pierwszy wedle planu miał uderzyć Brinkena Henryk Sągajło, student V-go kursu medycyny, jakowy zaszczyt padł nań w drodze losowania. Umówionem hasłem do dalszego wymiaru sprawiedliwości miał być okrzyk: „Pierwszy numer dorożki!"

Siedzący w pierwszym rzędzie krzeseł pułkownik Brinken, przeczuwając zapewne, że go coś złego spotkać może, po ostatnim akcie dramatu a przed baletem powstał i ze swoim adjutantem zdążał ku wyjściu. Śledzący go studenci dali znak do gotowości na całej linji. Sągajło stanął przy drzwiach wchodowych, by spełnić swoją misję. To też policzek Brinkena, zbliżając się do drzwi, napotkał na swej drodze olbrzymią pięść, pod której ciosem upadł na ziemię. Sągajło wyszedł z teatru i zażądał od policjanta, by wywołano jego dorożkę, oznaczoną numerem pierwszym, co tenże niezwłocznie uczynił. Tak więc umówione hasło wygłosiła najpierw policja.

Natychmiast po obaleniu Brinkena otoczyli go studenci obecni w teatrze, ale jako niczem nie uzbrojeni nie wiele mu zaszkodzić mogli, oczekiwali więc cierpliwie posiłków, które nie omieszkały stawić się w licznym zastępie po okrzyknięciu

hasła. Przedsionek gmachu teatralnego wypełnił się szafirowemi kołnierzami, uzbrojonemi w laski, kije, kości ludzkie, klucze do rwania zębów i inne najmniej przewidziane narzędzia, doraźnie na oręż zamienione. Każdy pragnął bodaj dotknąć Brinkena, co właśnie zmniejszyło doniosłość razów, stukano bowiem przeważnie kijami o kije, oszczędzając fizycznego bólu karanemu, któremu za to w całej doniosłości dostało się pohańbienie moralne. W ciągu tego zajścia publiczność była zamknięta w teatrze i uprzedzona o powodach, które zmusiły młodzież do tak ostatecznego kroku; wypuszczono zaś ją, gdy wszystko ucichło. Skrzyżowanie lasek nad plecami Brinkena trwało zaledwie minut parę; cała masa studentów w pozycji obronnej skupiła się na placu teatralnym, unikając starannie notowania przez policję uniwersytecką i chwytania przez żandarmów. A więc sypano piasek z tabaką w oczy panu inspektorowi, jego pomocnikom i pedelom. Żandarmom nabijano na łby ich własne hełmy; policjantów zaś wstrzymywano gorliwie od spełniania ich urzędowych czynności w najrozmaitszy sposób. W tymże czasie wystraszony i poturbowany Brinken z podrapanem obliczem i pokrwawionym nosem podnosi się z trudnością, a spostrzegłszy profesora anatomji Waltera, swego ziomka, pewny jego współczucia zapytuje po niemiecku:

— „Profesorze, czy widziałeś?“

— A na to Walter:

— Nie widziałem, ale słyszałem.

— Radź, co mam czynić?

— Jedź pułkowniku do siebie i przykładaj kompresy do miejsc poszkodowanych.

Ta złośliwa odpowiedź dobiła Brinkena, który wsiadł do powozu i podążył do domu. Młodzież tymczasem wystosowała do wyzwolonej z teatru a rozjeżdżającej się publiczności przemowę, w której objaśniła szczegółowo powody tej czynnej obelgi, wymierzonej w braku innego zadośćuczynienia. Edward Jełowicki zaś, niepomny na straszne następstwa, jakie wywołać mogło jego powiedzenie, odezwał się z ironją do licznie zgromadzonych w przedsionku teatralnym wojskowych w te słowa:

„Widocznie pan Brinken tylko na pogardę zasługuje i u kolegów broni, skoro żaden z panów ująć się za nim nie pragnie“.

Na szczęście, nie miał ten żołdak sympatji w wojsku, gdyż słuchacze odpowiedzieli na to przemówienie apatycznem a bardzo wymownem milczeniem. Jako ranny przed trzema tygodniami, chodziłem o kulach i w tym dniu po raz pierwszy po pojedynku opuściłem moje mieszkanie, by być w teatrze; nie mogąc zaś zdążyć w czas do przedsionka, zostałem zamknięty i wypuszczony wraz z całą publicznością. Studenci, dokonawszy wszystkiego, co wedle planu ułożone było, a obroniwszy się skutecznie od policji, uszykowali się parami w ordynku w ilości około sześciuset i przeciągnęli przez całe miasto najspokojniej, pozostawiając po drodze kolegów, mijając ich mieszkania. Ja jako kaleka zmuszony byłem odjechać dorożką. Tej nocy nie aresztowano nikogo, odkładając to do dnia następnego w którym rewizje i wożenie do cytadeli stały się epidemiczne. Większa część młodzieży uniwersyteckiej przeniosła się do kazamatów i instytutu wód mineralnych obróconego czasowo na więzienie i do cyrkułów we wszystkich częściach miasta.

Wśród tych smutnych przejść objawy humoru właściwe młodości tryskały na każdym kroku, mimo to, iż postępowanie władzy groziło poważnemi karami. W zorganizowanej z polecenia jenerał gubernatora specjalnej komisji dla rozpatrzenia tej sprawy najwybitniejszą postacią w ujemnem tego słowa znaczeniu był radca gubernjalny, Jankulio, któremu wtórowali znany z głupoty prof. wydziału prawnego Fedotow, Czechowski i kilku wojskowych. Badaniom nie było końca, a policja wraz z komisją nie mogła dać rady kpiarskim usposobieniom młodzieży, które mimo głodu i prześladowań przetrwało do końca. Między aresztowanymi był i nasz Cieszkowski, który się w awanturze odznaczył świetnie; i tu wszakże nie zaniechał swych praktyk, a znalazłszy się w więzieniu obok bogatego bardzo obywatela, Małorosjanina Jaroszewicza więzionego za zajście z władzą w sprawach osobistych, zdołał używając alfabetu więźniów zawiązać z nim w ciągu pierwszych 24 godzin stosunki i pożyczyć na wieczne nieoddanie 600 rs. [1]).

Jako próbki dowcipu i wybornego humoru przytoczę tu

[1]) Cieszkowski rehabilitował się ostatecznie w czasie powstania 1863 r., w którem brał udział jako dowódca mężny i przezorny; zginął zaś po bohatersku w szpitalu, gdzie go mimo ran, od których się leczył, po barbarzyńsku zakłuto bagnetami.

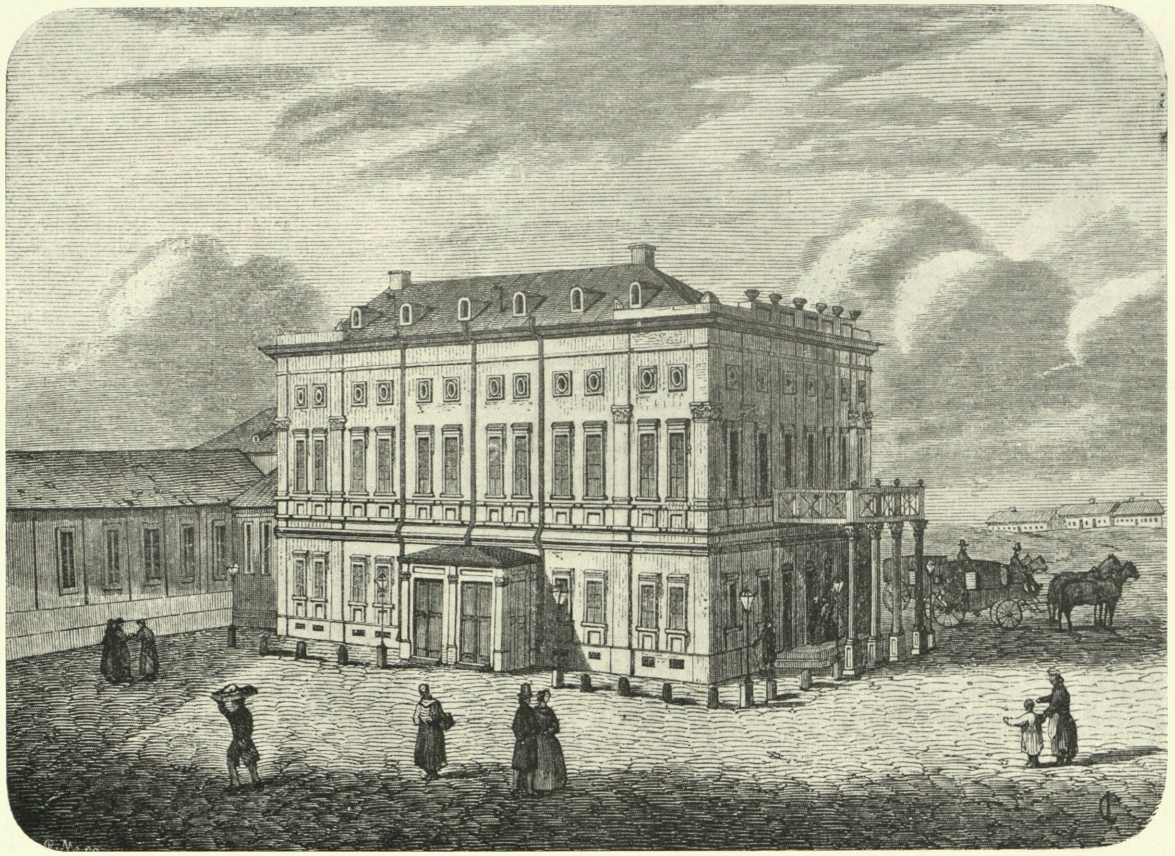


Fig. 42. Teatr w Kijowie.

kilka prawdziwych anegdot z tego okresu więzienia i śledzenia młodzieży.

Między aresztowanymi znalazł się Olgierd Sabiński, który, jakkolwiek syn sybiraka, Juljana Sabińskiego, lubił wykwintne urządzenie się, za co go koledzy przezywali „Piżmowcem nad piżmowcami". To też, gdy go osadzono w cyrkule, zwanym „częścią Łybedzką", bo przyległym do rzeczułki Łybedza, sprowadził tam swoje dywany, serwety, niemal całe umeblowanie i urządzenie bardzo eleganckie, przywdział wspaniały szlafrok i pantofle, wyperfumował swoją celę i pryskał na każdego wchodzącego doń policjanta wodą kolońską, by zagłuszyć, jak mówił, specyficzny zapach mundurów policyjnych; wkońcu tak się rozgospodarował, iż właściwie mówiąc rządził cyrkułem. Do pawilonu wód mineralnych w ogrodzie cesarskim, gdzie umieszczono najmniej skompromitowanych więźniów, przeznaczono na dozorcę policjanta, niejakiego Kopiatkiewicza, dość grzecznego i uprzejmego człowieka. Skutkiem pochwał przez więźniów szerzonych dobra jego sława miała między studentami, których nie uwięziono, rozgłos; i ci jakby zmówiwszy się pisali laskami na wysypanych piaskiem ulicach cesarskiego ogrodu co krok prawie nazwisko Kopiatkiewicza z przymiotnikami: „dobry, kochany, zacny, poczciwy, litościwy" i t. p. lub tylko nazwisko z kilku wykrzyknikami. Biedny Kopiatkiewicz drżał ze strachu, by go z posady nie wyrzucono za te pochwały i błagał, by pisać zaprzestano. Najkomiczniejszą stroną tej sprawy był wygląd tego nieszczęśliwego policjanta, który stał się podobniejszym do męczennika więcej niż ci wszyscy, których pilnował.

Tym z pomiędzy aresztowanych, którzy się do cyrkułu, lub do wód mineralnych dostali, było stosunkowo lepiej i swobodniej. Gorszy daleko los spotkał tych, których do cytadeli zapakowano; ci bowiem, wezwani do salonu, gdzie obradowała komisja, uważali badanie za miły wypoczynek, a więc gdy raz tam się dostali, starali się przesiadywać jak najdłużej. Oto, jak mi o takiej swojej bytności w przybytku śledczym opowiedział kolega Edward Faszowicz. Był on gorzej widziany od innych jedynie dlatego, że na kilka dni przed sprawą Brinkena miał zajście z policją uniwersytecką, a mianowicie: spotkawszy

subinspektora Lewandę w stroju niedozwolonym przez przepisy, bo z rozpiętym mundurem i wysokiemi kołnierzykami, a nie chcąc się dostać do kozy, tak przyspieszył kroku, iż otyły p. Lewanda z wielkim wysiłkiem gonić musiał za nim, chcąc go dopędzić. Przetrzymawszy prześladowcę parę godzin w kościele, a następnie zmusiwszy go do drapania się na górę zwaną Paszczenki i do złażenia z niej coś ze trzy razy, został wkońcu pochwycony przez dwóch pedeli, którzy właśnie znaleźli się na szczycie góry wtedy, gdy Faszowicz do jej wierzchołka po raz czwarty się dostał. Wypuszczono go z karceru na parę dni przed awanturą z Brinkenem; to też wobec nowego zajścia opinję o nim dał inspektor jak najgorszą. [1])

Komisja myślała, że ma do czynienia z wielkim filutem, i przygotowała szereg pytań w grubym kajecie na poły złożonym. Widząc to Faszowicz był uradowany, postanowił bowiem siedzieć w komisji jak najdłużej, dając na każde pytanie kilkoarkuszowe odpowiedzi. Na pierwsze, czy był w teatrze i kogo tam spotkał, odpisał, że był, a następnie począł wyliczać całe setki znajomych sobie osób z imienia i nazwiska. Gdy zaś członkowie komisji zauważyli, że zadużo wylicza, odrzekł, że może ostatnie właśnie nazwiska na coś się przydać mogą przy badaniu, a więc uważa za swój obowiązek wymienić wszystkich. Potem znowu zaczął przypominać i zwiększać rejestr i tak już olbrzymi; a gdy zkolei go zapytano, kiedy opuścił teatr, odpowiedział, że w końcu dramatu; na pytanie zaś, dlaczego nie chciał patrzeć na balet, wniósł do akt całą rozprawę o tem, że o ile taniec jest piękny, jako część przedstawienia związek z nim mająca, o tyle jako oderwany nie ma sensu; a następnie drugi traktat o tem, iż tylko tańce narodowe są sympatyczne i mające wartość etnograficzno-estetyczną, balet zaś jako popis

[1]) Sub-inspektorowie, jako średnie organa policji uniwersyteckiej, byli przedmiotem częstych szykan ze strony młodzieży; ów Lewanda, jako niezgrabnie, a wciąż szpiegujący, był jednym z najbardziej nienawidzonych. Krążyła o nim anegdota, jakoby dwaj studenci, przekonawszy się, że ten policjant zagląda codziennie przez szparę okiennicy do ich mieszkania, obiecali suty napiwek stróżowi za pojmanie podpatrującego złodzieja i zapakowanie go na noc do chlewa, nazajutrz zaś dopiero, po przedstawieniu im winowajcy, oddanie go w ręce policji. Program ten został ściśle wykonany; gdy zaś Lewandę stróż na sznurku wprowadził do mieszkania, jako „corpus delicti", zebrani licznie koledzy, którzy się o tym figlu dowiedzieli, przepraszali niby poszkodowanego, uraczyli go suto, poczem cała sprawa nie ujrzała wcale światła dziennego i utonęła w morzu zapomnienia.

prostej zręczności nóg jest bezmyślną zabawką, która nie może zadowolnić inteligentnego estetyka. Te traktaty zakończył konkluzją, że opuścił teatr przed baletem, bo go nie uznaje. Pan Jankulio, dusza komisji, zauważył z uśmiechem złośliwym:

— Pan starasz się nam dowieść, żeś nie był w teatrze w czasie awantury z Brinkenem, aby nam potem powiedzieć, że i o samej awanturze nic nie wiesz.

— Powiem to i napiszę, odpowiada Faszowicz, bom nic nie widział, a więc nic nie wiem.

— Możeś pan i nie słyszał?

— Owszem, słyszałem rozmaite plotki, ale im nie wierzę, bo w to tylko wierzę, co sam widzę, a rzeczy słyszanych nie powtarzam, bo to plotką trąci.

— Na to Jankulio:

— Wszak i my nie byliśmy w teatrze, a wszystko już prawie wiemy.

— To co innego, mówi Faszowicz, i ja bym wszystko wiedział, gdybym był członkiem komisji.

— Za młody jesteś pan na to, by cię taki zaszczyt spotkał.

— Nie daj Boże i na starość tego zaszczytu doczekać, kończy Faszowicz, po czem najspokojniej redaguje odpowiedzi na resztę pytań, a mając na względzie jak najdłuższy pobyt w komisji, daje sążniste wywody na każden zarzut.

Obok tych wybryków wesołości i dobrego humoru bywały sprawy ważniejsze, dowodzące, iż przeprowadzający je mieli niemało zapasu energji i silnej woli. Do takich zuchwałych przedsięwzięć zaliczę ostrzeżenie Henryka Sągajły, by się do winy nie przyznawał. Gdy bowiem dano nam znać, że komisja pragnąc wymóc osobiste jego zeznanie jako głośnego już ze swego postępku wśród polskiej publiczności, a zdążając ku temu przekonywała go, iż wielu kolegów jego przypisuje mu pierwsze uderzenie, postanowiliśmy za jaką bądź cenę ostrzec Sągajłę, że nikt go dotąd nie zdradził. Podjął się zaś tej trudnej i niebezpiecznej czynności jeden z najdzielniejszych wśród nieuwięzionej jeszcze młodzieży wyborny jeździec, student wydziału prawnego, Włodzimierz Milowicz, wołyniak. Na karym koniu, wypożyczonym ze stajni nauczyciela konnej jazdy Romualda Olszańskiego, wpadł on między dorożkę, na której wieziono

Sągajłę, i między otaczających ją żandarmów, a na oczach hr. Bobryńskiego, jadącego w powozie tuż za więźniem z cytadeli do komisji, a pochyliwszy się ku Sągajle szepnął mu półgłosem: „Nie przyznawaj się, bo nikt cię nie zdradził". Poczem zaciąwszy konia pocwałował w kierunku Lipek, skąd stromą górą spuścił się do dolnej części miasta zupełnie swobodnie; jeden bowiem z żandarmów goniących szukał go po ulicach, drugi zaś pędząc za nim z góry spadł z konia (który umknął) i tym sposobem musiał zaniechać pogoni. Milowicz zaś, zwróciwszy profesorowi jazdy konnej spienionego rumaka, wpadł na chwilę do swego mieszkania, by zrzucić przebranie, przyprawione wąsy, perukę i niebieskie okulary, ubrał się jak najstaranniej i udał się niezwłocznie do dziekana fakultetu, Iwaniszewa, z którym wspólnie program egzaminów dla pracowników swego kursu układał. Wieczorem zaś, będąc u hr. Bobryńskiego w sprawach kolegów, dziwił się zuchwalstwu tej nieznanej nikomu osobistości, która ostrzegła Sągajłę.

Na pochwałę ówczesnej młodzieży wojskowej czuję się w obowiązku nadmienić, iż prędko zaprzyjaźniła się ze studentami i z niejednokrotnem narażeniem się na odpowiedzialność czyniła na każdym kroku uwięzionym braterskie uprzejmości. Nie zdziwią się więc czytelnicy, gdy powiem, iż raz byliśmy w wielkim niepokoju, gdy nas z cytadeli zawiadomiono, że Tadeusz Komar na słowo honoru do miasta wypuszczony nie wrócił. Po długich poszukiwaniach okazało się, że zahulał i dostał się do cyrkułu. Sprawa była bardzo niemiła; udało mi się wszakże, nadrabiając miną, wydostać go z kozy jako mego służącego i tym sposobem uratowałem nie tylko aresztowanego, ale i szlachetnego oficera od odpowiedzialności. Na skutek starań władzy uniwersyteckiej i dla dogodzenia opinji, która w owym czasie z młodzieżą sympatyzowała, jenerał gubernator zezwolił na egzaminowanie kończących wydział lekarski studentów w więzieniach. Zabawny był widok dziekana i profesorów, jadących z tekami do cytadeli i cyrkułów, gdzie przedtem nigdy w tym charakterze nie bywali. Egzamina wiodły się świetnie wszystkim bez wyjątku, to też dzięki współczuciu i pobłażliwości profesorów pokończyli i tacy, którym by się to nigdy w innych warunkach nie udało.

Tymczasem sama sprawa szła w odwłokę. Z jednej strony bowiem młodzież bawiła się rozwałkowywaniem humorystycznych zeznań, komisja zaś jako nawskróś biurokratyczna dopomagała do przewlekania sprawy, pragnąc pobierać dodatkowe pensje bez końca. Nie pomogło naznaczenie fligeladjutanta, hr. Bobryńskiego, na prezesa komisji. Ten bowiem, chcąc młodzież wyprowadzić w pole, a popisać się przed cesarzem dowcipem, zaproponował, by w dwóch kajetach każdy ze studentów tak uwięzionych jak na wolności zostających zapisał swoje nazwisko i w jakim stopniu brał udział w awanturze z Brinkenem. Skończyło się na okryciu śmiesznością hrabiego, wszyscy bowiem studenci zostawili mu swoje autografy w dwóch kajetach, ale bez żadnych o sobie szczegółów; a Milowicz, jak to już nadmieniłem, pod jego nosem potrafił ostrzec Sągajłę, by następnie w trzeciej osobie gawędzić o tem z panem hrabią. Gdy zaś Bobryński robił wyrzuty znajomym sobie osobiście studentom, że zeń zażartowano, odpowiedziano mu, że stopnia winy być tu nie mogło, wszyscy bowiem zarówno chcieli być winni i różnica wypływała tylko ze stopniowania możności wzięcia udziału w awanturze. Bobryńskiego za jego niezręczność i narażenie się na śmieszność odwołano i poruczono całą sprawę dobrodusznemu ks. Hilarjanowi Wasilczykowowi, który starał się, o ile mógł, zmniejszyć winę. Wykryto więc czterdziestu kilku tylko, którym udowodniono udział w pobiciu Brinkena, wykazując zarazem cztery stopnie winy i cztery kategorje kar odpowiednich. Do pierwszej kategorji zaliczono Sągajłę, Homburga, Wacława Górskiego i Stankiewicza; do drugiej jedenastu, do trzeciej ośmnastu, do czwartej piętnastu, razem 48.

Dla Sągajły i Homburga, jako świeżo ukończonych na koszcie rządu lekarzy, wyrok stał się wypadkowo nagrodą. Każden z nich bowiem wedle prawa musiałby odsługiwać sześć lat, gdzieby mu kazano, a więc nawet w Kamczatce; wyroki zaś skazywały: pierwszego na dwa lata służby w finlandzkim Sweeaborg'u, drugiego w Astrachaniu z prawem wyboru po dwóch latach miejsca służby. Wacław Górski, otrzymawszy stopień lekarza, przeznaczonym został na dwa lata do Wiatki, pomimo to, iż był na własnym koszcie; on więc trochę ucierpiał. Stankiewicza jako studenta czwartego kursu przeznaczono

na felczera przy klinice kazańskiej z prawem wstąpienia po dwóch latach do uniwersytetu; i ten był najsrożej ukarany. Zamieszczeni w drugiej kategorji skazani byli na dwa miesiące wieży i wydalenie z uniwersytetu. Należący do trzeciej odsiedzieć mieli w więzieniu miesiąc i przenieść się do innych uniwersytetów. Zaliczeni do czwartej skazani byli na dwa tygodnie aresztu, a niektórzy z nich na przeniesienie do innych zakładów. Wszystkim bez wyjątku potrącono z ogólnego terminu kary czas przebyty w więzieniu. Wyroki ogłoszono 9/21 sierpnia, a więc w czasie wakacyj; wielu zaś uniewinnionych przed wakacjami z więzień uwolniono.

Ja nie podlegałem podejrzeniu, jako chodzący o kulach, chwilowe więc moje kalectwo, które nie dozwoliło mi wziąć czynnego udziału w sprawie Brinkenowskiej, ułatwiło mi przyśpieszenie wyjazdu na wieś, który nastąpił zaraz po ukończeniu śledztwa o pojedynek i przedstawieniu poręczycieli. Rodzice moi, jak już wspominałem, przerażeni wieścią o otrzymanej przeze mnie ranie, przybyli mnie odwiedzić i zamieszkali na czas dłuższy w Kijowie wraz z najstarszą siostrą moją Wincentą, dorastającą panienką. Porobili stosunki, co im z wielką przyszło łatwością; ja bowiem w owym czasie z mojemi kulami stałem się interesującym i popularnym, szczególniej w gronie pań. Wszyscy więc robili pierwsze kroki, by się poznać i zbliżyć z moją rodziną. Ten pobyt w Kijowie, bytność mojej siostry na kilku zabawach, szczególniej na pikniku urządzonym w uroczej podmiejskiej miejscowości zwanej „Kiń-grušt“ (rzuć zmartwienie) obudziła ogólny zachwyt dla niezwyczajnej jej piękności i wdzięku i niejedno uczucie wśród moich kolegów, które ją potem na wyścigi przez czas dłuższy prześladowały. Po powrocie z rodzicami do naszej wioski rodzinnej powitałem z radością po burzach ostatniego półrocza ciszę i spokój, które wszakże przerwał wkrótce dzień imienin mojej siostry, przypadający 19 lipca i na który przybyło kilku świeżo rannych w serce kolegów moich: a więc Milowicz, Rakowscy, Stanisław Miaskowski i Tadeusz Orzechowski.

Oprócz tych spodziewanych gości przybył jeszcze jeden zupełnie przypadkowo. Był to Jan Amborski, bardzo miły i dowcipny młodzieniec brunecik, z ledwie zasiewającym się wąsikiem,

niezwykle ruchliwy i żywy. Jechał gdzieś na tak zwaną kondycję jako korepetytor, a dowiedziawszy się, że przejeżdża przez wioskę moich rodziców, chciał się ze mną zobaczyć. Że zaś był w ubraniu podróżnem, a widział liczny zjazd i ruch w domu, kazał mię wywołać i poprosił, bym go jako zgłodniałego nakarmił incognito, nie przedstawiając towarzystwu. Długo myślałem, jak temu żądaniu zadośćuczynić; wkońcu wziąłem klucze od dyżurującej w gospodarstwie średniej siostry mojej Michaliny i zachowując ostrożność, by nas nikt nie zobaczył, zamknąłem Amborskiego w wielkiej spiżarni, gdzie było mnóstwo przygotowanego dla gości zimnego jadła i trunków; mógł się więc najeść i napić do woli. Klucze oddałem siostrze, nie przypuszczając, by jej wkrótce do spiżarni pójść wypadło. Można więc sobie przedstawić zdziwienie młodej panienki, gdy wchodząc do przybytku swojej gospodarki zastaje tam niespodziewanie intruza w mundurze studenckim, zajadającego smacznie przygotowane dla gości specjały. Cofnęła się, zawiadomiła matkę i wraz z nią powróciła, by się przekonać, że to, co ją spotkało, nie było przywidzeniem. Amborski powtórnie zdemaskowany przedstawił się i wylegitymował, nim ja uprzedzony o tem, co zaszło, nadbiegłem; a zaproszony najserdeczniej przez moją matkę mimo codziennego stroju do ogólnego stołu, potrafił w bardzo krótkim czasie zachwycić i zjednać sobie całe towarzystwo.

Z Amborskim łączyły mię aż do końca pobytu mego w uniwersytecie jak najlepsze stosunki. Poświęcę mu tu słów kilka, zwracając szczególną uwagę na jego niezwykły dowcip i dar przytomnego i stosownego znalezienia się w każdej, bodaj najtrudniejszej okoliczności. Gdy w czasie wielkiego postu artyści teatru miejscowego urządzali żywe obrazy, najniewłaściwiej, uzdolnioną artystkę dramatu panią Gadomską, nie zwróciwszy na to uwagi, iż kształty jej nie nadawały się do scen mitologicznych, ubrano w strój Diany, a więc w trykoty i krótką koszulkę, a uzbroiwszy kołczanem i łukiem ustawiono wraz z wypchanym kozłem na scenie. Skoro się kurtyna uniosła, obraz ten zrobił na wszystkich wrażenie ujemne. Przeszedłby wszakże niepostrzeżony, gdyby nie było na paradyzie Amborskiego, otoczonego licznem gronem kolegów. Ten bowiem nie-

ubłagany humorysta, ujrzawszy Dianę z olbrzymiemi i nieforemnemi nogami, głośno zawołał:

— „Tere fere kuku, strzela baba z łuku", czem wywołał niepowstrzymany, homeryczny śmiech całej publiczności i śpieszne opuszczenie zasłony.

W czasie pierwszego karnawału po śmierci cesarza Mikołaja I zjawia się Amborski na balu maskowym w fantastycznym jeneralskim mundurze, z olbrzymią maską w kształcie głowy oślej, z sążnistemi uszami, wprowadzanemi w ruch za pomocą sprężyn, z wielką taflą szkła, zawieszoną na sznurku, mającą przedstawiać monokl, a zaczepiając dowcipnie i odcinając się zjadliwie napastującym go, zyskuje ogólny poklask uczestników zabawy. Pierwszy zagadnął go jeden z obywateli ziemskich, zajmujący wraz z żoną lożę parterową (bal ten bowiem odbywał się w teatrze) w następujące słowa:

— „Skąd nabyłeś mój osiołku takie olbrzymie uszy?"

Na co Amborski bez namysłu odpowiada:

— „Mój koziołku, co ci do moich uszu, pilnuj lepiej rogów, które ci przyprawiono, a które są daleko większe od moich uszu".

Cięcie musiało być trafne, bo ci których dotknęło, niezwłocznie opuścili teatr z widocznemi oznakami wzburzenia.

Młodemu Polakowi a wojskowemu rosyjskiemu, który go zagadnął, jakiej narodowości jest osłem, odpowiedział: „Zgaduj? to tylko ci powiem, że nie polskiej, bo wszystkie polskie osły jak ty są w służbie rosyjskiej, a ja, jak widzisz, mam mundur inny". Gubernatorowi Hessemu przypytał się jako kolega, czem go mocno zażenował, zaś prezesowi Izby cywilnej Kobylinowi przypominał grube łapówki, niby wspólnie z nim od zainteresowanych wyzyskane.

Gdy zaś zmęczony gorącem udał się do bufetu, a zdjąwszy przyprawną oślą głowę kazał sobie dać szklankę herbaty, nadszedł tamże Kobylin i uradowany, że odkrył swego prześladowcę, wita go i zapytuje:

— „Czy to pan kolegowałeś ze mną?"

— „Nie, odpiera mu najspokojniej Amborski, a wskazując na oślą głowę spoczywającą na krześle dodaje: — „Oto pański kolega".



Fig. 43. Grupa studentów uniwersytetu kijowskiego. Pierwszy rząd od góry: 1. Stanisław Miaskowski, 2. Dr Adolf Trachtenberg, 3. Władysław Wieniawski, 4. Wincenty Wasilewski, 5. Bliziński, 6. Cezary Morawski, 7. Leon Głowacki, 8. Bronisław Wasilkowski, 9. Ciechoński, 10. Władysław Henszel. Drugi rząd: 1. Włodzimierz Milowicz, 2. Antoni Chamiec, 3. Władysław Kamiński, 4. Włodzimierz Antonowicz, 5. Ludwik Żytyński, 6. Kański. Trzeci rząd: Tadeusz Rylski.

Dowcip ten dobił Kobylina i sprawił, że bohaterem tego balu stał się Amborski, o którym anegdoty krążyły w ciągu całego roku.

Zabawa u rodziców moich, na którą tak niespodziewanie trafił Amborski, trwała dni parę; bawiono się wybornie, a po tańcach resztę nocy, ja i moi koledzy, spędzaliśmy na miłej koleżeńskiej gawędce. W trzecim dniu dopiero wszyscy się rozjechali. Siotrą moją Wincentą był naówczas mocno zajęty sąsiad nasz Jan Burzyński i wzbudził w niej widoczną wzajemność; była to śliczna i bardzo sympatyczna dla mnie para. Rodzina nasza szczerze pragnęła tego związku, rządząc się przekonaniem, iż prawdziwe uczucie winno być najpotężniejszym czynnikiem w małżeństwie. Inaczej wszakże zapatrywała się na to rodzina Burzyńskiego, której nieświetne interesy a nawyknienia do życia wykwintnego wymagały ze strony synów ożenków ze znacznemi posagami. To też poczynające się uczucie nie zostało uwieńczone małżeństwem, a całe życie mojej starszej siostry było moralnie złamane. I do nikogo bodaj lepiej jak do niej nie da się zastosować znane rusińskie przysłowie: „Ne rodysia krasnym, ale szczastnym". Była ona piękną, miłą, wykształconą i rozumną, ale nigdy szczęśliwą! W walce zaś z losami przeciwnemi, którą z energją i zawziętością prowadziła, nabrała w części pewnego rozgoryczenia, które zatarły nieco dawną jej słodycz.

Jeszcze w ciągu tych wakacyj przysłano mi z Kijowa utwór Komara w dwóch częściach prozą napisany, językiem naśladującym staropolski, używany w przekładach pisma świętego. Pierwsza część zatytułowana „Brinkenjada" opiewa przestępstwo Brinkena i karę, którą z rąk młodzieży odebrał. Druga zaś: „Bastyljada" uwydatniała cierpienia studentów ówczesnych w śledczych komisjach, więzieniach itp. — a całość pełna humoru, poszukiwana i przepisywana w setkach egzemplarzy, nigdzie wszakże dotąd drukowaną nie była [1]).

Pobyt na wsi był dla mnie upragnionym wypoczynkiem, wśród którego rozpamiętywałem wypadki roku ubiegłego, a przy-

[1]) Autor w rękopisie daje odpis tego utworu Komara, którego tu jednak z powodu jego małej wartości literackiej nie uznaliśmy za stosowne przedrukowywać. Współczesną jego popularność należy tłumaczyć tylko aktualnością. (Przyp. Wyd.).

szedłszy do przeświadczenia, żem dużo czasu stracił na sprawy z nauką medycyny nic wspólnego nie mające, postanowiłem po powrocie moim do Kijowa zmienić cały tryb życia i zabrać się bardzo gorliwie do pracy nad obraną specjalnością, mając na względzie, że mi do chwili rozpoczęcia ostatniego egzaminu zostawało tylko trzy półrocza. Zamieszkałem naprzeciwko teatru anatomicznego w domu pani Radzikowskiej z młodym studentem Juljuszem Izdebskim, o którym wspominałem w okresie szkolnym, a którego rodzice polecili mojej opiece jako starszego kolegi. Zmiana ta nastąpiła skutkiem tego, iż mój zeszłoroczny współlokator, Adolf Kruczkowski, niestety z powodu sprawy Brinkenowskiej, uniwersytet i Kijów zmuszony był opuścić.

Obok nas zamieszkali: Tadeusz Rakowski, Tadeusz Orzechowski i Michał Tomaszewski, tak, że całe pierwsze piętro mieliśmy w naszem dzierżawnem posiadaniu. Wszyscy zaś po urządzeniu się zabraliśmy się gorliwie do pracy. Obudzony dzięki usiłowaniom Nowickiego i najbardziej z nim zbliżonych kolegów ruch wśród młodzieży kijowskiej wzrastał z dniem każdym widocznie. Ci, co go obudzili, pragnęli jedynie wytworzyć szlachetniejsze wśród studentów dążności; całe wszakże wystąpienie było najzupełniej dorywcze i nie krępowało w niczem dalszych czynności tych, co w niem wzięli udział. Staliśmy się wprawdzie nieco więcej zależnymi niż przedtem, ale jedynie od wymagań własnego sumienia, które wyrobiło sobie coraz więcej drażliwości i subtelności. To też rachowaliśmy się ściśle z każdym naszym postępkiem, wymagając niemało od innych. Żadnych wszakże formalności, a więc zobowiązań w postaci przysiąg, nie znaliśmy, jak to było we zwyczaju w sprzysiężeniach, nawet szkolnych; mimo to wielka jedność panowała w dążnościach naszych.

Z tego, co rzekłem, widocznem jest, iż nie spiskowaliśmy natenczas wcale, a nawet nie mieliśmy żadnej ściślejszej organizacji. Ochrzczono nas z wody narazie „Purystami", a potem z ceremonji „Kluskożercami". Pierwsze miano przylgło do nas, bo najwięcej odpowiadało istocie rzeczy i samibyśmy się stosowniej nazwać nie potrafili. Mylnie wszakże tę nazwę stosowano do osobistości z młodszych pokoleń świata studenckiego,

przedstawiających całkiem odmienne od naszych dążności, co tu zaznaczam tylko, a do czego zmuszony będę powrócić w miejscu właściwszem.

Wpływ naszego narazie nielicznego grona na ogół młodzieży był doniosły; poruszył bowiem wśród rozbawionej i rozhulanej młodzieży szlachetne prądy i popchnął ją w kierunku pracy na gruncie narodowym; dalszym jednak rozwojem tak pomyślnie obudzonego życia nie kierowali ci, co go wywołali z uśpienia. Nowicki po wakacjach 1857 r. przenieść się musiał na Peczersk, by w tej odludnej i odległej części miasta pracować gorliwie w szpitalu i gotować się do egzaminów. Odrywa się on więc prawie zupełnie wraz z kolegami swego kursu od młodszych generacyj studenckich, obcując natomiast z weteranami medycyny. Młodsi o jeden kurs studenci z kółka purystów również zająć się musieli pracą specjalną, a tem samem nie mogli brać tak czynnego udziału w życiu publicznem.

Odosobnienie i przedegzaminowe zabiegi nie przeszkodziły Nowickiemu pracować bardzo gorliwie nad przygotowaniem do druku pisma zbiorowego, składającego się z poważnych prac i ulotnych poezyj, skreślonych przeważnie bądź przez młodzież współczesną uniwersytecką, bądź tych, co zaledwie ten zakład opuścili. Na czele tej książki, która pojawiła się już w czasie kontraktów 1858 roku pod tytułem: „Pism urywkowych wierszem i prozą“ i pod udatnym pseudonimem Józefa Prospera Gromadzkiego, wydanej kosztem zamożnego kolegi Antoniego Syroczyńskiego, zwracał na siebie powszechną uwagę bezimienny artykuł T. Nowickiego zatytułowany „Zamiast przedmowy“, gdzie nieco jednostronnie a bardzo dosadnie charakteryzuje stan ówczesny całego naszego społeczeństwa. Artykuł ten, napisany w najlepszej wierze w celu obudzenia życia ogólniejszego w kraju, obruszył i dotknął szczególnie stan szlachecki. Niemało wszakże jednostek znalazło się i wśród tego stanu, które w znacznej części lub w zupełności podzielały zapatrywania Nowickiego. Większość młodzieży powitała tę ostrą krytykę społeczną z radością, a biorąc ją nie jako wyraz bólu nad złem istniejącem, lecz jako wybuch niechęci, okrywający śmiesznością pokolenie ojców, wtórowała głośnym śmiechem tej satyrze, którą mimo racji bytu

i pewnych zalet uważać niestety należy jako pierwsze hasło w kierunku szarpania dobrej sławy i lekceważenia starszych, piętnowanych przez młodzież z lat 1858 do 1863 r. zbiorowem mianem „mosterdziejów“ czyli „moszrodziejów“, zachowując jedynie dla własnego tylko rodzica utartą w owych czasach nazwę niemniej lekceważącą: „mój stary“.

Jako wychowany wśród rodziny, dla której starszych członków przywykłem mieć zasłużoną cześć i najwyższy szacunek, nie gorszyłem się wcale artykułem Nowickiego, wiedząc dobrze, do kogo mogłem słowa jego stosować. To też w stosunkach moich rodzinnych najmniejsza zmiana nie zaszła. Wspomniana satyra, narobiwszy wiele hałasu wśród szlachty, przebrzmiała niepostrzeżenie, ale wśród młodzieży uniwersyteckiej ostatnich pokoleń zajęła wyjątkowe a wcale niepożądane dla sprawy narodowej stanowisko wskutek tego, że została umiejętnie wyzyskaną przez człowieka, mającego całkiem inne aniżeli Nowicki kierunki i cele, a o którym winienem tu słów kilka powiedzieć.

W chwili utworzenia się tej grupy, którą mianowano „Purystami“, znalazł się w ich szczupłem gronie niezbyt młody już student, medyk, kolega Nowickiego, Włodzimierz Antonowicz. Cofnął się on od zdawania egzaminu na stopień lekarza; stracił bowiem matkę, na której prośby jedynie studjował medycynę, a mając rozwiązane ręce, opuścił fakultet, który nie budził w nim zamiłowania, aby przejść na historyko-filologiczny. Był to, gdym go poznał, niewielkiego wzrostu młodzieniec, krępy, dobrze fizycznie rozwinięty, ciemny blondyn z niebieskiemi stale prawie w ziemię utkwionemi oczyma, obdarzony sympatycznym i łagodnym wyrazem twarzy, a nawet wejrzeniem, gdy wzrok podnosił. Nigdy prawie nieumyty i nieuczesany, zawsze zaś przesadnie w ubiorze i obuwiu zaniedbany, ale obok tego niezwykle pracowity, mądry i wszechstronnie wykształcony, dla młodszych i mniej od niego rozwiniętych przystępny i chętnie wiedzą swą dzielący się, przytem zazwyczaj w sporach spokojny i logiczny, w wyjątkowych tylko kwestjach umiał się unosić namiętnością, ale starannie tego unikał.

Już na wydziale lekarskim, w ciągu lat pięciu, obok studjów obowiązkowych nad naukami przyrodniczemi i medycyną, po-

święcał się on z zamiłowaniem ludoznawstwu i dziejom powszechnym, a na ich tle polsko-rusińskim. Gdy zaś przeszedł na wydział filologiczny i znalazł się w kółku purystów, cieszył się wśród nich wielkiem dla wyliczonych tu zalet uznaniem, wpływu wszakże znaczniejszego nie uzyskał na większość tej grupy kolegów; na mnie zaś, jako mniej wrażliwego, nie wywierał żadnego; mimo bowiem swoją powściągliwość w dysputach zdradzał rzadko wprawdzie, ale stanowczo, głęboką swą niechęć względem zamożniejszych warstw ówczesnego polskiego społeczeństwa na Rusi. Gdy zaś zapatrywania i dążności naszego koła były ściśle narodowe bez różnicy stanów, wielu z nas przeto zraziło się bardzo do tego uczonego młodzieńca, budzącego już wtenczas pewne wątpliwości i obawy co do ostatecznego celu, do którego zmierzał.

Widząc, iż pośród starszego pokolenia szerszych wpływów zdobyć nie zdoła, zwrócił on całą swą uwagę i wytężył wszystkie swe władze, by zapanować nad umysłami najmłodszych z pomiędzy nas, począwszy od tych, co w latach od 1857 do 1858 r. do uniwersytetu przybyli, a szczególniej na kilkunastu bardzo młodych, wyjątkowo zdolnych i inteligentnych, a już w czasie ostatnich lat pobytu w gimnazjach mocno rozegzaltowanych. Należeli do takich z roku 1857 ukraińcy: Antoni Chamiec, Onufry Chojnowski, bracia Wincenty i Aleksy Wasilewscy, Michał Grzybowski i inni, zaś w roku 1858: Gustaw Wasilewski, Leopold Czapiński, Antoni Skotnicki, Józef Męciński; z Polski Kongresowej: Rozen, Leon i Tadeusz Syroczyńscy; z gimnazjum niemirowskiego na Podolu: Antoni Mioduszewski, Samuel Zborowski, Tadeusz Rylski, Antoni Jurjewicz, Mieczysław i Ludwik Gulbińscy; z gimnazjów kijowskich: Wincenty Odyniec z Połocka; wreszcie z domowego przygotowania: Juljan i Józef Popowscy.

O tem, jaki duch ożywiał tę młodzież, niech świadczą niżej przytoczone wyrazy, ręką jednego z uczestników tego grona, kolegi A. M., zupełnie szczerze i z najlepszą wiarą nakreślone w lat kilkadziesiąt od chwili przywdziania munduru studenckiego przez to pokolenie. Powtarzam je dosłownie: „Młodzież ta (wstępująca na uniwersytet) przy zetknięciu się z nowemi świeżemi prądami w pierwszych chwilach nowej ery

swego istnienia wpadła w jakiś psychologiczny obłęd i pewien przemijający stan szaleństwa. Nasz 1858 rok dał znacznie liczniejszy zastęp, jeśli nie najinteligentniejszych, to najgorętszych żywiołów, które odrazu prawie przemocą wparły się do wszystkich sfer życia uniwersyteckiego, zerwały tamy, wyróżniające dawniej fuksów (nowo wstępujących) od starych studentów, owładły nie tylko całą organizacją, ale nawet opinją ogólną i wszelkiemi jej przejawami".

Taki to najszlachetniejszy, ale ognisty i oszalały materjał stał się celem niepodzielnych zabiegów Antonowicza. I z jednej strony dzięki jego wyrobieniu, z drugiej zaś wrażliwości jego młodziutkich kolegów, począł on z niesłychaną łatwością zdobywać te pełne najszlachetniejszych dążności umysły, ujarzmiać je i wprzągać do swego rydwanu, toczącego się z wzrastającym impetem w kierunku wcale nie polskim. Zadaniem Antonowicza było już wówczas, jak sądzić mogę i muszę z jego postępowania, przeistoczenie całego zastępu młodych zapaleńców Polaków, znających nie dość dokładnie dzieje ojczyste, na patrjotów Rusinów, na jakich się ówczesna narodowość rusińska zdobyć nie mogła dla zupełnego braku odpowiednich żywiołów. Miał on na myśli zapomocą tej ruchliwej falangi stworzonych przez się chłopomanów podyktować ich ojcom, właścicielom ziemskim na Rusi, warunki załatwienia t. z. sprawy włościańskiej. By zaś tych synów skutecznie przeciwko ojcom uprzedzić i uzbroić, wezwać on musiał na sprzymierzeńców nie tylko urzędowych fałszerzy dziejów polskich wśród autorów rosyjskich i rusińskich, ale i te broszury, któremi stronnictwo demokratyczne zalewało w owym czasie, bieżącą literaturę emigracyjną, w której z właściwą mu jednostronnością i namiętnością celował szczególnie Mierosławski.

Do tego szeregu sprzymierzeńców powołanym został i artykuł Nowickiego, umieszczony na czele pism Gromadzkiego, a w oświetleniu Antonowicza stał się skuteczniejszym od innych, jako wyraz przekonań jednego z wybitnych, powszechnie znanych i szanowanych kolegów. Temi drogami postępując, zdobywa Antonowicz wielki wpływ pomiędzy znaczną liczbą studentów młodszej generacji, a wśród nich zastęp wierzących mu ślepo i gotowych na jego skinienie rzucić się w ogień i tak

dalece a bezwarunkowo mu oddanych, iż ofiara z siebie, z życia i całego przyszłego mienia, niczem im się zdawała.

Kto wie, na jakie bezdroża zaprowadziłby Antonowicz ten hufiec najszlachetniejszej młodzieży, gdyby nie wstrząsające wypadki lat 1861 do 1863, które zmusiły go do odsłonięcia przyłbicy, a po zrzuceniu maski do wejścia na drogę jawnego narodowego odstępstwa, co zkolei zniszczyć musiało jego urok i wpływy wśród dawnych zwolenników jego, którzy wraz z całym narodem wzięli czynny udział w ostatniem powstaniu. Niezależnie od agitacji rusińskiej, ochrzczonej w owym czasie „chłopomanją", powstała i stopniowo kształtowała się organizacja, obejmująca wszystkie bez wyjątku warstwy uniwersyteckiej młodzieży w Kijowie. Pierwotnie za podstawę podziału na tak zwane gminy przyjęto koleżeństwo gimnazjalne; wkrótce wszakże podstawę tę uznano za wadliwą i zastąpiono podziałami wedle prowincyj. Tym sposobem powstały wśród Polaków następujące gminy: 1) koronna, obejmująca Polskę Kongresową, której przedstawicielem został Tomasz Burzyński, 2) litewska (przedstawiciel Władysław Henszel), 3) białoruska (przedstawiciel Szymon Konopacki), 4) wołyńska (reprezentowana przez Antoniego Chamca), 5) ukraińska (przez Włodzimierza Antonowicza), 6) podolska (przez Wróblewskiego). Tych sześciu przedstawicieli gmin stanowiło Najwyższą Radę Zarządzającą sprawami stowarzyszenia studentów narodowości polskiej. Cała ta organizacja była zupełnie jawną, czemś w rodzaju korporacyj na uniwersytetach niemieckich. Najzupełniej niezależnie od gmin powstawały kółka samopomocy naukowej i samokształcenia, szczególniej w zakresie dziejów narodowych. Zdarzało się, iż jedni i ci sami studenci, należąc naraz do wielu kółek, nie zawsze mogli bywać na wszystkich ich zebraniach, które zazwyczaj miały miejsce w godzinach wieczornych. Takie kółka tworzyliśmy i my w latach od 1854 do 1857, ale w granicach specjalności, starając się wyuczać słownictwa polskiego w przedmiotach zawodowych.

Życie wśród kółek, a zkolei wśród gmin rosło. Namiętności w sprawach społeczno-politycznych wzmagały się z dniem każdym i przedstawiały się coraz bezwzględniej i groźniej. Już wtedy wprawne oko bezstronnego widza musiało przypuszczać,

iż te najskrajniejsze a jedyne w kraju naszym zorganizowane żywioły w chwili stanowczej porwą za sobą i poprowadzą całe społeczeństwo tam, gdzie w danym razie uznają to za najlepsze i najwłaściwsze. Że zaś przywykli mierzyć siły na zamiary, ostatni wynik ich bezgranicznej rezygnacji zależeć będzie musiał od przypadkowych, tylko zewnętrznych okoliczności.

Obok wyliczonych tu organizacyj gmin, kółek i grup jawnych, powstaje w Kijowie już o ile wiem w 1857 r. stowarzyszenie tajne pod nazwą: „Trojnicki", a to dlatego, iż na jego czele stanęła trójka z obowiązkiem utworzenia trzech trójek, z których znowu każda miała stworzyć nowe trzy i t. d. Naczelną trójkę, jak twierdzą współcześni, stanowili pierwotnie Włodzimierz Antonowicz, Leon Głowacki i o ile mi się zdaje Włodzimierz Milowicz. W 1859 r. w skład jej prócz Antonowicza weszli po wakacjach Władysław Kamieński i Władysław Henszel. W 1860 r. Kamieńskiego zamienił Antoni Chamiec; zaś w 1861 r. Antonowicza, który już wtenczas usuwał się od rzeczy polskich, Antoni Jurjewicz, tego zaś ostatniego w 1862 r. Stefan Bobrowski; inni podają jako wchodzących i wychodzących w naczelny skład trójki różnemi czasy: Leona Syroczyńskiego, Marjana Dubieckiego i innych. Organizacja Trojnickiego przygotowała umysły do walki i stanowiła później kadry do przyszłego powstania, przyczem każde 10 trójek zmienić było łatwo na 3 dziesiątki.

Mówiąc o zmianach w składzie głównego organu Trojnickiego, wyprzedziłem o lat kilka wypadki, o których w tym rozdziale mowa. Uczyniłem to zaś dlatego, że nie należąc mimo uczynionej mi przez mego przyjaciela Włodzimierza Milowicza propozycji do tego stowarzyszenia, podaję o niem wiadomości bardzo pobieżne, na mocy świadectw innych oparte; a tem samem uważam za lepsze do kwestji tej nie powracać. Za to, com tu powiedział, nie biorę na siebie odpowiedzialności ostatecznej i jedynie dlatego o tem nadmieniam, że nie jestem pewny, czy się znajdą w tej sprawie dokładniejsi ode mnie sprawozdawcy. W każdym razie sądzę, że lista moja jest bliską prawdy; pożądanem byłoby wszakże bardzo zdobyć wiadomości co do wewnętrznego żywota i pracy na zewnątrz tego



Fig. 44. Grupa studentów uniwersytetu kijowskiego składająca się wyłącznie z Koroniarzy. W rzędzie pierwszym od góry: 1. Aleks. Janiszewski, 2. Maurycy Ciechoński, 3. Tomasz Burzyński. W drugim rzędzie: 3. Edward Bondi, 4. Zdzisław Wiśniewski, 5. Leon Głowacki. Inni nieznani.

stowarzyszenia, które uprzedziło wypadki 1863 r. i istniało około lat sześciu.

Ponieważ uznałem za konieczne oddać się studjom przygotowawczym do egzaminów już od początku IV-go kursu, a tem samem zmuszony byłem mniej czasu poświęcać sprawom publicznym, kreśląc tu dzieje lat 1857 do 1859 r. posiłkowałem się notatkami jednego z młodszych kolegów, którego nazwiska tu nie przytaczam, pragnął bowiem zachować bezimienność.

Z obudzeniem się życia publicznego w każdem społeczeństwie zjawia się potrzeba posiadania własnego organu perjodycznego; że zaś młodzież uniwersytecka drukowanego czasopisma w Kijowie mieć nie mogła dla niezależnych od niej powodów, zjawiać się przeto poczęły bądź oddzielne broszurki, bądź ulotne gazetki bezterminowe, w części przynajmniej tej potrzebie zadośćczyniące. Pierwsze takie czasopismo ukazuje się wkrótce, bo 12 października, to jest po pamiętnem dla mnie wystąpieniu purystów, zatytułowane „Bigos", o czem już wyżej wspomniałem. Wzorował się on na „Brukowych Wiadomościach Wileńskich", był pełen lekkiego i przyjemnego humoru, wytykał bez żółci zdrożności, słabości i śmieszności studenckie, nie dotykając osobistości. Pismo to wychodziło w odstępach nie określonych i dość znacznych; w ciągu lat paru bowiem wyszło zaledwie 4 czy też 5 numerów. Redaktorem był Michał Bończa Tomaszewski, współpracownikami puryści. Znalazł się tam i mój wierszyk, ośmieszający życie młodzieży na bilardach w sławnej naówczas kawiarni Angielskiego Hotelu. W parę lat później, bo w 1858/9 roku, zjawiają się dwa nowe czasopisma: „Ulicznik" wydawany przez grono koroniarzy i „Publicysta" starannie opracowywany w jednem z kółek ukraińskich, a redagowany przez Antoniego Mioduszewskiego.

„Ulicznik", ściśle odpowiadający swemu tytułowi, był naśladowaniem ówczesnych kurjerków brukowych warszawskich, a więc miał feljetonik; pełno w nim było wierszyków, sprawozdań teatralnych itp. Współcześni przypisywali redakcję tego organu Janowi Amborskiemu et Cie. Czy słusznie? nie wiem. „Publicysta", który się znacznie później pojawił, zaniepokoił „Ulicznika", który podał w podejrzenie tendencje rusinofilskie

nowej gazetki, na co imieniem redakcji odpowiedział Antoni Mioduszewski, iż mając na względzie zarysowującą się groźną i doniosłą sprawę rusińską uważa za konieczne odpowiedzieć na to w obozie polskim bezwzględną sprawiedliwością i uznaniem wszelkich słusznych domagań się Rusinów. Antonowicz i Rylski opierali się stanowczo umieszczeniu tego wyjaśnienia, ale większość uznała to za konieczne i artykuł został ogłoszony.

W redakcji tegoż „Publicysty", jak twierdzi jeden z jej członków w swej relacji, odczytywano prace naukowe młodych współpracowników, nawet takie, które się do szpalt „Publicysty" nie przeznaczały, po odczytaniu zaś prowadzono dysputy i polemiki na temat pracy przedstawionej. Zdarzyło się, że w artykule treści historycznej z epoki Jana Kazimierza, napisanym przez Mioduszewskiego, znalazły się niepochlebne dla Chmielnickiego fakty o jego opilstwie i handlu dziewczętami. Antonowicz, który zapewne miał na myśli przyszłe swoje odstępstwo, przeto zwykł był Chmielnickiego otaczać pewnym urokiem, wpadł w pasję i w tem rzadko u niego wybuchającem podrażnieniu z najwyższą namiętnością zwalczał zarzuty, smutnej pamięci hetmanowi przez Mioduszewskiego czynione; wkońcu opuścił koleżeńskie zebranie w ogromnem wzburzeniu.

Innym znowu razem, już znacznie później, bo w drugiej połowie 1859 r., gdy student Wincenty Odyniec z Połocka odczytał na zebraniu redakcji opracowanie swoje, zatytułowane: „Powstanie czy rewolucja?", a jako jeden z najzdolniejszych w ówczesnem gronie współpracowników tej gazetki i gorący patrjota, który zawsze i wszędzie na pierwszym planie stawiał sprawę narodową, podporządkowując jej społeczne, musiał więc w tej pracy zaznaczyć jasno i dobitnie, że celem najbliższym usiłowań młodzieży polskiej winno być wywołanie powstania z udziałem wszystkich bez wyjątku warstw społecznych, bez poruszania narazie wszelkich kwestyj drażliwych, mogących być powodem niesnasek między stanami, które mają być rozważone, uwzględnione i załatwione w swoim czasie w wolnej i niezależnej Polsce. Takie jasne postawienie rzeczy było wybornym środkiem do ostatecznego zerwania maski z oblicza Antonowicza, który wspólnie ze swym sobowtórem Tadeuszem Rylskim postawił poruszoną kwestję na ostrzu noża: albo ar-

tykuł Odyńca nie wejdzie na łamy „Publicysty“ albo oni opuszczają stanowczo redakcję. Ponieważ środek użyty przeciwko Antonowiczowi jako radykalny wywołał równie radykalne oświadczenie, cały pozostały skład redakcji uważał za konieczne obstać przy swojem. Antonowicz i Rylski oburzeni i niezadowoleni z obrotu rzeczy stanowczo i nieodwołalnie opuścili „Publicystę“, przy czem ostatni założył nowe pismo noszące miano „Plebeusza“. Pozbawione dwóch wybitnych sił, czasopismo pozostało nadal pod kierunkiem Antoniego Mioduszewskiego. Zreorganizowaną redakcję stanowili prócz głównego kierownika: Antoni Jurjewicz, Samuel Zborowski i Wincenty Odyniec, przybyły zaś świeżo z Petersburga Stefan Bobrowski przyrzekł swe współpracownictwo. Widocznie wszakże zasoby pisma były już wyczerpane, inne zaś donioślejsze zjawiska i sprawy wystąpiły na widownię i skupiać na sobie zaczęły uwagę młodzieży, skutkiem czego „Publicysta“ po wydaniu kilku numerów z początkiem 1860 r. został zawieszony. Nie dłużej trwał pełen plebeuszowskich ognistych aspiracyj „Plebeusz“, który poprzestał na wypowiedzeniu swych żalów i domagań w trzech tylko numerach. Ta krótka wzmianka o rękopiśmiennem dziennikarstwie w uniwersytecie kijowskim między latami 1856 a 60 daje pewne szczegółowe wskazówki co do pierwszych objawów odstępstwa Antonowicza, do którego powrócić będę raz jeszcze zmuszony w następnym rozdziale.

Zestawiłem przed chwilą kierunki różnych czasowych pism studenckich, począwszy od Bigosu a kończąc na Plebeuszu, które krążyły pomiędzy kijowską młodzieżą we wspomnianych latach. Porównajmyż zkolei charakterystykę wystąpień czynnych tejże młodzieży w starciach jej poza obrębem murów uniwersyteckich w czasie pobytu mego na kursach, to jest między rokiem 1854 do 1859. Pod tym względem różnice są dosadniejsze. W pierwszych dwóch latach najlepsza część współczesnych mi kolegów oddawała się gorliwie naukom unikając starannie wszelkiej swawoli: najgorsza zaś i najhałaśliwsza marnowała swój zapał na burdy i awantury uliczne. Po obudzeniu się szlachetniejszych prądów w roku 1856 rozwija się wśród studentów wielka solidarność w bronieniu honoru korporacji na zewnątrz. Ostatnim wyrazem tego kierunku była opisana

już przeze mnie głośna sprawa Brinkena, która zjednała uczącej się młodzieży mir powszechny i pewną nietykalność, podtrzymywaną jej wzorowem zachowywaniem się.

Inaczej zupełnie przedstawia się zajście studentów, znane pod nazwą „Sprawy Tytusa Dalkiewicza". Ów Dalkiewicz był wyjątkowym okazem niczem niehamowanej, dzikiej a szalonej natury, przez co wyrobił sobie u kolegów opinję półwarjata. Ten to niepoczytalny młodzieniec, dowiedziawszy się o poturbowaniu przez ogrodników studenta Rosjanina, który bez pozwolenia rwał róże, zwołał wiec studencki do ogrodu Botanicznego, gdzie fakt miał miejsce i gdzie zgromadzeni obrali przez aklamację na sędziów: Włodzimierza Antonowicza, Włodzimierza Milowicza i Władysława Kamieńskiego, przed którymi stawiono jako winowajców starszego ogrodnika Hohut'a i dwóch jego pomocników. Sędziowie po wysłuchaniu stron obu wydali doraźny wyrok, mocą którego zwierzchnik ogrodu wyliczył swym podwładnym po trzy plagi, a następnie otrzymał od tychże taką samą liczbę ku zupełnemu zadowoleniu obecnych, którzy po ukończeniu egzekucji najspokojniej się rozeszli. Gdy zestawimy tę tragi-komiczną awanturę ze sprawą Brinkena, nasuwa się mimowoli porównanie polowania na wróble z łowami na grubego zwierza. Nadto uderza w tem całem zajściu pewne rozluźnienie pojęć o prawach i obowiązkach; gdy bowiem młodzież polska solidaryzuje się ze studentem Rosjaninem, naruszającym prawo własności, i karze cieleśnie trzech obrońców tej prawnej zasady, całość robi przykre i niesmaczne wrażenie, mimo stosunkowo łagodny wymiar kary na mocy tej nie dającej usprawiedliwić się niczem sprawiedliwości. Zajęci pracą naukową, dowiadywaliśmy się zazwyczaj o różnych objawach, postanowieniach i czynach młodszych pokoleń po faktach dokonanych; tak się też stało ze sprawą Dalkiewicza, której echa przebrzmiały prędko i niepowrotnie.

Czas nam upływał w tym roku szybko jak nigdy i wciąż go nam brakowało dla dokonania prac zamierzonych, tak, że najniespodzianiej ocknęliśmy się wobec zimowych wakacyj. W czasie świąt Bożego Narodzenia spędzonych w domu rodziców miałem u siebie liczny zjazd kolegów, którzy dni kilka ze mną spędzili. Po powrocie do Kijowa w początku 1854 r. zaczęły

się przygotowania do teatru amatorskiego na korzyść niezamożnych studentów, który, za przykładem lat ubiegłych, postanowiono wznowić w tym roku. Przedstawienie odbyć się miało w wielkiej sali uniwersyteckiej w czasie kontraktów, a więc w lutym. Wybrano dwie sztuki polskie i jedną rosyjską. Młodzież nasza postanowiła dać: „Cudzoziemszczyznę“ i „Zemstę za mur graniczny“, rosyjska zaś: „Gorie ot uma“ (Biada temu, kto ma rozum) Gribojedowa. Reżyserem sztuk polskich był Tadeusz Orzechowski, rosyjskiej student Noskow. Orzechowski rozwinął znakomicie swe wrodzone talenta dyplomatyczne, dzięki czemu grono amatorów polskich nie tylko na scenie, ale i w stosunku do władzy zachowaniem się swojem dobrze się w pamięci kolegów zapisało. Niemniej zdolnym okazał się i jako organizator samego przedstawienia, on pierwszy bowiem wprowadził jako zasadę rozdanie ról męskich drogą konkursu. Wybrał dwie sztuki klasyczne i zdobył dla amatorów dogodne bardzo pokoje do przebierania się w czasie próby ostatniej i przedstawienia.

W „Zemście za mur graniczny“ główne role przy wielkiem współzawodnictwie otrzymali: Cześnika Aleksander Szczawiński, Rejenta Tadeusz Orzechowski, Papkina Stanisław Bardzki, Dyndalskiego Wacław Lasocki, Wacława Zygmunt Obniski. Najpodrzędniejsze nawet role były starannie obsadzone: Śmigalskim był Edward Faszowicz, a kucharzem Perełką hr. Feliks Czacki. Rolę Podstoliny wzięła na siebie panna Zuccani, Klary zaś rodzona jej siostra, pani Zelinaj. W „Cudzoziemszczyźnie“ wystąpili: Kamil Piasecki jako Radost, Jan Amborski jako Etienne, Zygmunt Obniski jako Zdzisław, Teodor Wedemann jako Astolf i Tadeusz Orzechowski jako stary sługa Jakób. Amborski w roli Etienne'a, gdy skończył monolog, którym się drugi akt „Cudzoziemszczyzny“ zamyka, spostrzegł, iż zapomniano opuścić kurtynę. Nie tracąc więc wcale spokoju, zaczyna sprzątać gorliwie na scenie, przestawiać meble i ścierać kurze. Wreszcie zoczywszy za kulisami mechanika, posuwa w jego stronę jeden z foteli i szepcze: „Spuszczajcie nareszcie kurtynę, bo do jutra sprzątać nie myślę“. Opadaniu zasłony towarzyszy ma się rozumieć grzmot oklasków. Dwie role kobiece, hrabiny i Zofji, objęły te same panie, które miały wystąpić

w „Zemście". Aktorów sztuki rosyjskiej nie znałem bliżej; nie chcąc więc mylnie podać ich nazwisk, wolę o tem zamilczeć, nadmieniając tu, iż arcydzieło literatury ruskiej znalazło w nich godnych przedstawicieli.

Zanim przedstawienie polskie przyszło do skutku, należało przezwyciężyć niemałe trudności. Kurator Rebinder, człek świeży jeszcze, bo zaledwie rok godność piastujący, wystraszony sprawą Brinkena, lękał się cienia własnego. Gdy mu więc znany literat p. Michał Grabowski przedstawił, że wybrane sztuki, z których jedna kontuszowa, mogą za daleko posunąć entuzjazm widzów, tak w to uwierzył, że chciał cofnąć swą zgodę. Orzechowski wszakże potrafił go dyplomatycznie przekonać, iż Polacy będą na scenie w rannych ubiorach alias dzisiejszych szlafrokach, jednocześnie zaś tak umiał wykazać niebezpieczeństwo odwołania raz ogłoszonych w afiszach programów, coby władzę ośmieszyć musiało, że wkońcu postawił na swojem. Gdy zaś w dniu przedstawienia kurator wszedł za kulisy i przeraził się widokiem świetnego stroju Cześnika, jąkając pocieszał go Orzechowski, że i ranne polskie stroje były nietylko estetyczne, ale i wspaniałe; a chcąc zakończyć polemikę w tej drażliwej sprawie kazał przyśpieszyć podniesienie kurtyny, co zmusiło Rebindera do ustąpienia ze sceny bez dalszych wyjaśnień.

Po pierwszym akcie na nasze prośby publiczność mało klaskała; świat oficjalny opuścił salę, a wówczas brawom nie było końca i miary; cała zaś sprawa przeszła niepostrzeżenie. Kurator po przedstawieniu zaprosił całe grono amatorów do siebie na obiad. Z Polaków delegowaliśmy Tadeusza Orzechowskiego i Zygmunta Obniskiego. Rosjanie stanęli w zupełnym komplecie, a komplet był bardzo liczny. Rebinder naszych dwóch delegatów zaprezentował żonie i córkom z imienia i nazwiska, a całą kompanję rosyjską słowami: „A to są aktorowie z „Gore ot uma". W czasie obiadu zapytał reżysera amatorów przedstawienia rosyjskiego Noskowa, ile ich wystawienie sztuki kosztowało? Nie mógł określić ściśle, ale odpowiedział, że mniej więcej 300 do 400 rubli. Zaś na pytanie, co polscy artyści wyekspensowali na swoje dwa przedstawienia, Orzechowski znowu jąkając się odrzekł, że ani mniej ani więcej nad 75 kopiejek.

Gdy zaś zdumiony Rebinder pytał o powody tak ogromnej różnicy w wydatkach, dodał złośliwie uśmiechając się: „Ale my występowaliśmy we własnych kostjumach, obuwiu i rękawiczkach, w czasie prób sami gościliśmy panie; niemniej dorożki i inne drobne wydatki ponosiliśmy z własnej kieszeni; zapłaciliśmy tylko w teatrze 75 kop. za wypożyczenie konfederatki, której jeden z amatorów zażądał".

Nie potrzebuję dodawać, że objaśnienie Orzechowskiego stało się powodem długiego, grobowego milczenia, które on sam przerwać musiał. Rezultat pieniężny z przedstawień amatorskich polskich bywał zawsze świetny, a w tym roku sięgnął poważnej cyfry 6.000 rs. Wszystko to wszakże zlewano razem z dochodem z przedstawienia rosyjskiego i dzielono niby w imię sprawiedliwości na dwie równe części między młodzież polską i rosyjską, co tem mniej było słuszne, gdyż ilość pierwszych była znacznie większa i liczyła w swem gronie bardzo wielu niezamożnych, nadto dwie sztuki polskie dawały co najmniej trzy lub cztery razy tyle co jedna rosyjska. Zwykła to metoda postępowania z nami starszych z urzędu, acz nie z dziejów i cywilizacji, braci Słowian!

W początkach roku 1858 odezwał się po dłuższem milczeniu Tadeusz Komar. Nadał on swojemu utworowi tytuł: „Pieśń na dzisiaj". Pieśń ta, pobudzająca stanowczo i gwałtownie do zbrojnego a śpiesznego wystąpienia w obronie praw narodu, nie porwała swym urokiem naszej generacji, która w długiej i sumiennej pracy nad ludem i poprawą całego społeczeństwa upatrywała jedyne dla ojczyzny zbawienie, wierząc głęboko, iż tylko walka na polu umysłowem i moralnem może być równie skuteczną we wszystkich trzech zaborach. Pięść zaś nasza osłabiona i rozbrojona, nie posiadająca sprzymierzonej pięści ludu, musi okazać się bezsilną w walce z zastępem bezmyślnych, ale posłuszeństwem i karnością silnych pięści wroga, tak, iż tylko zupełnie wyjątkowe zewnętrzne pomyślne okoliczności mogłyby nam dać skuteczną przewagę; ale takich okoliczności pomyślnych dla nas naonczas jeszcze nie było. W zupełnem z nami przeciwieństwie pieśń Komara powitało najmłodsze pokolenie studenckie z niezwykłym zapałem. Odczytywano ją, przepisywano i śpiewano na każdym kroku, a hasła jej sku-

piały wokoło siebie coraz liczniejsze zastępy. Polacy przedzierzgnięci na prędce w Rusinów z Antonowiczem na czele zaczynają nosić świtki i sukmany w dosłownem znaczeniu. Inni wdziewają świty duchowe i gotują się do czynów stanowczych.

Załączam tę pieśń Komara jako jedną z takich, której wpływ widnieje w dalszych wypadkach na każdym kroku.

PIOSNKA NA DZISIAJ.

Noście świty i sukmany,
A zrzucajcie szaty pychy!
Bo dzień zbliża się, dzień lichy,
Dawno nam zapowiedziany.

Noście świty, noście świty!
A zrzucajcie pańskie szaty,
Herby, hafty i szkarłaty,
Carskie znaczki i zaszczyty!

Noście! na znak się zaprzania
Pańskiej pychy i próżności,
Na znak z ludem pojednania,
Dla postępu i miłości!

Noście świty z dobrej woli!
To znojnego szaty trudu.
To naszego szaty ludu,
A lud to, co nas dziś boli...

Noście! młodzi przyjaciele!
Na znak pracy Bożej, cichej,
Co ma zmienić dzień ów lichy
W Alleluja i wesele!

Noście! dziś nic po zaszczytach
Lub tytułów pustym dźwięku,
Lub kupieckim złota brzęku,
Nam poznawać się po świtach!

O, nie darmo, zawsze, wszędzie,
Świtą królów sny się straszą!
Wam nie straszna! ona waszą
Szatą wojny jutro będzie!

Nam na duszy strój i ciała
Nie strój galski, frak niemiecki,
Ani kontusz nasz szlachecki,
Jeno świta nam przystała!

Na dziś w świcie myśl i życie!
Bracia mili zrozumiejcie
Myśl mą, chciejcie i umiejcie
Choć bez świty być jak w świcie!

Więc mniej ciało, więcej ducha,
Strójcie w świtę myśli Bożej!
Strój ten ducha w was przymnoży;
Zbawion będzie, kto posłucha.

Hej! Wy Bożej myśli ptacy,
Między dobrych ludzi zlećcie,
Z iskr tajemnych ogień niećcie,
Czas do pracy, hej! do pracy!

Ostrzcie kosy! ostrzcie kosy!
Chwast moskiewski się rozplemił,
Kwiat się polski zcudzoziemił,
Czas i wielki na pokosy!

Będziem kosić te bodjaki,
Podlewane krwią i łzami,
A kwitnące koronami,
I dworacki chwast wszelaki!

Lejcie kule, lejcie kule!
Będą z nich ogniste grady
Na bagnetem zbrojne gady,
Pasożytne ludów móle.

Kujcie dzidy, kujcie dzidy!
Będzie miotła z dzid, co zmiecie
Szwabskie i moskiewskie śmiecie
I słowiańskie wszystkie biedy!

Lecz bez serca, co po broni?
Co po sercu bez krwi żywej,
Bez miłości a prawdziwej?
Drewnem szabla w chłodnej dłoni!



Fig. 45. Od góry: 1. Marjan Dubiecki, 2. Adolf Wróblewski, 3. Leon Syroczyński, 4. Mikołaj Dołęga Piskierski, 5. Wincenty Wasilewski, 6. Józef Cybulski, 7. Włodzimierz Bernatowicz.

A więc bracia, krzepcie dusze,
Stalcie serca na wytrwanie
I na siebie się zaprzanie,
Na czyśćcowe choć katusze.

Noście świty! ostrzcie kosy!
Lejcie kule! kujcie dzidy!

Gnębią ludzkość setne biedy,
Czas i wielki na pokosy!

Hej! wy Bożej myśli ptacy!
Braciom serc płomieniem świećcie!
Gdzie wy? gdzie wy?... odpowiedźcie!
Będzież co z tej naszej pracy?

. . . . . .

Kończąc kurs IV-ty byliśmy pod przygnębiającym wpływem zbliżających się ostatecznych egzaminów, od których już nas jedno tylko półrocze dzieliło. Wakacje więc nawet w tym 1858 r. spędziliśmy na przygotowawczych książkowych pracach w domach rodziców. Po powrocie zaś do Kijowa najęliśmy we czterech cały dom na Peczersku, gdzie zamieszkaliśmy w ostatnim komplecie naszym, to jest: Tadeusz Orzechowski, Tadeusz Rakowski, Michał Tomaszewski i ja. W braku zdrowej i hygjenicznej kuchni założyliśmy własną, z której korzystało oprócz nas czterech jeszcze ośmiu kolegów. Gospodarstwo i administrację mnie powierzono. Po urządzeniu praktycznem i pomyślnem spraw codziennego życia naszego zabraliśmy się gorliwie do pracy w klinikach szpitalnych i teatrze anatomicznym, w którym studjowaliśmy nie tylko anatomję opisową i topograficzną praktycznie pod kierunkiem profesorów i prosektorów, ale braliśmy nadto prywatny kurs chirurgji operacyjnej na trupach u Izydora Kopernickiego, tudzież uczęszczaliśmy na sekcje sądowe.

Ten rok ostatni, najobfitszy w pracę, najmniej dostarczyć mi może materjału do pamiętnika; byliśmy bowiem niepodzielnie pochłonięci medycyną i mało wiedzieliśmy o życiu zbiorowem młodzieży. Tylko w czasie kontraktów 1859 r. jednostajny tryb nasz przerwały znowu teatra amatorskie na rzecz niezamożnych kolegów, w którym jako niepoprawni wielbiciele Fredry wzięliśmy udział czynny. Kuratorem naszym tegoż roku został głośny uczony Pirogow; Orzechowskiego zaś mimo egzaminu skłoniliśmy, aby był reżyserem polskiego przedstawienia i sam do niego należał. Wystawiliśmy znowu klasyczne utwory Fredry a mianowicie: „Pana Jowialskiego“ i „Dożywocie“. Powodzenie było ogromne. Odznaczyli się grą swoją w Jowialskim:

Orzechowski w roli tytułowej, Amborski jako Szambelan i pani Bezobrazow w roli Szambelanowej. I tą razą zwrócił na siebie uwagę publiczności Jan Amborski; gdy bowiem jako szambelan przechodził z samotrzaskiem przez scenę, a jeden z oficerów siedzących na parterze wstał z krzesła i dążył ku wyjściu brzęcząc szablą, Amborski zwraca się doń ze sceny udając bardzo naiwnego z błagalną prośbą, by nie robił hałasu, bo mu wszystkie szczygły wypłoszy. Oczy całego teatru w jednej chwili zwróciły się na zmieszanego oficera, który stanął jak wryty w miejscu i stał tak do końca aktu. W „Dożywociu“ Jan Gorzałczyński jako Łatka zajął wszystkich niepoślednią grą swoją. Tą razą występowaliśmy w miejskim teatrze, a dochód był jeszcze znaczniejszy niż roku zeszłego. Młodzież rosyjska wystawiła sztukę: „Swadźba Kreczinskago“ (Wesele Kreczyńskiego) a Małorosjanie: „Natałka Połtawka“ (Natałka z Połtawy). Sumy zebrane uległy podziałowi wedle raz przyjętego zwyczaju.

Zaledwie ukończyliśmy z teatrem, w którym i ja brałem udział w roli Ordona w „Dożywociu“ jako niczem nie powściągniony miłośnik przedstawień amatorskich, gdy nas powołano do egzaminów praktycznych. Pierwszy a najważniejszy był z anatomji opisowej, do którego byłem wybornie przygotowany. Zmieszałem się wszakże na wstępie, gdy mnie profesor Walter powitał następującemi słowy:

— „Nie wiedziałem wcale, że pan jesteś studentem medycyny, nigdy bowiem pana na moich lekcjach nie widywałem, a jeśli go znam, to stąd, że leczyłem jego przestrzelone kolano.

Nadrabiając dobrą miną odrzekłem:

— „A ja na wszystkich lekcjach pana profesora bywałem, tylko jako obdarzony dobrym wzrokiem i słuchem nie cisnąłem się do pierszych ławek, profesor zaś mając wzrok krótki mógł mię z łatwością przeoczyć“.

Na to Walter:

— „Zobaczymy, zobaczymy, jak to pan zdaleka przypatrując się anatomji mogłeś z wykładów korzystać“ — poczem dodał:

— „Proszę zdjąć czaszkę i wydobyć z niej mózg“.

Jakkolwiek dużo nad anatomją pracowałem, znając Waltera pewien byłem, że mi da zły stopień, ale mimo to z rezygnacją zabrałem się do zaproponowanej mi czynności. Odpiłowałem, zdjąłem czaszkę, błony mózgowe i ostrożnie dobyłem cały nienadwerężony mózg. Zaczął się egzamin: najpierw na skrajanym we wszystkich kierunkach mózgu, potem na 12 parach nerwów z jego podstawy wychodzących, a potem dalej i dalej przeszliśmy do nerwów serca i płuc, do organów trawienia itd., aż wreszcie dziekan zaprotestował przeciwko tak przedłużonemu egzaminowi na stopień lekarza. Uśmiechnięty Walter powiedział mi: „Musisz pan mieć lepszy wzrok od mojego, bo drobne przedmioty rozpoznajesz zdaleka, gdy ja twarzy pańskiej na tejże przestrzeni nie rozpoznawałem; przepraszam za omyłkę i winszuję wytrawnej znajomości przedmiotu". Poczem w spisach przy nazwisku mojem zanotował „bardzo dobrze", co mu się prawie nigdy nie zdarzało. Z preparatu, a była to ręka, żartował prawie dając mi najłatwiejsze pytania. Trzej moi współmieszkańcy zdali też dobrze z tego przedmiotu. Za anatomją poszły inne praktyczne egzamina jak: z patologicznej anatomji, z medycyny sądowej i z chirurgji operacyjnej na trupach. I te zdaliśmy wszyscy czterej dobrze.

W czasie egzaminu z chirurgji operacyjnej prof. Korowajew był nami zachwycony, bo operowaliśmy jak z nut po ćwiczeniach u Kopernickiego. Wpadł on w taki humor, że egzaminując Orzechowskiego począł żartować, w czem mu ten ostatni nie omieszkał wtórować. Egzamin zamienił się powoli w komiczną pantomimę, której szczegóły tu podaję:

Prof. Korowajew pokazując Orzechowskiemu porte-caustique (jest to narzędzie do oprawiania lapisu i innych przypalających środków a zarazem stanowiące zazwyczaj w odwrotnym końcu ołówek) pyta;

— Co to za narzędzie?

— Orzechowski: „Ołówek".

— Korowajew (chowając za siebie instrument wysuwa lapis, a stawiąc go przed oczy badanego wraz z wysuniętym językiem, woła:

— Nieprawda, bo to narzędzie do lapisowania.

Orzechowski odbierając instrument od Korowajewa chowa

go po za siebie, a wysuwając ołówek pokazuje go również wraz z językiem profesorowi i kończy:

— A co nie mówiłem, że ołówek?

Śmiech ogólny w audytorjum i najlepsze zdania zamykają tę farsę.

Po praktycznych egzaminach, które odbywały się z przerwami 8 do 10 dniowemi, nastąpił miesiąc przerwy, wkońcu zaś maja wyznaczono tytułem próby na jeden dzień egzamin ze wszystkich teoretycznych przedmiotów. Sądziłem, że mózg mój tego nawału myśli nie wytrzyma; a wszakże udało się mnie i moim trzem kolegom wyjść obronną ręką z całego szeregu egzaminów; otrzymaliśmy bowiem ze wszystkich przedmiotów najlepsze zdania.

Jakkolwiek byliśmy pochłonięci naukową pracą i miejscowemi sprawami świata studenckiego, ulegaliśmy jednak mimowoli wpływom wielkich wypadków dziejowych, szczególnie takich, które pośrednio lub bezpośrednio mogły wpływać na losy naszej narodowości. Z szeregu tych zdarzeń najważniejszemi w latach moich kursów uniwersyteckich były: wojna wschodnia od roku 1853 do 1856 i poczynająca się w 1859 r. walka o niepodległość i zjednoczenie Włoch. Ta ostatnia szczególnie elektryzowała niezmiernie młodzież uniwersytecką polską jako należącą do narodowości pognębionych. Nie mniej silnie podziałały na nas zmiany, które zjawiły się w państwie rosyjskiem po śmierci cesarza Mikołaja I, a które obudziły zrazu wielkie nadzieje, zaś po przemówieniach Aleksandra II do polskich przedstawicieli w Warszawie, Wilnie, Kijowie i Kamieńcu, z jednej strony wywołały gwałtowne rozczarowanie, z drugiej przygotowywały grunt do Rządu Narodowego. Dzięki zaś temu, żeśmy jednostronnie kształcili się na arcydziełach poetów-patrjotów i podlegali wpływom pism politycznych emigracyjnych, wypadki zewnętrzne i wewnętrzne wstrząsnęły do głębi tem naszem pokoleniem, budząc w niem żądzę zemsty bez krytycznego rozważania następstw. Niewielu tylko z pomiędzy nas, znających gruntownie dzieje narodu i ciężkie a doniosłe skutki niewczesnych sprzysiężeń i wybuchów, nie łudziło się nadzieją wiedząc, że brak nam jak dawniej patrjotycznego ludu i średniej klasy i że tych warstw nieistniejących a w każdym narodzie nieodzownych stworzyć nie byliśmy w stanie.

Ze spraw społecznych najwięcej nas zajmowała tocząca się w owych czasach od 1857 do 1859 r. sprawa reformy włościańskiej, tem bardziej, że złożoną została prawie niepodzielnie w ręce szlachty w okresie swym przygotowawczym. Z trzech komitetów na Rusi, wśród wołyńskiego i kijowskiego tylko, było po 11 członków za uwłaszczeniem, ale ich projekt jako mniejszości upadł. Podole zaś trzymało się pańszczyzny bądź jawnej, to jest wedle starego autoramentu, bądź zamaskowanej w postaci czynszów. Nasza cała młodzież uniwersytecka, o ile mogła, głośno się wypowiadała za uwłaszczeniem zawsze i wszędzie i wytykała palcami przeciwników tego kierunku; ale wpływu stanowczego na obrady szlacheckie mieć nie mogła. W lat zaś kilka później dowiodła, iż dla tej zasady gotową była ponieść w ofierze życie i mienie bez nadziei zwycięstwa. Starsze nasze pokolenie różniło się pod tym względem od młodszych, że pragnąc jak najpomyślniejszego rozwiązania tej kwestji nie czuło się uprawomocnionem do narzucania swych zapatrywań właścicielom ziemi. Wypowiadając więc nasze stanowcze przekonania, nie potępialiśmy większości, która nie chciała czy też nie umiała podnieść się do wielkiej polityczno społecznej ofiarności. Młodsi nasi koledzy potępili ziemiaństwo, chrzcząc je mianem: „moszrodziei", nie uwzględniając tego, że rządy rosyjskie w ogólności, zaś Mikołajewskie w szczególności, przy współudziale Bibikowa na Rusi, nie mogły wykształcić całego zastępu szlachty tak, by przygotować ją do wspaniałomyślnego czynu, którego doniosłości większość z nich zrozumieć nawet nie była w stanie.

W zakończeniu wspomnę tu jeszcze o kilku wybitnych osobistościach, które miały stosunki z młodzieżą, a więc musiały mimowolnie oddziaływać na nią. Zaliczę tu z Polaków na stanowiskach asystentów: Izydora Kopernickiego prosektora przy teatrze anatomicznym i Benjamina Millot'a przy klinice chirurgicznej; dwóch sybiraków ze „Stowarzyszenia Ludu Polskiego na Rusi", znanego nam już Gaspra Maszkowskiego i Onufrego Pietraszkiewicza; dwóch pedagogów: Blumenthala i Szembela; nauczycieli gimnazjum: Aleksandra Szumowskiego i Zygmunta Rupniewskiego; wreszcie Aleksandra Jabłonowskiego, Leonarda Sowińskiego, Zenona Fischa i doktora Adolfa Trachtenberga. Wpływy tych ludzi nie równoważyły wszakże swą do-

niosłością obrachowanych na lata systematycznie stosowanych wpływów Antonowicza.

Poza murami uniwersytetu oprócz osób przed chwilą wymienionych mało mieliśmy stosunków z towarzystwem miejskiem i większość spędzała chwile wolne od pracy naukowej w gronie koleżeńskiem. Wyjątek stanowiła złota młodzież, która się prawie z kolegami nie łączyła, szukając rozrywki bądź w swojem złotem towarzystwie, które czas na hulankach spędzało, bądź w zamożnych domach, gdzie się bawiono. Co do mnie, miałem kilka domów znajomych, w których od czasu do czasu bywałem. Ilość tych domów zwiększyła się znacznie po moim pojedynku i bytności moich rodziców w Kijowie. W końcu maja 1859 r. po zupełnem ukończeniu egzaminów, w mieszkaniu naszem po skromnej herbatce z wędliną, na której znalazło się kilkunastu kolegów, odczytał nam Michał Tomaszewski swój wiersz pożegnalny, w którym streścił wyznanie wiary i hasła nasze, a z którego ostatni dwuwiersz zdobił pierwszą kartę pism Gromadzkiego. Po odczytaniu i serdecznem przyjęciu tego utworu zacnego kolegi, idąc za radą autora próbowaliśmy zaśpiewać tę pieśń na nutę pieśni Kędrzyckiego: „Hej koledzy, precz frasunek", co się nam wybornie udało; a wziąwszy te słowa do serca rozjeżdżaliśmy się nazajutrz z gorącem postanowieniem stosowania w dalszem życiu zawartych w niej wzniosłych wskazówek i myśli!

Oto jak brzmiał ten wiersz:

Dalej bracia w jedno koło!
Dłoń na sercu, w górę czoło,
Święćmy chwile, co tak mile
Zjednoczyły nas!

Święćmy, święćmy, czem kto może,
Czyny piękne, myśli Boże,
Każdy w świecie niechaj nieci,
Bo je niecić czas!

Przykład innym z siebie dajmy!
W Polsce ludzkość ukochajmy,
Ją miłujmy i pracujmy,
By jej wrócić byt!

A w miłości myśl poczęta
Musi, musi, być pojęta,
Nią więc silni, nieomylni,
Swobód stworzym świt!

W imię Boże więc do dzieła!
Jeszcze Polska nie zginęła
Zaśpiewajmy i w tem trwajmy
Przez ciąg dalszych lat!

Grono nasze niech zespoli
Zacność czynów z siłą woli!
Z hasłem wiary i ofiary
Dalej bracia w świat!...

. . . . . .

A ruszając w ten świat, mieliśmy już budujące przykłady w kilku starszych kolegach naszych, wśród których Fortunat Nowicki rej wodził. Osiadłszy bowiem w Żytomierzu i ożeniwszy się z panną Zenoną Jezierską wstąpił do spółki wydawniczej ziemiańskiej razem z Grozą i Karolem Kaczkowskim na czele. Opracował najlepszy i najtańszy na owe czasy elementarz polski, zakładał ochronki i szkółki, a popierany przez zacnych ziomków, a szczególnie przez J. I. Kraszewskiego i A. Pietkiewicza (Adama Pługa), dążył wytrwale do wyrabiania zdrowej opinji publicznej i uczuć narodowych wśród swego najbliższego otoczenia.



Fig. 46. Grupa studentów uniwersytetu kijowskiego. Pierwszy rząd od góry: 1. Konrad Paszkowski, 2. Tomasz Burzyński, 3. Witold Jaroszyński, 4. Krasowski, 5. Antoni Chamiec, 6. Zygmunt Radziszewski. Drugi rząd: 1. Stefan Bobrowski, 2. Gustaw Wasilewski, 3. Leonard Sowiński, 4. Adolf Wróblewski, 5. nieznany. Trzeci rząd: 1. Tomasz Zawadyński, 2. Antoni Skotnicki, 3. Józef Męciński, 4. Samuel Zborowski.

DODATKI I PRZYPISY.

UCZTA SZALEŃCÓW.

O! gdyby mieć takie potężne ramiona
I ręce tak długie — żebym zdołał niemi
Opasać w okrąg całą kulę ziemi!...
Ja ludzkość tak kocham! — to do mego łona
Tak bym przytulił namiętnie, szalenie,
Aż by się zeszły mrok kopalń z gór lodem,
Z dnem morza szare obłoków sklepienia,
Ażby się zachód spotkał ze wschodem,
Biegun z biegunem, — ażby samo piekło
Widząc me dzieło — z zawiści się wściekło!...

Tak w wściekłym, burzącym, uścisku olbrzyma
Zmiąwszy ten padół — łez — jęków — wygnania,
Zgniotłbym tę masę — w kształt kostki do grania —
I rzucałbym losem: czy jest Bóg?... czy niema?

Albo nie! — raczej przez światów przestworze
Aż tam — na słońce zarzucę! — to może
U ognistego ogrzeje się łona
Ta ziemia wystudzona!...
Albo bym w szale ostatnim wściekłości
Rozchwiawszy ręce — potężnie — szeroko —
Wypuścił ziemię — aż ot tam... wysoko,
Aż tam, w to sławne oko Opatrzności, —
I takim szyderczym odezwał się śmiechem,
Aż w czczościach wszechświata — zagrzmiałoby echem.

Och! jam nie warjat — jam nie obłąkany! —
Jam tylko szaleniec — rozpaczą pijany,
W sercu którego pod lodem zwątpienia
Marzną najdroższe nadzieje — złudzenia...
Więc się nie dziwcie, że pieśń moja dzika,
Jak szał pijaństwa, jako jęk puszczyka,
Że skrzypi, jak zgrzyt zębów ściśniętych rozpaczą,
Złowróżbna, jak głos kruków, co na ścierwo kraczą.

Och! ucztę wam sprawię — o jakiej jeszcze
Żaden z królewskich wykwintnych kucharzy,
Żaden gastronom — nie słyszał — nie marzy,
Nie opiewali prorocy — i wieszcze!... —
A w izbie biesiadnej — nie dojrzeć ścian okiem,
A nad nią lśnić będzie — półkolem szerokiem —
Godowa — z lazuru — bez kolumn rzucona,
Gwiazdkami z djamentów niebiańskich upstrzona,
Wspaniała komnata! — Wspaniałeż bo gody!
Bo gośćmi — nie goście, — a całe narody!...
A stołem biesiady — te będą zagony,
Gdzie z gniazdka, zwitego w skalistej dziedzinie,
Ojczyźnie orłów, do czterech mórz płynie
Siedm rzek modrych — w świata cztery strony —
I dalej — i dalej... do morza — za morza! —
I przyjdą goście — wierna czeladź Boża —
Nie w modnych frakach w Paryżu kupionych,
Bez rękawiczek, bez kudłów trefionych,
A przyjdą — w sukmanach — w czapeczkach czerwonych,
W baranich czapkach — w świtach z kapturami, —
I przyjdą — zadźwięczą — kosami — nożami —
Zadzwonią ochoczo — u pasa kółkami...
A dzielniż to goście!... Choć bez ułożenia —
Bez wychowania — i bez ukształcenia,
Choć bez oświaty — za to z krzepkiem ciałem
I z krzepką duszą, — z szczerością — z zapałem —
Z poezją w sercu — i z swobodną głową
Od dymów światowych, — i z dłonią gotową
Do czynów szlachetnych — i z duszą gorącą —
Otwartą dla prawdy — i światła łaknącą! —

O, świetną dam ucztę! — i stoły nakryję
Białemi całuny, bielszemi od śniegów;
A po nich — zamiast wzorowanych ściegów —
Zimną i rzadką krwią pańską wyryję:
„Śmierć! potępienie! carzykom i carom!
Śmierć panom, bankierom, celnikom, bojarom!
Śmierć wszystkim łotrom ukoronowanym,
Śmierć wszystkim kradźcom uprzywilejowanym!“
A chłopską — gorącą krwią — skreślę te słowa:
„Niech żyje wielka sprawa i społeczność nowa!
Niech żyje wolność, równość, braterstwo narodów!
Cześć ludu obrońcom, cześć sprawcom tych godów!
Cześć apostołom narodowej wiary!
Niech żyje nowa era! niech ginie wiek stary!“

Będzie to uczta — na znak wyzwolenia
Ludów z tych kajdan — nazwanych rządami —
I z praw — pisanych bagnetów ostrzami!
Będzie to uczta — na znak dziękczynienia
Naszym w kradzionych koronach ojczymom —
Drogim macochom — i braciom Kaimom!
O! krwawa wzajemność za krwawą opiekę!
O, krwawo się ściśniem w zemsty pocałunku!
Otworzę im księgę narodów i rzekę:
„Opiekunowie! czas do obrachunku!"

A gdzie te miljony skradzione ludowi
Od wieków tylu — pod nazwą podatków —
Trwonione pod nazwą rządowych wydatków?
Och! Bóg odpuścił na krzyżu łotrowi,
Lecz rząd kmiotkowi gdyby grosz darował,
To niepodobna! — Skarb by zbankrutował.
I gdzież te miljony? Jak one użyte?
Gdzie poszły?... Na króle, na sprawy dworaków,
Na pany łakome, celniki niesyte,
Na wodze bez serca, na zgraję żołdaków?!...
Na to, by kosztem miljonów nękanych
Mógł tłum służebny — szczęśliwców wybranych —
Co ducha sprzedali — na cacka — łakocie —
Dogadzać chuciom w rozpustnej ochocie?!...
Gdzież syny nasze, wydarte z rodziny,
Wprzężone w jarzmo piekielnej machiny,
Co armją zowiecie? Gdzie?... Pobite w bojach
Za samolubstwa monarszego sprawę!
Strute w szpitalach — po wojennych znojach!
A jakaż nagroda za trudy ich krwawe?
Garść krzyżów cynowych?... od króla „dziękuję"
Nawpół z szyderstwem przez zęby rzucone;
Tak jak psu — za to, że dobrze waruje,
Rzuca się kości, nawpół ogryzione!
Los jakiż?... Gdy służbę wypowie już ciało,
To rzucą na śmiecie — jak szablę zrdzewiałą.
Wyście pilnikiem karności wojskowej
Starli z nich piętno — rodzime — ludowe.
Dali im żądła i ogniste jady; —
I stali się ciałem — jak zjadliwe gady
Na roli ludów, a duchem jak karli,
A dla ludzkości jakoby umarli...
I stali się niemem ogniwem łańcucha,
Którym ludzkości i postępu ducha

Króle chcą spętać żądłem tego smoka,
Co kąsa ludzkość bagnetów tysiącem;
Biednem narzędziem na rozkaz bijącem;
Pieszkiem bezmyślnym, co mądrość głęboka
Rządów — dla sławy — lub wyrachowania —
Na chybił trafił jak trzodę pogania
Po szachownicy, zwanej wojny planem...
Z ludu powstali — i lud bronić mieli.
Lud i ojczyznę od wrogów, a oto
Ci ludzie z sercem umundurowanem
Do bratniej piersi bagnety przytknęli
I na lud plwają — i rzucają błoto.
I oto strzegą honorowe katy —
Jak od zarazy — ludy od oświaty,
By przy jej świetle czasem nie ujrzały,
Wzbiwszy się duchem nad poziom poglądów,
Że rząd dla ludów, nie ludy dla rządów!
By pod jej ciepłym wpływem nie zechciały
Prawa Chrystusa dopełnić na ziemi,
Że wszyscy ludzie rodzą się równemi!

Gdzie nasze proroki i ludu obrońce,
Zaszczyt ludzkości, ducha czasu gońce?
O całą myśl wyższe nad świata poziomy,
Z czynami jak djament, z słowami jak gromy?!
Oni duchowych światów dostojnicy,
Myśl oderwawszy od niebiańskich szlaków
Pomiędzy ducha zstąpili żebraków,
Łzę im otarli z nabrzmiałej źrenicy,
Dłoń spracowaną szczerze uścisnęli
I rzekli: „Ludu! wstań! i chodź za nami!
Dźwignij swą duszę z nicości pościeli!
Poczuj się w sobie! poczuj, żeś człowiekiem!...
Do dzieła bracia! Bądźcie wy cegłami
W świetnej budowie dla nowej ludzkości,
W której zanucim rozbrat z starym wiekiem
I hymny wiary — nadziei — miłości!"
I wielkim głosem na króle wołali:
„O króle! w imię miłości bliźniego
Podnieście ludy do serca waszego!
A króle — z tronów — z wzgardą się zaśmieli.
I rzekli znów królom: „O biada wam, króle!
Gdy lud sam prawa podniesie zdeptane
I mścić się będzie za wiekowe bóle!"...
A za odpowiedź króle rozgniewane

Szlachetne piersi ołowiem przeszyli,
Hańby powrozem głos dzielny stłumili.

Bierzcie co swoje! Oddajcie nam nasze!
Przesądy wieków — pycha — zbytek — mody —
Łzy — ucisk — nędza — łupieże — niezgody —
Służalstwo — herby — o, to było wasze!
O, bierzcie sobie! waszego nie chcemy!
Przez długie lata wyście nas darzyli
Darami piekła; — my wam w jednej chwili
Za wszystkie wieki razem odpłacimy!
Dość wam używać! wy zmysły, myśl, zdrowie
I rozkosz samą jużeście zużyli.
Na bok!... ustąpcie precz opiekunowie!...
Miejsca!... a przestronnego — pokoleniom nowym,
Ze krwi ochrzczonym, ciałem, duszą zdrowym!
Precz, wy zużyte, duchowe szkielety!
Z pychą wężową i z dłonią kobiety,
Przekupnie ducha, świętokradzkiej wiary!
O precz, wy trutnie, z ula społeczności!
Zdolniście tylko do krwawej ofiary
Na proch, pod stopy ucztujących gości!...

A sławnaż to będzie, — o, sławna biesiada! —
Aż o niej — śnieg nawet Kamczatki zagada!
Po nocy odbędziem — w porze — gdy przyroda
Swe tajemnicze obrzędy odbywa,
Gdy kur upiory na przechadzkę wzywa,
A sowa hasło do uczty nam poda!
Po nocy — po nocy — będziemy ucztować!
Aż kiedy na niebie na przedświt się zbierze —
Do pracy — do kielni — do młota — budować!
Niech każdy co może przyniesie w ofierze!
A kto ubogi, niech serce przyniesie
Lub czyny lub myśli lub też dłonie zdrowe!
Z murów cyklopskich tę wzniesiem budowę!
A trzeba skończyć, nim na widnokresie
Słońce zabłyśnie; a gdy wejdzie słońce,
Taki hymn hukniem, na cześć dnia wszelkiego,
Aż echo dojdzie do nieba samego,
Aż zawtórują świata cztery końce!...

I światło nam będzie, choć w nocy! zaświecą
Dwie zorze — u dwóch biegunów świata,
Jak dwa kinkiety na balu magnata!

Ognie wulkanów pod nieba wylecą
I mrok rozjaśnią jakoby pochodnie!...
Jaśnie wielmożnych, jaśnie oświeconych,
I wszystkich trądem pychy zarażonych,
Którzy przez zdrady, przedajność i zbrodnie,
Od ścieżek cnoty odwracając oko
Czołganiem wężem do góry się pięli,
Tych my podniesiem, jak za życia chcieli,
Na szubienicach wysokich — wysoko!
Niech nam przy uczcie służą za latarnie!
Nam — nam, z ciał których w prochu poddaństwa
Ten olej dotąd tłoczono bezkarnie,
Który podsycał jasność ich państwa...

Wbijem na pale podłe piśmienniki,
Co duchem jakby towarem kupczyli,
Co samolubstwa narody uczyli!
Na pal was! Na pal, oświaty kupczyki!
Dziegciem moskiewskim obmoczym wam głowę,
A siarką usta zatkniemy jałowe
I zatlim — zamiast łuczywa lub świecy!
Świećcie! Gorejcie! Myśli nierządnicy!...

W środku jak hydra zniszczenia usiędzie
Ogromna gilotyna — i zrzucać nam będzie
Z ostrych uściśnień te ich harde głowy,
Patrzące z góry — jako kłos jałowy,
Które zasłonić nam chciały blask słońca.
Zamiast kul niemi nabijem armaty
I podczas uczty strzelim na wiwaty!
I żeby trąd ten wyplenić do końca,
Dopełnić dzieła zniszczenia, zaguby,
Zwierzętom ziemi i potworom morza
Rzucim na pastwę obcięte kadłuby!
Niechaj i one z nami poucztują!
Tak — bo te ciała w ziemi pogrzebione
Może swym jadem przyrodę zatrują...
To niech w żołądkach zwierząt przetrawione
W metamorfozie atomów się zbędą
Jadu zepsucia i cząstek niezdrowych,
Aż przetworzone znowu zdolne będą
Wejść w skład pierwiastków ciał i tworów nowych!

I muzyka będzie. Bo cóż po biesiadzie,
Gdy muzyki niema! O będzie muzyka!...



Fig. 47. Grupa studentów uniwersytetu kijowskiego. Pierwszy rząd od góry: 1. Władysław Skotnicki, 2. Cezary Malherbe, 3. Gotfryd Przedpełski, 4. Jan Brzozowski, 5. Aleksander Jabłonowski. Drugi rząd: 1. Gulbiński, 2. Antoni Jurjewicz, 3. Stefan Bobrowski, 4. Leon Syroczyński, 5. Wincenty Wasilewski. Trzeci rząd: 1. Józef Rylski, 2. nieznany, 3. Gubel.

Nie ta, co w waszych salonach złoconych
Jedwabną dłonią zmysłowość wam gładzi,
Miękką lubością serca przenika
I łechce tkankę nerwów rozdrażnionych!
Lecz ta odwieczna muzyka przyrody,
Wspaniała, pół dzika, a pełna swobody,
Gdzie wiatr — artysta — nie znany nikomu
Świszcze po jarach lub jęczy w pieczarach,
Gdzie pianem szmer liści po lasu konarach
I brzęk owadów, — a basem huk gromu!
Oto mi muzyka!... wy jej nie czujecie,
Lub pojmujecie tak jak Boga dziecię —
Ale ją czuje dusza szaleńca!

A sławnież pić będziem!... Pijatyka godna
Będzie tej uczty!... Wypijemy do dna
Śródziemne morze i Atlantyk cały!
Zapałem miljonów, miljonów tchnieniem,
Dna ich osuszym. — I tam, gdzie wprzód stały
Ogrody Hesperyd z złotemi jabłkami,
Tam nową ludzkość Królestwa Bożego
Osadzim na prawach miłości bliźniego!...

DZIEŃ ZADUSZNY.

Był dzień Zaduszny. I w duszy mi było
Jak w dzień pragnienia na puszczach Sahary —
I było nudno — tęskno — i niemiło
I czczo i chłodno, jakbym z życia czary
Zaczerpnął tylko rozpacz i zwątpienie.
I własne nawet męczyło westchnienie!
Dumałem ciężko — dziko w łonie grały
Jakieś szydercze, ponure piosenki;
Myśli me czarne przywdziały sukienki
I jak płaczliwy orszak pogrzebowy
Ciężkiemi kroki po mózgu deptały
W takt tych piosenek — mijały — wracały —
Niby w zaklętem kole uwięzione.
Dumałem ciężko; było me dumanie,
Jak przez żałobną, kirową zasłonę,
Łzawy rzut oka na matki konanie!...

Dumałem ciężko — o braciach, co legli,
By krwią przypomnieć niebu o Ojczyźnie,

Światu, że Polak zrodzon do wolności!
I o tych braciach, którzy się rozbiegli
Z przysięgą pomsty wiecznej po obczyźnie,
Schwyciwszy iskry bezcenne miłości
Ku matce — z gruzów ołtarza wspólnego —
By je serc żarem i czystością tchnienia
Żywić, jak święte ziarna odrodzenia,
Jako zadatki pożaru wielkiego,
W którym się Polska jak Fenix przepali.
Dumałem ciężko — o braciach cierpiących
Za to, że matkę i prawdę kochali,
W podziemiach kopalń kajdany wlokących.
O braciach, co choć z Bożą iskrą w łonie
Mogliby świecić, wśród dzisiejszej nocy,
W niemej rozpaczy załamali dłonie
I więdną w ducha śmiertelnej niemocy.

I o tych braciach, co w duchowej drzemce
Zaległszy ciepłe doczesności łoże,
Wszelki cel święty marzeniem nazwali,
Dla Polskiej sprawy, niby cudzoziemce,
Na zmiłowanie wyczekując Boże,
Jakoby głusi i ślepi się stali...
Trupy chodzące! — Za ich zmartwychwstanie
Zmówcie paciorek, pobożni chrześćjanie!

Takem ja dumał! Było me dumanie,
Jak przez żałobną zasłonę kirową
Łzawy rzut oka na matki konanie.
A com przedumał, to nie ludzką mową
Oddać bym zdołał — chyba krwią i łzami!
I tak dumałem, aż chmurna gromada,
Niby upiory, strojne całunami,
Niby wiedźm tłuszcze, gdy tłumnie się zjadą
Z wierzgiem i wyciem na szabat czartowy,
Myśli zadusznych tłumy rozszalone
Na jakieś nuty dzikie — potępione —
Wkoło płonącej chorym żarem głowy
W jakieś piekielne pląsy się puściły,
Aż się w kłąb jeden ogromny zwichrzyły,
Jak piaski zwiane w trąbę uraganem,
I k' niebu bluźnierstw strzeliły wulkanem!...
A nic mi echem — nie odrzekło w Niebie. —

A potem cisza!... głuchsza nad milczenie,
Jakbym zapadał w ocean ciemności.

Spojrzałem w siebie, zląkłem się sam siebie.
Razem z bluźnierstwy, zda się, Boże tchnienie
Pierzchło w wybuchu szału i wściekłości
I z uczuć tylko jedno to zostało —
Zwierzęce czucie, że mam jeszcze ciało.
Wkoło nas było dziwnie sennie — ciemno —
A za mną morze krwi i łez — przedemną
Przepaść bezdenna — rozpaczy zwątpienie —
I coś tam dziwnym urokiem mię wlekło.
I była cisza, głębsza nad milczenie,
Lecz nad tę ciszę... o! przeniósłbym piekło!...

Więc się modliłem do mej pięknej Pani:
„O piękna Pani, coś jest rodem z Nieba,
Której me serce kornie niosę w dani,
Gdyś nie jest tylko pięknem kłamstwem z Nieba,
Lub dusz szalonych bezsilnem marzeniem,
Daj mi się ujrzeć!... łaski twej mi trzeba,
Bom duchem stał się wśród nudów katuszy
I mdłym jak słabość i chory zwątpieniem!"
Stanęła oto, przed oczyma duszy,
Niebiańska córa. — „Co chcesz?" mię pytała
I modrą szatą w lica mi powiała —
I lżej mi było, jak w przerwie boleści.
Rzekłem z westchnieniem: „Pani! błagam ciebie,
Zeszlij mi lepszych, nieśmiertelnych wieści,
Bom zbrzydził ziemię i zwątpił o Niebie!
Ochrzcij me myśli twym rajskim urokiem.
Daj — niech wezwane zaklęć moich siłą
Staną w powadze świętych ojców cienie.
Ja chcę ich spytać o to, co mię boli,
I o to, co się za grobem im święci!"
„Stań się twa chęci — według twojej woli" —
Rzekła i ku mnie łaskawie skinęła
I modrą szatą w lica mi wionęła,
A świeższy powiew oblał spiekłe skronie.
„Weź lirę, przytul na bijącem łonie
I dzwoniąc zcicha pieśń Bogarodzicy
Niech w imię Krzyża, w imię wolnej Pani,
Zstąpią ku tobie z wiekowej otchłani".

Znikła... sam z myślą... lecz samotność owa
Ludniejsza była od ludnego grodu
I pełna życia i żywego słowa
Jak zgodny sejmik wolnego narodu...

Co?!... gdzie ja jestem? Komnaty mej ściany
Uciekły w przestrzeń... Co się dzieje ze mną?
Lecę, gdzieś wirem tajemniczym rwany.
Gdzie ten wir zaniósł?! Śnieżny szczyt podemną!
Wkrąg siebie na zwiady szlę wzrok zadziwiony...
Ha! wiem gdzie jestem! znane sercu strony.
Znam, — to Karpaty! w lewo — w kotłowinie
Pięciu gór szczyty, — przed siebie — i w prawo,
Tam Wisła, Niemen i modry Dniestr płynie
I k'sercu wieje niby starą sławą.
Do mórz wokoło sięga ma źrenica,
Rodzone rzeki, rodzona ziemica,
Jako na dłoni, liczę grody, sioła,
Od siół i grodów liczniejsze mogiły
I pola bitew i krzyże przy drodze,
Rycerskich zamków zdruzgotane czoła,
Co po rycersku hańby nie przeżyły,
I wieże świątyń i klasztory groźne.

„O wy! pod pięknej sławy całunami,
Jak po bitw trudach po mogiłach śpiący,
A wiecznie w naszej pamięci żyjący,
Co berłem, mieczem, słowem lub czynami
Służyli sprawie, swojej wolnej Pani,
Niosąc jej z sercem krew i mienie w dani...
Ja krew z krwi waszej, ja kość z waszych kości,
W imieniu Panny bez zmazy poczętej.
W imię Ojczyzny, w imię sprawy świętej
Narodu, szabli — i złotej wolności,
W imię hasł owych tak wam ulubionych,
A tak krwią waszą serdecznie ochrzczonych,
Czołem i duchem do nóg wam się zginam,
Na krzyż, na honor, na Matki zbawienie,
Proszę was, błagam, po trzykroć zaklinam —
Dajcie, niech ujrzę was, naddziadów cienie!“
I zaszumiało coś po mojem słowie,
Niby chrzęst zbroi, niby szept podziemny,
Bo wstrząsł grobami niby dreszcz tajemny
I mąż olbrzymi wykwitnął z każdego,
Z szablicą, księgą, albo pastorałem —
Każdy z nich istny duch ludu wolnego...
„Do mnie! ach do mnie, ojcowie!“ wołałem.

Oto się lekko od ziemi odjęli,
Jak od spraw dziennych myśl w czasie natchnienia;

W niezmierny zastęp w górze się spłynęli,
Niby w rycerskiej dumie o przeszłości
Wszystkie jej chwały, blaski i wspomnienia...
A pod ich stopy — niby obłok dziany —
Z tęcz i księżyca stęsknionych światłości
Rozesłał srebrno-wzorzyste dywany,
A na obłoku pełni wielmożności,
Jako za życia, skrzydlaci pancerni,
Kształtem dorodni, a duchem niezmierni,
Zaklęcia mego przebudzeni słowy
Z cichych po pięknym żywocie wywczasów
Tu ku mnie płyną — goście z lepszych czasów,
Jak świetna chmura chwały narodowej.

A na ich czele Lech, pradziad rycerzy,
Dziad Krakus z córą, co nie chciała Niemca,
Ojciec Piast w grubej, rolniczej odzieży —
I król Mieczysław, chrzestny ojciec ludu —
I król Bolesław, co gnał cudzoziemce
Jak lew niestrudzon wśród chrobrego trudu
Zwycięskim szczerbcem od lackiej granicy, —
A tam, za nimi, króle i hetmany,
Kapłany mądre i krzesłowe pany
I z krzepkiej stali kuci wojownicy.
A w tylnej straży świetnych mężów onych
Huf mężów smutnych w czamarach skrwawionych
Z wzniesioną k'niebu z boleścią źrenicą
I ze skruszoną bez pochwy szablicą.
Dwubarwne znamię na ich hufca czele —
Zdarte — strzępami skrwawionemi wieje
Jako potrójnych naszych kajdan dzieje —
To wolnej Pani... ostatni mściciele!...

I płyną bliżej, coraz bliżej ku mnie,
Na sejm pośmiertny zebrali się tłumnie —
Tylu! tak dzielnych!... Aż serce się zrywa
K'nim, jak koń z wodzów, a wzrok się rozpływa
Na tysiąc spojrzeń, w pełnem czci zdziwieniu
Radby pochłonąć wszystkich w jednem mgnieniu.
Bliżej i bliżej! Jak im wzrok się pali
Niby blask słońca, odbity od stali,
A jakąś wzniosłą, wspólną myślą strojni,
Dziarscy i butni a dziwnie spokojni.
Oni!... co ledwie w marzeniach się śnili,
Dziś!.,. przed oczyma duszy mi ożyli...

I coraz bliżej... — i już są koło mnie —
Trwożnie mi czegoś... i za siebie sromnie.

„Co chcesz? Kto jesteś?“ grzmią mi ponad głową.
„Czołem przed wami, o ojcowie moi!...
Jam wasz, a odzew mój Bogarodzica,
A chcę was pytać o jutrzejsze słowo,
Jak tam w wyrokach zapisane stoi?...
„Czy będzie Polska?...“
Ha!... chmurzycie lica...
Com rzekł grzesznego... o, ojcowie moi!?

MODLITWA DO SZESNASTOLETNIEJ.

O mój aniele! Spojrzałaś z niechcenia
I w głębi duszy na wieki zostało
Twoje spojrzenie. A mnie się zdawało,
Że anioł wejrzał z niebios sklepienia!...
W sercu, gdzie cicho i samotnie było
Niby w ustronnej pustelnika celi,
Jakoś się dziwnie błogo zapełniło!
Niespodziewanie śliczny gość zawitał,
Który mię razem smuci i weseli.
Próżnom rozsądku i mędrców się pytał,
Co z moim gościem śliczniutkim uczynić?
Czy go przed sądem niebieskim obwinić
Jako mordercę mojej spokojności?...
Czy go poprosić, by sobie szedł z Bogiem,
Czy z nim postąpić jak z najeźdcą, z wrogiem?
Lecz któż przełamie prawa gościnności!
Lecz któż z kościoła wyrzuci świętości!
Choćbym się pozbył, to i cóż mi z tego?
Choć ciężko z gościem, choć drogo kosztuje
Młodzieńczą duszą pobyt jego, — czuję,
Ciężej by było bez gościa ślicznego!...

Chciałem, nie mogłem... zabrakło mi siły!
W dniach przetęsknionych i nocach bezsennych
Walczyłem z sobą; po walkach codziennych
Uległem wreszcie — i gość śliczny, miły,
Stał się w mem sercu prawdziwą świętością
Niby obrazek Boga-Rodzicy
Słynny cudami w ustronnej kaplicy.
Więc oczyściłem westchnieniem, rzewnością,

Czystym zapałem, serca kąt ubogi,
By stał się godnym mieścić skarb ten drogi;
Rosą-m tęsknoty święcił na świątynię
I mową bogów uczcił mą boginię!

Jak święta wiara w Ojca Przedwiecznego,
Tak święta wiara w młodą duszę wsiękła,
Że się śmiertelnie, śmiertelnie by zlękła
Odcienia myśli o zmianie samego;
I byłbym gorszym czemś od świętokradcy,
Gdybym słuchając rozsądku doradcy
Chciał teraz moich pozbyć się świętości;
To jakbym z własnej pół ujął istności,
Bez nich by marnie zwiędła dusza młoda
Jak kwiat bez rosy, a serce się stało
Jak zrujnowana pogańska pagoda,
Gdzie płaz z robactwem siedlisko obrało.

I otom stał się nowym Pigmaljonem.
Czekałem... czy się bóstwo me nie wcieli
W kształty urocze i wdzięczne ziemianki!
Z wznoszącem dla mnie, ach! dla mnie się łonem!
Z wzrokiem co rozpacz samą rozweseli,
Z mową wzajemną z imieniem kochanki,
Z której uściskiem chyba śmierć rozdzieli!

I otom stał się wśród świata rówieśnych,
Wśród gwaru życia, niby puszczyk szary,
Kochanek strachów z samotnej pieczary,
Nagle zbłąkany wśród śpiewaków leśnych;
Jako przed chmurą słoneczne promienie,
Młode radoście uciekły przedemną,
A jam wciąż czekał na owo wcielenie
Z wiarą głęboką, ale nadaremną!...

Czekałem... tęskno w czekaniu dnie ciekły,
Jak wody rzeki, która ujścia nie ma
I wsięka w piasek Sahary rozpiekły.
Bogini moja została wciąż niema,
Wciąż marą lubą, ale niewcieloną,
Młodego ducha kosztem wyistnioną!...

O mój aniele! na cóż mówić jeszcze,
Żeś ty tym gościem! Że twój obraz pieszczę
W sercu, zmienionem w twojej czci kaplicę,

Niby jedyną mą świętość na ziemi,
Jak nadziemskiego szczęścia tajemnicę.
Twoje tam imię zgłoski słonecznemi
Lśni mi się cudnym uroków tysiącem
Jako ślad po twym wzroku czarującym
I krew mi pali nakształt letniej spieki
I lśnić tam będzie — na wieki, na wieki!...

Długom pod ciężkie milczenia wrzeciądze
Skrywał me czucia i szały i żądze,
Bom się bał! Czego?... Nie wiem! Tak się boi
Uśpiony, kiedy rannych snów widzenia
Fantazja w szczęścia umizgi ustroi,
Znów do codziennej prozy przebudzenia,
Chcąc smaku szczęścia skosztować choć we śnie;
Bom się bał, żeby wyznawszy zawcześnie
Nie struć nadziei, goniąc za ziszczeniem,
Bom ja się wahał, czy ziemskiemi słowy
Któremi bluźni, liczy się i zwodzi,
Do mojej pięknej przemówić się godzi?
O czemuż nie znam archaniołów mowy!
Milczałem... próżno! za nic me milczenie.
Wszakże połknięte przez ziemię nasienie
Skryć się nie może i w krew się roztoczy,
Wszak ziemia, gdy jej wnętrzny żar dopiecze,
Ból lawą nowych wulkanów wyrzecze.
Usta milczały... wygadały oczy —
I z oczu twoich, żeś zgadła, zgaduję.
Dziś — dość już milczeć, milczenie mię truje!...
Dość milczeć, czekać! O! za chwilę małą
Toby mię żar ów, którym płonę, strawił...
Nad brzeg uczuciem serce dziś wezbrało —
Toby rozpękło... gdybym nie wyjawił.

Więc słuchaj mojej modlitwy ku tobie,
O! moja piękna, ziemski mój aniele!
Jeden raz tylko w krótkiej życia dobie
Dźwiękiem z nieb wziętym brzmi taka modlitwa,
Jako chrzest jeden, jedna dusza w ciele,
Jak raz być młodym, jak raz spocząć w grobie,
Jak jedna walna o los kraju bitwa,
Kiedy wygrana, laury chwały daje,
A po przegranej strzelić w łeb zostaje!...

Ze mną, o luba! podaj mi dłoń białą!
Niechaj ją złożę na mem łonie wrzącem,



Fig. 48. Grupa studentów uniwersytetu kijowskiego. Pierwszy rząd od góry: 1. Józef Popowski, 2. Obuchowicz, 3. Jul. Popowski, 4. Antoni Jurjewicz, 5. Onufry Chojnowski, 6. Stefan Morgulec. Drugi rząd: 1. Antoni Mioduszewski, 2. Rożen, 3. Odyniec, 4. Samuel Zborowski, 5. Gulbiński, 6. Tadeusz Rylski, 7. Leon Syroczyński.

Na mem ramieniu oprzej śnieżne skronie!
Niech by mię twoje westchnienie owiało!
Ze mną chodź, ze mną, powierz mi się śmiało!
Po różach, liljach, ja powiodę ciebie...
Nie! ja poniosę!... przez drogę żywota,
Ze czcią, rozkoszą, jak skąpiec wór złota.
A ty mi śpiewaj piosenki o niebie!...

A gdy moc ducha zmogą życia trudy,
Na pokrzepienie tylko mi dłoń ściśnij
Lub jako umiesz ślicznem oczkiem błyśnij,
A wstanę stokroć silniejszy jak wprzódy.
I pójdę śmiało, mym ciężarem dumny,
Mojem uczuciem ku tobie rozumny,
Na walkę z życiem, na zapasy z losem,
Jak na zabawę, bo ty będziesz ze mną,
Bo ty mi powiesz twym anielskim głosem
W chwilach słabości, żeś mi jest wzajemną!...

Jam silny tobą! Gdy o tobie marzę,
Nadziemski ogień czuję w głębi łona,
Moc w sobie czuję Abyda, Samsona,
Wytrwać chociażby w piekielnej prób próbie.
Gdyby na drodze stały morza, góry,
Tak mi się zdaje, żebym samem tchnieniem
Osuszył przechód przez morskie kryształy
I góry spłaszczył pięści uderzeniem!...
I jak pył z kwiatów zdmuchnął z nieba chmury,
By słońca pani mej nie zakrywały.

Co nam po ziemi? Rzućmy ją, tę ziemię!
Rzućmy to ludzkie grzeszne pychą plemię!
Na ziemi szczęścia i rozkoszy chwile
Mają byt jętek, a skrzydła motyle,
Wątłe, choć strojne barwami świetnemi,
Brzydną dotknięte rękami ziemskiemi.
Tu miłość szałem, szczęście słowem tylko,
Młodość, przelotną wpół pijaną chwilką!
Rzućmy tę ziemię! Za mną moja droga!
Rzućmy! Prócz złudzeń nic nam nie da ona!
Ja siłą woli dojdę przed tron Boga,
Przez archaniołów, cherubinów grona
Przepchnę się, dojdę, ja nędzny syn ziemi
Przed samo dojdę oko Opatrzności.
Wszystko mu powiem słowy w łzach chrzczonemi

O mnie, o tobie, o naszej miłości!...
On sam miłością! Szaleńca wysłucha!..
Nas nam na wieki słowem swem poślubi,
Zdmuchnie z nas ciało, w piękność nas odzieje,
Przypnie nam skrzydła i da nam byt ducha.
Pamięć o ziemi i myśl o niej zgubi
I chrztem niebiańskich eterów obleje.

My w uściśnieniu spleciem nasze dłonie —
Z ziemi — bez końca — przez wszechświatów tonie —
O mój aniele, polecim, polecim!...
Drogę swą żarem spojrzeń swych oświecim
I wiecznie młodzi, wiecznie zakochani,
W płaszcze barw wschodnich i tęczy odziani,
Dwoje, a jedno, wiecznie sobie sami,
Z dłoniami w dłoniach i usta z ustami,
Które spoiło wieczne uściśnienie
I pocałunek, długi, nieskończony,
A tak namiętny, palący, szalony,
Że w czułe twory zmieniłby kamienie,
Będziemy bujać od słońca do słońca,
Nie widząc drogi początku ni końca,
A wiedząc tylko o naszej miłości,
O bogu drugim, póki stać wieczności.

A gdy się szczęścia ogromem znużymy,
To razem prosić u Boga będziemy,
Niech da nam nieco skosztować goryczy,
Niech nas rozdzieli — na czas — a króciutki,
By w zbytku szczęścia szczęścia nie zmarnować,
By nie przesycić się tylą słodyczy,
By znając gorzkie rozstania się smutki
Tem więcej z nowych widzeń się radować!

Lecz jam zapomniał uniesiony szałem,
Że my na ziemi — z ziemi — i dla ziemi
I żyć tu trzeba i duchem i ciałem!
A duch karmiony snami bezistnemi,
Co w posąg czynu ująć się nie dadzą,
Jak ów bajeczny rajski ptak beznogi
Lata nie lecąc, bez celu, bez drogi,
Aż własne skrzydła na końcu go zdradzą
I spadnie na dół, na ziemię wzgardzoną,
W codziennych szarych, drobnych ptasząt grono —
I zwala w błocie suknię z tęcz czynioną!...

Przebacz tę szału szaleńcowi chwilę!
Wiem, tyś ziemianka, chcesz szczęścia ziemskiego
(Przez ziemię idzie wszak droga do Nieba!)
Ja w imię twoje! czuję siły tyle!...
Ja go dostanę! Ja pół życia mego
Oddam, a znajdę! i tylko mi trzeba
Czegoś, o czegoś, coby przypomniało,
Że mamy serca i duszę i ciało!...

O! jedno „kocham" powiedz, mój aniele!
Jeden daj uścisk, jeden, jeden tylko,
Ale słoneczny! tą niebiańską chwilką
Ja ustokrotnię się w duszy i ciele.
W wir życia raźno rzucę się i śmiało!
Z śmiechem odrzucę złej doli pociski;
A gdy powrócę i z szczęściem i z chwałą,
Wówczas setnemi obdarz mię uściski!...

Wszystko dla ciebie!... O, rozkaż mi, proszę,
Rozkaż! Chcesz bogactw, czy rozkoszy może?
Od kopalń złota bogatszym się stanę,
Z całego świata zakupię rozkosze,
I tysiąc nowych za złoto ci stworzę,
A gdy te znudzą, to na słodką zmianę
Tysiące innych przyjdzie na wołanie!
Dla ciebie zefir wśród zimy powieje
I chmura ciebie dżdżem woni obleje.
Gdzie spojrzysz, to się szczęściem rozpromieni,
Czegobyś tknęła, w rozkosz się zamieni.
Wzniosę dla ciebie pałac kryształowy,
Drogą bryłami złota brukowaną
Powiodę ciebie na tron djamentowy!...

Może cię zwabią złote chwały blaski,
Rozkosze dumy i tłumów oklaski?
Rozkaż! ja wszystkiem czem ty zechcesz będę,
Laur i szkarłatny płaszcz sobie posiędę.
I myśl mą skąpię w wiedzy oceanie,
Wsiąknę go w siebie, z mętami wypiję,
To duch mój skrzydła potężne rozwinie,
Przez tajemnicze duchowe otchłanie
Drogą, co skrzydła nie tknęły niczyje,
Ku pięknu, prawdzie, jak orzeł popłynie
I prawd tysiącem, niby słońc tysiącem,
Znagła zdumionej ludzkości zaświecę.

To chwycę lutnię... z łonem pieśnią wrzącem
Bóstwa potężnem westchnieniem zachwycę
I huknę światu taką pieśń nad pieśnie,
Że o niej żaden wieszcz nie marzył we śnie,
Że dźwięk jej odtąd uwięźnie w przyrodzie,
Że uszy nawet w granitach przebodzie,
Że zapylone wpół wzniósłszy powieki
Z grobów swych stare przyklasną mi wieki,
Ludy mię wliczą między swe półbogi,
W głaz pieśni dźwięki i rysy me wcielą,
Wieńcami chwały drogę mi uścielą —
Ja wieńce w darze rzucę ci pod nogi!...

Rozkaż! — Ja zaćmię dawne bohatery!
Ja dojdę, kędy Bożą dłonią pchniony
Duch naszych czasów swe rumaki wiedzie,
I jako zwiastun nowej czynów ery,
Jak syn wyroków, jako czyn wcielony,
Wyrwę mu wodze, siądę sam na przedzie,
Jako huragan popędzę po świecie!
Przedemną wyszlę grom i postrach blady,
Za sobą ludzkość jak posłuszne dziecię
Pociągnę swemi ognistemi ślady!...

Wszystko dla ciebie i dla twojej chwały!
Bo ja płaszcz chwały zdobyty przez siebie
Na to bym zdobył, by nim okryć ciebie.
Potem nad trony wzniosę tron wspaniały,
A tron ów, twoją osobą ozdobię,
Pierwszy hołd oddam, a potem ku tobie
Mocarzów świata pociągnę za czuby —
Oni wspaniałem otoczą cię kołem,
W takt pieśni sławy uderzą ci czołem,
Potem — wiecznemi połączym się śluby!...

Ale czyż szczęścia niema bez wielkości?
Byle przy tobie i przy twej miłości,
To mi w Saharze będzie jak w Edenie,
I jaskiń brudne rozjaśnią się cienie!
Rozkaż! pałace złotych marzeń zwalę,
Dumne zamiary i młode nadzieje
I żądze sławy na twoją cześć spalę!
Ubóstwa ciała i ducha płaszcz wdzieję,
Pług trudów życia z radością pociągnę,
I będę chleb swój jeść w pocie i znoju,

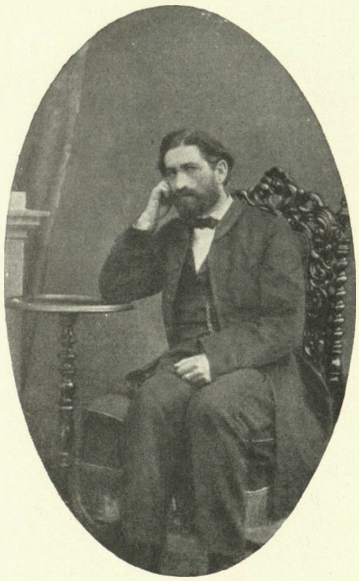


Fig. 49. Dr Adolf Trachtenberg.

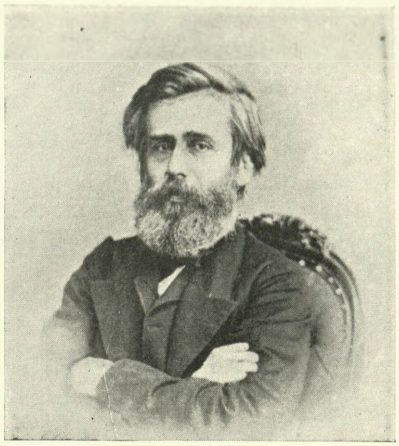


Fig. 50. Ksawery Pietraszkiewicz.

Znosząc na sobie Adama przekleństwo.
Tylko niech, luba, twe błogosławieństwo
Rzeźwi mię w trudach jak w lecie szmer zdroju!...

Oto jest moja modlitwa ku tobie,
O, moja piękna! ziemski mój aniele!
Jeden raz tylko w krótkiej życia dobie
Dźwiękiem z nieb wziętym brzmi taka modlitwa:
Jako chrzest jeden, jedna dusza w ciele,
Jak raz być młodym, jak raz spocząć w grobie,
Jak jedna walna za los kraju bitwa,
Kiedy wygrana, laury chwały daje,
A po przegranej — strzelić w łeb zostaje!...

(Poświęcona Alfredowi Kowalskiemu).

DUMKA NIEMNOWA.

W Kowieńskiej dolinie
Podumać przyjemnie,
Niby przy dziewczynie,
Gdy kocha wzajemnie.

Przez Litwy obszary
Jak z dziewą dłoń w dłoni,
Niemen Litwin jary
Z Wiliją w dal goni!

W wodach bursztynowych
Z bratnią Wisły wodą
O sprawach rodowych
Rozhowory wiodą!

Gdzie błękitne stadło
W uścisku się zbiegło,
Stare Kowno siadło —
Dumać sobie legło.

Samo strojne w bieli,
A hełm ma czerwony
Niby przy niedzieli,
A dywan zielony.

Siedmioma wieżami
Modli się u nieba
Jak siedmią darami
Duchowego chleba.

A szczerbami lica
Czarna od starości
Perkuna świątnica
Gada o przeszłości.

I tęsknie spoziera
Oczyma tęsknoty,
Kędy się rozpiera
Góra Aleksoty.

Tędy biegły, tędy,
Litewskie junaki
Krwawemi zapędy
Na wrogi Krzyżaki.

Krzyżacki szlak krwawy
Tędy ujście miewał,
Co Litwy dzierżawy
Krwią i ogniem zlewał.

Zgasły dawne boje,
Zmierzchły stare dzieje,
Inne dzisiaj znoje,
Bole i nadzieje!

Po Niemnie ślizgają
Ze zbożem wiciny,
A w Niemnie igrają
Wabiące Ondyny.

W czas północy głuchy
Nad litewską stroną
Mkną się smutne duchy
Konrada z Aldoną.

Wówczas tęskne zmory
Senne dziewy trudzą
I krwawych żądz chory
Młodzież ze snu budzą.

Ponad okolicą
Po krzyżackim szlaku
Kniaź Witold z szablicą
Siedzi na rumaku.

Kiedy księżyc wschodzi
Przy słowika pieniu,
Duch Adama schodzi
Dumać na kamieniu.

W Kowieńskiej dolinie
Potęsknić przyjemnie,
Niby przy dziewczynie,
Gdy tęskni wzajemnie!...

III

ASYSTENTURA KLINIKI W KIJOWIE. WYCIECZKI MŁODZIEŻY PO KRAJU. OŚWIADCZYNY, ZARĘCZYNY I ŚLUB. SPRAWA WŁODZIMIERZA ANTONOWICZA. PRACA NA ROLI I STOSUNEK DO PODDANYCH. WIADOMOŚCI O LOSACH KOŚCIOŁA W PAŃSTWIE ROSYJSKIEM. SPRAWY PUBLICZNE W KRÓLESTWIE DO CHWILI POGŁOSEK O BRANCE.

Raz mi mówiono, że są tu na ziemi
Białe anioły z skrzydłami białemi,
Które, gdy wezmą w poświęcone dłonie
Serce człowiecze, to je drogą świata
Ponad kałuże, błota i przepaści,
Niosą bezpieczne, czyste, nieskalane,
Promieniem Bożej myśli rozjaśnione
I tchnieniem Bożej miłości ogrzane.
A jam się pytał: „Gdzie anioły takie!"
A przy mnie wtedy matka moja stała,
Włos rozgarnęła, czoło całowała,
I rzekła tylko: „Tam synku maleńki,
Gdzie jest kobieta, która kocha ciebie!"

Gabrjela Żmichowska.

. . . . . .

Kocham, to znaczy, chcę z tobą podzielić
Gorzki chleb trudu i łez i boleści,
Chcę oczy twoje w dniach smutku weselić,
I tarczą być twojej cześci!...

M. Konopnicka.

. . . . . .

Jak muszla morska, gdy śmiertelnie chora,
Perłami ból swój wyłzawia,
Tak naród w jarzmie, gdy ostrze topora
Zdeptaną pierś mu rozkrwawia,
Gdy przemoc dzika poryw każdy gnębi,
On światy skarbów tworzy w serca głębi
I niebu w pieśni objawia!

I. Sowiński.

. . . . . .

Po ukończeniu egzaminów i upewnieniu się, że przyznanym mi został stopień lekarza z odznaczeniem (cum eximia

laude), otrzymawszy nadto propozycję profesora Hüebenett'a, bym pozostał przez dwa lata na stanowisku asystenta kliniki chorób wewnętrznych przy szpitalu wojskowym na Peczersku, którą to propozycję przyjąłem, opuściłem Kijów w najlepszem usposobieniu, śpiesząc do rodziców, by po ciężkich trudach egzaminowych spocząć wśród najdroższych sercu osób i ukochanej wioski rodzinnej. Z Kijowa przybyłem w ciągu niecałej doby do Żytomierza pocztą i zastałem tam ojca, biorącego czynny udział w kończących się wyborach. Obrani zostali: na marszałka gubernjalnego Karol Mikulicz, na kuratora szkół Józef Ignacy Kraszewski, zaś na jego kandydata na ten urząd Włodzimierz hr. Plater z Wiszniowca. Marszałkiem powiatu żytomierskiego ponownie obrano Lucjana Niewmierzyckiego. Byłem wraz z wujem moim, Michałem Budzyńskim, który czasowo bawił w Żytomierzu, na obiedzie danym na cześć Kraszewskiego, na którym znalazło się kilku studentów wołyniaków i kolega nasz starszy Dr Fortunat Nowicki. Tego ostatniego odwiedziłem i przekonałem się naocznie, iż całe ich urządzenie się, tak osobiste jako też w rzeczach i sprawach publicznych, wierne było w każdym szczególe naszym hasłom kijowskim.

Poznałem w ciągu dwóch dni wielu przedstawicieli wołyńskiej większej własności, zaś powiat żytomierski w zupełnym prawie komplecie; zaproszono mię bowiem na obiad, dawany przez żytomierzan z racji świeżo obranego w tym powiecie sędziego, Józefa Wczelkiego. Wyniosłem z tej uczty wrażenie bardzo ujemne, obecni bowiem prócz ojca mego i kilku innych tak się uraczyli, że wywozić musiano najbardziej niepoczytalnych w asystencji służby do ich mieszkań, co dawało powody do scen gorszących na ulicach miasta. Jeden zaś z podchmielonych, niejaki Emil Mierzejewski, trzymając się ledwie na nogach, wystąpił na środek sali i wygłosił z głupowatem zadowoleniem, że spił się nie przymierzając jak świnia, na co znowu inny szlachcic, mocno przez nos mówiący, zamożny właściciel Leszczyny, Polanowski, z największą flegmą rzecze:

— „Ciekaw jestem oglądać cię w tym stanie, gdyż nigdy i nigdzie tego stworzenia spojonem a nawet podpiłem nie widziałem".

Śmiech i oklaski nagrodziły wedle zasługi obu tych pa-

nów za uciechę, sprawioną podochoconym słuchaczom. Jako szeregowiec z grupy purystów, całem sercem podzielający ich kierunek, unikałem starannie kieliszka. Opuściłem też to zgromadzenie, tem więcej zgorszony swawolą poważnych wiekiem ludzi, gdy ja młodzieniaszek już od lat dwóch trunków w usta nie brałem. To też nazajutrz po tych libacjach, obawiając się ich powtórzenia, śpiesznie wyruszyłem do matki, niecierpliwie mnie oczekującej; ojciec zaś na czas jakiś pozostał dla interesów w Żytomierzu.

Dojeżdżając do domu, spotkałem naszego sąsiada p. Konstantego Piotrowskiego, który mię zatrzymał, a dowiedziawszy się, że pozostaję w Kijowie jako asystent kliniki chirurgicznej, nie umiał ukryć swego niezadowolenia i wykrzyknął: „No, jeszcze teorja to pół biedy, ale poco praktykę lekarską wnosić do obywatelskiego stanu?“ Potem w najlepszej wierze zasmucony, pożegnał mię serdecznie, ale z widocznym wyrzutem w wyrazie twarzy. Wakacje po ukończeniu uniwersytetu śmiało zaliczyć mogę do najszczęśliwszych i najmilszych chwil w życiu, bo przepełnionych świetnemi planami i projektami opromienionemi najlepszą nadzieją. Czyż mogło być inaczej? W szkołach nie straciłem ani jednego roku. Uniwersytet, mimo olbrzymie dystrakcje, jakie nam w ogólności, mnie zaś w szczególności czyniły sprawy publiczne studenckie, zdołałem również ukończyć bez straty jednego bodaj półrocza i to z najlepszym stopniem; wkońcu zaś wybrano mię na asystenta kliniki. Cóż więc dziwnego, że wśród tak pomyślnych okoliczności różowo na świat patrzyłem i oczekiwałem śmiało dalszego powodzenia w życiu i obranym przez siebie zawodzie. Oddałem się też z zapałem przyjemnościom i rozrywkom wiejskim i towarzyskim.

Rozpocząłem mój żywot ruchliwy od odwiedzenia wielkiej przyjaciółki matki mojej, pani Nikodemy z Łepkowskich Pinińskiej na Wołyniu w rezydencji jej Borkach. W chwili gdym zamierzał odwiedzić Borki, panna Hilaryna, której od lat szkolnych nie spotykałem, była już panną dorosłą. Odnowienie tej starej znajomości tem więcej miało dla mnie uroku, że się w pannie Hilarynie jako uczeń trzeciej i czwartej klasy podkochiwałem, a jakkolwiek to niewinne bardzo w tym wieku uczucie nie sięgało nigdy wyżyn prawdziwej miłości, miało wszakże

pewien powab wspomnień dziecinnych i stało się źródłem rozmyślań wśród dni, w podróży do Borek spędzonych. Przybywszy do gościnnego domu pani Nikodemy, powitany i przyjęty byłem bardzo serdecznie jako syn przyjaciółki, ale trafiłem właśnie na świeże przyrzeczenie ręki panny niemłodemu już, lecz dość zamożnemu właścicielowi dóbr na Wołyniu, panu Tytusowi Iwanowskiemu. Nie powiem, żeby ta wiadomość nie zrobiła na mnie narazie pewnego wrażenia, solidarność bowiem ze wspomnieniami z lat dziecinnych nie tak łatwo się zrywa; potrafiłem wszakże nie dać nic poznać po sobie i po dwóch dniach gościny opuściłem progi pani Pinińskiej, jak się okazało, na zawsze, wkrótce bowiem zmarła ona sama, z Iwanowskimi zaś nie spotkałem się już nigdy i nigdzie. Wiem tylko, iż pani Hilaryna zakończyła życie w ciężkich cierpieniach na raka języka, jedyna zaś ich córka poślubiła hr. Tarnowskiego z Galicji.

Rodzice moi, pragnąc się pochlubić jedynakiem, odwiedzali tych wakacyj z kolei domy krewnych i przyjaciół, korzystając z nadającej się ku temu sposobności. Wśród różnych przyjemności, jakie mię tego lata spotkały, wspomnę tu dwie zabawy. Jedna z nich, wyjątkowo wspaniała u pp. Czeczelów, odbyła się w ich majątku Samczykach, położonym w powiecie starokonstantynowskim na Wołyniu; druga, również bardzo ożywiona, ale skromna, a w życiu mojem bardzo pamiętna, u krewnych naszych Ciechockich we wsi Turczynce, na zapadłem Polesiu żytomierskiem, już na granicy prawie powiatu owruckiego.

O pierwszej z tych zabaw wspominam tu nietylko dlatego, żem się na niej wyjątkowo dobrze bawił i porobił liczne znajomości, ale i dlatego, iż powód tej zabawy jako też jej rozmiary mają duży związek z ogólnym charakterem tych opłakanych naszego stanu szlacheckiego obyczajów i stosunków, które stały się pośrednio lub bezpośrednio powodem tylu ruin majątkowych, szczególniej na Wołyniu. Pan Jakób Czeczel, właściciel dóbr Samczyki z przyległościami, należał do osiadłej od dość dawna w województwie wołyńskiem szlachty. Ożeniony z jedynaczką, córką bardzo bogatego ojca, panną Michałowską, miał być i przez żonę zamożnym, ale teść, widząc marnotrawne usposobienie zięcia, płacił mu tylko rentę. Tem też gorliwiej

zabrał się pan Czeczel do trwonienia swej ojcowizny. Słyszałem opowiadanie o jego zakupach na kontraktach, gdzie całemi półkami nabywał w sklepie towary, które mu w oko wpadały, stosując ten system nawet do książek ładnie oprawnych. Takiemi to i tysiącznemi innemi sposobami przyszedł on wkrótce do ruiny. Pan Erazm Michałowski, znając dokładnie dobra Samczyki, jako majątek wielkiej wartości, nabył je z wolnej ręki od zięcia, a rozpłaciwszy się z wierzycielami, pozostające od długów i kosztów 6000 rs. gotowizny doręczył panu Jakóbowi, jako ustępującemu z tych dóbr dawnemu ich dziedzicowi. Uśmiechnął się tylko złośliwie i z pogardą pan Czeczel, biorąc do ręki tę resztkę olbrzymiej niegdyś fortuny, i z fantazją godną lepszej sprawy zawołał: „Cóż ja z tem zrobię? chyba dam bal trzydniowy, aby oznaczyć kres mojego tu panowania".

Od słowa przyszło do czynu; rozpoczęto przygotowania na wielką skalę. Plan obejmował trzy dni zabawy; pierwszy miał się święcić w pałacu, drugi wśród łąki nadsłuczańskiej, trzeci znowu w pałacu i parku. Dla urozmaicenia wrażeń zamówiono dwie orkiestry oprócz własnej pod batutą Brauna, tudzież artystów prowincjonalnych, którzy mieli dać przedstawienie, zakończone baletem. Jednocześnie spraszano gości, budowano nad Słuczą salony do tańca, przewożono oranżerje na łąkę, wkońcu oznaczono termin balu i zajęto się drobiazgami przyjęcia i rozlokowania gości. Sąsiedzi nasi Burzyńscy, synowie Karola, Stanisław i Jan z Borkowiec, pierwszy o lat kilka starszy ode mnie, drugi mój rówieśnik, znający blisko Czeczelów, zaprosili mię w ich imieniu, na co chętnie przystałem i razem ruszyliśmy końmi do Samczyk. Zdążyliśmy na obiad we wigilję rozpoczęcia zabawy. Przyjęci ze staropolską gościnnością, zastaliśmy jeszcze bardzo nieliczne grono gości. Gospodarz domu w wieku lat około 40 przedstawiał się tak pod względem powierzchowności jako też przy bliższem poznaniu jako człowiek nieokrzesany, pełen fantastycznych zachcianek, którym dogadzał bez zastrzeżeń, pozbawiony wszelkiej równowagi, ale przytem bardzo muzykalny, o czem świadczyła wyborna miejscowa orkiestra. Wrażenie, jakie zrobił na mnie pan Jakób, odpowiadało w zupełności temu, com o nim słyszał.

Co do gospodyni domu, stanowiła ona, jak się to nie w jednym z domów szlacheckich u nas zdarza, całkowitą jego wartość umysłową i moralną, wynagradzając bodaj w cząstce zupełną nicość lub ujemność połowy męskiej. Dużego wzrostu, silnej budowy, smagła o rysach grubych i dość pospolitych, miała pani Czeczelowa w wyrazie twarzy coś tak miłego i pociągającego, w zachowaniu się tyle dystynkcji, że ja przynajmniej, może pierwszy i ostatni raz w życiu, byłem oczarowany wdziękami kobiety, która pomimo braku piękna przyrodzonego potrafiła zatrzeć ten brak w zupełności i stać się nieskończenie miłą i bez granic sympatyczną w całem tych słów znaczeniu.

Wieczór przedbalowy przeszedł nam bardzo przyjemnie dzięki niezrównanej gospodyni domu, która całkowite koszta ujęcia nas wzięła na siebie i wywiązała się z tego zadania znakomicie. Nocowaliśmy w budynkach dla gości przeznaczonych, odrazu już na ciasnych kwaterach. Do śniadania byliśmy u siebie, około zaś pierwszej wstąpiliśmy w gościnne progi salonów. Zaczął się zjazd, przedstawianie wzajemne gości, co trwało aż do późnego wieczornego obiadu. Bal rozpoczęty o godzinie 9 polonezem trwał do białego dnia; bawiono się we wspaniałem otoczeniu bardzo ochoczo. Przyjęcie, trunki, chłodniki i usługa, były na wysokości całego wykwintnego urządzenia. Znużeni tańcami pokrzepialiśmy się snem do obiadu, większość gości opuściła śniadanie, a po obiedzie zajeżdżały już powozy gospodarskie i gościnne do wycieczki nad Słucz. Tu, ogrody z egzotycznych roślin, ujęte w klomby i szpalery, dzięki olbrzymim zapasom oranżerji w Samczykach, mile wzrok uderzały. Ogromna sala do tańca, białym perkalem zdobnym malowaniami wybita, girlandami z zieleni ubrana, a oświecona żyrandolami, gęsto upiększonemi gałęziami ze świerków, ołtarz dla nabożeństwa ludowego i stoły dla uczty włościańskiej, wreszcie beczki ze smołą na górach, stanowiły zapowiedź oczekiwanej zabawy. Przybyliśmy wcześniej, aby się dobrze rozpatrzyć i być świadkami całego stopniowego przeistoczenia tej cudownej nadsłuczańskiej łąki w miejscowość do wykwintnego balu przysposobioną. Zwolna zapalały się światła, stoły nakrywały się bielizną jak śnieg białą i naczyniami, by ugiąć się pod ciężarem obfitego jadła. Przy ołtarzu stanął paroch wschodniego obrządku

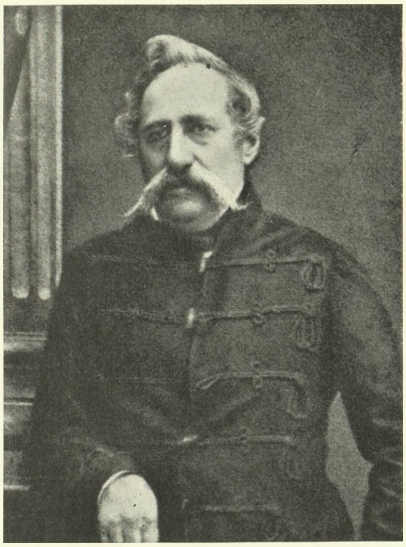


Fig. 51. Władysław Mianowski.

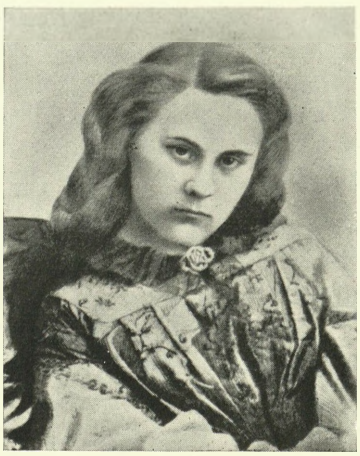


Fig. 52. Marja Mianowska w r. 1859.

i oczekiwał w całym kościelnym pontyfikalnym ubiorze przybycia dziedziców.

Nakoniec goście zaczęli się tłumniej zjeżdżać, a piękny lud miejscowy obu płci i wszelkiego wieku skupiał się coraz gromadniej około zastawionych stołów. Wreszcie przybyli gospodarstwo, co dało hasło rozpoczęcia modłów za ich osoby i błogosławieństwa stołów przygotowanych dla ludu, który rozpoczął swą ucztę, czyniąc zadość serdecznym zaprosinom gospodarzy. Pojono i karmiono umiejętnie, by w trunkach nie przebrano miary. Gdy się ściemniać poczęło, rozpalono beczki smolne na wzgórzach okolicznych. W improwizowanym salonie zabłysły rzęsiste światła, uszykowały się dwie orkiestry, mające grać kolejno, i dziesiątki par stanęły do tańca. Nieodłączne zaś od każdej zabawy, mamy i ciocie, towarzyszące ślicznym i nieślicznym pannom, zajęły tradycyjne miejsca pod ścianami sali. I znowu, jak wczoraj, następowały po sobie, polonez, walce, mazury i polki, aż do białego mazura, który żegnano gasząc beczki, lampy i świece, poczem goście tłumnie uciekali do powozów, by się oderwać prędzej od widoku chaosu i ruiny, stanowiącej normalny obraz każdej kończącej się zabawy, tak zwanego „nazajutrz po balu".

Powróciwszy z nad Słuczy, usnęliśmy wszyscy snem kamiennym wskutek dwudniowego znużenia. Nazajutrz, po wywczasowaniu i obiedzie, dano teatralne przedstawienie w oranżerji, na które złożyły się: komedyjka i „Pas de deux" wykonane przez prowincjonalnych artystów. Wieczorem zaś, znowu bal w pałacu. W tym ostatnim dniu zabaw znalazł się przypadkowo w Samczykach słynny okulista berliński Liebreich, który wezwany przez Stadnickich był zaproszony do Czeczelów dla dania porady chorej na oczy matce pana Jakóba. Tańce szły ochoczo, mimo znużenia bawiących się. Prof. Liebreich, porwany urokiem balu, oddał się z zapałem zabawie; nie opuścił żadnego tańca, lecz nie zyskał na tem polu uznania, mazura bowiem kaleczył niegodziwie i tylko walczyki wykonywał umiejętnie. W liczbie gości pp. Czeczelów znajdowali się państwo Rohozińscy z powiatu starokonstantynowskiego, z którymi zrobiłem znajomość. Rodzinę tę składali: pan Rafał Rohoziński, szlachcic starej daty, jego małżonka pani Oktawja z Dłużniew-

skich, córka Marja i jej towarzyszka hrabianka Podoska, młodsza siostra nauczycielki p. Marji. Od pierwszej chwili przedstawienia nie odstępowałem prawie panny Rohozińskiej; tak wyróżniała się od całego szeregu panien na wydaniu, żem nie mógł od jej rozmów oderwać się, tyle w nich było treści, piękna i zgodności z memi wierzeniami. Z panną Podoską, jako jej stałą towarzyszką, również niejedno zamieniliśmy słowo. Ale jakież było zdziwienie wszystkich na balu obecnych, gdy Liebreich, uznawszy powierzchowność p. Podoskiej za typ ściśle germański, zaczął ją niepokoić swoją ciągłą asystą, wmawiając natarczywie niemieckie pochodzenie. I mazura nie darował swej urojonej kompatrjotce i niemało kosztowało trudu i wysiłku pannę Podoską, by się go delikatnie pozbyć na dłużej. Znajomość z p. Marją Rohozińską pozostawiła w mej duszy niezatarte wspomnienia; zajęła mię ta rozumna, miła a malutka osóbka niezwykle. Zdało mi się nawet, że i ja nie byłem jej zupełnie obojętny; a chociaż to poczynające się uczucie nie miało przed sobą przyszłości, nie przestało mi być najmilszem z balu w Samczykach wspomnieniem.

Na św. Ignacego starego stylu, t. j. 30 lipca, obchodzono w rodzinie krewnych naszych pp. Ignacowstwa Ciechockich imieniny gospodarza. Na te imieniny wybierali się moi rodzice ze mną i starszemi dwiema siostrami mojemi. O rodzinie Ilińskich mówiłem wiele i tam nadmieniłem, że jedna z córek p. podkomorzego, panna Eleonora, została wykradzioną przez Galicjanina p. Ignacego Ciechockiego, który zamieszkał w rosyjskim zaborze, we wsi Sosnówce, w powiecie żytomierskim, drogą spadku odziedziczonej. W ostatnich latach nabył p. Ciechocki od hrabianki Hortensji Małachowskiej dobra poleskie turczynieckie, w tymże powiecie położone, dokąd się pp. Ciechoccy wraz z matką pana na stałe przenieśli. W Sosnówce bywaliśmy często, gdyż wieś ta była na połowie drogi między majątkiem rodziców moich a Żytomierzem, tam więc wypadał nam zawsze nocleg lub co najmniej popas. Od przeniesienia się do Turczynki odległość stanęła na przeszkodzie odwiedzinom, co nam krewni nasi wymawiali. Postanowili więc rodzice moi odwiedzić pp. Ciechockich na ich nowej siedzibie, w całym prawie składzie naszym rodzinnym, na imieniny pana, 30 lipca 1859 r.

To postanowienie zostało spełnionem. Odbyliśmy podróż przez Żytomierz i Czerniaków do Turczynki, położonej we wschodnio-północnej części powiatu żytomierskiego, zwiedzając po raz pierwszy głębsze, prawdziwsze Polesie. Staropolski dom Ciechockich był obszerny, chociaż skromnie urządzony, gospodarze serdeczni i gościnni. Zjazd zastaliśmy liczny; i tu po raz pierwszy zrobiliśmy znajomość z pokrewną nam rodziną Mianowskich.

Pan rotmistrz Władysław Mianowski, jako urodzony z Deodaty z Ilińskich Mianowskiej, siostry Ksawerego, ojca podkomorzego i jego siostry, a mojej babki z Ilińskich Budzyńskiej, był wujem mojej matki. Ożeniony z Kamillą Schabicką miał dwóch synów, chłopaków kształcących się w gimnazjum żytomierskiem, i jedynaczkę, córkę dorosłą, siedmnastoletnią Marynię. Ta młodziutka i drobniutka, głęboko zamyślona twarzyczka, acz nie klasycznie piękna, zajęła mię bardzo, a i niemniej miłą wydała mi się rozmowa z panną Marją; to też daleko więcej od innych panien wybierałem ją do tańca, i wkrótce nie mogłem nie przyznać sam przed sobą, że ta nowa znajomość zrobiła na mnie wrażenie. Po imieninach wstąpiliśmy do kilku domów, rodzinę Mianowskich składających w okolicy. Byliśmy więc u Henrykowstwa Jezierskich w Lisowszczyźnie (pani Jezierska była Schabicka z domu, rodzona siostra pani Mianowskiej), następnie w Sałach u pani Janowej Mianowskiej z domu Lubańskiej, wdowy po bracie p. Władysława, Janie; dalej w Brażynce u pp. Władysławowstwa, dokąd najchętniej dążyłem, pragnąc się raz jeszcze spotkać ze świeżo poznaną p. Marją, która, aczkolwiek młodsza o lat kilka ode mnie, wypadała mi ciotką jako cioteczna siostra mojej matki. Wszędzie przyjmowano nas niezmiernie uprzejmie i serdecznie jako nowo poznanych krewnych.

Dwie siostry moje, Wincenta i Michalina, towarzyszyły nam w tej poleskiej wycieczce, zwracając na siebie powszechną uwagę. Starsza, blondynka, budziła podziw swoją niezwykłą pięknością i uroczym wyrazem twarzy, gdy młodsza, smagła i żywa brunetka, nie wychodząc z ram zwykłej krasy, wielom wszakże podobała się niemniej od siostry. W Brażynce najdłużej nas zatrzymano; zrobiliśmy stąd wycieczkę do Buków Józefów Szaulińskich (on siostrzan pana Władysława Mianow-

skiego), skąd powróciwszy kilka dni jeszcze przepędziliśmy wśród rodziny Mianowskich. Ja zaś większą część tego czasu spędziłem na niewyczerpanych rozmowach z moją miłą cioteczką. Po powrocie do wioski rodzinnej i krótkim wypoczynku ruszyłem znowu w drogę.

Stosownie bowiem do umowy postanowiliśmy w ciągu wakacyj pokolei zbierać się w ciaśniejszem koleżeńskiem kółku, a więc u kolegów: Jana Zaleskiego w Łyczówce w powiecie starokonstantynowskim, u Włodzimierza Milowicza w Dymitrówce pow. krzemienieckim, u Gustawa Hartmana, syna doktora w miasteczku Teofilpolu, u Stanisława Miaskowskiego w Babuszkach pod Cudnowem, u mnie, w oficynie domu wyszczykuskiego, oddanej do mego rozporządzenia, wreszcie u braci Rakowskich, Tadeusza i Gustawa, w Szenderówce, położonej w powiecie berdyczowskim. Do zebrań tych należeli stale oprócz tu wyliczonych: Tadeusz Orzechowski, Władysław Kamieński i kilku innych. Zresztą, skład nasz zmieniał się stosownie do okolicy przybyciem bądź kolegów w tej miejscowości zamieszkałych, bądź innych nam znanych a sympatycznych osobistości.

U Jana Zaleskiego polowaliśmy w sąsiedztwie, wieczory zaś przechodziły nam na miłej gawędce o sprawach ogólnych i naszych na przyszłość widokach. Kilku z nas zrobiło z Łyczówki wycieczkę do Popowiec, do pp. Rafałów Rohozińskich, gdzie zastaliśmy parę osób z sąsiedztwa i narzeczonego panny Marji, Podolanina, pana Mścisława Skibniewskiego, z którego bratem Wiktorem kolegowałem w Kijowie. Złą tę wiadomość dla mnie umiałem znieść mężnie, nie dając poznać, ile mi ona zrobiła przykrości. U Milowiczów, w czasie naszego tam pobytu, dzieliliśmy czas nasz między gronem czysto studenckich gości, a domem rodzinnym starszego z dwóch braci, Edmunda. U Hartmana znowu istny studencki biwak i popieranie sztuk pięknych na prowincji; tu bowiem urządziliśmy z sił miejscowych koncert na rzecz tamecznej szkoły. W sieni zaś zajezdnego domu, gdzie trupa prowincjonalna męczyła po barbarzyńsku „Odludków i Poetę", poparliśmy ją tak gorliwie, że gdy jeden z aktorów jako „Czesław" zapomniał kilku wierszy w swojej roli, ja wstałem z krzesła i deklamowałem ciąg dalszy aż do odzyskania równowagi przez wykolejonego artystę, a ku wiel-

kiemu zadowoleniu publiczności. U Miaskowskich i Rakowskich byliśmy prawie wyłącznie w koleżeńskiem kółku. U mnie przybyli do naszego grona: Włodzimierz Antonowicz i Leonard Sowiński, zaś z sąsiedztwa dwaj bracia Burzyńscy, Jan i Stanisław, oraz Feliks Staniszewski, właściciel wsi Sewerynówki, i inni. Wogóle, na tych naszych zjazdach układaliśmy najszczytniejsze plany, nacechowane głęboką miłością kraju i narodu, bez różnicy stanów i gotowością do ofiar na rzecz potrzeb ojczyzny bez zastrzeżeń. Pieśń naszego kolegi Tomaszewskiego służyła nam za dewizę i hasło, którym szczerze pragnęliśmy sprostać uczynkami w najbliższej przyszłości. Takie przynajmniej było usposobienie bardzo znacznej wśród nas większości. A wszakże ci, co nie dzielili się bezpośrednio z nami myślą i słowem, ogłosili zjazdy nasze za demagogiczne, do czego przyczyniła się głównie bytność u mnie milczącego Antonowicza jako głowy ówczesnej chłopomanji i bardzo z nim naówczas jeszcze zażyłego Leonarda Sowińskiego tłumacza „Hajdamaków". Co do nas, ani przypuszczaliśmy, że dobry stosunek z ludźmi innych przekonań mógł nam być za złe wzięty.

Najbliższa przyszłość okazała, jak bardzo te sądy były nieuzasadnione. Dziś, po latach czterdziestu z ręką na sercu rzec mogę, iż cała nasza gromadka daleką była od popierania dążności rusinofilskich Antonowicza. Ten lub ów z pomiędzy nas mógł się niejednokrotnie mylić, ale wszyscy przez ciąg całego żywota w dobrej wierze postępowaliśmy i karjerowiczów wśród nas wcale nie było. Znacznie później, wobec rozwijających się wypadków 1863 r., widzieliśmy rzeczy najzupełniej jasno. Ani na chwilę nie łudziliśmy się nadzieją powodzenia, ale wobec dokonanego faktu wybuchu i przeświadczenia, że ci, co go nakazali, musieli mieć do tego słuszne powody, uznaliśmy za najświętszą naszą powinność krew naszą dołączyć do krwi, przelewającej się olbrzymią strugą. W dalszem życiu w najrozmaitszych okolicznościach rządzili się wychowańcy uniwersytetu kijowskiego z mojego okresu dewizą: „Pełń swą powinność, a resztę zdaj na wolę Opatrzności". Nie dała ona nam dobrobytu, lecz wyrobiła w nas poczucie obowiązku, które zapewniło nam dobrą u zacnych ziomków sławę i spokój sumienia. Nigdy więc nie żałowałem obranego w młodości kie-

runku i trzymać się go będę aż do grobowej deski. Przy szczęśliwszych okolicznościach i pod lepszym sterem nawy narodowej dokonaliby ci bezinteresowni i gotowi do ofiar szeregowcy dzieł wielkich; w niepomyślnych warunkach, jakie w życiu napotkali, najlepsi i najofiarniejsi z nich padli rażeni pogromem, od którego uchylać się nie chcieli. Następstwa zaś tego pogromu znieść umieli z godnością i bez zaparcia się przekonań, pewni, że bodaj daleka przyszłość czyny ich uzna za ciche zasługi obywatelskie. Nawiasem dodać tu muszę, że wielu, udział w zjazdach naszych biorących, należało już w owym czasie do studenckiego tajnego stowarzyszenia z trójek składającego się, noszącego nazwę Trojnickiego, a zawiązanego w roku 1857.

Co do mnie, jak to już nadmieniłem, do towarzystwa tego nie należałem, uważając za najniebezpieczniejszą dla nas formę pracy narodowej spiski, jako ułatwiające wrogom dochodzenie po nitce do kłębka i tem skuteczniejsze tępienie wszelkich usiłowań patrjotycznych. Ten mój oficjalny do sprzysiężonych stosunek nie zmienił w niczem naszej zażyłości, bom prawie wszystko to samo myślał i robił, co oni, lecz bez nakazu od władz spiskowych, a więc wolno mi było w pewnych razach zachować niezależność moich przekonań. Na wszystkich naszych zjazdach sypialiśmy mało, jadaliśmy skromnie i nic prawie prócz wody nie piliśmy, a wszakże rozjeżdżaliśmy się pokrzepieni na duchu z rozbudzoną miłością dla kraju i wiarą w swe siły, jak nie mniej z nadzieją lepszej przyszłości, nie wątpiąc, iż ją sumienną a wytrwałą pracą zdobędziemy. Ani nam się wtedy śniło, iż ten nasz kierunek tak prędko brutalnie zburzonym zostanie i że wszyscy, wbrew naszym zasadom, pod naciskiem wypadków będziemy przynagleni do wzięcia udziału w przedwczesnym i źle przygotowanym, a więc beznadziejnym wybuchu!

Powracając na moje stanowisko do Kijowa, po urzędowem zatwierdzeniu mnie jako asystenta kliniki chirurgicznej szpitalnej, myślałem o jednem tylko, aby całą moją nową działalność ożywić i natchnąć temi zasadami, któreśmy sobie na naszych zjazdach nakreślili. A jakkolwiek pole moich nowych czynności zdawało się najniewdzięczniejszem dla rozwinięcia kierunku narodowego, nie traciłem nadziei, że i w tych warunkach uda się coś dla ogólnego pożytku krajowego uskutecznić. Gdym

obejmował moje obowiązki, były one bardzo uciążliwe. Kliniki w szpitalu wojskowym są instytucją ściśle naukową, a wszakże od administracji wojskowej zależną i cierpianą przez nią jako złe nieuniknione. Mój poprzednik na stanowisku asystenta tej kliniki, najzacniejszy doktor Benjamin Millot zrobił bardzo wiele, aby klinikę od reszty sal szpitalnych barwą europejską wyróżnić, a więc powoli wcielił do niej około 200 łóżek, z których utworzył pięć oddziałów: chirurgiczny, oczny, skórny, weneryczny i ginekologiczny (dla żon wojskowych). Audytorjum, stanowiące zarazem salę operacyjną i olbrzymi gabinet przy klinice, ozdobił portretami chirurgów, okulistów, dermatologów i syfilidologów. Wzbogacił w części z darów prywatnych, w części zaś z sum szpitalnych zbiory narzędzi chirurgicznych. Dobrał najzdolniejszych felczerów do obsługi chorych w klinice, wreszcie starał się uczynić naukę praktyczną najdostępniejszą dla młodzieży i zachęcał ją do korzystania z bogatego materjału klinicznego, szczególniej zaś zwracał na to uwagę, by młodzież polska jak najowocniej pracowała dla swego fachowego wykształcenia. Były to usiłowania najszlachetniejsze, ale przewyższały siły jednego asystenta, to też Millot upadał pod brzemieniem nagromadzonych przez siebie trudności i ciężarów, a nie mogąc im podołać, przekazał mi dalszą pracę w niemniej uciążliwych warunkach.

Tworząc swoje pięć oddziałów, marzył o tem, by każden z nich miał oddzielnego asystenta. Na drodze praktycznego wykonania tej myśli starał się pierwotnie o dwóch, a gdy mu tegoż odmówiono, usunął się, zalecając mnie na swego następcę. Mniej biegły w rzeczach chirurgji i administracji szpitalnej, jak mój czcigodny poprzednik, więcej jeszcze od niego uczułem ciężar moich obowiązków. Dźwigać musiałem nad siły, a więc po całych prawie dniach siedziałem w szpitalu, bo samo zbadanie dwustu chorych codziennie wymagało kilku godzin, trzy razy zaś tygodniowo przybywało jeszcze po cztery godziny pracy, z których dwie zajmowały wykłady i dokonywane w obecności słuchaczy przez prof. Hüebenett'a operacje, z moją nieodstępną asystą, trzecią konieczne do lekcyj i operacyj przygotowania, czwartą niezbędne uporządkowanie sal, auli i gabinetów po ukończeniu wykładów. Gdy dodam do tego codzienne za-

pisywanie recept i podpisywanie odezw z żądaniami: jadła, bielizny, odzieży i obuwia na zmianę, lub dla przybywających chorych, oraz redakcję bieżącej korespondencji, nie zdziwią się czytelnicy, gdy im powiem, że od godziny 9 do 5, a nierzadko i 6 byłem bez przerwy zajęty.

Zamieszkałem na pograniczu Kreszczatiku i Lipek w końcu uliczki, stanowiącej zakręt pierwszej z tych ulic, posiadającej po jednej tylko stronie domy, z których ostatni wynajęty przeze mnie był najbliższym gmachu, mieszczącego w sobie obecnie Muzeum Archeologiczne. W trzech pokoikach tego domku, które zajęliśmy wspólnie z jedynym w życiu prawdziwym przyjacielem moim, Tadeuszem Rakowskim, pozostałym w Kijowie dla dalszego kształcenia się w medycynie, spędzaliśmy po całodziennej pracy wieczory na czytaniu dzieł specjalnych i nie specjalnych, tudzież czasopism, przeplatając je najmilszą gawędką. Obiady jadaliśmy późno u słynnej w Kijowie p. Keller. Z czasów jeszcze studenckich zachowałem stosunki z kilku domami polskiemi, jak: czcigodnej pani z Tarnawskich Salomei Rakowskiej, Michałów Walewskich, Ludwików Góreckich, Berezowskich, Wilczyńskich, Pruszyńskich i innych, ale niezmiernie rzadko z towarzystwa ich korzystałem dla braku chwil wolnych. Wyjątek stanowił dom Izydora Kopernickiego, który wkrótce po mojem zamieszkaniu w Kijowie ożenił się z Ukrainką, panną Berezowską, siostrą doktorowej Ludwikowej Góreckiej, późniejszej drowej Kunickiej, i Cyprjana Berezowskiego; tam bywałem niemal co tydzień. O wielkich cnotach obywatelskich p. Izydora, szczerym i głębokim patrjotyźmie, jako też o niezwykłej sumienności w pełnieniu obowiązków na stanowisku profesora wiedzieliśmy wszyscy, bliżej go znający. To też ludnym był ten dom zacny i szczerze a nawskróś polski, gromadząc w swych gościnnych progach na skromnych tygodniowych herbatkach całą inteligencję kijowską, tudzież znaczne zastępy młodzieży.

Tadeusz Rakowski i ja prawie żadnego z tych dni stałych przyjęć nie opuściliśmy i korzystaliśmy niemało, słuchając rozmów i dysput w kwestjach, które nas najbardziej w owych czasach zajmowały, a toczyły się one stale, przeciągając się niejednokrotnie do późnej bardzo godziny. Te przyjęcia tygo-



Fig. 53. Kamilla ze Schabickich Mianowska.

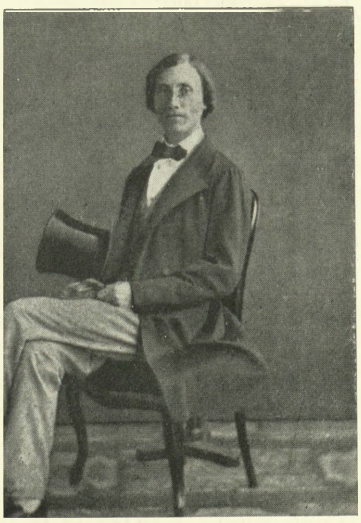


Fig. 54. Dr Benjamin Miliot.

dniowe sięgały swym początkiem jeszcze moich studenckich czasów, ale w drugiej połowie 1859 i 1860 r. znacznie się rozwinęły i ożywiły. Spotykaliśmy tam sybiraków: Maszkowskiego i Rabcewicza, ziemian: Tadeusza Bobrowskiego, Tadeusza Zaleskiego, Seweryna Syroczyńskiego, Feliksa Szostakowskiego, Leona Michałowskiego, z pedagogów: Aleksandra Szumowskiego, Zygmunta Rupniewskiego, Michała Szembela, Onufrego Pietraszkiewicza, z lekarzy: Ludwika Goreckiego, Antoniego Krzyżanowskiego, Marcelego Dobrowolskiego, Adolfa Trachtenberga i wielu innych, z literatów: Aleksandra Jabłonowskiego, Leonarda Sowińskiego, tudzież wielu starszych studentów uniwersytetu, którzy się tu jak w kalejdoskopie zmieniali.

Kopernicki gorąco kochał młodzież i pracował gorliwie nad jej kształceniem w zakresie swojej specjalności, był przytem pobłażliwym i wyrozumiałym dla uniesień młodemu wiekowi właściwych, sam będąc z usposobienia dotąd młodzieńcem. W dwóch zaś ostatnich latach swego pobytu na uniwersytecie, to jest w 1847 i 48, konspirował wraz z Zygmuntem Miłkowskim, Aleksandrem Szumowskim, Juljanem Kędrzyckim, Korewą i Postępskim. Dawał on wtedy dobry przykład oględności i przezorności, umiejąc spokojem tudzież udaną biernością i dobrodusznością maskować pracę nad rozwijaniem myśli i uczuć narodowych oraz gotowości do czynów patrjotycznych wśród kolegów. O tej oględnej metodzie ówczesnej młodzieży świadczy wybornie wierszyk nieznanego z owej epoki autora, który brzmiał, jak następuje:

Bracie mój młody, porzućmy tę ziemię,
Lub tak głęboko myśli nasze kryjmy,
Aby myślano, żeśmy pogłupieli
I brnąc wśród fałszu prawdy zapomnieli.

Mimo te ostrożności, jeden z liczby spiskowych, a mianowicie Zygmunt Miłkowski uchodzić musiał wkrótce przed pościgiem Bibikowa; inni ocaleli. Kopernicki po ukończeniu nauk jako stypendysta rządowy, będąc zmuszony odsługiwać oznaczoną prawem ilość lat, znalazł się w mundurze lekarza wojskowego wśród armji krymskiej w czasie wojny wschodniej, gdzie się mimo woli odznaczył jako zdolny chirurg i uzbierał

sutą wiązkę rang i orderów. Po zawarciu pokoju, korzystając z łaskawszych w tym okresie dla Polaków usposobień, przeniósł się do Kijowa, podał się do dymisji, a zaproszony przez profesora Waltera na stanowisko prosektora anatomji zajął je w roku 1857.

By do wspomnień o tym zacnym ziomku nie wracać, nadmienię tu wyprzedzając wypadki, że Kopernicki, jakkolwiek cichy, gruntownie wykształcony, krytycznie na wszelkie zjawiska patrzeć przywykły i w sądach swych niepospolicie głęboki, oprzeć się nawalnicy wypadków od 1861 do 1864 r. nietylko nie zdołał, ale nadto wierny swym konspiracyjnym tradycjom z lat studenckich wziął czynny a wybitny udział w organizacji ruchu na Rusi, należąc niemniej jak: Edmund Różycki, Aleksander Jabłonowski, Antoni Jurjewicz i Stefan Bobrowski do grona ludzi kierujących tą sprawą. Sądzę, że musiał mieć ważne do tego powody, które zapewne dojdą kiedyś do wiadomości powszechnej, trudno bowiem przypuścić, by mąż publiczny tej miary nie zostawił swych wspomnień, a przynajmniej najważniejszych wskazówek, dotyczących podstaw jego patrjotycznej i ofiarnej działalności. Po upadku powstania na Rusi widzimy Kopernickiego jako naczelnego lekarza, kierującego znakomicie ambulansami w Kaliskiem, a już w sierpniu 1863 r. we wschodniej Galicji na stanowisku komisarza Rządu Narodowego, na którem pozostaje do ogłoszenia stanu oblężenia w tej części dawnej Polski. Po ostatecznym pogromie osiada w Krakowie i powraca do prac naukowych, oddając się z wielkiem zamiłowaniem antropologji i etnografji. Przezwyciężywszy zaś wielkie przeszkody ze strony władz galicyjskich i lekarzy rodaków, uzyskuje wkońcu prawo praktyki lekarskiej w cesarstwie austrjackiem, a następnie katedrę w uniwersytecie krakowskim, wreszcie kończy żywot pełen zasług w roku 1891, pozostawiając żonę, syna i córkę za Orlikowskim.

Z kolegów Kopernickiego jeszcze z czasów jego spiskowania w 1847 i 48 r. najbardziej mi utkwiła w pamięci postać Aleksandra Szumowskiego, z którym się i potem niejednokrotnie w życiu spotykałem. Urodzony 8 grudnia 1825 r. we wsi Kaczynie powiatu kowelskiego, gub. wołyńskiej, kształcił się kolejno w szkółce parafjalnej w Mielcu, następnie w szkole

klewańskiej i gimnazjum rówieńskiem. Na wydział historyczno-filologiczny wstąpił w Kijowie w 1844 r., ukończył go ze stopniem kandydata kosztem rządu w 1848 r., poczem spłacając dług swój państwu przyjąć musiał obowiązki nauczyciela rosyjskiego języka, a następnie geografji w Czernihowie. Po upływie lat służby przeniósł się do Kijowa i tu jako nauczyciel tegoż przedmiotu był ulubieńcem dziatwy szkolnej, która ceniła w nim obok ojcowskiego obejścia się wielką wymowę z gruntowną znajomością przedmiotu. Wykłady jego w II gimnazjum kijowskiem stały się wkrótce niemniej głośne jak wykłady Zygmunta Rupniewskiego w I gimnazjum i zaćmiewały swą wartością niejeden uniwersytecki. W sprawach narodowych odznaczał się Szumowski sądem trzeźwym i wytrawnym, wolnym od wpływów namiętności chwili bieżącej i, aczkolwiek za młodu spiskował, w czasach, gdym go u Kopernickiego spotykał, był spiskom stanowczo przeciwny i niespokojnem okiem śledził już gwałtowne poruszenia wśród młodzieży. I on i Kopernicki byli otwartymi przeciwnikami Antonowicza, przewidując jego przyszłość. Mimo wszakże wstręt do spisków w zasadzie i trzeźwe poglądy na bieżące sprawy, uległ i on w chwilach ostatnich przed wybuchem na Rusi, jak i my wszyscy, potędze szerzącego się z Kongresowej Polski impetu i znalazł się w organizacji, a wkrótce potem na wygnaniu w Orenburgu, dokąd mu towarzyszyła matka i dobrze mi znana z czasów dzieciństwa zacna żona jego, Wanda z Roszkowskich Szumowska, córka sybiraków i siostra znanego nieco później w szerokich kołach Syberji, a następnie Ukrainy, Stanisława Roszkowskiego. Już w roku 1867 Szumowscy powracają do kraju, ale zostawiają w Orenburgu groby staruszki Szumowskiej matki i dwojga drobnych dziatek. Osiadają w Lublinie, gdzie pan Aleksander otrzymuje posadę nauczyciela języków starożytnych w gimnazjum. W roku 1875 przenoszą się do Warszawy i tu również obejmuje Szumowski toż samo stanowisko w gimnazjum III. Wkrótce traci ukochaną żonę, usuwa się w zacisze domowe i dokonywa pracowitego żywota w 1891 r., pozostawiając jednego syna i cztery córki. Pracował nie tylko jako pedagog, ale i jako literat, drukując swe prace naukowe przeważnie w dziedzinie historji i archeologji w czasopismach.

Chętniebym skreślił bodaj pobieżnie niejedną z sylwetek spotykanych u Kopernickiego współbiesiadników, ale ramy niniejszego pamiętnika na to nie pozwalają, przytem brakłoby mi wielu szczegółów i dat co do tych, których bliżej nie znałem; niektórzy zresztą są powszechnie znani i zasłużyli sobie na niejedną wyczerpującą wzmiankę za życia lub po śmierci; wreszcie o kilku, jak o Maszkowskim, Kędrzyckim i Trachtenbergu znajdą czytelnicy wzmianki w innych rozdziałach.

Po krótkiej wycieczce za mury szpitalne powracam do mojej kliniki. Otóż, przekonawszy się, iż zaledwie podołać mogę moim powszednim obowiązkom i nie mam zupełnie możności oddania się pracy naukowej i przygotowania się, jak tego pragnąłem, do egzaminów na stopień doktora medycyny, zaniechać musiałem tego zamiaru i mimowoli niejednokrotnie zarzucałem w myśli zacnemu Millotowi utworzenie tak olbrzymich klinik, bez zapewnienia im odpowiedniej obsługi lekarskiej. Gdy wszakże wiele ten czyni, co musi, i ja też wkońcu pogodziłem się z losem, pomimo iż był uciążliwym, i począłem go dźwigać nietylko z rezygnacją, ale i z fantazją. Starałem się gorliwie utrzymać i rozwinąć to wszystko, co mój poprzednik dla pożytku i upiększenia kliniki uczynił. Jednocześnie zachęcałem młodzież uczęszczającą na wykłady do praktycznych zajęć przy łóżku chorych, których, jak już nadmieniłem, było w oddziale moim dwustu, co przedstawiało bogaty i wyborowy materjał kliniczny. Zająłem się również kształceniem praktycznem moich 14 felczerów, wśród których wyróżniało się kilku Polaków wielką chęcią do pracy i zdobycia wiedzy. Największą zaś zwrócić musiałem uwagę na najzdolniejszego z nich, sympatycznego młodzieńca Iwanickiego, który wkrótce posiadł moje zaufanie, dużo pod moim kierunkiem czytał, starannie czuwał nad inwentarzem klinik i pielęgnował najcięższych i potrzebujących największej troskliwości chorych. Wykłady Hüebenetta niewiele mię nauczyły. Dobrym chirurgiem jako krótkowidz i pozbawiony panowania nad swą wrażliwością być nie mógł, tyle więc tylko odnosiłem praktycznych korzyści, ile sam ćwicząc się nabierałem wprawy w doglądaniu operowanych i robieniu ważniejszych opatrunków. Środki moje były zupełnie wystarczające, pensja z dodatkami dochodziła do 900 rs. Ojciec zaś mój wy-

płacał mi prawie drugie tyle, co mi pozwoliło unikać praktyki lekarskiej prywatnej, do której nie miałem najmniejszego usposobienia.

Najważniejszym wypadkiem dnia w czasie mego pobytu w Kijowie były wybory szlachty na wiosnę 1860 r. Zgromadziły one wszystkich właścicieli ziemskich z Ukrainy, którzy korzystając z przysługujących im praw, podali prośbę do cesarza o ufundowanie katedry języka i literatury polskiej na uniwersytecie kijowskim oraz zezwolenie na wykłady nauki tego języka w dwóch gimnazjach kijowskich i białocerkiewskiem, na co wkrótce nadeszła pomyślna odpowiedź. W czasie tego zjazdu znaleźli się wśród przybyłych ludzie, pragnący usunąć, a co najmniej złagodzić nieporozumienia, jakie w ostatniej dobie coraz widoczniej występowały w stosunkach między dwoma pokoleniami, a mianowicie między ojcami, właścicielami ziemskimi, i synami kształcącymi się w uniwersytecie. W tej myśli działając, zacny ale w wysokim stopniu egzaltowany optymista, Władysław Podlewski, użył swych wpływów i stosunków, by z obu stron najwybitniejszych przedstawicieli zgromadzić i dać im możność porozumienia się po wyczerpujących wyjaśnieniach. Jako miejsce takiego spotkania było obrane mieszkanie Gromnickiego, marszałka powiatu berdyczowskiego.

Po przezwyciężeniu niemałych trudności udało się zebrać dość liczne grono ludzi, z bardzo różnych żywiołów złożone. Znaleźli się tu prócz inicjatorów i gospodarza, z pośród właścicieli ziemskich: Feliks Szostakowski, Rożesław Rylski, Seweryn Syroczyński, Tadeusz Bobrowski i kilku innych. Z młodzieży uniwersyteckiej przybyli: Włodzimierz Antonowicz, Władysław Henszel, Władysław Kamieński, Ludwik Jenicz, Marjan Dubiecki, Mikołaj Zagórski i inni, z tych zaś, co pokończyli uniwersytet: Adolf Trachtenberg, Leonard Sowiński, Tadeusz Rakowski i ja. Nie przybyli z zaproszonych: Maszkowski, Pietraszkiewicz, Kopernicki, Szumowski i jeszcze kilku, najlepszej woli ludzi, ponieważ uważali za rzecz bezcelową paktowanie z Antonowiczem, nie mogąc ufać jego szczerości. Ja z Rakowskim, udając się na to zebranie i wiedząc o jego celu, nie łudziliśmy się ani na jedną chwilę, aby przyjść mogło do skutku istotne porozumienie się, nie tylko z powodu obustronnego

a bardzo głęboko sięgającego wzajemnego rozgoryczenia i nieufności, ale przeważnie i dlatego, żeśmy już obaj w owym czasie zupełną stracili wiarę w szczerość przekonań, głoszonych przez Antonowicza odświętnie; w jego zaś wielbicielach widzieliśmy nie bez podstawy tak fanatyczne i bezkrytyczne zaślepienie dla tego swego bożyszcza, iż wszelkie pośrednictwo uważaliśmy za bezużyteczne, bo w praktyce niemożliwe. Ceniąc zarówno ludzi ze starszego pokolenia, którzy zacnością i ofiarnością od innych się wyróżniali i dali dowody miłości kraju, jak niemniej szlachetną i pełną najlepszych chęci młodzież, nie mogliśmy wszakże uważać tę ostatnią za tak dojrzałą, aby mogła ojcom swoim wskazywać społeczne i polityczne kierunki i dążności, wobec czego wiedzieliśmy już naprzód, że tylko słabi i nieugruntowani w swych przekonaniach starsi pochylą swe głowy przed synami, wśród których znowu nie widzieliśmy najmniejszej gotowości do ustępstw. Skończyć się więc ta cała sprawa musiała albo na ostatecznem brutalnem zerwaniu i pogorszeniu dzisiejszych stosunków, albo też na politykowaniu, z unikaniem najdrażliwszych kwestyj, które stanowiły rdzenne różnice między ludźmi dojrzałymi i starszem pokoleniem młodzieży z jednej strony, z drugiej zaś z najzacniejszą i najofiarniejszą młodzieżą uniwersytecką, kierowaną przez Antonowicza, w najwyższym stopniu zarozumiałą i zabarwioną pod względem społecznym krańcowo, a pod względem politycznym nienarodowo. Większość z nich bowiem przybrała szaty i obyczaj rusiński, mimo niewątpliwe swe pochodzenie polskie.

Przewidywania nasze ziściły się. Porozumienie to miało charakter ostrożnego wzajemnego badania, poczem nastąpiły niemniej ostrożne, a nieszczere oświadczenie wzajemnej uprzejmości. Nikt wszakże z tego posiedzenia nie wyniósł przekonania, że się stosunki w czemkolwiek na lepsze zmieniły i że to niby porozumienie stać się może trwałem, a więc w następstwa obfitem. Przebieg posiedzenia był następujący. Rozpoczęto od odczytania, nie pomnę przez kogo, treściwego sprawozdania o zapatrywaniu się na sprawy narodowe i społeczne na Rusi starszego pokolenia ziemian, kraj miłujących; poczem Rożesław Rylski nadmienił o pewnych różnicach w tych kierunkach istniejących wśród szlachty. W dalszym ciągu, Wło-

dzimierz Antonowicz wypowiedział w imieniu młodzieży, z wielką oględnością niby, jej credo, a unikając starannie wszystkiego, coby mogło drażnić ludzi poważniejszych wśród słuchaczy, odpierał czynione mu zarzuty. A że obecnym starszym leżała na sercu sprawa porozumienia się jakiegokolwiek z młodzieżą, po kilku wzmiankach pedagoga Michała Szembela co do szczerości i praktycznego stosowania wypowiedzianych przez Antonowicza przekonań i gorącej obronie kierunków młodzieży przez Leonarda Sowińskiego, zakończył ten szereg przemówień p. Tadeusz Bobrowski, wymownie stwierdzając, że ojcowie zawsze wierzyli w szlachetne dążności swych synów i nigdy nie posądzali ich o odstępstwo. Jeśli zaś dwa pokolenia różnią się w zapatrywaniach na niektóre kwestje i sprawy narodowe i społeczne, przyszłość tylko wykazać może nieodwołalnie, które z nich miało słuszność. W każdym razie, jeśli się młodzież w pewnych wypadkach unosi, w innych zaś myli, wszystko to razem dowodzi niezaprzeczenie, że kraj gorąco kocha i jest samodzielną w poszukiwaniu najlepszych i najodpowiedniejszych do osiągnięcia celu środków.

Po tej ostatniej mowie nastąpiło wylanie uczuć i porozumienie się między Rożesławem Rylskim i Antonowiczem w ich sprawach prywatnych. I wszystkoby się wyśmienicie zakończyło, gdyby w słowach Antonowicza było jedno bodaj źdźbło szczerości i prawdy! Przygotował się on do tego wystąpienia doskonale, nie dopuścił na niem obecności Tadeusza Rylskiego, by się z czemś niepotrzebnem nie wygadał, i tym sposobem uniknął przedwczesnego zrzucenia maski, co mu się wybornie udało; wyprowadził bowiem raz jeszcze w pole, zarówno najstarszych, jak młodych i najmłodszych, z małemi wyjątkami. Najważniejszym powodem niesnasek między szlachtą i chłopomanami z Antonowiczem na czele była kwestja włościańska, dla ostatecznego rozwiązania której miały opracować materjał tak zwane komitety włościańskie. Ta grupa uniwersyteckiej młodzieży, powołując się na tradycję sejmu czteroletniego, Kołłątajów, Staszyców i Potockich, żądała od właścicieli ziemskich na Rusi bezwarunkowego uwłaszczenia. A skoro nie znalazło się wśród komitetów potrzebnej większości zwolenników takiego załatwienia tej ważnej sprawy, potępiła winnych i niewinnych,

piętnując cały stan szlachecki ziemiański mianem „moszrodziejów", a szczególniej tych i takich, którzy najmłodszym w narodzie praw do kierowania społeczeństwem zaprzeczać ośmielili się, więc w pierwszym rzędzie: Maszkowskiego, Pietraszkiewicza i innych, zapominając, a nawet nie chcąc wiedzieć o tem, że ci ludzie za caratu Mikołajewskiego i pod rządami Bibikowa zawiązali z własnego popędu Towarzystwo Patrjotyczne, mające za cel najgłówniejszy wyzwolenie i uświadomienie ludu, tudzież podniesienie włościan na stanowisko moralne umysłowo rozwiniętych i zamożnych obywateli kraju. Nasza grupa, o parę lat tylko w kursach starsza, ale od bezkrytycznych wpływów Antonowicza wolna, jakkolwiek niemniej ukochała przekazane nam konstytucją 3 maja zasady, nie oczekiwała wszakże rzeczy nieprawdopodobnych, wiedząc, że rozwiązanie sprawy tak doniosłej, trudnej i zawiłej, wymaga niejednokrotnie usiłowań całych pokoleń i bardzo rzadko rozwiązywać się może bez krwi rozlewu, za zgodą dobrowolną tych, co chcą uczynić z praw im przysługujących ustępstwo na rzecz przez prawa te pokrzywdzonych.

Większość ówczesnej szlachty było to zbiorowisko ludzi, systematycznie przez rządy Bibikowa na Rusi demoralizowane. Czyż mogliśmy więc od nich wymagać i oczekiwać, aby byli w możności wydać z grona swego większość zdolną do postanowień, znamionujących najwyższą dojrzałość polityczną. Bylibyśmy najszczęśliwszymi, gdyby się tak wysoko podnieśli pod wpływem ducha czasu, iżby zadowolić mogli skromne wymagania najumiarkowańszej części młodzieży. Wymagania zaś naszych najmłodszych kolegów, rozegzaltowanych w gimnazjach, oszalałych w uniwersytecie i zwichniętych chwilowo w kierunku ultra-rusińskim, a wygłaszających namiętnie swe przekonania, nie mogły trafić nie tylko do tych zacofanych ziemian, w ręku których spoczywały losy ludzi, ale i do większości starszej nieco, a umiarkowańszej młodzieży. Czyż mogliśmy się łudzić w tym razie, aby jedna pogadanka wieczorna mogła usunąć nieporozumienia tak głęboko sięgające, nawet między zgromadzonymi, a cóż dopiero między tymi, których oni przedstawiali.

Nas starszych cieszyło niemało i to, że się na Wołyniu Ukrainie znalazło po 11 głosów za uwłaszczeniem i że tym



Fig. 55. Izydor Kopernicki i Ludwik Gorecki.

sposobem brakowało tylko po parę głosów do większości. Rozumieliśmy bowiem, iż pomyślne rozwiązanie kwestji jest tylko zależnem od czasu, tego nieomylnego czynnika w rozstrzyganiu trudnych i zawiłych kwestyj. Wobec tak wielkiej różnicy w zapatrywaniach najbliższych, prawie stycznych ze sobą warstw młodzieży uniwersyteckiej, nie zdziwi się czytelnik, że na zebraniu u Gromnickiego Adolf Trachtenberg, Tadeusz Rakowski i ja milczeliśmy uporczywie, będąc głęboko przeświadczeni, że ta pozorna zgoda pozostanie bez żadnych następstw. Tak się też i stało; nazajutrz, po obustronnym popisie wymowy, popłynęło życie i jego praktyczne objawy starem korytem.

Na obradach u Gromnickiego poruszono między innemi prywatnie w rozmowach sprawę wycieczek po kraju studentów kijowskich w strojach rusińskich, zarzucając im, że mają na celu propagandę społeczną. Antonowicz, odpierający w tym kierunku zarzuty, twierdził, iż te piesze podróże w ubiorach ludowych ułatwiają zbliżenie się do włościan i zbieranie materjału etnograficznego. Wspomniałem o tym szczególe, by przejść zkolei do naszkicowania dziejów i charakteru tych wycieczek młodzieży naszej na Rusi, po ziemiach dawnej Polski, od chwili powstania uniwersytetu w Kijowie aż do dni ówczesnych, to jest między 1835 i 1860 rokiem.

Pierwszymi, niejako mimowolnymi pionierami na tem polu byli Litwini z powiatów: pińskiego, mozyrskiego i rzeczyckiego, gub. mińskiej. Kijów bowiem był połączony z temi powiatami drogą wodną (przez Dniepr i Prypeć), daleko dogodniejszą i przyjemniejszą do przebycia od lądowej; tradycja więc tych wycieczek sięgała prawie lat trzydziestych. Odbywali oni swe podróże w bajdakach lub wielkich łodziach, dla braku jeszcze w owych czasach parostatków na Prypeci. Najwcześniejsza z wycieczek, mająca określony plan i wyraźne cele, zorganizowaną została w lecie 1859 r. przez Włodzimierza Antonowicza, który przybrawszy do towarzystwa młodych kolegów: Tadeusza Rylskiego, Wincentego Wasilewskiego, Władysława Winarskiego i Onufrego Chojnowskiego, wyruszył dwoma parokonnemi wozami włościańskiemi przez stepy ukraińskie na Sicz i Zaporoże. Do wyprawy tej przygotowywali się młodzi turyści w ciągu półrocza, zaopatrzyli się w stroje charakterystyczne ukraińskie,

potrzebne książki i notatki i odbyli całą tę podróż w znacznej części pieszo, ku wielkiemu zadowoleniu uczestników i niemniejszemu zgorszeniu ówczesnej opinji ziemiańskiej, która nie bez słuszności patrzyła z nieufnością i niepokojem na to rusinizowanie się polskiej młodzieży.

Nie wszyscy jednak, pragnący zwiedzić kraj pieszo, mieli na pierwszym względzie poznanie ludu ukraińskiego. Jeden nawet wśród wielbicieli Antonowicza, Antoni Mioduszewski, powziął myśl zuchwałą obejścia pieszo i samotnie najwybitniejszych miejscowości w Polsce Kongresowej tegoż lata 1859; nie wiedząc zaś nic o jego przedsięwzięciu, wyruszyli w tymże celu: Jan Antoniewicz, Michał Grzybowski, Piotr Markiewicz i Kazimierz Nejman. Szkic podróży, przez Mioduszewskiego nakreślony, pozwalam sobie załączyć tu prawie dosłownie.

„Nie znałem dotąd Królestwa ani Warszawy ani ludu polskiego. Jakkolwiek więc nie znalazłem dla siebie nikogo odpowiedniego do towarzystwa, postanowiłem odbyć tę podróż samotnie i to pieszo z tłomoczkiem na plecach. Już w lutym, zakreśliwszy sobie ściśle ważniejsze punkta, które w tej wędrówce postanowiłem zwiedzić, gromadziłem zewsząd notaty odnośne o tych miejscach. Wpływ tej wycieczki zuchwałej na ukształtowanie się charakteru mego i całego światopoglądu był olbrzymi. Młodzieńcowi, znającemu dotąd świat tylko z rodzinnego i towarzyskiego otoczenia, z książek i koleżańskich pogadanek, radzącemu sobie z trudnością na przetartych nawet drogach, ocknąć się samotnemu oko w oko z drobnemi może, ale ciągłemi trudnościami takiej wędrówki, i to w kraju, nie obytym z tego rodzaju wędrowcami, jest to odrazu przebyć dobrą szkołę praktycznego życia, szczególniej jeśli kieszeń skąpo zaopatrzona, droga daleka, i z każdym groszem trzeba się rachować. Ja np., wychodząc z Kijowa w dniu 16 maja 1859 r. miałem w kieszeni niecałe 50 rubli, a przed sobą trzy miesiące czasu i Warszawę, bez żadnych widoków jakichkolwiek bądź wpływów w największej bodaj potrzebie. Ubogi tłomoczek płócienny z bielizną i studenckim garniturem zawieszony na plecach, burka z odprutą podszewką i kij w ręku — oto cały majątek, bez którego nie mogłem się obejść, ale którego pilnie strzec musiałem, bo utrata najmniejszej drobnostki stanowiłaby wielką

niedogodność. Na sobie miałem długie buty, słomiany kapelusz (bryl), letni ciemny surdut i wyszywaną ukraińską koszulę, słowem, wyglądałem nieco z waszecia".

„Wychodziłem zwyczajnie z pierwszym dziennym brzaskiem i szedłem do godziny dziesiątej, dopóki upał i znużenie nie nakazywały odpoczynku. Wtenczas rozkładałem się najczęściej w karczmie, czasem u włościan, czasem gdzieś na gościńcu pod cienistem drzewem. Zawsze miałem ze sobą kawał chleba, sera albo słoniny, a składanym kubkiem czerpałem wodę wprost ze studni, do której przychodzono po wodę ze wsi. Dla rozmaitości kupowałem często za trzy grosze hładysz kwaśnego mleka, albo prosiłem jaką gospodynię o zgotowanie mi jaglanej kaszy z mlekiem, za co kazano mi płacić najwyżej cztery grosze, a często nic nie chciano przyjąć, szczególniej jeśli przy jadle toczyła się przyjemna gawędka. O godzinie mniej więcej 4 popołudniu znowu uwiązywałem mantelzak do pleców, zarzucałem na nie zwiniętą burkę i pożegnawszy się z otoczeniem, jakie się zdarzyło, puszczałem się w dalszą drogę. Patrzano na mnie ciekawie i podejrzliwie i wszelkiemi sposobami starano się dowiedzieć, co zacz jestem i jaki jest cel mojej podróży. Szczególniej natarczywymi byli pod tym względem żydzi, których dlatego właśnie starałem się unikać, o ile to było możliwem. Naturalnie, że rzadko i wyjątkowo, przed inteligentniejszą tylko szlachtą wynurzałem się z całą prawdą, a najczęściej musiałem zmyślać".

„Z tego względu byłem nawet czasem w kłopocie. Raz np. ciekawemu jakiemuś żydkowi powiedziałem, że jestem lokajem poszukującym służby. Zapytał mię, czy mam świadectwa od tych, u których służyłem i od kogo? Chcąc nie chcąc, musiałem wytrwać w tej roli i powiedziałem, że mam takie od hr. Olizara. Wtenczas zaczął mi natarczywie stręczyć jakąś bardzo dogodną służbę i dobijał się, żebym z nim jechał do tego pana. Nie pamiętam już, w jaki sposób wywinąłem się z tych tarapatów. Inną znowu razą w okolicach Sławuty nowy tegoż gatunku kłopot. Udawałem ślusarza, szukającego zajęcia. Usłużny żydek natychmiast mi proponował zajęcie w jakiejś fabryce. Nauczony doświadczeniem, najczęściej odtąd udawałem, że idę do Warszawy odziedziczyć spadek po zmarłej ciotce;

i to już mię nie wprowadzało w żadne trudności. Noce najczęściej spędzałem u gościnnych włościan, którzy mi chętnie dawali nocleg gdzieś w stodole i rzadko przyjmowali za to zapłatę; czasem znowu odważałem się wpraszać do ekonomów, księży, a nawet uboższych obywateli ziemskich, ale z tymi były długie ceregiele, gdyż obawiano się mnie zrazu i dopiero po przejrzeniu paszportu od niechcenia przyjmowano. Dopiero po rozgadaniu się topniały lody, temperatura stopniowo podnosiła się, a czasem wzmagała się do tego stopnia, że mię zatrzymywano na dni parę dla wypoczynku, a potem odsyłano końmi o wiorst trzydzieści i dalej, opatrując zapasy podróżne kawałem szynki, kiełbasy albo pierników. Nie tu miejsce na obszerniejszą opowieść o tej pełnej wrażeń podróży, ale muszę wspomnieć, że cała moja droga z Kijowa do Lublina nie kosztowała mię nawet trzech rubli, jakkolwiek trwała więcej niż miesiąc, bo trafiłem tam na sam świętojański jarmark wełniany, a więc około 24 czerwca wedle starego kalendarza".

„W Lublinie miałem list polecający od Gustawa Wasilewskiego do p. Napoleona Dębickiego, który przyjął mię bardzo gościnnie i wskazał wszystkie ciekawsze pamiątki tego grodu, godne widzenia. Ale jakaż była moja radość, kiedy wyszedłszy od niego i dążąc ku któremuś kościołowi, najniespodziewaniej spotkałem: Jana Antoniewicza, Piotra Markiewicza i Michała Grzybowskiego, a z nimi młodego ich ucznia, Kazia N. Nie wiedziałem nic o tem, że we czwórkę odbywali taką samą podróż po kraju, oni równie też o mnie nie wiedzieli. Dla mnie więc przynajmniej była z tego względu wielka radość; cały czas pobytu w Lublinie przez dni kilka trzymaliśmy się razem, ale potem rozeszliśmy się na to, aby zejść się w Warszawie. Oni podążyli, zdaje się, wprost do Ojcowa i Pieskowej Skały, a ja tamże, ale przez Warszawę, która mię pociągała ku sobie. Szedłem tylko do Puław, a stamtąd już płynąłem na galarze z flisakami po Wiśle. W Warszawie przebyłem tylko tydzień i postanowiwszy dłużej w niej przebyć za powrotem, ruszyłem koleją wprost do Strzemieszyc, mijając i zostawiając na potem Częstochowę. Przenocowawszy u jakiegoś krakusa w Strzemieszycach, o świcie znowu z mantelzakiem na plecach ruszyłem piechotą do Ojcowa, postanawiając stanąć tam tegoż dnia, chociaż

to około 40 wiorst. Nigdy nie zapomnę, jakie to były bogate i silne wrażenia dla mnie, nie obytego jeszcze ani z tak szybkiemi zmianami fizjonomji kraju ani z ludem, tak zupełnie odmiennym od naszego rusińskiego, a tak malowniczym, wesołym i sympatycznym!"

„Wracając z Ojcowa, zatrzymałem się w Częstochowie na całą dobę, ale szczerze wyznaję nie z religijnych całkiem pobudek. I może dlatego właśnie nie sprawiła mi ona wrażeń nawet takich, jak Berdyczów. Został mi w pamięci skarbiec i nadzwyczajne, nie widziane przeze mnie dotąd zaniedbanie, w którem się utrzymywał ten taki sławny w całym naszym kraju dom Boży. Z Częstochowy wracałem 4 klasą. Wielką i bardzo przyjemną niespodziankę sprawił mi Grzybowski Michał, którego dojrzałem wśród tłumu podróżników tejże 4 klasy. Żeby zrozumieć przyjemność takich spotkań, trzeba się ocknąć samotnym wędrowcem na takiej olbrzymiej przestrzeni, jaką mi się wówczas wydawała przestrzeń, dzieląca Częstochowę od Ukrainy. Nieco później poznałem się ze znacznie większemi przestrzeniami i znowu przez bardzo długi czas byłem zupełnie samotnym, ale byłem już o wiele starszym i wrażliwość młodzieńcza stępiła się, zresztą, nikogo z bliższych tam nie spotykałem. W Warszawie zastaliśmy już całą kompanję Grzybowskiego i przebyliśmy około tygodnia. Byłbym tam dłużej pozostał, ale zajrzawszy do sakiewki, spostrzegłem, że pozostało w niej niespełna 4 ruble. O wiele już doświadczeńszy nie przestraszyłem się wcale tej nędzy, gdyż na wszelki wypadek miałem ze sobą zegarek, który przedstawiał pewną wartość, ale rozwaga wzięła górę i znowu puściłem się samotny w podróż, kierując się ku Brześciowi, stamtąd do Pińska, a z Pińska za pięć złotych dębem popłynąłem do Czarnobyla, gdzie miałem licznych znajomych i przyjaciół. Przybywszy do tej nędznej mieściny, w niej u kolegi Winc. Sierzp. i w okolicy u wielu moich dawnych znajomych przebyłem cały tydzień, hojnie obdarowywując pobożne panie obrazkami częstochowskiemi, a ich obsługę buteleczkami wody poczajowskiej, czego zrobiłem dobry zapas. Do Kijowa wróciłem około 20 sierpnia".

„Rozpisałem się obszerniej o tej mojej osobistej wycieczce pomimowolnie, przypuszczam jednak, że może nie będzie cały

ten ustęp zupełnie zbytecznym na tem miejscu, bodaj dlatego, że charakteryzuje on dobrze nasze awanturnicze usposobienie. O ile mi wiadomo, ani przedtem ani potem tego rodzaju może szalone wybryki już się nie powtarzały. Gdyby się komu zdawało, że ta moja podróż miała na celu propagandę jaką albo inne podobne jakie zamiary, toby popełnił wielki błąd, gdyż przedsięwziąłem ją wyłącznie dla zaznajomienia się z krajem i treściwego przepędzenia czasu wakacyjnego".

I w roku 1860 gotowały się wycieczki na Ukrainę pod wodzą Antonowicza; zamilczę tu wszakże o nich, miały bowiem charakter zjazdów studenckich w kilku domach Abramowiczów, zaprzyjaźnionych z Antonowiczem, tudzież u kilku zamożniejszych kolegów, jak: Popowscy, Syroczyńscy i Jurewicz, zakończyły się zaś te wyprawy zwiedzeniem w licznem towarzystwie Humania i Sofijówki. Tyle o wycieczkach po kraju.

Stosunek mój z tą częścią młodzieży uniwersyteckiej, która uczęszczała na kliniki był prawie codzienny, przez nią dochodziły mię wieści o innych, ale zazwyczaj niedokładne i spóźnione, kurs bowiem piąty, zamieszkały na Peczersku i umęczony egzaminami, nie miał czasu na branie czynnego udziału w sprawach studenckich. Z bliżej mi znanych zwracała na siebie uwagę grupa literatów ostatnich kursów, których większość zamieszkiwała we wspólnym domu przy ulicy Tarasowskiej, noszącym u kolegów nazwę „klasztorku". Już samo to miano pozwalało wnosić, że byli to najprawowitsi spadkobiercy zasad przez purystów wyznawanych, a należeli do tej grupy: Leon Głowacki przezwany Bartoszem (starszy brat Bolesława Prusa), Władysław Kozłowski, Ludwik Jenicz, Władysław Kamieński, Marjan Dubiecki, Konrad Gąsiorowski, Stanisław Miaskowski i paru innych. Wszyscy pracowali nad nauką, nie oddawali się niepodzielnie sprawom publicznym i nie ulegali bezkrytycznie wpływom Antonowicza. Do ich grona śmiało mógłbym zaliczyć, acz znacznie młodszego, Antoniego Chamca, zwanego już naonczas przez kolegów „Palmerstonikiem".

Przed chwilą wyliczonych dość często spotykałem u Kopernickiego. Raz tylko jeden w ciągu 1859/60 r. wypadło mi czas dłuższy zabawić wśród studentów z racji pojedynku, jaki miał miejsce między dobrym znajomym moim Henrykiem Stockim

z Litwy i koroniarzem Konstantynowiczem. Wezwano mnie w charakterze chirurga; kto był sekundantem, nie pomnę, jak niemniej, o co im poszło; nocowałem u Stockiego, skąd o świcie ruszyliśmy traktem wasilkowskim, a zwróciwszy za rogatką w lewo ku laskom otaczającym monastyr wydubiecki, stanęliśmy na placu, na którym miała się odbyć rozprawa honorowa. Jako świadek bezstronny, usunąłem się na bok, śledząc z niepokojem przebieg i następstwa sprawy, a jako młody i niedoświadczony chirurg błagałem w duchu Opatrzność, by rany mające się zadać nie przekraczały mego uzdolnienia. Gdy wkrótce po nas przybył na plac Konstantynowicz, ustawiono przeciwników o dwadzieścia kroków, do mety zaś miał z nich każdy pięć kroków; stronom przeciwnym przysługiwało prawo wystrzału zbliżając się do barjery. Otoż, ku memu wielkiemu zdziwieniu, obaj podeszli wolnym krokiem do mety, celując wciąż do siebie, ale nie dając strzału. Sekundanci powołali ich na pierwotne stanowisko, poczem szli znowu ku sobie, tak samo mierząc i tak samo nie strzelając. Gdy ta scena powtarzała się po raz trzeci, zjawił się na polu jak deus ex machina diak z monasteru, a nałożywszy swój kołpak na kij, wywijał nim i począł wrzeszczeć, wzywając pomocy wobec wymierzonych ku sobie luf pistoletowych zapaśników. Nie chcąc dostać się acz w najlepszem towarzystwie do kozy, zakomenderowałem śpieszny odwrót, sam zaś siadłem do powozu i ruszyłem do kliniki. Nazajutrz zaś dowiedziałem się ku wielkiemu zadowoleniu o zgodnem zakończeniu sprawy.

Rok mój szpitalny dobiegał końca. Oczekując niecierpliwie zamknięcia wykładów, marzyłem i ja o wycieczce na Polesie Wołyńskie, o spotkaniu się z panną Marją Mianowską i o odświeżeniu miłych wspomnień z niedalekiej przeszłości. Urlop otrzymałem w końcu czerwca, zaś 1/13 lipca wyruszyłem do Żytomierza, skąd 3/15 tegoż miesiąca stawiłem się niespodzianie w Brażynce, gdzie obchodzono imieniny pani Kamilli Mianowskiej, gospodyni domu. Na wyjezdnem mojem z Kijowa nadeszła tam wiadomość z Warszawy o pierwszej manifestacji w tem mieście, która odbyła się 30 maja (11 czerwca) 1860 r. na pogrzebie Katarzyny ze Szrederów jenerałowej Sowińskiej.

Gdy wieść o śmierci tej czcigodnej 85 letniej staruszki

rozeszła się między młodzieżą, Mateusz Gralewski, świeżo z Kaukazu powrócony wygnaniec, przy współudziale uczniów szkoły sztuk pięknych z Karolem Nowakowskim na czele, rozpoczął agitację, skutkiem której zgromadził się dwudziestotysięczny tłum około mieszkania zmarłej, zalegając ulicę Królewską i przyległe i poniósł na swych barkach aż do cmentarza kalwińskiego trumnę, zawierającą zwłoki żony wielkiego patrjoty. Pogrzeb ten swym uroczystym nastrojem i powagą zaimponował wrogom; ład zaś i spokój wśród kilkudziesięciotysięcznego orszaku zachwycał i zdumiewał wszystkich udział w nim biorących; nadto wprowadził ten pogrzeb w życie zasadę równoprawności wyznań wobec zasług narodowych. Ozdoby trumny i ogon popielato-stalowej sukni zmarłej poszarpano w strzępy i zachowano jako drogie pamiątki, poczem znaczna część publiczności powróciła do miasta; około zaś tysiąca osób udało się na cmentarz wolski, gdzie stała cerkiew, przerobiona z dawnego kościółka, w którym na stopniach ołtarza zginął w obronie wolności jenerał Sowiński. Przybyli, zerwawszy gałązki pamiątkowe z drzew i krzewów, rozeszli się do domów. Gdy echa tej manifestacji doszły uszu młodzieży kijowskiej, zrobiły wśród niej wielkie wrażenie. Zrozumiano dobrze, iż to jest tylko krok pierwszy, który bez następstw pozostać nie może. Wiadomość o tym doniosłym wypadku przywiozłem pierwszy do Brażynki; poruszyła ona wszystkich do głębi i podniosła o całą oktawę nastrój patrjotyczny zgromadzonych gości.

Powitawszy serdecznie gospodarza i złożywszy życzenia szanownej solenizantce, ucałowałem rączki panny Marji jako cioteczki i przyznać to muszę, że wydała mi się ona jeszcze milszą, sympatyczniejszą i więcej uroczą, a niemniej na mnie łaskawą. Tym razem zastałem ją więcej otoczoną młodzieżą, z pomiędzy której wielu pragnęło starać się o jej rękę. Nie widziałem wszakże, by dla któregokolwiek z tych panów przychylnie była usposobioną, budzili więc oni we mnie więcej współczucia niż zazdrości. Po imieninach rozjechali się goście, a ja zostałem w Brażynce i bawiłem tam dni kilka, trawiąc czas na niewyczerpanych rozmowach z panną Marją. Zrobiwszy zaś wkrótce wycieczkę do mojej rodziny, powróciłem znowu do pp. Mianowskich. Dom i ogród brażyniecki miały w so-

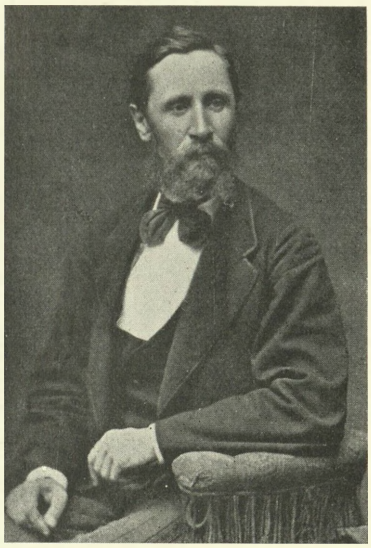


Fig. 56. Aleksander Szumowski.



Fig. 57. Ubiór męski w czasie demonstracji.

bie dużo estetycznego a swojskiego pierwiastku. Pokoje obszerne, światłe, zapełnione wielkiemi drzewami fikusowemi, umeblowane skromnie a wygodnie. Ogród, acz na skale labradorowej umiejętnie założony przez panią Mianowską i pielęgnowany starannie, przedstawiał udatne kombinacje dróg, gazonów, klombów i gaików, które mile nęciły oko. W tym to ogrodzie, w altanie, lub na ławeczce ze skały, gawędziliśmy z panną Marją o wszystkich najbardziej nas zajmujących kwestjach, a z rozmów tych wyniosłem to głębokie przeświadczenie, iż danem mi było poznać wielką niewieścią duszę, pełną gotowości do walk i ofiar w sprawach sercu drogich, tak rodzinnych jak i narodowych. To też uczucie moje spotęgowało się pod wpływem bliższego poznania mego ideału do najwyższego stopnia, w którym budzić się zwykło gorące pragnienie uświęcenia prawdziwej miłości sakramentem małżeństwa.

Po takiem postanowieniu wyczekiwałem chwili stosownej, by prosić o rękę p. Marji. Dnie za dniami mijały szybko, a ja zatopiony w najmilszych wrażeniach odkładałem chwilę oświadczyn. Wreszcie nadszedł dzień 28 września (11 października). Był to dzień mego imienia i w tym dniu postanowiłem losy moje rozstrzygnąć. W bawialnym pokoju, gdzie nas zostawiono bez świadków, wyznałem p. Marji moje najgłębsze uczucia i otrzymałem odpowiedź życzliwą i serdeczną, ale musiałem czekać decyzji ojca, który był nieobecnym. Po paru dniach zostałem przyjęty przez rodziców, przyrzeczono mi najdroższą, najukochańszą rękę, do grobu przezemnie miłowaną i czczoną tej, która mi była nieodstępną towarzyszką w ciągu 37 lat. Na dzień 16/28 października 1860 r. naznaczone zostały zaręczyny nasze, które się odbyć miały w gronie rodziny i przyjaciół, przyczem rodzice mojej przyszłej żony wyrazili życzenie, abym opuścił Kijów i zamieszkał na wsi. Dzień zrękowin nadszedł wkrótce; zamieniliśmy pierścionki, pobłogosławione przez miejscowego proboszcza księdza Jędrzejewskiego, poczem ja pospieszyłem nazajutrz do Kijowa, by skruszyć więzy szpitalne, czego też wkrótce z łatwością dokonałem. To wszystko, cośmy dotąd w ogólnikach rozpatrywali, po powrocie moim z Kijowa stało się treścią naszych rozmów, ale rozstrząsanych już na tle naszej najbliższej, jako narzeczonych, przyszłości.

Decydując się stanowczo na powrót do roli w tak krótkim czasie po rozpoczęciu zawodu lekarskiego, winienem tu powiedzieć na moje usprawiedliwienie słów kilka. Nauki przyrodnicze, stanowiące podstawę medycyny z anatomją i fizjologją włącznie, zajmowały mię bardzo, praktyczna zaś medycyna, w miarę zapoznawania się z nią bliżej, począwszy od III kursu, odstręczała mię coraz więcej, a kliniki chirurgiczne tak mnie w pierwszych chwilach przeraziły, żem powziął chęć stanowczą przeniesienia się na inny wydział już w drugiej połowie III kursu. Ojciec mój najdroższy, który mi nigdy rad swych nie narzucał, ale zwykł je dawać, pozostawiając mi zupełną swobodę działania, dowiedziawszy się wówczas o moim zamiarze, wypowiedział o tem swe przekonanie, że o ile nie cieszył się, widząc mnie wstępującego na fakultet lekarski, o tyle dziś pragnąłby, abym ten wydział ukończył; zdaniem jego bowiem, ludzie, którzy rozpoczętych prac nie kończą, zwykli się w życiu marnować. Radził mi więc studjowanie w dalszym ciagu medycyny, po otrzymaniu zaś dyplomu przejście dopiero na inny wydział, jeśli trwać będę w tym zamiarze. Miłość ku ojcu, poparta silną wolą, pozwoliła mi przezwyciężyć moje wstręty i ukończyć z odznaczeniem medycynę, a nawet pozostać asystentem przy klinice chirurgicznej. Unikałem jednak starannie, jak o tem już wspominałem, praktyki prywatnej. Przesiadując całemi dniami w ciężkiej atmosferze wojskowego szpitala, niejednokrotnie jako na wsi urodzony i wychowany zazdrościłem tym, którzy pracują na roli, tem więcej, że w owym czasie powoływać zaczęto ziemian do udziału w sprawach publicznych, jak to świeżo miało miejsce co do kwestji włościańskiej. Nigdy wszakże nie zdecydowałbym się na krok tak stanowczy, gdyby nie wyraźne żądanie rodziców mojej narzeczonej, od którego spełnienia czynili niejako zależnem w sposób bardzo delikatny oddanie mi jej ręki. Ten wzgląd wobec głębokiego uczucia przemógł i dokazał tego, żem własnoręcznie całą moją przyszłość lekarską narazie zniweczył. Wskrzeszoną ona została znacznie później skutkiem wypadków 1863 r., ale na innym gruncie, bo na Syberji i w Rosji.

Rozstrzygnąwszy raz zasadniczą kwestję zmiany zawodu, z łatwością zgodziłem się na propozycję pp. Mianowskich, abym

blisko ich włości szukał dzierżawy. I to mi się udało. Wydzierżawiłem bowiem od pp. Anastazych Izdebskich, u których będąc uczniem 5 klasy rok przemieszkałem w Żytomierzu, folwark Ośniki, odległy o milę od Brażynki. Posesję tę objąłem w końcu marca 1860 r. Na opłacenie rocznej tenuty i urządzenie domu otrzymałem od rodziców na rachunek przyszłej mojej schedy 5.000 rs, z których trzy wypłaciłem zaraz pp. Izdebskim, z pozostałych zaś dwóch z wielką oględnością czerpałem na zaopatrzenie domu w meble, sprzęty i naczynia, stajni zaś i wozowni w konie, powozy i uprząż, oraz spiżarni w nieodzowne zapasy. Remanent cały zostawał przy majątku. Właściciel zastrzegł sobie tylko prawo powrotu corocznie do władania za półrocznem wypowiedzeniem. Domek w Ośnikach był skromny, ale miły i wygodny, ogród obfitował w owoce, jagody i jarzyny. Pola zastałem dobrze uprawne. Urządziłem przyszłe nasze gniazdko starannie i zdobiłem je z myślą nadania mu charakteru swojskiego. Ekonom, od lat wielu w szkole ojca mego wyćwiczony, zacny p. Wojciech Zieliński, przybył z myślą zorganizowania mojej gospodarki i kierowania pierwszemi mojemi krokami na polu agronomicznem. Wśród zabiegów, poświęconych sprawom osobistym, nie spuszczałem z oka wydarzeń natury ogólniejszej, nie tajnem mi więc było, iż wrzenie wśród młodzieży polskiej z każdym dniem się wzmagało. Było ono w ścisłym związku z wielkiemi wypadkami ostatniej doby w Europie, a szczególniej ze sprawą wyzwolenia Włochów, nie mniej jak z zawiedzionemi nadziejami lepszej przyszłości po mowach, wypowiedzianych przez cesarza Aleksandra II-go w Warszawie, Wilnie, Kijowie i Kamieńcu.

Młodzież ta, przeważnie w Kongresowej Polsce, szukała ujawnienia swego niezadowolenia i obrała formę protestów, demonstracyj i manifestacyj. Objawy te, nie ujęte w karby ściśle określonego kierunku, musiały być niejednolite i stosownie do tego, kto im przewodniczył, przybierały charakter psot i figlów, bądź też przedstawiały wspaniałe wybuchy natchnione myślą patrjotyczną woli tłumów i wtedy były imponujące. Początek demonstracjom dała szkolna młodzież krakowska, wcielając do swych pieśni chóralnych hymn: „Boże coś Polskę“, który był po raz pierwszy śpiewanym w czasie majówek 1860 r.

30 maja (11 czerwca) Mateusz Gralewski i Karol Nowakowski zorganizowali pełną powagi manifestację na pogrzebie jenerałowej Sowińskiej. 8/20 października 1860 r. figlarze zawodowi nadają tą razą swemu zamiłowaniu do psot kierunek polityczny, oblewając aksamitne obicia loży cesarskiej kwasem siarczanym i napełniając wonią assafoetydy warszawski przybytek Melpomeny na godzinę przed przybyciem do teatru cesarza Aleksandra II wraz z kilku książętami Rzeszy Niemieckiej. 18/29 listopada tegoż roku Szkoła Sztuk Pięknych pod przewodnictwem nabierającego rozgłosu Karola Nowakowskiego urządza na Lesznie nabożeństwo, w czasie którego w śpiewanej suplikacji słowo „od wojny" zastępuje słowem: „od niewoli", zaś tegoż dnia wieczorem i w tymże kościele i na ulicy przed kościołem zgromadzona publiczność po raz pierwszy odśpiewała bez wielkiego ze strony policji oporu hymn narodowy „Boże coś Polskę".

Łatwo zrozumieć, że wobec nastroju, jaki zapanował wśród tłumów, następne manifestacje były coraz liczniejsze i wspanialsze od poprzedzających. Dnia 25 lutego 1861 r. miała się odbyć zbiorowa pielgrzymka na pola grochowskie; była to bowiem 30 rocznica tej bitwy. Tym razem pisma zagraniczne tyle o tej gotującej się wycieczce napisały, iż oberpolicmajster warszawski Trepow, używszy na ten cel nahajek kozackich, zdołał tworzące się tłumy rozprószyć, — „dostawszy tylko raz jeden po pysku na Starem Mieście przy wodotrysku!" W ciągu dnia następnego gotowała się wielka manifestacja odwetowa na dzień 27 lutego. Nieprzebrane zastępy ludu zjawiły się niespodzianie i raptownie z dwóch przeciwległych stron, łącząc się w zbitą masę na placu Zygmunta. Nahajki i płazowania tą razą nie pomogły; użyto więc broni palnej, skutkiem czego padło 5 zabitych tudzież kilku rannych. Wzburzenie umysłów było do nieopisania. Utworzona naprędce delegacja z ludzi popularnych w mieście udała się w nocnej porze do ks. Gorczakowa, jako do namiestnika, z prośbą, aby poległych dozwolono pochować uroczyście i na dzień pogrzebu usunąć z widowni wojsko i policję. Żądaniu temu uczyniono zadość; pogrzeb ofiar odbył się 2 marca. Stutysięczny tłum towarzyszył 5 trumnom, zachowując się najspokojniej; porządku pilnowali uczniowie szkół. 28 lutego Towarzystwo Rolnicze wysłało adres

do cesarza. Wkrótce potem, dzięki wpływom Delegacji, usunięto znienawidzonego Pawła Muchanowa, który stojąc na czele tak zwanej oświaty starał się wśród młodzieży szerzyć zapamiętale ciemność. Na jego miejsce mianowano 27 marca Polaka Aleksandra Wielopolskiego, margrabiego Gonzagę Myszkowskiego, a jednocześnie z jego nominacją nadeszły ukazy o zaprowadzeniu w Warszawie Rady Stanu, rad gubernjalnych, miejskich i powiatowych.

Odpowiedź na adres szlachty, wymijająca i więcej groźna aniżeli obiecująca, nadeszła w liście do Gorczakowa. Wielopolski, zająwszy swe stanowisko, zraził na wstępie duchowieństwo szorstką mową. Rozwiązując 6 kwietnia Towarzystwo Rolnicze, oburzył ziemian, a młodzieży i ulicy nie potrafił również pozyskać. Gdy więc i Delegację w jej pierwotnych atrybucjach ograniczono, a następnie rozwiązano, zaczyna rozwijać wpływ na bieg spraw publicznych żywioł krańcowy, składający się z najgorętszej młodzieży zakładów naukowych, jako też rzemieślniczej i robotniczej. Wieść o krwawych zajściach w Warszawie, jak wogóle o całym nastroju społeczeństwa w Polsce Kongresowej, nie mogły zostać bez doniosłego wpływu na Litwę i Ruś. Zamilczę tu o tem, co się w innych miejscowościach działo, gdyż osobiście nie uczestniczyłem w tych demonstracjach. Ponieważ zaś wziąłem udział w pierwszej wielkiej manifestacji w Żytomierzu, postaram się odtworzyć ją tak, jak mi w pamięci pozostała. By uczcić pięciu poległych, zamówione zostało w katedralnym kościele solenne żałobne nabożeństwo, z wymienieniem tylko pięciu imion ofiar. Dalszemi przygotowaniami energicznie i umiejętnie kierował Dr Fortunat Nowicki, przy pomocy i współudziale wszystkich domów polskich, w których przy fortepianach uczono się chóralnych śpiewów patrjotycznych.

Uroczystość odbyła się w połowie marca st. st. Ponieważ duchowieństwo nie chciało narazie zezwolić na otwarcie głównych drzwi wchodowych w kościele i na ustawienie katafalku, pierwszą trudność usunięto pod naciskiem żądań tłumnie gromadzącej się publiczności, katafalk zaś zastąpiony został olbrzymim całunem, który rozesłano w głównej nawie kościelnej. Na środkowej linji całunu stanęło trzech młodych ludzi wspaniałej

postawy w żałobie, z których jeden trzymał zwykły, naprędce zrobiony krzyż, dwóch drugich misternie uplecioną koronę cierniową, wzniesioną ponad swe głowy. Ośmiu nie mniej dorodnych młodzieńców trzymało olbrzymie świece i stojąc na brzegach całunu zastępowało brak lichtarzy kościelnych. Po ukończeniu nabożeństwa z ust tysiący, zalegających kościół i całe podwórze katedralne, zagrzmiał uroczyście hymn: „Boże coś Polskę". Hymn ten był w domu naszym pamiątką rodzinną. Autor jego bowiem Alojzy Feliński, jako mąż rodzonej ciotki ojca mojego, należał do bliskich krewnych naszych, a jakkolwiek uczyniono pewne zmiany w tej pieśni, zastosowane do wypadków bieżących, co było widoczne dla znających pierwotny utwór Felińskiego, nie raziły one wcale jako umiejętnie zastosowane. Po pewnej przerwie rozpoczęto w świątyni groźny śpiew Ujejskiego: „Z dymem pożarów". Wzruszenie było ogromne i powszechne. Szlochaliśmy wszyscy! W chwili zaś gdy kończono hymn drugi, Stanisław Burzyński w krakowskiej sukmanie wynosi całun na podwórze kościelne; masa ludu rzuca się na ten całun i rwie go w kawałki, chowając na pamiątkę. Damy przypinały wszystkim żałobne kokardy, nie wyłączając nikogo, tak dobrze nam, jak stangretom, lokajom i całemu zastępowi żebraków. U drzwi kościoła sypały się tymczasem na tace hojne datki dla rodzin poległych. Przy wejściu głównem kwestowała gubernjalna marszałkowa, pani Mikuliczowa, w asystencji panien i panów, wśród których wyróżniał się właściciel sklepu kolonjalnego, Łącki. U drzwi bocznych prawych siedziała przy tacy pani marszałkowa powiatu żytomierskiego, Niewmierzycka, tak samo w licznem gronie, wśród którego znajdował się krawiec Okienczyc. Cały więc kierunek i nastrój uroczystości był demokratyczny i odrzucający stanowczo wszelkie różnice stanów. Nastrój był tak jednolity, iż gdy obecny wśród tłumów Polak, policmajster Staszewski, pozwolił sobie nie zdjąć czapki w czasie zaintonowania hymnu, zrzucono mu ją laską z głowy; a na zapytanie jego, przed kim to ma czapkę zdejmować? chóralnie prawie odpowiedziano: — „Nie pytaj ośle o to, gdyś się przypadkiem znalazł wśród ludzi i zrzucaj czapkę, kiedy to czynią wszyscy".

Rozchodząc się po ukończeniu uroczystego obchodu ża-

łobnego, unosiliśmy z sobą wrażenie na całe życie. Najumiarkowańsi a najrozważniejsi nawet czuli to dobrze, iż gdyby ich ktokolwiek z tłumu, w chwili gdy hymny wznosiły się przed tron Pana Panów, powołał do walki, poszliby z pięściami na bagnety, by je wydrzeć z rąk żołdactwa i dalej torować sobie drogę do wolności. W parę dni po tej wielkiej manifestacji zrobiono u Dra Fortunata Nowickiego rewizję i wysłano go w drodze administracyjnej z żandarmami do tambowskiej gub., niszcząc niepowrotnie cały szereg zapoczątkowanych przez niego prac społecznych. Jednocześnie z Żytomierzem demonstrował Berdyczów, gdzie całe sąsiedztwo szlacheckie tego miasta z powiatu berdyczowskiego i żytomierskiego, z braćmi Morzyckimi Stanisławem i Juljanem na czele, zjechało do kościoła pokarmelickiego i zamówiło żałobne nabożeństwo za poległych, wznosząc hymny narodowe. Nazajutrz stawiono Morzyckich przed oblicze gubernatora ks. Druckiego Sokolnickiego, poczem wysłano niebawem obu tak samo w drodze administracyjnej do Wiatki. W kijowskiej pierwszej demonstracji rej wiedli studenci. Nie zważając na ofiary patrjotycznych wystąpień, szerzyły się one na prowincji z zadziwiającym pośpiechem.

Idąc za przykładem Królestwa, przywdziewano stroje narodowe i żałobę. Fraki i kamizelki zastąpiły czamarki i kontusiki, cylindry batorówki i konfederatki. Panie opanowały wkrótce wymagania żałoby, by ją nagiąć do swych widoków i wyzyskać dla swych wdzięków. Do nieskończoności rozmnażały się wszelkie ozdoby emblematyczne polskie, jako to: klamry z portretami Kościuszki, kolczyki z orzełkami, broszki z orłem i pogonią lub nadpisem: „Boże zbaw Polskę“, pierścionki, bransoletki, krzyżyki itp. Zkolei wzywano do sądów za śpiewy, za ubiór narodowy i za żałobę, karząc winnych grzywnami. Policja nie mogła oswoić się z nową formą przestępstw politycznych, co chwila w jej oczach powtarzających się bez robienia z tego tajemnicy. Jakkolwiek rozumiałem doskonale, że koniec tych malowniczych i wzruszających scen musi być w skutkach szkodliwym, nie mogłem powstrzymać się, gdy mimowolnie znalazłem się wśród śpiewającego tłumu, od wzięcia w śpiewie udziału, co czynić musiałem z wielką ostrożnością, jako bardzo skłonny do fałszowania z racji braku ucha i zdolności

panowania nad niewyrobionym głosem. Późniejsze demonstracje, szczególniej na prowincji, straciły pierwotny urok. Nierzadko fałszowano, często stawiło się za mało śpiewających, a jeszcze częściej przerywano śpiewami nabożeństwo kościelne w najniewłaściwszej chwili. W każdym razie, nie ulega żadnej wątpliwości, iż okres manifestacyj obudził z uśpienia jednych, wycofał z chylenia się do moralnego upadku drugich, wreszcie zmuszał wszystkich, co imię polskie nosili, do uznania opinji i stosowania się do jej wymagań. Skutkiem takiego wpływu rozwijało się coraz bardziej gorączkowe życie wśród polskiej ludności na Rusi i ludzie najbojaźliwsi musieli stosować się do większości.

Krążyło obok wielu innych anegdot opowiadanie o obywatelu ziemskim w powiecie krzemienieckim, p. Danielu Mężyńskim, znanym z zapobiegliwości w sprawach gromadzenia dóbr ziemskich i wielkiej ostrożności, jakoby i on brał udział w manifestacji w swoim parafjalnym kościele w Szumsku na Wołyniu. Istotnie, znalazł się on niespodzianie w tej świątyni w czasie śpiewów patrjotycznych i stanowiska swego do końca nie opuścił. Otóż żydzi okoliczni wyciągnęli z tej pogłoski morał, że musi to być niezły interes to śpiewanie, skoro pan Mężyński do tego należy. Dziwniejszem się wyda, gdy powiem, iż ten do najwyższej przesady ostrożny człowiek padł ofiarą fałszywej denuncjacji i, acz najniewinniejszy, wywieziony został do Rosji, a piękne swe dobra sprzedać musiał w drodze przymusowej. Ofiar demonstracyj nie brakło. W Żytomierzu duży dom wynajęty mieścił aresztowanych za rozmaite przestępstwa o charakterze politycznym. Więziono tam: Romana hr. Bnińskiego, Dra Łagowskiego, Włodzimierza Kraszewskiego, Marcina Jełowickiego z synem, Feliksa Iwanowskiego, Mazewskich stryja i synowca, Marujewa, Terleckiego, Łąckiego kupca, Okienczyca krawca, wreszcie dymisjonowanego urzędnika Nowickiego i innych, z których większa część już w 1861 roku została uwolnioną. Czterech zaś uczniów gimnazjum żytomierskiego skazano do wojska jako szeregowców, a byli to: Aleksander Kryłowski, Dąbrowski, Polakiewicz i Łopatyński.

Więźniowie, osadzeni w domu wynajętym, byli stosunkowo w dobrych warunkach. Pozwolono odwiedzać ich, przynosić



Fig. 58. W pierwszym rzędzie od góry: 1. Onufry Chojnowski, 2. Wincenty Wasilewski 3. Wład. Winiarski. W drugim rzędzie: 1. Tadeusz Rylski, 2. Włodzimierz Antonowicz.

jadło, dostarczać pościel i bieliznę, nie brakło im więc na koniecznych wygodach. Nadto, nie broniono im fotografować się. Dla rozrywki mieli fortepian, na którym nie tylko grali, ale przy akompanjamencie którego wykonywali nieraz chóralne śpiewy. Pozostałą z tych czasów pamiątką jest mazur, do którego muzykę i słowa ułożył jeden z więźniów, Włodzimierz Kraszewski, i wpisał go do mego albumu w Tambowie, dokąd był później zesłany. Słowa do tego mazura pozwalam tu sobie przytoczyć:

HOC! HOC! W KOZIE!

Hej! bodaj to z kolegami
Brzęknąć sobie szklaneczkami,
Wnet precz, precz troska niknie
I hoc! hoc! każdy krzyknie,
Precz znika wszelki ból,
Hulam sobie, gdyby król!

Jak do strawy trzeba chleba,
Tak do wina śpiewki trzeba.
Z nią wraz precz troska niknie.
Hoc! hoc! hoc! każdy krzyknie,
Z nią znośny wszelki ból —
Z nią ja hulam, gdyby król!

Ptakom skrzydeł, rybie wody,
A piosence trza swobody.
Oj! tak, tak! — gdy ta zniknie,
Już hoc! hoc! nikt nie krzyknie,
Wskroś bodzie srogi ból —
Już nie hulam, gdyby król!...

Nie ten wolny, co nas dusi,
Wolny w kozie siedzieć musi,
Bo tak, tak, ten jest wolny,
Kto hoc! hoc! śpiewać zdolny,
Ten przetrwa każdy ból,
Hula zawsze, bo on król!

Jedni idą gdzieś po mrozie,
My śpiewamy chociaż w kozie,
Bo duch nasz wolny wszędzie,
Hoc! hoc! hoc! śpiewać będzie.
On nie zna, co to ból,
Hula wszędzie, bo on król!

Upaść duchem, zwątpić, wara!
Górą nasi, byle wiara!
Hej! znów szklanki nalej,
I hoc! hoc! śpiewaj dalej,
Śpiew koi wszelki ból,
On prawdziwy wolnych król!

Kajdanami, czy szklankami,
Byle brzęknąć z kolegami!
Bo wnet precz troski nikną,
Gdy hoc! hoc! razem krzykną.
Któż dba o lada ból —
Kiedy w duszy każdy król!...

Kto nas pojął, ten niech z nami
Brzęknie teraz szklaneczkami.
Tak precz, precz, troski znikną,
Hoc! hoc! hoc! wszyscy krzykną.
Nam na nic wszelki ból —
Każdy z nas wolności król!

. . . . . .

W kilka dni po zbroczeniu krwią polską przez wojska rosyjskie bruków warszawskich, w sam dzień zaś uroczystego pogrzebu 5 poległych, t. j. 19 lutego (2 marca) 1861 r. został

podpisany manifest o zniesieniu w całem państwie rosyjskiem poddaństwa. Była to ostatecznie zredagowana ustawa dla całego cesarstwa, z dodatkowemi zmianami dla niektórych gubernij, którą poprzedziły dwuletnie prace w komitetach gubernjalnych. Komitety, po nagromadzeniu materjałów miejscowych i dyskusji nad niemi, przekazywały komisjom redakcyjnym z łona swego wybranym opracowanie projektów, na zasadzie opinji większości, poczem wszystkie te poszczególne projekty po rozpatrzeniu ich w głównym komitecie do spraw włościańskich pod przewodnictwem wielkiego księcia Konstantego, przeinaczone i przystosowane do wymagań petersburskiej biurokracji, wykwitły w wyżej wspomnianym manifeście. Trudno przypuścić, aby podpisanie dokumentu pierwszorzędnej doniosłości, w kilka dni po krwawych zajściach w Warszawie, było dziełem przypadku; powszechnie mniemano, iż chodziło tu o zatarcie przykrych wrażeń, jakie wiadomości z nad Wisły sprawiły w całym ucywilizowanym świecie.

Pozwolę sobie w tem miejscu poświęcić sprawie reformy włościańskiej słów kilka w ogólności, w szczególności zaś określić kierunek i charakter prac komitetu wołyńskiego. Ze wszystkich prowincyj Rosji szlachta Kongresowej Polski i Litwy, niemniej jak Wołynia, Podola i Ukrainy, najlepiej była przygotowana do przeprowadzenia tej wielkiej reformy. Konstytucja 3 maja, jako ostatni testament Polski ćwiartowanej, propaganda Towarzystwa Demokratycznego, zawiązanego w emigracji po 1831 r. i Stowarzyszenia Ludu Polskiego w latach 1837 do 39, całe stosy literatury tej sprawie poświęconej, tak w czasie trwania Wielkiego Sejmu na schyłku XVIII wieku, jako też w latach 1831 do 39; wszystko to razem wzięte, niemniej jak pozostawione przez Stanisława Małachowskiego, Staszica, Brzostowskiego i innych przykłady stopniowego polepszania losu ludu, ich pieczy poruczonego, przygotowało umysły polskie w zaborze rosyjskim do konieczności przeistoczenia ciemnych i w niewoli pozostających włościan na obywateli kraju wolnych, zamożnych i oświeconych!

Nim rząd rosyjski pod naciskiem konieczności państwowo-politycznej pomyślał o tej kwestji, już niejeden właściciel Polak pokutował na wygnaniu za przedwczesne pragnienie polepsze-

nia losu chłopów. Za tę sprawę cierpieli spiskowi pod wodzą Ehrenberga i Wężyka w Koronie, Konarskiego na Litwie i Maszkowskiego na Rusi 1839 r. — i ci mają już swą kartę dziejową. Również karani byli chociaż może mniej srogo tacy, którzy na własną rękę pozwolili sobie wyprzedzić rząd rosyjski i własne społeczeństwo w szlachetnych dążnościach, mających na celu dobrobyt ludzi. Tak naprzykład, Antoni Jeleński na Litwie za podanie na zjeździe szlacheckim projektu zwrócenia się do władzy o zniesienie poddaństwa w 1844 r. oddanym został pod długoletni dozór tajnej policji, jako źle myślący. Bieleckiego i Szumskiego z Białorusi, którzy w swych dobrach chcieli zastąpić czynszami robociznę i zakładali szkółki ludowe, wysłano na wygnanie, zaś Antoniemu Żeligowskiemu (Sowie) i z Klimańskich Chłopickiej za wzmianki w pismach o ciężkiej doli włościan, zaproponowano również chłodzącą podróż w głąb Rosji. Tym usiłowaniom w zaborze rosyjskim towarzyszyły prace na polu polepszenia losu włościan w dwóch innych zaborach między 1836 do 46, które w Galicji dzięki staraniom Metternicha i Szeli, zakończyły się rzezią szlachty. Ofiarą tego bratobójstwa padło wielu z tych, co ten lud gorąco ukochali i dobra jego pragnęli. Rząd rosyjski jeszcze za panowania cesarza Mikołaja I rad był wziąć w swe niepowołane ręce sprawę włościańską i rozpoczął od wprowadzenia 1847 do 49 roku swych inwentarzy. Było to raczej, przy znanej przedajności urzędników rosyjskich, usiłowanie posiania niezgody między dworem i włością, dla lepszego ciemiężenia jednych i drugich.

Ze śmiercią cesarza Mikołaja Rosja została upokorzoną i osłabioną po ukończeniu wojny wschodniej; cały system Mikołajowski, którego gorzkie owoce spożywano, stał się niepopularnym, powiał wiatr lepszy zachodni, zaś wolna prasa rosyjska w Londynie nawoływała doniosłym głosem do reform, ku czemu też skłaniał chętne ucho cesarz Aleksander II. Kwestja włościańska stanęła na pierwszym planie; ponieważ zaś rząd nie mógł rachować na inicjatywę moskiewskiej i petersburskiej szlachty, zwrócił się Nazimow imieniem monarchy do obywateli ziemskich na Litwie i zaproponował im zapoczątkowanie sprawy polepszenia bytu ludu wiejskiego. Skutkiem tego właściciele większej własności gubernji kowieńskiej, wileńskiej i gro-

dzieńskiej podpisali w październiku 1857 r. odnośne podanie do tronu. Za ich przykładem to samo uczyniły w styczniu 1858 r. Wołyń, Podole, Ukraina i Białoruś, a następnie inne gubernje cesarstwa. Polską szlachtę klęła zacofana szlachta środkowej Rosji, zasługi zaś jej sławili w „Kołokole", Hercen i Ogarew. Już w 1858 roku, na mocy reskryptu cesarskiego, zwołano gubernjalne komitety. Każden z nich składał się z przewodniczącego, którym był z urzędu marszałek gubernjalny szlachty, po dwóch członków wybranych przez współobywateli z każdego powiatu, wreszcie dwóch członków z ramienia rządu. Komisję redakcyjną wybierali ze swego grona członkowie; sekretarz, pobierający stałą pensję, załatwiał sprawy kancelaryjne.

Na Wołyniu do składu komitetu weszli: marszałek gub. wołyńskiej Karol Mikulicz, gorący zwolennik uwłaszczenia, jako prezydujący, oraz dwudziestu czterech członków, wybranych przez dwanaście powiatów a mianowicie: 1) z powiatu żytomierskiego: Zygmunt Pruszyński (jeden z uczestników Stowarzyszenia Ludu Polskiego w 1838 i 39 r.) i Józef Wczelkie, obaj stronnicy uwłaszczenia; 2) ze zwiahelskiego (oficjalnie zwanego Nowogród Wołyński): Ludwik Rudnicki i Serafin Nagrodzki, obaj małych zdolności, uporczywi zachowawcy; 3) ze starokonstantynowskiego: Jan Kanty Głębocki i Adolf Borkowski, z nich pierwszy zachowawca, drugi zaś przychylał się zwykle do konserwatywnej większości; 4) z zasławskiego: Aleksander Nartow, postępowy, zwolennik uwłaszczenia, i Mieczysław Grocholski, zachowawca; 5) z ostrogskiego: Ksawery Jodko (zachowawca) i Feliks Lenkiewicz (postępowy); 6) z rówieńskiego: Karol Radziwiłł i Stanisław Chamiec, a wkrótce zastępca tegoż Karol Stecki, wszyscy postępowi, za uwłaszczeniem; 7) z krzemienieckiego: Aleksander Rzyszczewski i Karol Roguski (postępowy za uwłaszczeniem); 8) z dubieńskiego: Romuald Ledóchowski (zachowawca) i Rafał Strojnowski (postępowy); 9) z łuckiego: Erazm Stecki (postępowy za uwłaszczeniem); Narcyz Młodzianowski i jego zastępca Ks. Czetwertyński nie brali czynnego udziału w naradach; 10) z włodzimierskiego: Alojzy Zagorski i Andrzej Brzostowski (przeciwni uwłaszczeniu zachowawcy); 11) z kowelskiego: Adam Przesmycki i Andrzej Brzostowski

(zachowawcy); 12) z owruckiego: Leopold Rudnicki (zachowawca) i Edmund Stecki (postępowy). Delegatami rządowymi byli: a) były gubernjalny marszałek szlachty wołyńskiej Włodzimierz Szwejkowski, b) doktor medycyny i inspektor zarządu lekarskiego w Żytomierzu Kazimierz Choński.

Do komisji redakcyjnej pierwotnie byli wybrani: Zygmunt Pruszyński, Aleksander Rzyszczewski, Edmund Stecki i Kazimierz Choński. Ci wszyscy czterej postępowi, gorący zwolennicy uwłaszczenia, wygotowali projekt, za którym wotowali: Karol Mikulicz, Zygmunt Pruszyński, Józef Wczelkie, Aleksander Rzyszczewski, Karol Roguski, Edmund Stecki, Erazm Stecki, Feliks Lenkiewicz, Aleksander Nartow, Karol Radziwiłł i Rafał Strojnowski. Ponieważ uwłaszczenie, ze względu na wewnętrzne gubernje cesarstwa, nie było naówczas w widokach rządu, przeto obaj przedstawiciele tego projektu nie podpisali, chociaż byli za uwłaszczeniem, a jeden z nich należał do redakcji.

Główne podstawy rzeczonego projektu były następujące: 1) Termin wykupu 10 letni. 2) Instytucja wykupująca ziemię dla włościan pozostawać miała pod sterem i dozorem rządu. 3) Ilość nadającej się ziemi i jej cena, ściśle określona dla każdej miejscowości, z prawem nowej oceny w drodze wyjątku na żądanie stron. 4) Spłat jednorazowy w $^4/_5$ obligacjami, w $^1/_5$ świadectwami.

Gdy projekt 11-stu upadł, skutkiem nieobecności Stanisława Chamca i jego zastępcy Karola Steckiego, tudzież usunięcia się od podpisów przedstawicieli rządu, utworzyła się komisja redakcyjna z łona zachowawczej sztucznej większości, wśród której rej wodził wychowaniec uniwersytetu kijowskiego, Andrzej Brzostowski, składali zaś ją: Adam Przesmycki, Serafin Nagrodzki i Ludwik Rudnicki, to jest przedstawiciele dwóch powiatów, poleskich przeważnie: kowelskiego i zwiahelskiego. Ci projekt uwłaszczenia zastąpili innym, opartym na zasadzie wieczystych czynszów, które mogły się zamienić w robociznę, wedle ścisłej oceny zgóry ustanowionej.

Jak widzimy, nie wiele brakło do ocalenia honoru Wołynia i ze smutkiem przyznać muszę, iż do upadku projektu uwłaszczenia przyczynił się bez wątpienia niemało Andrzej Brzostowski, który miał w uniwersytecie opinję bardzo postępowego

i miłującego gorąco kraj obywatela. Gdy to jego zachowanie się zestawimy z wzorowem postępowaniem względem włościan, mimowoli przyjść musimy do przekonania, że Brzostowski na Wołyniu, niemniej jak Szostakowski na Ukrainie, działali z głębokiego przekonania, sądząc, że uwłaszczenie, połączone z gotującą się odrębną włościańską gminą i komunistycznemi wzajemnemi poręczeniami, [1]) unicestwią na zawsze wpływ dworów na włościan i wydadzą ich na łaskę i niełaskę urzędników i policji moskiewskiej. Oczynszowanie zaś wieczyste na dogodnych warunkach, przez nich proponowane, zachowałoby całkowitą własność ziemską w rękach polskich, nie zrywając stosunków codziennych między wielką i małą własnością.

Jakkolwiek głos, podniesiony za uwłaszczeniem przez jedną a nawet kilka gubernij w głównym komitecie do spraw włościańskich, nie byłby prawdopodobnie uwzględniony, wobec tego, iż znaczna część gubernjalnych komitetów była przeciwną takiemu załatwieniu kwestji, mimo to wszakże byłoby bardzo pożądanem dla honoru domu i dla uspokojenia gorączkowej na rzecz uwłaszczenia ludu agitacji wśród młodzieży uniwersytetu kijowskiego, by przedstawiciele wielkiej własności na Wołyniu i Ukrainie wypowiedzieli się w większości za takiem rozwiązaniem tej kwestji. Niestety, stało się inaczej; poczem część młodzieży, której opinją kierował Antonowicz, potępiła ryczałtowo całą szlachtę, mimo to, iż prawie połowa wybranych przez nią deputowanych na Wołyniu i Ukrainie pragnęła uwłaszczyć, i tylko osamotnione Podole trzymało się uparcie zasady oczynszowania.

W każdym razie, wszystkie rady gubernjalne prowadziły raczej dysputy akademickie, nie mając prawa na jakiekolwiek ostateczne postanowienia w kwestji włościańskiej, która nieodwołalnie miała się decydować w Petersburgu, z udziałem przedstawicieli ze strony szlachty. Gdy wszakże przyszło do ostatecznej decyzji, uwagi ich wcale uwzględnione nie były. W zakończeniu zaś całej sprawy, podpisanym został przez cesarza Aleksandra II w dniu 11 lutego (2 marca) 1861 roku ukaz, o którym zawiadomiono władze i strony zainteresowane.

---

[1]) „Krugowaja poruka", właściwość gmin rosyjskich.

Jeśli skuteczne załatwienie sprawy włościańskiej w dawnych ziemiach polskich pod panowaniem rosyjskiem leżeć musiało na sercu każdemu prawdziwemu patrjocie polskiemu, to rozwiązanie jej pomyślne w prowincjach ruskich i białoruskich, gdzie chodziło o zlikwidowanie przeszłych wobec ludu innej religji i narodowości rachunków, należeć musiało do zadań pierwszorzędnej wartości. Tymczasem, nigdzie wśród tych, co tę doniosłą sprawę rozstrzygać byli powołani, nie wytworzyła się większość, stojąca na wysokości swego społeczno-politycznego zadania w tej tak trudnej kwestji, która skutkiem tego pozostać musiała otwartą tak dobrze w Kongresowej Polsce i Litwie, jak na Rusi i Białorusi, niemniej jak w całem cesarstwie, z czego Rząd Narodowy w polskich prowincjach zaboru rosyjskiego w czasie powstania skorzystał, rzucając za pośrednictwem oddziałów powstańczych w kilkunastu punktach na Rusi Złote Hramoty, które zastąpiły tam manifesty Rządu Narodowego, wydane dla Królestwa i Litwy, uwłaszczające warunkowo włościan. Krok ten zmusił rząd rosyjski do wstąpienia w ślady rządu powstańczego i pójścia jeszcze o krok dalej, a mianowicie uwłaszczenia na podstawach obniżonego przez komisje sprawdzające szacunku ziemi, czego z zamiłowaniem dokonywali wezwani ad hoc na komisarzy włościańskich żądni propagandy socjaliści rosyjscy.

Zapewne, że gdyby to wszystko przewidzieć mogli ówcześni ziemianie, czyniąc w czasie właściwym ofiarę, najskuteczniej by nie dopuścili do powstania, którego jedyna nadzieja oparcia się na ludzie uwłaszczonym w zarodzie zniszczoną by była. To, co się stało mimowolną zasługą najkrańcowiej sobie przeciwnych żywiołów: szlachty, rządu powstańczego, rządu najezdniczego i socjalnego stronnictwa rosyjskiego pod kierunkiem Milutyna, byłoby niepodzielną zasługą, zaszczytem i chlubą ziemian polskich.

Wobec zbliżającego się szybkim krokiem rozwiązania sprawy włościańskiej i zamknięcia taniego kredytu w Banku Państwa, musiała szlachta rozpocząć starania, by wyjednać potrzebny i skuteczny ratunek. Układała więc wspólnemi siłami Wołynia, Podola i Ukrainy projekta Towarzystwa Rolniczego i Kredytowego Ziemskiego na Rusi. Projekta te, acz starannie opracowane i władzom przedstawione, w życie wprowadzone nie były.

Te słów kilka poświęconych najdonioślejszej sprawie, jaka się za mego życia w prowincjach polskich zaboru rosyjskiego rozstrzygała, są bardzo pobieżną wzmianką, sam bowiem w pracach nad tą kwestją nie miałem szczęścia i zaszczytu brać udziału, jako naonczas student uniwersytetu; notuję więc tu to tylko, com o niej od ojca i starszych ode mnie osób ze świata ziemiańskiego słyszał, odsyłając ciekawszych czytelników do Pamiętników Tadeusza Bobrowskiego, w których sprawa ta na Ukrainie jest z drobnemi szczegółami opracowaną i nakreśloną z dość wyczerpującemi szkicami przebiegu jej na Wołyniu i Podolu.

Jednocześnie prawie z ogłoszeniem manifestu o zniesieniu niewolnictwa w państwie rosyjskiem nadeszły niepocieszające wiadomości z Kijowa o zaburzeniach studenckich, usunięciu się Pirogowa ze stanowiska kuratora naukowego okręgu skutkiem dymisji i o wycofaniu się Włodzimierza Antonowicza ze sfery interesów i stosunków polskich.

Co do przebiegu zaburzeń studenckich, rzecz się tak miała. Student Paszkowski (imienia nie pomnę), syn jenerała wojsk rosyjskich, obwinionym został przez kwartalnego o to, iż stojąc jakoby na trotuarze w chwili, gdy on kwartalny ogłaszał ludowi manifest 19 lutego na placu kreszczatickim, nie zdjął czapki. Skutkiem tego oskarżenia i żądania ks. Wasilczykowa jako jenerał gubernatora został Paszkowski w drodze administracyjnej wydalony z uniwersytetu. Gdy wieść o tem rozeszła się między studentami, zwołali oni zebranie do sali zbiorowej, gdzie jeden z Polaków w gorącem przemówieniu zachęcał kolegów do zredagowania i wysłania w tej sprawie protestu na imię jenerał-gubernatora, broniąc uporczywie tego projektu, mimo uczynione wyjaśnienie przez kogoś z Rosjan, że Paszkowski został do uniwersytetu przyjętym. Upór ten motywował mówca koniecznością usunięcia raz na zawsze wtrącania się miejskiej policji do spraw studenckich. Zgiełk i hałas w sali były tak wielkie, iż usłuchawszy rady jednego z uczestników obrad przeniesiono je do auli oznaczonej Nr. 4 i poczęto prowadzić narady nad redakcją protestu; grupa zaś około 60, składająca się ze studentów Rosjan, podążyła szybko na 4 piętro do czytelni studenckiej i tam obradowała nad usunięciem się

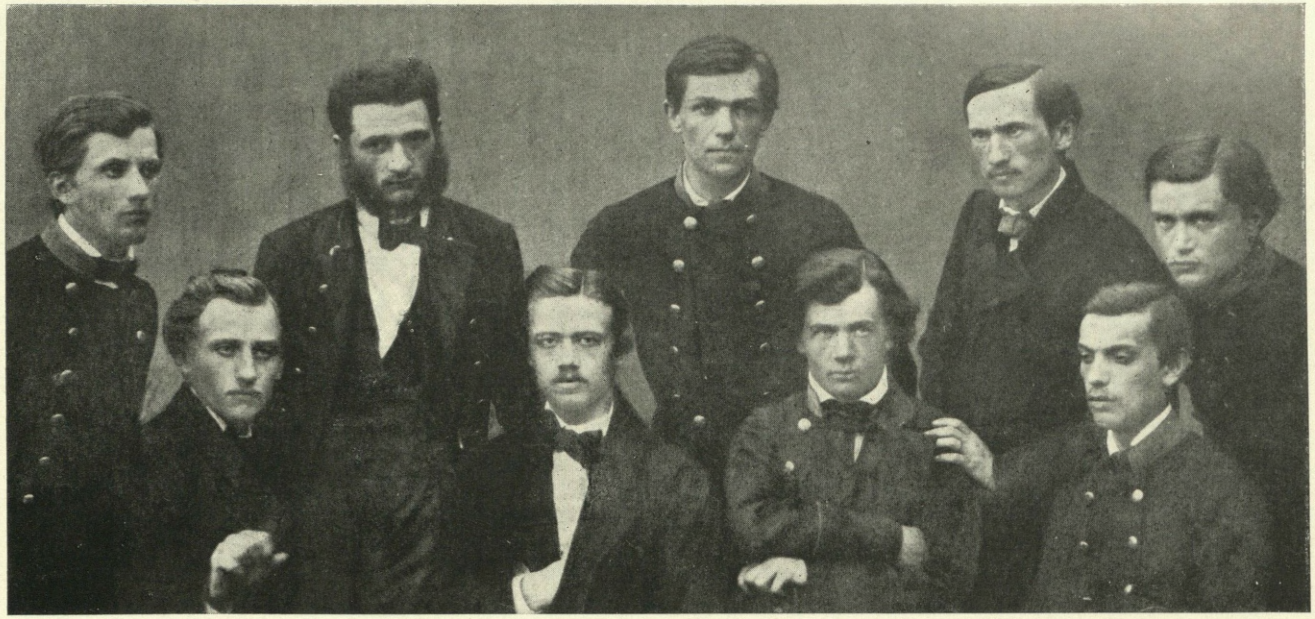


Fig. 59. Cały 4 kurs Polaków wydziału literackiego w r. 1859/60. W pierwszym rzędzie od góry: 1. Władysław Kamieński, 2. Konrad Gąsiorowski, 3. Leon Głowacki, 4. Ludwik Żytyński, 5. Włodzimierz Antonowicz. W drugim rzędzie: 1. Ludwik Lewicki, 2. Stan. Miaskowski, 3. Wład. Kozłowski, 4. Marjan Dubiecki.

od polskiego protestu i podaniem w razie konieczności kontrprotestu. Ale zaledwie zaczęła po obraniu prezydującego Dragomanowa prowadzić debaty, wpadł wysłannik z auli Nr. 4 Rosjanin, zapraszając bodaj na krótko wszystkich, co się odłączyli, by mogli wspólnie odbyć ostateczną naradę; usłuchano, poczem ciągnęły się nadal obrady w auli Nr. 4 w obecności nowo przybyłych. W chwili gdy ci weszli, przemawiał jeden z Polaków, dowodząc logicznie i wyczerpująco, iż w sprawach ogólnie studenckich większość musi decydować, mniejszość zaś poddawać się uchwałom większości; w tym więc wypadku, gdy się znaczna większość protestu domaga, należy go podać bezwarunkowo.

Gdy mówca kończył, wszedł do auli rektor Bunge i trzykrotnie powołał młodzież do opuszczenia sali, a gdy to wezwanie nie odniosło żadnego skutku, zaproponował towarzyszenie mu tym, co chcą propozycję jego spełnić. Poczem około stu Rosjan wraz z rektorem opuściło zgromadzenie, a wkrótce po nich wszyscy inni. Nazajutrz nastąpiły znowu gwarne zebrania. Polacy w sali zbiorowej zajęli się redagowaniem protestu, grupa rosyjska zaś w dalszym ciągu obradowała nad stanowczem uchyleniem się od podpisania tego dokumentu. Aby pewniej osiągnąć pożądany skutek, postanowiła usunąć od obrad Polaków i Rosjan Hercenistów, jako takich, ktorzy protest podpisali, potem zapadło postanowienie znaczną większością wśród pozostałych zupełnego zerwania solidarności z Polakami w tej sprawie. Chcąc wszakże uzyskać dla swego postanowienia silniejsze podstawy, zaprosili na wspólną naradę Hromadę z Antonowiczem na czele. Na tej nocnej konferencji, która odbyła się również w czytelni, i na następnych zdecydowano ostatecznie, aby wszystkie grupy studentów pochodzenia nie polskiego utworzyły federacyjną całość w postaci trzech grup i zaproponowały Polakom uformowanie 2 grup z tem, aby nadal we wspólnych sprawach decydowała większość głosów przez grupy podawanych, a nie większość absolutna pojedyńczych głosujących. Naturalnie, iż tej kombinacji, mającej na celu zmienić polską większość istotną na sztucznie wykrojoną mniejszość, Polacy nie przyjęli. Od tej więc chwili Hromada Antonowicza łączy się stanowczo ze wszystkiem, co nie polskie, a usuwa się od

wszystkiego, co polskie. Pirogow, pragnąc, aby zakład naukowy zaprzestał być widownią swarów politycznych, przesłał odezwę, wzywającą do zaprzestania zbiorowisk. Młodzież, która bez różnicy wyznań i narodowości ceniła go wysoko, usłuchała. Protest polski wysłany został do jenerał-gubernatora jako też pokorna prośba rosyjska w tejże sprawie.

Jednocześnie studenci nie Polacy postanowili podać do kuratora drugie podanie o zwrócenie się do władzy celem wyjednania otwarcia uniwersytetu w Warszawie dla usunięcia z Kijowa nadmiaru żywiołów polskich; prośba ta wszakże przygotowana do odesłania pozostała bez skutku. Nim bowiem doręczoną została, nadeszła najniespodzianiej dymisja dla Pirogowa, który opuścił swe stanowisko i Kijów w Palmową Niedzielę (st. st.), udając się do swego majątku Wiszni na Podolu. Trudno opisać żal, jaki mu towarzyszył, i oznaki najwyższego uznania ze strony całego społeczeństwa i uczącej się młodzieży. Usunięcie tego wyjątkowej wartości człowieka, który o całe stulecie wyprzedził swój naród, będąc zarazem wielkim uczonym, znakomitym pedagogiem i mężem stanu, odbić się musiało bardzo niekorzystnie w dalszym rozwoju wypadków. Zabrakło człowieka, któryby z młodzieżą potrafił mówić otwarcie i któremu by młodzież bez zastrzeżeń ufała.

Następcą jego został bardzo pospolity urzędnik, baron Nicolai. Na krótko przed odjazdem Pirogowa nadeszła odpowiedź na prośbę studentów Rosjan w sprawie wydalenia Paszkowskiego, w której ks. Wasilczykow zapewniał, iż nadal nie powtórzy się nigdy to, co się w tym wypadku stało, to jest, iż studenta usunięto z uniwersytetu bez udziału jego władzy. W końcu odpowiedzi dodano, iż chociaż ton szorstki w proteście podanym przez Polaków z powodu tejże sprawy jako niewłaściwy nie zasługiwałby na odpowiedź ze strony władzy, tłumacząc wszakże podrażnienie młodzieży polskiej doniosłością wypadków warszawskich, jenerał gubernator uprasza zwierzchność uniwersytecką, aby o treści odpowiedzi, udzielonej na prośbę Rosjan, zawiadomiła również Polaków.

Szczegóły zachowania się Antonowicza w czasie zaburzeń marcowych i ostateczne zlanie się Hromady z młodzieżą uniwersytecką niepolską czyniły jego apostazję nie ulegającą już

żadnej wątpliwości, nawet dla najbardziej zaślepionych jego zwolenników. W uprzednim rozdziale nadmieniłem, iż najzdolniejsi, najszlachetniejsi i najmłodsi ze współczesnych mi kolegów, którzy wstąpili do uniwersytetu w latach 1857 do 59, znaleźli się pod niepodzielnym i wszechwładnym wpływem Antonowicza, znacznie od nich starszego kolegi. Zaznaczyłem tam również, iż wpływ ten wobec kilku starć dotyczących kwestyj zasadniczych, acz drobnych, zmniejszać się zaczął stopniowo. Pierwsze z tych nieporozumień miało miejsce w redakcji czasopisma studenckiego „Publicysty", w którem Antonowicz, będąc jednym z członków wydawnictwa, pragnął przywłaszczyć sobie stanowisko cenzora. Te spory o zasady, mające zrazu charakter dysput teoretycznych, tak się w dalszym ciągu zaostrzyły, że Antonowicz, nie mogąc zatamować swobody słowa w redakcji gazetki, jak nie mniej znosić cierpliwie objawów budzącej się samodzielności wśród bezwarunkowo mu dawniej posłusznych młodszych kolegów, usunął się wraz z Tadeuszem Rylskim z redakcji, poczem ostatni założył nowe pismo pod nazwą „Plebeusz".

Ten wszakże rozłam w zakresie piśmienniczym, którego ostatni akt miał miejsce w jesieni 1859 r., nie zerwał stosunków z gminą ukraińską, do której Antonowicz wraz z Rylskim w dalszym ciągu należeli, tak iż jeszcze na naradzie u marszałka Gromnickiego w czasie wyborów majowych w 1860 r. w Kijowie widzimy Antonowicza jako przedstawiciela młodzieży uniwersyteckiej, wypowiadającego ostrożnie wyznanie jej wiary politycznej. W zimie tegoż roku udaje się on w charakterze Polaka do Petersburga i Moskwy, gdzie się porozumiewa z Ohryzką i Hieronimem Kieniewiczem. Ale już na początku 1861 r. przekonawszy się, że stopniowo z dniem każdym traci swą popularność wśród dawnych swych bezkrytycznych wielbicieli, że ten i ów z pomiędzy nich odważa się nietylko mieć, ale i wypowiadać częstokroć swoje zdanie, że prawie wszyscy zaznaczają przy każdej sposobności przywiązanie swe do kultury polskiej, przyszedł do logicznego wniosku, iż z tej mąki nie będzie miał pożądanego pieczywa, i zdecydował się rozpocząć wszystko na nowo, to jest stworzyć „hromadę", gdzie znowu zostanie bożyszczem, ale i tą razą wśród takich, co innych bo-

gów nad niego mieć nie będą. Byli to bowiem oddani mu zupełnie i wierzący bezwzględnie w jego przekonania jak Tadeusz Rylki i kilku mniej wybitnych z dawnych jego wyznawców; nadal zaś Hromada rekrutowała swych zwolenników wśród małorosyjskiej młodzieży. Jednocześnie prawie wysyła Antonowicz artykuł do redakcji „Osnowy", w którym potępia stanowczo wszelką polską agitację polityczną na Rusi, wreszcie w marcu tegoż 1861 roku wraz z nowo utworzonem stronnictwem usuwa się stanowczo od wszelkich stosunków i łączności z organizacją uniwersytecką polską i zajmuje wrogie wobec niej stanowisko.

Od nikogo z osób bliższych Antonowiczowi nie zdołałem zebrać więcej szczegółów z ustalonemi datami co do stopniowego rozwijania się różnic w zapatrywaniach na sprawy publiczne bieżące między mistrzem i jego wyznawcami. Wiem tylko o dwóch ważnych momentach w tej sprawie, które prawdopodobnie miały miejsce w końcu 1860 lub początku 1861 r. Pierwszym z nich był spór między Antonowiczem i jego polskiem otoczeniem o wybór i ustalenie alfabetu dla Rusinów. Domagał się on utworzenia odrębnego, czysto rusińskiego typu, przyjaciele zaś jego zalecali polsko-łaciński i w rezultacie wszyscy pozostali przy swojem. Drugim momentem, nie mniej ważnym, stała się kwestja adresu, zaprojektowanego w gronie polskiem, a mającego się podać na imię cesarza w sprawie wykładowego języka w uniwersytecie kijowskim, a przebieg jej był następujący: młodzież polska, opierając się na tem, że wszechnica kijowska była przeniesiona z Wilna, oraz że nie było odrębnego ukazu co do zmiany wykładowego języka polskiego na rosyjski, uważała za słuszne zrobić podanie do tronu o przywrócenie dawnego języka wykładowego.

Dowiedziawszy się o tem Antonowicz, przedstawił potrzebę wspólnego adresu, w którymby wyłożone były powody konieczności ustanowienia w Kijowie katedry języka i literatury polskiej i rusińskiej. Polacy, mając już zezwolenie na taką katedrę, dotąd tylko w czyn nie wprowadzoną, uważać to musieli za żart niewczesny ze strony projektodawcy, co mu też niedwuznacznie wypowiedzieli. Antonowicz zkolei zagroził kontradresem, poczem cały projekt upadł niepowrotnie. Natomiast wysłani zostali do Warszawy studenci: Tomasz Burzyński, Konrad

Paszkowski i Gustaw Wasilewski, którzy wspólnie z przybyłymi delegatami innych uniwersytetów rosyjskich wystąpili z adresem do Towarzystwa Rolniczego, polecając jego pieczy sprawę wyższych zakładów naukowych, w których się kształcą Polacy, co do utworzenia w nich katedr dziejów literatury i języka polskiego. Delegaci zostali przyjęci serdecznie, ale pojedynczo i prywatnie, przez kilku członków Towarzystwa Rolniczego. Zapewniono ich, iż w adresie tym, który miał się wkrótce podać, nie zapomną o sprawach uczącej się młodzieży. Policja zaś wszystkich deputowanych wyprawiła kosztem rządu i z wielką uprzejmością do miejsc zamieszkania, dopilnowawszy ich wyjazdu w przeddzień krwawych zajść lutowych. Sprawa więc cała, przez młodzież podjęta, co do skutków upaść musiała, adres bowiem wobec ostatnich wypadków zmieniono na protest przeciwko istniejącemu porządkowi rzeczy, a więc miejsca na szczegóły w nim nie było[1]).

Gdy wielbiciele Antonowicza upewnili się o jego stanowczem zerwaniu ze wszystkiem, co polskie, niepoprawni w swojem dla niego zaufaniu i optymistycznem ocenianiu wartości tego człowieka, zwrócili się doń z prośbą o wyjaśnienie przyczyn, dla których ich opuścił. Otóż wedle słów jednego z tych, co odpowiedzi tej wysłuchali, miała ona brzmieć, jeśli nie dosłownie, to co do jej treści, jak następuje:

„Nie myślcie — mówił — żeby mi lekko przyszło zrywać stosunki, z któremi się zżyłem, w które włożyłem tyle lat życia, tyle pracy i uczucia szczerego. Miałem najbliższe, najściślejsze stosunki z dwoma pokoleniami moich kolegów i z pomiędzy nich z wieloma złączony byłem serdeczną nicią prawdziwej przyjaźni i sympatji. Równie też od dzieciństwa kochałem Polskę i, jak widzieliście, szczerze byłem oddany na jej usługi. Razem z wami uczyliśmy się z myślą o niej, zawsze z nadzieją, że skrzętną pracą i myślą rozumną zdołamy ją podźwignąć z niedoli i odbudować na nowych podstawach. Wspólnie z wami przyszliśmy do przekonania, że byłoby to możliwem z ludem

[1]) Całe to przejście z drobiazgowemi i wyczerpującemi objaśnieniami znajduje się w pierwszej części Tomu IV „Wydawnictwa materjałów do historji powstania styczniowego" pod tytułem: „Wspomnienia z czasów młodości", które skreślił jeden z uczestników deputacji, T. O. (Tomasz Burzyński).

i przez lud. Tu na kresach bardziej to skomplikowana sprawa niż w Królestwie naprzykład albo w Poznańskiem, gdyż historja pozostawiła tu po sobie niesmaczne tradycje polskiej gospodarki. Marzyliśmy wspólnie z wami, że społeczeństwo polskie zrozumie własny interes i szczerze zechce wejść na drogę uczciwych swych obowiązków względem tutejszego ludu. Razem z wami przekonałem się, że społeczeństwo to głuche i ślepe, że ugrzęzło w sobkowstwie, że to wreszcie kasta, nie rozumne i uczciwe społeczeństwo. Wy mnie upewniacie, że to się zmieni, że wy innymi będziecie. Wierzę, że dziś mówicie szczerze, ale wiem, że jutro, gdy wejdziecie w życie, wasze interesa, wasze upodobania w polskości wezmą górę. Nie ulega wątpliwości, że będziecie i rozumniejsi i uczciwsi od waszych ojców, ale natura wilka ciągnie do lasu, a Polak w was musi się ocknąć wcześniej albo później i zechcecie grzecznie, uprzejmie i miękko polonizować ten lud biedny. Przekonałem się o tem z doświadczenia. Wszyscy starsi od was koledzy, dopóki byli w uniwersytecie, mało co różnili się od was. Spójrzcie dziś na nich: uczciwi, dobrzy, liberalni, nawet demokratyzują, ale każdy, szelma polonizator! Więcej niż was, kocham ideał i prawdę. Przeświadczyłem się, że z tej mąki nie upiekę chleba. Żal mi was i lat moich straconych na szczerą, chociaż niewdzięczną robotę, ale rąk nie składam i dalej wytrwale, a w nowem już i odpowiedniejszem otoczeniu pracować będę nad tem, co ukochałem i co dla mnie jest najwyższym i najpiękniejszym ideałem. To nic, że plonów zbierać nie będę. Pszczółka równie też nie dla siebie zbiera miody".

. . . . . .

By stworzyć dokładne pojęcie o całem konsekwentnem zachowaniu się tego odstępcy, pozwalam sobie wyprzedzając wypadki powtórzyć tu również w cudzysłowie sprawozdanie tegoż kolegi Antonowicza i Rylskiego, po widzeniu się i rozmowie, jaką miał z nimi w przeddzień kwietniowego wybuchu powstania na Rusi. Oto dosłowna jego opowieść:

— „Już nawet po naszem ostatecznem zerwaniu z Antonowiczem i jego sobowtórem, a moim bardzo bliskim i wielce

kochanym Tadeuszem Rylskim, nigdy nie mogłem pogodzić się z tą ciężką utratą i nie marzyć o jej odzyskaniu. Taka apostazja nie mogła pomieścić się w mojej biednej głowie i jako wieczny optymista wciąż się łudziłem nadzieją, że to tylko czasowe nieporozumienie, że te dwie w całem znaczeniu wyrazu potężne i, zdawało mi się, głęboko uczciwe siły powrócą do nas, jako rdzennie nasze. Już wtenczas nie byłem w Kijowie, a było to na parę dni przed pamiętnym 26 kwietnia 1863 r. Rozwodzić się nad stanem psychologicznym każdego z nas uważam za nieodpowiedne w tem miejscu. Muszę jednak zaznaczyć, że był to stan dziwnie podniosły i uroczysty, tem bardziej, że byłem już wtedy w wieku dojrzałym i że mieszkając na wsi, a bliżej znając ówczesne usposobienie ludu, ani przez chwilę nie łudziłem się nadzieją zwycięstwa. Z głęboką jednak rezygnacją gotowałem się do spełnienia tego, co uważałem za święty obowiązek i za konieczność dla wytworzenia nowej bohaterskiej tradycji. Głęboko byłem przeświadczony, że nie wyjdę cało z tej okazji. W takiej więc chwili, przybywszy z jakiemś zleceniem do Kijowa, nie chciałem zeń wyjechać, nie widząc się z Antonowiczem i Rylskim. Na krótko przed wyjazdem zabiegłem do nich. Mieszkało ich kilku, tworząc jakąś gromadę czy komunę rusińską. Tylko ich dwóch znałem. Przyjęli mię wprawdzie sarkastycznie, ale po koleżeńsku. Dopóki byli obcy, mówiliśmy o rzeczach powszednich. Wkrótce jednak, może przez delikatność, może po jakimś tajemniczym znaku, zostaliśmy we trzech".

„Natychmiast skorzystałem z tego i odezwałem się w te słowa: „Nie chciałem wyjechać z Kijowa bez pożegnania was obu. Nie wiem dobrze, jak obecnie myślicie i co zamierzacie robić. Przypuszczam jednak, że nie możecie być na tyle ślepi, żeby nie wiedzieć, ku czemu idziemy. Ponieważ długo dzwoniliście na to samo kazanie, chcę was zapytać, co o tem myślicie i jak się zachowacie? Pytam o to całkiem prywatnie i po przyjacielsku. Zanadto dobrze i długo znaliśmy się, abym mógł się w tym razie zawahać". Odrazu usposobienie ich obu zmieniło się. Spojrzeli po sobie i Antonowicz odpowiedział mi mniej więcej w następujący sposób:

„Koledze i przyjacielowi nie mogę na tak ważne pyta-

nie odpowiedzieć wymijająco albo półsłówkiem. Powiem więc wszystko, co o tem myślę, a na wszelki wypadek zanotuj to sobie w pamięci. Otóż, ponieważ my z ludem, a lud przeciwko wam, my z wami być nie możemy. Przedsięwzięcie wasze musi mieć fatalny dla was koniec. Najlepsi z pomiędzy was wyginą. Inni usunięci zostaną na daleki Wschód, jeszcze inni sami się usuną na Zachód. Zostanie śmiecie, które już nam nie zdoła stawić czoła. Tak więc sprawa nasza na tem może tylko wygrać, gdyż z dwóch wrogów naszych silniejszy zostanie zniszczonym, a z pozostałymi łatwiej już nam będzie dać sobie radę".

Gdy odczytamy uważnie dwie przytoczone przed chwilą odpowiedzi Antonowicza na zadane mu przez jego dawnych wyznawców pytania: w r. 1861, dlaczego ich opuścił, zaś w 1863, co myśli czynić wobec oczekiwanego wybuchu powstania, którego był głównym organizatorem, jako jeden z założycieli związku, zwanego pod nazwą „Trójnickiego", widzimy jak na dłoni, iż cynizm w obu tych odpowiedziach i sens moralny w końcu ostatniej wypowiedziany przechodzą najskrajniejsze granice czelności! Co do pierwszej, jest ona raczej potępieniem siebie aniżeli obroną, po długim bowiem, patetycznym, ale nikogo nie przekonywującym wstępie, ciska on swym kolegom obelgę, nazywając „szelmami" tych wszystkich z pomiędzy nich, którzy mają w przyszłości, powróciwszy do otoczenia polsko-szlacheckiego, gdy się w nich Polak ocknie (!), polonizować nieszczęśliwych Rusinów! Sobie zaś tego epitetu szczędzi, ma to raczej za zasługę, że gorliwie w ciągu lat całych młodzież polską rusinizował, której właśnie ma to za grzech największy, że się doszczętnie nie zruszczyła aż do zupełnego zapoznania pochodzenia polskiego. W drugiej odpowiedzi twierdzi wyraźnie ten zadowolony z siebie odstępca, iż ponieważ ruch polski (o którym dobrze wiedział, jak dalece jest dla Rusinów przychylnym) nie posiada uznania ludu, on więc, mając się za jego przedstawiciela, wraz z całą hromadą udziału w nim wziąć nie może, nie chce i nie weźmie; spodziewa się zaś przez osłabienie elementu polskiego na Rusi odnieść znakomite korzyści i uzyskać od rządu rosyjskiego to, czego pragnie dla narodowości rusińskiej. Trzeźwy ten człowiek, nawarzywszy piwa,

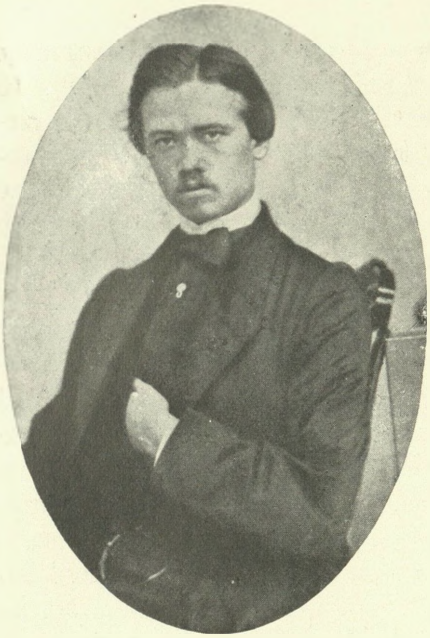


Fig. 60. Stanisław Miaskowski.



Fig. 61. Zesłani w sołdaty za udział w demonstracjach uczniowie gimnazjum żytomierskiego: Łopatyński, Krawczenko, Polakiewicz i Aleksander Kryłowski.

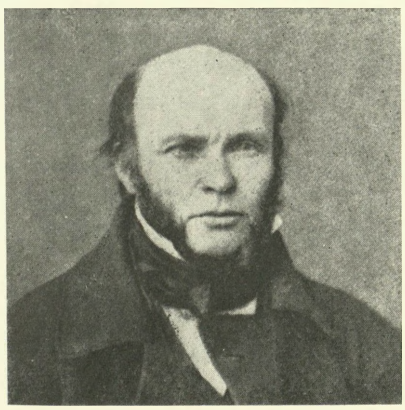


Fig. 62. Mikołaj Pirogow, kurator uniw. kijowskiego.

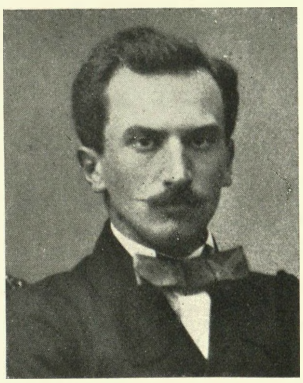


Fig. 63. Włodzimierz Milowicz w r. 1859.

potrafił w chwili dogodnej wycofać się z otoczenia polskiego dla zabezpieczenia swej idei i swej osoby od pogromu, którego doniosłość dla żywiołów polskich na Rusi dobrze naprzód ocenił. Co do mnie osobiście, trudno mógłbym w języku naszym odszukać wyrazów, któreby dość dosadnie napiętnować zdołały ohydę czynów tego intryganta, obleczonego w szatę demokratycznej prostoty i koleżeńskiej popularności w stosunkach z tą idealną, patrjotyczną i najofiarniejszą z ofiarnych młodzieżą. Młodzież ta w czystości swych uczuć zaufała mu bez miary i granic, skutkiem czego ocknąć się mogła na bezdrożach, z których już niemasz zaszczytnego wyjścia. W całym szeregu podjętych przez Antonowicza usiłowań przewodnią myślą jego była dążność do wyrobienia w swych młodych wyznawcach pogardy dla przeszłości dziejów polskich i dla tego stanu szlacheckiego, który w rozwoju tych dziejów poważny brał udział, a więc i ostatnich tejże szlachty pokoleń, to jest swych ojców.

Jako zrusinizowany Polak potrafił on umiejętniej od prostaków Rusinów przygrywać na ulubionych dwóch strunach: nienawiści i zawiści stanowej, skierowanej ku panom, a więc ku Polakom, i sądził, że dostatecznie rozwinął w swoich polskich towarzyszach zdolność zapatrywania się stronnego i namiętnego na dzieje polsko-rusińskie na Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Te niekulturalne i nie budujące przyszłości narodów nawpół dzikie instynkta udało mu się wpoić z zupełnym skutkiem jednemu z bardzo inteligentnych swych wielbicieli, Tadeuszowi Rylskiemu, i paru innym mniej wybitnym; tych też zgubił niepowrotnie. Większość zaś znaczna, gdy ich w chwili największego rozognienia i roznamiętnienia opuszczał, nie zdawała sobie dokładnej sprawy z tego, co dalej z sobą czynić wypadało! Niektórzy z tych zbłąkanych, aczkolwiek dziś mają to sobie do wyrzucenia, przyznają, że gdy zostali pozostawieni własnym siłom, mieli chwilę wątpliwości, czy nie wypada im podążyć za mistrzem, z którym się zrośli w ciągu lat! Ku wielkiej radości społeczeństwa polskiego i na szczęście tych chwilowo obałamuconych młodych ludzi zostali oni ocaleni dla kraju, dzięki obudzeniu się w nich poczucia odrębności narodowej polskiej. Opuszczając Antonowicza, dawni jego zwolennicy nie

pozbyli się jednocześnie zaszczepionych im pojęć krańcowych, potępili więc w dalszym ciągu ryczałtowo całe starsze szlacheckie pokolenie i postanowili bezprzykładną krwawą ofiarą odkupić grzechy tych potępionych przez siebie przodków. Ujrzymy więc w przyszłym rozdziale cały ich zastęp, uszykowany przy sztandarze Złotych Hramot, po doręczeniu których w wielu miejscach akt ten swą krwią męczeńską obleli, błogosławiąc rękę, która ich katowała!

Jakże wobec tego zachował się niecny Antonowicz? Konsekwentnie i logicznie. Przypatrywał się najspokojniej strasznym orgjom rozpasanego i rozpojonego przez Moskali ludu ukraińskiego, który siekierami, kłonicami i dłutami mordował apostołów i wyznawców jego ludowej idei, dlatego tylko, że idea ta rozwijała się na gruncie polskim. Nie drgnęło w nim sumienie i wtedy nawet, gdy ta najszlachetniejsza młodzież po ogłoszeniu swych Złotych Hramot, ginąc pod ciosami umiłowanego przez siebie ludu ukraińskiego, błogosławiła jego przyszłości, pewna, iż te dokumenta przez nich ludowi wręczone i krwią ich oblane zapewnią Polsce przymierze i przyjaźń Rusinów.

Jakkolwiek niepodobna się łudzić, aby męczeństwo tych młodzianków polskich przynieść mogło jakiekolwiek praktyczne korzyści sprawie narodowej, nie mamy wszakże prawa nie tylko potępić tego z szałem graniczącego zapału, ale nadto należy go uznać za płynący z najszlachetniejszych pobudek, wykonany w najlepszej wierze, z gotowością do nadludzkich ofiar w obronie ukochanej idei! Od Rusinów, jeśli zdołają w dalekiej przyszłości podnieść się z bagna, w którem się tarzają, oczekiwać należy złożenia na grobach tych bojowników idei rusińskiej palmowych wieńców i ocenienia szczytnej ofiary, niesionej z głęboką miłością przez kwiat młodzieży polskiej na rzecz ukochanego przez nią ludu ukraińskiego, tem więcej, gdy męczennicy ci dali budujący przykład Rusinom z krwi i kości, jak się należy poświęcać dla idei.

Polacy, patrzący na rozwój dziejów z punktu widzenia interesów własnej narodowości, mogą tylko ubolewać nad poniesioną wielką stratą najlepszych swego społeczeństwa młodych obywateli, pomordowanych bezowocnie, zwichniętych chwi-

lowo lub niepowrotnie, zrzucając całą odpowiedzialność za tę drogą krew, przelaną niewinnie, na głowę tego zdrajcy, który był pośrednio sprawcą moralnym tych ofiar.

Przypatrując się zaś usposobieniu dla nas Rusinów w tej chwili, przekonywamy się, że krew naszych młodych rodaków wylaną została na marne, nie zyskując nawet u nich uznania. Zawiść i nienawiść do nas w niczem się wśród nich nie zmniejszyła. Bolejąc nad tem, co się w oczach naszych na Rusi dokonywa, dziwić się wszakże temu nie powinniśmy; ruchy te bowiem pół dzikie, hajdamackie, są dalszym tylko ciągiem dziejów tego ludu, a odpowiedź na to, dlaczego inaczej długo być nie może, dał już nam przed przeszło pół wiekiem ś. p. Konstanty Świdziński. Gdy bowiem w latach czterdziestych w gościnnych jego salonach rozpoczęła się zapamiętała dysputa między nim i jego rusińskimi gośćmi, Kostomarowem i Kuliszem, i gdy ci uporczywie twierdzili, nie dając dostatecznych dowodów, iż szlachta polska dźwiga na sobie całą winę przejścia kozaków pod rozkazy cesarstwa rosyjskiego, odrzekł im zniecierpliwiony Świdziński: — „Chłopi jesteście i dlatego pojąć mię nie możecie". A gdy się panowie ci obrazili, zaczął im spokojnie tłumaczyć, że obrazić ich nie miał wcale zamiaru, pragnął tylko w jednym wyrazie zamknąć orzeczenie stopnia ich kultury, oświaty i pojęć politycznych, a rozwijając myśl swą dodał: „Grać umiecie na dwóch tylko strunach, zawiści i nienawiści stanowej, a nie dorośliście jeszcze do żadnych ideałów państwowych. Na to, by zrozumieć, że tylko w zgodzie i wspólnie z nami coś możecie zdziałać i zdobyć jakieś znaczenie, trzeba być obywatelami kraju, a wy, mimo wasze uniwersyteckie wykształcenie, tego stanowiska nie zajęliście dotąd. Zamiast szukać drogi do zgody, szukacie powodów do kłótni i szczepicie nienawiść, która nic nie buduje".

Te słowa, wybornie określające istotę dążności przedstawicieli sprawy rusińskiej, dałyby się zastosować i w chwili obecnej, tak dobrze do Rusinów galicyjskich, jak i do ukraińskich. Gdyby Antonowicz posiadał odrobinę bezstronności, zrozumieć by musiał, dokąd zabrnął i szukałby drogi zaszczytnej wyjścia z tego labiryntu, jak to w swoim czasie uczynił Dragomanow i Kulisz, ale na to trzeba wielkiej miłości prawdy,

gotowości do ofiar materjalnych, wypływających z wyższej skali uczuć, obcych człowiekowi, co mógł się dopuścić zdrady ojczyzny. To też, sądząc z załączającego się w przypisach i dodatkach do niniejszego rozdziału, listu Antonowicza do Antoniego Mioduszewskiego, w którym nie tylko nie zdaje się poczuwać do swego wielkiego przeniewierstwa, ale nadto oświadcza, iż gdyby drugi raz żył, inaczej by nie postąpił, nie możemy mieć najmniejszej nadziei wycofania się jego z wrogiego nam obozu.

Takie moralne upadki wytwarzają rządy, co za zrzeczenie się przekonań płacą orderami, rangami, posadami, stanowiskami itp., a więc przeważnie rządy rosyjski i pruski. Ulegający tym doczesnym pokusom, łudzą siebie, a przynajmniej starają się łudzić innych, że pracują dla jakiejś zapoznanej idei, gdy tymczasem stają się ślepem narzędziem interesów państwa, siląc się na równi z najujemniejszemi czynnikami: w Prusach nad germanizacją, w Rosji zaś nad rusyfikacją i niwelacją wszystkiego, co wyższe i lepsze na kresach zachodnich, przyłączonych do państwa rosyjskiego. Jako przykład zachowania się wysoce patrjotycznego wobec najprzykrzejszych okoliczności przytoczyć tu muszę głośne swego czasu na Wołyniu przemówienie wielkiego obywatela kraju, Tadeusza Czackiego. Gdy go w początku XIX stulecia smutnej pamięci gubernjalny marszałek wołyński Alojzy Gostyński oskarżył przed władzami rosyjskiemi o nadużycie grosza i zaufania publicznego, Czacki zaś wyznaczoną ad hoc komisję przez cesarza Aleksandra I przekonał drobiazgowemi rachunkami o swej niewinności i został przez nią uznanym za ofiarę oszczerstwa, tudzież kategorycznie uniewinnionym, znalazłszy się po raz pierwszy po tem smutnem przejściu w liczniejszym gronie ziemian wołyńskich, wypowiedział te pamiętne słowa:

„Pracowałem usilnie w ciągu całego życia nad szerzeniem oświaty wśród młodego pokolenia; dziś widzę, żem za mało na tej niwie pracował i winienem podwoić moje usiłowania, by nigdy nikogo z mych ziomków nie spotkała tak ciężka i niezasłużona krzywda jak mnie od ludzi, co zgrzeszyli nie tyle złą wolą, ile brakiem moralnego i umysłowego wykształcenia".

Oto, jak płacą za niezasłużone obelgi i oszczerstwa mi-

łujący kraj nadewszystko obywatele. Nie skorzystał z przykładu tak wzniosłego Antonowicz, uważając osobiste przykrości, które go na wstępie do zawodu publicznego spotkały, za zupełnie dostateczny powód do zerwania ze swem społeczeństwem i oddania się zrazu społeczeństwu rusińskiemu, a następnie państwu rosyjskiemu na usługi.

Nie uważałbym za potrzebne wracać do tej dawno już przez opinję publiczną polską potępionej osobistości, gdyby nie ta okoliczność, że po dziś dzień jeszcze, mimo wszystko, co zaszło, a co powinno istotę faktów wyjaśnić wszechstronnie, napotyka się pomiędzy dawnymi wielbicielami Antonowicza a najzacniejszymi skąd inąd ludźmi i patrjotami polskimi takich, którzy nie mogą się zdobyć na ryczałtowe i bezwarunkowe potępienie jego czynów. Obrońcy względni tej apostazji tłumaczą ją nie dającem się opanować rozdrażnieniem, jakie wywołanem być miało w Antonowiczu skutkiem, jak twierdził, zapoznania go przez szlachtę polską na Rusi, okazywania mu nieufności, potępienia jego postępowania, a nawet denuncjowania go jakoby do władz, co razem wzięte miało go skłonić do całego szeregu dokonanych zkolei czynów, a mianowicie: zerwania z polską sprawą, utworzenia hromady rusińskiej, przejścia na prawosławie, objęcia stanowiska profesora historji rosyjskiej w uniwersytecie kijowskim, ożenienia się z córką kapłana wyznania państwowego, wreszcie zaprzężenia się do fałszowania, przeistaczania i przedstawiania w świetle nieprawdziwem materjałów dziejowych polsko-rusińskich, ku wielkiemu zadowoleniu chlebodawczego rządu rosyjskiego!

Cała ta obrona jest najzupełniej pozbawiona wszelkich podstaw. Nie mówiąc bowiem o tem, jak w takich wypadkach postępują ludzie tej miary co Tadeusz Czacki, przyznać musimy, iż niejeden z najzwyczajniejszych śmiertelników, będąc tylko dobrym Polakiem, potrafiłby, napotkawszy na drodze do uszczęśliwienia ludu nieprzezwyciężone przeszkody, zrozumieć, iż rozwiązywanie wszelkich kwestyj politycznych, społecznych i dziejowych wymaga dłuższego czasu i wykształcenia we właściwym kierunku całych pokoleń, tudzież uznać za konieczne, powołując stan szlachecki do wielkich na rzecz ludu ofiar, zapewnienia mu szczerych przyjaciół i sprzymierzeńców w osobie

obdarowanych. Tak rozumując, zdziaławszy tyle, ile na obranem polu jedno pokolenie dokonać jest zdolne, przekazałby dalszą pracę następnym. Zaprawdę! Smutne by były losy każdej przewodniej w życiu ludzkiem idei, gdyby jej zwolenników mogły tak łatwo zrażać osobiste przykrości, a nawet krzywdy. Tylko ludzie, pozornie wyznający swą religję i nie należący całą duszą do swej narodowości, mogą je z lekkiem sercem opuszczać, przenosząc się dla byle marnych powodów do obcego i wrogiego swej pierwotnej ojczyźnie obozu. To też, gdyby Antonowicz był kiedykolwiek miłującym swój kraj, rodaków i wiarę obywatelem, starałby się wytrwałością i jasnem postępowaniem przełamać zapory i uprzedzenia, napotkane na drodze do upragnionego celu, a przytem jako Polak pracowałby w pierwszym rzędzie dla dobra ludu polskiego, nie zaniedbując pobratymczych, litewskiego i rusińskiego.

Z tego, com tu powiedział, jako też z całego szeregu przytoczonych w tej sprawie w różnych miejscach niniejszego pamiętnika faktów, widocznem jest, iż Antonowicz, jakkolwiek urodzony z rodziców Polaków katolików i ochrzczony jako taki, nie był nigdy z przekonań ani Polakiem ani katolikiem. Wychowany przez Węgra, urodzonego z Rusinki, Dzidaja, w którego pensjonacie i pod którego kierunkiem przez cały ciąg lat szkolnych w Odessie przebywał, wyniósł z tego długoletniego obcowania, jak sam twierdził, głęboko demokratyczne zasady, a jak z czynności jego późniejszych widzimy, przywiązanie do narodowości matki swego mentora, to jest do Rusinów, daleko większe aniżeli do narodowości swych prawowitych przodków, to jest Polaków i Polski, co naturalnie odzwierciedlić się musiało, jak to już widzieliśmy, w całym jego stosunku do młodzieży polskiej. Apostazja Antonowicza była więc prostem przejściem od ukrytej do jawnej. Był to Rusin, mówiący tylko po polsku i korzystający z tego środka dla skuteczniejszego rusinizowania młodziutkich swych kolegów. Gdy zaś przekonał się, że nie potrafi ich pozbawić polskości jako ukochanej przez nich szczerze, a kulturalnie od narodowości rusińskiej wyższej, zerwał bez wahania z tymi, którzy odważali się opierać wynarodowieniu.

Jeszcze jedna okoliczność przytaczaną była na obronę

Antonowicza, a mianowicie unickie jakoby wyznanie, które zkolei pozwalało przypuszczać rusińskie jego pochodzenie. Legenda ta runęła niepowrotnie, a obalił ją własnoręcznie Antonowicz w odpowiedzi swej na list A. Mioduszewskiego, czem uchronił nas i przyszłe pokolenie od powtarzania sztucznie budowanych na jego obronę teoryj. Jeśli bowiem raz uznamy za aksjomat dla współczesnych stosunków jednostki do narodowości i społeczeństwa, iż ojczyzny wybierać nam nie wolno, gdyż ją sobie na świat przy urodzeniu naszem przynosimy, zmuszeni jesteśmy zgodzić się jednocześnie i na to, że im w cięższych okolicznościach znajdzie się nasz kraj i rodacy, tem więcej dla nich z zaparciem się i poświęceniem pracować winniśmy. Obojętność w tym razie jest występkiem, odstępstwo zaś i przeniewierstwo zbrodnią, nie mogącą liczyć na przyznanie jej przez opinję publiczną żadnych okoliczności łagodzących.

W społeczeństwach, posiadających organizację państwową, niezależnie od tego, jakąby miała formę, monarchiczną czy też republikańską, zdrajcy tracą cześć i oddają głowę pod miecz katowski. W kraju zaś naszym, pozbawionym państwowości, nieubłagana opinja publiczna zastąpić powinna brak miecza katowskiego, a śmierć fizyczną śmierć moralna, na jaką też u ziomków zasłużył sobie Włodzimierz Antonowicz.

Historykiem nie jestem, wolnym więc zupełnie być nie mogę od rozżalenia do ludzi mi współczesnych, ojczyźnie mojej szkodliwych. Wypowiedziałem tu zatem to wszystko, co o tej sprawie osobiście myślę i ile mi ona boleści sprawiła i dotąd sprawia, pozostawiając historykom z powołania ocenienie jak najbezstronniej całej tej smutnej w dziejach polsko-rusińskich chwili, na mocy faktów, oczyszczonych przez krytykę z naleciałości, powstałych skutkiem namiętności współczesnych. Sądzę, iż takie badania na źródłach oparte wyjaśnią ostatecznie tę zawiłą sprawę; wątpię wszakże, by najidealniejsza bezstronność zdołała Antonowicza względnie nawet rozgrzeszyć i z zarzutów oczyścić!

Gorączkowe objawy życia, które się rozwijały na całem przestworzu ziem dawnej Polski od chwili opuszczenia przeze mnie Kijowa, zastały społeczeństwo polskie na Rusi zupełnie nieprzygotowanem. Większość magnatów i bogatej szlachty

przeżywała olbrzymie nieraz intraty poza granicami kraju. Niewielu właścicieli ziemskich pracowało osobiście na roli, wyręczając się zazwyczaj dzierżawcami. Więcej niż połowa majątków była obarczona długami. Przemysł dawał zaledwie znaki życia. Szlachta zagonowa, pozbawiona przez Bibikowa praw szlachectwa, zapisana do list podatkowych, przedstawiała opłakany obraz upadku materjalnego, umysłowego i moralnego. Włościanie stanowili w dalszym ciągu bezduszną bryłę, oczekując lepszej doli. Mieszczaństwa, w ścisłem tego słowa znaczeniu, nie posiadaliśmy wcale. Żydzi, którzy to stanowisko średniego stanu zajęli, byli społeczeństwem w społeczeństwie, obcem żywotnym interesom Polski. Dlatego też, gdy zawiele na raz spraw i kwestyj poruszyło się w kraju, którego stan nie był zupełnie normalnym, jedne drugim stawały na przeszkodzie, a więc rozwijające się z dniem każdym na większą skalę manifestacje i zaburzenia, nie mogły wpływać dodatnio na regulowanie stosunków z włościanami na mocy wydanego manifestu, skąd na każdym kroku wynikały wątpliwości i trudne do usunięcia sprzeczności, wymagające prędkiej i stanowczej decyzji.

Te codzienne kłopoty zaprzątały mimowoli moje myśli, odrywając je od najpożądańszych dla młodej jak my pary narzeczonych ciszy, spokoju i zapomnienia o wszystkiem, co nie należało do świata naszych marzeń. Dzięki tylko wychowaniu, które mię nauczyło nie zaniedbywać najcięższych bodaj publicznych obowiązków dla spraw prywatnych i osobistych, czuwałem nad temi wszystkiemi objawami życia narodowego, które się z Królestwa Kongresowego na Ruś przedostawały, zachowując się w każdym oddzielnym wypadku tak, jak mi moje przekonania nakazywały. Pragnąc zaś zdobyć podstawy do jednolitego działania wśród trudnych i zawiłych stosunków politycznych i społecznych, jakie wytworzyły się w Polsce, a przez nią na Litwie i Rusi, jako bardzo niedoświadczony przybysz do grona ziemiańskiego, nie znający dokładnie dziejów szczegółowych tej prowincji i wynikłych stąd ściśle miejscowych warunków, starałem się te braki, o ile można było, uzupełniać, zaopatrując moją bibljoteczkę w dzieła historycznej treści, które mi pozwoliły ogólne moje wiadomości z dziejów powszechnych i Polski uzupełnić szczegółami, dotyczącemi epoki porozbioro-



Fig. 64. Uwięzieni za różne przekroczenia demonstracyjne. Pierwszy rząd od góry: 1. Roman Bniński, 2. August Mazewski, 3. Łącki, 4. Mazewski, 5. Józef Łagowski, 6. Karol Jełowicki. Drugi rząd: 1. Okieńczyc, 2. Bolesław Łoziński, 3. Włodzimierz Kraszewski, 4. Marujew. Ostatni rząd: 1. Feliks Iwanowski, 2. Terlecki, 3. Leon Mazewski, 4. Nowicki, 5. Marcin Jełowicki, 6. Stanisław Izdebski.

wej, mającej najbliższą styczność ze stanem obecnym tej części naszego kraju, w której zamierzyłem osiedlić się na stałe. Niezależnie od prac książkowych, szukałem stosunków z ludźmi poważnymi i zacnymi wśród starszego pokolenia, którzy na drodze praktycznej wyrobili sobie pewne poglądy na bieżące sprawy miejscowe i pewne zasady w postępowaniu z władzami, a wśród nich kładłem zawsze na pierwszym planie rady mojego drogiego ojca.

Temi dwoma drogami doszedłem zwolna do całokształtu pojęć o najbliższej przeszłości ziem polskich pod berłem rosyjskiem i związku jej z wypadkami współczesnemi, co zkolei dało mi możność jednostajnego zachowywania się wobec najróżnorodniejszych kwestyj i spraw codziennych. Dla wyjaśnienia logicznego związku między mojemi przekonaniami i postępowaniem wobec rozwijających się wypadków, pozwalam sobie jak najtreściwiej przedstawić zapatrywania moje ówczesne, jakie w pozbawionem bytu politycznego polskiem społeczeństwie siłą faktów wytworzyły się w całym zaborze rosyjskim, szczególniej zaś w prowincjach Rusi. Rozpatrzę więc tu: 1) wpływy doniosłe wypadków europejskich ostatniej doby na społeczeństwo polskie, 2) stosunek Kościoła do państwa w cesarstwie rosyjskiem, z wykazaniem doniosłości spraw Kościoła i łączności ich ze sprawą narodową, 3) stosunek rządu do narodowości polskiej w tymże zaborze, 4) szereg usiłowań społeczeństwa polskiego do odzyskania niepodległości tudzież przyczyny ich niepowodzenia.

W pierwszym rzędzie zwracam uwagę na te wypadki ostatniej doby, które siłą dokonanych faktów i przyświecających im ideałów wprawiły naród polski w uniesienie i szał patrjotyczny, pozbawiające zdolności liczenia się drobiazgowego ze środkami materjalnemi i siłami fizycznemi. Do takich zdarzeń dziejowych zaliczam cały szereg walk i zabiegów, któremi kierował obwołany cesarzem Francji książę Ludwik Napoleon Bonaparte pod imieniem Napoleona III, a mianowicie: wojnę wschodnią, prowadzoną przez koalicję z Rosją w latach 1853 do 1856, zakończoną pokojem paryskim, oraz wojnę z Austrją o niepodległość Lombardji, zakończoną pokojem w Zürychu w roku 1859 i przyłączeniem tej prowincji do królestwa Sardynji, wreszcie za-

biegi najróżnorodniejsze bez udziału cesarza, ale za jego wiedzą i zezwoleniem dokonywane, skutkiem których bądź na drodze głosowania powszechnego bądź na drodze rewolucji przyłączyły się kolejno do tegoż królestwa: Bolonja, Toskanja, Parma, Modena, Lukka, królestwo Neapolitańskie z Sycylją i część państwa Kościelnego, poczem parlament w Turynie na dniu 6/18 lutego 1861 roku obwołuje królem włoskim Wiktora Emanuela.

Te wielkie wydarzenia podziałać musiały na wyobraźnię umęczonego niewolą i niedolą narodu polskiego, który stopniowo wobec wskrzeszenia na kongresie paryskim Mołdawji, Wołoszczyzny i Serbji i prawie zupełnego zjednoczenia Włoch nabierał nietylko nadziei, ale niezłomnej niemal pewności, że i polska sprawa stanie na porządku dziennym, do czego upoważniała go i ta okoliczność, że dwa państwa, które brały udział w rozbiorach Polski, a mianowicie Rosja w wojnie wschodniej, Austrja zaś we włoskiej, zostały osłabione i upokorzone. Jeśli więc sprawa polska, która miała większe od innych prawa do sympatji Bonapartych, nie stanęła na pierwszym planie, przypuszczano, iż miało to miejsce jedynie dlatego, że była najzawilszą, najtrudniejszą i strzeżoną przez trzy potężne państwa rozbiorowe. Wojnę wschodnią i włoską uważać musiano za wstęp do innej, za naszą niepodległość. W Napoleonie III widziano spadkobiercę idei Wielkiego Napoleona, mściciela krzywd jego, niejako powołanego do naprawy omyłek swego stryja, któremu skutkiem usunięcia go przemocą z widowni dziejowej nie dozwolono rozwinąć całego planu przeobrażenia Europy.

Ten wpływ potężny wypadków zewnętrznych i wiarę w polityczny geniusz Napoleona III i jego gwiazdę należy zawsze brać w rachubę, rozpatrując i oceniając dzieje lat 1859—64 na ziemiach dawnej Polski. Inaczej wydać się one mogą jednym szeregiem niczem nie usprawiedliwionych szaleństw, gdy tymczasem uwzględniając ten wpływ, nie wyda się nikomu dziwnem i niezrozumiałem, że wśród wypadków, o których przed chwilą nadmieniłem, były niezaprzeczenie chwile, gdy najkonserwatywniejsi i najumiarkowańsi patrjoci łudzili się wielkiemi nadziejami i stosownie do tego postępując przykładali rękę do usiłowań wyjarzmienia narodu; kiedy zaś wszelkie na-

dzieje upadły, ponieść musieli wraz z najskrajniejszymi optymistami następstwa strasznego i nikogo nie szczędzącego pogromu.

Przechodząc od przeglądu wpływów zewnętrznych do spraw wewnętrznych, zaczynam od rozpatrzenia stosunków państwa do kościoła katolickiego w zaborze rosyjskim w ogólności, zaś w prowincjach ruskich w szczególności. Zastrzegam się na wstępie od jakiegokolwiek fanatyzmu, a więc i religijnego; wyrażam tu głębokie przeświadczenie, że Polacy wszelkich wyznań mogą być wzorowymi obywatelami kraju, jak tego mieliśmy liczne dowody nietylko na kalwinach i tatarach litewskich, ale i na niektórych żydach patrjotach w wojsku polskiem. Niezależnie wszakże od tego, com powiedział, uważać muszę religję katolicką w dzielnicach dawnej Polski, z mieszaną co do narodowości i wyznania ludnością, za jedyną deskę ocalenia dla ludu polskiego w tych prowincjach zamieszkałego; wszyscy bowiem oni o tyle się tylko czują Polakami, o ile są katolikami. Interesy więc narodowości polskiej tak się w tych miejscowościach z religją katolicką zespoliły, iż są zazwyczaj z sobą nierozłączne zarówno w cichej walce o zachowanie narodowości, jako też w otwartej o niepodległość. Na mocy tego, co tu wyraziłem, jasnem jest jak dzień, iż każdy prawy obywatel Polak na Rusi winien znać niemniej dokładnie dzieje kościoła katolickiego w państwie rosyjskiem i w swoich diecezjach na Rusi, jak dzieje polityczne i społeczne swego narodu, by postępowaniem swem nigdy i nigdzie nie utrudniać rozwoju i nie ograniczać niezależności Kościoła, jako jedynej podstawy dla resztek ludu, uważającego się w tym kraju za polski.

Po tym krótkim wstępie przechodzę do streszczenia dziejów kościoła katolickiego w części dawnej Polski, która weszła w skład cesarstwa rosyjskiego. Gdy Polskę ćwiartowano, ta jej część, którą do Rosji wcieliły układy między trzema dworami rozbiorowemi, stała się przedmiotem nieustannych starań i zabiegów rządu rosyjskiego, mającego na celu pozbawienie polsko-katolickich mieszkańców tych prowincyj ich religji i narodowości. Natarczywość i dokuczliwość w tem nawracaniu wzmagała się stopniowo, w miarę powodzenia, z pewnemi przerwami, zależnemi od spraw ogólniejszych lub od charakteru panujących. Odporność w obronie tych najdroższych właściwości

zwyciężonego narodu również rosła i doskonaliła się w miarę wysiłków ze strony władzy. Przerwy chwilowe prześladowań za rządów cesarza Pawła I i Aleksandra II pozwalały walczącym i cierpiącym odzyskiwać słabnące siły, a nawet przypuszczać po uzyskaniu pewnych ulg, iż rząd rosyjski uznał nareszcie za niemożliwe i nieprawdopodobne zruszczenie i oderwanie od kościoła katolickiego nieszczęśliwego narodu, mającego 10-wiekową własną kulturę. Gdy wszakże przypatrzymy się bezstronnie zachowaniu się rządu w tych okresach łagodnego ucisku, widzimy względne zaledwie objawy tolerancji chwilowej i nieznaczne bardzo ulgi i ustępstwa co do drobiazgów. Nigdy wszakże nie mogło przyjść do wielkich i szczerych reform, mogących istotnie zadowolnić najszlachetniejszych i najrozumniejszych patrjotów polskich, zapewniając im istotny samorząd, swobodę sumienia i wprowadzenie języka ojczystego do szkoły, sądownictwa i administracji.

Usiłowania rządu rosyjskiego pochłonięcia bez śladu Polski katolickiej drogą sztucznego podziału na drobne prowincje i narodowości, a zkolei na atomy, które mogłyby zbogacić jako czysto słowiańskie elementa organizm fińsko-tatarsko-moskiewski, wyraziły się co do spraw duchownych w dwóch szczególniej kierunkach: starano się najpierw o usunięcie wpływu Ojca świętego na duchowieństwo polskie, a następnie dokładano coraz większej usilności, by władzę Stolicy Apostolskiej zastąpić władzą miejscową, któraby mogła w sprawach Kościoła stać się powolnem narzędziem w rękach rządu, a w przyszłości zadać mu cios stanowczy, gdyby się ku temu nadarzyła sprzyjająca sposobność.

Despota jednak tej miary, co cesarz Mikołaj I, nienawidzący wszystkiego co polskie i katolickie, umiał zapanować nad sobą, gdy chodziło o sprawy kościelne w Kongresowej Polsce; tępiąc kijem i rózgą unję na Litwie i Rusi, pozostawił ją nietkniętą na Podlasiu i w Chełmskiem. I w tej wszakże wybranej pod względem tolerancji części Polski widzimy, iż konkordat zawarty z Rzymem w 1847 r. staje się w ciągu lat kilku martwą literą i zaledwie w roku 1856 znajduje częściowe tylko wykonanie; w tym bowiem roku mianowanymi zostali: metro-

politą warszawskim ksiądz Antoni Melchior Fijałkowski, biskupem zaś podlaskim ks. Benjamin Szymon.

By dokładnie zrozumieć, w jak niekorzystnych warunkach znalazł się, po trzech podziałach Polski, kościół katolicki w cesarstwie rosyjskiem, szczególniej na Litwie i Rusi, opowiem w krótkości o życiu i czynach człowieka, który wskutek niepomyślnego dla nas zbiegu okoliczności ujął w swe niepowołane ręce jego ster. Tą smutnej pamięci osobistością był Stanisław Bohusz Siestrzeńcewicz. Urodzony w 1731 r. z ojca protestanta, wychowany w szkołach kalwińskich słuckich kosztem Radziwiłłów, przygotowywał się do zajęcia stanowiska pastora, doskonaląc swą wiedzę teologiczną w Londynie, Frankfurcie i Berlinie. Wobec wszakże zupełnego braku powołania do stanu duchownego zmienił pierwotne zamiary i rozpoczął zkolei karjerę wojskową, zrazu w pruskiem, a następnie polskiem wojsku, gdzie dosłużył się stopnia kapitana. Pod wpływem namów i rad biskupa Massalskiego, z którym się poznał, przyjął religję katolicką, nie bez zamiarów politycznych, został klerykiem, w roku zaś 1763 otrzymał święcenia kapłańskie. Po pierwszym rozbiorze kraju protektor i doradca Siestrzeńcewicza biskup Massalski polecił go jako wielkich zdolności człowieka i przykładnego duchownego cesarzowej Katarzynie II; ta zaś mianowała go zwierzchnikiem duchowieństwa w części Białejrusi, przyłączonej skutkiem pierwszego rozbioru do cesarstwa rosyjskiego. Duchowieństwo miejscowe wybór ten monarchini uznało, zachowując głuche wobec spełnionego faktu milczenie. Potem otrzymuje ten prałat tytuł przełożonego wszystkich kościołów katolickich w całem państwie; 22 listopada 1773 jest mianowanym biskupem białoruskim, zaś w 1782 r. arcybiskupem mohylowskim, wreszcie w 1798 r. metropolitą rzymsko-katolickim w cesarstwie rosyjskiem. Pod jego więc zwierzchnictwem najniespodzianiej znalazły się po ostatnim rozbiorze biskupstwa: żmudzkie, wileńskie, inflanckie, łuckie, kijowskie i kamienieckie.

Wstąpienie na tron Pawła I zachwiało chwilowo stanowisko niecnego Siestrzeńcewicza. Monarcha ten, pragnąc mieć dobry stosunek ze Stolicą Apostolską, prosił ojca św. o przysłanie legata celem urządzenia i rozgraniczenia nowowcielonych

do państwa diecezyj. Przysłany jako legat papieski, biskup tebański Litta, utworzył oddzielną metropolję dla państwa rosyjskiego, kasując biskupstwo smoleńskie i inflanckie, kijowskie zaś połączył z łuckiem pod nazwą łucko-żytomierskiego; poczem wyjął z pod władzy archidiecezjalnej gnieźnieńskiej i lwowskiej odnośne biskupstwa i sam zabierał się do zarządu tą nową metropolją, gdy naraz skutkiem intryg Siestrzeńcewicza został ukazem cesarskim niedwuznacznie usuniętym z granic Rosji, na co tylko czyhał pragnący niezależności Siestrzeńcewicz, by jak najprędzej wrócić do władzy metropolitalnej. Również skuteczną i dla siebie korzystną walkę stoczył on z głową zakonu jezuitów, ojcem Gruberem, który na usunięcie jego czasowe od metropolji wpłynął, ale był wkońcu, już za panowania Aleksandra I, pokonanym przez Siestrzeńcewicza, który zkolei wyrobił pozwolenie usunięcia z cesarstwa tego zakonu, co spełnił osobiście z wielką gorliwością i pośpiechem.

Niegodziwy ten człowiek, a najgorszy Polak i kapłan, znalazłszy się na stanowisku najwyższego zwierzchnika Kościoła w prowincjach Litwy i Rusi, nietylko nic pożytecznego dla tegoż Kościoła nie uczynił, nie tylko nie stawił żadnego oporu władzom rosyjskim w prześladowaniu religji katolickiej w całem tem państwie, ale, co ohydniejsze i wstrętniejsze, sam robił propozycje i ułatwienia, mające na celu osłabienie i stopniowe podkopanie praw, temu Kościołowi przysługujących. Po usunięciu z Rosji legata papieskiego i jenerała jezuitów wraz z zakonem, ośmielony intrygami Siestrzeńcewicza cesarz Paweł I zastrzegł się przeciw bullom papieskim i bezpośredniemu komunikowaniu się biskupów katolickich w państwie rosyjskiem z Rzymem. Zastrzeżenie to zaledwie za panowania Aleksandra I zmodyfikowanem zostało w ten sposób, iż stosunek pasterzy z głową Kościoła mógł się nadal odbywać jedynie za pośrednictwem ministra spraw wewnętrznych.

Trudno obliczyć, ile złego w ciągu lat całych aż do chwili obecnej sprawiło to zabójcze dla stosunku władz kościelnych postanowienie; to też jej projektodawca i pierwszy wykonawca zasługuje na potępienie i pogardę całych pokoleń rodaków i współwyznawców. Jako człowiek prywatny był ten wyrodek niemniej ujemną osobistością. Chciwy i łakomy, kasował on

i grabił jednocześnie klasztory. Po śmierci biskupa wileńskiego sam zarządzał intratną tą diecezją, nie bywając wcale w Wilnie, ale ciągnąc z niej znaczne dochody. De Maistre w swoich „Lettres et opuscules“ nazywa go „płaszczącym się pochlebcą carowej i odstępcą religji i kościoła katolickiego“. Gdy więc nareszcie dnia 1 grudnia 1826 roku niegodziwego żywota dokonał, nikt go nie tylko nie żałował, ale śmierć jego uważano powszechnie za objaw łaski Bożej dla Kościoła.

Zastąpił go w roku 1827 czcigodny, ale zupełnie wówczas zgrzybiały już i zdziecinniały biskup łucko-żytomierski, Gaspar Colonna Cieciszowski. Chęci miał on najlepsze, ale brak sił kompletny; powierzył więc diecezję wileńską ks. Kłągiewiczowi, zaś administrowanie archidiecezją księdzu prałatowi Szczyttowi, jako najzdolniejszemu i najnieskazitelniejszemu z kapłanów swej epoki. Sam pozostał w Łucku i zdaleka tylko kierował sprawami metropolji. Po śmierci Cieciszowskiego, zmarłego 28 kwietnia 1831 r. rząd rosyjski niezwłocznie prawie usuwa od zarządu archidiecezją prałata Szczytta, którego zgon arcypasterza zastaje w czasie objazdu kościołów katolickich w państwie rosyjskiem. Gdy zaś w owym czasie znajdował się w Saratowie, zatrzymano go więc na długie lata w tem mieście; natomiast obejmuje władzę metropolitalną domownik ks. Siestrzeńcewicza, ksiądz Kamionka, prałat małych zdolności i zupełnie obojętny na sprawy Kościoła. Niemało też i on szkód temu Kościołowi wyrządził, powołując do kapituły ludzi niezdarnych, niemoralnych, a nawet nikczemnych, jak ks. Wróblewski i ks. Łaski, z których szczególniej ostatni dał się dobrze we znaki archidiecezji. Skupił bowiem w sobie wszystkie spotęgowane przywary ludzkie, wśród których pierwsze miejsca zajęły: przedajność obok zupełnego nieprzebierania w środkach bogacenia się najniecniejszemi sposobami. Nałogowy i ograniczony Wróblewski był natomiast ślepem narzędziem Łaskiego.

Nominacja na metropolitę smutnej pamięci biskupa Pawłowskiego w 1839 r. nic na lepsze nie zmieniła; broił on wspólnie z konsystorzem, któremu dalej Łaski przewodniczył. Za jego to rządów i za jego zgodą akademja duchowna rzymsko-katolicka przeniesioną została z Wilna do Petersburga i zreformowaną w myśl rządu. Kasowano kościoły, usuwano najzdolniej-

szych i najszlachetniejszych kapłanów od zajmowanych stanowisk, wykreślano z list tysiące katolików jako pochodzących od unitów; on pierwszy dozwolił, a nawet nakazał legitymowanie się paszportowe przy spowiedzi. Słowem dobrze i wszechstronnie zasługiwał się ten dygnitarz katolickiego kościoła schyzmie i jej przedstawicielom, którzy umieli go ocenić, obdarzając licznemi orderami itp. Po śmierci Pawłowskiego w dniu 2 lipca 1842 r. gospodarzył dalej Łaski i dziwić się doprawdy należy, że go jeszcze po konkordacie nowo-mianowani pasterze tolerowali. Na mocy bowiem tego aktu, podpisanego w Rzymie d. 3 sierpnia 1847 r., metropolitą mohylowskim mianowanym został biskup sufragan wileński Dmochowski, biskupem koadjutorem to jest bezpośrednim jego następcą ks. Ignacy Hołowiński, biskupem wileńskim Wacław Żyliński, małej wartości człowiek, żmudzkim ks. Maciej Wołonczewski, wielkiej zacności pasterz; łucko-żytomierskim czcigodny ks. Kacper Borowski, kamienieckim smutnej pamięci Mikołaj Górski, mińskim nie lepszy od poprzedniego ks. Adam Wojtkiewicz i tyraspolskim Kahn.

Zanim te nominacje nastąpiły, mocą konkordatu zaprojektowanym został i przez rząd przyjętym nowy podział diecezyj katolickich w państwie rosyjskiem, skutkiem czego archidiecezja mohylowska objęła wszystkie gubernje państwa, z wyjątkiem Królestwa Kongresowego i W. Księstwa Finlandzkiego, i podzieloną została na sześć diecezyj.

Oznaczenie nowych granic i spisy świątyń i parafij do każdej z nich należących poruczono sporządzić ks. Ignacemu Hołowińskiemu, który dzięki swym zabiegom, aczkolwiek nie bez ujmy dla swej godności, począł zdobywać wziętość u rządu dotąd niepraktykowaną, a nie przebierając w środkach coraz wybitniejsze stanowisko w hierarchji kościelnej. Kapłan ten, który zeszedł ze świata nie bez wielkich zasług, gdy raz twardą nogą stanął przy władzy, dążąc wszakże do zdobycia jej zrobił niejedno ustępstwo od zasad na rzecz karjery. Oto krótki jego życiorys, na bardzo pewnych podstawach oparty, bo na faktach, zebranych przez jego kolegę przyjaciela, a najbezstronniejszego z ludzi, mego profesora teologji w uniwersytecie kijowskim, księdza Dobszewicza.

Ksiądz Ignacy Hołowiński po usunięciu się z 6 klasy szkół



Fig. 65. Członkowie Komitetu wołyńskiego. Rząd pierwszy od góry: 1. Jan Głębocki, 2. Ks. Radziwiłł, 3. Mieczysław Grocholski, 4. nieznany, 5. Roguski, 6. Zygmunt Pruszyński, 7. nieznany, 8. Alojzy Zagórski. Drugi rząd: 1. Stanisław Chamiec, 2. Ludwik Rudnicki, 3. Serafin Nagrodzki, 4. Andrzej Brzostowski, 5. Aleksander Nartow, 6. Ksawery Jodko, 7. Adolf Borkowski. Rząd trzeci: 1. Leopold Rudnicki, 2. Adam Przesmycki, 3. Józef Wczelkie, 4. Karol Mikulicz, 5. Feliks Lenkiewicz, 6. Kazimierz Choński. 7. Romuald Ledóchowski.

pijarskich w Międzyrzeczu, skąd uciekł unikając kary[1]), był chwilowo nauczycielem domowym na wsi. Następnie wstąpił do seminarjum w Łucku, skąd go po roku w 1827 r. wysłano do Wilna. Zajmowało go w tym czasie głównie językoznawstwo i piśmiennictwo nadobne i na tem polu marzył o sławie, oddając się studjom teologicznym tylko przed egzaminami, ale że był zdolny, więc i w tej gałęzi zdobył w pewnym zakresie szeroką wiedzę. Próby swych utworów poetyckich przedstawiał profesorowi Leonowi Borowskiemu, który go zachęcał do pracy dalszej w tym kierunku, gdy innym najczęściej wkraczanie na Parnas odradzał. Jeden z zazdrosnych kolegów bazgraczy, niejaki Woronicz, kleryk, podstępem chciał Hołowińskiemu wykłuć oczy, by móc go potem ironicznie przezwać Homerem. Skończyło się na skaleczeniu powiek, a było to w roku 1828 w czasie wakacyj. Woronicz po nieudanym zamachu zwarjował. Hołowiński zaś, otrzymawszy w 3 roku pobytu w Wilnie stopień kandydata, zaś w 4 magistra teologji, po wyświęceniu na kapłana w 1831 r. został kapelanem czyli nauczycielem religji w gimnazjum żytomierskiem. Tu pracował gorliwie nad zdobyciem biegłości w języku angielskim, którego nie posiadał. Żywość umysłu obok sympatycznej powierzchowności i wymowy zapewniły mu wziętość wśród uczącej się młodzieży i obywateli ziemskich Wołynia.

Dzięki wpływom tych ostatnich już w 1835 roku zostaje Hołowiński członkiem kapituły żytomierskiej i jednocześnie prawie kurator uniwersytetu kijowskiego, von Bratcke, proponuje mu objęcie katedry teologji i historji kościelnej dla katolików w tymże uniwersytecie. Hołowiński propozycję przyjął mimo to, że ksiądz Chodykiewicz ex-jezuita zajmował już to stanowisko z rekomendacji senatora Ilińskiego. Zgadzając się na zajęcie tej katedry poza plecami władzy duchownej, dał dowód ksiądz Ignacy, iż wspinając się na coraz wyższe szczeble

[1]) O usunięciu się ze szkół międzyrzeckich świadczy kolega Hołowińskiego, Hilary Krajewski, iż było ono przymusową ucieczką celem uchylenia się od odpowiedzialności za paszkwil napisany przez młodego Hołowińskiego i przylepiony na domu doktora Niedermayera, a mający za przedmiot żonę tegoż i jej stosunek do ks. regensa Zarzyckiego. O tem zdarzeniu nikt, nawet ks. Dobszewicz nie słyszał z ust Hołowińskiego; znalazłem zaś wzmiankę o tem w dopisku do pamiętnika ks. Dobszewicza, zrobionym przez Krajewskiego z podpisem tegoż.

hierarchji kościelnej przebierać w środkach nie zamyślał. W tym wypadku młodzież na zmianie profesora zyskała dużo, jakkolwiek droga, którą do tego celu zdążał, była naganną. Jako wymowny i wykształcony, zyskuje wkrótce na zajętem stanowisku uznanie. Nowe obowiązki nie przerywają jego zajęć na polu literatury. Tłumaczenia Szekspira, które wydał pod przybranem nazwiskiem Kefalińskiego, a o których Słowacki mówi: „Szkoda, że w księdzu Kefalińskim znika Hamlet skutkiem trudności „połogu w stanie bezżennym", zbliżyły go do grona literatów kijowskich: Henryka Rzewuskiego i Michała Grabowskiego, z którymi wspólnie utworzył towarzystwo wzajemnej adoracji. Oni to wmówili w Hołowińskiego, że jego utwory poetyckie są arcydziełami, i wspólnie z Przecławskim, redaktorem Tygodnika Petersburskiego, przedstawiali obrońców istniejącego w państwie porządku rzeczy, chyląc się ku zasadom panslawizmu i broniąc w społeczeństwie zasad arystokratycznych. To koteryjne stanowisko starszego pokolenia literatów wywołało silną reakcję ze strony młodzieży, która z Dołęgą na czele lżyła tych panów w „Gwiaździe" a gdy to pismo zamknięto, przypisywano to wpływom urażonych, szczególniej Rzewuskiemu i Hołowińskiemu.

W tem gronie literatów, dobrze przez rząd widzianych, zyskał i prałat Hołowiński na wziętości u władzy o tyle, o ile tracił na opinji u dobrze myślących obywateli kraju, skutkiem swej dążności do zdobywania coraz wyższych stanowisk, nie oglądając się na nikogo. W 1839 roku, gdy uniwersytet chwilowo zamknięto, odbywa on i opisuje podróż swą do Jeruzalem; zaś w 1842, na skutek rekomendacji jenerał-gubernatora Bibikowa i kuratora von Bratcke, wezwany zostaje do objęcia posady rektora w nowo zorganizowanej przez rząd duchownej akademji w Petersburgu. Stając na czele wcale nie katolickiego systemu wychowania młodego duchowieństwa, obejmując przytem już poraz drugi bez wiedzy władzy duchownej to stanowisko, zajęte za jej zgodą przez ks. Antoniego Fijałkowskiego, wreszcie wygłaszając mowę przy otwarciu akademji pełną pochlebstw dla władz świeckich, złożył wymowne dowody, iż był karjerowiczem w każdym calu w szerokiem tego słowa znaczeniu.

Sprawami Kościoła z ramienia rządu rosyjskiego zarządzał

w owym czasie jako dyrektor obcych wyznań Skrypicyn, zaś pomocnikiem jego był hr. Tołstoj, późniejszy minister oświaty, a jeszcze później spraw wewnętrznych. Jako rektor wszedł Hołowiński z tymi panami w tak bliskie stosunki, że się w oczy przyjaciółmi tytułowali. Mając zapewne wzgląd na jednanie sobie tych dygnitarzy, w przemówieniach publicznych posuwał się do zupełnego zaparcia się swych przekonań, co wielbiciele jego wallenrodyzmu pochwalali i wskazywali jako dobry przykład innym. Departament nawzajem radził się go przy zawarciu konkordatu i polecił mu tak dokonanie nowych podziałów diecezyj, jako też utworzenie listy kandydatów na stolice biskupie, dla sporządzenia których pod pretekstem zwiedzenia seminarjów odbył on 1846 roku podróż do wszystkich diecezyj. Jeden z naocznych świadków przyznaje mu wiele taktu w zachowaniu się już w czasie podróży, oprócz nieumiejętności ukrycia wielkiej próżności i przechwalania się władzą i przyszłą potęgą.

Wkrótce po tej wycieczce zjawiła się lista kandydatów na opróżnione stanowiska biskupów, którą przytoczyłem wyżej. Wedle porządków kanonicznych następcą zmarłego metropolity Dmochowskiego był Hołowiński jako koadjutor z prawem następstwa, poświęcony już na biskupa 12 grudnia 1848 r. Hołowiński z prośbą o paljusz zwrócił się bezpośrednio do ojca św. Grzegorza XVI, składając na ręce ministra swe podanie, co mu wzięto za złe i prośby nie przyjęto. Natomiast cesarz Mikołaj I uczynił od siebie nowe podanie i paljusz osobiście metropolicie doręczył, przyczem kazał się ucałować trzykrotnie i zalecił nowemu dygnitarzowi, aby nauczał księży, iż obok tego, co się oddaje Bogu, nie wolno zapominać o tem, co się należy monarsze, dodając, że pierwszy to raz cesarz doręcza katolickiemu biskupowi oznaki jego godności. W parę dni później wydanym został ukaz, mianujący Hołowińskiego arcypasterzem i metropolitą, a w dniu 23 listopada 1851 r. biskup Żyliński w asystencji biskupa Kahna włożył nań paljusz. Po prekonizacji nowo mianowany metropolita pragnął się uniezależnić i niemało użył do tego przebiegłości, rozumu i taktu, ale mu przeszłość psuła szyki, a do tej przeszłości odwoływano się nieustannie, co raz jeszcze dowiodło, iż manowcami cho-

dząc zajść można daleko, ale zawrócić z nich na drogę prawdy jest prawie niepodobieństwem. Musiał on niejednokrotnie staczać długie a bezskuteczne walki z władzami o najdrobniejsze nieraz kwestje, co go jako odpowiedzialnego za Kościół w państwie niemało dręczyło. Pod ciężarem tych przykrości szybko upadał na zdrowiu i siłach, tak iż w dniu 19 października 1855 roku życia dokonał. Konającemu już prawie zaproponowali Przecławski, Sztyrmer i Mianowski podpisanie listu do ministra spraw wewnętrznych. Włożono mu pióro do ręki i dano do podpisania dokument, którym jako swego następcę na metropolję poleca biskupa Wacława Żylińskiego, na rektora zaś akademji prałata Jakobielskiego.

Po krótkiej walce z obranym przez kapitułę mohylowską na administratora archidiecezji Antonim Fijałkowskim utrzymał się Wacław Żyliński, Jakobielskiego zaś mianowano bez przeszkód rektorem akademji. Ten ostatni, wspólnie ze Staniewskim przeorem dominikanów w Petersburgu i Stacewiczem kaznodzieją tegoż zakonu rozwinęli swe wpływy najujemniejsze, i tak: dopuścili się oni ohydnej denuncjacji względem O. Solard dominikanina, który miał sobie konfidencjonalnie poleconem przez jenerała tego zakonu, zbadanie stanu rzeczy wśród zakonników św. Dominika w Petersburgu. Miał O. Solard przytem zbadać jawne nadużycia administracji, których się dopuszczał rektor akademji Jakobielski, a które się wykryły prawie jednocześnie z brudami dominikańskiemi. I trzeba było dopiero tych gorszących faktów, by metropolita złe wpływy z oburzeniem odrzucił i otoczył się ludźmi tak godnymi zaufania, jak następca Jakobielskiego, usuniętego ze stanowiska rektora akademji, prałat Warzyński tudzież młodzi, ale światli i dobrej woli księża, z Zygmuntem Szczęsnym Felińskim na czele. Tak więc w chwili, o której piszę, Żyliński był otoczony dodatniemi wpływami, co na rządy jego arcypasterskie pomyślnie oddziaływało.

Przebiegłszy pokrótce dzieje metropolji mohylowskiej, przechodzę zkolei do skreślenia historji akademji duchownej rzymsko-katolickiej w Petersburgu. Po zamknięciu uniwersytetu wileńskiego, gdzie się duchowieństwo kształciło na wydziale teologicznym, utworzoną została w temże mieście w 1833 r. akademja duchowna. Koszta jej urządzenia i utrzymania pokryto z sum,

osiągniętych ze skonfiskowanych dóbr poklasztornych. Seminarjum połączono z akademją jako niższy oddział; całemu zaś temu nowo utworzonemu zakładowi nadano nową ustawę, mocą której podlegał władzy kolegjum duchownego w Petersburgu i ministerjum spraw wewnętrznych. Na rektora akademji obrano Alojzego Osińskiego, który był już wówczas szczątkiem tylko przeszłości jako zdziecinniały i zniedołężniały starzec. Inspektorem mianowano ks. Markiewicza, na którem to stanowisku niedługo zostawał, ustępując je księdzu Gąsowskiemu. Po Osińskim w 1839 r. został rektorem ks. Antoni Fijałkowski, który również niedługo urząd ten piastował, w roku bowiem 1842 akademja duchowna zostaje przeniesioną do Petersburga, przyczem Fijałkowskiego usuwają bez udziału władzy duchownej, zastępując go nieprawnie przez ks. Ignacego Hołowińskiego.

Zasługi nowo mianowanego rektora akademji były niepospolite; wychował on bowiem całe pokolenie młodego duchowieństwa na znakomitych i pełnych poświęcenia sług Kościoła. Pełniąc ten obowiązek lat trzynaście, miał daleko więcej czasu dla rozwinięcia swej działalności na tem polu, aniżeli na stanowisku metropolity, na którem pozostawał przez lat cztery. Osiągnąwszy cel swoich zabiegów, zrozumiał ten dostojnik Kościoła, że od tej chwili rozpocząć się musi cały szereg nowych usiłowań celem zdobycia uznania w społeczeństwie katolicko-polskiem. W tym kierunku zasłużył sobie na zapomnienie i rozgrzeszenie usterek, mających przeważnie źródło w nienasyconej ambicji, jak niemniej na powszechne i jednomyślne przyznanie mu wielkich zasług dla Kościoła. Następcami Hołowińskiego byli na urzędzie rektora akademji Jakobielski, a w czasie, o którym mówię, Warzyński.

Pragnę zrobić tu jeszcze wzmiankę o osławionem w opinji publicznej polskiej tak zwanem rzymsko-katolickiem kolegjum w Petersburgu. Wedle zasad i praw kościoła rzymskiego biskupi w swych diecezjach stanowią władzę duchowną wykonawczą i sądową. Sądy sprawować może sam biskup lub też upoważniać do tego konsystorz. Wobec możności popełniania omyłek lub uprzedzania się w pewnych sprawach dygnitarzy Kościoła, mogą niezadowoleni z wyroków biskupa apelować do sądów metropolitalnych, a od tych ostatnich do Ojca świę-

tego. Jest to jedyna prawidłowa droga, wśród hierarchji kościelnej ustanowiona, która wszakże rządowi rosyjskiemu podobać się nie mogła. Uznawszy więc dla siebie za niegodne bezpośrednie porozumiewanie się duchowieństwa katolickiego w kwestjach wątpliwych z Rzymem, starał się postawić na tej drodze przeszkody, ścieśnienia i zakazy, by stosunek ten uczynić niemożliwym.

Tyle o dziejach kościoła katolickiego w granicach metropolji mohylowskiej w ogólności. Przechodząc zkolei do szczegółów, ograniczę się jedynie wzmianką o dwóch diecezjach na Rusi, a mianowicie: łucko-żytomierskiej i kamienieckiej, najbliższych mi, jako zamieszkałemu naonczas w tych prowincjach ziemianinowi.

Co do pierwszej, powstała ona w 1798 r. skutkiem kanonicznego połączenia diecezji łuckiej z kijowską pod nazwą łucko-żytomierskiej. Rozbiory kraju zastały na tej stolicy biskupiej Adama Naruszewicza; po nim zaś obejmuje ją biskup Gaspar Colonna Cieciszowski. Dostojnik ten Kościoła, urodzony w roku 1745, wstąpił młodzieniaszkiem, bo mając zaledwie lat 15, do zakonu Societatis Jesu w 1760 r., a w cztery lata później to jest w 1764 r. przyjmuje święcenia kapłańskie z rąk osobiście go znającego papieża Klemensa XIII, który udziela mu jednocześnie dyspenzy co do wieku, gdyż wedle praw kanonicznych wyświęcający się alumni winni mieć nie mniej nad lat 25. W trzydziestym roku życia, a więc w 1775 r. zostaje mianowanym biskupem in partibus, zaś mając lat 39 w 1784 r. obejmuje biskupstwo kijowskie, a po śmierci Naruszewicza łucko-żytomierskie. Na stanowisku tem obchodzi jubileusz 50-letni kapłaństwa, w czasie którego głośny naówczas wielki rabin berdyczowski składa mu swe powinszowania i w mowie po hebrajsku wypowiedzianej dziękuje za dowody wielkiej miłości bliźnich bez różnicy wyznania w czasie głodu, który nawiedził Wołyń. Na tę mowę, Cieciszowski uprzejmie odpowiedział również po hebrajsku, czem niemało zdziwił współczesnych. Biskup ten cieszył się sympatją i popularnością, mimo to, iż nie posiadał ani wyższych zdolności ani też woli niezłomnej. Wyręczał się nie zawsze najlepszymi kapłanami, do jakich naprzykład należał ks. Piwnicki, którego zrobił koadju-

torem; gdy zaś sam został metropolitą, mianował go prezydującym w kolegjum, co miało złe dla Kościoła następstwa. W czasie powstania listopadowego był Cieciszowski mocno potępianym za piorunujące odezwy, które pod jego imieniem rozsyłali jego zastępcy. Co prawda, i on dobrym patrjotą nie był, raczej dworakiem zręcznym i układnym.

Po roku 1831 ks. Michał Piwnicki zajął opróżnione przez Cieciszowskiego skutkiem wyniesienia tegoż na metropolitę mohylowskiego biskupstwo łucko-żytomierskie. Był to małej bardzo wartości kapłan i człowiek, drżący nad doczesnemi swemi dobrami sknera, a więc unikający wszystkiego, co mogło jego dobrobyt zmniejszyć lub w oczach władzy skompromitować. Pozwalał rządowi na wszystko, o jego zaś chciwości na pieniądz mówiono, że gdyby zgubił swą duszę, nie pozwoliłoby mu na jej odkupienie skąpstwo. Na pogrzebie Piwnickiego kaznodzieją był zacny i rozumny dominikanin ks. Siedlecki. Krótko a węzłowato określił on zasługi zmarłego w swej mowie, gdy przebiegłszy sucho życiorys Piwnickiego zakończył ją słowami, wskazując na leżące okok trumny ordery nieboszczyka: „A jakiemi były zasługi ś. p. księdza biskupa, niech świadczą o tem te liczne ordery, któremi go obdarzył monarcha".

W roku 1845, po zgonie wspomnianego Piwnickiego, kapituła wybrała czcigodnego prałata Ławcewicza na administratora diecezji, którego rządy wzorowe trwały do roku 1848 to jest do chwili mianowania nowego biskupa łucko-żytomierskiego, księdza Gaspra Borowskiego, na mocy konkordatu zawartego z Rzymem. Borowski prekonizowanym został na to biskupstwo 17 grudnia 1848 r., objął zaś diecezję w dniu 3 lipca 1849 r. Ingresu jego do katedry żytomierskiej byłem naocznym świadkiem, towarzysząc moim rodzicom w czasie tych uroczystości jako 11-letni chłopiec. Pasterz ten, urodzony w okolicach Połocka, ukończył w tem mieście szkoły i akademję jezuicką połocką. Jako uczony już teolog i lingwista wstępuje w 1827 r. na wydział teologiczny w uniwersytecie wileńskim, po ukończeniu którego i otrzymaniu święceń kapłańskich udaje się w okolice Odessy, gdzie pełni obowiązki kapelana wśród kolonistów niemieckich. Wezwany następnie na adjunkta do akademji duchownej wileńskiej, zostaje tam wkrótce profesorem

historji kościelnej i prawa kanonicznego. Z Wilna przenoszą go wraz z akademją do Petersburga, w roku zaś 1848 otrzymuje nominację na biskupa łucko-żytomierskiego. Był to wzorowej moralności i wielkiej powagi kapłan, niezłomny w rzeczach wiary, ale nazbyt w nieomylność i doskonałość biskupów wierzący i przypisujący ich zalety łasce, spływającej na nich w czasie konsekracji, skutkiem czego bronił nawet takich łotrów jak Siestrzeńcewicz, był ślepym na wady ks. Hołowińskiego i wielu innych. Prądów patrjotycznych w narodzie swoim nie umiał rozumieć, pochopnie je potępiając, skąd doznał wielkich przykrości w latach od 1860 do 63 r. Gdy wszakże uznał za swój obowiązek sprzeciwić się rozporządzeniom władzy w sprawach kościelnych, uczynił to ze stanowczością i gotowością zniesienia następstw swego postępku, za co go wywieziono do Permy, gdzie długie lata pozostawał. Wkońcu powrócony do kraju otrzymał nominację na biskupstwo płockie i na tem stanowisku życia dokonał.

W czasie rozbiorów kraju biskupem kamienieckim był ks. Adam Krasiński, który jako niegdyś głowa konfederacji barskiej musiał się z zaboru rosyjskiego wycofać. Na miejsce zaś jego mianowanym został koadjutor tegoż biskupstwa ks. Jan Dembowski. Gdy zaś ten wkrótce po objęciu diecezji umarł, a na opróżnioną katedrę przedstawionym został przez rząd rosyjski ks. Mackiewicz, asesor kolegjum rzymsko-katolickiego w Petersburgu, Rzym długo na tę nominację zgodzić się nie chciał. Gdy zaś wreszcie zezwolił, otoczył się Mackiewicz liczną swoją rodziną, zajął dla niej budynki na seminarjum przeznaczone, nie tylko nie gardził darami podwładnego mu duchowieństwa, ale nadto umiał do nich, nie przebierając w środkach, zniewalać. W stosunkach z parafjanami chciwy, gwałtowny, szorstki, a bez wychowania, raził swem postępowaniem tak w treści, jako też w formie; zakonnice smagał rózgami, duchownym nakazywał kontrolę paszportów przy konfesjonale itp. Po zgonie tego wyrzutka społeczeństwa kapituła obrała ks. Chołoniewskiego, który mimo zalet niewiele mógł zdziałać jako nieprzystępny dla podwładnych, a źle przez rząd notowany. I ten biskup wkrótce po mianowaniu, bo w roku 1847 życie zakończył. Rząd naznaczył na jego miejsce niejakiego Mikołaja



Fig. 66. Wincenta Lasocka.



Fig. 67. Apollonowa Korzeniowska.



Fig. 68. Wacław i Marja Lasoccy.

Górskiego, najgorszej opinji używającego. To też przedstawiony na biskupstwo w 1847 roku, zatwierdzonym został przez Stolicę Apostolską zaledwie w 1854, a już w 1856 świat ten opuścił. Następcą jego był ks. Antoni Fijałkowski, który ustąpił ks. Hołowińskiemu stanowisko rektora akademji, zaś godność metropolity mohylowskiego ks. Wacławowi Żylińskiemu.

Mówiąc o dygnitarzach kościoła katolickiego na Rusi, nie mogę nie wspomnieć o człowieku, który, będąc może najgodniejszym zajęcia najwyższych szczebli w hierarchji duchownej, nie zajmował żadnego skutkiem niezłomności swych zasad i cywilnej odwagi, jaką się w swych stosunkach do władzy odznaczał. Mam tu na myśli księdza Wiktora Ożarowskiego, którego wybornie pamiętam jako jednego z moich pierwszych spowiedników. Oto jest krótki życiorys tego wielkich cnót kapłana. Kiedy ostatni hetman polny koronny, Piotr Ożarowski, został w r. 1794 skazany na śmierć, synowi jego przypadła smutna i ciężka rola czuwania na czele wojsk nad porządkiem w czasie egzekucji. Ojciec, widząc to z rusztowania, cisnął synowi przekleństwo w wyrazach: „Obyś się wściekł". Podanie mówi, iż w lat kilka klątwa ojca się spełniła. Ukąszony przez psa wściekłego, syn hetmana zmarł, żona zaś jego, rażona na umyśle, podążyła wkrótce za mężem, syn ich zaś a wnuk skazanego Wiktor poświęcił się służbie Bożej. Otrzymawszy wykształcenie światowe, a pragnąc zostać kapłanem, kształcił się młody Ożarowski w akademji wileńskiej, a następnie w Rzymie, gdzie też otrzymał święcenia kapłańskie. Mianowany regensem seminarjum w Łucku, opuszcza ten urząd z chwilą, gdy mu kazano wprowadzić w czyn nową dla seminarjum ustawę przez rząd naznaczoną, a usuwając się zanosi przeciwko niej swój protest na piśmie, poczem nie piastuje już nigdzie żadnego urzędu, oddając się z zamiłowaniem praktykom religijnym i nauczaniu wiernych. Ten prawdziwy kapłan i wielki asceta pozostawił wśród społeczeństwa, w którem żył, cześć najwyższą dla swych cnót niezrównanych i bezgranicznej miłości bliźniego. Ze współczesnych mu duchownych porównywano z nim jedynie prałata Szczytta, którego po śmierci Cieciszowskiego internowano w Saratowie.

Rzućmy teraz okiem na zachowanie się pod względem po-

litycznym rządu rosyjskiego na ziemiach dawnej Polski, po rozbiorach tego kraju do cesarstwa wcielonych, tudzież na bezskuteczny szereg walk narodu polskiego o odzyskanie niepodległości, z wykazaniem przyczyn doznanych zawodów.

Po dokonanych rozbiorach Polski zjawić się musiało jako nieuchronne tychże następstwo gwałtowne odczucie przez naród doznanej przemocy i oddziaływanie, mające zrazu na celu odzyskanie oderwanych prowincyj (powstanie Kościuszkowskie); gdy zaś Polska istnieć przestała, odbudowanie utraconej ojczyzny w dawnych jej granicach. Licząc się ze świeżemi objawami żywotności narodu, a pragnąc pozornie przynajmniej powetować krzywdy, przez poprzedników swych narodowi polskiemu wyrządzone, tworzy Aleksander I na kongresie wiedeńskim niby odbudowaną Polskę w postaci Królestwa Kongresowego i zdobywa tem sobie u Polaków miano: „Wskrzesiciela". Czynem tym niejako dobrowolnie spełnionym i budzeniem wielkich nadziei na przyszłość wstrzymuje na czas jakiś wrzenie w narodzie ujarzmionym. Systematyczne wszakże obrażanie uczuć narodowych przez cesarza Mikołaja I, ciągłe uchylanie się tego samowładcy od prawidłowego stosowania konstytucją zawarowanych praw, wreszcie pełne kaprysów i wybryków zachowanie się W. Ks. Konstantego w Warszawie, niemniej niczem nieograniczone rządy tegoż na Litwie i Rusi, — wszystko to, razem wzięte, przyczyniło się niemało do nadania wywołanemu przez podchorążych 29 listopada 1830 roku powstaniu cech ruchu narodowego. I te wszakże, pełne dobrych nadziei walki, stłumione zostały skutecznie przez oręż najezdniczy, wskutek tego, iż brak nam było zgody i wiary we własne siły wśród przewódców, jako też podstaw wśród ludu. Wznowione usiłowania Towarzystwa Demokratycznego na emigracji, dążące do wywołania w zaborze rosyjskim przez emisarjuszów wojny partyzanckiej w roku 1833 (gerylasówka), zostały w zarodzie zniweczone. Nie powiodło się też Stowarzyszeniu Ludu Polskiego w 1837—39, którego działalność powstrzymano przez odkrycie spisku, rozstrzelanie w Wilnie Konarskiego i wysłanie na Syberję wielu najlepszych i najszlachetniejszych w kraju obywateli. W roku zaś 1846 w Galicji sprzysiężenie, przez toż samo Towarzystwo Demokratyczne zawiązane, obrócił Metter-

nich przeciwko szlachcie i zakończył z pomocą i udziałem chłopa Szeli pamiętną rzezią galicyjską. Wreszcie udział Polaków w wojnie o niepodległość Węgier w roku 1848, jak niemniej w kampanji krymskiej z lat 1853 do 1855, posłużyły tylko pojedyńczym jednostkom do wykazania zdolności wojskowych i osobistego męstwa. Pośrednio tylko osiągnęliśmy z tej wojny korzyść, zniosła ona bowiem chwilowo wprawdzie, ale doszczętnie, urok caratu.

Zaburzenia wśród włościan na Ukrainie w 1855 r. były całkiem niezależne od wpływów polskich. Mimo wyliczony tu szereg niepowodzeń oręża naszego w sprawie odzyskania niepodległości ojczyzny, mimo olbrzymie ofiary ze krwi ludzkiej i mienia, nie zaniechali Polacy prac dalszych nad wywalczaniem swych praw przyrodzonych. Po śmierci znienawidzonego tyrana Mikołaja I i wstąpieniu na tron Aleksandra II, słynącego już z obietnic, uczynionych jakoby co do reform w naszym kraju na kongresie paryskim, oczekiwano powszechnie dalszego ciągu rządów Aleksandra I i pomyślnego rozwoju co najmniej Królestwa Kongresowego, a nawet rozszerzenia praw polskości w jej przedrozbiorowych granicach zaboru rosyjskiego. To też młody cesarz w czasie swojej bytności w Warszawie, dokąd po raz pierwszy przybył w maju 1856 roku, stał się przedmiotem gorących owacyj; oczekiwano wielkich a pomyślnych zmian. Wszystko się zakończyło na smutnej pamięci słowach: „Point de revèries! Żadnych marzeń; to, co mój ojciec zrobił, dobrze zrobił, i panowanie moje będzie dalszym ciągiem panowania jego". Przejście od najświetniejszych nadziei do tak dotkliwej rzeczywistości było niezwykle rażące i sprawiło wrażenie ogromne! Od chwili bowiem wypowiedzenia tych słów pamiętnych zaczęły występować wśród najlepszych ludzi, do naszej należących narodowości, objawy gorącego patrjotyzmu, a marzenia najbardziej się potęgować zaczęły właśnie w chwili, gdy potępione zostały. Zjawisko to było bardzo naturalne. Większość bowiem ówczesnej młodzieży, wychowana przez wrogów oficjalnie w szkołach moskiewskich, gdzie nauczyła się nienawidzieć swych ciemiężycieli jako narzuconych sobie opiekunów, wykształcona zaś pokątnie na arcydziełach wielkich poetów naszych prawie niepodzielnie, a więc jednostronnie, mierzyła siły swe skromne na

wielkie zamiary i wierzyła, iż wielkie cele dają siły nadprzyrodzone tym, co do nich dążą. Nie wahała się więc ani na jedną chwilę w swych postanowieniach, będąc przekonaną, iż zwycięstwo zależy więcej od wzniosłości zamiarów aniżeli od rozporządzalnych środków. Była to wielka omyłka ze stanowiska praktycznego, ale była nieuniknioną wobec tych warunków, jakie się na wychowanie pokolenia naszego złożyły, pokolenia, które dla patrzących na nie obcych lub znacznie starszych było nie do pojęcia. Wychowane jednak w warunkach wyjątkowych, musiało mieć piętno tych warunków, nie mogąc poddać się krytyce, na logice i matematyce opartej. Najszlachetniejsze i najwznioślejsze postacie tej epoki noszą na sobie cechy niemal szaleństwa. Poezja narodowa ich stworzyła; to też bohaterowie tej strasznej doby dziejowej i ich czyny stanowią bogaty materjał dla dramatu i pieśni. Tem mniej należy się dziwić, iż znaczna większość prasy rosyjskiej w swem bezgranicznem zmaterjalizowaniu i jednostronności nazywała ówczesnych Polaków „pozbawionymi mózgu“ (biezmozgije Palaki).

Po tem zastrzeżeniu łatwiejszem będzie do zrozumienia, iż młodzież polska, ujrzawszy zamiast zmian zasadniczych w rządach samowładnych błahe tylko ustępstwa dla ziem dawnej Polski, jak: amnestję sybiraków i emigrantów, którzy się zdadzą na łaskę i niełaskę rządu, chwilowe powstrzymanie poborów wojskowych, złagodzenie form w zarządach skutkiem wyznaczenia mniej szorstkich wielkorządców na stanowiska namiestnika w Królestwie Polskiem i jenerał-gubernatorów na Litwie i Rusi, oburzoną była w najwyższym stopniu, doznawszy zawodów, jakie ją spotkały, i przyjęła te łaski więcej niż obojętnie, bo z pogardą. Również małe zrobiło wrażenie otwarcie Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem i Archeologicznego w Wilnie tudzież akademji medycznej w Warszawie. Jedyna może kwestja, zapoczątkowana przez ziemian litewskich i popierana przez rząd, a mianowicie włościańska, zwróciła na siebie uwagę młodego pokolenia. Rozwiązanie jej wszakże ostateczne nie na podstawach uwłaszczenia było powodem wielkiego na tem polu rozczarowania i rozgoryczenia młodych. Ponieważ wypowiedzenie pierwszego słowa w sprawie reformy stanu włościańskiego przypisywano szlachcie wileńskiej, kowień-

skiej i grodzieńskiej, niezależna przeto prasa rosyjska w Londynie podnosiła tę jej zasługę i zwracała się z wielką dla narodowości naszej życzliwością, co wpłynęło zkolei na ówczesnych gorliwych czytelników gazety „Kołokoł“ (Dzwon), a więc w pierwszym rzędzie na młodzież w uniwersytetach. Niemało też dowodów sympatji spotykali w owym czasie Polacy od liberalniejszych żywiołów rosyjskich. Młodzież zaś w zakładach naukowych, z wyjątkiem uniwersytetu kijowskiego, poczęła bratać się ze sobą, bez różnicy wyznań i narodowości.

Tak przedstawiały się stosunki rządu i narodu rosyjskiego do społeczeństwa polskiego w zaborze rosyjskim, gdy nadeszły opisane już przez nas wypadki w końcu 1860 roku i początku 1861 r. To, co w różnych miejscach niniejszego pamiętnika nadmieniłem o wewnętrznym rozwoju życia polskiego w Rosji, niemniej jak to, co powiedziałem przed chwilą o stosunkach tego państwa do Kościoła i narodowości polskiej, musiało wyrobić we mnie ustalone poglądy i głębokie przekonanie, któremi w postępowaniu ówczesnem rządzić się usiłowałem.

Do szeregu takich pewników zaliczam następujące: 1) niezachwiane przeświadczenie, iż od rządu rosyjskiego żadnych poważnych ustępstw na rzecz religji katolickiej i narodowości polskiej oczekiwać nie mieliśmy powodów; rząd ten bowiem dał liczne dowody swej głębokiej i niezmiennej nienawiści dla wszystkiego, co polskie i katolickie, i nie zaniechał żadnego środka, zmierzającego ku wytępieniu wyznawanej przez nas religji tudzież naszej odrębności narodowej, czego najświeższym a najjaskrawszym dowodem była tak zwana „sprawa dziernowicka“, która wykazała dobitnie zupełny brak tolerancji religijnej w cesarstwie, nawet za rządów liberalnego cesarza Aleksandra II, w dwa lata po jego wstąpieniu na tron[1]; 2) głębokie

[1]) W roku 1857 parafjanie wsi Dziernowice w gub. witebskiej, niegdyś unici, a w owym czasie z przymusu prawosławni, prosili o pozwolenie cesarskie na powrócenie do kościoła katolickiego; prośbę tę odrzucono i polecono to im objawić. W r. 1859 ponowili oni tę prośbę. Tą razą cesarz wysłał tam senatora Szczerbinina dla nawrócenia obałamuconych, co drogą ciężkich razów do skutku doprowadzonem zostało. Takiż los spotkał pragnących wrócić na łono Kościoła włościan wsi Pawłowo w województwie wileńskiem i we wsi Poroninie w gub. grodzieńskiej. Krążyła o tem nawracaniu głośna w owym czasie anegdota; mówiono, iż niemłoda kobieta, gdy ją po długiem ćwiczeniu smagać przestano, zwrócić się miała do prezydującego temu nawracaniu senatora Szczerbinina z przechwałką: „A wsie taki moja spyna krepsza, jak wasza prawosławnaja wiera!“ — za co, nawiasem mówiąc, dostała biedaczka dodatkową porcję brzozowych argumentów.

przekonanie, iż jedynym naówczas zbawiennym środkiem dla Polski stać się mogło uwłaszczenie włościan w drodze prawodawczej, jako też praca nad umoralnieniem i oświatą, jak nie mniej wszechstronne dokładanie starań, by wytworzyć patrjotyczny stan średni, żydów zaś, o ile się da, unarodowić; wszystkie bowiem usiłowania nasze, ku odzyskaniu niepodległości skierowane, spełzły dotąd na niczem właśnie skutkiem braku świadomych swych celów społecznych i narodowych, mieszczaństwa i ludu wiejskiego; 3) konieczność radykalnej zmiany w poglądach na sprawy ogólne, tudzież w obyczajach i zwyczajach wśród duchowieństwa, magnatów i szlachty.

Co do duchowieństwa, koniecznem było usunięcie uprzedzeń, mocą których przeznaczani są zazwyczaj najmniej zdolni ludzie w rodzinach do tego stanu, gdy właśnie na tem stanowisku powinni się znajdować tylko zacni, mądrzy, wykształceni, a o ile się da zamożni ludzie, mogący Kościół skutecznie bronić od schyzmy, różnice stanów wpływami swemi łagodzić, lud oświecać, wreszcie być deską zbawienia w prowincjach z mieszaną narodowością, w których ma się on za polski o tyle tylko, o ile jest katolickim.

Co do magnatów i zamożnej szlachty, uważałem za nieodzowne energiczne zwalczanie za pomocą opinji publicznej prawie nałogowego opuszczania kraju, tracenia za jego granicami olbrzymich dochodów, wychowywania na obczyźnie dzieci, słowem tych wszystkich złych przyzwyczajeń, które czyniły z tych ludzi nieobecnych w kraju i nie myślących o jego potrzebach obywateli. Co do szlachty mniej zamożnej, widoczną była potrzeba szerzenia wśród niej zamiłowania do wytwórczej pracy, oszczędności, wstrętu do życia nad możność, wreszcie zrozumienia konieczności kształcenia dzieci specjalnie i wdrażania ich zawczasu do ciężkiej a rozumnej pracy. Co się zaś tyczy zagonowej szlachty, uważałem za obowiązek sumienia możniejszych jej braci przejęcie się względem niej uczuciem pokrewnem i wypływające stąd zajęcie się losem tego nieszczęśliwego w narodzie stanu, opuszczonego przez zamożniejszych współwyznawców i świeżo przygnębionego rozporządzeniami Bibikowa, który zniósł wszelkie tej szlachty prawa i przywileje i zapisał kilkadziesiąt tysięcy rodzin, nie mogących dokładnie

wykazać dowodów szlachectwa, do stanu mieszczańskiego i włościańskiego, opodatkowując je i poddając jednocześnie obowiązkowym przepisom co do rekruta. Praca nad podniesieniem dobrobytu, oświaty i moralności, tych młodszych naszych braci mogła w krótkim czasie powrócić stracone dla Polski tysiące pożytecznych pracowników.

Wreszcie, co do kształcenia młodzieży wszystkich stanów, ustaliło się we mnie przeświadczenie, iż należało się nam pogodzić z koniecznością oddawania dzieci do zakładów miejscowych, mimo ujemne warunki, w jakich się znaleść mogą, a to w celu niezrywania zawczasu węzłów z tym krajem, wśród którego całe życie spędzić mają. By wszakże obronić się od przewidywanej w zakładach tych demoralizującej rusyfikacji, należało do szkół rosyjskich przygotowywać dzieci w domu, szczepiąc im od lat najmłodszych gorącą miłość wiary ojców, ojczyzny i plemiennej swej odrębności, równolegle zaś z wykładami szkolnemi nie szczędzić zabiegów i starań, by dostarczyć młodzieży możności kształcenia się w literaturze, dziejach i języku narodowym. Takie tylko odtrutki zdołają przeciwdziałać skutecznie [1]).

Zdawałoby się, iż wobec wyliczonych przed chwilą, trudnych, ale koniecznych do spełnienia doniosłych zadań, mających na celu poprawę społeczną wszystkich warstw polskiego narodu, nie mogło być dwóch zdań, tak co do celu, jako też i co do środków. Co do mnie, uważałem za jedyną drogę właściwą i skuteczną powolną a wytrwałą pracę przez długie lata nad wyrobieniem, udoskonaleniem i rozpowszechnieniem zdrowej, jednej, niezłomnej i stanowczej opinji wśród powszechności i sterowanie nawy nadwerężonego statku naszego narodowego przez tęż opinję. Zapatrywanie to moje nie miało naonczas licznych zwolenników. Na porządku dziennym był spisek jako środek, zbrojne zaś powstanie w niedalekiej przyszłości,

[1]) W dziejach naszych porozbiorowych były pomyślne dla oświaty chwile, w których przewodniczyli jej takiej zasługi mężowie, jak książę Adam Czartoryski i Tadeusz Czacki w początkach XIX stulecia za panowania Aleksandra I i daleko krócej w połowie tegoż stulecia za panowania Aleksandra II, gdy działali Wielopolski w Warszawie i Pirogow w Kijowie. Te wszakże meteoryczne zjawiska nie mogły zmienić ogólnego kierunku w państwie, a w szczególności w polskich krajach zabranych przez Rosję, gdzie władze pracowały zazwyczaj gorliwie nad powstrzymywaniem szerzenia się tej oświaty wogóle, a głównie wśród ludu.

jako cel ostateczny. Wobec tak zasadniczych różnic w zapatrywaniach moich i większości mi współczesnych musiało być i postępowanie nasze zupełnie różnem. Działając zgodnie z memi zasadami, nie znalazłem się wśród trójek Trójnickiego, a do organizacji dziesiętnej wszedłem znacznie później, bo na krótko przed wybuchem powstania na Rusi i niedługo po wybuchu styczniowym w Królestwie, to jest już w 1863 roku. Sądziłem, że do powstania, któremu byłem przeciwny, nie powinienem ręki przykładać; gdyby zaś stało się faktem spełnionym, należało mi znaleźć się w jego szeregach na Rusi, ponieważ tam rozkazywała jedyna władza polska z ramienia rządu narodowego, co ruch w Kongresówce wywołał. Jako przeciwnik tajnych sprzysiężeń, marzyłem zrazu o zastąpieniu ich przez energiczną i stanowczą opinję publiczną, pod wpływem której ważne sprawy narodowe i społeczne uzyskać by mogły pomyślne rozwiązanie. Większość sądziła, iż ślepe posłuszeństwo dzierżonej nieznaną ręką władzy jest najprostszym środkiem prowadzącym do celu.

Były chwile, w których doznałem wątpliwości i zazdrościłem tym, co wszystko w różowem świetle widzieli, pewni, iż pracują skutecznie nad wyzwoleniem ojczyzny. Najczęściej wszakże, ogrzawszy się przy ogniu wybuchów i porywów młodości właściwych, stygłem raptownie, robiąc przegląd naszych rozporządzalnych środków i porównywując je z temi, jakie posiadali nasi wrogowie, poczem pierzchały niestety wszelkie złudzenia! Tak rozumując i widząc, do czego zmierzamy, byłem wciąż smutny i przygnębiony. Opuszczam na chwilę poruszone tu sprawy ogólniejszej natury, by powrócić do wspomnień osobistych. Już z kart uprzednich mógł wywnioskować czytelnik, wśród jakich okoliczności i wpływów zewnętrznych pędziliśmy wraz z moją najdroższą narzeczoną najmilsze w życiu dla kochającej się pary chwile, dzielące dzień zaręczyn od dnia ślubu. Jako gorąco kraj miłujący i pragnący dlań lepszej przyszłości, przypatrywaliśmy się oboje z zajęciem, zachwytem i dumą, tak szybkiemu zbudzeniu się i rozwijaniu objawów życia narodowego, tam nawet, gdzie jego ślady zdawały się zacierać. Ale uczucia te nie były wolne od obaw poważnych, co do ostatecznego wyniku tego rozbudzenia się; nie widzieliśmy bowiem wśród społeczeństwa dostatecznych sił dla walki, do której zdą-

żaliśmy pod naciskiem zapaleńców, nie oglądających się wcale na środki i czerpiących swą wiarę nietylko w wielkości swych celów, ale i w prasie europejskiej i rosyjsko-londyńskiej, budzących wielkie nadzieje.

Wśród takich wrażeń i myśli o jutrze zbliżaliśmy się do terminu ślubu mojej najstarszej siostry, który miał się odbyć w maju 1861 r. O przymiotach siostry mojej Wincenty miałem sposobność już wspomnieć, jako też i o tem, iż była od wczesnej wiosny lat swoich otoczona rojem licznych wielbicieli, postanowiła zaś oddać swą rękę Stanisławowi Miaskowskiemu, który zaledwie ukończył wydział historyczno-filologiczny w uniwersytecie kijowskim ze stopniem kandydata. Był to młodzieniec 21 lat wieku liczący, szczupły blondyn, słusznego wzrostu, nie piękny, ale przyjemnej i bardzo ujmującej powierzchowności. Posiadał on majątek ziemski Olszankę w okolicy miasteczka Cudnowa. Mimo zalety mego przyszłego szwagra, a kolegi z ławki uniwersyteckiej, nie mogłem dlań obudzić w sobie gorącej sympatji. Najwięcej mię w nim odstraszał brak szczerości i jednostajności w postępowaniu, które miało charakter falisty, a fale te robiły niejednokrotnie tak niespodziewane skoki, że nigdy nie można było odgadnąć, czego się trzymać należy w codziennem z nim obcowaniu i czego w danej chwili spodziewać. Zdobył on pierwszeństwo w sercu mojej siostry wytworną zalotnością i jawnem okazywaniem zachwytu dla przedmiotu swych uczuć, ale i w tym stosunku bez chmur i burz obejść się nie mogło.

Z pomiędzy starających się jednocześnie z Miaskowskim o rękę mojej siostry budził we mnie najwyższe współczucie mój przyjaciel Włodzimierz Milowicz. Uczucie jego było tak głębokie, że nie mogło rozpraszać się na zdawkową monetę nadskakiwań i komplementów. Wolał on tę potęgę swych uczuć przelewać w tony, gdy uproszony siadał do fortepianu, który pod jego mistrzowską ręką mówił daleko więcej i śmielej, aniżeli wypowiedzieć może człowiek w mowie potocznej. A wszakże utarte formułki w okazywaniu uczucia zyskały pierwszeństwo! On zaś odszedł zwyciężony i pognębiony, rzucił się w wir życia politycznego i nigdy już potem o założeniu własnej rodziny nie pomyślał. Ślub Miaskowskich odbył się w kaplicy domowej naszego wyszczykuskiego domu, gdzie brat nasz cioteczny,

jedyny żyjący wnuk Alojzego Felińskiego, ks. Feliks Michałowski, pobłogosławił państwa młodych; a że to był rok 1861, w którym przywdziano żałobę narodową, zabaw wcale nie było i młoda para nazajutrz po ślubie udała się do Olszanki, do nowo zbudowanego domku skromnego, ale wygodnego i otoczonego nowo założonym ogrodem.

Od chwili naszych zaręczyn aż do ślubu mojej siostry byłem ciągle prawie w podróży pomiędzy domami moich rodziców, a rodziców mojej narzeczonej, zawadzając w czasie każdej z tych wycieczek o Żytomierz. Od marca przybył mi nowy punkt, Ośniki, dokąd często zaglądać musiałem, w maju zaś do tej listy dopisałem Olszankę, gdzie zamieszkiwała siostra moja. 2/14 lipca 1861 roku i my stanęliśmy na ślubnym kobiercu w sali jadalnej brażynieckiego domu, gdzie ustawiony został ołtarz, przed którym pobłogosławił nas za dyspensą proboszcz parafji toporzyskiej, staruszek ks. Jędrzejowski, ten sam, co nasze pierścionki zaręczynowe poświęcał. Dzień 3 lipca przebawiliśmy w Brażynce, by złożyć życzenia solenizantce, matce mojej żony, p. Kamilli Mianowskiej, a 4 byliśmy już u siebie, na nowej siedzibie w Ośnikach, odległych tylko o wiorst 10 od Brażynki. Nie będę zajmował uwagi czytelnika sprawozdaniem z naszych pierwszych chwil rodzinnego pożycia, powiem tylko, że czas od lipca 1861 r. do marca 1862 zdał mi się jedną pełną słodyczy chwilą; a gdy zmuszeni okolicznościami zmienialiśmy miejsce naszego pobytu na inne, czyniliśmy to z bólem serca, bo ściany domu ośnickiego pozostawiły na całe życie najmilsze wspomnienie, gdyż ze ścianami temi łączyła nas najserdeczniejsza zażyłość.

Wkrótce po ślubie zrobiliśmy wycieczkę, by oddać rodzinom naszym wizyty. Zaczęliśmy od krewnych mojej żony, zamieszkałych przeważnie w północno-wschodniej części powiatu żytomierskiego. Na naszej drodze spotkaliśmy najpierw dom jej rodziców, gdzie kilka dni zabawiliśmy, czyniąc stamtąd wycieczki: do stryjenki Maryni, pani Janowej Mianowskiej w Sałach, do pp. Józefów Szaulińskich, siostrzanów p. Mianowskiego w Bukach, a wstąpiwszy do moich krewnych Ciechockich, gdziem po raz pierwszy żonę moją najdroższą poznał i gdzie każden kącik wywoływał miłe przypomnienie, zdążyli-

śmy na noc do Lisowszczyzny, miejsca zamieszkania macierzystej babki mojej żony, czcigodnej staruszki Schabickiej i państwa Henryków Jezierskich, otoczonych liczną rodziną. Pani Jezierska była rodzoną ciotką mojej małżonki, córki zaś jej: Salomea, Filipina, Emma, Barbara i Cecylja były nie tylko kuzynkami, ale i przyjaciółkami. Dwie z nich miały już mężów: starsza Salomea wyszła bowiem za Marcelego Malickiego, Filipina za Władysława Wielohorskiego. Nadto mieli Jezierscy trzech synów żyjących: Euzebjusza najstarszego i dwóch malców, Atanazego i Modesta. W Lisowszczyźnie gościliśmy dni kilka, podejmowani przez gospodarzy po staropolsku. Był to dom patrjarchalny, jaki nawet w owym czasie rzadko spotykać się dawał. W dalszym ciągu odwiedziliśmy Władysławowstwa Wielohorskich w Złobyczy. Gospodarz domu, urodzony z Czaplicówny, był cioteczno rodzonym bratem matki swojej żony, p. Jezierskiej, pani Kamilli Mianowskiej i pana Michała Schabickiego, z drugiej Czaplicówny się rodzących. Trzecia z nich była za Bielińskim, do którego syna Ferdynanda, zamieszkałego w Chołosnej a ożenionego z Rakowską, wstąpiliśmy na kilka godzin.

Pozostawał nam jeszcze najdalszy punkt naszej w tych okolicach wycieczki, a mianowicie Kleszcze, w powiecie owruckim położone, stanowiące dziedzictwo powróconego niedawno z Syberji, Antoniego Pauszy, przyrodniego brata staruszki Schabickiej i nieżyjących już Wielogorskiej i Bielińskiej. Droga poleska do Kleszczy prowadząca dała się dobrze we znaki. Nocleg w chacie pełnej robactwa nie powiódł się nam i zmuszeni byliśmy szukać schronienia w powozie. Brak prawie zupełny siedlisk ludzkich przy drodze, lud na wpół dziki, uciekający na widok podróżujących, pozbawiały możności zasięgnięcia wskazówek co do dalszej drogi; wszystko to razem czyniło całą tę podróż bardzo uciążliwą. Gościnność i serdeczność, z jaką nas spotkano, wynagrodziło w części napotkane przeciwności. Staruszek Pausza był otoczony liczną rodziną kucharza Sybiraka, którego zabrał z sobą, wyjeżdżając z gub. tobolskiej. Opuszczając Kleszcze, gdzie parę dni spędziliśmy, i powracając tą samą drogą, którąśmy niedawno przebyli, zatrzymywaliśmy się znowu kolejno u Wielohorskich, Jezierskich i Mianowskich, a ukończywszy tę pierwszą serję odwiedzin i wypocząwszy dni

kilka w Ośnikach, ruszyliśmy w stronę przeciwną. Tym razem rozpoczęliśmy odwiedziny od wuja mojej żony, Michała Schabickiego w Jankowcach, zatrzymując się w dalszym ciągu: w Olszance u Miaskowskich, u moich rodziców w Wyszczykusach, u dziadowstwa Michałów Trypolskich w Cudnowie, Andrzejów Niewmierzyckich w Stołpowie, wujowstwa Sewerynów Budzyńskich i Antoniowstwa Duninów w Lubarze, Franciszka Konopackiego w Gizowszczyźnie, Szymona Konopackiego i córki jego Czarnołuskiej w Ławrynowcach i wujowstwa Michałów Budzyńskich w Kapustynie.

Powracając do domu, zatrzymaliśmy się jeszcze dni kilka u moich rodziców, skąd złożyliśmy uszanowanie nasze w najbliższem ich sąsiedztwie, a więc: babce Marcellanowej z Wasilewskich Budzyńskiej, jej siostrom i bratu Wasilewskim i jej córce a naszej ciotce, Klementynie Łepkowskiej w Romanowie, Albinowi i jego siostrze Aleksandrze Piotrowskim w Bratałowie (Małym), krewnym żonie mojej Pawłom Kalitowiczom w Bratałowie Wielkim, pp. Spirydjonom Ostaszewskim w Awratynie, pani Karolowej Burzyńskiej w Borkowcach itd. Nie odwiedziliśmy tylko kilku domów nam pokrewnych, zamieszkałych od nas w znacznej odległości, jak: Hieronimowstwa Błażowskich w Galicji, Piotrów Wyrzykowskich na Podolu, Eustachów Ruczyńskich w Horodnie w powiecie włodzimierskim i Antoniego Konopackiego w Hotuzji na głębokiem Polesiu Wołyńskiem w powiecie łuckim — i innych dalej zamieszkałych.

Powróciwszy do siebie, a czyniąc zadość prośbie pp. Izdebskich, pracowałem wspólnie z ich synem Juljanem nad ułożeniem projektu tak zwanej Ustawnej Hramoty. Wziąwszy tę czynność do serca, starałem się we wszystkich punktach projektu być objektywnym i jak najsprawiedliwszym. A jakkolwiek niejeden raz przechodziło mi przez myśl, że szlachta polska, pozbywając się połowy ziemi na rzecz Rusinów, może zczasem zapłacić koszta tego pełnego ludzkich zasad przedsięwzięcia, mimo to idąc za duchem czasu i za bezwzględną słusznością starałem się przeprowadzić w projekcie dwie zasady: separat i uwłaszczenie na mocy umowy dobrowolnej. Nie potrzebuję tu dodawać, iż spotkałem na tem polu wielki zawód. Brak wiary w to, by szlachta była w stanie zdobyć się na

sprawiedliwe rozwiązanie trudnej kwestji, stawał na przeszkodzie układom, ciągłe zaś bałamucenie włościan przez najniższych urzędników, a może i agentów, zajmujących się propagandą, nie pozwoliły na doprowadzenie ich do pożądanego i ostatecznego końca. Wobec tego zatrzymać się musiałem na gruncie rządowym, to jest określić normy czynszowe z prawem zastępowania wypłat robocizną wedle jej urzędowej oceny.

Powracam do spraw ogólniejszych, o których mówiąc zatrzymałem się na chwili zamknięcia Towarzystwa Rolniczego, w dniu 7 kwietnia 1861 roku. Przewódcy ruchu układali w nocy z 6 na 7 tegoż miesiąca program wielkiej manifestacyjnej owacji na cześć byłego prezesa rozwiązanego Towarzystwa Rolniczego, pana Andrzeja hr. Zamojskiego. Rozpoczęto dzień 7 od odwiedzania grobu 5 poległych, dokąd od rana dążyły pojedyńcze procesje, pomimo skupienia wojsk w tej okolicy. Z Powązek skierowywano się w godzinych poobiednich do gmachu, w którym ongi obradowało Towarzystwo Rolnicze, i zawieszono tam nad wejściem wieniec i girlandy, zaś orłem białym, wyciętym z papieru, pokryto herb państwa. Stąd ruszono ku placowi Wareckiemu, by zlać się z tłumem, dążącym z tego placu przez Świętokrzyską do pałacu Zamojskich, gdzie złożono prezesowi zamkniętego Towarzystwa Rolniczego wieńce i transparenty, poczem zmierzano na plac Zygmunta, na którem zebrało się już dużo ludzi i wojska. Targi o rozejście się, prowadzone zrazu przez namiestnika Gorczakowa i Kotzebuego, okazały się bezskutecznemi; po rozmówieniu się zaś z Chrulewem, gdy ostatni zgodził się na cofnięcie wojsk, tłumy również przyrzekły rozejść się i obietnicę spełniły; ale uznały siebie za zwycięzców, co nie zostało bez wpływu na wypadki dnia następnego, to jest 8 kwietnia, w którym postanowiono demonstracyjnie zaznaczyć braterstwo z żydami, zwanymi naonczas powszechnie: „Polakami mojżeszowego wyznania".

Począwszy więc od oddania ostatniej posługi sybirakowi Ksaweremu Stobnickiemu, ruszył tłum z Senatorskiej na Powązki, stamtąd zaś na kierkut czyli cmentarz żydowski, gdzie postanowiono oddać cześć zmarłemu przed dwoma laty a pochowanemu tam przełożonemu szkoły rabinów, Eizenbaumowi, który w ciągu całego swego zawodu pedagogicznego nauczał

o potrzebie pojednania się i zbliżenia Izraelitów z Polakami i dążenia do wspólnych celów. Przybyli na kierkut powitani zostali przez licznie tam zgromadzonych starozakonnych; objawom braterstwa i serdeczności nie było końca. Wreszcie postanowiono zebrać się ponownie na placu Zygmunta, gdzie już od kilku godzin począł się lud skupiać, nie mniej jak wojsko, którego zebrało się przeszło 1000 piechoty i 300 konnicy. Gdy obie strony stoją naprzeciwko siebie w pozycji wyczekującej, przejeżdża pocztowa kurjerka, dążąca na trakt lubelski. Pocztyljon zagrał na trąbce mazura „Jeszcze Polska nie zginęła!", za co go spotkała ze strony tłumu owacja, połączona z chęcią towarzyszenia mu na Pragę, czemu się znowuż wojska oparły i zaczęły formować w szyk bojowy na środku placu. Zastępy ludzi wciąż się zwiększały i przedstawiały szczelnie zbitą masę. Grobową prawie ciszę przerwał adjunkt Ojrzyński, odczytując z polecenia namiestnika trzykrotne wezwanie do rozejścia się. Wygłoszenie doniosłym głosem tego rozkazu przyjęte zostało gwizdaniem, wyciem i śmiechem, co wszystko złożyło się na iście kocią muzykę. Ojrzyński usunął się z placu, a na czele wojsk wystąpił Chrulew. Po kilkakrotnych bezskutecznych usiłowaniach rozpędzenia tłumów za pomocą szarży żandarmów, płazowania i kolb, przewódca wojsk wysunął na plan pierwszy piechotę, zwracając ją ku ulicom, mającym ujście na placu Zygmunta. Dano ognia zrazu w stronę Piwnej i Marjensztadtu; wystrzelono około 500 ładunków, zabito dwustu i tyluż raniono. Tłum party przez wojsko począł pierzchać. Zdobywcy placu zbierali trupy i rannych zrazu do zamku, potem do cytadeli.

Wypadki dnia tego przypisywano pośrednio Wielopolskiemu, który wywołał je zamknięciem Towarzystwa Rolniczego, a widząc skuteczne stłumienie orężne tego ruchu, powiedział: „porządek publiczny został w tem krwawem starciu ocalonym". Wobec tego, iż przed opisującemi się tu wypadkami w Warszawie i całej Polsce Kongresowej wyznaczono naczelników wojskowych z władzą nieograniczoną, łatwo pojąć, jakie rozpasanie i samowola w otoczeniu tych na małą skalę dyktatorów zapanować musiały. Łubieński, stojący u steru sądownictwa, za to, iż żądał, by spisano stosownie do praw obowiązujących

akta zejścia wszystkich, w starciach z wojskiem w dniu 8 kwietnia zabitych, dostał dymisję i nikt go nie chciał zastąpić. Czyni to wkońcu Wielopolski, a obejmując nową godność obiecuje wymagane akta zejść sporządzić (czego naturalnie nigdy nie spełnił), w przemówieniu zaś do przedstawicieli sprawiedliwości, a swych nowych podwładnych, używa tak niezręcznych i drażniących wyrazów, że wszystkich na siebie oburzył i staje się jeszcze niepopularniejszym jak dotąd. Mógłby może wziętość u młodzieży odzyskać, gdyby kwestję włościańską wprowadził na tory uwłaszczenia; ale do tego nie dorósł i ugrzązł w oczynszowaniu z urzędu, zbliżając się tym sposobem do ukazu z dnia 19 lutego (3 marca), który również poprzestał na czynszach, mogących zamieniać się w robociznę.

Gdy się to dzieje w Kongresówce, manifestacje stają się coraz donioślejszemi i na Litwie. Pierwsza z nich odbywa się w Wilnie w dniu 8/20 maja 1861 r. na święty Stanisław, we wszystkich tego miasta kościołach. Wkrótce potem na pogrzebie studenta Barancewicza zebrał się 10-tysięczny tłum, by w jego osobie uczcić uczącą się młodzież patrjotyczną polską. Z Wilna poczynają się szerzyć manifestacje po miastach i miasteczkach całej Litwy i Białorusi. Uroczystość Bożego Ciała gromadzi znowu w kościołach wileńskich i na ulicach miasta przeszło 20000 ludzi, a wszędzie obok pieśni religijnych wznoszą się hymny narodowe. Ruś manifestuje się również, ale daleko słabiej.

W Warszawie umiera dnia 29 maja 1861 r. namiestnik Gorczakow. Chwilowy jego zastępca jenerał Suchozanet mógł się pochlubić tem, iż pomimo swoją głupotę niewiele złego zrobił, narażając się codziennie raczej na śmieszność aniżeli na potępienie i przekleństwo. Ruch niezależnie od zmiany osób, piastujących najwyższą władzę, rozwijał się stopniowo, ale ciągle, w ostatnich zaś czasach, zaczął oddziaływać na prowincję za pośrednictwem wysyłanych tam rzemieślników, których kilkuset wyprawiono do rozmaitych zakątków kraju. W tymże czasie rozesłano w stu tysiącach egzemplarzy: „Posłanie do wszystkich rodaków". Był to program działania, zredagowany przez Agatona Gillera, a odbity przez Marcina Borelowskiego, streszczający przekonania umiarkowanych i rozważnych stronników

powstania obrachowany na daleką przyszłość i prawdopodobne zwycięstwo, po gruntownem przygotowaniu odpowiednich środków, co nie przeszkodziło odbywaniu się w dalszym ciągu manifestacyj, do których stały się powodem: śmierć Joachima Lelewela w dniu 29 maja i zgon ks. Adama Czartoryskiego w dniu 15 lipca. Te dotkliwe straty narodowe zostały uroczystemi obchodami żałobnemi w całym kraju uczczone.

W początkach czerwca nadchodzą z Petersburga ukazy o utworzeniu Rady Stanu, rad gubernjalnych, powiatowych i miejskich w Kongresowej Polsce. Wybory do tych rad odbywać się miały w końcu września. Nim wszakże to nastąpiło, nadszedł dzień 12 sierpnia, rocznica pamiętnej w dziejach naszych unji lubelskiej. Wszędzie obchodzono ją uroczyście, ale szczególnego rozgłosu nabrały manifestacje w mieście Lublinie, gdzie był pomnik na pamiątkę tej unji wzniesiony, tudzież w pobliżu Kowna na moście przez Niemen rzuconym, łączącym z sobą Litwę i Królestwo, gdzie się spotkały dwie procesje: jedna dążąca z Augustowskiego przez górę Aleksotę, druga zaś ze stolicy Żmudzi. By nie dopuścić spotkania, władze rosyjskie rozebrały środek mostu; przybyli więc z obu stron ograniczyć się narazie musieli na śpiewach patrjotycznych i obrzuceniu się wzajemnem kwiatami. Gdy zaś most został naprawiony, pomimo obecności wojsk rosyjskich połączone procesje rzuciły się sobie w objęcia z objawami najwyższego rozrzewnienia. Nazimow, gdy się dowiedział, był wściekły, widząc iż wszystkie rozporządzenia jego nie odnoszą żadnego skutku.

W Wilnie tymczasem, gdzie żywioły mieszczańskie były głęboko patrjotycznie usposobione, po rozejściu się fałszywej pogłoski o przybywającej jakoby z Królestwa w dniu 18 sierpnia procesji tłumy ruszyły z miasta na jej spotkanie. Gdy zaś znany z niegodziwości policmajster Wasiljew nie mógł gromadzącego się za miastem ludu nakłonić do powrotu, nakazał obecnemu tam wojsku dać ognia, skutkiem czego padło 10 zabitych i około 100 rannych. Po tem pierwszem zbroczeniu krwią bezbronnych ziemi litewskiej oburzenie całego społeczeństwa litewskiego doszło do szczytu swego natężenia. Hercen zaś wygłosił w swoim „Kołokole“, iż car, który niedawno, bo w kwietniu, utracił prawa do żywej Polski, traci je obecnie

i do Litwy i odtąd wlec je tylko może jako bezduszne ciała przy swoim zwycięskim rydwanie.

Gdy tak rzeczy stały w krainie Gedymina, mianowano namiestnikiem Królestwa łagodnego i wytwornego hrabiego Lamberta, który jako Francuz z pochodzenia i katolik miał i okazywał wielką przychylność dla narodowości polskiej i opinij, panujących w kraju. Natomiast całe jego otoczenie i władze wojskowe z nowo naznaczonym jenerałem Gerstencwejgiem na czele wyglądało niecierpliwie zastosowania najgwałtowniejszych środków, by zgnieść ruch ostatecznie. Postępowanie hr. Lamberta nie podobało się również Wielopolskiemu, zwolennikowi metody uszczęśliwienia Polaków środkami gwałtownemi. Po 20 września rozpoczęły się wybory do rad w miastach i na prowincji i ukończyły się pomyślnie 1/13 października, co stanowiło zwycięstwo umiarkowanych. Mimo to stronnictwo ruchu wzmagało się z dniem każdym na siłach, spotykając nie tylko coraz większe poparcie w kraju, ale niemniej zachętę ze strony rewolucjonistów rosyjskich, którzy w swem tajemnem wydawnictwie: „Wielikorusie“ obiecywali wybuch powstania w Rosji w lecie 1863 roku i domagali się wyzwolenia ujarzmionej Polski. Pod wpływem też tego stronnictwa manifestacje szerzyły się coraz silniej i przedstawiały się coraz wspanialej, jak to miało miejsce szczególniej w Częstochowie, a więcej jeszcze w dniu 14 września na odpuście w klasztorze świętokrzyskim w górach tegoż nazwiska, gdzie zgromadziło się z różnych stron kraju przeszło 40.000 pątników i gdzie śpiewano pieśni patrjotyczne przy rozwiniętych sztandarach narodowych. Te kolosalne manifestacje, jako też cały szereg drobniejszych, codziennie powtarzających się obchodów, utrzymały w narodzie nastrój nawskróś mistyczno-patrjotyczny.

Ruś, najmniej w polskości swej jednolita, słabsze też daleko, jak to już zaznaczyliśmy, dawała oznaki życia na polu demonstracyj. W jesieni wszakże 1861 r. zaszła drobna okoliczność, która pobudziła stolicę Wołynia, miasto Żytomierz, do bardzo niewczesnej manifestacji. W czasie obchodu rocznicy unji lubelskiej na dniu 12 sierpnia 1861 roku wyróżniła się jako bardzo gorliwa uczestniczka tych narodowych uroczystości córka jenerała wojsk rosyjskich, już nieżyjącego, urodzona

z Kosakowskiej, panna Henryka Pustowojtow. Dowodzący wojskami w Lubelskiem, jenerał Chruszczow, chcąc się tej patrjotki pozbyć z Lublina, wyjednał u namiestnika pozwolenie wysłania jej do Moskwy i wyprawił ją wraz z babką Kosakowską z miasta. Ale te panie, zatrzymawszy się we Włodzimierzu Wołyńskim z powodu choroby panny Henryki, wyrobiły sobie w drodze korespondencji u nowego namiestnika hrabiego Lamberta pozwolenie zamieszkania w Żytomierzu, gdzie stale przebywała pani jenerałowa Pustowojtow, matka. Panie te przybyły do Żytomierza w końcu sierpnia. Tu młoda wygnanka zwróciła na siebie uwagę i obudziła powszechne zajęcie. Młodzież zaś, widząc w niej bohaterkę dnia, starała się jej przypodobać, biorąc udział w coraz to nowych manifestacjach. Wpływowi też jej moralnemu przypisać należy pojawienie się w tem mieście na bulwarze, zwanym dawniej Bazyljańskim, a naonczas Sobornym, w nocy z dnia 19 września (1 października) na 20 września (2 października) 1861 roku krzyża czarnego z białemi obwódkami, koroną cierniową i napisem: „Braciom poległym w Warszawie dnia 27 lutego i 8 kwietnia". Policja, obejmując swe ranne posterunki, została zaalarmowaną widokiem krzyża z oznakami buntowniczego pochodzenia, niezwłocznie go wykopała i odesłała do cyrkułu, zwanego w języku urzędowym: „Czasć", co oznacza policyjną juryzdykcję pewnej części miasta.

Gdy się żytomierskie panie o tem sprofanowaniu krzyża dowiedziały, zwołały wiec niewieści i postanowiły wycofać go z więzienia, nie szczędząc trudów i zabiegów. Zaczęły od biskupa Borowskiego, żądając jego interwencji. Ten starał się przekonać, iż to nie był krzyż poświęcony, a więc i mowy nie może być o jego profanacji. Wogóle biskup Borowski, jako mocno przeciwny manifestacjom, wkraczającym w granice spraw religijnych, kierunek ten, o ile mógł, zwalczał, mając dość słuszne obawy, iż rząd rosyjski starannie szuka pretekstu, aby móc przedstawicielom Kościoła zarzucić politykowanie i korzystając z tego skrępować go nowemi prawami wyjątkowemi. Nie uzyskawszy nic od biskupa, liczny zastęp pań w czarnych, różnemi godłami narodowemi i demonstracyjnemi ozdobionych szatach, udał się do gubernatora księcia Druckiego Sokolnickiego, gdzie przybyłym odmówiono narazie wstępu; wkońcu

uproszono o wybór delegacji z trzech osób złożonej dla odbycia konferencji. Wybrano trzy przedstawicielki: panią Bohomolcową, Sławkową i Pietkiewiczową, żonę Antoniego Pietkiewicza (Adama Pługa). I tutaj wszakże nic one nie wskórały, obiecano im tylko w czasie właściwym odesłać krzyż do kościoła lub spalić i pożegnano grzecznie, ale dość stanowczo. Koniec tej całej sprawy miał arcyniemiłe dla trzech delegatek następstwa. Po kilku dniach bowiem wysłano panią Pietkiewiczową na mieszkanie do Owrucza, panią Bohomolcową do Berdyczowa, zaś panią Sławkową do Staro-Konstantynowa. Musiał więc jak niepyszny wyruszyć i Pług dla towarzystwa swej żony do Owrucza i z tego drewlańskiego grodu wysłał do profesora Tytusa Kosowskiego, kolegi i przyjaciela, humorystyczny wiersz, opiewający całą tę sprawę, który tu w aneksach umieszczam.

Zaledwie przebrzmiały na Wołyniu echa tej najniepotrzebniejszej i najniewłaściwszej, bo w 4 do 5 miesięcy po krwawych zajściach warszawskich dokonanej demonstracji, gdy rozpoczęły się przygotowania do wzięcia udziału w wielkiej manifestacji narodowej ku uczczeniu 450 rocznicy unji horodelskiej, podpisanej w 1413 roku, a odbyć się mającej 10 października now. stylu 1862 roku w Horodle, gdzie miały się spotkać zastępy Polaków, Litwinów i Rusinów celem odnowienia uroczystego aktu, łączącego trzy te narody. Odezwy z zawiadomieniem o tej uroczystości powoływały ziemian i włościan wszystkich województw i ziem dawnej Polski tudzież wszelkie ciała społeczne i stowarzyszenia prywatne bez różnicy stanów, narodowości i religji. Nadto ksiądz Laurysiewicz, Rusin, unita, nie szczędził zachodu, by zgromadzić jak największą ilość Rusinów, nie tylko z granic dawnej Rzeczypospolitej, ale i z Zadnieprza ukraińskiego. Przed zjazdem postanowiono herb Rusi, Michała archanioła, dodać do herbów Polski i Litwy i tym sposobem utworzyć wspólną tarczę trójherbową. Już 9 października przybyło w okolice Horodła od strony Królestwa przeszło dziesięć tysięcy ludzi, zaś od strony Wołynia parę tysięcy i te ostatnie zatrzymały się w Uściługu. Głównodowodzącym wojskami w miejscowości na zjazd obranej był naczelnik wojenny gubernji lubelskiej, jenerał Chruszczow. Oświadczył on zebra-

nym w pobliżu Horodła tłumom, że ich do miasta nie wpuszczą, a jednocześnie nakazał swym wojskom strzec pilnie przeprawy przez Bug w Uściługu. Po długich pertraktacjach zezwolił nareszcie na odprawienie mszy św. w polu. Obrano na ten cel wzgórze i na niem urządzono ołtarz polowy, przy którym przybyły z Lublina ksiądz kapucyn odprawił solenne nabożeństwo. Po odśpiewaniu hymnów narodowych i wygłoszeniu w połowie mszy św. przez ks. Laurysiewicza, porywającego, a do okoliczności zastosowanego kazania, spuszczono przed samem Podniesieniem ku ziemi chorągwie kościelne, odjęto je od drzewców, do których natomiast przytwierdzono sztandary województwa, i wzniesiono raptownie w czasie Podniesienia, co na obecnych sprawiło wielkie wrażenie!

Gdy się nabożeństwo ukończyło, pokryto tysiącami podpisów akt, wznawiający unję Polski, Litwy i Rusi, na zasadach uprawnienia wyznań i narodowości. Takiż akt podpisany został w Uściługu przez przybyłych tam polskich przedstawicieli Wołynia, Podola i Ukrainy. W tymże prawie czasie odbywają się w Warszawie niezwykle uroczyście: w dniu 10 października eksportacja zwłok, zaś 11 tegoż miesiąca pogrzeb arcypasterza Fijałkowskiego, na którym występują przedstawiciele protestanckiego duchowieństwa i rabini z dziesięciorgiem przykazań. Po pogrzebie przybyłych na te obchody włościan gościła szlachta w Hotelu Europejskim. Nabożeństwa za duszę ś. p. arcybiskupa odprawiono w całem Królestwie, na Litwie i Rusi. Zbliżająca się dnia 15 października rocznica śmierci Kościuszki, a 19 tegoż miesiąca ks. Józefa Poniatowskiego, zapowiadały nowe wielkie uroczystości. Wiedząc o tem, otaczający namiestnika wojskowi domagali się ogłoszenia w dniu 14 października stanu oblężenia w Warszawie, co tenże pod naciskiem uskutecznił, wydając jednocześnie srogie rozporządzenia. Mimo to, 15-go lud napełnił kościoły: świętojański, bernardyński i świętokrzyski. W katedrze na katafalku, wspaniale urządzonym i rzęsiście oświetlonym, widniał portret Kościuszki, inne świątynie były również świetnie przybrane. Jenerał Gerstencwejg za zgodą namiestnika otoczył trzy wyżej wymienione kościoły, ale zapewnił, że się żadnego gwałtu nie dopuści.

Lud zdołał wyjść ze świętokrzyskiego kościoła nieza-

mkniętemi przejściami, ze świętojańskiego zaś i bernardyńskiego wychodzić nie chciał, mimo żądania przybyłych z wojskiem jenerałów, i pozostał w nich przez noc całą. Nadedniem policjanci i żołdactwo na rozkaz starszyzny poczęli opierających się gwałtem wywlekać, zrazu na podwórze zamkowe, a potem do cytadeli. Aresztowanych okazało się 2.000 zgórą. Namiestnik Lambert, który się nie spodziewał takiego zakończenia sprawy, przemówił się bardzo ostro z Gerstencwejgiem, poczem nastąpił głośny w owym czasie pojedynek amerykański między tymi dwoma dygnitarzami, następstwem którego była śmierć Gerstencwejga po 19-dniowych męczarniach, skutkiem zadanych sobie ran, i wyjazd Lamberta na Maderę po ciężkich krwotokach, wywołanych głębokiem wzruszeniem. Nazajutrz po tych wypadkach w Warszawie i całym kraju zapanowało niezwykłe oburzenie i rozgoryczenie. Powszechnie obawiano się wybuchu. Kapituła postanowiła zamknąć kościoły, ochraniając je od profanacji. Prowincja, naśladując Warszawę, urządzała obchody żałobne za arcybiskupa Fijałkowskiego.

W Kijowie taki obchód w dniu 5/17 października zakończył się awanturą. Policjant Matkowski, znany jako biegły i szkodliwy szpieg, zaczął notować nazwiska obecnych, co widząc młodzież uniwersytecka otoczyła go ze wszech stron, wydarła mu z rąk spisy, a gdy się chciał bronić, wytłukła go dotkliwie. Że zaś było to w czasie, gdy wydane zostały nowe dla uniwersytetów prawidła, korzystając z roznamiętnienia większości ruszono z kościelnego krużganku wprost do sali uniwersyteckiej i tam podruzgotano szafki, w których mieściły się wszystkie rozporządzenia rządowe, czem postawiono stanowczy krok przeciwko nowym urządzeniom, gdy wszystkie inne, świeżo organizowane korporacje nie polskie naradzały się bezskutecznie, nie mogąc przyjść do jednolitego zapatrywania się na tę kwestję i do postanowienia, jak mają sobie w tym wypadku postąpić. W dniu następnym wśród tłumnego zgromadzenia przyszło do zajść między studentami Polakami i Rosjanami, którzy unikając rozdrażnionej większości uznali za stosowne usunąć się w tym dniu od obrad. Następnie wyjednali u władzy pozwolenie zebrania się w uniwersytecie dla omówienia sprawy nowych rozporządzeń. Zeszli się do auli Nr. 2 wszyscy prawie

studenci nie-Polacy, tak iż miejsc brakło. Na prezesa obrano Dragomanowa, który postawił jasno dwie kwestje: 1) czy to, co zostanie postanowionem, ma obowiązywać wszystkich obecnych? 2) jak się mają zachować obecni w stosunku do manifestacji, wykonanej przez Polaków? Po długich sporach uznano za obowiązujące dla wszystkich to, co będzie postanowionem przez większość. Co do drugiego punktu zdania zupełnie się podzieliły i po długich zaledwie debatach i głosowaniu postanowiono podać do władzy protest przeciwko zachowaniu się Polaków, nie poruszając kwestji nowych prawideł. Z projektów redakcji tego protestu utrzymał się najskrajniejszy. Sprawa o pobicie Matkowskiego napełniła znowu cytadelę kijowską, ale skończyła się bagatelą; kilku bowiem tylko studentów skazano na krótkoterminowe więzienie, przetrzymawszy ich w cytadeli aż do 1864 roku. Smutny objaw rozdwojenia między młodzieżą różnych narodowości w rzeczach najzupełniej nawet wspólnych widzimy naonczas jedynie tylko w uniwersytecie kijowskim, co w znacznej części zawdzięczaliśmy usiłowaniom Antonowicza, który uznał za stosowne łączyć się wraz ze swą hromadą ze wszystkiem, co niepolskie i przeciwko wszystkiemu, co cechę polskości nosiło.

Opisane tu pokrótce wypadki zamykają okres tak zwanych manifestacyj; zastępuje go inny, nacechowany stanowczą dążnością do wywołania zbrojnego powstania. Odkładając na chwilę rzecz o tym okresie, powracam znowu do spraw moich osobistych. Ponieważ pp. Władysławowie Mianowscy przeznaczali oddawna mojej żonie jako wiano folwark Prażów, obok wioski tegoż nazwiska położony, a że dzierżawca tego majątku pragnął ustąpić, państwo Izdebscy zaś powrócić chcieli do Ośnik, zaproponowali więc nam rodzice Mianowscy objęcie w tymczasowe posiadanie Prażowa, nim się konieczne formalności ukończą, celem przelania przez matkę nieruchomości tej na rzecz córki. Czyniąc zadość tym chęciom, przenieśliśmy nasze milutkie meble i graciki do walącej się i wilgotnej chałupy prażowskiej, projektując wybudowanie nowego mieszkalnego domu w niedalekiej przyszłości, jako też założenie ogrodu. Nowa siedziba nasza nad rzeką Kodenką, odległą tylko o kilkaset kroków od znacznie większej rzeki Hujwy, nad brzegiem której były

młyny, przynoszące znaczny dochód, przedstawiała się bardzo sympatycznie.

Majętność ta spadła niespodziewanie na matkę mojej żony w sposób następujący. Właścicielem wsi: Jankowiec, Prażowa i Horodyszcza, był pan Adam Schabicki, stary kawaler, lubiący przypodobać się władzom, bez przebierania w środkach, w nie najlepszych zaś stosunkach ze stryjecznym swym bratem i siostrami żyjący, jako ludźmi innych zupełnie przekonań. Miał on zamiar, z którym się nie taił, zapisania p. Nepomucenowi Giżyckiemu z Mołoczek całego swego majątku; ale nim się do tego zabrał, umarł nagle, a dobra jego spadły na rodzonego wuja mojej żony, czcigodnego Michała Schabickiego. Ten zaś, gorąco miłujący swe siostry i przeciwny w zasadzie stosowaniu się do praw rosyjskich, mocą których praktykowało się częstokroć na Litwie i Rusi wydzielanie tym ostatnim czternastej części majątku po rodzicach i usuwanie zupełne od spadku po dalszych krewnych, postanowił przekonania te w czyn zamienić i postawiając sobie Jankowce, przelał na siostrę Henrykową Jezierską Horodyszcze, zaś na Kamillę Władysławową Mianowską Prażów. Ojciec mojej żony posiadał majątki na Polesiu, a mianowicie: Brażynkę, Sielec, Marjanówkę i Rosówkę w powiecie żytomierskim gub. wołyńskiej, wioseczkę Ossówkę zaś w powiecie radomyślskim gub. kijowskiej, na których to dobrach była lokowana i suma posagowa matki mojej żony.

Objęliśmy w posiadanie Prażów zupełnie prywatnie; ja zaś z dzierżawy ośnickiej, dzięki temu, że mną kierował doświadczony stary sługa ojca mojego, Wojciech Zieliński, wyszedłem obronną ręką i wydobyłem oprócz przeżycia cały mój wkład t. j. około 3.000 rs. Już na wiosnę 1862 roku byliśmy na miejscu, w bardzo wilgotnym, bo na źródłach stojącym domu, do chałupy z wyglądu podobnym, ale posiadającym sześć pokoi z przedpokojem. Całą usilnością moją w Prażowie było utworzenie remanentu, podtrzymanie starych budowli i przygotowanie materjału do nowych budynków gospodarskich i na dom mieszkalny. Cel ten został w znacznej części osiągnięty już w końcu 1862 r. Miałem bowiem dostateczny inwentarz żywy i martwy w zakresie gospodarskim i część budulca, a mianowicie tysiąc desek i 300 korcy podolskiego muszlowego wapna.

Sąsiedztwo, z którem mieliśmy bliższe stosunki, było nieliczne. W Jankowcach mieszkał ukochany przez nas obojga wuj mojej żony, Michał Schabicki, idealnie prawy, szlachetny i bezinteresowny człowiek; z żoną, małej wartości kobietą, oddawna się rozstał, dzieci nie miał wcale. Z domem tym, acz na stopę kawalerską prowadzonym, łączyła nas bardzo serdeczna zażyłość, niemniej jak z domem pp. Karolów Jezierskich w Syngurach. Z pozostałymi sąsiadami naszymi, na wsi zamieszkałymi, ja sam tylko komunikowałem się. Za to w Żytomierzu, jako oddalonym od nas o wiorst dziesięć bywaliśmy często, skutkiem czego wywiązały się z kilku domami w tem mieście bliskie towarzyskie stosunki.

Odnowiłem znajomość z uczonym i wysoce szlachetnym, chociaż bardzo zjadliwym względem niegodziwych, doktorem Marjanem Edwardem Gallim, znanym mi jeszcze z lat dziecinnych w Wołosowie, gdzie bywał starając się o żonę. Wkrótce potem poznałem i całem sercem pokochałem doktora Józefa Łagowskiego, asystując mu przy operacji, którą dwukrotnie dokonał babce mojej Marcellanowej Budzyńskiej. Kolega ten był starszym ode mnie o lat kilka. Będąc wychowany w uniwersytecie kijowskim kosztem rządu, musiał lat kilka odsługiwać jako lekarz wojskowy; brał więc udział w wojnie wschodniej, pod koniec której widzimy go na stanowisku naczelnego chirurga w czasie szturmu Karsu, pod murami tego miasta. Gdyśmy się z sobą zbliżyli, zajmował Łagowski posadę chirurga przy zarządzie lekarskim wołyńskim, którego inspektorem był naówczas doktor Kazimierz Choński. Żona moja poznała i zaprzyjaźniła się wkrótce z panią Józefową Łagowską. Bywaliśmy dość często u ciotki mojej, Ludwiki z Trypolskich Niewmierzyckiej, matki dorastających trzech córek, i u osamotnionej ciotki Klementyny z Budzyńskich Łepkowskiej, które stale przebywały w Żytomierzu. Od czasu do czasu odwiedzałem Józefa Ignacego Kraszewskiego, Antoniowstwa Pietkiewiczów, Apollów Korzeniowskich, Janów Prusinowskich i t. d., a że interesa i sprawunki często nas do tego miasta powoływały, stało się ono punktem najczęściej przez nas odwiedzanym. Dla zmniejszenia kosztu i uzyskania pewnych dogodności, ułożyłem się z doktorem Łagowskim, by do nich stale zajeżdżać; stąd z cza-

sem wytworzył się stosunek tak bliski, iż wkrótce w przyjaźń się zamienił.

Pan Józef był człowiekiem bardzo zdolnym, wykształconym specjalnie, jako lekarz chirurg i uczony botanik. Tę ostatnią gałąź nauk przyrodniczych uprawiał z wyjątkowem zamiłowaniem; z Kaukazu przywiózł bogatą florę tego kraju, w owym zaś czasie gromadził i porządkował florę okolic żytomierskich. Obok niezaprzeczonych wielkich zalet umysłu i serca, miał on temperament w najwyższym stopniu gwałtowny, unosił się łatwo, a dotknięty, tracił prawie przytomność, jak człowiek niepoczytalny. Na Kaukazie, obrażony jednem niebacznie wypowiedzianem słowem przez swego zwierzchnika, doktora Popowa, uderzył go w twarz i o mały włos nie został skazany za ten czyn, dokonany w czasie wojny, na rozstrzelanie. Na jakiś czas przed mojem z nim poznaniem się miał podobne zajście z kolegą w zarządzie lekarskim, drem Wysoczyńskim, który za nieoględnie wypowiedziane obraźliwe słowo został również spoliczkowanym, a gdy ofiarowanej satysfakcji honorowej nie przyjął, zapowiadając udanie się na drogę sądową, ani się obejrzał, gdy policzki świeżo uderzone zostały przez Łagowskiego oplwane. Sprawa na drodze urzędowej przechodziła różne instancje i do owego czasu nie była załatwiona.

Oto jeszcze jedna anegdota, charakteryzująca tego oryginalnego pod wielu względami człowieka. Miał on brata Mikołaja, blondyna z odcieniem rudawym, flegmatyka, który zdobył duży majątek, prowadząc interesy zamożnych ziemian wołyńskich. Porównywając ze sobą braci, widocznem było, iż stanowią najbardziej krańcowe kontrasty. Pewnego poranku, zjawia się u Józefa pan Mikołaj, skarżąc się na ból zęba. Doktor, obejrzawszy starannie winowajcę bolu, uważał za stosowne go usunąć i dokonał szybko tej operacji. Zadowolony pacjent, kładzie na stole półimperjała, na co Józef, wtykając mu z oburzeniem napowrót do ręki złotą monetę, woła: — „Wynoś się do djabła z pieniędzmi, bratu się nie płaci“. Powolny zaś pan Mikołaj odzywa się z zimną krwią: — „Nie bądź cymbałem, bo ci żona i dzieci pomrą z głodu, a ja będę musiał gdzie indziej rwać zęby“. Tu doktor niby przekonany chowa złoto i kończy: — „Kiedy tak dobrze płacisz i dbasz o moje dzieci,

to gotów jestem powyrywać ci wszystkie zęby". Artysta Górski, dowiedziawszy się o tej scenie, zrobił kolorowemi pastelami rysunek, w którym portretuje w karykaturze obu braci w czasie operacji. Brunet rwie kowalskiemi obcęgami chory ząb rudemu, ktory wisi w powietrzu na obcęgach, szelki tylko odmawiają mu posłuszeństwa. Na ścianie widnieją narzędzia kowalskie z podpisem: „Honny soit, qui mal y pense".

Józef Łagowski ożenił się na Kaukazie z Olgą Juszkiewiczówną, pochodzącą z rodziny unitów, zmuszonej do prawosławia, ale naówczas znałem już ją jako gorliwą w swej wierze niewiastę; mimo to była sympatyczną i mówiła dobrze po polsku, chociaż nie bez akcentu. Dzieci mieli troje, Michała, Marję i Konstancję, drobiazg milutki, szczebiocący po polsku i śpiewający pieśni polskie, przez wszystkich kochany i pieszczony. Trudno było przypuścić wówczas, że ten cały zasób polskości zniszczy w nich kiedyś nieuleczalny wśród polskich rodzin rak prawosławia; a wszakże, jak to zobaczymy, po zgonie Łagowskiego na wygnaniu ani strzępka, świadczącego o narodowości ojca, wśród niej nie zostało. Jakkolwiek z medycyną praktyczną po osiedleniu się na wsi rozbrat wziąłem, skutkiem wszakże namowy kolegów lekarzy, zostałem członkiem Towarzystwa Lekarskiego Wołyńskiego czyli Żytomierskiego i czas krótki pełniłem w nim obowiązki sekretarza. Odnowiłem stosunki z panem Feliksem Iwanowskim i z jego zięciem Janem Prusinowskim, prawnikiem i poetą. Był on synem Adama, oficera wojsk polskich z czasów Księstwa Warszawskiego, i Anny Synhajewskiej[1]). Po ukończeniu szkół został urzędnikiem w kancelarji gubernatora Łaszkarewa w Żytomierzu. Że zaś Ruś nigdy

[1]) Jedyna córka pp. Podbielskich z Kołek na Wołyniu, w okolicy Cudnowa, wyszła w 12 roku życia za Ukraińca Synhajewskiego, właściciela wsi Synhaje w powiecie berdyczowskim, któremu jako wiano za młodziutką żoną dano piękną wieś Kołki i Leśną Rudnię w okolicach miasteczka Cudnowa. Synhajewscy jako para niedobrana rozwiedli się. On ożenił się powtórnie i znikł z widowni Rusi, ona poślubiła przybyłego na Wołyń Wielkopolanina Zabłockiego, do którego przybyli w odwiedziny dwaj jego siostrzeńcy, Maciej starszy i Adam znacznie młodszy Prusinowscy. Córka z pierwszego małżeństwa pani Zabłockiej, Anna Synhajewska, oddała rękę temu ostatniemu. Zabłoccy mieli syna i trzy córki: syn ożenił się z kuzynką Piotra Moszyńskiego, panną Karoliną Rogojską, wybudował piękny dom w Kołkach, wziął udział w powstaniu 1830 r. i umarł w więzieniu żytomierskiem w 1831 r. Dzieci nie mieli, żona zaś po owdowieniu wyszła za Jana Piotrowskiego, wdowca. Z trzech córek pp. Zabłockich, Franciszkę wydano za Teofila Czarkowskiego, drugą za Obiedzińskiego, trzecia Kazimiera została panną.

prawie od spiskowania wolną nie była, przeto i Prusinowski, należał do jakiegoś patrjotycznego związku, tytułowanego: „Bractwem Cieni", a gdy wysłaniec tego stowarzyszenia po zabronione książki został na granicy ze swym ładunkiem schwytany, uwięziono w cytadeli i innych, a w ich liczbie Jana Prusinowskiego, którego potem wysłano na mieszkanie do Symbirska. Wyrazem jego tęsknoty za krajem był wierszyk, który tu przytaczam.

CO SIĘ TAM DZIEJE?

Co się tam dzieje, co się tam dzieje,
Czyście wy zdrowi, weseli?
Czy się kto śmieje, czy kto łzy leje,
Kto łzy, kto uśmiech wasz dzieli?

Nie wiem, nie pytam, co się tu dzieje,
Nie dla mnie płacz i wesele,
Czy się zaśmieję, czy łzę wyleję,
Z kim łzę, z kim uśmiech podzielę?

Co się tam dzieje? czy w waszem kole
Próżne me miejsce zostało?
Czy kto z was wspomniał na moją dolę,
Czy wszystko tak jak bywało?

Przeszłość mi sennem zda się marzeniem,
Obecność nocą bezsenną —
I wkoło takiem wiodę spojrzeniem,
Jakbym miał duszę kamienną!...

Z Symbirska skutkiem starań przeniesiony został do Kazania i tam wstąpił na wydział prawny. Stamtąd translokowano go do Moskwy, gdzie wydział ten ukończył ze stopniem kandydata praw. Ułaskawiony powrócił do kraju. Tu zastał rodziców strapionych po zgonie dwóch dorosłych córek, a jego sióstr, Marji i Kazimiery, i wraz ze staruszkami osiadł w Żytomierzu. Pracą sumienną i gorliwą zdobywa szybko Prusinowski jako prawnik coraz większą wziętość, nie zapominając o poezji, której poświęcał wolne od zajęć fachowych chwile. W dniu 2 lutego 1852 r. poślubił Marję Iwanowską i zamieszkał w domu Dobrowolskich przy Małej Cudnowskiej ulicy. W latach zaś, o których tu piszę, mieszkał już w domu własnym (obok domu Iwanowskiego) z pięknym ogrodem. Kończąc ten krótki życiorys i wyprzedzając wypadki, nadmienię, iż aresztowany w początkach 1863 r. dla braku dowodów był uwolniony w tymże roku w Wielką Sobotę. Zmarł, pozostawiając syna i trzy córki.

Syn jest adwokatem przysięgłym; dwie córki utalentowane zamąż nie wyszły, trzecia jest za drem Domaniewskim, a wszyscy nie opuszczają Żytomierza do chwili, gdy to piszę, to jest w 1903 r. O Józefie Ignacym Kraszewskim, Antoniowstwu Pietkiewiczach

i Apollach Korzeniowskich, mieszkających w Żytomierzu, a u których od czasu do czasu gościem bywałem, nie będę się rozpisywać, jako o powszechnie znanych. W Żytomierzu kwitła naówczas dobroczynność. Leonowie Lipkowscy wspólnie z wielu innymi ludźmi dobrej woli stali na czele bractwa Św. Wincentego a Paulo, którego celem było wspieranie potrzebujących pomocy rzemieślników i robotników, użyczając im bezprocentowych pożyczek. Tenże Lipkowski zarządzał szkołą rzemieślniczą prywatną.

Tryb życia naszego w Prażowie był niemniej jak w Ośnikach jednostajny. Wstawszy rano, obchodziłem gospodarstwo, któremu w dalszym ciągu umiejętnie przewodniczył p. Wojciech Zieliński. O 9 piliśmy kawę i herbatę, o 2 jedliśmy skromny obiad, o 7 wieczorną herbatę i zimną zakąskę. Przerwy pomiędzy jedzeniem i snem poświęcałem gospodarstwu, o ile pora roku tego wymagała, resztę czasu obracaliśmy na czytanie dzienników, czasopism i książek. Wobec manifestu z dnia 19 lutego (3 marca) 1861 r., stosownie do życzenia rodziców mojej żony i moich, zająłem się sporządzaniem ustawnych hramot w Prażowie i Wyszczykusach. Pragnąłem tym umowom nadać odrazu kierunek właściwy, mając na względzie, iż prędzej czy później przyjść musi uwłaszczenie; dążyłem więc usilnie do separatu z ustępstwami jak największemi dla włościan. Ale niestety i tu jak w Ośnikach separata odrzucono, mimo zrobioną przeze mnie propozycję, aby wybrali to, co uważają za dogodne dla siebie, byle w jednym kawałku, przylegającym do wsi z jednej strony; gdyby zaś chcieli przenieść swe sadyby, zgadzałem się również na oddanie gruntów tam, dokąd się przenieść pragną. Ale i te wyjątkowo dogodne propozycje nie zostały przyjęte. Włościanie pragnęli pozostać przy stanie obecnego posiadania, mając nadzieję widocznie rozwiązania całej tej sprawy w korzystniejszych dla siebie okolicznościach.

Ojciec mój, który mię bardzo kochał i ufał szczerości moich przekonań, gdym mu zrobił uwagę, że ziemia naszego majątku w swej części, przez włościan posiadanej, jest w stanie obecnej uprawy gorszą od dworskiej i winnaby z klasy 2 do 4 być przeniesiona, zgodził się na to, nadmieniając wszakże, iż winą jest włościan, że gorzej swą ziemię uprawiają. Mimo to

chciał odnośne podanie złożyć na ręce marszałka szlachty, ale krok ten wywołał tak gwałtowne protesty ze strony sąsiadów, iż mimo najszczerszą chęć naszą musiał ojciec, nie chcąc zerwać z całem sąsiedztwem, podanie swe wstrzymać. Interesy osobiste były tak starannie bronione, że niepodobna było w tej ścianie egoizmu zrobić wyłomu na drodze usiłowań altruistycznych prywatnych. I z hramotą prażowską miałem nie mniej kłopotu. Złożyłem ją u naszego pośrednika Apolla Ledóchowskiego w Kodni i prosiłem o śpieszne wprowadzenie jej w czyn. Jakież było moje zdumienie, gdy pan hrabia zjechał do mnie osobiście, by mię upewnić, że przed jesienią ani myśli hramoty wprowadzać, byłoby to bowiem zdemoralizowanie w czasie żniw całej okolicznej ludności. Zakończył zaś swą mówkę argumentem, że dla mnie niewiele stanowić może różnica przychodu na jednej wiosce, gdy tymczasem, wprowadzając hramoty przed zbiorem zboża w majątkach składających się z licznych folwarków, właściciele posiadłości (a więc i on) ponieśliby znaczne bardzo straty. I istotnie odłożył tę czynność do późnej jesieni.

Obok zajęć w zakresie osobistych obowiązków przybyły mi inne w charakterze ogólniejszym z racji ciągłych wieści, jakie krążyły na Wołyniu o szerzeniu się organizacji ruchu w Królestwie, i wobec obaw, aby się ten kierunek nie przeniósł na Wołyń. Marszałek szlachty powiatu żytomierskiego, p. Lucjan Niewmierzycki, w porozumieniu się z marszałkiem gubernjalnym Karolem Mikuliczem zwołał do siebie na wiosnę 1862 roku zebranie powiatowe i wykazał konieczność zorganizowania się szlachty celem podjęcia wspólnych usiłowań, aby sprawy miejscowe przez ludzi miejscowych tylko były rozstrzygane i aby nikt z zewnątrz do gospodarki tej się nie wtrącał. Postanowiono wybrać w drodze tajnego głosowania naczelnika powiatu i czterech tegoż współpracowników, w każdej 1/4 jego części. Marszałek i dwóch obranych ad hoc asesorów obliczyli głosy. Pan Lucjan Niewmierzycki zawiadomił mię, iż jestem obrany na stanowisko naczelnika powiatu, zaś na pomocników moich powołano ludzi, którzy mogli być śmiało moimi ojcami, a mianowicie: Bolesława Burzyńskiego z Troszczy, Michała Gruszeckiego z Barasz, Wacława Obuchowskiego z Iwankowa i Hi-

larego Krajewskiego ze Strybieża. Powiat nasz dzielił się urzędownie na cztery tak zwane „stany", w których zwierzchnikami byli stanowi prystawowie. W naszej organizacji podział urzędowy zachowano. Burzyński został zwierzchnikiem stanu januszpolskiego, Wacław Obuchowski kodeńskiego, Hilary Krajewski pulińskiego i Michał Gruszecki fasowskiego. Gdym się o tem, co mię spotkało, dowiedział, wyboru przyjąć nie chciałem, nie czułem się bowiem na wysokości zadania. Kończąc rok 24 i będąc przybyszem do grona ziemian przed rokiem zaledwie, nie byłem w stanie odpowiedzieć pokładanemu we mnie zaufaniu i jedynie, ulegając natarczywemu naleganiu obecnych, zgodziłem się pozostać na stanowisku, uzyskawszy obietnicę współudziału w mej pracy ze strony marszałka, który mię upewnił, że zaopatrzy mię w potrzebne do moich czynności materjały ze swego archiwum i biura.

Rozpoczęliśmy od zjazdów kolejno u każdego z wybranych, które odbywały się w początkach każdego miesiąca. Starałem się na tych zjazdach poruszać sprawy, bardziej na sercu leżące, a w pierwszym rzędzie zająć się losem szlachty zagonowej. Pierwszą czynnością było zbieranie potrzebnych statystycznych danych, co się okazało pracą bardzo mozolną i do wykonania nie łatwą. Drugą zkolei była konieczność wyrabiania opinji powszechnej w kwestjach bieżących. Różnic wybitnych w zapatrywaniach naszych nie było. Staraliśmy się więc to wszystko, w co sami wierzyliśmy, szerzyć wśród najbliższego naszego otoczenia, usposabiając szczególnie opinję przychylną dla uwłaszczenia włościan, a w przyszłości i szlachty zagonowej. Dążyliśmy do szerzenia oświaty i nadawania jej charakteru polskiego, przez naukę dzieci po domach szlacheckich i opiekę nad dziećmi polskiemi w szkołach rosyjskich, o ile to okazałoby się możliwem. Żywem słowem poruszaliśmy najbardziej palące kwestje i staraliśmy się obudzić jednomyślność.

Zjazdy wszakże coraz mniej były kompletne i trudno je było utrzymać na poziomie zakreślonych programów. Wypadki w Królestwie tak szybko się rozwijały, tak wielki przedstawiały interes, tak wyraźnie zapowiadały prędki zwrot ku zbrojnemu powstaniu, iż prace nasze stawały się coraz mniej na dobie, a zjazdy zmieniały się pod wpływem wydarzeń chwili

w odczytywanie pism zagranicznych niecenzuralnych, świstków podziemnych warszawskich, wysłuchiwanie ustnych relacyj itp. Wszystko zajmowało tyle czasu, iż do statystycznych cyfr z przymusem wracano, i dla każdego z nas widocznem było, że dnie naszej organizacji są policzone. Wieści te, które nas od prac mozolnych na całe lata obrachowywanych odrywały, przedstawiały się mniej więcej, jak następuje. Po okresie manifestacyj, zakończonym zamknięciem kościołów, śmiercią Gerstencwejga i usunięciem się Lamberta, nastąpił inny, który nazwać należy przygotowawczym do wybuchu. Rozbudzone gorączkowe życie w Polsce Kongresowej szukało ujścia, stosując się do warunków miejscowych we wszystkich trzech zaborach wśród ludności polskiej. W Galicji przebudzenie to polityczne wyraziło się w mowie, którą wygłosił w wiedeńskiej Radzie Państwa Franciszek Smolka, a którą słusznie nazywano programem narodowym dla tej prowincji. W zaborze pruskim krzątano się nad zwiększeniem liczby deputowanych do sejmu, co też pomyślnie osiągniętem zostało, tudzież dopominano się o przywrócenie zagwarantowanych dla polskiej narodowości praw. Litwa i Ruś w miarę swych sił i środków poddają się najzupełniej wpływom Królestwa Kongresowego.

Równolegle z ruchem polskim powstaje w cesarstwie rosyjskiem obudzony przez wolną prasę w Londynie prąd rewolucyjny, życzliwy dla sprawy polskiej. Uwydatnia się on nie tylko w liberalnem dziennikarstwie i wśród inteligencji miejskiej, młodzieży w zakładach naukowych i wojsku, ale i wśród ziemiaństwa, czego dotykalnym dowodem był adres, podany do cesarza w lutym 1862 r. przez szlachtę gub. twerskiej, a domagający się porównania wobec prawa wszystkich stanów i zwołania wszechrosyjskiego większego zboru. Sprawa ta zakończoną została aresztowaniem najbardziej wpływowych osobistości tej gubernji. Prawdopodobnem mi się wydaje, iż adres twerski powstał za przykładem gub. mohylowskiej, która jeszcze w październiku 1861 r. układała w czasie sejmików powiatowych projekt adresu do tronu. Że zaś przy jednej z rewizyj znaleziono rękopism redakcji powiatu rohaczewskiego i zakomunikowano go w ministerjum, przeto podanie adresu zostało wstrzy-

manem; natomiast szerzono uporczywie pogłoski o ulgach, gotujących się dla Litwy i Białorusi.

W Warszawie tymczasem, po wyjeździe Lamberta i zastąpieniu go przez Lüdersa, który przybył w dniu 7 listopada 1861 roku, nastąpiły czasy samowoli militarnej. Naczelnicy wojskowi, nominowani jeszcze przez Lamberta z nieograniczoną władzą, pastwili się i pozwalali pastwić się podwładnym nad Polakami, nie wyłączając niewiast i dzieci. Cytadela była przepełniona, dekreta codzienne liczono na dziesiątki, a często przekraczały one i setkę. Wielopolski, uważając za ubliżenie dla siebie rządzić wspólnie z tym zastępem żołdaków, popełniającym nieustanne bezprawia, podał się do dymisji w dniu 28 listopada i dymisję tę powiózł sam do Petersburga, gdzie przybywszy doradził cesarzowi mianowanie ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego arcybiskupem warszawskim. Wyjeżdżając do Warszawy nowo-naznaczony arcypasterz, uzbrojony zapewnieniem cesarza, iż pragnie Polskę uszczęśliwić, wkrótce po przybyciu do stolicy Polski otwiera kościoły dnia 1/13 lutego 1862 r. Margrabia zostaje w Petersburgu i stopniowo zdobywa tam coraz więcej wpływu i wziętości jako mąż stanu. Chwilowo powraca do Warszawy, aby znowu znaleźć się 27 kwietnia 1862 r. nad Newą, i tym razem towarzyszy mu Enoch, mający liczne stosunki i znaczenie w stolicy państwa, gdzie Wielopolski, pomimo napotykane na każdym kroku zawody, otrzymuje zamiast dymisji dnia 8 czerwca nominację na naczelnika rządu centralnego w Królestwie Polskiem, a co ważniejsze mianowanym jest w jednym dniu z wielkim księciem Konstantym, którego cesarz robi swym namiestnikiem w tym kraju.

Wkrótce po tak doniosłych zmianach w rządzie Królestwa co do jego składu osobistego zaczynają sypać się ukazy i nominacje, które w dniu 14 czerwca przywozi ze sobą Wielopolski. Najbardziej dodatnim, a najlepiej opracowanym, był zatwierdzony przez rząd projekt margrabiego o wychowaniu publicznem, dzięki któremu powstać miała Szkoła Główna w Warszawie i Politechnika w Puławach, zakłady zaś naukowe średnie tudzież szkoły elementarne otrzymywały podstawy, potrzebne do prawidłowego rozwoju, a co najważniejsze, iż językiem wykładowym we wszystkich tych zakładach miał być

język polski. Ukaz z 5 czerwca o oczynszowaniu z urzędu był źle przyjęty przez opinję, która domagała się uwłaszczenia. Drugi ukaz tejże daty o równouprawnieniu żydów uznano za odpowiedniejszy wymaganiom chwili i duchowi czasu. Przybycia w. księcia oczekiwał margrabia znacznie później, albowiem wielka księżna spodziewała się za kilka tygodni słabości. Nominacje: Krzywickiego na naczelnika wydziału wyznań i oświecenia publicznego i Edwarda Kellera na przewodniczącego w dziale spraw wewnętrznych przywiózł Wielopolski ze sobą. Pragnąc zaś bez walki pozbyć się przywódców stronnictwa ruchu, zaprosił za pośrednictwem bankiera Leopolda Kronenberga na poufną rozmowę Karola Majewskiego, o którym wiedział, że miał ze wszystkiemi stronnictwami bliskie stosunki, i zaproponował mu ułożenie listy osób, po wywiezieniu których mógłby się kraj uspokoić, zapewniając ze swojej strony, iż osoby te uległyby tylko bardzo nieznacznym, krótko-terminowym karom, i powróciłyby do ojczyzny niezwłocznie po jej uspokojeniu się. W pierwszej chwili Majewski decydował się na ten krok, bądź co bądź bardzo ryzykowny, ale gdy mu odmówiono żądanych na piśmie rękojmi, któreby stanowić mogły jego obronę wobec opinji współczesnej i na kartach historji, musiał się cofnąć, zaś w parę dni potem znalazł się w cytadeli, co raz jeszcze dowiodło, że traktowanie z najazdem, a tem bardziej z tymi Polakami, którzy podejmują się w jego imieniu z ziomkami traktować, było, jest, a zapewne i będzie dla sprawy i osób co najmniej niebezpieczne.

Wobec nieprzebierania w środkach, mimo wielkiej wartości i doniosłości prawodawczej projektów, nie zdobywał nietylko margrabia popularności, wziętości i uznania u rodaków, ale nawet wyrozumiałości i pobłażliwości, to też położenie jego pogarszało się z dniem każdym; artykułami zaś swemi lub też nakreślonemi pod jego kierunkiem, a drukowanemi w „Dzienniku Powszechnym“, wszystkim stronnictwom i ich odcieniom dopiekł do żywego, nic natomiast dla poparcia swych dążności nie zdobywając. Dziwny ten człowiek mimo ogromne zalety męża stanu miał dar wyjątkowy zohydzić wszystkim to, czego się dotknął. Każden bowiem jego postępek nosił na sobie cechy zawiści, nienawiści i prywaty względem najzacniejszych i naj-

szlachetniejszych w narodzie, skoro ci nie mogli, nie chcieli, lub nie umieli być w jego ręku biernem narzędziem. Mimo więc ciągłe usuwanie urzędników Rosjan, używanie w rozmowie z dygnitarzami rosyjskimi tylko polskiego języka i wymaganie od nich jego znajomości, wyjednywanie odrębności od cesarstwa dla wszystkich wydziałów administracyjnych w Królestwie Polskiem, nie zdołał zwrócić uwagi publicznej na te doniosłe reformy i pełen godności sposób zachowania się swego z żywiołem rosyjskim.

Wobec nadludzkich wysiłków opuszczonego przez wszystkich Wielopolskiego, by dzieło swe szybko w czyn wprowadzić i reformami kraj wbrew jego woli uszczęśliwić, jakże się dziwnem wydaje, iż większość ziemian z widomem swem przedstawicielstwem „Dyrekcją“ na czele zachowuje się najzupełniej biernie lub chwiejnie, będąc najliczniejszem i najzamożniejszem w kraju stronnictwem. Posiadając zaś znaczne sumy we wspólnej kasie, nie decyduje się ani razu na energiczne poparcie, bądź margrabiego, dążącego do odrodzenia Polski Kongresowej, bądź stronnictwa ruchu, zmierzającego do mniej prawdopodobnego odbudowania Polski w granicach przedrozbiorowych.

W zachowaniu się duchowieństwa w wypadkach, o których mówimy, większość starszyzny przeciwną była mieszaniu się kleru do sprzysiężenia, całe zaś prawie niższe i zakonne duchowieństwo chyliło się coraz wyraźniej ku poddaniu swej woli pod rozkazy rządu bezimiennego. Co do arcybiskupa Felińskiego, który zrazu, w najlepszej wierze działając i pragnąc gorąco uspokojenia kraju, narażał się nietylko na przykrości, ale i na zniewagi, gdy się naocznie przekonał, iż to, co mu obiecywano, dotrzymanem nie jest, staje coraz częściej i energiczniej w obronie Kościoła i wiernych, a jako bardzo bezstronny przestaje się łudzić, by pożądany spokój dał się prędko przywrócić, wobec braku szczerości i dobrej wiary ze strony wykonawców, w imieniu rządu działających.

Rzućmy pobieżnie okiem na szereg prac i usiłowań sprzysiężonych, mających na celu zdobycie niepodzielnej władzy nad krajem. Organizacja stronnictwa ruchu, rozpoczęta jeszcze przed końcem 1861 roku, jak to już dawniej wspomniałem, coraz bardziej rozwija sie, ustala i porządkuje. Wśród niezliczonych,

samodzielnie powstających kół i kółek, występują na pierwszy plan dwa komitety: 1) młodzieży akademickiej i 2) miejski warszawski, z których ostatni był pod kontrolą i w pewnej zależności od tak zwanego „Koła". Dwa te komitety długi czas współzawodniczą ze sobą. Przewaga komitetu miejskiego staje się coraz widoczniejszą od chwili, gdy do jego składu wszedł Bronisław Dąbrowski, przybyły z Petersburga do Warszawy 6 lutego 1862 r., młody wojskowy w randze adjutanta sztabu jeneralnego w szóstej dywizji piechoty. Energiczny ten i pełen zapału młodzieniec, rodem z Wołynia, zdobywa wkrótce nowoutworzone na jego żądanie stanowisko naczelnika miasta Warszawy, nie przestając należeć do komitetu i kierować jego sprawami. Jednocześnie porozumiewa się on stale z wojskowymi, stojącymi na czele rewolucyjnej propagandy w armji rosyjskiej. Rozejrzawszy się bliżej w sprawach miejscowych i przekonawszy się, że Koło, kontrolujące komitet miejski i stanowiące o zmianach w jego składzie, stoi na zawadzie prawidłowemu jego rozwojowi i działaniu, dołożył wszelkich starań, by Koło rozwiązać, co mu się wkrótce udało. Potem przeszkadzał mu już tylko komitet akademicki, ale i ten po krótkim oporze zgodził się w imię dobra powszechnego na zlanie się z miejskim, do którego składu wszedł, jako przedstawiciel uczącej się młodzieży, Władysław Daniłowski.

Takie i w tak krótkim czasie osiągnięte powodzenie, niemniej jak piękne oczy panny Zgliczyńskiej, w której się Dąbrowski zakochał, pozbawiły go wszelkiej równowagi i trzeźwości sądu, jakiemi się przedtem odznaczał. Począł on wraz z innymi liczyć siły na zamiary i postanowił naznaczyć termin powstania na dzień 14 lipca 1862 r., czem wywołał popłoch wśród wszystkich stronnictw. Na skutek wpływów młodzieży akademickiej, gorętszej grupy ziemian z Paszkiewiczem na czele i patrjotycznego mieszczaństwa warszawskiego, przewódcy organizacji, a mianowicie: wydziałowi, okręgowi i tysiącznicy wypowiedzieli komitetowi i naczelnikowi miasta posłuszeństwo, żądając nowych wyborów, na których wyszli z urn następujący członkowie: Bronisław Dąbrowski, Władysław Daniłowski, Adam Oksiński, Władysław Koskowski, wszyscy czterej krańcowi, Agaton Giller, Witold Marczewski, Karol Majewski i Juljan

Paszkiewicz, umiarkowani. Skład nowo obranej władzy był rękojmią daleko większej dojrzałości w działaniach, a pierwszym jej krokiem było odwołanie postanowionego już przez poprzednika terminu wybuchu, po uprzedniem dotykalnem przekonaniu się tak o braku gotowości bojowej w kraju, jako też i o tem, że propaganda w armji rosyjskiej małe bardzo naonczas zrobiła jeszcze postępy.

Z usuniętych w czasie wspomnianych wyborów, Stanisława Matuszewicza i Ignacego Chmielińskiego, ostatni jako namiętny i w najwyższym stopniu ambitny i obok tego nikczemny tchórz i intrygant, począł wichrzyć wśród organizacji, a ponieważ i Dąbrowski, jakkolwiek pozostawiony na czele miasta, czuł się w nowym składzie komitetu skrępowanym i zepchniętym z pierwszego planu, przyłączył się do Chmielińskiego. Mając wpływ wielki na organizację w Warszawie i zapewniwszy się o poparciu jej w razie potrzeby, postawił na jednem z zebrań komitetu wniosek, by odtąd nie śmiano wydawać żadnych rozporządzeń bez zgody naczelnika miasta. Oburzeni tą propozycją koledzy, odrzucili ją bez zastrzeżeń, ale Chmieliński i Dąbrowski nie poprzestali na tem i intrygując w dalszym ciągu doprowadzili do tego, iż wydziałowi, uznawszy się za obrażonych, wypowiedzieli znowu swej władzy posłuszeństwo. Karol Majewski i Juljan Paszkiewicz, widząc w tym kroku objawy zupełnego bezrządu, wystąpili sami, pozostali zaś poddali się nowym wyborom, które wszystkich prócz Oksińskiego na dawnych stanowiskach zatrzymały.

Ominięcie i tym razem Chmielińskiego wprawiło go we wściekłość, co zaznaczył opuszczeniem zgromadzenia i gwałtownem trzaśnięciem drzwiami. Pragnąc powstrzymać warchoła, po którym wszystkiego złego spodziewać się było można, zaproszono go w końcu czerwca na jedno z posiedzeń Komitetu. Zjawił się, ale z całą bandą popleczników. Nadto Dąbrowski przyprowadził dość liczny zastęp wyższych członków organizacji, którzy oświadczyli, że bezwarunkowo poddadzą się rozkazom Komitetu, jeśli Koskowskiego zastąpi kto inny. Wiedząc, do czego to zmierza, zaproszono ponownie Juljana Paszkiewicza na miejsce usuniętego. Obrażony Chmieliński, że także teraz nie zdołał narzucić im swej osoby, cisnął przez zęby

obelgę swym dawnym kolegom i zagroził rewolucją na własną rękę. Paszkiewicz wyboru nie przyjął. Zastąpił go przybyły z Białegostoku inżynier Bronisław Szwarce. W tym składzie przybiera w końcu czerwca Komitet Miejski, miano: „Centralnego Narodowego Komitetu", który dzięki staraniom i pracowitości Gillera organizuje się systematycznie, opracowuje program działania i szczegółowe instrukcje, dzieli pomiędzy swych członków zajęcia; a gdy kopję tej podziemnej organizacji u kogoś znaleziono i wyjątki z niej w „Dzienniku Powszechnym" ogłoszono, Centralny Komitet Narodowy kazał wydrukować te dokumenta w całości, poczem ogłosiwszy się jedynym prawowitym rządem występował, acz bezimiennie, ale jawnie, jako najwyższa władza.

W tymże czasie udało się rządowi rosyjskiemu schwycić kilka nici propagandy wśród oficerów armji, skutkiem czego nastąpiły aresztowania podejrzanych i śledztwa, by dotrzeć do źródła. Po ukończeniu sprawy wydano wyrok dnia 26 czerwca 1862 r., mocą którego: Finlandczyk Jan Arnold, Rusin Piotr Śliwiński i Polak Franciszek Rostowski skazani zostali na karę śmierci, szeregowiec Lew Szczur na rózgi, kilku innych na lżejsze kary; zaś 33 oficerów przeniesiono do pułków, znajdujących się w wewnętrznych gubernjach cesarstwa. Wrażenie, jakie wśród wojskowych i całego społeczeństwa polskiego sprawił ten wyrok, było przygnębiające. Kapitan Potebnia, Rusin, jeden z najgorliwszych w propagandzie rewolucyjnej wojskowych, postanowił ukarać Lüdersa za podpisanie wyroku na kolegów, strzelił doń w Saskim ogrodzie, raniwszy ciężko, a nie zatrzymany przez nikogo uszedł najspokojniej. Lüders ranny przyśpiesza wykonanie wyroku nad skazanymi, których rozstrzelano w Modlinie w dniu 28 czerwca, gdzie również i Szczur pod rózgami ducha wyzionął. Gdy wieść o tym ruchu rewolucyjnym wśród wojsk rosyjskich doszła potwornie zwiększona do Petersburga, w. książę Konstanty przyśpieszył swój przyjazd do Warszawy. Przybył on już 2 lipca, zaś nazajutrz to jest 3 Ludwik Jaroszyński, czeladnik krawiecki, z namowy Ignacego Chmielińskiego, działającego na własną rękę, dokonał nań zamachu w przedsionku teatralnym, gdzie go pojmano i odstawiono do cytadeli.

Tymczasem, gdy w Rosji nakazano w dniu 8 lipca obchód rocznicy bitwy połtawskiej, Szwedzi wezwali narody, skutkiem tego zwycięstwa przez Rosję ujarzmione, do obchodów żałobnych w tymże dniu, jako do kontr-demonstracji. Żądanie to Szwedów w Polsce spełnionem zostało, prasa zaś podziemna wskazała na świeżo dokonane w dniu 28 czerwca egzekucje, jako na przypieczętowanie krwią Finlandczyka, Rusina i Polaka protestu przeciwko zaborom Rosji, która Finlandję, część Polski i całą prawie Ruś do państwa swego wcieliła.

Czternastego sierpnia stawiono przed sądem przy drzwiach otwartych w pałacu Paca Jaroszyńskiego, który okazał się najszlachetniejszym patrjotą, w błąd tylko przez Chmielińskiego wprowadzonym. Skazano go na śmierć przez powieszenie, a nim wyrok ten w dniu 9/21 sierpnia wykonano, przyszedł na świat 13 lipca syn wielkoksiążęcej pary. Na dzień 8 sierpnia oznaczono ceremonję chrztu, przyczem głośno mówiono, iż nowonarodzony ma otrzymać czeskie imię Wacława. We wigilję tych chrzcin miał miejsce nowy nieudany zamach na margrabiego Wielopolskiego w przedsionku Komisji Skarbu przez Rylla. Trzynastego sierpnia, aresztowano naczelnika miasta, Bronisława Dąbrowskiego, na którego miejsce wszedł do Komitetu Gustaw Wasilewski, a nieco później Zygmunt Padlewski. Piętnastego tegoż miesiąca, nazajutrz po ogłoszeniu wyroku śmierci Ludwikowi Jaroszyńskiemu, miał miejsce powtórny zamach na Wielopolskiego w alei Ujazdowskiej, gdzie Jan Rząca, wskoczywszy na stopień przejeżdżającego powozu, usiłował go zasztyletować zatrutym strychniną sztyletem. Margrabia zdołał się obronić przy pomocy stangreta. Uciekającego wykonawcę napadu schwytano. 23 sierpnia Rylla pod pretekstem choroby w cytadeli, Rzącę zaś w pałacu Paca sądzono przy drzwiach otwartych i obu skazano na powieszenie, który to wyrok 26 sierpnia t. j. w trzy dni potem został spełnionym.

Nie zdołała złagodzić ogólnego podrażnienia, wywołanego skutkiem wykonania w tak krótkim czasie trzech wyroków śmierci, odezwa w. księcia, odwołująca się do uczuć i rozumu ludzi umiarkowanych. Dyrekcja białych próbowała po tej odezwie nawiązać rokowania z Wielopolskim o podanie adresu z po-

wodu zamachu na namiestnika, ale bezskutecznie. Wkrótce potem w. książę, idąc za radą swego marszałka dworu, Chreptowicza, zaprosił na wieczorną poufną rozmowę hr. Andrzeja Zamojskiego. Gdy ten zapytany o środki uspokojenia kraju oświadczył, iż tylko rozszerzenie reform na Litwę, Ruś i Białoruś mogłoby umysły uspokoić, nadmieniając, iż jest to jego osobiste zdanie, którego może większość nie podziela, w. książę uznał prywatne zgromadzenie wybitniejszego ziemiaństwa w celu naradzenia się w tej kwestji za możebne. Poczem nastąpił zjazd szlachty, ale na nim zredagowano adres w formie, w której podanie uważał p. Andrzej za niemożliwe i oryginał w swem archiwum zatrzymał, zamilczając o całej sprawie. Tymczasem jedna z kopij tego dokumentu dostała się do rąk w. księcia. Pana Zamojskiego wezwano powtórnie, przyjęto sztywnie i zaproponowano niezwłoczny wyjazd do Petersburga dla osobistego wytłumaczenia się przed cesarzem. Wezwanie i wyjazd nastąpiły 15 września. Zamojski przybył do Petersburga i zatrzymał się w hotelu Europejskim, a nie zastawszy monarchy w stolicy oczekiwać go był zmuszony do połowy października. Na audjencji wyłożył mu swe na sprawę polską zapatrywania i spełniając wolę cesarską wyjechał zagranicę, skąd nie miał już nigdy powrócić.

Gdyby w. książę i margrabia zdołali podnieść się do wzniosłej ewangelicznej zasady oddawania chlebem za kamień i ułaskawili tych, co bezskutecznie nastawali na ich życie, właśnie dlatego, że zamachy były przeciwko nim wymierzone, gdyby Majewski wkrótce po poufnej rozmowie z margrabią nie dostał się do cytadeli i gdyby Zamojskiego za szczere wypowiedzenie swych przekonań nie wygnano z kraju, rządy w. księcia i Wielopolskiego zyskałyby na tem wiele i wprawić by mogły w niemały kłopot Komitet Centralny Narodowy. Niestety! zabrakło trzeźwych doradców i to wszystko, co mogło zapewnić powodzenie nowemu rządowi, zwróciło się na korzyść tajemniczej władzy, którą zkolei uznają i której poddają się: Komitet Emigracyjny (za wyłączeniem Mierosławczyków) tudzież organizacje prowincjonalne Galicji, Poznańskiego, Litwy i Rusi, a co najważniejsze znaczna część duchowieństwa, szczególniej z diece-

zyj sandomierskiej, podlaskiej i lubelskiej. Adres, napisany, ale niepodany przez ziemian w Królestwie, a odczytany w kopjach na Litwie i Rusi, znajduje tam solidarne poparcie na wyborach szlacheckich podolskich i mińskich, na których redagują się i wysyłają do cesarza podania, żądające przyłączenia tych obu gubernij do Królestwa Polskiego a wszystkie one popierają zasadę pracy, skierowanej ku odzyskaniu praw narodowości polskiej w granicach przedrozbiorowych.

Tak więc Komitet Centralny wynurza się z tajemniczej ciemności, jaka go otaczała, staje się jedyną, potężną i najwyższą władzą w kraju i tak opanowuje umysły, iż najdonioślejsze reformy, w czyn przez margrabiego wprowadzone, jak: otwarcie Rady Stanu mową w. księcia wypowiedzianą po polsku, zorganizowanie i powołanie do życia Rad administracyj, gubernjalnych, powiatowych i miejskich, nominacje na stanowiska gubernatorów Polaków, otwarcie Szkoły Głównej w Warszawie i Politechniki w Puławach, prawie zupełne oczyszczenie kraju z urzędników pochodzenia niepolskiego — przechodzą prawie niepostrzeżenie, jako nic nie znaczące fakta!

Ale o ile władza Komitetu przedstawiała się świetnie na zewnątrz, o tyle była słabą wewnątrz. Kto znał jego dzieje, wiedział, jak powstał, kształtował się i wyrobił wśród walk tradycyjnych z podwładną mu organizacją, ten się nie zdziwi, gdy powiem, iż nacisk na najwyższą władzę od dołu pod koniec roku 1862 był już tak silny, iż trudno mu było skutecznie opierać się. Nadeszła chwila, w której okazało się niepodobieństwem nietylko zatrzymanie machiny organizacyjnej w biegu, ale nawet zwolnienie w potrzebie jej impetu. Tak się też stało. Komitet, zdając sobie sprawę z odpowiedzialności za swe czyny przed krajem i historją, widząc brak dostatecznych przygotowań, odkładał terminy wybuchu. Sprzysiężeni natomiast, zmęczeni i wyczerpani długiem oczekiwaniem, domagali się powstania zbrojnego, nie wierząc w brak gotowości do rozpoczęcia boju. W tej głuchej walce między władzą i podwładnymi rozstrzyga jednem pociągnięciem pióra margrabia Wielopolski, przyśpieszając wybuch ukazaniem groźnego widma „branki".

Szkic najważniejszych wypadków na ziemiach dawnej Polski w latach 1861—62, w których udziału nie brałem, ale

o których, dla zachowania pewnej całości, mówić w tym rozdziale musiałem, jest bardzo pobieżny. Gdy jednak wspomnę o owych czasach, przyznać muszę, iż wiadomości luźne do nas dochodzące były jeszcze daleko mniej dokładne, a wszakże musieliśmy opierać na nich całe nasze postępowanie, nie znając nawet ukrytych sprężyn, które sprawy narodowe w ruch wprawiały!

DODATKI I PRZYPISY.

MOWA DYMITRA HAWRYŁOWICZA BIBIKOWA

JENERAŁ GUBERNATORA KIJOWSKIEGO, WOŁYŃSKIEGO I PODOLSKIEGO

wypowiedziana w Kijowie w czasie wyborów szlacheckich roku 1851, przed opuszczeniem stanowiska.

Mości Panowie!

Czternaście lat jestem w tym kraju i kilkakrotnie miałem zaszczyt być z panami w czasie wyborów szlacheckich. Dziś chcę wspólnie z wami przejrzeć cały okres moich rządów, od przyjazdu mego w roku 1838 aż do obecnej chwili. Chcę to uczynić nie w charakterze sprawozdania, gdyż jenerał gubernator zachodnich gubernij zdaje sprawę ze swych czynności przed jednym tylko, przed tym, którego tron na Północy, który włada od Wisły do Bajkału, od Achałcycha do Morza Lodowatego, którego słucha sześćdziesiąt miljonów poddanych. Panowie! wszyscy powinniśmy codziennie, w każdej chwili, przy wszelkich naszych zamysłach, nieść modły do Najwyższego o długie życie i pomyślność naszego dobrego i wielkiego monarchy ku zapewnieniu nam szczęścia i spokoju Europie. Pragnę przyjrzeć się z panami mojej działalności w kierunku finansowym, administracyjnym, politycznym i sądowniczym.

Przybywszy tu w roku 1838, zastałem w każdym powiecie, w każdem miasteczku, stowarzyszenia demokratyczne, nawet w zakładzie naukowym żeńskim w Berdyczowie. Wszystkie te stowarzyszenia dążyły do jednego, by obalić prawodawstwo, zniszczyć prawa i przywileje szlachty, tudzież dobrze zorganizowany ustrój społeczny. Jeden z konsystorzy, którego nie wymienię, doszedł nawet do tego, iż głosił, że Chrystus nie jest synem Bożym, Matka Boska zaś zwykłą kobietą, a papież szarlatanem. Prześladowałem ten kierunek z całą zaciekłością, na jaką zdobyć się byłem w stanie, i wytępiłem złe w zarodku.

Przystępuję do rozpatrzenia moich działań na polu finansowem. Po przybyciu do tej prowincji, zastałem w Berdyczowie tak zwaną Agenturę Banku Polskiego, w której były zadłużone i zastawione wszystkie prawie majątki obywatelskie. Nazwisko jej szefa pociągało jedynie, chociaż ta Agentura zamiast 8 brała 11 a nawet 14 procent. W ostatnich czasach były w kursie tylko polskie obligacje, pieniądze zaś złote i srebrne znikły prawie zupełnie z obiegu; wielu obywateli było całkowicie zrujnowanych. Na moje przedstawienie feldmarszałek wysłał kurjera do Najjaśniejszego Pana i Agentura została zamknięta; natomiast dla udogodnienia pieniężnych obrotów wśród obywateli i ułatwienia handlowych operacyj założyłem w Kijowie Bank Państwowy.

Kto może skarżyć się na jego działalność? czy komu tam krzywda się

dzieje? kogo tam uciskają? czy kto z panów zauważył tam nadużycia? — powiedźcie, kto? Przystępuję zkolei do rozpatrzenia praw, przysługujących szlachcie. Przybywszy tu, zastałem samą tylko szlachtę; szlachcic jechał karetą, szlachcic lokaj za karetą, szlachcic stangret na koźle, szlachcic foryś, szlachcic stróż, w kuchni szlachcic gotował jeść, szlachcic podawał buty, a gdy się pan rozgniewał i chciał służącego ukarać, ten mu zwykł odpowiadać: „Nie masz prawa, jestem tobie równy". Najjaśniejszy Pan tytułuje się pierwszym szlachcicem w Rosji, pytam więc, czy może podawać rękę szlachcicowi kucharzowi albo lokajowi?

W Berdyczowie była fabryka szlacheckich dokumentów, gdzie sprzedawano patenta po rublu; były komisje dla sprawdzania działalności zebrań deputatów, ale nie przyniosły żadnej korzyści. Zebrałem komisje w jedną centralną, która po zbadaniu i rozpatrzeniu tak zwanego szlacheckiego stanu wykreśliła z tego stanu 64.000 (sześćdziesiąt cztery tysiące) rodzin, nie mających prawa do przywilejów szlacheckich. Zostały one przypisane do różnych klas opodatkowanych. Ci ludzie stali się tam na właściwych sobie miejscach użytecznymi członkami społeczeństwa. Gdy Heroldja, która już zatwierdziła wiele rodów szlacheckich, zakończy przegląd spraw szlacheckich, każdy z panów, podając rękę równemu sobie, pewien będzie, że podaje ją takiemuż szlachcicowi, jakim jest sam. Wielu w tym kraju powstawało przeciwko prawowitemu rządowi, chcąc obalić religję i tron; byli oni prześladowani z całą surowością i ponieśli zasłużoną karę; niektórym z nich już przebaczono, inni wysłani na mieszkanie do środkowych gubernij. Dwom tylko głównym przestępcom nie darowano, ale losowi ich ulżono, nie są już bowiem w ciężkich robotach, ale w Syberji na zaludnieniu.

Byłem srogi, musiałem użyć wszelkich najsurowszych środków dla ukrócenia i zapobieżenia tym smutnym następstwom, które oglądaliśmy w innych miejscowościach. Nasz wielki monarcha pragnie, aby zachodnie gubernje duszą i ciałem wcieliły się do Rosji, i właśnie dlatego wprowadzono w tym kraju rosyjskie prawodawstwo. Niektórzy z was oddawali pochwały Statutowi Litewskiemu, lecz czy wielu z was go czytało? Wielu z ziemian przyznawało się, że nigdy go nie czytali; i nikt go nie czytał i nikt nie wie, jakie są w nim prawa. Są one w bezładnej mieszaninie, z mnóstwem sprzecznych ze sobą konstytucyj, nadto zupełnie zacofane i nie dające zastosować się do dzisiejszych stosunków i spraw cywilnych, zwalniając tylko bieg ich i zwiększając ilość spraw do nieskończoności; wreszcie z trudnością daje się dziś Statut Litewski odszukać, ja zaledwie zdołałem zdobyć dwa egzemplarze oryginalne.

Tak więc prawodawstwo rosyjskie wprowadzonem zostało w jednym dniu, w jednej godzinie; i czyż nie daleko mniej spraw obecnie i nie śpieszniejsze ich prowadzenie?

Zdarzyło się w 1850 r., że dwaj obywatele, jeden z radomyskiego, drugi z owruckiego powiatu, mieli obaj jednego poddanego Józefa, który pracował trzy dni u jednego, a drugie trzy u drugiego dziedzica. Pytam więc was, co dla niego pozostawało? Było wielu niezadowolonych z nieograniczonej władzy obywateli ziemskich. Zostały wprowadzone inwentarze, z których znowu wielu było niezadowolonych. Zapowiadano ogólne nieszczęścia, bunty, zaburzenia, naznaczono nawet dzień i godzinę rzezi, ale Bóg ulitował się! Czy zarznięto kogo

z obywateli i ekonomów, czy bili kogo? czy było u nas coś podobnego jak w Galicji? Przeciwnie, inwentarze, wprowadzone dla wygody obywateli, wzmogły ich władzę, podniosły znaczenie w państwie, określiły obowiązki i prawa chłopa. Zdarzały się odstępstwa i nieuszanowanie tych praw inwentarzowych, ale nie ze strony obywateli, lecz ze strony ich rządców, ekonomów, dzierżawców, lub tych starych bab, którym już nie płacą, ale które same płacą swoim faworytom, nadużywającym prawa dominjalnego.

Pytam was, panowie, czy obniżyła się cena majątków po wprowadzeniu inwentarzy? Ja mam oficjalne doniesienia, dowodzące, że jest wręcz przeciwnie. Podczas przeszłych wyborów miałem zaszczyt powiedzieć panom, że na posady, zależne od obywatelskich wyborów, dziś zajęte jeszcze przez urzędników z ramienia rządu, wybierani będą obywatele według waszego uznania, gdy już dobrze władać będą rosyjskim językiem. W tej chwili jednak naznaczyć muszę na te posady urzędników przez rząd wskazanych. Ale to się zmieni; w tym celu wysyłam młodzież na posady strapczych, by praktycznie uczyli się prawa i z biegiem czasu stali się pożytecznymi przy wyborach; wtedy wszystkie posady zgodnie z prawem będą zajęte przez obywateli, z wyboru tychże obywateli ziemskich.

Dziś z powodu choroby i dzięki łasce Najjaśniejszego Pana, otrzymałem urlop czteromiesięczny na wyjazd zagranicę dla poratowania zdrowia. Stanowisko moje w zarządzie trzech gubernij obejmie książę Wasilczykow. Jest to człowiek najszlachetniejszych uczuć, będziecie z niego zadowoleni, spełni on doskonale wszystkie obowiązki tego ciężkiego brzemienia, które ja dźwigam od lat czternastu.

Jako wasz naczelnik w trzech gubernjach wypełniłem swe zadanie jak najlepiej, żadnego z was nie skrzywdziłem, a wielom bardzo dobrze czyniłem i nie możecie mi nie oddać tej sprawiedliwości. Popularności nie szukałem, miłości waszej nie posiadam, ale szacunku spodziewam się. Następne pokolenia wspominać będą moją działalność w tym kraju. Dzieci wasze będą dzieciom moim wdzięczne, pewny tego jestem.

Teraz przystępujcie do wyborów. Mam nadzieję, że dawne zasługi znajdą u was pierwszeństwo i że postaracie się ocenić wedle wartości tych, których sam cesarz wyróżnia i którzy zawsze stawali w obronie praw obywatelskich i pomagali mi w niesieniu tego brzmienia, które tak długo dźwigałem.

Żegnam was, żegnam! Jeżeli umrę, źle mnie nie wspominajcie!...

KOPJA LISTU ANTONIEGO MIODUSZEWSKIEGO DO WŁODZIMIERZA ANTONOWICZA.

17/30 V. 1903 r. z Płoskirowa.

Szanowny i zawsze kochany Profesorze!

Starzejemy się i pora sumować wrażenia z całego życia zebrane. W takiej dobie, z konieczności doświadcza się nastrojów poważnych i szczelniej jakoś rozgląda się nietylko we własnej przeszłości, ale i w przeszłości tych, z którymi jednocześnie wstępowało się w szranki życiowe.

Nam, ludziom mniejszego kalibru, którzy niczem poważniejszem nie zaznaczyli swego istnienia, chodzi jednak o to, aby przyszłe pokolenia miały właściwe pojęcie o ludziach, wytwarzających atmosferę naszej doby, która i na nas musiała oddziaływać i nadawać całemu pokoleniu pewne jakieś piętno.

Do rzędu takich wybitnych indywiduów niezaprzeczenie i Wy, kochany Profesorze, należycie. Nie mam potrzeby ani powodu żadnego schlebiać; możecie więc wierzyć, że to, co mówię, wypływa z głębi mojej duszy, a dla tem lepszego udowodnienia szczerości tych słów muszę zaznaczyć, że żywiąc do końca dni moich najwyższą wiarę w szlachetność waszych pobudek, nie mogę jednak uznać nieomylności Waszego programatu. Tak czy inaczej, więcej niż o samego siebie, chodzi mi o to, ażeby przyszłość widziała w Was to, co ja widziałem i znała Was takim, jakim rzeczywiście byliście, a nie jakim zdawać się możecie zbyt lekko uprzedzającym się.

Teraz zrozumiecie, dlaczego zgłaszam się do Was i stawiam Wam bardzo poufne pytanie, na które wiem, że mi zechcecie z całą szczerością odpowiedzieć, bo przecież obaj powodowani jesteśmy względami wyższemi ponad powszednie i znikome pobudki. Nie dowierzam własnej pamięci, ale zdaje mi się, że od siostry Waszej ś. p. Waśniewskiej słyszałem, że urodziliście się uniatem. Nie dziw, że wieść tę niejednokrotnie rozpowszechniałem, gdy wypadło mówić o Was. Obecnie, bardzo poważni ludzie żądają ode mnie stwierdzenia tego piśmiennie. Zrozumiecie doniosłość sprawy i skrupuły moje. Nie chciałbym dobrowolnie wprowadzać kogoś w błąd i lekkomyślnie kłamać przed przyszłością, opierając się na osłabionej wiekiem pamięci. W spisie studentów owych czasów zapisani jesteście katolikiem, ale to w danym razie sprawy nie wyświeca. Dlatego udaję się do Was, jako do najwyższej instancji, z prośbą o potwierdzenie albo zaprzeczenie mojej pamięci.

Przy tej zręczności, bardzo będę wdzięcznym, gdybyście mię poinformowali, w czyim to zakładzie w Odessie (pamiętam że był to Węgier) otrzymywaliście pierwsze wykształcenie; równie też, jakie Was łączyły stosunki z Ottonem Abramowiczem, a jakie znowu ze starym Padlewskim?

Pozostaję do końca dla Was ze czcią, a także głębokim żalem.

Wasz szczery przyjaciel *A. Mioduszewski.*

P. S. Nie powinniście się dziwić sprzeczności i powikłaniu uczuć. Samiście wytworzyli takie dziwnie anormalne nastroje. Zostało nas już zaledwie kilku Mohikanów, czczących Was serdecznie i zarówno jak ja czujących ku Wam żal głęboki.

KOPJA LISTU WŁODZIMIERZA ANTONOWICZA DO ANTONIEGO MIODUSZEWSKIEGO.

5 czerwca 1903 r. Kijów.

Szanowny Kolego!

Przedewszystkiem proszę Was o wybaczenie mi spóźnionej odpowiedzi na Wasz list, pisany jeszcze w styczniu; przyczyna spóźnienia była ode mnie nie-

zależna. Od trzech lat cierpię na sercową chorobę, wskutek czego jestem zmuszony przepędzać zimę w cieplejszym klimacie; tak i w tym roku przemieszkałem zimę w Krymie, skąd powróciłem dopiero kilka dni temu i zastałem Wasz list, który mię oczekiwał w Kijowie.

Spieszę więc odpowiedzieć na zapytania, zawarte w Waszym liście: 1) wieść o tem, że urodziłem się unjatem, kompletnie mylna. Oboje rodzice moi należeli do katolickiego obrządku, więc i ja byłem ochrzczony jako katolik. 2) W Odessie wychowywałem się w zakładzie Jana Dzidaja. Ojciec jego w końcu XVIII wieku był w Węgrzech silnie skompromitowany w sprawie spisku Martynowicza, wskutek tego schronił się do Galicji, gdzie urodził się z matki Rusinki mój wychowawca. Jemu obowiązany jestem oprócz nauki wpojenie zasad prawdziwego demokratyzmu. 3) Ojciec mój całe życie był domowym nauczycielem. Ostatnim jego uczniem był Otton Abramowicz. Po ukończeniu wychowania ostatni, widząc już podeszły wiek mego ojca, zaproponował mu pozostać w jego domu, gdzie też mój ojciec i dokonał życia. Stąd mój stosunek z Ottonem Abramowiczem. 4) Znajomość moja z Władysławem Padlewskim była niedługa. W czasie silnego podniesienia publicystyki w kraju w 1861—1862 roku poznajomiliśmy się przez pośrednictwo Kraszewskiego. Zdaje mi się, że Padlewski miał na celu zwerbować mnie dla pewnych projektów i skorzystać z wpływu, jak mniemał bardzo wielkiego, jaki według jego zdania miałem na kolegów. Stąd znajomość nasza, wprawdzie niedługa, przeszła w ciągłej polemice. Oto odpowiedź na zrobione mi zapytania.

Ja także zacząłem układać memuary, ale wskutek choroby robota idzie bardzo powoli, zapewne nie zdołam jej ukończyć. Bardzo Wam jestem wdzięczny za Wasz serdeczny list; nigdy nie byłem fanatykiem i zawsze wierzyłem, że różnica przekonań nie powinna wpływać na wzajemną przychylność i szacunek. Nie zbyt często spotykałem odpowiednie zapatrywania się, tem więc serdeczniej wdzięczny jestem, spotkawszy takowe w Waszym liście. Bardzo prędko zapewne skończy się moja życiowa karjera. Właśnie czas na rachunek sumienia sine ira et studio. Wszystkie moje pomyłki widzę obecnie jaśniej i dokładniej niż kiedykolwiek. Nie wchodząc w szczegóły, w zasadniczych jednak pytaniach myślę, żem się nie mylił. I gdyby przyszło na nowo zaczynać życie, to niezawodnie powtórzyłbym te same pryncypy, gdyż przy najstaranniejszej krytyce, o ile mogę sądzić, nie rozmijają się ani z logiką ani z poczuciem sprawiedliwości. Oczywiście w swoim czasie pryncypy te musiały podrażnić ludzi, którzy przywykli do pewnej normy życiowej; — rzecz to bardzo naturalna. Co do opinji, jaka w tym względzie będzie wypowiedziana o moich czynnościach, jest ona dla mnie zupełnie obojętna. Raz mam rozgrzeszenie własnego sumienia — o opinję nie stoję. Jest ona w różnych sferach rozmaita: w jednych przesada na plus, w drugich na minus; ja zaś liczę sobie za zasługę to, że nigdy postępki moje nie miały na celu captare benevolentiam opinji.

Darujcie szanowny Kolego nieskładność listu, obecnie mam atak sercowy, wskutek którego i ręka drży i myśl się plącze. Przyjmijcie wyrazy prawdziwego szacunku i szczerej sympatji.

Życzliwy kolega *W. Antonowicz.*

KOPJA WYJĄTKÓW Z LISTU ANTONIEGO MIODUSZEWSKIEGO DO DRA WACŁAWA LASOCKIEGO.

$^{9}/_{22}$ VI. 1903 r. z Płoskirowa.

Szanowny Kolego!

Długo nie pisałem do Was, bo wciąż wyczekiwałem na odpowiedź Antonowicza, do którego bodaj w maju pisałem, prosząc go o rozwiązanie wątpliwej kwestji, która obu nas z Wami zajmowała. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego tak długo nie odpisuje, aż wczoraj zaledwie otrzymałem tę odpowiedź. Posyłam ją Wam w oryginale z prośbą o zwrot nie dla siebie, ale dla syna mego, który równie jak i Wy, zdaje się, jest gorącym kolekcjonistą. Dla tem lepszego uwydatnienia znaczenia tego listu dołączam także dosłowną kopję mego doń, którą umyślnie dla Was zachowałem. Zdaje się, że sprawiłem nań głębokie wrażenie, które szczególniej ze względu na jego chorobę sercową mogło nań nie dobrze oddziałać i żal mi go. Zanadto byliśmy blisko i nadto obaj szanowaliśmy się, żeby u schyłku dni przy mojem wezwaniu do obrachunku z sumieniem nie stanęła przed nim cała jego przeszłość, a z nią razem nie przemknęła cała galerja przed jego oczami naszych postaci, tak gorąco mu oddanych, tak głęboko wierzących weń, a tak mocno doń u wieka niemal grobowego rozżalonych. I na mnie list jego sprawił głębokie wrażenie. To szczątki niemal zostały z niego! Ręka mu drży i w myślach już widzę nie ten co dawniej ład. Bardzo być może, że to wypływ stanu zdrowia i wieku, a może po części i wrażenia, odczute z mego listu. Sądzę, że i dla Was te oba listy nie będą obojętne i w tej myśli przesyłam je Wam, a w każdym razie niech Wam świadczą o dobrych moich chęciach wyświetlenia odległej już przeszłości przed tym, który, jak Wy, chce ją odwzorować dla przyszłych pokoleń.

Z listu tego wynika i ta jeszcze dla Was korzyść, a może tylko przestroga, że i on przyznaje się do zamiaru pozostawienia po sobie, jak nazywa, memuarów. Otóż warto o tem pamiętać i z godnością wystąpić przed przyszłością, że kiedyś będą zestawiane Wasze pamiętniki z jego pamiętnikami, które, chociaż mało daje nadziei na to, żeby zostały ukończone przy złym stanie jego zdrowia, z pewnością już gotowe dla epoki nas zajmującej. Jeśli kiedy będę w Kijowie, odwiedzę go i może coś z nich odczytam, bo nie powinienby z tem taić się przede mną.

. . . . . .

Tymczasem przyjmijcie odemnie serdeczny uścisk dłoni.

Wasz *Ant. Mioduszewski.*

P. S. Nie może mi pomieścić się w głowie pomyłka moja co do wyznania Antonowicza. Nie ulega wątpliwości, że z palca jej nie wyssałem i coś w tem jest, ale już nie rozwikłam tej sprawy, bo pamięć już mi nie służy.

LIST WIERSZOWANY ANTONIEGO PIETKIEWICZA (ADAMA PŁUGA) PISANY Z OWRUCZA O DEMONSTRACJI W MIEŚCIE ŻYTOMIERZU W 1862 ROKU DO TYTUSA KOSOWSKIEGO

(nauczyciela gimnazjum w Nowogrodzie Siewierskim, dokąd został przeniesionym z Żytomierza w początkach demonstracyj).

Mości Książę na Siewierzu,
Miłe mi Wasze pisanie
Doszło rąk mych niespodzianie
Nie w Wołyńskim Żytomierzu,
Lecz w starym Drewlańskim grodzie,
Gdzie niegdyś w Norynia wodzie
Oleg demonstrację zrobił,
Co znaczy, mówiąc poprostu,
Z rodzonym bratem się pobił
I utonął, spadłszy z mostu.
Quo modo? Spytasz, mój Książę,
Cóż to za dziwna zagadka?
Wnet Ci ten węzeł rozwiążę
I rzecz wywiodę jak z płatka.
Jak wiadomo Waszej Mości
Z Petersburskich Wiadomości,
We wigilję Mateusza,
W nocy, kiedy, jak Bóg każe,
Sen wszystkie gwary zagłusza
I wszystkie oczy zamyka,
Na żytomierskim bulwarze,
Pod samym nosem budnika,
Wyrósł z ziemi, czy spadł z chmury,
Wielki czarny krzyż. Gdy mury
Miasta wyszły już z zamroczy
Z porankowym świtem białym
I kiedy, przetarłszy oczy,
Policja z zwykłym zapałem
Po ulicach biegła cwałem,
Gdy wpadła na bulwar ony,
Gdzie to zazwyczaj kacapy,
Trzęsąc brodami jak capy,
Przedają słodkie kawony,
Stanęła, jak w ziemię wryta!...
— „Szto eto?“ kwartalny pyta,
— „Krest!,‘ dziesiętnik odpowiada.
— „Krest?...“ zawoła prystaw czastnyj,
— „Ja nieszczastnyj! Ja nieszczastnyj!...

„Karauł!... siuda rebiata!“
I wnet cały tłum się zlata
Policjantów z każdej strony.
Krzyż dokoła otoczony
Już im z rąk się nie wywinie,
Już się z kozą nie rozminie!
Co? krzyż w kozie? herezyje?
Czy słyszało ucho czyje
W chrześcijaństwie o tej zgrozie,
Żeby krzyż miał siedzieć w kozie?...
Wierzcie, nie wierzcie, jak chcecie,
Tak wszelako było przecie.
Wnet ujęto krzyż w powrozy
I zawleczono do kozy.
Słusznie, słusznie, sprawiedliwie,
Ja się nie gorszę, nie dziwię;
Policjanci mieli rację,
Bo, mój Książę, wiedzieć macie,
Że ten krzyż, mówiąc właściwie,
Nie był krzyż, lecz drzewa kawał,
Który tylko krzyż udawał
W przybranej świętej figurze,
Był więc wilkiem w owczej skórze.
Lub, mówiąc naszym językiem,
Był po prostu buntownikiem.
Bo naprzód, wyobraź sobie,
Mimo czujne nocne czaty
Bez paszportu wszedł do miasta,
Powtóre chodził w żałobie,
Po trzecie, ubrał się w kwiaty;
Był więc buntownik i basta,
I policji dank należy,
Że go wsadziła do wieży.
My tymczasem, Książę Panie,
Kto na kocu, kto na sianie,
Kto na miękkiem gęsiem pierzu,
Spali pod skrzydłem anioła
Nocy, choć to dzień był przecie,
Nic a nic nie wiedząc zgoła
Ni o kozie, ni o krzyżu,
Najpoczciwsi ludzie w świecie;
A wyspawszy się, jak trzeba,
Wstaliśmy. — Naprzód mężowie,
Boć to taka wola nieba,
Że niebodze białogłowie

Większa skłonność do snu dana.
Bóg Adama stworzył raniej,
Więc mąż wstawać musi zrana.
Ewę później, a więc pani
Nikt słusznego snu nie zgani.
Wstawszy tedy, nasza wiara,
Obyczajem ojców starym,
Kto z fajką, a kto z cygarem,
Siedliśmy u samowara
Pić jak zwykle chińskie zioła,
Zawsze nic nie wiedząc zgoła
O tego drzewa kawale,
Co udawał krzyż zuchwale.
Lecz kiedy gwary uliczne
Rozbudziły nasze śliczne
Żoneczki, siostrzyczki, ciotki,
I gdy te miłe szczebiotki
Zaczęły swój szczebiot ranny,
Więc kucharki, więc kucharze,
Więc praczki, szwaczki i panny,
Co już byli na bazarze,
Każdy i każda swej pani,
Przynosząc nowinkę w dani,
Powiadali pełni zgrozy,
Że wsadzono krzyż do kozy!
I że z panów ani z pań
Nikt się nie ujmuje zań.
Nasze panie, mój ty Mości,
Słyną w świecie z pobożności;
Więc na takie dictum srogie,
Na takie straszne zgorszenie,
Wszystkie w jedno okamgnienie
Wszystko rzuciwszy niebogie,
Ojca, matkę, męża, dzieci,
Dalej w świat każda z nich leci,
Wzdłuż i wszerz po Żytomierzu,
Głosząc z płaczem o tym krzyżu.
Gwałt! rwetes! miasto się trzęsie,
Latają baby jak gęsie...
Chcę rzec... jaskółki przed burzą,
Coś z sobą radzą, coś wróżą;
A mężowie szepcą cicho:
Będzie z tego jakieś licho!...
Po długiej radzie, namowie,
Stanęło na tem: mężowie

W domu prząść kądziołkę mają,
A niewiasty wielką zgrają
Do biskupa się udadzą
I pokornie mu przełożą,
Aby o obrazę Bożą
Chciał upomnieć się przed władzą.
Jak rzekły, tak się i stało.
Co się działo z przewielebnym
Pasterzem, kiedy w chwalebnym
Swym zapale
Trzódką całą
Owieczki wpadły na salę!...
Obstupuit!... Mości Książę!
A cóż, gdy się im rozwiąże
Języczek niby pokorny,
Kiedy z cichej łzawej prośby
Wpadną raptem w krzyk niesforny,
W rekryminacje i groźby!...
Biskup naprzód rzekł im słodko:
„Bój się Boga, moja trzodko,
„Wszak to nie był krzyż święcony,
„Tylko prosty drzewa kawał,
„W kształcie krzyża urobiony,
„Jam mu paszportu nie dawał,
„A więc o tego przybłędę
„Upominać się nie będę".
Potem groźniej: „Idźcie sobie,
„Dajcie mi choć myśli zebrać,
„A kiedyś w właściwej dobie
„Postaram się krzyż odebrać".
Lecz gdy wrzask wzrasta co chwila,
A języczek białogłowi
Coraz bardziej się wysila,
Tnąc perory biskupowi,
Że aż jedna drugą głuszy!...
Wiedząc, że ich nie przemoże,
A poznawszy, czem są baby,
Zacny pasterz zatknął uszy
I umknął, rzekłszy, że słaby.
Lecz babie koło w ferworze
Woła: „Nie" tak być nie może!...
Musim dopiąć przedsięwzięcia.
„Dalej, na dworzec do księcia".
I wyobraź, buntownice
Rzną na Kijowską ulicę!

Gdy wspomnę, dreszcz mnie przechodzi
Bo, miarkuj Książę Dobrodziej,
Bab co najmniej ze czterysta,
Krzyż na piersiach, groźne lice,
W oczach gniewu błyskawice,
Szata czarna, uroczysta,
Nakształt pełnej gromów chmury,
Ciągną na dworzec książęcy;
A motłoch uliczny, który
Lada tumult zwiększyć rad
Mniej więcej w kilka tysięcy,
Dalejże za niemi w ślad!
Policjanci w hełmach lśniących
Spoglądali na to z boku
Marsowato, lecz idących
Żaden nie powstrzymał kroku.
Przyszły. Dziedziniec zamkowy
Zalała rzesza burzliwa,
Której co chwila to nowy
Sukurs z ciekawych przybywa.
I już zamkowe podwoje
Obległy bab gwarne roje,
Choć tam chodzą groźne straże,
Dzierżąc w ręku ostre miecze.
W tem na ganku się ukaże
Mistrz policji i tak rzecze:
„Książę wcale się nie boi
I przez okno patrzy śmiało,
Ale że mu nie przystoi
Mówić naraz z zgrają całą,
Trzem z Was tylko zacne panie
Da u siebie posłuchanie".
Więc Pługowa, więc Sławkowa,
Więc trzecia Bohomolcowa,
Czy że bliżej progu stały,
Czy że śmielszy język miały,
Weszły odważnie na salę.
Gubernator, w swojej chwale
Poważny, ale łaskawy,
Spytał o powód wyprawy.
„Krzyż nam oddaj" zawołały.
Lecz on wykrzyk ten zuchwały
Odparł bardzo słuszną racją,
Że ten krzyż był demonstracją,
Stać wśród miasta nie miał prawa,

Bo Żytomierz nie Warszawa
I demonstrować nie może,
Więc im zadość nie uczyni;
Wezwały więc w Imię Boże,
Aby złożył go w świątyni,
Nie zaś w kozie wśród zbrodniarzy!
Lecz on rzekł na te androny,
Że to krzyża nie znieważy,
Bo i zbrodniarz też człek chrzczony,
Bo i złodziej nieraz sobie
Krzyż na piersiach wiesza święty,
I wskazał na swej osobie;
Zbił tedy wszelkie wykręty
I dodawszy, że krzyż spali,
Grzecznie je wyprawił z sali.
A zatem, rade nie rade,
Wyszły, tłumom zdały sprawę,
Ogłosiły rejteradę,
I jako wprzódy, postawę
Mając groźną, groźne lice,
Poszły do dom buntownice.
Sługa wasz, dotąd stojący
Kędyś w zaułku, przy bramie,
Wylazł z kąta, blady, drżący,
Swojej pani podał ramię,
I już śmielszy przy jej boku
Zmykał do domu z natłoku.
„A tyż skąd?“ spytasz, mój panie,
„Wszak ci to mężowie mieli
Siedzieć w domu przy kądzieli?
Takie było przykazanie!“
Tak, tak było, prawda święta!
Lecz gdyby nas nawet w pęta
Wzięła dłoń tych amazonek,
I wtedy żaden małżonek
Nie utrzymałby się w domu,
A więc każdy pokryjomu,
Zaułkami, chyłkiem, bokiem,
Szedł za swoją cichym krokiem,
Bo czyż mogło być inaczej?
Wiedząc, co złość niewiast znaczy,
Widząc, jak ich cała kupa
Ciągnie na dworzec biskupa,
Mogliżeśmy jego dolę
Na tych buntownic zdać wolę?

W domu wprawdzie z niemi w sporze,
Żaden z nas ich nie przemoże,
Lecz na placu co innego!
Tam na zapęd babskiej armji
Jest policja, są żandarmi,
Ci od guza nas ustrzegą,
Z niemi, gdy przyjdzie do hecy,
Znajdziesz za kim schować plecy.
Z niemi razem myśmy śmieli,
Choć uciekli od kądzieli.
Biskup jakoś uszedł cało,
Ale z księciem co też będzie?
Widząc, jak straszną nawałą
Ta falanga k'niemu pędzi,
W ślad musieliśmy ją gonić,
By go piersią swą zasłonić,
By żandarmów i policję
Wesprzeć w walce należycie;
A cieszyliśmy się skrycie,
Że tę armiję kokoszą
Rebiata choć raz przepłoszą.
Ale się inaczej stało.
Rokoszanki uszły cało,
I my z niemi; lecz w ulicy,
I na placu, ulicznicy,
Tłum hołoty, szui wszelkiej,
Został jeszcze w liczbie wielkiej.
I nuż w śmiechy, świsty, krzyki,
Jak prawdziwe buntowniki.
I kiedy ja w swojej chacie,
Już zasiadłszy przy herbacie,
Fajeczkę palę spokojnie,
I odpoczywam spokojnie,
Raptem niby bomba wpada
Nasz wierszorób ukochany,
Z krzykiem trwogi: „Biada, biada!
Tam już biją w tarabany.
Przyszedł wojska zbrojny huf
I już sypią proch do luf,
Strzelać będą do motłochu,
Śpieszmy bracie, prędzej tam!“
Ja nie lubię wąchać prochu,
A więc mówię: „Idź ty sam!
Niechaj bębnią, niech strzelają,
Niech co chcą robią z tą zgrają“.

Lecz on znowu: „Śpieszmy bracie
Uśmierzyć tę demonstrację!
Śpieszmy wołać, co sił stanie,
Niechaj za pas wziąwszy nogi
Ta hołota zmyka z drogi,
Nim nie zacznie się strzelanie!"
„Tak że gadaj, miły kumie,
„Uciekajcie! krzyknąć w tłumie
To potrafię, w to mi graj!"
A więc pędzim cwałem dwaj,
A tu bęben na gwałt grzmota,
A żandarmów konna rota,
Z obnażonym mieczem w dłoni,
Po ulicach wichrem goni,
Tylko iskry z podków błyś,
Leci, wrzeszczy: „razchodiś!"
Tłuszcza, widząc, że zła rada,
Dalej drała! Rejterada
Poszła z chwałą, nikt nie zginął,
Chyba płazem wziął po grzbiecie,
Kto pod konia się nawinął.
Lecz to było samo śmiecie,
Szewcy, krawcy, stolarczyki,
Kacapy, żydzi, kapcany
I podobne buntowniki;
A żaden dystyngowany
Nie był pośród tej gawiedzi.
Bo gdzie można dostać w grzbiet,
Człek porządny zmyka het
Lub spokojnie w domu siedzi,
Chyba, jak ja i mój kum,
Do ucieczki wzywa tłum.
Lecz przybyliśmy nie w czas,
Bo tłum uciekł i bez nas.
Tak zakończył się ów dzień
Żytomierskich amazonek.
W tydzień potem: „dzeń, dzeń, dzeń",
Jeden, drugi, trzeci dzwonek,
Zadzwoniło paniom trzem,
Co, zawezwane, bez trwogi
Weszły na książęce progi.
Słusznie, bo dowiodło tem,
Że są baby ostro kute,
Przodownice innych w złem,
A więc poszły na pokutę

Do Owrucza, Berdyczowa
I Starokonstantynowa.
Otóż i historja cała,
Która tutaj mnie zagnała.
„Jak to? Ciebie na wygnanie?
Spytasz z dziwem, Książę Panie,
Cóżeś ty zbroił nieboże?“
„Ja? nic w świecie, broń mnie Boże,
I mnie kara nie dotyka.
Ja nie taki, jak ten drugi,
Mam zaszczyty, mam zasługi
Prawdziwego czynownika,
Mam nawet medal miedziany,
Ale droższy mi niż złoty;
I siedzę tu nie wygnany,
Lecz tylko z własnej ochoty
Niby urzędnik bez gaży
Przy swojej pani na straży,
Żeby, jak to dzisiaj w modzie,
Buntownica ta zuchwała
I tutaj w Drewlańskim grodzie
Demonstrować nie zechciała.“

W Owruczu 1862 r.

IV

POWSTANIE W KRÓLESTWIE POLSKIEM — NA LITWIE — W INFLANTACH I NA RUSI. MOJE UWIĘZIENIE. WYWIEZIENIE SZWAGRA MEGO I WIELU INNYCH WIĘŹNIÓW STANU. NAGŁA ŚMIERĆ OJCA MOJEGO. ŻYCIE WIĘZIENNE. OGÓLNY STAN KRAJU.

Niegdyś w godzinę strasznej ciemnoty
Na świat, tonący we łzach i sromie,
Spadły dwa słowa z krzyża Golgoty,
I światło w Bożym błysnęło domie.
Leć, myśli chyża — tam twoje wzory!
Bo na tych wielkich łanach ludzkości
Wszystko schnie marnie, oprócz miłości,
Nic nie rozkwita, oprócz pokory.

Lecz nie dość marzyć o wielkiem dziele,
Nie dość olbrzymie zakreślać cele.
Wyplenić pierwej egoizm z łona,
Z czynów wyrzucić śmierci nasiona.
A gdy w pokorze duch się odrodzi,
Gdy miłość strawi chlubę do szczętu,
Ujrzycie nagle pierś bratniej łodzi
Wypływającą z burzy odmętu.

Sowiński.

Pełna uroczystej grozy cisza poprzedziła wybuch styczniowy 1863 r. Już na jakiś czas przedtem poczęły krążyć głuche wieści o niezłomnem postanowieniu margrabiego Wielopolskiego nakazania branki, opartej na zupełnej dowolności, a skierowanej wyłącznie przeciwko mieszkańcom miast, wśród tych zaś przeważnie przeciwko ruchliwemu żywiołowi rzemieślników i robotników fabrycznych. Urzędowem potwierdzeniem tych pogłosek były postanowienia Rady Stanu z dnia 6 października i 6 grudnia 1862 r. Z tych pierwsze przemilczało o ukazie z dnia 15 marca 1859 r., nakazującym losowanie przy braniu rekruta w Królestwie Polskiem, i zalecało zupełnie dowolny wybór kandydatów do poboru, wybór ten pozostawiając niepodzielnie organom wykonawczym policji. Drugie zaś wypowiadało wcale niedwuznacznie cel tych środków wyjątkowych w następnych wyrazach:

— „Jednym z głównych celów tego poboru jest pozbycie się części ludności, która postępowaniem swojem przyczynia się do zamieszania porządku publicznego". — I dalej:

— „Przeto Rada kazała brać osoby źle notowane w ostatnich wypadkach, bez względu na to, czy wypadnie wziąć z jednego miasta więcej, aniżeli z drugiego".

Trudno uwierzyć, aby mąż stanu tej kolosalnej miary, co Wielopolski, prawnik z wykształcenia, legitymista z przekonań i rodu, wróg samowolą napiętnowanych rządów wojskowych, z któremi codziennie walczył, mógł przedsiębrać krok, przewyższający dowolnością wszelkie dokonywane dotąd bezprawia czyli tak zwane prawa wyjątkowe. Z zapartym tchem przypatrywano się tej ręce, w której tlił się lont zapalony, oczekując chwili, gdy lont ten zapali się i wywoła wybuch, w ciężkie następstwa obfity! Termin branki był zrazu tajemnicą. Wszakże rąbek zasłaniający ją począł się zwolna uchylać. Wreszcie ogólnie powtarzać poczęto wieść, iż noc z dnia 15 na 16 stycznia naznaczona dla Warszawy, zaś z 27 na 28 tegoż miesiąca dla prowincji.

W różnych kołach narodu naszego, a także wśród obcych żywiołów, zapatrywano się na samą brankę, jako też na prawdopodobne jej następstwa, bardzo rozmaicie. Rząd, z w. księciem i margrabią na czele, wierzył bez zastrzeżeń w skuteczność obranego środka. Oficerowie wojsk rosyjskich w Królestwie Polskiem, których zwierzchnikiem naówczas był baron Ramsay, niezadowoleni z rządu, niecierpliwie oczekiwali poboru jako najprostszego powrotu do władzy i układali już plany tłumienia tego powstania, którego wybuch był dla nich koniecznem następstwem przymusowego brania rekruta. Rewolucjoniści rosyjscy pragnęli gorąco odroczenia powstania, a więc obawiali się branki, która je mogła wywołać. Dyrekcja białych początkowo myślała o poskromieniu siłą wybuchu, gdyby tenże wystąpił, skończyła zaś na biernym oporze i odmówieniu materjalnego poparcia. Wreszcie Komitet Centralny, składający się w początku 1863 roku z Oskara Awejdy, Agatona Gillera, Stefana Bobrowskiego i Zygmunta Padlewskiego, pełniącego jednocześnie obowiązki naczelnika miasta Warszawy, pragnął szczerze i jednomyślnie powstrzymania wybuchu do lata; bra-

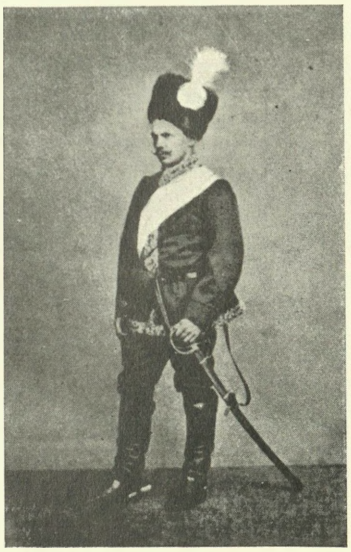


Fig. 69. T. Cieszkowski.

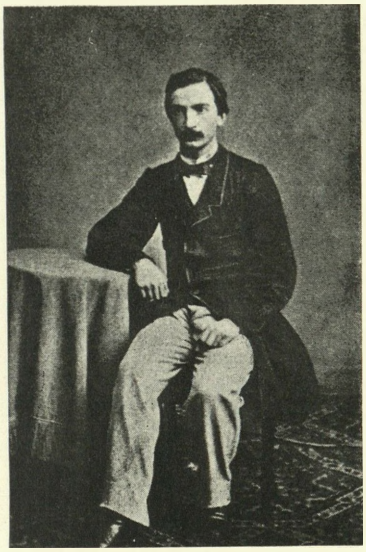


Fig. 70. Stefan Bobrowski.

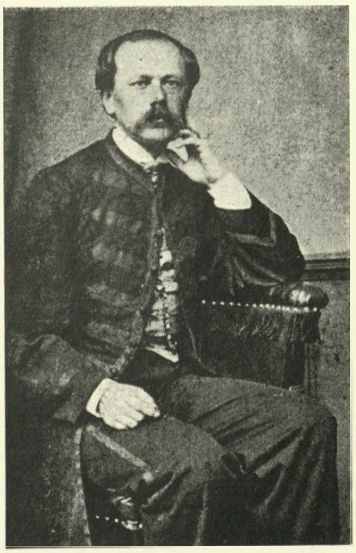


Fig. 71. Adam Grzybowski.



Fig. 72. Zygmunt Padlewski.

kowało mu bowiem: pieniędzy, broni i wodzów, nadto zaś chciał iść ręka w rękę z rewolucją rosyjską. Dobre te chęci, przez rozum dyktowane, mogły się wszakże lada chwila rozbić, wobec zupełnego braku karności u sprzysiężonych.

Pierwszym objawem bezprzykładnej samowoli wśród spiskowych był krok, uczyniony przez komisarza płockiego, Rolskiego, który bez zapytania o pozwolenie władzy opuścił swe stanowisko, udał się do Belgji i tam w jednej z fabryk broni zamówił na własną rękę 15,000 karabinów, na które z posiadanych funduszów zadatkował. Postępek ten zasługiwał na surową karę; wszakże wobec braku ludzi na stanowiskach zagrożonych Komitet Centralny okazał się słabym, czego dowiódł, zacierając całą sprawę i polecając świeżo utworzonemu Komitetowi do zukupu broni potwierdzić zamówienie Rolskiego imieniem Rządu Centralnego. Wspomniany wyżej Komitet zakupu oręża, z czterech członków złożony, został prawie w komplecie aresztowany przez rząd francuski, a papiery, przy ujęciu zabrane, przesłała policja cesarstwa w kopjach ambasadzie rosyjskiej.

Pragnąc ocalić urok niepodzielności władzy, Komitet Centralny zwiększył swój skład, powołując do grona swego Władysława Janowskiego, Jana Majkowskiego i księdza Karola Mikoszewskiego, a jednocześnie przesłał sprzysiężonym rozporządzenie zaprzestania werbunku nowych członków tudzież srogi zakaz przedsiębrania czegokolwiek bądź bez nakazu władzy. Rozporządzenia te, padając na grunt podminowanej karności, wywoływały objawy zbiorowej już samowoli. Komisarz lubelski, najpatrjotyczniejszy, ale i najsamowolniejszy z ówczesnej młodzieży, Leon Frankowski, zwołał na własną rękę zjazd komisarzy do Hotelu Polskiego w Warszawie dla naradzenia się w sprawach bieżących. Zgromadzenie to przeniosło się wkrótce do Głuchówka w okolicach Rawy, zaproszone tam przez hr. Starzyńskiego. W tem zaciszu wiejskiem zapadły buntownicze uchwały komisarzy, mocą których zażądali od Komitetu Centralnego natychmiastowego nakazu wybuchu zbrojnego na dzień 15 stycznia, motywując to naznaczeniem na ten dzień rozpoczęcia branki w Warszawie i grożąc w razie nie spełnienia tego żądania — wybuchem samodzielnym. Komitet był w rozpaczy. Narazie zamierzał aresztować i pozbawić stanowiska Leona Frankow-

skiego, ale uczuł się bezsilnym wobec jego popularności. To poczucie bezsilności wobec podwładnej organizacji zrodziło w Stefanie Bobrowskim chęć oddania się w ręce władz rosyjskich i jednoczesnego rozwiązania całego sprzysiężenia.

Myśl ta nie zyskała wszakże uznania i poparcia w łonie Komitetu. Postanowiono natomiast, nie zrzekając się władzy, zwołać na 11 stycznia komisarzy wojewódzkich, by wspólnie i ostatecznie coś postanowić. Jednocześnie wysłano tymczasowe rozporządzenie do wójtów i burmistrzów, mające na celu paraliżowanie branki, ułatwiając zawczasu dyslokację wszystkim żywiołom, które obawiały się porwania i wcielenia przymusowego do armji rosyjskiej. Zjazd 11 stycznia był bardzo liczny i burzliwy. Ostatecznie na zjeździe tym postanowiono podwoić usiłowania przygotowawcze, odkładając wybuch do lata.

Bezpośrednio wszakże przed tym zjazdem i niezwłocznie po nim, nie zważając na to, co na zjeździe postanowiono, Zygmunt Padlewski jako naczelnik miasta polecił swemu pomocnikowi Lempkemu, by młodzież warszawską skierowywał do pobliskich lasów, starając się nadać temu charakter dyslokacji dla Warszawy. Wędrówki te do lasów serockich na prawym i do kampinowskich na lewym brzegu Wisły trwały od 10 do 12 stycznia. Lempke dostarczał wszystkim żywności, nadto przesłał do kampinowskiej puszczy 200 kos, co ostatecznie odebrało tej wędrówce pierwotny charakter dyslokacji. Oczekiwana w Warszawie branka stała się faktem spełnionym. W nocy z 15 na 16 stycznia wywlekano z łóżek młodzież upatrzoną i pakowano do cytadeli. Porwanych było 1657, z których po bliższem rozpatrzeniu się wypuszczono tysiąc zgórą, zostało zaś 599.

Branka więc jako środek mający kraj uspokoić nie powiodła się zupełnie. Ale sam fakt jej dokonania wystarczał, by wywołać niczem niepohamowane oburzenie przeciwko Wielopolskiemu, a jednocześnie pozbawić uroku Komitet Centralny, któremu zarzucano, że do branki dopuścił. Margrabia, nie zważając na to, że cel został chybiony, a środek użyty zawiódł oczekiwania, ulegając swej namiętności drażnienia poważył się ogłosić w „Dzienniku Powszechnym“, iż ludność miasta powitała pobór z radością, a wzięci do wojska zadowoleni są ze

swego nowego stanowiska. W dniu 16 stycznia Komitet Centralny na zebraniu setników, które się odbyło przy ulicy Bednarskiej, pomimo energicznej walki przeciwko nakazaniu powstania, uległ naciskowi nie dającemu się przezwyciężyć ze strony sprzysiężonych. Pierwszym ustępującym przed tym naciskiem był najmniej skłonny do rozważnego oporu Zygmunt Padlewski, czego dowiódł, wypowiadając swe zdanie o konieczności natychmiastowego ogłoszenia kraju w stanie insurekcji i nakazania przez komisarzy i wojewódzkich pochwycenia za oręż w nocy z 22 na 23 stycznia.

Gdy postanowienie takie zapadło, przeciwnicy przedwczesnego wybuchu, Agaton Giller i Stefan Bobrowski, niezwłocznie z Komitetu ustąpili. Nakazany wybuch miał więc uprzedzić brankę na prowincji, której terminem była noc z 27 na 28 stycznia. Na wodza siły zbrojnej, mimo oporu dwóch występujących członków Komitetu i Padlewskiego, powołano Ludwika Mierosławskiego, do którego wysłano jednego z członków Komitetu, Władysława Janowskiego, a wkrótce potem wielbicieli jenerała, Jeskiego i Władysława Daniłowskiego, z nowemi pełnomocnictwami, gdy się dowiedziano, że Janowski na granicy był zmuszony pełnomocnictwa swoje zniszczyć.

Jeszcze na kilka dni przed wybuchem, bo 17 stycznia, dowództwo nad dziećmi Warszawy w puszczy kampinowskiej objął Padlewski; zaś w lasach serockich miał dowodzić Józef Janowski, brat Władysława, ale projekt ten do skutku nie przyszedł. W. książę Konstanty wraz z Wielopolskim uradzili, by spiesznie i bez wystrzału rozbroić wychodźców warszawskich i otoczonych wojskiem w tryumfie wprowadzić do miasta. Na ten cel wysłane zostały jednocześnie liczne oddziały z Warszawy i Płocka. Padlewski wszakże przeprawił się przez Wisłę przed nadejściem wojsk warszawskich, z Bremzenem na czele, oddział zaś serocki przeszedł Narew jeszcze po lodzie, nim nadciągnął również z Warszawy Riedeczkin. Tylko oddział Koźlaninowa, wysłany z Płocka, natknął się 20 stycznia na powstańców, gdzie Koźlaninow sam zginął i prawie wszystkich stracił, bo tylko ośmnastu zdołało się ocalić pod Ponomarenką. Zawód, na wstępie doznany przez w. księcia, był bardzo dotkliwym. Nie tracił on jednak nadziei prędkiego załatwienia się z powstaniem.

Co do Komitetu Centralnego, ten po ogłoszeniu kraju w stanie powstańczym rozpadł się prawie zupełnie. Władysław Janowski, jak to już nadmieniliśmy, wyjechał po Mierosławskiego. Giller i Bobrowski ustąpili (ostatni objął natomiast najtrudniejsze i najbardziej zagrożone stanowisko naczelnika miasta Warszawy). Padlewski stał już na czele dzieci warszawskich. Pozostali więc tylko Oskar Awejde, Majkowski i ksiądz Mikoszewski, a zaprosiwszy do swego grona Józefa Janowskiego, brata Władysława, przenieśli się do Kutna z dwoma drukarniami i zecerami, pozostawiając Warszawę pod bacznem okiem Stefana Bobrowskiego.

Ogólny plan powstania był oddawna naszkicowany przez Mierosławskiego i bez krytyki przyjęty. Polegał on na rozkazie, aby w dniu i godzinie oznaczonej napaść na rozrzucone po całym kraju drobne oddziałki wojsk rosyjskich i wyciąć je w pień. Spodziewano się na mocy stosunków, utrzymywanych stale przez Dąbrowskiego i Padlewskiego z gronem spiskujących oficerów rosyjskich, poddania się prawie dobrowolnego twierdzy Modlina. Nakazując wybuch, rachowano na 25.000 szeregowców, na broń i amunicję w Modlinie, na konie własne w całym kraju hodowane, nadto na 2.400 koni kozackich, z rozkazu rządu sprzedanych najrozmaitszym nabywcom przez kozaków 4, 9 i 11 pułków, wracających po odbyciu terminowej służby do stron rodzinnych nad Don. Najdotkliwszym wszakże zdawał się być brak zdolnych dowódców oddanych sprawie, tudzież gotowizny, której zaledwie posiadano kilkakroć sto tysięcy złotych. Oprócz Zygmunta Padlewskiego, Konrada Błaszyńskiego, byłego kapitana 4 brygady artylerji, przeznaczonego na dowódcę w Płockiem, Walentego Lewandowskiego, żołnierza z kampanji węgierskiej 1848 r., a później profesora w Batignolles, przeznaczonego dla Podlasia, wreszcie Marjana Langiewicza, dobrze z teorją i praktyką wojskową obeznanego, i kilku młodych wychowańców szkoły wojskowej w Cuneo, wszyscy inni domniemani dowódcy w pierwszej chwili musieli się rekrutować prawie bez wyjątku z ochotników, nie znających się wcale na sztuce wojennej.

Wojska rosyjskie liczyły 100.000 żołnierza z okładem w Polsce Kongresowej i posiadały 176 dział. I jemu wszakże

brakło zdolnych dowódców, umiejących działać na własną rękę, co jest niezbędnym warunkiem prowadzenia wojny partyzanckiej. Nadto armję rosyjską demoralizowało skutecznie codzienne opuszczanie oficjalne szeregów przez oficerów polskich. Doszło tam do tego, iż podoficerowie i szeregowcy szpiegowali swoich zwierzchników, nawet Rosjan, a rząd w razie konieczności gotował się do oparcia się na wojskowych niższych stopni. Tak w ogólnych zarysach przedstawiały się w chwili wybuchu strony, mające ze sobą walczyć.

Napady w nocy z 22 na 23 przyszły do skutku w dwudziestu kilku punktach z różnem bardzo powodzeniem. Wywołały zaś szereg napaści w prasie rosyjskiej i europejskiej, zohydzając sam charakter napadu, jako podstępny i wymierzony przeciwko śpiącym i bezbronnym; przy każdej zaś nadarzonej sposobności malowano jaskrawemi barwami pastwienie się polskich powstańców nad Rosjanami. Bezpośrednim skutkiem tych napaści było skupianie wojsk w większych ilościach na obronnych pozycjach. Manewr ten dozwolił bezkarnie rozwinąć się nowym oddziałom powstania tam, skąd wojska ustępowały. Nocne napady miały miejsce w Bodzentynie, Suchedniowie, Jedlinie, Szydłowcu, Stoczku, Łomazach, Rososzy, Kodeniu, Łukowie, Kazimierzu i innych; siły zaś, skupione około Płocka, nie odważyły się nawet na zajęcie tego miasta. Jednocześnie z ogłoszeniem kraju w stanie insurekcji i przybraniem przez Komitet Centralny tytułu „Tymczasowego Rządu Narodowego“ wydanym został w dniu 22 stycznia następujący manifest:

„Nikczemny rząd najezdniczy, rozwścieklony oporem męczonej przezeń ofiary, postanowił zadać jej cios stanowczy — porwać kilkadziesiąt tysięcy najdzielniejszych, najgorliwszych jej obrońców, oblec w nienawistny mundur moskiewski i pognać tysiące mil na wieczną nędzę i zatracenie. Polska nie chce, nie może poddać się bezopornie temu sromotnemu gwałtowi; pod karą hańby przed potomnością powinna stawić energiczny opór. Zastępy młodzieży walecznej, młodzieży poświęconej, ożywione gorącą miłością Ojczyzny, niezachwianą wiarą w sprawiedliwość i pomoc Boga, poprzysięgły zrzucić przeklęte jarzmo lub zginąć! Za nią więc, Narodzie Polski, za nią!

„Po straszliwej hańbie niewoli, po niepojętych męczarniach ucisku, Centralny Narodowy Komitet, obecnie jedyny legalny Rząd Twój Narodowy, wzywa Cię na pole walki już ostatniej, na pole chwały i zwycięstwa, które Ci da i przez imię Boga na niebie dać przysięga, bo wie, że ty, który wczoraj byłeś pokutnikiem i mścicielem, jutro musisz być i będziesz bohaterem i olbrzymem! Tak, ty wolność Twoją, niepodległość, zdobędziesz z wielkością takiego męstwa, świętością takich ofiar, jakich lud żaden nie zapisał jeszcze na dziejowych kartach swoich. Powstającej Ojczyźnie Twojej dasz bez żalu słabości i wahania wszystką krew, życie i mienie, jakich od Ciebie zapotrzebuje. W zamian Komitet Centralny Narodowy przyrzeka Ci, że siły dzielności Twojej nie zmarnieją, poświęcenia nie będą stracone, bo ster, który ujmuje, silną dzierżyć będzie ręką. Złamie wszystkie przeszkody, roztrąci wszelkie zapory, a każdą nieprzychylność dla świętej sprawy, nawet brak gorliwości, ścigać i karać będzie, przed surowym, choć sprawiedliwym trybunałem obrażonej Ojczyzny! W pierwszym zaraz dniu jawnego wystąpienia, w pierwszej chwili rozpoczęcia świętej walki, Komitet Centralny Narodowy ogłasza wszystkich synów Polski, bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnymi i równymi obywatelami kraju. Ziemia, którą lud rolniczy posiadał dotąd na prawach czynszu lub pańszczyzny, staje się od tej chwili bezwarunkową jego własnością, dziedzictwem wieczystem. Właściciele poszkodowani wynagrodzeni będą z ogólnych funduszów państwa. Wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy, wstępujący w szeregi obrońców kraju, lub, w razie zaszczytnej śmierci na polu chwały, rodziny ich, otrzymają z dóbr narodowych dział obronionej od wrogów ziemi.

„Do broni więc, Narodzie Polski, Litwy i Rusi! do broni! bo godzina wspólnego wyzwolenia już wybiła; stary miecz nasz wydobyty, święty sztandar Orła, Pogoni i Archanioła rozwinięty!

„A teraz, odzywamy się do Ciebie, Narodzie Moskiewski! Tradycyjnem hasłem naszem jest wolność i braterstwo ludów. Dlatego też przebaczamy Ci nawet mord naszej Ojczyzny, nawet krew Pragi i Oszmiany, gwałty ulic Warszawy i tortury lochów Cytadeli. Przebaczamy Ci, bo i Ty jesteś nędzny i mordowany, smutny i umęczony. Trupy dzieci Twoich kołyszą się

na szubienicach carskich, prorocy Twoi marzną na śniegach Sybiru! Ale jeżeli w tej stanowczej godzinie nie uczujesz w sobie zgryzoty za przeszłość, świętych pragnień dla przyszłości, jeżeli w zapasach z nami dasz poparcie tyranowi, który zabija nas, a depcze po Tobie, biada Ci! bo w obliczu Boga i świata całego przeklniemy Cię na hańbę wiecznego poddaństwa i mękę wiecznej niewoli i wyzwiemy na straszny bój zagłady, bój ostatni europejskiej cywilizacji z dzikiem barbarzyństwem Azji!"

Warszawa, dnia 22 stycznia 1863 r.

Najobfitszą w następstwa była ta część odezwy, która rozwiązywała kwestję włościańską w duchu najpostępowszej ówczesnej myśli polskiej. W osobnym dekrecie tegoż 22 stycznia Tymczasowy Rząd Narodowy nadał formę prawną uwłaszczeniu wszystkich bez wyjątku włościan i polecił niezwłoczne wykonanie tego dekretu władzom wojskowym i cywilnym w województwach. Dwa te akta wpłynęły stanowczo na postawę włościan, która z nieprzyjaznej zmieniała się zwolna w wyczekującą, a następnie w czynną. Były oddziały w końcu powstania, w połowie, a nierzadko w większej jeszcze części, składające się z włościan, pochodzących z granic Kongresówki i Litwy etnograficznej.

Przechodząc do cyfr, przekonamy się ze źródeł ówczesnych że powstanie rozpoczęło nie 25.000 ludu, jak oczekiwano, ale około 10.000 bezbronnych lub prawie nieuzbrojonych, z kasą niemal pustą i bez uzdolnionych dowódców. Nic więc dziwnego, iż w pierwszym okresie ruch był bardzo słaby. Teatrem walk stała się narazie wyłącznie Kongresowa Polska, która, opierając się o granice pruską i austrjacką, posiadała wielką swobodę ruchów i możność przemycania broni, a niemniej była dogodną pod względem strategicznym dla partyzantki, tak w południowej swej części górzystej, jak w północnej błotnisto-leśnej. I materjału w ludziach więcej ta część posiadała. Robotnicy bowiem i górnicy w górach, zagonowa zaś drobna szlachta na Podlasiu, stanowiły najlepszy materjał na żołnierza partyzanta. Uformowane w dniu wybuchu oddziałki stopniowe łącząc się z sobą tworzyły coraz większe masy, które zkolei stawały się celem prześladowania wojsk rosyjskich.

Wspomnieliśmy już o skupieniu i pogromie ruchawki płockiej. Na południu przy zajęciu Miechowa Apolinary Kurowski zmarnował swój oddziałek, złożony prawie wyłącznie z akademików krakowskich. Na Podlasiu Mystkowski zgromadził siły pod Węgrowem, Lewandowski pod Łukowem, Roman Rogiński w Białej Podlaskiej. Oddziały te, po wielokrotnych utarczkach z nieprzyjacielem, połączyły się pod Siemiatyczami, i tam rozbite podzieliły się na dwie części. Jedna liczniejsza, cofnęła się w głąb Kogresówki, druga mniej liczna, pod Rogińskim, wkroczyła na Litwę, gdzie ten, pełen szlachetnego zapału młodzieniec, głosił manifesty o uwłaszczeniu i dotarł z małemi przeszkodami aż do Pińszczyzny i tu dostał się do niewoli wraz z niedobitkami swej partji.

Największem wszakże powodzeniem cieszył się oddział Marjana Langiewicza, który zgromadził znaczne siły pod Wąchockiem i oczyścił chwilowo prawie doszczętnie od nieprzyjaciela część górską, południowo zachodnią. W Lubelskiem wielki oddział, zorganizowany przez Leona Frankowskiego, a dowodzony najniedołężniej przez niejakiego Zdanowicza, po rozbiciu wpadł do Sandomierza, skąd połączywszy się z oddziałem Rajskiego dotarł do Langiewicza i wcielił się do jego siły zbrojnej. Wkrótce potem powstają w Lubelskiem nowe partje pod Bohdanowiczem, Nieczują i Radzikowskim, i zagrażają chwilowo dowódcy wojsk rosyjskich, Rahozie, który o mało nie dostał się do niewoli. Sympatja ludów ucywilizowanej Europy oświadcza się niepodzielnie za Polską, walczącą o niepodległość.

Rząd rosyjski w przestrachu o rozprzężenie karności w łonie wojska własnego, wobec samobójstwa wyższych oficerów, jak Korff i Bentkowski, którzy nie chcieli spełniać poleceń, niezgodnych z poczuciem wojskowego honoru, rozpoczął kampanję dziennikarską, pragnąc Polskę, Polaków i liberalnych Rosjan zohydzić przed ciemnym ludem. Podjęli się tego zadania panowie Katkow i Leontiew, którzy wydzierżawili gazetę „Moskowskije Wiedomosti“ (Moskiewskie Wiadomości) wraz z prawem monopolu na ogłoszenia rządowe, który to monopol był nagrodą za gorliwe spełnianie poleceń rządowych. Cesarz na rewji, przemawiając do gwardji, napomknął, że wrogowie pań-



Fig. 77. Ks. Szczeniowski.



Fig. 78. Teofil Czapski.



Fig. 79. Zygmunt Husarowski.

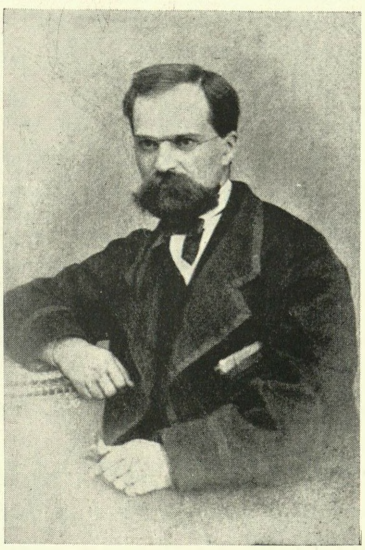


Fig. 80. Karol Aleksandrowicz.

stwa liczą na zdrajców w jej szeregach. W obawach swoich rząd daje do zrozumienia, że w razie ostateczności oprze się na szeregowcach. Jednocześnie zaś, naciskany przez Bismarka, dla którego powstanie było daleko groźniejszem w zasadzie, zawarł z Prusami 8 lutego głośną w prawie międzynarodowem konwencję, podpisaną w imieniu Prus przez Alwenslebena, zaś w imieniu Rosji z wielką niechęcią przez ks. Gorczakowa, dozwalającą wojskom obu mocarstw przechodzić granice dla ścigania nieprzyjaciela. Ta niecna akcja wywołała w Niemczech, a nawet w Prusach, powszechne oburzenie, co uwydatniło się w interpelacji, wypowiedzianej 18 lutego w sejmie pruskim, i w znanem przemówieniu Waldecka, który wśród ogłuszających oklasków powiedział:

„Konwencja, mająca pomagać takiemu państwu jak Rosja w celu przymuszenia do uległości zbuntowanych poddanych, jest czemś tak potwornem, że trudnoby znaleźć właściwą kategorję aktów publicznych, gdzieby ją można było umieścić“ i dalej:

„Konwencja ta jest ni mniej ni więcej, jak uprawnionem wysłaniem żandarmów i policji uzbrojonej do kraju, którego istnienie zależało dotąd tylko od policji i żandarmów. Czyż państwo, które powiada o sobie, że idzie na czele cywilizacji w Niemczech, może się podejmować takiej roli? Człowiek, którego czoło nie okryło się rumieńcem wstydu na podobną myśl, nie jest godzien nazywać się Prusakiem lub Niemcem“.

Jakkolwiek Bismarka ubodły mocno te słowa, stawiał się on jednak nader wyzywająco względem całej Izby, podczas burzliwych rozpraw 26 i 27 lutego, które skończyły się przyjęciem wniosku Bochum Dolffsa 246 głosami przeciwko 57. Wniosek ten domagał się, aby rząd nie wspierał i nie sprzyjał żadnej ze stron walczących w Polsce i nie pozwalał ludziom uzbrojonym wstępować na ziemię pruską bez natychmiastowego ich rozbrojenia; co uważano jako ostateczne potępienie konwencji.

Pomimo że dzieło Bismarka unicestwione zostało przez jego ziomków, nie mogło ono nie zwrócić na siebie bacznej uwagi innych mocarstw. To też cesarz Francuzów, gdy się o pierwszych krokach dyplomacji pruskiej dowiedział, zmienił

najzupełniej na czynne całe swoje zrazu bierne zachowanie się w sprawie polskiej. Wobec wszakże rozpoczętych starań o zawiązanie z Rosją przymierza zachowywał się bardzo oględnie, a wiedząc dobrze o współczuciu Francuzów dla Polski, śledził pilnie z jednej strony bieg wypadków na ziemiach dawnej Polski, z drugiej liczył uderzenia i badał natężenie pulsów narodu francuskiego. Gdy zaś dojrzał na szachownicy dyplomatycznej pierwsze a stanowcze pociągnięcie Bismarka, skupił na niem całą swą uwagę. Już 10 lutego wysłaną została z Paryża do Petersburga pełna serdeczności depesza, w której zaznacza Napoleon otwarcie swoją wielką zależność od opinji publicznej we Francji. Tegoż dnia, na Radzie Ministrów, postanowiono ostrzec Rosję za pomocą noty o niebezpieczeństwie, grożącem jej z racji zawartej z Prusami konwencji. Zredagowany projekt tej noty uwzględniał przypuszczalne skrupuły Anglji i Austrji, mając na celu zapewnienie sobie podpisów przedstawicieli tych mocarstw.

Głuche o tych usiłowaniach wieści rozbudzały wielkie nadzieje nietylko wśród walczących, ale i w całym kraju naszym. Tymczasem Austrja i Anglja uchyliły się od akcji po krótkiem wahaniu — i cała sprawa poszła chwilowo w zapomnienie. Książę Adam Czartoryski jeszcze przed wystąpieniem białych żądał poskromienia powstania za jaką bądź cenę. Po tem zaś, co zaszło w Prusach i we Francji, do tego stopnia zmienił swoje zapatrywania, iż w depeszy z dnia 16 lutego przesłanej do kraju donosi: „Wszystko się zmieniło — należy jak najdłużej podtrzymać walkę". Słowa te odbiły się również głośnem echem po lasach, dworach i dworkach całej Polski; i znowu, jak się okazało, były mirażem tylko!...

W czasie tych matactw dyplomatycznych i pomimo powszechne porażki wszystkich prawie oddziałów, powstanie wciąż się wzmagało, gdyż na miejsce rozprószonych powstawały nowe oddziały. Langiewicz, chwilowo odparty od Wąchocka ku górom świętokrzyskim, zajmuje wkrótce Staszów, a następnie Małogoszczę, utrzymując stałą a swobodną łączność z Galicją. Mierosławski, otrzymawszy nominację na dyktatora, po długiej zwłoce wkracza nareszcie z małym oddziałkiem na Kujawy

i zakłada obóz pod Krzywosądem, gdzie został zniesionym 19 lutego. Uchodząc, napotyka Mielęckiego i przyłącza się doń w chwili, gdy ten musi stoczyć bitwę, która niestety kończy się również niepowodzeniem dla oręża powstańczego, co przynagla Mierosławskiego do opuszczenia Kongresowej Polski i poronienia dyktatury. Wkrótce po usunięciu się Mierosławskiego występuje jako nowy dyktator Marjan Langiewicz. Jaką drogą przyszedł on do władzy, nie jest dotąd dostatecznie wyjaśnionem. To tylko jest rzeczą pewną, że nominacja nie pochodziła od Rządu Narodowego i była z pieczęcią podrobioną, o czem świadczą znane w tej sprawie protesty, a następnie zakończony śmiercią pojedynek jednego z najzdolniejszych i najczystszych członków ówczesnego Rządu, Stefana Bobrowskiego. Dyktatorem został ogłoszony Langiewicz pod Goszczą przez Jeziorańskiego. Przyjął on nominację w najlepszej wierze, nie podejrzywając, że mu przedstawiono podfałszowane i podrobioną pieczęcią zaopatrzone zrzeczenie się na rzecz jego władzy przez Rząd Narodowy.

W zaciętej bitwie pod Grochowiskami zwycięża Langiewicz jako dyktator. Wszakże przekonywa się, iż w walce z wojskiem regularnem lepszą jest metoda walki drobnemi oddziałami. Pozostawiając więc stosowne rozporządzenia, w nocy z 18 na 19 marca, opuszcza obóz w zamiarze, jak twierdził, reorganizacji innych oddziałów w kraju, przeważnie zaś w Lubelskiem. Przejeżdżając granicę w dniu 21 marca, zostaje poznanym, schwytanym i osadzonym w jednej z twierdz austrjackich. Dla odparcia tak strasznego ciosu, zadanego ówczesnemu ruchowi, konieczną była akcja ratunkowa. Rząd Narodowy, dotarłszy do źródła nominacji Langiewicza, nie chciał go głośno kompromitować, pokładał w nim bowiem wielkie nadzieje; nim wszakże z dyktatorem porozumieć się zdołał, ten ostatni był już w więzieniu austrjackiem.

Po tak marnym upadku obu dyktatur, Bobrowski Stefan, ten bez żadnych miłostek własnych filar ówczesnego powstania, skoro się o uwięzieniu Langiewicza dowiedział, wydał za własnym podpisem proklamację następującego dosłownego brzmienia:

„Rodacy!

Dyktatura pochwycona przez jednego z jenerałów powstania upadła na dniu 19 marca. Najwyższa władza narodowa przechodzi znowu w ręce Komitetu Centralnego Narodowego, istniejącego w Warszawie, który nie przestał wypełniać obowiązków Rządu Tymczasowego i który jest jedyną, legalną władzą krajową. Powrót najwyższej władzy w ręce ludzi, którzy wywołali powstanie narodowe i prowadzili je z energją, jest dla Was gwarancją, że takowe będzie dalej wiedzione i że nie inaczej jak zwycięstwem się ukończy. Będziemy walczyli bez wytchnienia, bez zniechęcenia przeciwnościami, bez wstrzymywania się wobec przeszkód, jakie mogą stanąć nam na drodze. Nie ześrodkujemy już więcej władzy najwyższej w jednem ręku, gdyż to mogłoby spowodować upadek powstania, lecz silni uczuciem prawa oprzem się energicznie wszelkim usiłowaniom stronnictw, chcących wznieść władzę, naszej niepodległą.

Rodacy! Z nadzieją i niezachwianą wiarą bierzemy znów w ręce wodze narodowe. Przywykli pogardzać niebezpieczeństwem, przekonani jesteśmy, że potrafimy usunąć klęski, wynikłe z upadku dyktatora. Wierni sprawie, której sztandar przez nas trzymany nie dopuszcza niezgody w naszem łonie, żądamy posłuszeństwa od całego narodu. Do broni więc! wróg jest jeszcze przed nami. Nasi bracia ulegają! W szeregach jest dziś miejsce dla wszystkich Polaków.

W imieniu Komitetu Centralnego działającego jako Rząd Tymczasowy

Komisarz nadzwyczajny
Stefan Bobrowski.

Niestety, jeden z ludzi najzdolniejszych i najbezinteresowniej oddany sprawie ruchu, Bobrowski Stefan, pada na placu w pojedynku z panem Adamem hr. Grabowskim 2/14 kwietnia 1863 roku.

Jednocześnie prawie z powstaniem dyktatury poczynają krążyć wieści o interwencji mocarstw zachodnich, mających niekłamany interes w osłabieniu Rosji. W tym też czasie umiarkowane stronnictwo szlacheckie, uwierzywszy w tę interwencję, przystępuje do ruchu, co zwiększa znacznie siły materjalne po-

wstania i zaznacza się całym szeregiem protestacyj przeciwko istniejącemu porządkowi. Wówczas to bowiem podają się do dymisji członkowie Rady Stanu, powołując się na gwałty w pałacu Poletyłłów, dokonane przez wojska rosyjskie w Lubelskiem, wśród których zamordowano radcę Wojciechowskiego. Arcybiskup Feliński wysyła do cesarza Aleksandra II list pełen godności, a wzywający go do umiarkowania. Na Litwie rządy przechodzą w ręce ziemian: Oskierki Aleksandra, Jakóba Giejsztora, Antoniego Jeleńskiego i Franciszka Dalewskiego; a czterystu pośredników opuszcza swe stanowiska, powołując się na niemożność prawidłowego działania wobec poduszczań włościan przeciwko szlachcie, których się dopuszczają drobni urzędnicy miejscowi.

Tymczasem pragnienie pociągnięcia ludu do powstania w zbitej masie nawet w Kongresowej Polsce okazuje się nie do spełnienia. Większość tej masy była bierną. Czynni stanowili w owym czasie jeszcze wyjątek nie tylko w Koronie, ale i na Litwie, gdzie lud był więcej o celach powstania przed wybuchem oświecony. Rząd najezdniczy, pragnąc chylenie się ludu ku powstaniu powstrzymać, wydał 23 marca (4 kwietnia) ukaz, znoszący w 5 gubernjach litewsko-białoruskich i 4 powiatach gubernji witebskiej wszelkie stosunki dworu z włością, i nakazujący płacić sobie czynsze od 1/13 marca tegoż roku.

Wejście w skład Rządu Narodowego żywiołów umiarkowanych musiało się odbić na całej jego działalności. Od tego więc czasu widzimy mniej radykalny we względzie społecznym kierunek; występują na pierwszy plan dążności dyplomatyczne; powstanie zaś przybiera charakter przeciągłych i najrozleglejszych demonstracyj celem dania czasu tym zabiegom. Oczekiwana interwencja spełzła na kampanji dyplomatycznej. Francja bała się zerwania z Rosją, Anglja o Polskę bić się nie myślała, a Austrja lękała się pożaru powstańczego dla Galicji; nie było więc podstaw do snucia lepszych nadziei. Noty różnobrzmiące zostały doręczone kanclerzowi Gorczakowowi dnia 17 kwietnia. Tymczasem, mimo kierunek powstrzymujący ruchy energiczne, powstanie nie tylko trzymało się, ale i rozwijało się w marcu i kwietniu.

W tym okresie wzmaga się ono szczególniej na granicy pruskiej, na Kujawach i w Kaliskiem, gdzie Kazimierz Mie-

lęcki, Jung de Blankenheim, Seifryd Lüttich, Urbanowicz, Parczewski, Taczanowski, Foucher itd., dowodzili pojedyńczemi oddziałami, które zbiorowo stanowiły około 10-tysięczną ruchawkę. Powodzeniem cieszył się czas dłuższy Mielęcki do 23 marca, w którym został śmiertelnie ranny. Jung poległ w boju. Parczewski i Lüttich ulegli rozbiciu prawie doszczętnie. W Sandomierskiem wyróżnili się: Czachowski, Kononowicz, Gryliński, w Krakowskiem chwilowo Mossakowski. W Lubelskiem Lelewel (Marcin Borelowski) cieszył się długo powodzeniem i pociągał masami włościan. W Płockiem, długo nieczynny Zygmunt Padlewski zgromadził znaczniejsze siły i pobił jenerała Tolla pod Myszyńcem dnia 9 marca. W drodze zaś do granicy, gdzie chciał sprawdzić, dlaczego oczekiwane oddziały nie wkroczyły, został pojmany dnia 23 kwietnia i 15 maja rozstrzelany w Płocku.

Litwa do końca marca dawała bardzo słabe oznaki życia na polu walki. W powiatach lidzkim i trockim województwa wileńskiego pojawiły się pierwsze zbrojne oddziały. W powiecie trockim naczelnikiem wojennym tegoż powiatu był Klet Korewa. Organizował on oddział w lasach janowskich, a schwytany w drodze do innej części tegoż powiatu, gdzie się udawał dla formowania dalszych oddziałów, został rozstrzelany w Kownie dnia 24 marca 1863 r. Wkrótce zasłynął w Lidzkiem Ludwik Narbutt, syn znanego historyka Litwy. Był to dymisjonowany oficer wojsk rosyjskich, do których jako uczeń gimnazjalny dostał się niedobrowolnie, ale za wyrokiem, po otrzymaniu 300 rózg tytułem zachęty do służby. Staje się on postrachem nieprzyjaciela, zwycięża kolejno pod Mereczanką, pod Sudnikami, w lesie Podubieckim i w okolicy Łuksztucian. Nazimow naznaczył sowitą nagrodę za głowę jego i posyłał znaczne siły, ażeby go zgnieść. Zewsząd naciskany podążał do Puszczy Białowieskiej, lecz koło Dubicz został napadnięty przez wojska rosyjskie. Raniony w nogę i niesiony na płaszczu nie przestaje kierować walką. Wkrótce jednak, gdy Moskale skierowali wszystkie strzały w kierunku tych, co nieśli ranionego Narbutta, kule godzą dwóch tragarzy, a następnie niesionego przez nich dowódcę, który konając szepce, iż „miło jest oddać za ojczyznę życie".

Po Litwie powstaje Żmudź, gdzie element włościański był

od dawien dawna umysłowo rozwinięty. Zjawiają się dowódcy z łona ludu, jak Bilis, Pujdak, Łukaszunas i inni. Nim wszakże zjawiły się te postacie ludowe na czele walczących, pierwsze hasła do ruchu na Żmudzi dali ksiądz Mackiewicz i Kołyszko 20 i 21 marca. Nigdzie może na obszarze ziem dawnej Polski nie obudził manifest powołujący do broni i głoszący uwłaszczenie włościan takiego zapału jak na Żmudzi, gdzie na wstępie gotowano się do pospolitego ruszenia, z cepami, siekierami itd. Współczucie zaś, jakie okazywano powstaniu w Szwecji i Finlandji, pozwalało Żmudzinom oczekiwać wielkich ułatwień co do dostarczenia im broni. W tym też miesiącu oczekiwano w Połądze statków z bronią, zakupioną przez Ćwierciakiewicza i Bakunina, który miał organizować ruch powstańczy wśród Rosjan.

Wyprawy tej podjął się Demontowicz, zaś kapitanem statku był Łapiński, który dawniej walczył z Moskwą w szeregach czerkieskich. Ekspedycja się nie udała, obwiniano Łapińskiego o zdradę. Sądzę, że bezpodstawnie. Rosja bowiem o całej tej gotującej się wyprawie dobrze wiedziała i zabezpieczyła się skutecznie do niezwłocznego jej odparcia, co tem lepiej się udało, gdy organizatorowie marudzili i zwlekali, a tem samem dobre skutki przedsięwzięcia pogrzebali, co im zarzucić można, słusznie obwiniając o zwłokę i niezaradność, nie zaś o zdradę. W oczekiwaniu broni oddziały czynne na Żmudzi pragnęły ułatwić jej wyładowanie; podjął się tego trudnego zadania Dłuski. Tymczasem transport nie stawił się na czas oznaczony. Dłuski musiał cofnąć się. W tem cofaniu się naścignięty przez Rosjan około komor celnych Jurburga i Taurogów, okopuje się w Tauros i zwycięsko odpiera napady wroga; pod Sztemplami zaś i Lenczami bije nieprzyjaciół na głowę. Działo się to już na początku kwietnia.

Powstanie żmudzkie z jego ludowym charakterem szerzyło postrach w Petersburgu i prowincjach bałtyckich, szczególniej gdy się dowiedziano, że na czele tego ludowego ruchu ma stanąć Zygmunt Sierakowski, przed chwilą prawa ręka ministra wojny i pierwszorzędna zdolność wojskowa. Sierakowskiego znałem osobiście; był on uczniem żytomierskiego gimnazjum, które ukończył z medalem złotym. Pamiętam go w mojem dzie-

cińskie jako nauczyciela Aleksandra Piotrowskiego (syna Albina), naszego bliskiego sąsiada. Zachwycał mnie swoją wymową i zapałem niemniej jak swym studenckim mundurem. Dziwne były późniejsze losu jego koleje. Porwany żądzą służenia sprawie niepodległości ludów, przekrada się przez granicę, by wziąć udział w walce Węgrów o byt polityczny. Zdradzony i oddany w ręce władz rosyjskich przez żydka, który go przemycał, zostaje skazany do bataljonów orenburskich jako żołnierz. Odznaczony i awansowany, wstępuje do akademji jeneralnego sztabu, po ukończeniu której staje się w Petersburgu wśród starszyzny wojskowej jedną z najpotężniejszych dźwigni opinji wolnomyślnej.

W początku 1863 r. wszedł w styczność z ruchem rewolucyjnym europejskim i zgodził się na przyjęcie ciężkiego stanowiska dowódcy sił zbrojnych w województwie kowieńskiem. Urok Sierakowskiego szerzył się gwałtownie wśród Żmudzinów. Starał się on usilnie zmienić swój oddział jak najśpieszniej w regularne wojsko. Podwładni kochali go i szanowali. Kosynierami dowodził pod nim Litwin Wiwulski. Pierwszą bitwę stoczył Sierakowski pod Rogowem albo Ginetynami 18 kwietnia i pobił Rosjan, drugą pomyślną utarczkę koło Korsakiszek, poczem, wprawiwszy nieco swe oddziały w lasach Andronieckich, ruszył ku Inflantom, chcąc ruch obudzić wśród Łotyszów. Niespodziewanie zaszedł mu drogę w okolicy Birż jenerał Ganecki, mający pod swem dowództwem około 3.000 wojska. Sierakowski nie był do walki przygotowanym; brakło mu bowiem obecności Mackiewicza, stanowiącego jego prawe skrzydło, a z którego oddziałem włącznie posiadał 2.700 ludzi pod bronią. Musiał wszakże zmierzyć się z wrogiem i odparł go. Dowódca lewego skrzydła radził ścigać odpartego ze stratą Ganeckiego, nie czekając na Mackiewicza, Sierakowski zaś wolał wzmocnić się przed powtórną walką, a zająwszy obronne stanowisko pod Gudziszkami napróżno wyczekiwał nadejścia Mackiewicza. Tymczasem baronowie kurlandzcy zdecydowali się nieść czynną pomoc wojskom rosyjskim, śląc im 200 celnych strzelców, dokładnie znających okolicę; poczem Ganecki uderzył ponownie o godzinie 11 zrana na Sierakowskiego, który na czele oddziału bronił się z zaciętością, gdy kula nieprzyjacielska ugodziła go w kręgosłup, co rozstrzygnęło ostatecznie

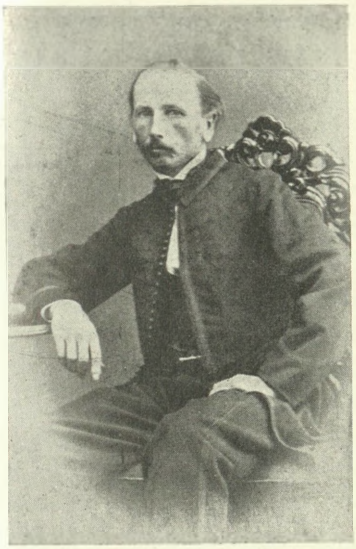


Fig. 81. Leonard Bośniacki.

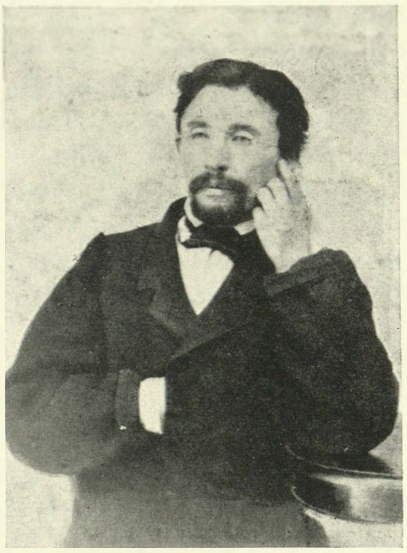


Fig. 82. Maurycy Prozor.

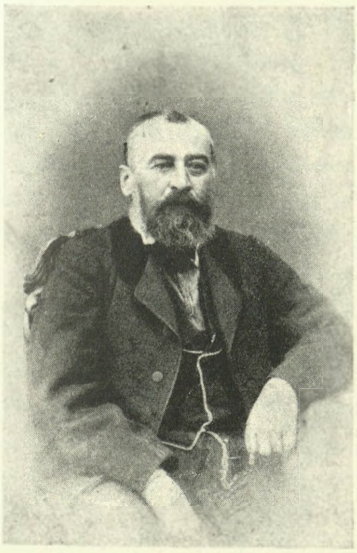


Fig. 83. Aleksander Budzyński.



Fig. 84. Karol Cieszkowski.

los bitwy. Przybycie Mackiewicza i objęcie przez Kołyszkę dowództwa nie na wiele się przydało; otoczyli go bowiem pod Sznurkiszkami Moskale, a kierując się wskazówkami strzelców kurlandzkich, znających dokładnie miejscowość, rozprószyli resztki oddziału, pod Kołyszką skupione, prawie doszczętnie; w kilka zaś dni potem wzięli do niewoli przewódców: Sierakowskiego, Kołyszkę i adjutanta tychże, Kossakowskiego. Te trzydniowe boje w dniach 2, 3 i 4 maja wedle n. st. noszą nazwę bitwy Birżańskiej, która zamyka sobą lepszy okres walki na ziemiach litewskich.

Gdy się powstanie szerzy na dobre w Polsce Kongresowej, gdy i na Litwie w granicach etnograficznych, to jest w Kowieńskiem, Wileńskiem i Grodzieńskiem, zrazu słabe, wzmaga się coraz silniej w marcu, a szczególnie kwietniu, Białoruś, Inflanty i Ruś nie dają jeszcze znaku życia, mimo nieustanne nawoływania ze strony Rządu Narodowego. Jako urodzony na Wołyniu, wychowaniec szkół żytomierskich, a w owym czasie stale mieszkający w powiecie żytomierskim, postaram się jak najprawdziwiej przedstawić tu stan rzeczy na Rusi w początku 1863 r., uwzględniając przeważnie swoją okolicę.

Jedynym tych prowincyj żywiołem, zdolnym z wieku, wykształcenia i usposobienia, do wykonania tej bohaterskiej, acz bezowocnej ofiary na rzecz wymagań Rządu Narodowego, była młodzież uniwersytecka, bądź na ławach wszechnicy dotąd zasiadająca, bądź świeżo po całej okolicy rozsypana. Za przykładem tej młodzieży pójść mogła część gorętszych właścicieli ziemskich, zdatnych do noszenia broni, tudzież w drodze wyjątków najszlachetniejsi z oficjalistów, szlachty zagonowej i czeladzi. Wszystko to razem wzięte w najlepszym razie mogło przedstawiać w trzech prowincjach Rusi kilka tysięcy ludzi, otoczonych zewsząd miljonowym zastępem, jeśli nie wrogim, to całkiem na sprawę polską obojętnym, a składającym się z miejscowych włościan Rusinów, żydów i olbrzymiej ilości szlachty zagonowej, mówiącej przeważnie po rusińsku i stopniowo zatracającej polską swą narodowość i tradycje. Niezależnie od tych liczebnie niedogodnych dla powstania stosunków, wobec regulujących się zaledwie spraw włościańskich, Rusini chłopi podejrzywali panów, a więc cały prawie żywioł polski na Wołyniu, o niechęć, z racji świeżego skasowania pańszczyzny.

Cóż więc łatwiejszego było nad uznanie prowincyj naszych nawet najmniej wtajemniczonemu w szczegóły okoliczności miejscowych za nie mogące powstać i walczyć bodaj chwilowo z jakiem takiem powodzeniem. Zrazu, o ile wiem, zwolennicy zbrojnego powstania przyszli do przeświadczenia, iż ono nie ma racji bytu na Rusi, która winna spłacić podatek krwi, wysyłając młodzież dobrze uzbrojoną do oddziałów w Polsce Kongresowej. Zmiana zapatrywań miała nastąpić po powrocie z zagranicy Stefana Bobrowskiego i bytności w Warszawie Edmunda Różyckiego. Gdy zaś stanęło na tem, że Ruś musi powstać, rozpoczęła się w tym kierunku gorąca agitacja, dążąca pod naciskiem rządu warszawskiego, za pośrednictwem fachowych spiskowców miejscowych, do wywołania zbrojnego ruchu, nie licząc się z ujemnemi jego następstwami.

W uprzednim rozdziale nadmieniłem o organizacji, która powstała na Rusi wkrótce po pierwszych demonstracjach, a w której zająłem stanowisko naczelnika powiatu żytomierskiego. Niemałem też było moje zdziwienie, gdy mi marszałek powiatu, p. Lucjan Niewmierzycki, spotkawszy się ze mną w Żytomierzu, oznajmił, iż nadeszła chwila, w której winniśmy złożyć nasze pełnomocnictwa ziemiańskie w inne ręce. Istnieje bowiem z ramienia Rządu Narodowego organizacja powstańcza, obejmująca wszystkie stany. Poczem zaproponował mi udać się do jednej z osób władzę tę przedstawiających. W milczeniu przyjąłem propozycję i zaraz wyruszyliśmy na Małą Cudnowską ulicę, a z tej w uboczną wąziutką bez nazwy, i zatrzymaliśmy się przed małym domkiem, w którym mieszkał p. Teofil Czapski, powrócony z Syberji przed kilku laty, gdzie odbywał karę za udział w spisku Szymona Konarskiego. Był on obecnie, jak się dowiedziałem, jednym z trzech członków Komitetu Wołyńskiego, mianowany z ramienia Rządu Narodowego. Ujrzałem przed sobą niemłodego mężczyznę, średniego wzrostu, szczupłego, o kulach, z posiwiałemi wąsami i brodą wąsko ostrzyżoną, uśmiechniętego i uprzejmego w obejściu.

Po przedstawieniu mię przez marszałka p. Czapski w krótkiem przemówieniu motywował konieczność rozwiązania naszej organizacji wobec wypadków warszawskich i zaproponował mi przyjęcie obowiązków organizatora w czwartej części tego po-

wiatu, którego byłem przed chwilą naczelnikiem. Przyznaję, iż na spiskowanie, tak w teorji jak i w praktyce, nigdy się zgodzić nie mogłem. Wikła ono bowiem postępowanie ludzkie, czyniąc je zależnem nie od sumienia, nie od przekonań, ale od rozkazu, który należy spełniać, często wbrew przeświadczeniu i woli. Pod wpływem wszakże wyjątkowych okoliczności, a więc z jednej strony wybuchu i trwania powstania, z drugiej zaś chęci uniknienia podejrzenia, iż nie przyjmuję nowej czynności, wobec jej obniżenia hierarchicznego, zrobioną mi propozycję przyjąłem. Tak wbrew przekonaniom zasadniczym zająłem stanowisko, na którem od tej chwili działać musiałem, jako ślepe narzędzie, pozbawione wolnej woli i krytyki.

Była to wielka ofiara z mojej strony, ale wątpię, czy się na co sprawie przydała. Bądź co bądź, starałem się spełnić dane mi polecenia, o ile i jak mogłem i umiałem najsumienniej. Nie zwlekając, przystąpiłem do mianowania setników. Wybór mój padł na Juljana Morzyckiego, właściciela wsi Lachowiec, i Stanisława Kamińskiego, właściciela wsi Różek, zamieszkałych o mil parę od Prażowa. Obu im oświadczyłem postanowienie moje usunięcia się z organizacji w chwili wybuchu. Ruch w całej okolicy był widoczny. Zjazdy, narady, zbierania podatków, ożywiło nasz zakątek do niepoznania. Rząd zaś zapomocą wart włościańskich mógł mieć szczegółowe wiadomości, kto, kiedy i gdzie był u kogo? Pomocnikom moim poleciłem zbieranie składek, stosując się do wyznaczonej normy (o ile się wszakże da, z dobrowolnemi naddatkami), i rejestrowanie ludzi, pragnących wziąć udział czynny w powstaniu. Ponieważ pieniądze obficie i szybko napływały, przewidując przewagę zasobów pieniężnych nad ilością szeregowców, postanowiłem, korzystając z bliskości Żytomierza i moich w tem mieście stosunków, starać się o zarejestrowanie tam około setki. Na ten cel wezwałem do pełnienia czynności setnika Tadeusza Teleżyńskiego, polecając jednocześnie bratu tegoż, Dymitrowi, formowanie dziesiątki, do przyszłej setki brata.

Moi werbownicy natknęli się na sprzysiężonych, objętych organizacją miasta. Ci zaalarmowali Komitet, a gdy wykryto źródło bocznego werbunku, wezwano mię przed oblicze całego Komitetu, gdzie zrobiono wymówkę za zbyteczną gorliwość.

Wkońcu zostawiono pod moją władzą 20 zaciężnych, zabraniając dalszych zaciągów i wogóle wkraczania poza geograficzne granice podwładnej mi części powiatu. Tym razem poznałem cały skład Komitetu, do którego prócz Czapskiego należeli: ksiądz kanonik Szczeniowski i kolega mój uniwersytecki Marjan Dubiecki. Był też obecny naczelnik żytomierskiego powiatu, krewny mój, Antoni Dunin. Złożyłem szczere sprawozdanie o stanie rzeczy w mojej dzielnicy, nie umiejąc łudzić się dobremi nadziejami. Zapytany, ilu przyprowadziłem do przysięgi, jako nie pogodzony jeszcze z moją rolą bierną odpowiedziałem, że nikogo; jakkolwiek bowiem mam zapisanych około stu ochotników, ale dotąd nie przysięgłych. I znowu zrobiono mi wymówkę, nakazując formalności tej dopełnić. Otrzymałem też jednocześnie wskazówki co do umundurowania i uzbrojenia powstańców. Pierwsze były szczegółowe i łatwo wykonalne, drugie okólnikowe i prawie niewykonalne. Umundurowanie składać się miało ze świty samodziałowej bronzowego koloru, gładkiej, a ukośnie spiętej, ze spodni granatowych, długich butów i czapki barankowej. Broni i amunicji kazano mieć jak najwięcej. Ale skąd i jak ją zdobyć, było to tajemnicą tak dla mnie, jak i dla mojej władzy.

Cały sposób zachowania się ze mną mego naczelnika powiatu, Dunina, wydawał mi się wysoce teatralnym i sztywnym. Mimo to ślepo słuchałem tej mojej zwierzchności, chociaż wiary do niej nie nabrałem, a raczej z dniem każdym ją traciłem. Nie mogąc się łudzić nadziejami, straszno i boleśnie było pomyśleć, jakie się jatki gotują z tych ochotników nielicznych, co o wojnie pojęcia nie mają. Na pociechę mogliśmy mierzyć drobne siły nasze na wielkie zamiary. Jednak co do mnie, rozumiałem to dobrze, iż wobec udoskonalonej broni, wyćwiczenia i karności wroga, tabliczka Pitagorasa zwycięży. Jako spiskowy, pozbawiony praw rozumowania, szedłem, jak idą na stos płonący fanatycy idei, wierzący, iż męczeństwo ich zrodzi licznych mścicieli. Bywały wszakże wśród tego zwątpienia błyski chwilowej nadziei, gdy nadchodziły tak dobre wieści, jak nominacja Langiewicza na dyktatora, w którąśmy na serjo uwierzyli, jak gotująca się interwencja, w projekcie zrazu zbrojna, a następnie dyplomatyczna. Sądziliśmy, nie wiedząc, kim jest

ów rząd podziemny i bezimienny, że Ci, co nami kierują, znają doskonale kraj cały i warunki, w jakich się pojedyncze prowincje znajdują, zdają więc sobie dokładnie sprawę z tego, co jest możliwem i koniecznem. I to budziło w nas nieraz nieistniejącą stale wiarę; nie przypuszczaliśmy bowiem nawet, aby był ktoś tak zuchwały, a niesumienny, by brać na swą odpowiedzialność wywołanie tak olbrzymich strat w ludziach i mieniu, bez pewnych podstaw!

Dnia 20 kwietnia (2 maja) 1863 r. zostałem powtórnie wezwany przez Komitet Powstańczy Wołyński. Stawiłem się w miejscu i czasie oznaczonym, a mianowicie o godzinie 10 rano w klasztorze pobernardyńskim, w celi wspomnianego już przeze mnie księdza Szczeniowskiego, gdzie oprócz gospodarza zastałem dwóch innych członków Komitetu, Teofila Czapskiego i Marjana Dubieckiego, nadto naczelnika policji w Żytomierzu Frankowskiego (imienia nie pamiętam) i naczelnika powiatu żytomierskiego, Antoniego Dunina. Po zrobionem przeze mnie sprawozdaniu o ilości przysięgłych, których liczba sięgała 130 w powiecie i 20 w Żytomierzu, dano mi szczegółowe instrukcje co do punktów łączenia się pojedynczych partyj w podwładnej mi części powiatu w dniu 25 kwietnia (7 maja), w którym to dniu wybuch nieodwołalnie naznaczony został. Doręczono mi przytem olbrzymi zwój Złotych Hramot[1]) i proklamacyj, które kazano wręczyć osobiście Edmundowi Różyckiemu, jako dowódcy oddziału w powiecie żytomierskim.

Zabrawszy mój ciężar, ruszyłem do mieszkania Dra Józefa Łagowskiego, gdzie się zwykle zatrzymywałem. Mieszkanie to było dość bliskie kościoła pobernardyńskiego, w uliczce bocznej z ulicy Kijowskiej. Stamtąd zaś śpiesznie wyruszyłem do Prażowa, gdzie zastałem żonę i rodziców moich w wielkim o mnie niepokoju. Gdy się drogiemu ojcu mojemu, przed którym nic nigdy nie ukrywałem, wyspowiadałem z otrzymanego polecenia, radził mi zachować możliwe ostrożności, a więc pakiet hramot i proklamacyj opieczętować jakąś symboliczną pieczątką i takową wrzucić do wody, by w razie uwięzienia i rewizji papierów móc twierdzić, iż się o zawartości paczki

[1]) Złote Hramoty, istotnie złotem, w języku rusińskim drukowane. (Patrz aneksa).

nic nie wiedziało. Radę tę wykonałem ściśle. Miałem pieczęć z profilem rycerza greckiego, bez żadnych nadpisów. Tą pieczęcią opieczętowałem mój zwitek, a ją samą rzuciłem do rzeczki Kodenki, okalającej ogród prażowski. W dalszym biegu opowiadania wykażę, iż, może być, tej radzie ojca mego zawdzięczam w części ocalenie od kary śmierci!

Kilka dni, dzielące mię od wybuchu powstania, przeszły niepostrzeżenie prędko, wśród zabiegów i przygotowań, do których mi dzielnie pomagał niestrudzony służący mój jeszcze z czasów uniwersyteckich, Ignacy Kamiński, świeżo przeze mnie do przysięgi doprowadzony i od tej chwili odrodzony do niepoznania pod każdym względem. W dniu oznaczonym na powstanie w prowincjach Rusi w tej czwartej części powiatu żytomierskiego, gdzie byłem organizatorem, to jest z okolic miasteczek Kodni, Kotelni, Trojanowa i Czerwonej, wszyscy mieli się zbierać w oznaczonych punktach, by połączyć się w lasach Czerwońskich pod chwilowem dowództwem byłego oficera wojsk rosyjskich, Baranowskiego, który całą tę partję miał przeprowadzić i oddać pod rozkazy Edmunda Różyckiego.

Do pomyślnego wykonania tych zamiarów stanęła na przeszkodzie następna okoliczność. Sprzysiężeni z miasteczka Trojanowa, nie należący do mojej organizacji, na czele których stał jeden z oficjalistów Działyńskich, niejaki Kajetan Uszczapowski (brat doktora Leona), zwrócili na siebie uwagę przedwczesnem wykonywaniem ćwiczeń na koniach. Skutkiem tego wójt (wołostnyj starszyna) wpadł do dworu na czele włościan dnia 25 kwietnia st. st. z rana, w chwili, gdy kończono śniadanie i miano siadać na koń. Zabrał on ze stajni Działyńskich posiodłane konie, powiązał wszystkich, kogo napotkał we dworze, zabrał broń, a, posadziwszy na konie rezolutniejszych włościan, rozesłał takowych na wszystkie drogi, gdzie spodziewał się napotkać zdążających do oddziału powstańców, szerząc między ludem przekonanie o konieczności łapania i wiązania panów.

Co do mnie, spełniając dane mi rozkazy, wstałem o świcie dnia 25 kwietnia i poleciłem Ignacemu Kamińskiemu upakowanie wszystkiego, co się nadawało do partyzantki, począwszy od broni, a kończąc na płótnie, grubem suknie, linkach i żyw-

ności. Do jednego z tłomoków włożyłem doręczony mi przed kilku dniami w celi pobernardyńskiego kościoła pakiet Złotych Hramot i proklamacyj. Po naładowaniu wielkiej bryki poleciłem temuż Kamińskiemu zaprząc do niej cztery duże powozowe konie, woźnicę bowiem jako niewtajemniczonego wysłałem umyślnie na ten dzień w inną stronę. Wkrótce nadjechał doktor Józef Łagowski wraz z Zygmuntem Husarowskim, studentem uniwersytetu kijowskiego, a synem dzierżawcy wsi Tatarynówki, położonej na drodze naszej, a odległej od Prażowa około 10 wiorst. Husarowski własną bryką ruszył naprzód niejako na zwiady, mając z sobą tylko torby z narzędziami chirurgicznemi Łagowskiego. My zaś wyładowanym siedmiu grzechami powstańczemi wozem ruszyliśmy za nim. Bryczka Husarowskiego jako lekka znacznie nas wyprzedziła.

Gdy, nie spodziewając się żadnej przeszkody, pędziliśmy tęgim kłusem przez Tatarynówkę, na zawrocie przy karczmie wjechaliśmy w tłum włościan, a rozejrzawszy się bliżej spostrzegliśmy wśród nich związanego już Husarowskiego. Chłopi, rozpatrując wydobyte z jego bryki narzędzia chirurgiczne, wykrzykiwali: — „A co, jakie to na nas ostre noże panowie wieźli". Józef Łagowski, jako stary partyzant kaukaski, nie stracił przytomności, a że przez przezorność ubrał się w czapkę z gwiazdką i miał na piersi parę orderów, zaczął udawać władzę i rozporządzać się. Ale niestety wymusztrowani widocznie przez policję włościanie nie chcieli go nawet słuchać, porwali nas w mgnieniu oka z bryczki, a odrzuciwszy na bok jęli się naszych tłomoków. Korzystając z pierwszej chwili zamieszania, weszliśmy do karczmy, gdzie ja począłem żuć zawzięcie wszystko, co miałem przy sobie z ważniejszych notatek z nazwiskami, Łagowski zaś opatrzył starannie rewolwer i dając mi go powiedział z zupełnie zimną krwią: — „Wszystko stracone! pal w łeb mnie, a potem sobie". Propozycja ta nie została przeze mnie przyjętą. Żując dalej papiery, to jest pełniąc najważniejszą w danej chwili powinność, odpowiedziałem, iż wolę być rozstrzelanym przez Moskali aniżeli przez Polaków tj. przez samego siebie i to samo radzę starszemu koledze.

Zaledwie domówiłem tych słów, gdy chłopi, znalazłszy w naszych pakunkach trzy lufy z rozebranych dwururek, za-

częli nas szukać, a wpadłszy do karczmy, porwali między siebie, by bić i wiązać. Odezwałem się do nich w te słowa: — „Gdybyście wiedzieli, co wieziemy, nie znęcalibyście się nad nami". Ale i to nic nie skutkowało. Użyto naszych linek z metalowemi kółkami, przeznaczonemi do furażu, dla skrępowania nam rąk; a że te linki były nowe i sztywne, sprawiło to nam straszne męczarnie. Tak własnemi powrozami powiązanych wrzucono nas na wóz własny, a obsadziwszy go uzbrojonem chłopstwem kazano pędzić do Trojanowa, rezydencji stanowego prystawa to jest pomocnika sprawnika (naczelnika powiatu). Gdy dojechaliśmy do tego miasteczka, odległego o kilka wiorst od Tatarynówki, ręce nasze poniżej skrępowania przedstawiały fioletowe kłody, kurczowo wykręcające się wkoło swej podłużnej osi, przy każdej chęci ruchu. Gdyby nam tych powrozów po przywiezieniu nie zdjęto, zgorzel (gangrena) byłaby nieuniknioną skutkiem przerwania w górnych kończynach krwi obiegu. Zapakowano nas do jednej z chat tej nędznej, acz szumnie przezwanej Nową Troją mieściny, oddano pod straż włościan i włożono na nogi końskie pęta, łącząc ze sobą po dwóch więźniów. Moją prawą nogę połączono z lewą Łagowskiego, Husarowskiego zaś prawą z lewą Kamińskiego. Nie wiedzieliśmy, co się z innymi dzieje w całej okolicy, bo byliśmy strzeżeni gorliwie.

Zawsze kochałem lud rusiński, zawsze bolałem nad tem, że nas dzieli przeszłość i jej nieprawidłowe społeczne stosunki. Cieszyłem się ze zmian, jakie wprowadzone świeżo przez rząd zostały, i starałem się przyczynić się do ich dobrobytu we włościach moich rodziców i mojej żony, układając w majątkach tych urzędowe hramoty. Idąc do powstania, jedno miałem za jego prawdopodobny dodatni rezultat — to zamanifestowanie wobec ludu przez Złote Hramoty gorącej chęci polepszenia ich losu! Nic mię też tak nie dotykało, jak patrzeć na rozjuszenie włościan przeciwko powstaniu, na ślepą wiarę ich w rząd i policję, a więcej jeszcze, na przebudzenie się najohydniejszych instynktów w widokach materjalnych korzyści, które z łatwością osiągnąć mogli, odzierając pojmanych powstańców.

Gdyśmy pozostali w chacie sami, wydobyłem pięciorublową złotą monetę. Dając ją młodej gospodyni domu, prosiłem, aby



Fig. 85. Piotr Choynowski.

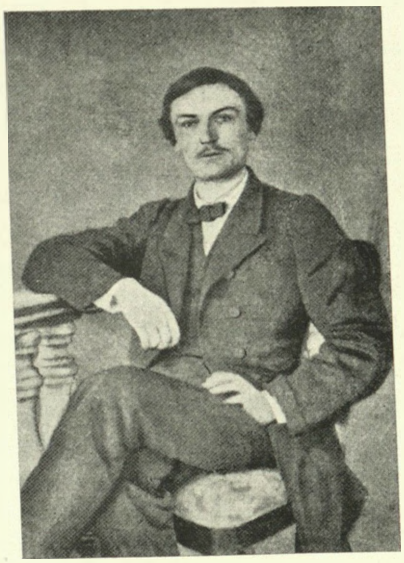


Fig. 86. Władysław Henszel.

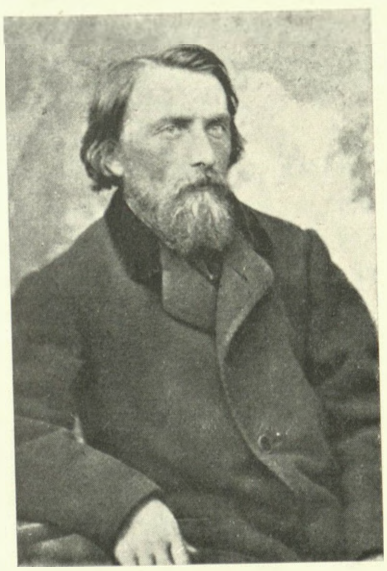


Fig. 87. Wincenty Wasilewski.



Fig. 88. Stefan Wyhowski.

nas pożywiła, posłała nam słomy i źle nie wspominała. Kiedy to czynię, słyszę głos z pieca schrypnięty i drżący jakiejś starej wiedźmy: — „Ne rusz, ne bery, ce z naszoho potu, ce z naszoj krowi". Cofnąłem datek, mówiąc, że ci, co krew ich ssali i pot sączyli, zostaną bezpieczni pod opieką Moskali. I chociaż później, gdy stara baba usnęła, młoda gosposia zbliżyła się do mnie, mówiąc: — „Dawajte hroszy pane, stara spyt", odpowiedziałem, że te pieniądze nie pójdą na pożytek, jako z potu i krwi, że zatem zachować je wolę dla Moskali, którzy wiedząc, że przeciwko nim powstawaliśmy, nie wzgardzą naszemi rublami i drugi raz powiązanych wiązać zapewne nie zechcą! Skrzywiła się na to kobiecina i odeszła, my zaś drzemać zaczęliśmy, co mi nie przeszkadzało dojadać powoli resztek papierowych. Pełne nienawiści odezwanie się starej Rusinki nie zdziwiło mię wcale, Trojanów bowiem odległym jest tylko o wiorst 20 od historycznej Kodni, gdzie w końcu XVIII wieku odbywały się groźne i krwawe egzekucje nad smutnej pamięci hajdamakami!

Nadeszła noc. Spaliśmy znośnie. Zrana obudzono nas z brzaskiem, nadeszło bowiem wojsko zmęczone i głodne; rade więc brało od nas napiwki, wywdzięczając się nam usłużnością. Nie jedliśmy jeszcze nic prawie oprócz kawałka czarnego chleba, gdy nas, to jest Łagowskiego i mnie, zawezwano do starszyzny wojskowej. Zastaliśmy w szopie siedzących na połamanych krzesłach oficerów: pp. Szemigonowa, rotnego dowódcę, Mołczanowa, adjutanta gubernatora i innych. Nasze tłomoki leżały w środku jako „corpus delicti". Gdyśmy weszli z Łagowskim, dźwigając z trudem włożone na nas pęta, oficerowie zaproponowali nam cygara i herbatę, które przyjęliśmy z przyjemnością. Zapaliwszy cygaro, zwrócił się Łagowski do chłopów, mówiąc: — „Patrzcie, oto ci, przeciwko którym powstawaliśmy, obchodzą się z nami dobrze i zapraszają na herbatę i cygara jako rozbrojonych, bo powalonych lub związanych biją tylko świnie!" Niezwłocznie po naszem przybyciu przystąpiono do rozpakowywania tłomoków naszych i spisywania, co w nich znaleziono. Włościanie korzystali z czasu, aby robić złośliwe uwagi, wydrwiwali jedwabne koszule, sakwy na owies radzili

użyć na torby dziadowskie w drodze na Syberję, tytoń i wędlinę chcieli zabierać sobie itp.

Gdy przyszła kolej na wielki zwój papierów, obszytych w płótno i opieczętowanych profilem greckiego rycerza, dowódca roty zapytał mnie, czy nie zechcę tej paki otworzyć na osobności. Ale ja, mając przeświadczenie, iż w każdym razie muszę być na śmierć skazanym, chciałem przynajmniej, aby lud ciemny zrozumiał, że go oszukiwano i że w nas miał sobie życzliwych. O to samo chodziło, zdaje się, i całej ówczesnej młodzieży na Rusi. Odpowiedziałem więc, że nie wiem, co jest w tym pakiecie, tak, jak nie wiedziałem, co jest w tłomoku, gdyż jestem pocztyljonem, przewożącym depozyt, u mnie pozostawiony. Na zapytanie, dokąd go wiozłem, odpowiedziałem, że to do rzeczy nie należy, na czem narazie poprzestano. Pan Szemigonow kazał rozpruć zwitek, a gdy to uczyniono, rozwinęła się przed oczyma włościan setka Złotych Hramot i paręset proklamacyj, przeznaczonych dla oddziału Edmunda Różyckiego. Szmer powstał między widzami; ukazywano sobie palcami hramoty, wołając „Dywy, dywy". Wtedy pan Szemigonow przemówił donośnie: — „Oto są Złote Hramoty, któremi was bałamucą — a to są ci, co je wam rozdawać mieli — są oni skuci i nie ujdą ciężkiej kary z ręki sprawiedliwości".

Potem pozwolono nam zabrać z sobą czystą bieliznę, trochę tytoniu i wędliny i odprowadzono nas do chaty. Posiliwszy się, zdrzemnęliśmy się trochę. Nagle wpada do izby naszej gospodyni z wrzaskiem: — „A co, nie mówiłam? pocoście panów męczyli, bili i wiązali? 5.000 Polaków pod Sołotwinem". Uśmiechnąłem się smutnie, słysząc ten lament; wiedziałem bowiem, że gdyby się i kilkudziesięciu udało zebrać, byłoby to wiele, wobec dokonanych w całej okolicy uwięzień po dworach, o czem od tychże chłopów dowiedzieliśmy się. Cała bowiem ćwierć powiatu przeze mnie zorganizowana, gdyby wszyscy stanęli na zbiorowym punkcie jako jeden mąż, niewiele mogłaby przenieść półtorej setki. Po chwili płaczu kobiety z dziećmi zaczęły się wybierać do lasu, bojąc się następstw złego z nami obchodzenia się, a i mężczyźni opuszczali wieś, tak, iż wojsko wezwało starowierów z kolonji przyległej do Trojanowa dla radzenia sobie w dalszym ciągu z nami. Ta zgraja rozbestwiona,

z powrozami w ręku, zaczęła obiegać chaty, gdzie nasi byli rozlokowani. Gdy do nas wpadli z pękiem naszych linek w ręku, Łagowski był najpewniejszy, że nas wieszać będą. Byliśmy skuci, a więc nie sądził, że nas jeszcze wiązać zechcą; powiązano wszakże, nie tak jak w Tatarynówce, ale zawsze dość dotkliwie, i wygnano z chaty, przed którą ujrzeliśmy wóz, przygotowany do drogi.

Pan Szemigonow przysłał nas uprzedzić, że powiozą nas do Żytomierza oddzielnie, ale, że straż ma rozkaz położyć nas wystrzałami na miejscu w razie, gdybyśmy sami kusili się o wolność lub gdyby nas odbić chciano. Oświadczyliśmy, że prosimy, aby nas nie wyróżniano i wraz ze wszystkimi więźniami wyprawiono. Prośby tej wysłuchano. Musieliśmy na czas jakiś powrócić do chaty, skąd w parę godzin znowu nas wygnano i brutalnie zaproponowano, abyśmy siadali na wóz, na co odrzekliśmy, że skuci z sobą i związani zarazem nie jesteśmy w stanie wsiąść sami. Pomagano więc, jak umiano, a porwawszy za nogi, wrzucono nas głowami do wozu, następnie obracano jak nieżywemi istotami dopóty, dopóki nie usadowiono. Powoził jakiś dawny dworski sługa, jak się potem z odezwania jego pokazało, do straży zaś dodany nam był arcypoczciwy szewc z miasteczka Trojanowa. Wóz nasz wyruszył z zakątka wsi na trakt żytomierski, gdzie ujrzeliśmy kilkanaście wozów napełnionych więźniami, a dobrymi naszymi znajomymi, na twarzach których malowało się zmęczenie i cierpienie nocy ubiegłej. Po ustawieniu wozów w jedną linję i uszykowaniu eskorty, złożonej z włościan, uzbrojonych w dłóta, kosy itp., na koniach nie posiodłanych, pod dowództwem sołtysa trojanowskiego, porządnie ubranego i uzbrojonego, na pięknym dworskim koniu, ruszyliśmy w drogę.

Stary trakt z Trojanowa do Żytomierza przedstawia nieskończoną ilość grobelek, faszyną usłanych. Był on nadto zaniedbany zupełnie, łatwo więc sobie wyobrazić, jakie boleści fizyczne znieść musieliśmy, jadąc na wozach drabiniastych, trzęsących okropnie, przy skrępowaniu powrozami, nie tylko rąk własnych ze sobą, ale i jednej ręki z ręką sąsiada. Biedny Łagowski, na ból fizyczny nie bardzo wytrzymały, wyglądał jak męczennik, a oczy miał mocno rozwarte. Jeden z ochotników

konwojujących nas przyskoczył z dłótem na kiju osadzonem, a przykładając je do oczu Łagowskiego wrzasnął: — „Ty czoho tak wyłupyu oczy, co ma buw graf, zapluszczy oczy, bo ja ich tobie wyłuplu, traścia twojej materi". U ludu rusińskiego zimnica zwie się „traścia" od ziębienia, ze wstrząśnieniami połączonego, które chorobie tej towarzyszą, lub „titka" to jest ciotka. Zaklęcie „bodaj zimnica twej matki nie minęła" jest powszechną Rusinów łajanką, daleko wszakże przyzwoitszą od wielkorosyjskiej połajanki, matkę wspominającej, a nawet od polskiej „psia-mać". Łagowski ani się zmarszczył ani cofnął, co zmieszało napastnika, tak, że umilkł. Jechaliśmy wolno, piłowani przez powrozy nas krępujące, a wszystkich dozorców gniewało poddanie się nasze cierpieniu bez utyskiwań i szemrań. To też woźnica nasz korzystał z każdej kałuży i nierówności na drodze, aby nas wytrząść porządnie, a wreszcie ozwał się, zwracając się ku nam: — „Buwało, jede pan chwajetonom, a jak de stukne, zaraz kryczyt: Janie Janie, gałganie, co tak nieuważnie jedziesz, każę ci skórę obić, psia twoja mać, a teper jedete drabiniakom, trasu, trasu, a wy mouczyte, traścia waszej materi". I ten komplement znieśliśmy niewzruszenie. Bolała nas tylko treść tak smutnych objawów; o formę, bodaj najdotkliwszą, mniej dbaliśmy. Przy jednej z karczem, na połowie drogi, nasz stróż szewc, w którego twarzy widoczne było współczucie, zsiadł z wozu, a zbliżywszy się do wójta, zapytał, czy nie może sznurom naszym pofolgować, bo się nam mocno wpiły. Dostał w policzek z konia od tego dygnitarza, który krzyknął: — „Styśny a nie rozpuskaj". Powrócił nasz zacny obrońca do wozu i wyszeptał tylko zcicha: — „Ne daj, Boże, z Iwana, pana".

Uciążliwa droga nasza zbliżała się wreszcie ku końcowi. Wjechaliśmy do Żytomierza przez most, a następnie ulicami: Podolską, Wilską małą, Wilską wielką, przez rynek na Cudnowską, gdzie w pojezuickich murach mieściło się jedyne w tem mieście więzienie. Przejazd przez miasto był mieszaniną najsprzeczniejszych wrażeń, wywołanych krańcowemi objawami niekłamanego współczucia rodaków, i pełnych cynizmu demonstracyj, zorganizowanych przez rząd z pijanego pospólstwa. Szczyt tej komedji wystąpił, gdy stanęliśmy u bram więzienia.

Tam bowiem, gubernator wołyński, książę Drucki-Sokolnicki, niegdyś marszałek gubernjalny szlachty smoleńskiej, całował naszych oprawców i obiecywał im złote góry. Patrzyliśmy na to z politowaniem, nie przypuszczając nawet, że ten beztakt gubernatora, a następnie uczta, przez tegoż dla wójtów wyprawiona z obiadem na ulicach miasta, obsługiwanym przez panie rosyjskie, z muzyką i teatrem, stanie się kiedyś powodem do usunięcia tego bezbarwnego oportunisty, który w swoim czasie schlebiał szlachcie smoleńskiej, dziś zaś nad wołyńską się pastwił.

By do tej kwestji nie wracać, opowiem tu w krótkości, jak o tem znacznie później w szerokich kołach na Wołyniu mówiono. Gdy na jenerał-gubernatora po Aninkowie, którego zaskoczyło powstanie, mianowanym został Bezak, ten, objeżdżając powierzone jego zarządowi prowincje, a słysząc o tych demonstracjach, kokietujących lud, pragnął się dowiedzieć dokładnie, jakie one skutki w opinji włościan wywołały. Zauważywszy więc, iż jeden z wójtów zdradzał wyjątkową roztropność, wezwał go do siebie i na cztery oczy zapytał, co mówią między ludem o tem przyjęciu żytomierskiem. Zapytany pragnął wykręcić się ogólnikami, ale przyparty do muru i zapewniony, że mu nie stanie się nic złego, w dwóch słowach zamknął opinję ludu o tych owacjach: — „Każut lude, szczo pastuch z swyneju pociłowausia". Wkrótce Bezak postarał się pozbyć książęcego współpracownika, jako pasterza, dającego buzi świniom.

Wracając do wątku mego opowiadania, wspomnę, że uwolnienie się od opieki mężów, darzonych zaufaniem rządu, a uzbrojonych w dłóta, kosy, rydle itp., było dla nas w cierpieniach naszych moralnych i fizycznych prawdziwą osłodą. Wprowadzono nas do więzienia, przerobionego z klasztoru niegdyś OO. jezuitów, opasanego z trzech stron murem wysokim, z czwartej zaś od wejścia parkanem z pali, ściętych u wierzchołków w kształcie ostrosłupów. Tu nas zrewidowano. Czynności tej dopełniło żołdactwo pod kierunkiem dyżurnego oficera, pana Tawaszyryna. U mnie znaleziono około 3.000 rs., stanowiących własność ówczesnej kasy narodowej, i paręset moich własnych. To wszystko wraz z zegarkiem zabrano. Chciano

mi nawet zdjąć obrączkę ślubną i ryngraf, dany mi przez matkę żony mojej, ale jakoś szczęśliwie obroniłem te świętości. Oficer, gdy przeliczył zabrane pieniądze, kiwając głową zawołał: — „Z takiemi pieniędzmi iść do lasu, to chyba trzeba zwarjować". — „Albo coś więcej kochać jak pieniądze" — odparłem nadrabiając miną. Mój interlokutor uśmiechnął się tylko z politowaniem i zabrał się do Józefa Łagowskiego, u którego również znaleziono część pieniędzy, danych mu przeze mnie do przechowania, oraz paręset jego własnych, a oprócz tego kieszenie pełne orderów z czasów wojny krymskiej. I nad tem, kiwając głową, dziwował się nasz „stupajka", mrucząc pod nosem: — „Z takiemi orderami iść do lasu, to chyba trzeba zwarjować". A na to Łagowski: — „Lub mając tyle rosyjskich chcieć zasłużyć sobie jako Polak na polskie". Uśmiech tą razą złośliwy wykrzywił oblicze dyżurnego oficera.

Po nas rewidowano innych; my zaś myśleć zaczęliśmy o naszych koniecznych potrzebach i studjować topografję więzienia, nie wiedząc, jak długo tu zabawimy i dokąd nas stąd wyprawią. Co do mnie, mimo zupełny spokój, jaki daje młodość i przeświadczenie, że się spełniło wbrew własnym przekonaniom nakazaną powinność, byłem przygotowany do kary śmierci wobec tego, co u mnie znaleziono. Niemniej wszakże myśleć musiałem o kąciku, by móc w nim spocząć po ciężkich przejściach dwóch dni ostatnich. Kryminalistów, którzy przedtem niepodzielnie całe prawie więzienie zajmowali, poprzenoszono w części do lżejszych więzień, w części umieszczono na parterze, pozostawiając przestępcom politycznym 1 i 2 piętro. Zaraz po przybyciu umieszczono nas w trzech pokojach 2 piętra, gdzie około 60 osób spakowano. Rozpatrzywszy się w trybie życia więziennego, postaraliśmy się o przeniesienie nas w kilku do mniejszej kamery, gdzie znaleźliśmy się w nielicznem towarzystwie, a mianowicie: Józef Łagowski, ja i kilku oficjalistów Husarowskiego, razem z nim uwięzionych. Wkrótce przybyli do celi naszej: Teofil Czapski, aresztowany bez dowodów członek Komitetu, Michał Gruszecki ex-sybirak, ujęty we własnym majątku Baraszach na Polesiu Żytomierskiem, naczelnik powiatu A. Dunin, krewny mój Aleksander Budzyński, a wkońcu Leonard Bośniacki, Karol Cieszkowski, Karol Aleksandrowicz,

szwagier mój Stanisław Miaskowski, Władysław Leśniowski i inni. Nasz pokój nosił miano kamery 15.

Ponieważ najpierwsi przybyliśmy do więzienia, spotykaliśmy więc nowych gości jako gospodarze, a było ich coraz więcej. Wszyscy zaś przynosili smutne wieści. Nazajutrz po nas przybyli powstańcy powiatu skwirskiego, zorganizowani przez Władysława Henszla (Litwina) i dowodzeni przez Piotra Chojnowskiego. Obaj ci przewódcy byli moimi kolegami w uniwersytecie kijowskim, obaj matematycy. Ostatni po ukończeniu uniwersytetu został uczniem akademji wojskowej jeneralnego sztabu w Petersburgu; i zaledwie takową z odznaczeniem ukończył, gdy go powołano na stanowisko dowódcy powstania skwirskiego powiatu. Oddział ten po wkroczeniu w lasy iwnickie w żytomierskim powiecie poddał się bez boju wojskom rosyjskim i milicji włościańskiej. Henszla, jak twierdzono narazie, mieli schwytać włościanie, nieopodal od partji i pastwić się nad nim strasznie jakoby, wkońcu zaś zamordowali. Nikt wszakże tego naocznie nie widział. W 1900 roku opowiadał mi kolega mój, sędzia honorowy w Berdyczowie, Władysław Kamieński, co słyszał od leśniczego lasów iwnickich, iż rąbiąc ten las znaleziono w wypróchniałem drzewie kościotrup niepospolicie wysokiego mężczyzny. Ponieważ właśnie Henszel był olbrzymiego wzrostu, jest zatem wszelkie prawdopodobieństwo, iż to był szkielet Henszla, który, kryjąc się od prześladowań, trafił na wygniły pień i pogrążywszy się weń udusił się. Nie mniej pastwienia się i urągań spotkało wszystkich innych, uwięzionych po rozbrojeniu oddziału. Jeden tylko Piotr Chojnowski, nie mogąc się pogodzić z głoszoną przez młodzież kijowską zasadą nietykalności ludu, nawet w obronie życia własnego, postanowił okupić drogo utratę wolności. Ostrzegł, iż jest uzbrojony, dając jeden strzał z rewolweru w górę. Gdy pomimo to przywykli do swej nietykalności włościanie rzucili się nań, położył pięciu trupem, a potem oddał się w ręce napastników i traktowany przez nich z honorami wojskowemi przewieziony został do więzienia żytomierskiego.

Czyn odosobniony Piotra Chojnowskiego był niejako fałszem wobec jednomyślnego hasła młodzieży kijowskiej, aby rąk polskich nie kalać krwią włościańską w żadnym razie, nawet

w obronie życia własnego. Hasło to pod wpływem mistycznej poezji, co szczególniej umysły ówczesnej młodzi opanowała wszechstronnie i niepodzielnie, tak było potężne, iż zrodziło się w niej jednozgodne prawie pragnienie męczeństwa i śmierci dla okupienia przeszłości i stworzenia zadatków lepszej przyszłości w społecznych stosunkach ojczyzny. Chojnowski, jako matematyk a przytem były uczeń akademji wojskowej, nie mógł się z tym kierunkiem pogodzić, wierzył bowiem głęboko, jak mi to niejeden raz powtarzał, iż najwznioślejsze cele mogą się tylko urzeczywistnić, jeśli się przeprowadzają praktycznie, a więc poezja i retoryka, narazie przynajmniej, nic na wojnie dokonać nie zdołają. Uważał więc za właściwe w charakterze dowódcy oddziału bić się do ostatniej kropli krwi z tymi, co przeszkadzają mu do osiągnięcia najwyższego celu, wywalczenia wolności Ojczyzny! Kto wie, czy narazie takie postawienie kwestji nie dałoby lepszych skutków, a przynajmniej czyby nie ochroniło rąk włościańskich od zbrukania się krwią w bratobójczej walce, do której znaglały ich wojska rosyjskie, my zaś zachęcaliśmy ogłoszeniem ich bezwzględnej nietykalności.

Drugą zkolei przybyłą do więzienia partją był nieliczny zastęp niedobitków z pod Sołowjówki. Los tego maluczkiego hufca młodzieży uniwersytetu kijowskiego jest niemniej bohaterski jak tragiczny. Oddział składał się z 21 młodych ludzi, od 15 do 25 lat wieku liczących. Dowódcą był młodszy w kursach kolega mój uniwersytecki Antoni Jurjewicz, pełen zdolności, miłości kraju i gotowości do ofiar. Wiedzieli ci „Utrapieńcy", przybierając to miano i poświęcając się wyłącznie ogłaszaniu proklamacyj i doręczaniu Złotych Hramot ludowi ukraińskiemu, na co się ważą, że z tak szczupłym zastępem ludzi, dwoma wozami i kilku wierzchowcami skazują się dobrowolnie na nieodwołalne i doszczętne wytępienie. Przeciągali też przed obliczem ukochanej nad życie Ojczyzny z ponurem a uroczystem hasłem:

„Morituri te salutant, Patria".

Łudzili się wszakże, iż śmierć męczeńską zadadzą im wojska moskiewskie, naturalni wrogowie i prześladowcy ich idei. Niestety! zaszczyt ten ich ominął. Dwunastu bowiem zamordowa-

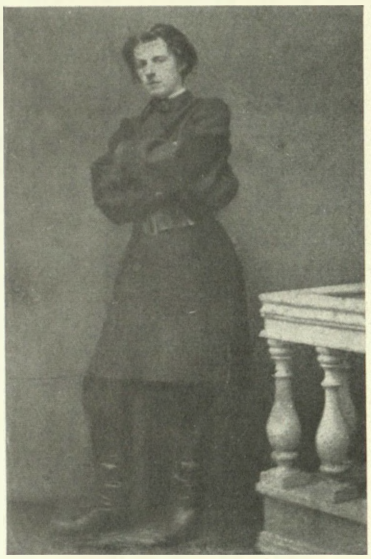


Fig. 89. Józef Biesiadowski.

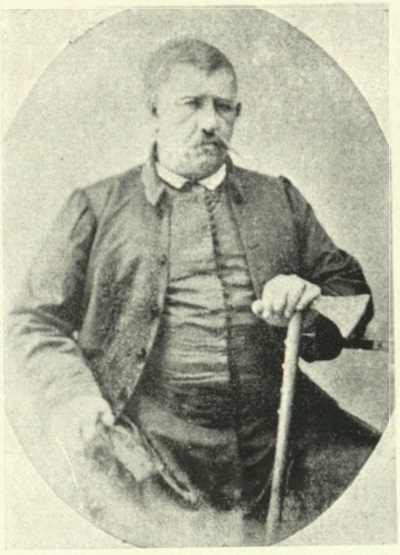


Fig. 90. Władysław Padlewski.

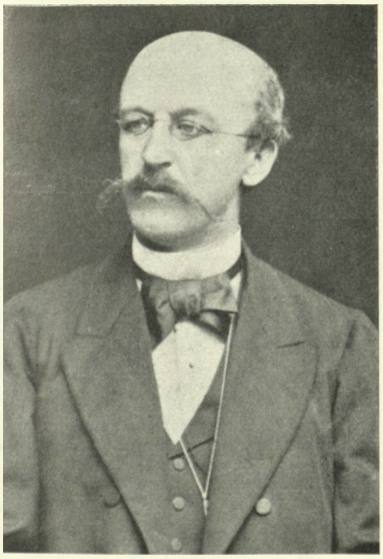


Fig. 91. Boleslaw Morgulec.



Fig. 92. Tadeusz Rakowski.

nych doznało w chwili zgonu najstraszniejszej, najcięższej boleści, widząc, iż ślepem narzędziem ich męczeństwa był ten przez nich umiłowany lud, za który zginąć z rąk wspólnego wroga pragnęli. Resztę niedobitych, ale ciężko rannych i pokaleczonych, w liczbie dziewięciu eskortował pułkownik Isajew na czele dwustu kozaków do naszego więzienia. Zapisuję tu nie po raz pierwszy nazwiska tych wytrwałych i upartych wyznawców idei, którą kochali i której służyli do ostatniego tchu i dla której zginęli jak męczennicy!

Padli na miejscu pod ciosami kłonic, siekier, dłótów, rydli i noży: Józef Biesiadowski, Franciszek Bobowski, Czapliński, Konrad Izbiński, Kostko, Krypski, Adolf Peretjatkowicz, Walery Przedrzymirski i brat tegoż, dzieciak lat 15, Godfryd Przedpełski, Aleksy Wasilewski i Lucjan Wołonczewski. Józef Dorożyński, przywieziony do szpitala w więzieniu żytomierskiem z roztrzaskaną czaszką, tegoż dnia życie zakończył. Z uleczonych Jurjewicz Antoni, przewieziony do cytadeli kijowskiej, umknął słynnym w owym czasie podkopem, Władysław Szaramowicz zaś z więzienia kazańskiego, już idąc do ciężkich robót. Pozostali: Kościuszko, Wacław Kurzański, Bolesław Peszyński, Wincenty Wasilewski i Stefan Wyhowski po wyzdrowieniu skazani byli do katorgi, gdzie się z nimi powtórnie spotkałem.

Taki był koniec tej ofiarnej wyprawy, która trwała dni parę, by ogłosić proklamacje i doręczyć Złote Hramoty w Motowidłówce, Fastówce i Sołowjówce, w tej zaś ostatniej stać się pastwą tego ludu, któremu całe to młode pokolenie gorąco nieba przychylić pragnęło. Tym bohaterom idei ludowej, przez ręce tegoż ludu katowanym, a wykwitłym na gruncie mistycznej naszej poezji, należało się słowo uznania od tejże poezji. Pierwszy cierniowy wieniec, przeplatany niezapominajkami, złożył na grobie ofiar starszy kolega pomordowanych, kijowianin Leonard Sowiński, w dramacie „Na Ukrainie“ [1]), z którego ustęp, poświęcony młodzieży z pod Sołowjówki, pozwalam

[1]) Sowiński Leonard: *Na Ukrainie*. Tragedja w pięciu aktach z prologiem i epilogiem. Poznań, nakł. J. K. Żupańskiego, 1873, str. IX+179. dedykowana pamięci ofiar. (Przyp. Wyd.).

sobie tu przytoczyć, dla zapoznania z nim tych, co dramatu tego nie czytali, i przypomnienia tym, co go znają.

. . . . . .

„Dwudziestu panów młodych!... Wszyscy jak sokoły!
Zdawało się, że dzień uśmiechnął się wesoły
Na widok ten,.. że jaśniej spojrzał na świat Boży...
Bo każdy panicz był jak maczek polny hoży...
Kozaczy ogień krasił młodziuteńkie lica,
Pod każdym koń, u boku szabla i rusznica...
Na czele jechał Rolski — smutny, i łagodny,
Jak zwykle... Och! poczciwej krwi tej czart był głodny!
Już w przeddzień Moskal jakiś z popem, wrażym kmotrem,
Zszeptali się, a potem z Perepiatem łotrem
Po chatach poszli... łby otumaniali ciemne...
Dopiero dziś wykwitły rady ich tajemne.
Calutka wieś stanęła na wygonie
Przed gośćmi... Ci poosadzali konie
I zapytują, czego chce gromada?...
Widziałem, jak od rowu tłum się skrada
I zwolna odwrót im zagradza w pole, —
Więc oddział znalazł się zamknięty w kole...
A jednak zbliżyć się nie śmieli, strzelb się bali —
Nikczemni tchórze!... Wszyscy zdala się trzymali.
Natenczas wódz przemówił,.. mądrze i spokojnie
Tłumaczył, za co ludzie biją się w tej wojnie:
Wyliczał krzywdy, zdzierstwa, łzy pokoleniowe,
Zwiastował równość praw, braterstwo narodowe
W swobodnej Polsce... Tłum wszystkiego niby słuchał,
Lecz w duchu złością wrzał, choć jeszcze nie wybuchał,
A tylko w kosy dzwonił, postukiwał w cepy....
Że w myśli mord już knuł, nie widział chyba ślepy.
Tymczasem Rolski miru żądał od gromady.
Gromada milczy... Kamień Judaszowej zdrady
Za ciężki był... Nareszcie czart pokazał rogi.
Ktoś krzyknął: „Rzućcie broń, jeżeliście nie wrogi".
„Więc nie ufacie nam?..." I wszyscy w jednej chwili,
Jak gdyby na komendę, w górę wystrzelili!
Z radości tłum aż ryknął... jeszcze jednak bał się...
Bezbronnym nawet łatwoby pokonać dał się...
Dość kopyt końskich byłoby na taką zgraję.
Nie tego jednak chcieli pany — jak się zdaje.
Pragnęli ponieść śmierć, jak męczennicy święci,
By sprawę Bożą wyryć w katów swych pamięci...

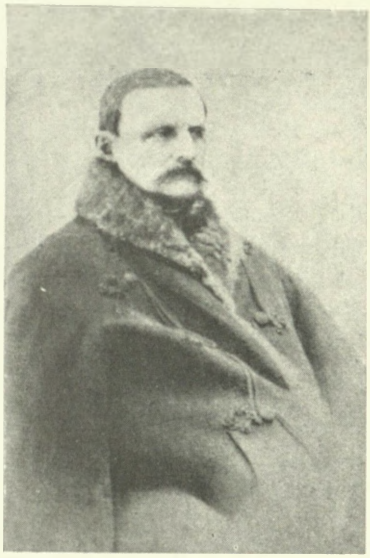


Fig. 93. Władysław Ciechoński.

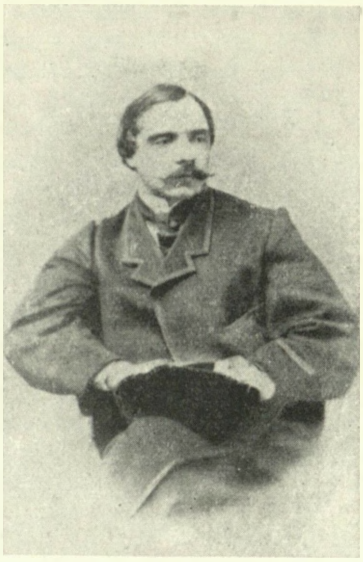


Fig. 94. Wojciech Zieliński.

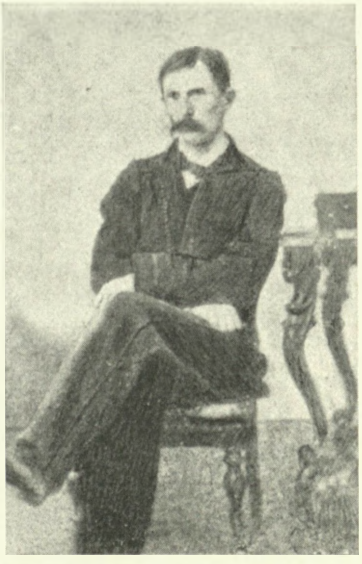


Fig. 95. Romuald Olszański.



Fig. 96. Oktawia Rohozińska.

Z uśmiechem więc wołali: „Otośmy bez broni!“
A na to powstał okrzyk: „Pozsiadajcie z koni!
Będziecie z nami chleb i sól na zgodę jedli...
Zsiadajcie!...“ Boże wielki! Usłuchali... Zsiedli!...
Zawyła czerń... rzuciła się — lecz znów się zatrzymała,
Bo w ręku nieszczęśliwych szabla jeszcze drgała!
Wtem wodza głos nad ciżbę wzrósł potęgą cudu:
„Nie powie nikt, że byliśmy wrogami ludu,
Że miecze nasze we krwi bratniej... Precz więc z niemi!“
I oręż ich po rękojeście utkwił w ziemi.
„Niech żyje Polska!“ były ich ostatnie słowa —
A potem!... Ludzka nie wystarczy mowa
Na powieść zbrodni... Piersią własną, jak taranem,
Kruszyłem tłum... Przynajmniej umrzeć chciałem z panem.
Niestety! Nie dotarłem nawet do tej kupy,
Gdzie zbóje kłonicami tłukli czarne trupy...
Dostrzegłem jednak raz oblicze mego pana...
Na czole mu buchała krwią ogromna rana —
I poznał mnie — i krzyknął: „do Pilawy“.
I padł pod tysiąc nóg, jak pokos krwawy!“

. . . . . .

Jednocześnie przyprowadzono z organizacji mojej tych, którzy zdołali zgromadzić się pod Sołotwinem pod przewództwem Ezechjela Głębockiego i Juljana Morzyckiego w liczbie około 40, a wszyscy nosili na sobie ślady ciężkich rąk w kłonice uzbrojonych włościan. Obok klęsk zbiorowych nie mniej dotkliwy był codzienny widok wyjątkowych ciosów, co na pojedyńczych ludzi lub całe rodziny spadały. Do takich zaliczę dwa następujące. Młody oficer, brat kolegi mego doktora, Seweryn Niewiarowski, spełniając święty obowiązek względem ojczyzny, musiał opuścić szeregi rosyjskie i znalazł się w oddziale powstańczym. Schwytany, pewnym będąc stracenia jako dezerter, a pragnąc uniknąć znęcania się, zażył w nocy truciznę i skończył życie. Sprzątnięto go niezwłocznie, a sam fakt uniknął wszelkiego rozgłosu. Jednocześnie prawie zmarł w szpitalu z ran odniesionych pod Miropolem młodziutki starozakonny, Józef Trachtenberg, brat dra Adolfa Trachtenberga, znanego patrjoty. Gdy zaś i trzeci brat ich, Marcin, siedział w więzieniu z nami, matka wdowa straciła naraz opiekę kilku synów, co było zupełnie nowem zjawiskiem wśród starozakonnych, pła-

cących życiem, mieniem i swobodą pierwszy podatek za honorowe miano „Polaków mojżeszowego wyznania".

W dalszym ciągu doszły nas szczegóły o losach sprzysiężonych w innych częściach żytomierskiego powiatu. Podział tego powiatu na cztery części, noszące w nomenklaturze rosyjskiej nazwę stanów, dogadzał władzom powstańczym i został przez nie przyjęty. Oprócz mnie więc było jeszcze trzech organizatorów, a mianowicie: szwagier mój Stanisław Miaskowski z Olszanki w południowo-zachodniej dzielnicy, krewny nasz Ignacy Ciechocki z Turczynki w północno-wschodniej, a p. Potocki z Michałówki w północno-zachodniej. Cała gromadka, powołana do powstania z organizacji szwagra mojego, wyruszyła z Edmundem Różyckim, o działaniach którego jako stosunkowo najpomyślniejszych opowiem nieco później; szczegóły bowiem nie tak prędko doszły do wiadomości więźniów.

Sprzysiężeni w północnych częściach powiatów żytomierskiego i zwiahelskiego i w owruckim mieli utworzyć piechotę pod dowództwem Józefa Załęskiego, byłego oficera wojsk rosyjskich, zamieszkałego w Bobrycy. Większe zapasy amunicji złożono u Potockiego w Michałówce. Do Załęskiego Rząd Narodowy wysłał dwóch moich szkolnych i uniwersyteckich kolegów: Władysława Kamieńskiego w charakterze komisarza cywilnego przy mającym powstać oddziale, zaś Justyna Faszowicza jako adjutanta. Drobne oddziałki, które miały się złożyć na hufiec Załęskiego, bądź nie zdołały się zgromadzić, bądź uległy rozbiciu, co ostatecznie sparaliżowało uformowanie się piechoty polskiej.

Kamieński wrócił do Żytomierza. Losy Faszowicza były o tyle dziwne i nieprawdopodobne, o ile prawdziwe. O nich więc pozwalam sobie powiedzieć tu słów kilka na zasadzie opowiadań naocznego ich świadka, Władysława Kamieńskiego. Gdy zdążał jeszcze do Załęskiego jako adjutant, został pojmany z bronią i amunicją przez włościan wsi Strybieża, którzy doprowadzili go pod eskortą do miasteczka Pulin, rezydencji stanowego prystawa (pomocnika naczelnika powiatu), skąd również pod strażą 20 włościan wysłano go do Żytomierza. Droga z Pulin do tego miasta przecina okolicę lesistą, z czego korzystając dwóch młodych spiskowców, pisarz gminny i orga-

nista, uzbrojeni dubeltówkami, a ukryci w gąszczu blisko drogi, gdy się eskorta do nich zbliżyła, dali ognia na wiatr, czem spłoszyli chłopów, którzy umknęli bezpowrotnie, Faszowicza zaś z jego bagażem wzięli w opiekę dzielni wybawcy, ukryli go w jednej z wiosek szlacheckich wśród lasu, gdzie mu się udało zebrać mały oddziałek pod Chranickim, który się wcielił do piechoty Różyckiego, a następnie pod temże dowództwem przeszedł do oddziału Ciechońskiego i wraz z nim uległ rozbiciu pod Mińkowicami.

Justyn Faszowicz, zbity i odarty do koszuli przez włościan, dopomagających wojsku, powrozami przywiązany do drzewa, chcąc się z więzów wyzwolić, tarł przez kilkanaście godzin o drzewo krępujące go sznury, a odzyskawszy swobodę ruchów przekradał się nocami, by ukryć swą nagość do domu rodzicielskiego. Stąd przebrawszy się wyjechał do Kamieńca Podolskiego, gdzie czas jakiś przebywał; przekonawszy się zaś, że jest śledzony i poszukiwany przez policję, emigrował. Służył parę lat w „Crédit Foncier“ w Paryżu, używając przydomka „Farensbach“ zamiast nazwiska, trudnego do wymawiania dla cudzoziemców. Ożenił się z Hiszpanką z San Domingo, przemieszkiwał potem dłużej w tej rzeczypospolitej, a obecnie jest konsulem tego państewka w Rzymie.

Przechodzę do dziejów powstania berdyczowskiego, powtarzając prawie dosłownie opowiadanie jednego z szeregowców, a kolegi mego, Władysława Wieniarskiego. Naczelnikiem powiatu berdyczowskiego był Czekoński. Dowódcą oddziału mianowano byłego oficera 2 pułku ułanów, ozdobionego w 1831 r. krzyżem zasługi wojskowej, zacnego i sędziwego starca, Platona Krzyżanowskiego. Rachowano, że powiat i miasto dostarczą 600 ochotników. W dniu zaś i miejscu, na ostateczny punkt zbiorowy naznaczony, stawiło się zaledwie niewiele więcej nad 100 ludzi, która to ilość urosła w ciągu kilku dni następnych do stukilkudziesięciu konnych i czterdziestu pieszych. Krzyżanowski zorganizował z tego surowego materjału dwa szwadrony jazdy: pierwszy kompletny pod Władysławem Padlewskim, składał się z czterech plutonów, dowodzonych przez: 1) Bolesława Morgulca, 2) Tanajewskiego, 3) Chrzanowskiego, 4) Artura Tyszkiewicza, drugi niekompletny, złożony z dwóch tylko plu-

tonów pod Szostakiem, jako szwadronowym dowódcą. Na czele 1 plutonu, uzbrojonego i umundurowanego własnym kosztem, stał hr. Roman Bniński. Drugim plutonem dowodził Marceli Tyszkiewicz. Około 50 piechurów uformowało kompanję piechoty pod Wincentym Sowińskim. Broń zawiodła najzupełniej. Większość jej, sprowadzona z Galicji, miała wartość dziecinnych zabawek. Palna niosła ledwie o kilkadziesiąt kroków; sieczna gięła się przy spotkaniu z lada twardszym przedmiotem.

Staruszek Krzyżanowski, który zrazu wyglądał czerstwo, zapadł na zdrowiu w pierwszych dniach ruchawki. Chroniczna jego choroba nerek do tego stopnia się wzmogła, iż nie mógł dosiąść konia skutkiem opuchnięcia nóg, nadto, raptownie utracił głos, do komendy niezbędny. Władze rosyjskie, chcąc co najprędzej zgnieść powstanie, wysłały na ten cel bataljon piechoty z Berdyczowa i dwa szwadrony dragonów z Lipowca. Krzyżanowski, widząc się bezsilnym do działania na własną rękę, starał się zbliżyć do granic powiatu skwirskiego i lipowieckiego, by się z innemi oddziałami połączyć, ale w pierwszym z tych powiatów powstanie uległo już rozbiciu, w drugim zaś wcale go nie było; postanowiono więc dopędzać Różyckiego, by wcielić się do jego oddziału. W czasie tych marszów i kontrmarszów dokonano trzy pomyślne wycieczki, które znacznie podniosły ducha wśród szeregów. Porwano z miasteczka Wachnówki policjanta, który zbyt gorliwie spełniał swoje obowiązki ze szkodą powstańców. Rozbito i rozbrojono oddziałek straży wewnętrznej, prowadzący więźniów z Berdyczowa do Żytomierza, i przyjęto jednego żołnierza z tej straży, Urbanowicza, do swoich szeregów. Wreszcie napadnięto i rozprószono z wielkiemi stratami przednią straż dragonów, która się niebacznie przysunęła za blisko do obozu powstańczego.

W czasie tych ruchów w różnych kierunkach piechota moskiewska i dragoni zdołali się bez przeszkód połączyć i poczęli ścigać partję Krzyżanowskiego. Pierwsze spotkanie nastąpiło pod Bułhajami, skąd nasi po noclegu mieli udać się w dalszą drogę. Spostrzegłszy zbliżającego się nieprzyjaciela, dowódca wyruszył śpiesznie, by odszukać najdogodniejsze miejsce dla spotkania się z przeciwnikami. Dążąc drogą szeroką, z obu stron okopaną rowami, ku Pohrebyszczom, i mając z le-

wej strony gęsty las, z prawej zaś pola, usłyszał tentent doganiających go Moskali, którzy, trzymając się w bardzo nieznacznem oddaleniu, szli krok w krok za powstańcami. Krzyżanowski, uznawszy za najdogodniejsze dla boju miejsce, gdzie droga wychodziła z pomiędzy rowów, postanowił miejsce to zamknąć dla wroga, szykując naprzeciwko wylotu swoją jazdę, piechotę zaś stawiąc z lewej strony na brzegu pobliskiego lasu, i rozkazał uderzyć na dragonów w chwili, gdy ci zaczną wydostawać się z rowów. W pierwszej linji wyciągnął się półszwadron Szostaka z Bnińskim i Marcelim Tyszkiewiczem na czele plutonów, i ten wyrównał się szybko. W drugiej, znacznie dłuższej linji, szykował do boju swój szwadron Padlewski, ale mu się to nie udawało. Zniecierpliwiony Krzyżanowski kazał się wsadzić na koń i począł rozkazywać, ale nikt szeptu jego nie mógł usłyszeć. Chciał giestami zastąpić mowę, a widząc, że i tego nie rozumieją, plunął i usunął się na bok.

Tymczasem piechota nieprzyjacielska, rozsypawszy się w tyraljerkę, razić poczęła przednią naszą linję. Pierwszy padł Certowicz, po nim jeszcze kilku. Szostak, pilnując porządku w swoim szeregu, gdy zauważył, że chwila właściwa nadchodzi, zawołał: „Do ataku, broń!“ i powiódł szarżę na dragonów. Piechota rosyjska usunęła się natychmiast, wracając do szyku. Gdy zaś oficerowie zgodnie z tradycją wojsk polskich szli do ataku przed szeregami, oficer rosyjski wysunął się też naprzód, dobył szabli i godził z wielkim impetem na Marcelego Tyszkiewicza. Gdy się zapaśnicy zmierzyli, Tyszkiewicz obdarzony siłą atlety sparował silne cięcie przeciwnika i płatnął go tak potężnie, iż głowa odcięta zwisła mu, trzymając się tylko na części niedociętych mięśni i skórze, a rażony runął z konia całym swoim ciężarem.

Hurra! powstańców, zdwojony impet w ataku, odpowiadały widocznemu popłochowi wśród dragonów. Wkrótce wszakże potęga ilości przeważać zaczęła nad siłą zapału w garstce naszej, tem bardziej, gdy drugi szereg nie mógł się do boju uszykować i zdecydować na atak, by poprzeć skutecznie usiłowania pierwszego. Dopiero, gdy cofający się bohaterowie półszwadronu Szostaka dotarli do bezwładnego szwadronu Padlewskiego, wzywając do ataku, druga linja ruszyła z miejsca, pierwsza zaś poprzedzając ją uderzyła powtórnie na nieprzy-

jaciela. Widząc ten ruch, dowódca rosyjski uważał za stosowne przejść z pozycji obronnej w zaczepną i nakazał podzielonemu na dwie części pierwszemu szwadronowi dragonów uderzyć na oba skrzydła powstańców. Nasi, rządząc się instynktem, również przepołowili się, uderzając na krańce skrzydeł nieprzyjaciela, i pomieszali do takiego stopnia szyki dragonów, że ci cofając się wpadli na rezerwowy szwadron, który począł wraz z pierwszym cofać się w nieładzie. Gdyby nie pomoc piechoty, jazda moskiewska byłaby zniesiona do szczętu. Dragonów padło w tej potyczce 42, naszych 11, z których większa część była tylko ranna. Po cofnięciu się naszych plac boju pozostał przy wojskach rosyjskich. Oddział podzielił się na dwie części. Większa pod Padlewskim schroniła się do pałacu hr. Adama Rzewuskiego, jenerała wojsk rosyjskich w Pohrebyszczach, druga mniejsza skupiła się w lasku pod tąż wsią, gdzie naradzała się nad sposobami dopędzenia Różyckiego. Tu przybył Czekoński, naówczas komisarz cywilny powiatu berdyczowskiego, oddział rozwiązał i odjechał. Za nim podążyli oficerowie, a więc i szeregowcy musieli się również rozprószyć. Padlewski wymagał od chłopów, by go aresztowali, rachując na ulgę w swym losie za dobrowolne poddanie się. Spotkała go zaś kara śmierci wraz z Krzyżanowskim i przyjacielem moim Tadeuszem Rakowskim, którego najniesłuszniej obwiniono o danie złego świadectwa oskarżonemu o szpiegostwo urzędnikowi pocztowemu Taksowi, którego w oddziale berdyczowskim dekretowano i powieszono.

O zniesieniu i rozbiciu innych oddziałów na Rusi dowiadywaliśmy się zkolei, ale brak naocznych świadków nie dał nam bliżej poznać szczegółów. O rozprószeniu zasławskiego oddziału pod Ciechońskim jako też i drobnych partyj poleskich wspominałem już, tu więc tylko dodam, iż w jednym dniu zniesiono pojedyńcze ruchawki w powiatach: taraszczońskim pod Zielińskim, białocerkiewskim pod Święcickim, kijowskim pod Borowskim i Olszańskim, radomyskim pod Rudnickim. Pogrom był gwałtowny i powszechny. Jeden tylko oddział pod Edmundem Różyckim stawił dłużej Moskwie czoło, a to dlatego, iż posiadał dowódcę, który łączył w sobie przymioty biegłego znawcy sztuki wojskowej i biegłego partyzanta z duszą



Fig. 97. Edmund Różycki.

nawskroś poetyczną! Dokonał też prawie cudu, organizując w dniu 7 maja now. st. na uroczysku Pustocha w powiecie żytomierskim młodzież i przeobrażając ją prawie nagle wśród wojsk nieprzyjacielskich w jazdę wołyńską, mającą niemal wszystkie cechy wojska regularnego. Oddział ten w dniu 3/15 maja zajmuje chwilowo bez oporu miasteczka Lubar i Połonne, a dnia 4/16 maja wypiera Moskali z miasteczka Miropola, stacza pod niem bój z trzema kompanjami rosyjskiej piechoty i 800 kozakami i wkracza na Podole w okolicy Chmielnika i Ułanowa. Widząc zaś, iż wywołanie tam powstania jest niepodobnem, wraca w granice powiatu starokonstantynowskiego (gub. wołyńskiej), potyka się z wojskami moskiewskiemi pod Łaszkami, toczy bój krwawy, lecz zwycięski, z 3 kompanjami piechoty i sotnią kozaków dnia 14/26 maja pod Salichą, a 27 tegoż miesiąca zbliża się ku granicy w nadziei spotkania nadejść mających oddziałów. Gdy zaś oczekiwania te zawodzą, widzi się zmuszonym w tymże dniu jeszcze przejść do Galicji przez wieś Szczęsnówkę, położoną w powiecie krzemienieckim na granicy austrjackiej, gdzie reorganizuje swoją jazdę i pozostaje wciąż blisko granicy aż do rozwiązania tejże jazdy w dniu 24 marca 1864 r. Jedyny ten, uwieńczony względnem powodzeniem wysiłek, był tylko moralnem zwycięstwem, materjalnie bowiem jako odosobniony znaczenia mieć nie mógł.

Przebiegłszy lotem żałobnego ptaka nad pobojowiskiem upadłego na Rusi powstania, poświęcę słów kilka wzmiance o losach ludzi, co sprawowali rządy nad Wołyniem i nad powiatem żytomierskim w 1863 roku. Komitet Wołyński, o którego składzie przed powstaniem nadmieniłem, zmienił się w chwili wybuchu. Ksiądz Szczeniowski wyruszył z Edmundem Różyckim w charakterze kapelana tego oddziału. Marjan Dubiecki przeniósł się do Warszawy jako komisarz pełnomocny do spraw Rusi. Pozostał więc tylko Teofil Czapski. Tak uszczuplony skład uzupełniły nowe nominacje, a mianowicie awansowano na jednego z jego członków naczelnika powiatu żytomierskiego, Antoniego Dunina, na drugiego zaś naznaczono jednego z najrozumniejszych i najzacniejszych ludzi, jakich znałem, dra Adolfa Trachtenberga, który jednocześnie pełnił obowiązki naczelnika miasta Żytomierza. Najpierw aresztowano Dunina, na którego

miejsce wszedł do Komitetu kolega mój Władysław Kamieński, niedoszły komisarz projektowanego bez skutku oddziału Załęskiego. Następnie uwięziono Czapskiego, a najpóźniej Adolfa Trachtenberga, wobec czego Kamieński powołał do współpracownictwa naszego znacznie starszego kolegę, Władysława Kozłowskiego, tudzież znanego nam już Józefa Załęskiego. Ale były to już czasy, gdy Komitet nie miał prawie nic do czynienia i sam uznał za stosowne rozwiązać się. Na opuszczony przez Dunina urząd naczelnika naszego powiatu wezwano szwagra mego, Stanisława Miaskowskiego, który niemal w chwili objęcia go został uwięziony. By nie powracać do opisu dalszych losów wymienionych tu osób, spełniam to na tem miejscu, naturalnie w granicach mojej o nich wiadomości.

Najwybitniejsza z tych postaci, Marjan Dubiecki, naznaczony na komisarza pełnomocnego interesów Rusi, zamieszkał w Warszawie i wytrwał na stanowisku aż do chwili, gdy cały skład rządu Trauguta został odkryty. Skazany do ciężkich robót, odbywał swą karę za Bajkałem wraz z prof. Benedyktem Dybowskim. Po przejściu zkolei lżejszych stopni kary, przez które wszyscy przechodzić musieliśmy, osiadł po powrocie z wygnania w Krakowie, ożenił się i pracą literacką zasila z wielkiem powodzeniem i pożytkiem dział historji i historji literatury narodowej. Zawdzięczamy też mu wyborne podręczniki do nauki dziejów ojczystych dla naszego młodego pokolenia[1]). Ksiądz Szczeniowski wszedł do Galicji z Różyckim, mieszkał czas dłuższy w Krakowie i tam życie zakończył. Teofil Czapski, uwolniony z więzienia, już po naszym wymarszu na Sybir stał się najniewinniej pastwą niegodziwych i lekkomyślnych potwarzy, jakoby organizował powstanie z wiedzą i wolą rządu. Usunąwszy się z miasta, po ożenieniu się spędził resztki skołatanego, ale uczciwego życia, w ciszy wiejskiej.

Trachtenberg, więziony przez lat trzy w cytadeli kijowskiej, do niczego się nie przyznał. Ponieważ zaś sprawa jego decydowała się ostatecznie, gdy więzienia były już prawie puste a sądy łagodniejsze, skończyło się na tem, że wysłano go administracyjnie do Krymu jako chorego na płuca, wyznaczając

[1]) Umarł w Krakowie 24 października 1926 r. (Przyp. Wyd.).

mu na stałe miejsce Symferopol, gdzie przez lat wiele cieszył się zasłużoną wziętością jako lekarz i uznaniem jako człowiek i gdzie nie tak dawno życie zakończył, osierocając żonę i córkę. Antoniego Dunina i Stanisława Miaskowskiego wywieziono bez sądu do orenburskiej gubernji. Pierwszemu z nich towarzyszyła żona, ale niestety po to tylko, by zawiązawszy romans z kolegą wygnańcem, bankierem Rawiczem z Warszawy, rozstać się z mężem (którego środki skutkiem powstania zmniejszyły się do takiego stopnia, że nie mógł dogadzać wszystkim wymaganiom pani), opuścić dwie córki i zasłużyć u ludzi szlachetnych na wzgardę. Stanisławowi Miaskowskiemu żona narazie towarzyszyć nie mogła, następnie on sam ją wstrzymywał od tego. Do dalszych losów Miaskowskiego jako mego krewnego powrócę jeszcze niejednokrotnie w mojem opowiadaniu. Władysław Kamieński ocalał. Dziś jest sędzią honorowym w Berdyczowie, zawsze gorąco kraj miłuje i pracuje, gdzie może i jak może, dla dobra powszechnego. Kozłowski Władysław emigrował, pracował na polu piśmiennictwa we Lwowie, gdzie zmarł przed paru laty. Załęski pozostał w majątku rodzinnym, gdzie też życie zakończył.

Rozważając wypadki, co w tak krótkim czasie pogorszyły losy naszej prowincji, byliśmy przygnębieni na duchu. Miło jest cierpieć za dobrą sprawę, widząc jej powodzenie; ale jakże smutno i boleśnie oglądać ujemne tylko skutki ofiar i wysiłków doniosłych. Tego ciężkiego uczucia doznawaliśmy na każdym kroku; pragnąc zaś wyrobić sobie o nich nieodwołalne przekonanie, nie szczędziliśmy czasu i zapału na długie wieczorne dysputy, które w drodze zamiany myśli doprowadzały nas do przeświadczenia, że to, co się stało, nie było dziełem przypadku, ale jednem ogniwem w pasmie usiłowań narodu polskiego, nadającem dziejom długoletniej niewoli charakter zadośćuczynienia. Zadośćuczynienie to dążyło wyraźnie do wytworzenia za jaką bądź cenę stanu średniego i ludu, gorąco kraj miłującego, których brak w czasie rozbiorów pozbawił nas niepodległości.

Zapatrując się z tego punktu na dzieje nasze, widzimy w końcu XVIII i w XIX wieku szereg usiłowań ze strony zacniejszej i rozumniejszej mniejszości wśród szlachty do przelania praw

i obowiązków, stanowiących niegdyś wyłączny przywilej tego stanu, na cały naród. Pierwsze na tem polu kroki uczyniło jeszcze stronnictwo patrjotyczne Sejmu Czteroletniego. Tem uczuciem powodowana szlachta litewska, daje przykład szlachcie polskiej i rosyjskiej, doręczając cesarzowi prośbę o polepszenie warunków bytu włościan, chociaż musiało to stan szlachecki materjalnie podkopać. Lepsza też mniejszość szlachty we wszystkich prawie zaborach czynnie należy do spisków i powstań począwszy od 1794 r. mimo to, iż wszystkie te usiłowania nie tylko dążyły do odbudowania Polski, ale w podstawie swojej miały zawsze na celu porównanie wszystkich stanów wobec prawa. Te kierunki uwydatniły się może najjaskrawiej w latach od 1861 do 65, w których szlachta bratała się z ludem wiejskim i miejskim, nie wyłączając izraelitów, w całym szeregu demonstracyj i organizacyj, wreszcie dała początek w oddziałach powstańczych braterstwa broni bez różnicy stanu. Dziś już widzimy niezaprzeczenie dobre skutki tych dążności w etnograficznej Polsce i Litwie. Co zaś do Białorusi i Rusi kijowskiej, w dzielnicach tych rok 1863 znacznie osłabił wpływ szlachty polskiej na lud rusiński, a wykazując naszą bezsilność w tych prowincjach postawił kwestję na praktycznym gruncie, nakazując nam liczyć się z przeważającym znacznie liczebnie elementem rusińskim. Najgłówniejsza wszakże sprawa uwłaszczenia włościan załatwioną została tamże ostatecznie i pomyślnie skutkiem wypadków 1863 roku.

Nic się w życiu ludzkiem nie powtarza. Nie podobna więc myśleć, aby okoliczności, a tem bardziej czyny lat sześćdziesiątych znalazły w dziejach kraju naszego powtórzenie. Zasady wszakże wzniosłe winny mieć zastosowanie do coraz nowych faktów i okoliczności. Niejeden raz jeszcze zapewne w trudnym procesie naszym odradzania się wypadnie nam odwołać się do poświęcenia interesów osobistych lub stanowych na rzecz ogólnych potrzeb narodu. Wtedy szukać będziemy w pojedyńczych zdarzeniach tych lat nadludzkiej ofiarności budujących przykładów, zaćmionych czasowo niepowodzeniem chwili. Po tej wycieczce na pole spraw ogólniejszych, powracam do codziennego naszego życia więziennego.

Otóż, urządziwszy się w naszej celi Nr. 15, szukaliśmy

drogi właściwej, aby się porozumieć z rodziną, dać jej znać o sobie tudzież ostrzec, jak mają się zachowywać, gdyby ich o co pytano. Wielka ostrożność cechowała pierwsze i dalsze kroki nasze w tym względzie, albowiem wciąż obawialiśmy się zdrady. To tylko tu powiem, że codziennie miewaliśmy od rodzin naszych kartki, ale jaką drogą? wolę o tem przemilczeć. W pierwszych moich kartkach bez daty odczytuję dziś same prawie fałsze, które uważałem za właściwe zeznać przy pierwszych badaniach, a więc: że jechałem z Łagowskim do Królestwa, aby tam wziąć udział w walce, że znalezione przy mnie pieniądze były moje własne, stanowiące cały mój fundusz. Wreszcie przepraszałem rodziców, żonę i jej rodzinę, że bez ich wiedzy na krok stanowczy się zdecydowałem. Wspominałem również o nieznajomym, który mi tłomok z bronią, Hramotami Złotemi i proklamacjami zostawił itd. Sądziłem, że kartki tej treści, jeśli dojdą rąk, dla których były przeznaczone, ostrzegą; jeśli zaś dostaną się do władzy, nietylko mi nie zaszkodzą, ale przeciwnie pomóc mogą.

Korespondencja moja z żoną i rodzicami trwała cztery miesiące. Kartki moje w liczbie 69, po większej części bez dat, lecz ponumerowane, przechowane zostały przez tę, która mi była pocieszycielką i podporą w dźwiganiu mego losu, przez moją najdroższą Marję! Nosiła ona przez całą drogę tj. w ciągu lat dwóch zgórą torebkę skórzaną na sobie, w której te kartki przechowała i ochroniła od zagłady, w postaci rewizyj i konfiskaty, a tym sposobem ocaliła mi materjał do spisania niniejszego pamiętnika z okresu więziennego. Kartek do mnie pisanych przechować nie mogłem; ścisłe bowiem, co kilka dni powtarzające się rewizje, mogłyby z nich zły użytek zrobić, a więc choć z bólem serca musiałem je palić.

Tryb życia naszego więziennego był bardzo jednostajny a do innych więzień wcale niepodobny. Najmniej nawet winni, skoro tylko mieli wyższy stopień naukowy, nawet dyplom gimnazjalny, zaliczani byli do 2 kategorji, a tem samem zgóry przeznaczali się do ciężkich robót. Śledztwa prawie nie robiono, a więc pojedyńczo nie zamykano. Trzymano nas po kilkunastu lub kilkudziesięciu w kamerach. Codziennie rano, po wspólnej modlitwie i otwarciu naszej celi, która na noc bywała jak wszyst-

kie inne na kłódkę zamykana, po umyciu się i ubraniu, otrzymywaliśmy samowar, który przynosił nam jeden z przestępców cywilnych, pełniący obowiązki służącego. Gospodarzami w kamerach byli pokolei wszyscy jej mieszkańcy. Po herbacie gawędziliśmy, czytaliśmy, czasami w kąciku pisywaliśmy listy, a raczej kartki do rodzin naszych, aż do wczesnego między 12 i 1 obiadu. Obiad ten składał się w pierwszym tygodniu z czarnego chleba, krupniku, kapuśniaku lub barszczu, które nam w kadzi drewnianej podawano, a na powierzchni których jako dodatki nadprogramowe pływały utopione pluskwy, karaluchy i inne owady. Następnie, gdy się otworzyła komunikacja między więzieniem a rodzinami naszemi, przysyłano nam obficie, może za obficie nawet, wszelkiego jadła, mięsiwa, cukru, herbaty, wędlin itd., któremi dzieliliśmy się z całą kamerą, czasem i ze sąsiedniemi. Po obiedzie rozwijała się zazwyczaj gawęda. Niektórzy zaś czytali lub zabawiali się grą w szachy, warcaby itp. Wieczorem piliśmy herbatę, po której o godzinie 8 zamykano nas na noc. Z chwilą tego zamknięcia rozmowa ożywiała się na dobre, mając prawie zawsze za treść i podstawę gorące spory i dysputy na temat spraw bieżących.

Przy zajmowaniu miejsc we wszystkich kamerach, a więc i naszej, mieliśmy na względzie, aby osoby, mające styczność pośrednią lub bezpośrednią w organizacji, grupowały się z sobą bez różnicy stanu i środków. Gdy zaś ze sprawą moją i Łagowskiego była związana sprawa Husarowskiego, którego zabrano wkrótce do Kijowa, wszyscy więc oficjaliści z majątku Tatarynówki, dzierżawionej przez jego ojca, którzy byli aresztowani, zostali przez nas serdecznie zaproszeni do naszej 15 celi. Skład towarzystwa kamery naszej był bardzo jednolity mimo częste stosunkowo zmiany. Zmniejszał się on skutkiem wywożenia wielu w drodze administracyjnej w głąb Rosji, a uzupełniał bądź z innych kamer, bądź przez nowo aresztowanych, bądź też przez chwilowo bawiących w więzieniu w drodze do cytadeli kijowskiej, a więc czasowych gości. Czterej oficjaliści Husarowskich, cisi, spokojni, rozsądni ludzie, rzadko należeli do rozmów przez nas prowadzonych; ale gdy się odezwali, nie byli dysonansem. Jeden tylko z kolegów więzienia, któregośmy przez żart złośliwy do naszej kamery przyjęli, stanowił

dysharmonję kompletną. Każden z nas bowiem, niezależnie od swych przekonań co do dodatnich lub ujemnych skutków powstania na Rusi, dostał się do więzienia mniej lub więcej zasłużenie z punktu widzenia rządu i był przygotowany do tego, co go spotkało.

Pan N. N. zaś dostał się tu zupełnie niespodziewanie. Wszedł do więzienia pewny, że się omyłka wyjaśni i że wolność niebawem odzyska. Oto szkic, malujący jego przybycie do nas i nienormalne wśród nas stanowisko. W pierwszych dniach naszego aresztu w godzinach południowych słyszymy głośną rozmowę na korytarzu. Otwieramy ostrożnie drzwi i przez dużą szparę widzimy pana N. N. w towarzystwie dozorcy więzienia i słyszymy następujący dialog:

Dozorca Tucewicz: (o którym byliśmy przez władze narodowe uprzedzeni, że zasługuje na otwarte z sobą postępowanie) — „Może szanowny pan ma tu kogo z dobrych znajomych, tobym pana w jednej z nim kamerze ulokował?"

Pan N. N.: — „Ja? znajomych? tu? co pan sobie myśli? Czyż mogę mieć tu znajomych, gdzie nie wiem, po co i za co się dostałem? Chyba pan żartuje."

Tucewicz: — „A więc mogę pana umieścić w jakiejkolwiek kamerze?"

Pan N. N.: — „Naturalnie, to mi wszystko jedno, bo mieć tu znajomych nie mogę; to nie mój świat, nie moja sfera, nie moje towarzystwo!"

Na te słowa, wypadamy na korytarz, wołając chórem: — „Kochanego p. Władysława witamy, tylko jego nam brakowało!"

Trudno sobie wystawić osłupienie, zdumienie i przestrach tego zabłąkanego wśród nas człowieka, który pomieszany, drżący, zarumieniony po uszy, nie umiał się oprzeć naszym zaprosinom i osiadł jak na mieliźnie w numerze 15. Powodem uwięzienia zupełnie niewinnego wobec władz pana N. N. była niezmierna pobożność jego żony, a stąd częste nawiedzanie ich domu przez księży, uważanych za jedną z sił czynnych w przygotowaniach do wybuchu, oraz ta okoliczność, iż Edmund Różycki, który opuścił w chwili rozpoczęcia się demonstracyj służbę w armji rosyjskiej, w której był szefem sztabu przy je-

nerale Kramalinie, nim się doczekał powstania, musiał zarabiać na chleb powszedni i robił pomiary w dobrach właścicieli ziemskich, którzy rozgraniczali się od włościan. Ostatniem miejscem pracy Różyckiego była właśnie wieś pana N. N. pod Berdyczowem, z której wyruszył, aby siąść na koń i objąć dowództwo nad tą częścią powstańców, którym udało się pomyślnie zgromadzić się pomiędzy Troszczą a Karpowcami w powiecie żytomierskim.

Pana N. N. uwięziono zatem, mając go za osobę styczną z Komitetem (z powodu bywania w jego domu księży) i z przewódcami powstania (z racji dłuższego pobytu Różyckiego). On zaś, nie poczuwając się do żadnej winy, uważał się za ofiarę omyłki i ciągle oczekiwał uwolnienia. Był to szlachcic przeciętny ówczesnych czasów, ubrany wedle ostatniej mody, mówiący ładnie po francusku. Słowem posiadał przymioty i wady, które sprawiały, iż był skończonym anachronizmem w więzieniu. To też, nim go wywieziono w drodze administracyjnej do orenburskiej gubernji, był ciągłym przedmiotem żartów i materjałem do dowcipów ze strony kolegów. Raz naprzykład, gdy strapczy gubernjalny zwiedzał więzienie, a zdziwiony widząc pana N. N. zapytał: — „I pan tutaj?“ — Łagowski ze śmiechem odpowiedział: — „To nie za politykę, żona pana N. N. osadziła go tutaj za złą konduitę“. Tenże Łagowski często go straszył, prorokując: — „Panie Władysławie, najgorzej, jeśli nie wiedzą, za co aresztowali, bo wówczas przypisują bajeczne winy, mogą pewnego pięknego poranku wsadzić na wóz, wywieść na pole, i rozprawić się krótko a węzłowato, z szubienicą“. Biedny N. N. chwytał się z niepokojem za szyję, mówiąc: — „Wolne żarty, jestem niewinny, będę wolny“.

Nie pojmował nieborak, jak był naiwnym i komicznym w tych wykrzyknikach. Ma się rozumieć, iż takiemu osobnikowi nie podobało się sąsiedztwo oficjalistów Husarowskiego. To też prawie codziennie bez żadnej potrzeby i bezskutecznie, gdy ci panowie, towarzysze nasi, w liczbie pięciu zdejmowali buty, kładąc się spać, pan N. N. zatykał nos arystokratycznie i mówił, zwracając się do mnie: — „Oh! comme cela sent mauvais“. Gdym go zaprowadził do kadzi, w której nam zupę przynoszono, w pierwszych dniach mocno się krzywił, mruczał



Fig. 98. Władysław Kamieński.



Fig. 99. Ks. Ziemnowicz,
kapelan więzienny.

i spluwał. Ale gdym zwrócił jego uwagę, że w naszem położeniu, w którem lada chwila spotkać może osadzenie w oddzielnej celi (sekretnej) na chleb i wodę, lepiej jest zawsze myśleć o zapasie, mój pan N. N. jak z nut zaczął zmiatać barszcze, kapuśniaki, krupniki itd. Wkrótce zaczęto mu przysyłać obiady o pięciu potrawach w postaci mikroskopijnych porcyj na wspaniałych talerzach z porcelany saskiej. Krył się z temi specjałami, by nie potrzebować dzielić się z nikim. Gdy doszły go wieści o dniu wywiezienia, pewny był, że się od tego uchroni, zasłaniając się świadectwem lekarskiem. Do oględzin więźniów był zazwyczaj używany lekarz wojskowy, niejaki Kanegizer, starozakonny. Żona pana N. N. uprzedziła go o życzliwości tego eskulapa. Wskutek tego kazał N. N. felczerowi przynieść dużą wezykatorję i postawić ją między łopatkami; mnie się z tem zwierzył, mówiąc, iż robi to, aby swe wywiezienie nieco odwlec. Spytałem, czy dał przynajmniej łapówkę Kanegizerowi? Na to mi odrzekł, że wie, iż to człowiek ludzki i zacny, co i bez tego zrobi, o co go poproszą. Ostrzegłem, że się myli mocno, ale upór był godny autora, czekaliśmy więc, pewni zgóry rozwiązania.

W maju — nie pomnę dnia — otwierają w nocy naszą kamerę i wzywają N. N. do drogi. Odpowiada, że chory. Posyłają natychmiast po Kanegizera. Ten wybadawszy chorego daje opinję, iż osobnik jest zdrów zupełnie, wezykatorję postawił bez żadnej potrzeby i bez porady lekarza, może więc jechać, gdzie mu rozkażą, bez żadnej przeszkody. Pożegnaliśmy naszego mimowolnego kolegę, radzi, żeśmy się pozbyli dysonansu w naszej zgranej orkiestrze. Drugiego okazu tej próby nie mieliśmy. Uważałem więc za stosowne nakreślić tu obraz człowieka zabłąkanego, który niespodziewanie znalazł się w otoczeniu, nic z nim wspólnego nie mającem.

Przed panem N. N. wywieziono tak samo Antoniego Dunina, Cieszkowskiego Karola i Karola Aleksandrowicza, wreszcie szwagra mego Stanisława Miaskowskiego, który osieracał żonę, spodziewającą się słabości, a wszystkich do orenburskiej gubernji, gdzie ich umieszczono, jak potem dowiedzieliśmy się, w Ufie, Czelabie, Sterbitomaku, Orenburgu itd. I później powtarzały się te wywożenia i przesyłania więźniów do fortecy

kijowskiej z żytomierskiego więzienia. W maju zaś wywieziono z pomiędzy nas 120 do Kijowa. Oczekiwaliśmy, że i nas to spotka, ale zawiedliśmy się. W liczbie tych 120 wysłano z naszej sprawy: Tadeusza i Dymitra Teleżyńskich, Husarowskiego i mego kochanego Ignacego Kamińskiego, co mi sprawiło wielką boleść. Po każdem takiem wywiezieniu sprowadzano więźniów z miast prowincjonalnych do Żytomierza i rozlokowywano po celach. W całem tem i ciągłem przerzucaniu trudno było dopatrzeć planu.

Cierpienia kraju, rodzin, egzekucje gotujące się, wszystko to razem nadawało większości więźniów kierunek gorąco religijny. Uczęszczaliśmy niemal codziennie do naszej kaplicy, urządzonej naprędce w jednej z cel zakratowanych. Jakkolwiek spodziewaliśmy się kar i wyroków, wstrząśnięci jednak do głębi byliśmy oficjalnem prawie zawiadomieniem o gotującej się egzekucji jednego z kolegów. Na skutek zezwolenia gubernatora dozorca więzienia obszedł w końcu maja wszystkie nasze cele i zawiadomił, iż otrzymał pozwolenie władzy, aby dwóch współwięźniów, którzy sobie tego życzyć będą, przeniosło się do celi Piotra Chojnowskiego, skazanego na rozstrzelanie, i dotrzymało mu towarzystwa przez dwie doby, poprzedzające egzekucję. Michał Gruszecki i ja oświadczyliśmy najpierwsi gotowość towarzyszenia w ostatnich chwilach skazanemu i natychmiast zostaliśmy przeniesieni do jego oddzielnej celi.

Pokój Chojnowskiego był obszerny i jasny; on sam zaś, tak pogodny, tak bardzo wyższy nad nędzę i drobiazgi codziennego życia, tak daleki od zajmowania się swoim losem i sobą, tak całą duszą wcielony w wielkie zadania narodu i ludzkości, że te dwie doby, które z nim spędziliśmy, nie zdradziły przed nami ani na jedną chwilę, iż jesteśmy współmieszkańcami kolegi, który już raczej do umarłych niż do żywych zaliczonym być może! Był on tak pewnym oddawna kary śmierci, że wszystkim, chcącym go po swojemu pocieszać, wykładał z niepospolitym darem słowa o zupełnej niemożności ułaskawienia i litościwie się uśmiechał, słysząc zapewnienia naiwnych optymistów o zamianie kary śmierci na wygnanie. Nas nie potrzebował przekonywać, bo najzupełniej podzielaliśmy jego przekonanie w tym względzie. Mówił więc o oczekiwanej

śmierci, jak my mówimy o śniadaniu lub obiedzie, i z całym swym zapałem oddawał się rozprawom o kwestjach ogólnych i narodowych. Tak był idealny w pragnieniach swoich, a tak praktyczny co do wskazywania środków, tak umiał porywać swoich słuchaczy niezwykłą wymową, mimo wielką skromność i prostotę formy w wysławianiu się, iż każdy, kto go bliżej poznawał, rozumiał, jak niepospolitego tracimy w nim obywatela kraju. O wypadkach, w których świeżo brał udział, mówił niechętnie i uważał kierunek im nadany za niewłaściwy i dla sprawy szkodliwy, skutkiem czego wielkie wysiłki na Rusi celem wywołania powstania nie tylko zostały poronione, ale i zdyskredytowały znaczenie polskiego elementu w tych prowincjach. Gdyby nie było doktrynerskich rozporządzeń Komitetu, partyzantka mogłaby mieć większe powodzenie, a jej upadek nosiłby daleko mniej cech bezsilności!

Trzeciego dnia po naszej instalacji w celi Chojnowskiego usłyszeliśmy wczesnym rankiem szczęk karabinów na korytarzu. Wszedł dozorca ze łzą w oku i skinął głową na znak, że już wielki czas żegnać się na zawsze! Zalani łzami, ściskaliśmy i całowaliśmy Piotra, wkońcu położono tamę naszym oznakom żalu, przynaglając skazanego do wyjścia. Z uśmiechem na ustach rozstał się z nami, a szczelnie otoczony strażą pośpiesznie przeszedł podwórze i usadowiony na wozie skazańców ruszył na miejsce stracenia. A nie krótka to była droga; z Cudnowskiej bowiem ulicy przejechać musiał przez Rynek na najdłuższą z ulic Berdyczowską i tą ostatnią aż do rogatki na plac, za szpitalem położony, a obrany przez władze na miejsce egzekucyj. Uśmiech i spokój, jak świadczyli naoczni, nie opuściły go aż do chwili zgonu. Padł, rażony kilku kulami!

Wkrótce przyszła kolej na żołnierza Urbanowicza, który miał być straconym za opuszczenie szeregów. Należał on do garnizonu, prowadzącego etapem więźniów z Berdyczowa do Żytomierza, która to komenda złożyła broń przed partją berdyczowską i była puszczona na wolność. Urbanowicza na własne żądanie przyjęto do partji. W kilka dni potem, gdy już więźniów z tego oddziału do turmy żytomierskiej prowadzono, był na warcie pułk straży wewnętrznej, w którym przedtem służył Urbanowicz. Szyldwach zawołał nań po imieniu i nazwisku,

a gdy poznany począł się zapierać, wezwany niezwłocznie oficer stwierdził jego tożsamość. Odtąd Urbanowicz był w naszych oczach kandydatem do rozstrzelania, które, o ile pomnę, nastąpiło w pierwszych dniach czerwca. Narazie, gdy biedakowi wyrok odczytano, był nieco pomieszany, ale pod wpływem obcowania z kolegą więzienia, księdzem Prokopem, kapucynem, tak się umocnił na duchu, iż śmierć jego była na wysokości szczytnego bohaterstwa! Na placu stracenia, przechodząc mimo swego pułkownika, z największym spokojem powiedział: — „Sądy ludzkie los mój rozstrzygnęły. Czekajmyż cierpliwie na sąd boski, który orzecze, kto z nas winniejszy?“ Nie dano mu dokończyć, gdyż na rozkaz pułkownika bębnić zaczęto, by zagłuszyć ostatnie słowa skazanego. Poczem rozstrzelano go.

Obu straconym, tak Chojnowskiemu jak Urbanowiczowi, udzielił we wigilję zgonu pociech religijnych i sakramentów kapelan więzienny ks. Ziemnowicz. Te dwie kary śmierci zdawały się wstępem do dalszych egzekucyj. Zkolei sprawa Łagowskiego i moja były na bardzo złej stopie. Gubernator bowiem, który chciał nas narazie bez sądu powiesić, gdy mu na to nie pozwolono, dążył uparcie wspólnie z prezesem komisji wojskowo-śledczej, renegatem Koryckim, by nas na mocy wyroku szubienica nie minęła. Jakkolwiek więc w czasie pierwotnego śledztwa chłopi tatarynowscy (którzy mówiąc nawiasem przyjechali na to śledztwo moją bryką i memi końmi) nie świadczyli na szkodę naszą, zeznali bowiem, że, chociaż im mówiłem, iż gdyby wiedzieli, co z sobą wieziemy, nie pastwiliby się tak nad nami, jednocześnie wszakże przyznawali, że o Hramotach nic im nie nadmieniałem, nie wiedzą więc, do czego słowa moje mogły się stosować. I ja z mojej strony starałem się dowieść, iż mówiąc te słowa miałem na myśli, że znęcanie się nad nami nie było właściwem, gdyż udawaliśmy się do oddziału z narzędziami chirurgicznemi, a więc jako lekarze. Wszystkie wszakże te zeznania włościan i tłumaczenia się moje nie na wiele się zdały wobec znalezionych u mnie w tak wielkiej ilości Złotych Hramot i proklamacyj, które były o tyle wymownem i ciężkiem oskarżeniem, że komisja nie chciała dawać wiary moim dowodzeniom, jakobym o zawartości samego

pakietu jako też i całego tłomoka nic nie wiedział, przewożąc je jako pocztyljon.

Gorszą zaś nad to wszystko była okoliczność, iż najdroższemu ojcu memu nastręczono do prowadzenia naszej sprawy niejakiego pana Hulanickiego, skończonego łotra, który, biorąc pieniądze i to grube, chował je do kieszeni lub płacił za kogo innego, a miał nadzieję w chwili stanowczej zagarnąć nasz cały majątek, proponując uratowanie mi życia za cenę odarcia z mienia całej rodziny. Jakkolwiek o całym tym smutnym obrocie sprawy naszej dowiedziała się żona moja i ojciec od audytora, jakkolwiek rozpoczęła wspólnie z ojcem nowe a bezpośrednie starania u tegoż audytora i oczekiwała odpowiedzi na depesze, do ministra wojny i jenerał gubernatora wysłane, ojciec mój stracił zupełnie wiarę w możność ocalenia mnie i oddał się bezgranicznej rozpaczy! Dnia 21 czerwca 1863 r. o godzinie 11 rano prowadzono nas to jest mnie i Józefa Łagowskiego do wojenno-śledczej komisji w otoczeniu 12 bagnetów. Ojciec mój, który właśnie w tej chwili wychodził z kościoła, ujrzawszy mię najniespodziewaniej na ulicy, stanął jak wryty, zbladł przerażająco, załamał ręce, zalał się łzami — i rzekłbyś skamieniał w obranej mimowolnie postawie. Mijając go, starałem się nadać twarzy mojej jak najpogodniejszy wyraz i przymusić się do jak najserdeczniejszego uśmiechu. Nie wywarło to wszakże dodatniego wrażenia na stroskanem obliczu ojca, któremu zabrakło siły do podążenia za nami, tak, iż ukochana ta postać znikła nam wkrótce z oczu. Musieliśmy bowiem, przynaglani przez żołdactwo, pośpieszać do komisji, dokąd przybyłem wzburzony i rozstrojony i niemało użyć musiałem wysiłków woli, by pozornie przynajmniej przyjść do równowagi.

Prezes komisji odczytał nam jej postanowienie, zaliczając nas do 1 kategorji jako emisarjuszów. Zaprotestowaliśmy przeciwko narzuconym nam bezzasadnie tytułom; nie byliśmy bowiem nietylko obcokrajowcami, ale nawet nigdy obaj zagranicy nie oglądaliśmy. Zapisując nasz protest, nie wiedzieliśmy, że żony nasze we wigilję dnia tego wysłały wspomniane już telegramy, zredagowane przez ojca mego i brata Łagowskiego, p. Mikołaja. Depesz tych bruljony zachowałem z mojem polskiem, dosłownem ich tłumaczeniem, jako malujące dokładnie

stan i bieg sprawy naszej. Z komisji wróciliśmy do więzienia, a nie licząc nic a nic na dobry skutek naszych protestów i nie wiedząc wcale o zabiegach żon naszych, gotowaliśmy się do stawienia nas przed sądem polowym w ciągu nadchodzących 24 godzin i do zwykłego takich sądów następstwa, kary śmierci, którą dla nas jako dla ludzi cywilnych gotowała komisja w postaci stryczka. Tegoż dnia w nocy, pogodzony z losem, w kąciku naszej 15 kamery skreśliłem moją ostatnią wolę. Składała się ona z dwóch oddzielnych części. Pierwsza przeznaczona była dla mojej najdroższej Marji, druga dojść miała jej rąk tylko w razie, gdyby uznała za właściwe wejść po śmierci mojej w powtórne związki. Te mojej ostatniej woli wyrazy w kopertach, zaadresowanych do żony i rodziców moich, wręczyłem kolegom z prośbą o wysłanie ich przez pewną sposobność zaraz po mojem straceniu.

Nazajutrz rano przystąpiłem do spowiedzi i komunji św. Spowiadał mnie kolega szkolny ks. Adamowicz, którego rozumna pociecha dodała mi tyle sił do zniesienia oczekiwanych przeciwności, iż czułem się najzupełniej przygotowany do oddania mej szyi pod rękę katowską. Nie wiedziałem wówczas nieszczęsny, że mnie spotkało coś daleko straszniejszego, daleko cięższego od śmierci własnej, za przekonania i za nieudolną chęć służenia ojczyźnie, a mianowicie śmierć i jeszcze tak tragiczna śmierć ojca, który nas kochał nad życie w dosłownem tego słowa znaczeniu, a którego my ubóstwialiśmy i mieliśmy za prawdziwą głowę rodziny naszej, tracąc go zaś traciliśmy wszelką nadzieję lepszego jutra. Dziwnym zbiegiem okoliczności w tej samej godzinie, bo po północy z 21 na 22 czerwca, gdy ja gotując się do śmierci wolę moją ostatnią spisywałem, ojciec mój, napisawszy słów kilka pożegnania na kartce, którą ja po dziś dzień jako najdroższą pamiątkę rodzinną przechowuję, odebrał sobie życie, przecinając brzytwą arterję szyjną. Kilkanaście dni ukrywano przedemną to, co zaszło. Kartki mojej żony przygotowywały mię tylko do jakiegoś wielkiego nieszczęścia, donosząc mi o ciężkiej chorobie matki mojej i rozpaczy ojca.

Po spowiedzi napróżno oczekiwaliśmy wezwania nas do sądu. Na zapytania nasze odpowiedziały nam żony, iż na sku-

tek wysłanych przez nie depesz zrobiono komisji wymówkę „zgóry“ (wygowor) za to, iż miasto wie o ich postanowieniach we wigilję ogłoszenia takowych, i nakazano ponowne rozpatrzenie sprawy. Śmierć ojca mojego ukrywać się przede mną długo nie mogła, a oświecił mię o niej z zachowaniem jak największej delikatności Józef Łagowski. Ukląkł on bowiem obok mnie w kaplicy, ujął za rękę i począł stłumionym od wzruszenia głosem odmawiać „Anioł Pański“, a następnie inne modlitwy za umarłych, które ja łkając mimowolnie powtarzać zacząłem, zyskując jednocześnie straszną pewność o stracie najdroższego ojca. Po ukończeniu modlitwy powróciłem do naszej kamery, padłem jak nieżywy na moje posłanie i pogrążyłem się we śnie niemal letargicznym, z którego zaledwie po trzech dobach mię obudzono, a byłem tak znużony, jak gdybym kilka nocy z rzędu nie spał. Przygnębienie moje było tak wielkie, boleść tak straszna i bezgraniczna, że tylko listy mego anioła stróża, mojej ukochanej żony, tudzież największa względność, jaką mnie otaczali koledzy, poczęły zwolna łagodzić ciężki smutek, nie dający się wszakże prędko ukoić!

Czas, ów wielki lekarz najbezmierniejszych cierpień, i moją rozpacz w granicach możliwych zmniejszył, zastępując ją gorącem pragnieniem zgromadzenia pamiątek, mających jakikolwiek związek z tym okropnym dramatem rodzinnym. Posiadam odłamek lustra, przy którym najdroższy mój ojciec nieodwołalny swój zamiar wykonał; przechowuję kartkę, na której ręką swą ostatnie skreślił wyrazy, zaczynające się od słów:

„Chodźmy, synu, razem przed tron Najwyższego! Niech wie złość ludzka, jaka jest jej siła. Rodzino, daruj postępkowi, nie narzekajcie, bo tak się stać musiało“.

Po wskazówkach zaś, dotyczących testamentu i pozostawionych na pierwsze potrzeby materjalnych środków, kończy mój ojciec: — „Żegnam Was, żono i pozostałe dzieci. Wasz Mateusz Lasocki“. 22 czerwca 1863 r. Na odwrotnej stronie był napis: „Pismo dla odczytania Aleksandrze Lasockiej“.

Narzędzie śmierci jako dowód rzeczowy zostać musiało w archiwum sądowem. Do pozostałych pamiątek pragnąłem dodać dokładny opis tej strasznej w rodzinie klęski, o której tu nadmieniłem tyle, ile z za krat więziennych dowiedzieć się

mogłem. Niestety! w pierwszych chwilach łzy i wzruszenie nie pozwoliły nigdy ani matce mojej ani żonie ani też trzem siostrom zdać mi dokładną sprawę z tego okropnego przejścia. Gdym zaś w końcu 1899 roku przystąpił do spisywania mego pamiętnika, czułem cały brak materjałów do odtworzenia tej najboleśniejszej w mem życiu chwili. Z naocznych bowiem jej świadków opuściły mię matka, żona i średnia siostra. Do dwóch więc pozostałych, najstarszej i najmłodszej, udałem się z prośbą o przesłanie na piśmie szczegółów tej katastrofy. W przesłanych mi listach, oblanych przy pisaniu ich, a przy odczytywaniu mojemi gorzkiemi łzami, starały się siostry moje uprzytomnić okoliczności tego ciosu, który spadł na nas przed 37 laty. Niezależnie więc od tego, com już o śmierci ojca nadmienił, postaram się przedstawić na mocy naocznych świadectw szczegóły tego może najstraszniejszego z dramatów rodzinnych, w jakie kraj nasz obfitował w latach sześćdziesiątych ubiegającego XIX stulecia, by przekazać młodemu pokoleniu obraz tych mąk tantalowych, zadawanych z zimną krwią ojczyźnie naszej przez tych lub takich, z jakimi lub z którymi dziś ugodowcy do paktowania przystąpić pragną!

Dla zachowania w opowieści mojej pewnej całości, zmuszony jestem powrócić do pierwszej chwili rozstania się mego z rodziną, to jest do dnia wybuchu powstania na Rusi. Na uprzednich bowiem kartach skreśliłem tylko moje osobiste wrażenia, o tem zaś, co się wśród mojej rodziny działo, wiedziałem tylko te szczegóły, których mi w listach udzielano, szczędząc z umysłu wszelkich złych wieści. Otóż rodzice moi w końcu kwietnia 1863 roku zamieszkali w Żytomierzu w małym domku, położonym przy ulicy Prochorowskiej, w pobliżu ulicy Wilskiej. W temże podwórzu mieszkał pan Nassalski, ożeniony z naszą daleką krewną, Felińską. Ojciec mój, w zwykłych okolicznościach bardzo trzeźwo na rzeczy patrzący, rażony wieścią o mojem uwięzieniu jako też o warunkach, które mu towarzyszyły, zmienił się do niepoznania, zdradzając niepokój, przygnębienie i smutek bezgraniczny częstem wzdychaniem we dnie i w nocy oraz uporczywą bezsennością. Ranki a często i noce tracił na przepisywaniu ówczesnych praw wyjątkowych i cyrkularzy, stanowiących podstawy do dzielenia przestępców politycznych na

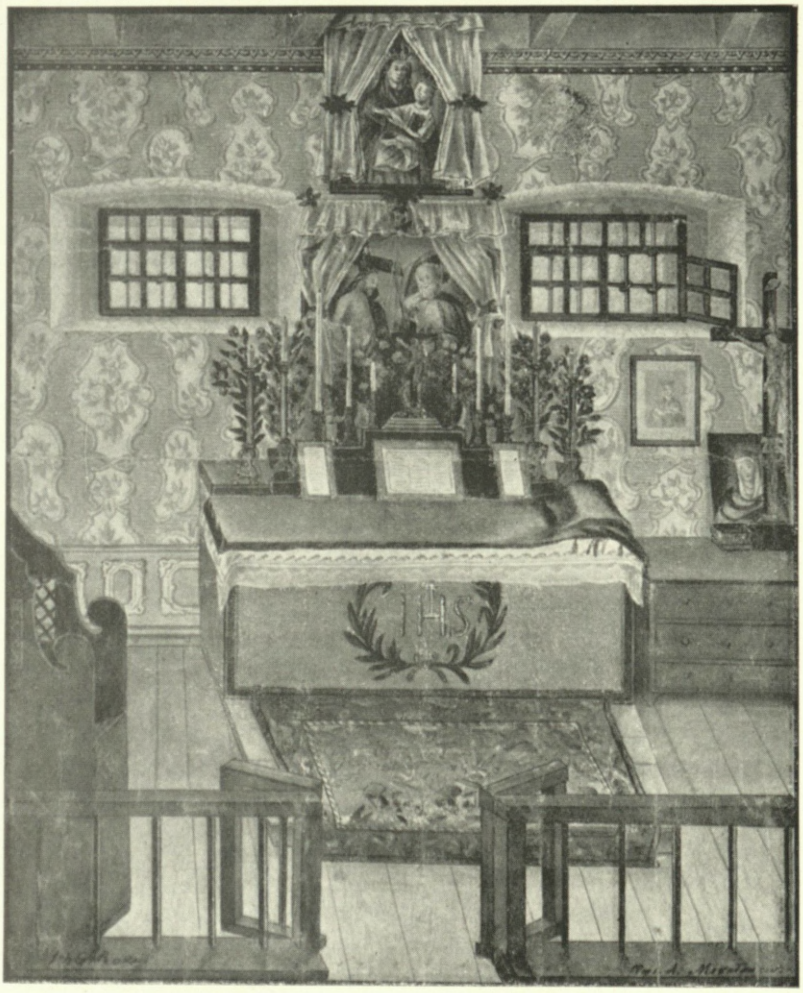


Fig. 100. Kaplica w więzieniu żytomierskiem w r. 1863.

kategorje. Około 10 wychodził codziennie na miasto, gdzie kilka godzin spędzał, szukając rady w sprawie uratowania mi życia u wszystkich, u których spodziewał się ją znaleźć, szczególniej zaś u smutnej pamięci Hulanickiego, któremu, jak wyżej wspomniałem, powierzył prowadzenie tejże sprawy. Obiadował zawsze wspólnie z rodziną, ale od jakiegoś czasu tak dalece apetyt stracił, iż nic prócz mleka nie znosił. Wieczorami brał udział we wspólnych modlitwach, na intencje mojego wyzwolenia przez całą rodzinę odmawianych.

Ciężki stan ojca pogorszył się znacznie skutkiem nerwowych ataków mojej matki, w czasie których traciła zupełną świadomość. Wywiezienie zaś jedynego naonczas zięcia, Stanisława Miaskowskiego, do gubernji orenburskiej, omdlenie i upadek na bruk jego młodej żony, a mojej najstarszej siostry Wincenty, przy pożegnaniu z mężem, następnie obawy o przedwczesne rozwiązanie tejże, które przez kilka dni trwały, wkońcu wykonanie wyroków śmierci na Chojnowskim i Urbanowiczu, w czasie których ojciec jak nieprzytomny uciekał w najodleglejsze ulice, by nie słyszeć odgłosu bębnów, towarzyszących pochodowi skazanych, wreszcie coraz to gorsze wiadomości o stanie mojej sprawy, — wszystko to razem wzięte tak bardzo ujemnie na stan jego zdrowia i usposobienia wpłynęło, iż tłumiona długo i uporczywie rozpacz poczęła nurtować do głębi jego zbolałą duszę i skończyła na niepodzielnem opanowaniu wszystkich władz jego. Mimo to w stosunkach codziennych z rodziną był najlepszym i najdelikatniejszym. Niemniej nie ustawał w zabiegach, sprzedawał, co mógł, z majątku, gromadząc i składając grosz do grosza na opłacanie moich zbirów. W dniu 21 czerwca, w którym nas do komisji prowadzić miano, wysłuchał z rana mszy świętej, leżąc krzyżem na moją intencję w kościele pobernardyńskim. Gdy zaś z kościoła wychodził furtką na ulicę Kijowską i ujrzał niespodziewanie mnie i Łagowskiego, otoczonych większą niż zwykle ilością straży, tak się tem przeraził, że powróciwszy do domu nic rodzinie o zajściach dnia tego nie mówił, był tylko przygnębiony i smutny. Nawet na zapytanie żony mojej, która przybyła odwiedzić rodziców, czy mnie widział? nie zdołał nic odpowiedzieć. Gdy zaś siostra moja starsza pytanie to samo

powtórzyła, odrzekł: — „Widziałem, widziałem, mego biedaka, gorzko się do mnie uśmiechnął, że ma ojca, co go własną ręką, co go własnym groszem zabił", a rzuciwszy się na łóżko płakał.

Tegoż dnia, gdy się nieco uspokoił, opowiedział, że po zobaczeniu mnie w otoczeniu zdwojonej straży, opanowany straszną boleścią, a pragnąc sprawdzić krążące o losie moim najróżnorodniejsze wieści, udał się pod wskazanym adresem do audytora, u którego była sprawa nasza, a na myśl, że może z ust jego usłyszeć nieodwołalny wyrok na mnie, targnąwszy za dzwonek u drzwi wchodowych zachwiał się i runął zemdlony. Nie wie, jakim wypadkiem audytor znalazł go w tym stanie, ocucił, wprowadził do siebie i otoczył współczuciem, na zadane mu zaś o mnie pytania, odrzekł, iż dotąd w mojej sprawie nikt nie robił żadnych starań. A gdy ojciec zapytał, czy i wczoraj dane 500 rubli przeznaczenia swego nie doszły? ruszył tylko ramionami i dodał, iż wszyscy, słysząc o mnie i o moich rodzinnych stosunkach, podziwiali, że ani żona ani rodzice o ulżenie mego losu żadnych starań nie robili, przeciwnie płacono za to, by na mnie jako na straconego w zasadzie walić, ile się da. Zrozpaczony ojciec wpadł z wymówkami do Hulanickiego, który do winy się nie przyznawał i najbezczelniej zażądał jeszcze 3.000 rs. na dalsze prowadzenie mojej sprawy, czyniąc od tego zależnem jej powodzenie. Gdy się o tem od ojca dowiedziała rodzina, każdy na swoją rękę począł szukać pieniędzy, ale niestety były to czasy, w których nikt nikomu nie pożyczał. Wtedy to ojciec wyprawił wspomniane już dwie sążniste depesze do władz najwyższych, proszące o wstrzymanie wyroku do ponownego zbadania sprawy, ale to czynił już bez żadnej wiary w dobry skutek.

Wieczorem uprosił wszystkich, aby się wcześnie spać położyli, mówiąc: — „Błagam was, abyście zdrowiu swemu nie szkodziły ciągłem nocnem czuwaniem, bo to was rozstraja. Nie tylko nie śpicie, ale i mnie snu pozbawiacie, a sił mi potrzeba do działania. Bóg nie wymaga tego, co przechodzi ludzkie siły. We dnie się módlcie, ale dajcie mi słowo, że od dzisiaj o 10 kłaść się będziecie". Te wyrazy ojca tak przekonywujące skłoniły matkę i siostry do dania żądanego słowa i do spełnienia

go jeszcze w tym dniu. Modlitwy wieczorne odbyły się wcześnie. Ojciec wziął w nich udział, ale przed końcem wyszedł do swego pokoju i tam coś pisał. Gdy zaś po modlitwie siostra moja starsza przyniosła ojcu do sypialni mleko, ucałował ją na dobranoc i prosił, by kazała rozesłać mu dywan przy łóżku, a na jej zapytanie ze zdziwieniem, dlaczego? dał nie dość wystarczające objaśnienie. Poczem, raz jeszcze ją całując, powtórzył, by spać się jak najprędzej kładły i nie zapomniały dać na noc matce lekarstwa. Były to ostatnie żywe słowa naszego ukochanego ojca, jak mnie o tem zapewniły siostry. Dziwnym zbiegiem okoliczności tej właśnie pełnej grozy nocy wszystkie w domu naszym kobiety usnęły mocno po raz pierwszy po dwumiesięcznej prawie bezsenności. Matkę moją przebudził wszakże około północy atak nerwowy, który się uspokoił pod nawoływaniem, by ojca nie zbudzić. Ukołysawszy powtórnie do snu matkę, zauważyła siostra światło w pokoju ojca, które nim wejść zdołała, raptownie zgasło.

Nazajutrz zrana, poczciwy sługa rodziców Włodzimierz, wchodząc do pokoju ojca, by mu usłużyć, zastał broczące we krwi zesztywniałe już zwłoki jego na dywanie, który posłać sobie około łóżka kazał. Na tymże dywanie stał lichtarz z niedopaloną a zgaszoną świecą. W jakiej chwili zgon nastąpił? odgadnąć trudno. To tylko niezawodne, że po północy z 21 na 22 czerwca 1863 r., w tym bowiem czasie zgaszoną była świeca. O rodzaju śmierci i pozostawionej kartce szczegółowo mówiłem. Tu więc tylko wspomnę, iż z jej treści widoczną była pewność połączenia się ze mną w lepszem życiu, a więc pożegnanie skierowane było tylko do żony i pozostałych córek. Z rodziny najpierwsza dowiedziała się o tej niepowetowanej stracie niezamężna naówczas jeszcze średnia siostra moja, Michalina, która to przypłaciła ciężkim żołądkowym krwotokiem. Straszna wieść obiła się o jej uszy przypadkiem. Gdy bowiem strwożony sługa Włodzimierz wpadł do przyległego domu naszych sąsiadów, by o tem, co zaszło, uprzedzić i prosić ratunku dla osieroconych kobiet, nie wiedział, że całego sprawozdania jego wysłuchała jedna z córek zmarłego, która nocowała u chorej sąsiadki w czasie chwilowej nieobecności jej męża. Matce pani domu, Felińskiej, przyszła myśl zaalarmowania najbliższej

rodziny udaną chorobą swej córki, co też uczyniła w pierwszej chwili z powodzeniem, zapominając tylko ostrzec córkę o potrzebie udawania ciężko chorej. Gdy więc ta nieuprzedzona, a obwołana za umierającą, nic o swej roli nie wiedząc, również do domu rodziców moich zmierzała, starsza siostra moja spostrzegłszy ją tak się przeraziła, domyślając się jakiegoś podstępu, że mając wciąż na myśli moją egzekucję, którą ukrywają, padła zemdlona. Obecni lekarze, którzy nieśli pomoc średniej siostrze mojej, kazali przenieść bezprzytomną do domu właścicielki, dokąd matka i najmłodsza siostra moja Adela, dorastająca wówczas panienka, bezwiednie podążyły.

Wystraszone i nie pojmujące, co się stało, widząc współczucie malujące się na twarzach otaczających, upewniły się, iż stracenie moje odbyć się musiało, i gwałtownie domagać się zaczęły widzenia ojca, sądząc, że on musiał być przytomnym wykonaniu wyroku kaźni. Nikt nie śmiał wyprowadzać ich z błędu aż do przybycia księdza Piotra Żmigrodzkiego (brata mego kolegi doktora), który z wielką ostrożnością i uwzględnieniem strasznych cierpień nieszczęśliwej żony i córek całą prawdę wyjawił, pocieszając tem, że ojciec nasz przestał już cierpieć, a śmiercią swoją odkupił syna i uratował go od kary. Przybyły wkrótce staruszek, pułkownik Krauze, policmajster, złożył dowody szczerego współczucia dla pozostałej rodziny. Potrafił on uchronić zwłoki od bezużytecznej autopsji i nie przeszkadzał oznakom wyjątkowego uznania ludności całej w czasie wystawienia zwłok, eksportacji i pogrzebu. Po nim przybył domowy lekarz gubernatora, Dr. Fiołonienko, pragnąc w imieniu księcia Druckiego okazać współczucie w nieszczęściu, którego tenże książę był pośrednim powodem.

Przyjaciele i życzliwi pracowali nad tem, by pogrzeb odbył się wedle obrządku, przez kościół katolicki przepisanego. Całe ówczesne duchowieństwo było za tem, mając to ciężkie przejście za wywołane zupełnie wyjątkowemi okolicznościami, a nieszczęsnego ojca, który dał ten niezwykły wyraz swej boleści i gorącego przywiązania rodzicielskiego, uznano za zasługującego na pobłażanie Kościoła. Stanęło więc na tem, mimo intrygi proboszcza ks. Lutkiewicza, iż dozwolono na pogrzeb w asystencji licznego duchowieństwa i pochowano na miejscowym

cmentarzu. Patrjoci na wolności zostający dołożyli wszelkich starań, by oszczędzić przygnębionej rodzinie zabiegów nieuniknionych około spraw praktycznych, biorąc na swe barki całą obrzędową sprawę to jest wystawienia zwłok w mieszkaniu, eksportacji do kościoła i pogrzebu.

Oto, co mi pisze o tem naoczny świadek, najstarsza siostra moja Wincenta, naówczas Miaskowska: — „Nas (t. j. matkę i trzy siostry) trzymano jak pod strażą z rozkazu doktorów. Ale gdy drugiej nocy pilnujący usnęli, ja, pragnąc koniecznie widzieć drogie zwłoki, wykradłam się, przeleciałam podwórze i wpadłam do naszego domku, gdzie wśród lasu kwiatów, znoszonych z całego miasta przez zacne i współczujące osoby, wśród świateł, cały pokryty kwiatami, przeważnie białemi liljami i różami, leżał nasz biedny, drogi męczennik, blady, ale uśmiechnięty, z wypogodzonem czołem, jakby uśpiony tylko. Obecni, nawiedzający i pilnujący ciała, śpiewali pieśń: „Jezu w ogrojcu mdlejący, krwawy pot wylewający, o Jezu! itd.“ Pieśni tej ojciec nas nauczył i z nami w domowej kaplicy często śpiewał, wzywając czeladź do udziału. Rzuciłam się na drogie zwłoki, całowałam twarz jego, ręce i nogi i śpiewałam z innymi, mając złudzenie, że i ojciec drogi z nami śpiewa. I było mi przy nim lżej i zdawało mi się, że razem z ojcem przejdę do wieczności, że się nie rozstaniemy, że on mnie i przyszłego wnuka tak oczekiwanego zabierze z sobą... i omdlałam i zabrali mnie stamtąd i ponieśli, doktor i ktoś jeszcze, opatrzywszy się nad ranem, że znikłam. Ale mnie już na pogrzeb nie puścili, choć o to błagałam. Pan Albin Piotrowski, który przybył, zabrał mnie podstępnie wraz z mamą do swego powozu krytego i zawiózł do domu p. Malinowskiej, wówczas pustego, którym on zarządzał i gdzie już do dwóch bocznych pokoików odniesiono wszystkie rzeczy nasze i tam nas osadzono jak w więzieniu, pilnością lekarzy i nieznanych osób otaczając. Nie widziałam więc pogrzebu. Mówią, że tłumy towarzyszyły ojcu, trumnę niesiono na ramionach od domu aż na cmentarz. Żona twoja i siostry były na pogrzebie; kwiatami słano drogę całą i usypano z kwiatów mogiłę. Po pogrzebie wszystko i wszyscy znikli. Zostałyśmy same zupełnie. Straszne było sieroctwo nasze. Grom, co w nas uderzył, mamie powrócił przytomność. Ataki ustały,

zostało obezwładnienie, osłabienie straszne, apatja... Włodzimierz, poczciwy nasz sługa, zachorował i opuścił nas — a była to zacna dusza. Wszystko było pod jego opieką. Kiedyśmy były nieprzytomne z bolu, wszystko on przenosił i nic nie zginęło. Potem dostał melancholji, tak się przeraził widokiem nieżyjącego ś. p. ojca naszego. On i Eljasz to byli realni opiekunowie nasi".

. . . . . .

Po śmierci ojca sprawa nasza skutkiem nakazu ministra wojny została ponownie rozpatrzona. Żona moja wypłaciła za pośrednictwem życzliwej nam osoby 5.000 rs. członkom komisji, którzy długo wzbraniali się przyjęcia tej sumy, obawiając się zwrócenia uwagi na siebie, a chwilowo przyjąwszy zaraz zwrócić usiłowali przez to samo pośrednictwo. Małżonka moja potrafiła wszakże zdobyć się na cywilną odwagę w tak stanowczej chwili, oświadczając, że na zwrot pieniędzy bezwarunkowo nie zgadza się. Datek więc został ostatecznie przez członków komisji przyjęty; poczem wszyscy ujęci zanieśli jednomyślnie protest przeciwko opinji prezesa sądu w kwestji zaliczenia mnie i Łagowskiego do 1 kategorji. Tragiczna śmierć ukochanego ojca zrobiła silne wrażenie nawet na wrogach naszych. Znaleźli się wśród nich tacy, których los mój zajął i którzy dopomogli niestrudzonej żonie mojej do uratowania mi życia. Łatwo oceni najmniej nawet wrażliwy czytelnik, jak ciężkie i beznadziejne chwile pędzić musiałem w więzieniu po stracie najdroższej w rodzinie osoby, wśród troski o losy osieroconych i oczekiwania po uchyleniu wyroku śmierci wygnania na długie lata z przeznaczeniem do ciężkich robót!

Pragnąc, o ile to było w mej mocy, zapomnieć o bolesnej teraźniejszości i smutnej bliskiej przyszłości, za przykładem kolegów wypełniałem czas swój robieniem pamiątek dla krewnych, przyjaciół i znajomych w ostatnich tygodniach mego pobytu w więzieniu. Jako materjał do tych wyrobów służyły nam: chleb dostarczany obficie i kości wyciągane z kotłów. Z pierwszego lepiono lub odciskano, z drugich rzeźbiono. Ja lepiłem i odciskałem szachy, warcaby, krzyżyki, medale itp. Inni rzeźbili spinki, pierścionki i rozmaite drobnostki.

Nauczony przez starych mieszkańców więzień, sybiraków, wziąłem się do tej pracy w sposób następujący. Miąższ chleba dobrze wypieczonego, odarty ze skóry, nie zbyt czerstwy i nie za świeży, miesiłem całemi godzinami obu rękami w ciągu dwóch dni, zawijając na noc i w czasie wypoczynku w wilgotne płótna. Otrzymana z tego jednolita i ścisła masa zabarwiała się do wyrobów. Czarny kolor, nadawany za pomocą domieszki angielskiej sadzy, był najczęściej stosowany. Przedmioty, wyrobione z dobrze opracowanego materjału, posiadały niezwykłą trwałość. Mam u siebie figurkę z chleba, przedstawiającą bernardyna, ulepioną w owych czasach przez jednego z więźniów w Wilnie, która po latach 40 wcale na świeżości nie straciła. Kartki moje z tej epoki więziennej przepełnione są dedykacjami tego chleba powszedniego, przeistoczonego w postacie najróżnorodniejszych drobiazgów pamiątkowych.

Po obdarzeniu wszystkich temi wyrobami na życzenie rodziny mojej musiałem się przenieść do szpitala więziennego jako chory, głównie w celu uzyskania świadectwa na prawo posiadania własnego konia i wózka w przewidywanej a bardzo bliskiej podróży etapem na Sybir! Przenosiny moje odbyły się w końcu lipca, a już w początkach sierpnia miałem żądane świadectwo dzięki uprzejmemu współczuciu kolegów lekarzy, składających urząd lekarski gubernjalny wołyński. Panowie ci raczyli łaskawie uznać, że pieszo iść nie mogłem jako cierpiący na unieruchomienie prawego stanu kolanowego, które powstało skutkiem zapalenia, wywołanego wilgocią więzienną, a było w związku z dawną postrzałową raną, ongi za czasów uniwersyteckich w pojedynku otrzymaną. Wkrótce po mojem przybyciu do szpitala przeniesiono do mego pokoju Antoniego Jurjewicza, wodza z pod Sołowjówki, który cudownym niemal sposobem od śmierci ocalał i który tu leczył się od ciężkich obrażeń, zadanych mu przez włościan. Miły ten towarzysz skracał mi czas i uprzyjemniał ostatnie chwile w szpitalu pędzone.

Około połowy sierpnia po długich oczekiwaniach, które mię już niecierpliwić zaczęły, dowiedziałem się nareszcie, jaki mię los w najbliższej oczekuje przyszłości. Pewnego poranku (daty dokładnie nie pamiętam) wezwany zostałem do małego pokoiku na parterze, gdzie się zwykle w dnie oznaczone wi-

dują chorzy z rodzinami. Intendent szpitala ostrzegł mnie tajemniczo, iż powołany jestem w ważnej bardzo urzędowej sprawie (po osobienno ważnomu ekstrennomu dielu). Domyśliłem się z łatwością, że mają mi wyrok odczytać, a stosując się do roli starającego się o odbycie drogi wózkiem, schodziłem na dół mocno kulejąc. Tu zastałem komisję w komplecie z prezesem na czele. Na widok jej nie straciłem ani na chwilę spokoju, a nadto doznałem pewnego dziecinnego zadowolenia, stojąc przed tym umundurowanym trybunałem w zupełnym negliżu szpitalnym, to jest w pantoflach, szlafmycy i charakterystycznym w niebieskie paski szlafroku. Wysoka komisja przez uszanowanie dla ceremonji, która się w imieniu najjaśniejszego pana odbywać zwykła, uważała za stosowne stać w czasie monotonnego odczytywania długiego wyroku. I ja też stać musiałem, co mi ułatwiono, wynosząc (zapewne ze względu na niezwykłą uroczystość) dwa krzesełka, jakie się w tej poczekalni zwykle znajdowały.

Dowiedziałem się w rezultacie, iż jestem pozbawiony wszelkich praw stanu tak z urodzenia jak i osobiście nabytych to jest szlachectwa i dyplomu lekarskiego i że pierwotny wyrok sądu, skazujący mnie na całe życie do ciężkich robót w kopalniach, zmieniony został przy konfirmacji przez jenerał gubernatora kijowskiego na 10 lat ciężkich robót w fortecy z nakazem konfiskaty znalezionej u mnie przy uwięzieniu sumy pieniężnej tudzież wszelkiej ruchomej i nieruchomej własności, gdyby się takowa kiedykolwiek i gdziekolwiek okazała. Po tem miłem rendez-vous rozstaliśmy się natychmiast, nie kiwnąwszy sobie nawet głową: ja do mego szpitalnego kąta, komisja do swych dalszych humanitarnych spraw, a obie strony, jak się zdaje, bez żalu. Ponieważ ja i Łagowski należeliśmy do jednej sprawy, więc jednocześnie i jemu wyrok odczytano, skazując go również na pozbawienie praw wszelkich i ciężkie roboty w ciągu lat 6 w fabrykach. Co zaś było najciekawsze, to to, iż te same motywy, które miały uczynić wyrok sroższym, posłużyły do uzasadnienia ulg przy konfirmacji. Gdy bowiem w dekrecie było najwyraźniej zaznaczone, iż kara musi być znacznie zwiększona z racji, że Łagowski służył w wojsku rosyjskiem, co uważanem być musi przez sędziów za okoliczność

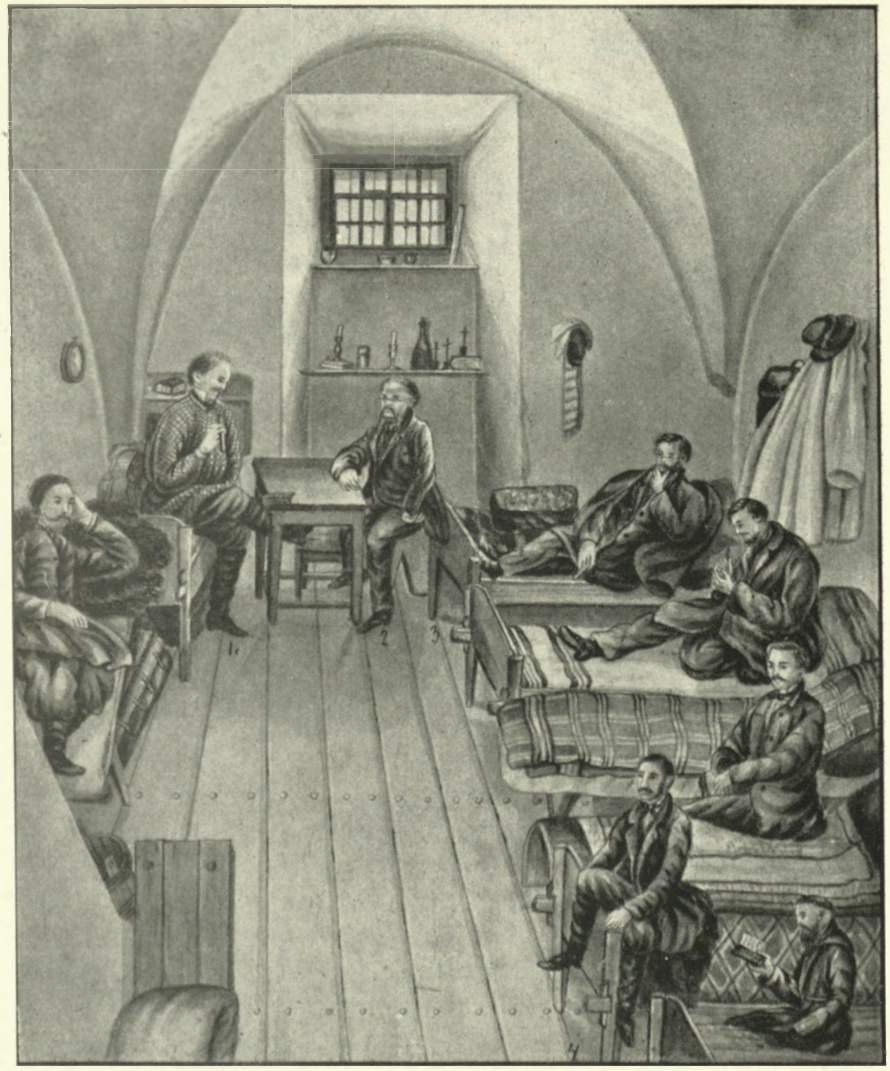


Fig. 101. Piętnasta kamera w więzieniu żytomierskiem w r. 1863.
Rysunek jednego z więźniów.

obciążającą, władze kijowskie, zatwierdzając wyrok sądu, uznały zasługi skazanego, położone w czasie wojny krymskiej, za okoliczność łagodzącą i na tej zasadzie zmieniły pierwotny wyrok, skazujący go na całe życie do ciężkich robót, na daleko lżejszą karę sześcioletnich ciężkich robót w fabrykach.

Po zdobyciu pewności, że wkrótce wyruszyć mamy na Sybir i że mnie przysługiwać będzie prawo posiadania konia i wózka w podróży, uznałem dalszy mój pobyt w szpitalu za zbyteczny i powróciłem do więzienia do mojej miłej kamery 15, gdzie mię serdecznie powitano i gdzie na wstępie spotkała mię przyjemna niespodzianka. Otrzymałem bowiem od żony mojej zawiadomienie, że odkryła nową i bezpieczniejszą drogę widywania się i porozumiewania się ze mną. W pobliżu więzienia w podwórzu, na którem przed laty jako uczeń gimnastykowałem się mieszkając w internacie, był drewniany dom parterowy, mający na strychu okno, w stronę więzienia zwrócone. W tym to domu panie moje w dniu mego powrotu ze szpitala zjawiły się w oknie, a mając przed sobą wielkie alfabety papierowe pokazywały nam kolejno litery, które my z otwartego zakratowanego okna więziennego notowaliśmy, układając całe słowa, a następnie zdania. Z tego nowego, dobrego i nie odkrytego przez szyldwachy wynalazku korzystaliśmy do chwili wyjazdu naszego, do którego gotując się mieliśmy dużo przedmiotu do gawędy. Wkrótce porobiliśmy u siebie alfabety, co rozmowę ożywiło, czyniąc ją obustronną. Tego, czegośmy nie dopowiedzieli w alfabetach, szukaliśmy w kartkach, których zamiana nie ustawała ani na chwilę. Tą koleją cały plan przygotowań do drogi został obmyślony, przedebatowany, ułożony i zatwierdzony na kilka dni jeszcze przed wymarszem.

Najboleśniejszem dla mnie było widzenie się pożegnalne z matką moją w obecności władzy w charakterze świadków. Ja skamieniałem z bolu, matka oblała mię łzami i pobłogosławiła w milczeniu grobowem. Zdawało się, że w kielichu życia mego nie pozostaje już ani kropla goryczy... a wszakże niemało jej piłem i piję aż po dziś dzień jeszcze!

W czasie 4-miesięcznego pobytu w więzieniu śledziliśmy uważnie z dostarczanych z miasta, acz bardzo niedokładnie, gazet bieg naszej sprawy narodowej. Wiedzieliśmy więc dokład-

nie, jak smutny obrót biorą te sprawy. Zrazu cieszyła nas nadzieja interwencji i zlania się wszystkich stronnictw w usiłowaniach wzmocnienia, rozszerzenia i pogłębienia ruchu, a tem samem dania podstaw energiczniejszemu i natarczywszemu wmieszaniu się. Wkrótce przekonaliśmy się wszakże, iż te wysiłki pozbawią naród najżywotniejszej jego części, młodzieży, całe zaś wstawiennictwo pozostanie czczym tylko frazesem i w tem nie omyliliśmy się! Przesunęły się nam po kolei, jak w kalejdoskopie: przeistoczenie się Rządu Tymczasowego w Rząd Narodowy, ofiarowana przez władzę rosyjską amnestja, z której nikt nie chciał korzystać; widoczny wzajemny wpływ biegunowo przeciwległych sobie stronnictw po ich zjednoczeniu; powolne przeistoczenie się walki w zbrojną demonstrację; ciągłe zmiany w składzie rządu; przelanie olbrzymiej sumy 24,000,000 rs. z kasy Banku Polskiego do kasy powstańczej; bezpowrotny upadek z wysiłkiem zorganizowanych ruchawek w Inflantach, na Rusi i Białorusi; poronione wyprawy z Galicji na Wołyń; walki na Litwie i w Królestwie, prowadzone ze względnem powodzeniem, ale bez ważniejszych ogólnych następstw przez ks. Mackiewicza, Dłuskiego, Wróblewskiego, Lelewela, Kruka (Heindenreicha), Chmielińskiego i innych. Z niepokojem oczekiwaliśmy skutku not, wysłanych w drugiej połowie czerwca przez dwory: francuski, angielski i austrjacki do rządu rosyjskiego w sprawie polskiej. Ujrzeliśmy brutalne odepchnięcie tych przedstawień przez księcia Gorczakowa, a jednoczesne nominacje: Murawiewa jenerał-gubernatorem na Litwie, a hr. Berga namiestnikiem w Królestwie, którzy obaj zaznaczyli rządy swoje szeregiem okrucieństw i licznych doraźnych egzekucyj, przekonały nas ostatecznie, iż pozostawiono nas własnym siłom w chwili, gdy się te wyczerpały zupełnie!... Pod brzemieniem tych ciężkich wrażeń opuszczaliśmy kraj, nie wiedząc, na jak długo!...

DODATKI I PRZYPISY.

PETERSBURG — PANU MINISTROWI WOJNY.

Mąż mój Wacław Lasocki lekarz w czasie zaburzeń w powiecie żytomierskim jadąc bryczką zatrzymany został w drodze przez włościan wsi Tatarynówki. Komisja wojenno-śledcza zaliczyła go do 1 kategorji przestępców politycznych, chociaż nie był ani dowódcą oddziału, ani emisarjuszem, ani też członkiem komitetu rewolucyjnego. Nie opierał się aresztowaniu, w czasie zatrzymania go był bezbronnym, niemniej o zabójstwo obwinionym nie jest.

Zaliczenie do 1 kategorji nie jest słuszne, i winy, która mogłaby stać się powodem zaliczenia do tej kategorji, nie udowodniono. Tymczasem jest on zagrożony karą śmierci; ja zaś widzę przed sobą jedyny ratunek udania się pod opiekę Waszej Ekscelencji z pokorną prośbą o polecenie panu gubernatorowi wołyńskiemu, aby tenże zwrócił uwagę na określenie stopnia winy męża mego, nie wedle postanowienia wojenno-śledczej komisji, która niedokładnie zbadała sprawę, ale z całą ścisłością i względnością, celem ulżenia losu nieszczęsnego małżonka mego. Upraszam Waszą Ekscelencję o natychmiastowe wdanie się w tę sprawę, oddani bowiem pod sąd polowy dekretują się w ciągu 24 godzin.

Za pięćdziesiąt słów odpowiedzi telegraficznej, mającej zawiadomić gubernatora wołyńskiego, zapłacono.

Marja Lasocka.

KIJÓW — PANU JENERAŁ-GUBERNATOROWI.

Mąż mój Wacław Lasocki zatrzymany został jadąc bryką przez włościan wsi Tatarynówki. Komisja wojenno-śledcza zaliczyła go do 1 kategorji przestępców politycznych, do której to kategorji on jako lekarz zaliczonym być nie może. Nie był bowiem ani dowódcą oddziału ani emisarjuszem ani też członkiem komitetów; nie został również schwytanym z bronią w ręku i nie jest o zabójstwo obwinionym. Pozwoli więc sobie Wasza Ekscelencja przedstawić, iż zaliczenie go do 1 kategorji jest krańcowem zwiększeniem istotnej jego winy. Że zaś mężowi memu grozi kara śmierci, a wolą Jego Cesarskiej Mości jest, by sąd był sprawiedliwym, niniejszem ośmielam się najpokorniej prosić Waszą Ekscelencję o szczegółowe rozpatrzenie sprawy i przyczynienie się tem do ocalenia życia obwinionemu.

Za przesłanie 40 słów odpowiedzi na imię wołyńskiego gubernatora zapłacono.

Marja Lasocka.

DO RĄK WŁASNYCH MARJI LASOCKIEJ.

1863 roku, dnia 21 czerwca.

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — Amen.

Aniele mój najdroższy!

Nad grobem stojąc z woli Najwyższego, pragnę jeszcze przemówić do Ciebie ostatni raz w życiu!

Błogosławieństwo i cześć Twoim cnotom chrześcijanki, Polki i żony. Szczęście prawdziwe i niezasłużone, jakiem mię Najwyższy obdarzył przez czas krótki, przywiązało mię do życia; niestety trwało ono zbyt krótko. Przebaczmy wrogom naszym i prośmy o ich nawrócenie. Dla siebie zaś o zjednoczenie w życiu lepszem. Jeśli Najwyższy dać je nam raczy, rychło zapomniemy o chwilowych cierpieniach doczesnych, które zdają się nam do niezniesienia. Rodziców moich proszę o wykonanie mej woli w tem, co od nich zależy, Ciebie błagam o to, co Ty spełnić możesz. Jeśli Ci Najwyższy nie przeznacza obowiązków innych, jeśli zostaniesz wolną i niezależną, nie zapominaj o rodzicach moich, ukochaj Ich tą miłością, jaką ja ich miłowałem, osładzaj Ich starość zatrutą przeze mnie, uproś u Boga, aby Ich żal ukoił. Nad sobą panuj, nie dawaj folgi żalom, ratunku zaś szukaj w modlitwie i dobrych uczynkach. Szczególnie polecam Ci rodzinę Józefa[1]), mego prawdziwego przyjaciela, z którym mię wspólne nieszczęścia jeszcze więcej spoiły. Los jego pogorszyło to znacznie, że go ze mną pojmano. Jest więc to jeszcze silniejszą pobudką, aby o sierotach jego pamiętać, zająć się niemi w miarę możności, jak sierotami po najbliższym krewnym, jak dziećmi brata nie ze krwi, lecz z ducha.

Siostry i Stasia proś, aby rodzicom starali się mnie zastąpić i aby cienia zawiści nigdy między Wami nie było, jak dotąd nie bywało. Kochajcie się i brońcie się wzajemnie; O Ignacego[2]) bycie nie zapominajcie, niech ma od nas na własność chatę, ogród i grunt, a także zapomogę na gospodarstwo. Matki Twojej nogi ucałuj ode mnie, Stasia i Cesię uściśnij, całą rodzinę pozdrów, pożegnaj i powiedz Im, że choć niedawnom ich poznał, potrafiłem ocenić i pokochać wielu z nich jak najbliższych krewnych. We wszystkiem radź się Władzia[3]), ojca mego i drogiego wuja, którego uściśnij ode mnie. Rodzicom i rodzeństwu pamiątki rozdaj. O księdzu Prażowskim, jeśli to prawda, że po ludzku postępował, nie zapomnij.

Daruj mi, Aniele, że Cię obarczam tem wszystkiem, co Bóg na barki moje włożył. Spełń moje prośby, o ile możesz, o ile sił Ci stanie, i zostaw w Twem sercu wspomnienie i szacunek dla Twego dozgonnego przyjaciela. Przebacz mu wszystkie względem Ciebie przewinienia i błagaj Boga o miłosierdzie!

Przyjm tę ostatnią nad grobem modlitwę Twego wielbiciela i małżonka

Wacława.

---

[1]) Józefa Łagowski.

[2]) Ignacy Kamiński mój służący (w rotach aresztanckich).

[3]) Władysław Wielohorski, żonaty z cioteczną-rodzoną siostrą mojej żony, Filipiną Jezierską.

1863 roku, dnia 21 czerwca.

Pismo niżej załączone składam u rodziców i proszę go w takim tylko razie żonie mojej pokazać, jeśliby to zdawało się być potrzebnem dla usunięcia skrupułów, tyczących się mojej ostatniej woli.

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — Amen!

Gdyby wola i łaska Boża zezwoliły sercu ślubnej małżonki mojej Marji po zgonie moim zrobić wybór towarzysza na dalszą drogę pielgrzymki doczesnej, nietylko jej tego za złe mieć nie będę, ale przeciwnie i z za grobu Jej błogosławię i niosę modły najgorętsze, aby większego spokoju i szczęścia dostąpić mogła aniżeli w krótkiem ze mną pożyciu. W kole Jej domowem dusza moja gościć i błogosławić jej będzie, a jeśli nie na łaskę, to na zmiłowanie u Boga zasłużę modłami memi, aby wyjednać Jej odpoczynek po mękach, jakich byłem mimowolnym sprawcą!...

W. Lasocki.

NAZWISKA WZMIANKOWYCH OSÓB.

(CYFRY OZNACZAJĄ STRONICE).

Adamowicz ksiądz 470
Aleksandrowicz Karol 436, 465, fig. 80
Amborski Jan 222, 237, 242
Antoniewicz Jan 298
Antonowicz Włodzimierz 186, 228, 230—236, 246, 285, 291, 295, 297, 320, fig. 36, 43, 58, 59
Awejde Oskar 416, 420

Baczkowski Józef 40
Bakszt Wilhelm 118
Bardzki Stanisław 206, 237
Bądarzewski Kalikst 183
Beaupré Antoni 61, 62, 80, 82, fig. 19 i 20
Beaupré Józef 62
Beaupré z Bentkowskich Teofila 62
Beaupré z Iwanowskich Seweryna 62
Bejzym Jan 42
Bejzym Paweł 42
Berezowski Cyprjan 288
Bernatowicz Władysław 27
Bernatowicz Włodzimierz fig. 45
Bernatowiczowa z Bukarów Klotylda 27
Bezak gen gub. 445
Bibikow gen. gub. 154, 161, 167, 289
Bielakowski Józef 115
Biesiadowski Józef 449, fig. 89
Bliziński fig. 43
Błaszyński Konrad 420
Błażowska z Trypolskich Fortunata 21, 109
Błażowski Hieronim 21
Bniński Roman hrabia 312, 454, fig. 64
Bobowski Franciszek
Bobrowski Stefan 232, 235, 290, 416, 419, 420, 427, 428, fig. 46, 47, 70
Bobrowski Tadeusz 9, 21, 24, 27, 29, 39, 47, 51, 105, 181, 182, 289, 393, 320
Bobryński hrabia 220
Bohaczuk Iwan 108
Bondi Edward 186, fig. 44
Borelowski Marcin 430
Borkowski Adolf 316, fig. 65
Borowski Kasper biskup 108
Borowski Piotr 61, 74, 77, 82
Boskowicz Edmund 100
Bośniacki Leonard 42, 446, fig. 81
Brinken pułkownik 214
Brzostowski Andrzej 316, 317, fig. 65
Brzozowski Jan fig. 47
Budzyńska Michałowa 6, fig. 24
Budzyńska z Palé Paulina 112
Budzyńska z Rulikowskich Józefa 24
Budzyńska z Wasilewskich Marcelanowa 24
Budzyński Aleksander 24, 25, 110, 446 fig. 83
Budzyński Antoni 6, 7, 27
Budzyński Ignacy 6, 9, 11, 96, fig. 3
Budzyński Kazimierz 23
Budzyński Marcelan 23
Budzyński Michał 6, 10, 21, 29, 35, 47, 109, 276, fig. 13, 24
Budzyński Mieczysław 96
Budzyński Seweryn 36, 110, fig. 8,
Bndzyński Wincenty 6, 111, fig. 27
Budzyński Wojciech 27
Bukar Oktawjan 115
Bukar Seweryn 27
Bukar Tadeusz 53
Bukar Wincenty 27
Bukarowa z Budzyńskich Julja 27
Bukarowa z Langów Wincenta 27
Burzyńska z Czapskich Józefa Eleonora 45
Burzyńska z Jabłonowskich Karolowa 44
Burzyński Bolesław 45
Burzyński Jan 45, 279, fig. 12
Burzyński Karol 48, 50
Burzyński Kazimierz 45
Burzyński Stanisław 279, 310
Burzyński Tadeusz 45
Burzyński Tomasz 231, fig. 44, 46
Bykowski Jaxa Piotr 167

Carenko Jan 118
Chamiec Antoni 229, 232, 302, fig. 43, 46

Chamiec Marjan 73
Chamiec Stanisław 316, fig. 65
Chojnowski Onufry 229, 297, fig. 48, 58
Chojnowski Piotr 447, 466, fig. 85
Choński Kazimierz 317
Chranicki 433
Ciechocka z Ilińskich Eleonora 15, 282
Ciechocki Ignacy 16, 278, 282
Ciechoński Władysław 453, fig. 43, 44, 93
Cieszkowski Karol 446, 465, fig. 84
Cieszkowski Teodor 205, fig. 69
Cwirtun z Piotrowskich Jadwiga 41
Cybulski Józef fig. 45
Czacki Feliks 237
Czapiński Leopold 229
Czapski Teofil 434, 446, 457, 458, fig. 78
Czarnołuska z Konopackich Stanisława 29
Czartoryski Adam książę 15, 75, 150
Czeczel Jakób 278
Czeczelowa z Michałowskich Jakóbowa 278
Czekoński 456
Czertwertyński Włodzimierz 209

Dalewski Franciszek 429
Dalkiewicz Tytus 236
Daniłowski Władysław 419
Darowski Weryha Aleksander 212
Dąbrowski Antoni 63
Delpes Łukasz 118
Demontowicz 431
Dębicki Napoleon 300
Dobrowolski Marceli 289
Dobszewicz ksiądz 160, 175, fig. 31
Doroszeńko 80
Drucki-Sokolnicki gen. gub. 445
Dubiecki Marjan 232, 293, 302, 437, 457, fig. 45, 59, 75
Duchiński Franciszek 161
Dunin Antoni 436, 457, 459, fig. 76
Duninowa Stanisława 32
Dzikowski 175
Dybowski Benedykt 458
Dybowski Józef 75

Faszowicz Edward 182, 217, 237
Faszowicz Ferdynand 114
Faszowicz Justyn 114, 182, 452
Felińska z Omiecińskich Józefa 5, 57
Felińska z Wendorffów Ewa 69, fig. 16
Feliński Alojzy 5, 69
Feliński Zygmunt Szczęsny 50, 72, 429
Fiołonienko doktor 471
Fisch Zenon 166, 245
Fonberg Ignacy 160, 172, fig. 33
Frankowski Leon 417, 424

Galli Edward Marjan 96
Garlińscy 52
Gąsiorowski Konrad 302, fig. 59
Gieysztor Jakób 429
Giller Agaton 416, 419
Giżyccy Nepomucenowie 47
Giżycki Nepomucen 48
Głębocka ze Sławuszewskich Klementyna 41
Głębocki Darjusz 33
Głębocki Ezechjel 451
Głębocki Henryk 33
Głębocki Jan Kanty 23, 41, 316, fig. 65
Głowacki Leon 232, 302, fig. 37, 43, 44, 59
Gołyński Jacek 87
Gorzałczyński Jan 242
Goszczyński Seweryn 76
Gośniewski Leon 42
Gottlebowa z Konopackich Onufryna 29
Górecka z Berezowskich Ludwikowa 288
Górecki Ludwik 288, fig. 55
Górski Wacław 221
Grabowski Adam 428, fig. 71
Grabowski Fortunat 89
Grabowski Michał 166, 238
Gralewski Mateusz 304, 308
Grocholski Mieczysław 316, fig. 65
Gromeka 177
Gruszecki Michał 446, 466
Grzybowski Michał 229, 298
Gubel fig. 47
Gulbiński fig. 47, 48
Gulbiński Ludwik 229
Gulbiński Mieczysław 229.

Harasimenko Potap 178
Hartman Gustaw 186, 284, fig. 37
Henszel Władysław 231, 232, 293, 447, fig. 43, 86
Hołowińscy Zenonowie 91
Hołowiński Ignacy biskup 166
Huebenett Chrystjan 184
Hulanicki 469
Hulewiczowie Władysławowie 46
Humnicki Ludwik 181
Husarowski Zygmunt 439, 462, 466, fig. 79

Iliński Aleksander 4, 6, 14
Iliński Antoni 14, 15
Iliński August 47
Iliński Franciszek 18
Iliński Henryk 47
Iliński Ksawery 14, 15
Iwanowska z Kozieradzkich Anastazja 62
Iwanowski Feliks 62, 64, 89, 312, fig. 64
Iwanowski Tytus 278
Izbicki Eustachy 108
Izbiński Konrad 449

Izdebska z Jansonów Zuzanna 112
Izdebski Juljan 112
Izdebski Stanisław 112, fig. 64

Jabłonowski Aleksander 245, 289, 290, fig. 47
Jakubowski Leopold 181
Janiszewski Aleksander fig. 44
Jankulio 216
Janowski Józef 419, 420
Janowski Władysław 417, 419, 420
Jarocka Stanisława 19
Jaroszyński Konstanty 23
Jaroszyński Witold fig. 46
Jasiński Marceli 175
Jastrzębski Karol 53
Jastrzębski Żyrosław 42
Jeleński Antoni 429
Jełowicki Edward 185, 208, fig. 38
Jełowicki Karol fig. 64
Jełowiecki Marcin 64, 312
Jenicz Ludwik 293, 302
Jezierska z Schabickich Henrykowa 283
Jezierski Gracjan 96
Jezierski Henryk 283
Jezierski Józef 105
Jeżowska Paulina 15
Jeżowski Aleksander 16
Jodko Ksawery 316, fig. 65
Jurjewicz Antoni 229, 232, 235, 290, 449, 479, fig. 47, 48
Jurkiewicz Dołęga Jakób Benedykt 166

Kaczkowski Karol 57
Kalczycka Tekla 18
Kalitowicz Paweł 44
Kamieński Władysław 115, 157, 232, 236, 293, 302, 452, fig. 37, 43, 59, 91
Kamiński Antoni 86
Kamiński Ignacy 438
Kański fig. 43
Kątski Apolinary 188, 202
Kędrzycki Belina Juljan 161, 167, 289
Kirkor Walerja 8
Knoll Teofil 33
Knollowa z Piotrowskich Anna 34
Kochanowska z Piotrowskich Tekla 34
Kolet Kazimiera 106
Kołyszko 433
Komar Tadeusz 188, 190, 220, 239, fig. 39
Konarski Szymon 61, 76, 77, 81, 123, fig. 18
Kondratowicz Dionizy 67
Konopacka z Omiecińskich Katarzyna 13
Konopacka z Przyłuskich Zofja 30
Konopacki Franciszek 29
Konopacki Jerzy 33
Konopacki Józef 27
Konopacki Konstanty 31
Konopacki Leon 28
Konopacki Narcyz 5, 13
Konopacki Prokop 27, 28
Konopacki Przemysław 28
Konopacki Szymon 39, 32, 37, 111, 231
Konopacki Wiktor 28
Konopacki Władysław 33
Konopacki Włodzimierz 29
Konstantynowicz 303
Kopernicki Izydor 160, 185, 245, 288, 289, 290, 293, 302, fig. 55
Korewa Klet 289, 430
Korycki 468
Korzeniowska Apollonowa fig. 67
Korzeniowski Apollo 190, fig. 40
Korzeniowski Józef 63
Kosielski Mieczysław 209
Kossakowski 433
Kostko 449
Kościałkowski Józef fig. 36
Kowalski Alfred 204
Kowalski Tadeusz 28
Kozłowski Władysław 302, 458, fig. 37, 59
Krajewska z Wilamowskich Edwardowa 43
Krajewski Aleksander 93
Krajewski Józef 118
Krasowski fig. 46
Kraszewski Józef Ignacy 105, 247, 276
Kraszewski Włodzimierz 312, fig. 64
Krawczenko Wasyl 180, fig. 61
Krechowiecki Antoni 115
Kretkowska z Michałowskich Aniela 5, 96
Kretkowski Augustyn 96
Kruczkowski Adolf 185, 208, 226, fig. 38
Kryłowski Aleksander 100, 312, fig. 61
Kryłowski Mikołaj 100
Kryłowski Paweł 100
Krypski 449
Krzyżanowski Antoni 289
Krzyżanowski Platon 453
Kulbakinowa z Suffczyńskich 48
Kunicka z Berezowskich doktorowa 288
Kurowski Apolinary 424
Kurowski Ferdynand 113
Kurowski Mirosław 106
Kurowski Stanisław 113
Kwasowski Michał 118
Kwaśnicki Jan 116
Kwaśnicki Augustyn 116
Kwiatkowska z Boczkowskich Joanna 64
Kwiatkowski Andrzej 63

Langiewicz Marjan 420, 424, 426, 427
Lapideski Bazyli 100

Lasocka z Budzyńskich Aleksandra 3, 471, fig. 6, 68
Lasocka Marja 485
Lasocka Wincenta fig. 66
Lasocki Maciej 3
Lasocki Mateusz 3, 471, fig. 2
Lasocki Wacław fig. 1, 37, 68
Ledóchowski Romuald 316, fig. 65
Lempke Zygmunt 418
Lenkiewicz Feliks 316, 317, fig. 65
Leskow Bazyli 118
Leszczyński Tytus 118
Leśniewicz Joachim 78, 87
Leśniowski Władysław 447
Lewicki Ludwik 59
Liskowaccy 54
Lubowidzki Edward 60
Ludomir (Tadeusz Komar) 204
Lutkiewicz ksiądz 471

Łagowski Józef 312, 437, 446, 462, 471, fig. 64
Łagowski Mikołaj 469
Łapiński 431
Łącki kupiec 312, fig. 64
Łątkiewicz Józef 114, 118
Łepkowska z Budzyńskich Klementyna 24, 61, fig. 10
Łepkowski Leonard 24, 61, 64, 76, 84
Łopatyński fig. 61
Łoziński Bolesław fig. 64
Łuczycki Wilhelm 118

Macewicz Nicefor 54
Mackiewicz ksiądz 431
Madejski Leonard 52
Majkowski Jan 417, 420
Malczewski Franciszek 92
Malherbe Cezary fig. 47
Malinowska z Piotrowskich Stanisława 37
Malinowski Cezary 37
Malinowski Kazimierz 37
Malinowski Wiktor 36
Maliszewski Zenon 118, 150, 186, fig. 37
Małachowska Hortensja 282
Mamajew J. N. 78
Markiewicz Piotr 298
Marszycka z Piotrowskich Helena 39
Marszycki Rożesław 39
Marujew fig. 64
Masłowski Konstanty 118
Maszkowski Gaspar 61—68, 76, 82, 245, fig. 21
Maszkowski Mikołaj 63, 74
Mazaraki Wacław 46
Mazewski August fig. 64
Mazewski Leon fig. 64
Mazzini 76
Męciński Józef fig. 46
Mężyński Daniel 312
Mianowska Marja fig. 52
Mianowska z Ilińskich Deodata 283
Mianowska z Lubańskich Janowa 283
Mianowska z Schabickich Kamila 283, fig. 53
Mianowski Władysław 283, fig. 51
Miaskowska z Lasockich Wincenta 477
Miaskowski Antoni 53
Miaskowski Stanisław 222, 284, 302, 447, 452, 459, fig. 43, 59, 60
Miączyński Ksawery 25, 26
Michalski Fryderyk 61, 74, 77, 82
Michałowska z Krasowskich Marjanna 7
Michałowski Edmund 13
Michałowski Erazm 279
Mickiewicz Adam 40
Mielęcki Kazimierz 429
Mierosławski Ludwik 420, 427
Mierzejewski Emil 276
Mikoszewski Karol ksiądz 417, 420
Mikulicz Karol 276, 316, fig. 65
Miliot Benjamin fig. 54
Milowicz Włodzimierz 186, 219, 236, 284, fig. 35, 43, 63
Miłkowski Zygmunt 289
Miłoszyński Mateusz 115
Mioduszewski Antoni 229, 233, 298, fig. 48
Młodzianowski Narcyz 316
Mogilnicki Zenon 64
Mołczanow 441
Morawski Cezary fig. 43
Morgulec Bolesław 453, fig. 91
Morgulec Stefan fig. 48
Morzycki Juljan 451
Moszczeński Bolesław 453
Muchanow Paweł 309
Müller Konstanty 64

Nagrodzki Serafin 316, 317, fig. 65
Nartow Aleksander 316, 317, fig. 65
Nartow Eliza 38
Naskręcka z Maszkowskich Anna 83
Naskręcki Cyryl 64
Naskręcki Edward 106, 150, 186, fig. 37
Nejman Kazimierz 298
Neyman Tadeusz 28
Niewiarowski Seweryn 115
Niewiarowski Stanisław 115
Niewmierzycki Andrzej 21
Niewmierzycki Lucjan 276, 434, fig. 74
Nowakowski Jan 188
Nowakowski Karol 308
Nowicka z Jezierskich Zenona 247

Nowicki Fortunat 227, 247, 276, 309, fig. 35, 64

Obiedziński Daniel 115
Obniski Zygmunt 237
Obuchowicz fig. 48
Odyniec Wincenty 229, 234, 235, fig. 48
Ogarew 157
Okienczyc krawiec 312, fig. 64
Olizar Gustaw 92
Olizar Narcyz 64
Olizarowie Emilowie 73
Olszański Romuald 219, fig. 95
Omieciński Jakóbowie 73
Omieciński Jan 6, 13
Orzechowski Juljan 186, fig. 36
Orzechowski Tadeusz 186, 222, 226, 237, fig. 36
Oskierko Aleksander 429
Oskierko Kajetan 46
Oskierko Szczęsny 186
Oskierko Witold 186
Oskierko Władysław 46
Ostaszewska z Bujalskich Spirydjonowa 44
Ostaszewski Spirydjon 44
Ostromęcka Wiktorja 19

Paczkowski Mieczysław 209
Padlewski Władysław 453, fig. 90
Padlewski Zygmunt 416, 418, 419, 420, fig. 72
Paszkowska Karolina 45
Paszkowski Jan 98
Paszkowski Józef 116
Paszkowski Konrad 106, 114, 117, 118, fig. 46
Paszkowski Michał 106, 116
Pawłow Platon 156, fig. 32
Peretjatkowicz Adolf 449
Perro Gracjan 115, 117
Piasecki Kamil 237
Piehl Henryk 118
Pietkiewicz A. (Adam Pług) 247, fig. 36
Pietraszkiewicz Ksawery 161, fig. 50
Pietraszkiewicz Onufry 245
Pilchowski Adolf 29, 181, fig. 34
Pinińska Edwardowa 61
Pinińska z Łepkowskich Nikodema 14, 61, 68, 277
Piotrowska z Chomętowskich Stefanja 39
Piotrowska z Głębockich Karolina 41
Piotrowski Albin 33, 37, 40, 477, fig. 7
Piotrowski Aleksander 36, 37, 40, 432
Piotrowski Andrzej 33
Piotrowski Faustyn 118
Piotrowski Franciszek 33, 34
Piotrowski Jan 36
Piotrowski Józef 37
Piotrowski Kamil 39
Piotrowski Konstanty 277
Piotrowski Michał 31, 33
Piotrowski Tytus 37
Pirogow Mikołaj 155, 320, fig. 62
Piskierski Mikołaj fig. 45
Plater Włodzimierz 105, 276
Pławski Otton 118
Płonowski Jan 63
Podhorodeński Marjan 87, 89
Podhorodeński Bożydar Władysław 103
Podhorska z Budzyńskich Nepomucena 25
Podhorski Jan 25, 26
Podlewski Władysław 293
Podoska hrabianka 282
Polakiewicz fig. 61
Polheim Józef 101
Poniatowska z Felińskich Zofja 69
Poniatowski Adam 69, 70, 72, 140, fig. 17
Poniatowski Kazimierz 70
Poniatowski Maurycy 182
Popowski Józef 229, fig. 48
Popowski Juljan 229
Postępski 289
Potocka z Krajewskich Klementyna 204
Potocki Aleksander 294
Prozor Maurycy fig. 82
Prusinowski Jan 67
Pruszyńska z Malinowskich Walerja 37
Pruszyński Mieczysław 104
Pruszyński Zygmunt 316, 317, fig. 65
Przeciszewska z Burzyńskich Marja 45
Przeciszewski Adolf 45
Przedpełski Gotfryd fig. 47
Przedrzymirski Walery 449
Przesmycki Adam 316, 317, fig. 65
Puczkowski Karol 64
Pulikowski Gustaw 118

Rabcewicz Władysław 89
Radlińska z Garlińskich Adamowa 52
Radliński Adam 52, 115
Radziszewski Zygmunt fig. 46, 65
Radziwiłł Karol 316, 317
Radziwiłł Wilhelm 46
Radziwiłłowa z Morzkowskich Cecylja 47
Rafalski Łukasz
Rakowska z Tarnawskich Salomea 288
Rakowski Gustaw 37, 186, 284
Rakowski Tadeusz 176, 241, 284, 288, 293, fig. 37, 92
Rebinder Mikołaj 213
Rodziewicz Ignacy 80
Rogiński Roman 424
Rogojski Karol 36
Roguski Karol 316, 317, fig. 65, 96

Rohozińska z Dłużniewskich Oktawja 281
Rohoziński Rafał 281, 284
Rolle Józef 179, 183
Roslakow Bazyli 115
Roszkowski Adolf 65
Roszkowski Stanisław 291
Rozenthal Józef 176
Rożen fig. 48
Rożniatowski Władysław 115
Rożniatowski Zygmunt 115
Różycki Edmund 5, 31, 36, 38, 45, 437, 456, fig. 97
Różycki Karol 6, 19, 32, 35
Rubinsztein Wsiewołod 115
Ruciński Justynjan 78
Ruczyński Eustachy 25
Rudnicki Leopold 317, fig. 65
Rupnicki Ludwik 316, 317, fig. 65
Rudnicki Władysław 207
Rulikowski Edward 24
Rupniewski Zygmunt 245, 289
Rylski Józef 47
Rylski Rożesław 293, 295
Rylski Tadeusz 229, 295, 297, fig. 43, 48, 58
Rzewuski Adam 456
Rzewuski Ernest 46
Rzewuski Henryk 47, 166
Rzyszczewski Aleksander 316, 317

Sabiński Juljan 87, 217
Sabiński Olgerd 217
Sanoccy Janowie 73
Sawicki Florjan 206
Sawicki Józef 175
Sawicki Piotr 181
Sągajło Henryk 214, 219
Sągajło Karol 62
Sągajło Olimpja 66
Sągajłowa z Iwanowskich Julja 62
Schabicki Adam 81
Siennicka z Trypolskich Iza 53
Siennicki Aleksander 52
Siennicki Stefan 22, 53
Sierakowski Zygmunt 41, 66, 431—433, fig. 73
Skalmierowski Tomasz 115
Skibniewski Mścisław 284
Skibniewski Wiktor 202, 284
Skotnicki Antoni 229, fig. 46
Skotnicki Władysław fig. 47
Sławiński Leon 115
Słobodziuk Wasyl 181
Słowacki Władysław 21
Sobkiewicz 100, fig. 23
Sokołowski Władysław 115
Sowińska z Szrederów Katarzyna 303
Sowiński Leonard 22, 116, 180, 183, 245, 285, 293, 295, 449, fig. 14, 46
Stanisławski Antoni 161
Staniszewski Feliks 285
Starorypiński Zygmunt 51
Staszewski policmajster 310
Staszewski Ryszard 106
Stebnicki Ludwik 115
Stecka z Ilińskich Henrykowa 47
Stecka z Lasockich Adela 8
Stecki Edmund 317
Stecki Erazm 316, 317
Stecki Tadeusz 21
Stocki Henryk 207, 302
Stokowski Antoni 115
Strojnowski Rafał 316, 317
Strzelbicki Władysław 161
Surynowie 44, 112
Szaramowicz Władysław 449
Szaulińscy Józefowie 283
Szaszkiewicz Antoni 50, 51
Szaszkiewicz Leonard 48
Szaszkiewicz Medard 49
Szczawiński Aleksander 237
Szczeniowski ksiądz 437, 457, fig. 77
Szembel Michał 289, 295
Szemiginow 441, 443
Szersztet Roman 36
Szersztetowa z Piotrowskich Teodozja 36
Szostak 454, 455
Szostakowski Feliks 289, 293
Sztolcman Karol 75
Szumowska z Roszkowskich Wanda 291
Szumowski Aleksander 235, 289, 290, fig. 56
Szumski Józef 100, fig. 22
Szwejkowski Włodzimierz 317
Syroczyński Leon 229, 232, fig. 45, 47, 48
Syroczyński Seweryn 289, 293
Syroczyński Tadeusz 228

Śniadecki Andrzej 8

Talko Józef 116
Tarnowski Marcin 92
Teleżyński Dymitr 466
Teleżyński Tadeusz 466
Terlecki fig. 64
Tomaszewski Bończa Michał 147, 226, 232, fig. 35
Trachtenberg Adolf 245, 289, 293, 451, 457, fig. 43
Trachtenberg Herman 118
Trachtenberg Józef 451, fig. 49
Trzeciakowie Mieczysławowie 53
Trypolski Antoni 19, 35, 176
Trypolski Juljan 53

Trypolski Karol 20
Trypolski Leon 106
Trypolski Michał 18, 23
Trypolski Oktawjan 106
Trypolski Piotr 20, 21
Trypolski Seweryn 96
Tyszkiewicz Artur 453
Tyszkiewicz Marceli 454, 455

Umiński Wojciech 87
Urbanowicz 467
Uszczapowski Kajetan 438, fig. 38
Uszczapowski Leon 208, 438
Uziembło Ludomir 115

Walewscy Michałowie 288
Walicki Żenon fig. 36
Walter profesor 212
Wasilczyków Hilarjon gen. gub. 69, 161, 221, 320
Wasilewski Aleksy 229, 449
Wasilewski Gustaw 229, 300, fig. 46
Wasilewski Wincenty 229, 297, fig. 43, 45, 47, 58
Wasilkowski Bronisław fig. 43
Wasiutyńska Fortunata 46, fig. 87
Wczelkie Józef 316, 317, fig. 65
Wedeman Teodor 237
Wesołowski Jan 186, fig. 35
Węgliński Władysław 209
Wieczwińska Anna 18
Wielopolski Aleksander 309, 419
Wieniarski Władysław 453, fig. 43
Wierzbicki Jan 95
Wikszemski Stanisław Kostka 70
Wilczopolska Paulina 87
Winarski Władysław 297, fig. 58
Winnicki Stanisław 161
Wiśniewski Bolesław 115
Wiśniewski Mieczysław 115, fig. 44
Witkiewicz Stanisław 67
Wiwulski 432
Wołonczewski Lucjan 449
Worcellowie Stanisławowie 73
Wróblewski Adolf fig. 45 i 46
Wyhowski Stefan fig. 88
Wyrzykowski Piotr 20
Wyrzykowski Władysław 20, 22

Zagorski Alojzy 316, fig. 65
Zagórski Mikołaj 293
Zaleska z Konopackich Walerja 28
Zaleski Aleksander 44
Zaleski Jan 186, 208, 210, 284, fig. 35 i 41
Zaleski Karol 28
Zaleski Konstanty 75
Zaleski Stanisław 183
Zaleski Tadeusz 289
Zawadyński Tomasz fig. 46
Zamojska z Giżyckich Albertyna 48
Zborowski Samuel 229, 235, fig 46, 48
Zieliński Wojciech 307, fig. 94
Ziemnowicz fig. 99

Żmigrodzki Piotr ksiądz 476
Żółkiewscy 54
Żukowska z Sągajłów Olimpja 67
Żukowski Władysław 66
Żytyński Ludwik 186, fig. 43, 59.

SPIS RZECZY.

Str.

Od wydawców I

Od autora „Wspomnień“ zamiast przedmowy XVII

Rozdział I.

Przyjście na świat. Wiek dziecinny. Rodziny ojca i matki. Sąsiedztwo. Nauczyciele domowi. Szkoły w Żytomierzu 1

Rozdział II.

Kijów. Wybór zawodu. Krótkie dzieje młodego uniwersytetu. Program nauki i profesorowie. Młodzież i jej kierunek do 1854 r. Życie młodzieży w dwóch okresach 145

Rozdział III.

Asystentura kliniki w Kijowie. Wycieczki młodzieży po kraju. Oświadczyny, zaręczyny i ślub. Sprawa Włodzimierza Antonowicza. Praca na roli i stosunek do poddanych. Wiadomości o losach kościoła w państwie rosyjskiem. Sprawy publiczne w Królestwie do chwili pogłosek o brance 273

Rozdział IV.

Powstanie w Królestwie Polskiem, na Litwie, w Inflantach i na Rusi. Moje uwięzienie. Wywiezienie szwagra mego i wielu innych więźniów stanu. Życie więzienne. Ogólny stan kraju 413

Indeks osób 489

BIBLIOTEKA

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
30664/2.